

Philippa Gregory

Dziecko Szczęścia

PHILIPPA GREGORY.

Urodziła się w Kenii w 1954 roku, wraz z rodziną przeprowadziła się do Anglii. Ukończyła historię na Uniwersytecie Sussex i uzyskała stopień doktorski z literatury XVIII-wiecznej na Uniwersytecie w Edynburgu. Zadebiutowała powieścią Dziedzictwo (Wideacre), która dała początek sadze rodu Laceyów i przyniosła jej popularność. Kolejne części trylogii Dziecko szczęścia i Meridon utwierdziły tylko jej pozycję na rynku literackim. Szczególnie zafascynowana historią szesnasto- i osiemnastowiecznej Anglii autorka z pasją kreśli realia i obyczaje epoki, odkrywa zapomniane biografie i niechlubne wydarzenia z królewskich dworów, wydobywając to co ciekawe, a jednocześnie uniwersalne. Postacie historyczne przybierają kształty zwykłych śmiertelników z ich słabościami, namiętnościami i dylematami. Philippa Gregory jest autorką książek dla dzieci oraz kilkunastu powieści historycznych, m.in. Kochanice króla (The Other Boleyn Girl), The Virgin's Lover, Earthly Joys, Respectable Trade. Mieszka z rodziną na małej farmie w północnej Anglii.

Nakładem Wydawnictwa „Książnica”

ukazały się powieści

PHILIPPY GREGORY

BŁAZEN KRÓLOWEJ,

CZAROWNICA,

DZIEDZICTWO,

KOCHANICE KRÓLA.

W przygotowaniu: MERIDON.

Philippa Gregory

Dziecko Szczęścia

Przełożyły z angielskiego: Teresa Gawęł, Maryla Szurek

Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału The Favoured Child

Opracowanie graficzne Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: peter zeler, Roberta Osborne

Copyright © 1989 by Philippa Gregory

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez uprzedniej zgody wydawcy żaden fragment niniejszego utworu nie może być reprodukowany ani przesyłany za

pośrednictwem urządzeń mechanicznych bądź elektronicznych. Niniejsze zastrzeżenie

obejmuje również fotokopiowanie oraz przechowywanie w systemach gromadzenia

i odtwarzania informacji.

For the Polish edition © Publicat S.A., MMYIII1

ISBN 978-83-245-7670-8

www.NajlepszyPrezent.pl

TWOJA KSIĘGARNIA INTERNETOWA

Zapoznaj się z naszą ofertą w Internecie i zamów, tak jak lubisz:

sklep@NajlepszyPrezent.pl

+48 61 652 92 60

+48 61 652 92 00

Publicat S.A., ul. Chlebowa 24, 61-003 Poznań

książki szybko i przez całą dobę łatwa obsługa pełna oferta promocje

Wydawnictwo „Książnica”

40-160 Katowice

Al. W. Korfantego 51/8

oddział Publicat S.A. w Poznaniu

tel. (032) 203-99-05

faks (032) 203-99-06

e-mail: ksiaznica@publicat.pl

sklep internetowy: www.ksiaznica.com.pl

Katowice 2008

Opis z okładki.

"Dziecko Szczęścia".

Kontynuacja sagi rodu Laceyów. Majątek Wideacre popadł w ruinę, okoliczni wieśniacy zaś żyją w ubóstwie. Dla występnej Beatrice, której losy opisuje Dziedzictwo, miłość do ziemi okazała się siłą i zgubą. Oto wkracza w życie następne pokolenie.

Dzięki niezwykłym talentom Julii Lacey, współdziedziczki majątku, posiadłość zaczyna odzyskiwać dawny blask. Jaką rolę los wyznaczy jej kuzynowi Richardowi?

„Opowieść o gorącej miłości i nieokiełznanej namiętności. Nie spocznieś,

póki nie poznasz jej zakończenia."

Maeve Binchy.

* * *

SEN.

Najpierw był sen. Pierwsze wspomnienie z dzieciństwa to nie Richard ani wzgórze dookoła Wideacre, te wspaniałe zielone fale, które okalały mój dom i strzegły go - to sen. Śniłam go zawsze, odkąd tylko pamiętam.

Nie jest to sen dziecka. To nie mój sen. Należy do kogoś innego, a ja nie wiem do kogo.

Śni mi się, że cierpię - cierpię i przeszywa mnie ból, jakiego nie chciałabym nigdy doznać na jawie. Stopy bolą mnie od długiego marszu po zimnej kamienistej ziemi; są mokre od gliny i krwi, która płynie z setek zadrapań odłamkami kredy i krzemienia. Jest północ. Potykam się w ciemnościach, wędrując przez pobliski las ku rzece - rzece Fenny. Słyszę, jak huczą jej głębokie wody, a dźwięk ten jest głośniejszy niż wycie wiatru, który targa gałęziami drzew. Jest tak ciemno, że nie widzę drogi przed sobą. Błądzą w mroku rozświetlanym czasem przez błyskawice. Byłoby mi łatwiej, gdybym nie dźwigała swego brzemienia. Przytulam do serca ukryte pod peleryną zawiniątko z nowo narodzonego dzieckiem. Wiem, że odpowiadam za tę dziewczynkę. Jest moja. Należy do mnie, a ja muszę ją zabić. Muszę ją zanieść do rzeki i przytrzymać jej drobne ciało pod wzburzoną wodą. Potem ją wypuszczę, a prąd uniesie ze sobą

maleństwo owinięte w biały szal.

Huk wody nasila się, w miarę jak brnę błotnistą ścieżką. Na widok rzeki wstrzymuję z przerażenia oddech. Jest szersza niż zwykle, wystąpiła z brzegów i wali w pnie drzew. Przewrócone drzewa, które były naszym mostem, odpłynęły i skryły się pod spienioną wodą. Płaczę, a burza zagłusza moje łkanie.

5

Dziecko trzeba utopić. Ja muszę je utopić. To mój obowiązek, bo jestem z rodu Laceyów.

To za wiele dla mnie: te łzy i niemożność, ból w sercu i obolałe stopy. Zaczynam się szamotać, chcę się obudzić. Nie mam pojęcia, jak włożyć to spokojnie śpiące, ciepłe niemowlę do zimnej rozszalałej wody, a jednak muszę to zrobić. Szlochając, brnę naprzód ku rzece, która wrze jak kocioł piekielny. Jednocześnie jakaś część mnie wie, że to sen - ten, który śni mi się od zawsze. Walczę z nim, chcę się od niego uwolnić, ale on trzyma mnie mocno. Żyje własnym życiem w moim umyśle. Mam wrażenie, że rozpadłam się na dwie osoby. Jedna z nich to mała dziewczynka, która chce się wyrwać z nocnego koszmaru, rzuca się na łóżku i woła mamę. Druga to kobieta chowająca pod peleryną dziecko, które chce utopić w wodach rzeki pędzącej ze zboczy wzgórz gdzieś w dal.

ROZDZIAŁ Pierwszy.

Jestem stara. W głębi serca jestem już starą kobietą, zmęczoną i czekającą na śmierć. Dawniej, kiedy byłam dzieckiem, mieszkałam w Wideacre.

Wiedziałam wszystko, a jednak o niczym nie miałam pojęcia.

Niewyraźnie, jakby przez mgłę, widziałam dawne dzieje ziemi, po której

stąpam, przyszłość zaś wydawała mi się podobna do jasnego blasku księżyca, który przedostaje się przez burzowe chmury. Ciągłe wizje tego, co było i co będzie, formowały mnie, tak jak krople wody tworzą wapienny stalaktyt, który nic o tym nie wiedząc, rośnie i przybiera dziwny kształt.

Wiem już, że byłam niemądra. Przez wszystkie lata, gdy uczyłam się, jak być kobietą, byłam po prostu głupia. Teraz już taka nie jestem. Jak żmija, która latem zrzuca z siebie martwy naskórek, tak i ja wydostałam się spod pancerza kłamstw i półprawd, spadły mi z oczu fałszywe zasłony i oślepił mnie blask prawdy. Odważyłam się stanąć z nią twarzą w twarz, a potem zostałam sama. Tylko ja i moja ziemia.

Ta ziemia nie jest zwyczajna. Jest ona naszym usprawiedliwieniem i świadectwem. Wznoszące się na kredowym podłożu w południowej Anglii Wideacre to piękna posiadłość, niegdyś tak żyzna i wspaniała jak rajski ogród. W jej południowej części wysokie wzgórza porośnięte zieloną, krótko przystrzyżoną trawą i kwiatami, nad którymi latem wirują błękitne motyle, otaczają dolinę rzeki Fenny jak na wpół zwinięta dłoń. W obrębie tych wzniesień skrywał się mój mały świat i one właśnie stanowiły jego horyzont. Centralnym punktem tego świata był dwór - Wideacre Hall, pociemniałe od dymu ruiny, ku którym przez zdziczały i opustoszały ogród różany biegła błotnista aleja.

7

W dawnych czasach powozy wjeżdżały przez frontową bramę, mijaly urodzajne pola, przejeżdżały obok kwadratowego, zbudowanego z piaskowca dworku zwanego Dower House. Później zatrzymywały się przed ogromną żelazną kratą, którą dozorca otwierał w zamian za rzuconą

monetę lub łaskawe skinienie głowy. Z lewej strony widać wioskę Acre - rzędy chat rzemieślników, biały budynek probostwa i kościół z ładnie zaokrągloną wieżą, na prawo natomiast drogę, która styka się z traktem londyńskim w miejscu, gdzie zatrzymują się dyliżansy podążające na północ, do Midhurst.

Urodziłam się jako Julia Lacey, jedyna córka i spadkobierczyni dziedzica Wideacre - Harry'ego - i jego żony Celi z Havering Hall. Wychowywałam się razem z Richardem, synem Beatrice, która była siostrą mego ojca. Mój tata i Beatrice chcieli, byśmy obydwójce odziedziczyli majątek i w tym celu zmienili obowiązujące przedtem prawo majoratu. Richard i ja zawsze wiedzieliśmy, że pewnego dnia razem poprowadzimy Wideacre.

Tak wyglądają fakty, ale oprócz nich jest jeszcze prawda. Beatrice zawzięcie pragnęła przejąć własność swego brata; kłamała, intrygowała, zrujnowała posiadłość i popełniła morderstwo. Tak, tak... Laceyowie zawsze byli zabójcami. Beatrice nie cofnęła się przed niczym, aby tylko zająć miejsce dziedzica. Ogradzała pola, likwidowała ścieżki, podnosiła czynsze, wszędzie siała pszenicę, po to by zdobyć pieniądze na osiągnięcie celu. Swego męża doprowadziła prawie do choroby umysłowej i skradła jego majątek, a brata omotała wszystkimi sposobami, do jakich tylko może się uciec kobieta. Myślała, że uniknie swego przeznaczenia, ale pewnego dnia dopadli ją wieśniacy z pochodniami w dłoniach i przywódcą na czarnym koniu.

Ci, którzy kiedyś ją uwielbiali, zabili ją.

Zabili Beatrice. Spalili dom. Zrujnowali rodzinę Laceyów, a sami na zawsze znaleźli się poza prawem.

Mój tata, dziedzic Wideacre, zmarł na serce. Mąż Beatrice - doktor John

MacAndrew - przyrzekł, że spłaci wszystkie jej długi, i wyjechał do Indii. Zostaliśmy w trójkę: mama, mój kuzyn Richard i ja, w małym kwadratowym domku niedaleko Wideacre Hall. Drzewa, które rosły w parku, pochylały się nad dachem i przyciskały swe gałęzie do okien domu, gdzie oprócz nas mieszkało dwoje służących i wiele duchów. Znałam imiona ich wszystkich. Widywałam je,

8

choć nie na tyle wyraźnie, by objąć ich istnienie mym dziecięcym umysłem. Czasem nocą we śnie słyszałam jakiś głos, słowo, echo. Kiedyś dobiegł mnie czyjś radosny wybuch śmiechu. Pewnego razu miałam sen tak przykry, że z przerażenia obudziłam się. Okna mej sypialni rozświetlały płomienie sięgające dachu. Był to ten pożar, który ogarnął Wideacre Hall i zabił mego tatę, ten sam, po którym my troje - ocaleni rozbitkowie - zamieszkaliśmy w naszym obecnym domu razem z całą rodziną duchów.

Na jawie była ze mną mama. Miała bladą, podobną do białej róży twarz w kształcie serca, a jej brązowe oczy przypominały aksamit bratków. Włosy - jasne, gdy była młoda - posiwiały, a matowe smugi siwizny sprawiały wrażenie długich palców położonych na jej gładkiej złotej głowie przez smutek i zmartwienie. Owdowiała, gdy miałam dwa lata, więc nie pamiętam jej w sukniach innych niż czarne, fioletowe czy szare. Nie mogłam też pamiętać dworu z czasów, gdy nie był ruiną. Kiedy byliśmy małymi dziećmi, mama często przeklinała posępne barwy i przysięgała, że poślubi jakiegoś wielkiego kupca tylko dla jego magazynów z błyszczącym różowym jedwabiem. Jednakże w miarę jak my dorastaliśmy, żaden kupiec nie przybywał, gęsi nie znosiły złotych jajek, a drzewa nie

rodziły diamentów. Przestała więc wyśmiewać stare ciemne suknie, wyświecone i poprzecierane w szwach.

Był również Richard. Mój kuzyn Richard, najdroższy przyjaciel, mały tyran, najlepszy sprzymierzeniec i najgorszy wróg, współ-spiskowiec i zdrajca, towarzysz zabaw, rywal i narzeczony. Kochałam go zawsze, odkąd tylko pamiętam. Zawsze też kochałam Wideacre. Richard był częścią mnie samej i mojego dzieciństwa w takim samym stopniu jak wzgórze, wspólna ziemia* i wysokie drzewa w lesie.

* Wspólna ziemia „commons” - łąki lub pastwiska, zwykle niedaleko wioski lub na jej terenie, z których mogli korzystać wszyscy jej mieszkańcy (przyp. tłum.).

Nie wybrałam miłości ani do niego, ani do ziemi. Kochałam to miejsce i kochałam tego chłopca dlatego, że zawsze byli w moim sercu. Wydawało mi się, że nie mogłabym żyć bez Richarda, mieszkać gdzie indziej niż w Wideacre i nosić nazwiska innego niż Lacey.

Miałam szczęście w miłości. Mój kuzyn Richard był najmilszym chłopcem, drogim mi jak brat. Był jednym z tych niezwykłych dzieci,

9

które z łatwością pozyskują sobie miłość. Gdy przechodził ulicami Chichester, ludzie spoglądali na niego z przyjemnością, bo podobał im się jego szybki marsz, grzywa czarnych loków, olśniewające jasnobłękitne oczy i promienny uśmiech. Kochał go każdy, kto tylko usłyszał jego śpiew. Richard miał bowiem niewinny chłopięcy głos, wznoszący się wyżej, niż można to sobie wyobrazić, i tak czysty, że słuchając go drżałam, jakby to nie śpiew napełniał powietrze, ale wiatr przychodzący wprost z nieba. Uwielbiałam go słuchać, więc sama poprosiłam o lekcje fortepianu i z

radością znosiłam przykrość, jaką było ciągle uczenie się nowych kawałków tylko po to, by móc mu akompaniować.

Bardzo lubił duety, ale ani groźbą, ani pochlebstwem nie był w stanie sprawić, bym grała czysto. - Słuchaj, Julio! Słuchaj! - krzyczał na mnie i wyśpiewywał dźwięki tak czyste jak woda źródłana, a ja nie umiałam ich powtórzyć. Staralam się jednak bardzo, a czasami wieczorem przyłączała się do nas mama i nuciła drugim głosem, podczas gdy głos Richarda wznosił się, wypełniał maleńki salon i wypływał przez na wpół otwarte okna, by w okrytym zmierzchem lesie dzwonić jak śpiew ptaków.

Właśnie w takich momentach, gdy Richard śpiewał, a w domu panowała cisza, czułam obecność duchów. Otaczały nas zawsze, namacalne jak snująca się wokół drzew wieczorna mgła znad Fenny. Choć stale były w pobliżu, wyczuwałam je tylko w bardzo szczególnych chwilach.

Wiedziałam jednak, że zawsze jest przy nas tych dwoje - mama Richarda, Beatrice, i mój ojciec, dziedzic - wspólnicy w rozkwicie i schyłku Laceyów, którzy przez kilka lat tworzyli, a potem zrujnowali Wideacre. Wiedziałam, że gdy Richard śpiewał przy moim akompaniamencie, a mama porzucała swoje szycie, by przysłuchiwać się słodkim wysokim tonom, oni czekali. Podobnie jak my czekali na coś, co miało się wydarzyć.

Na coś, co znów miało się zdarzyć w Wideacre.

Choć o rok młodszy, Richard był zawsze wyższy ode mnie. Mimo że byłam córką dziedzica i nosiłam nazwisko Lacey, on był chłopcem i naturalnie paniczem. Wychowywano nas jak małych wieśniaków, ale nie wolno nam było chodzić do wsi. Wzrastaliśmy w godnym pożałowania świecie zubożałej arystokracji, ukrytym wśród zarośli parku Wideacre,

gdzie żyliśmy jak para zaczarowanych dzieci z bajki czekających, aż wyzwoli je jakaś nadprzyrodzona moc.

10

Przywódcą był Richard. To on ustalał reguły naszych zabaw, które ja często łamałam. Złościł się wówczas na mnie. Samego siebie obwoływał prokuratorem, sędzią i katem jednocześnie, a ja z pobladłą twarzą i oczami pełnymi łez biegłam do mamy i skarżyłam, że Richard jest niedobry. W rezultacie obydwójce ponosiliśmy zasłużoną karę. Starcia z mamą zdarzały się zresztą często, bo stanowiliśmy dobraną parę małych grzeszników. Richard broił i nigdy nie przyznawał się do winy, a ja zawsze szczerze opowiadałam o naszych wybrykach.

Pewnego razu oberwałam burę od mamy, która zobaczywszy plamy na moim fartuszkach, zarzuciła mi kradzież konfitur ze spiżarni. Richard wyparłby się tego bezczelnie, ja natomiast nie tylko przyznałam się do zabrania konfitur, ale i do tego, że kilka dni wcześniej skradłam słoik dżemu, czego zresztą nikt nie zauważył.

Gdy wychodziliśmy z salonu z oczami wbitymi w podłogę i nieprzyjemnym poczuciem winy, Richard milczał. Nie odezwał się słowem przez cały dzień. Dopiero po południu, gdy bawiliśmy się nad rzeką, brodząc w wodzie, nagle znieruchomiał i zaczął mnie szeptem przywoływać. Oznajmił, że widzi gniazdo zimorodka. Podniosłam spódniczkę i dojrzałam do niego, ale nic nie zobaczyłam.

- Tam! - wskazał na brzeg. - Tam!

Nadal nic nie widziałam. Wtedy złapał mnie mocno za rękę, a jego uśmiech zastąpił grymas złości. Przyciągnął mnie i objął tak mocno, że nie byłam w stanie uciec, po czym syknął:

- W tej rzece są węże wodne. Wynurzą się ze swoich jam i przyjdą po ciebie.

Nie musiał już mówić dalej. Fale rzeki natychmiast zamieniły się w wygięte łby brązowych węży wodnych. Wodorost muskający moją stopę stał się wilgotnym ciałem owiniętym dookoła bosych nóg. Kawałek drewna unoszący się na wodzie był już jadowitym ciemnookim stworem, który płynął w moją stronę.

Mały tyran puścił moje poczerwieniałe nadgarstki dopiero wtedy, gdy zapłakana i ochrypnięta od krzyku przestałam mu się wyrywać.

Wdrapałam się na brzeg i uciekłam stamtąd jak szalona.

Potem mi wybaczył, tak jakby łzy ugasiły płonąca w nim wściekłość.

Wytrzeł mi oczy wyciągniętą z mej kieszeni chusteczką i objął ramieniem, kołysał mnie czule, przemawiając pieszczotliwie. Wreszcie - a temu trudno było się oprzeć - zaśpiewał

11

pogodne piosenki o pastuszkach, uprawie roli i dojrzewającym zbożu.

Zapomniałam o płaczu i przestachu, nawet o tym, że się nade mną znęcał.

Oparłam głowę na jego ramieniu i pozwoliłam, by ubłoconą dłonią gładził mnie po włosach. Usiadłam mu na kolanach i słuchałam wszystkich piosenek, które sobie przypominał.

Gdy dotarliśmy do domu w złotej poświacie letniego zmierzchu, mama nie była zachwycona widokiem mojej wilgotnej i brudnej od błota sukienki, fartuszka i włosów. Dzielnie zniosłam wszystkie wymówki, a późno wieczorem zostało mi to wynagrodzone. Korzystając z tego, że mama siedziała na dole i usiłowała szyć przy skąpym blasku dwóch świec, Richard przyszedł do mojej sypialni. Przyniósł pełne garście słodyczy,

które ukradł lub wyżebrał od pani Gough, naszej kucharki. Usiadł obok mnie na łóżku i podawał mi najlepsze kąski ze swego łupu.

- Kocham cię, gdy jesteś taka dobra, Julio - powiedział, przytrzymując wiśnię przy mych ustach w taki sposób, że aby ją złapać, musiałam podnosić głowę jak wdzięczący się piesek salonowy.

- Nie - odparłam smutno i wyplułam pestkę na jego małą ciepłą dłoń. - Kochasz mnie, gdy jestem zła. Okłamywanie mamy jest złem, ale gdybym jej powiedziała o wodnych węzłach, sprawiłaby ci lanie.

Roześmiał się swobodnie, a ja odniosłam wrażenie, że nie jest młodszy ode mnie, tylko dużo starszy.

- Ciii - powiedziałam nagle. Usłyszałam skrzypienie podłogi i dźwięk odsuwanego krzesła. W naszym salonie nie było dywanu.

Richard zgarnął resztki uczyty i podobny do ducha w szarej koszuli wymknął się z pokoju. Mama szła bardzo powoli, jakby była niezmiernie zmęczona, więc zdążył skryć się w swej sypialni na poddaszu. Smuga światła świeczki wpadająca do mego pokoju powiększyła się - mama otworzyła drzwi i weszła. Zacisnęłam mocno powieki, ale nie zdołałam jej oszukać.

- Julio - rzekła z czułością - jeśli nie zaśniesz odpowiednio wcześnie, będziesz jutro bardzo zmęczona.

Usiadłam na łóżku i wyciągnęłam ręce, by ją uściskać na dobranoc.

Pachniała delikatnie liliami i czystym płótnem. W jej włosach pełno było srebrnych nitek, a wokół brązowych oczu widać było zmarszczki. Ze znużonej twarzy odgadłam, że znowu

zamartwiała się o pieniądze. Uśmiechnęła się jednak do mnie z wyrazem

takiej miłości, że natychmiast stała się piękna. Choć nosiła zniszczoną ciemną sukienkę z pocerowanym kołnierzem, jej sposób poruszania i zapach mówiły, że urodziła się arystokratką. Sapnęłam z zadowolenia i objęłam ją mocno.

- Napisałaś do wujka Johna? - zapytałam, gdy otulała mnie szczerze kołdrą.

- Tak.

- Powiedziałaś mu, że Richard chciałby mieć lekcje śpiewu?

- Tak. - Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały poważne.

- Myślisz, że przyśle pieniądze? - naciskałam, zatroskana o Richarda.

- Bardzo wątpię - odparła trzeźwo. - Mamy ważniejsze rzeczy do opłacenia. Wierzycieli Laceyów, szkołę Richarda. Wiesz, że nasze oszczędności są niewielkie.

Wiedziałam. Lojalni i kochający pani Gough i Stride pracowali za nędzne wynagrodzenie płacone im często z opóźnieniem. Na naszym stole pojawiały się ryby złowione w Fenny i dziczyzna z majątku Havering. Warzywa uprawiano w przydomowym ogrodzie, a owoce przysyłała babcia. Wino stanowiło rzadki luksus. Sukienki donaszałam po dalekich kuzynkach, a kołnierzyki koszul Richarda odwracano tyle razy, że w końcu nie było już ani kołnierzyka, ani koszuli. Mama przyjmowała ubrania i żywność od swej matki - mojej babci Havering, lecz nigdy nie prosiła jej o pieniądze. Na to była zbyt dumna. Poza tym sąsiadujący z nami majątek Havering też był mocno zaniedbany.

- Śpij już, Julio. - Mama podniosła świecę i ruszyła do drzwi.

- Dobranoc - powiedziałam i posłusznie zamknęłam oczy. Leżałam na wpół śpiąca, słuchając, jak cały dom układa się do snu. Słyszałam kroki

mamy w jej pokoju, potem skrzywienie łóżka, do którego szybko wskoczyła, bo podłoga ziębiła bosc stopy. Na dole hałasował Stride, który zaryglował tylne drzwi i sprawdził frontowe - jakby można było tu coś ukraść - potem zaś ciężko stąpał po schodach wiodących do jego sypialni. Dobiegały mnie również dźwięki z zewnątrz: uderzenia długich pnący o szyby, pohukiwanie sowy przelatującej nad ciemnym polem, urywane szczekanie lisa gdzieś daleko w lesie. Wyobrażałam sobie, że tak jak sowa fruwać ponad uśpionymi polami,

13

widząc w dole stłoczone chaty wioski Acre - nieoświetlonej jak piracki statek na morzu. Widziałam pola za wsią, ścieżki, które jasno połyskiwały w ciemnościach, i stada wędrujących cicho jeleni. Gdybym była sową, poleciałabym do zachodniej ściany dworu Wideacre, jedynej, która ocalała. Dotarłabym aż do jej szczytu, miejsca, z którego niegdyś dumnie sterczały belki dachu, teraz przypalonego i szerniałego od ognia.

Usiadłabym tam i patrzyła okrągłymi, szeroko otwartymi oczyma na zdewastowane pola, zdziczałe lasy, na zniszczoną i zmarnowaną okolicę.

Już wówczas wiedziałam, iż na ziemi istnieje pewna szczególna równowaga. Właściciele biorą tyle, pracownicy biorą tyle, jedni i drudzy utrzymują biednych. Ziemia też ma swoje prawa

- nawet pola muszą odpoczywać. Moja ciocia Beatrice była niegdyś najlepszym farmerem w okolicy, lecz z jakiegoś powodu

- nikt nie umiał mi wyjaśnić dlaczego - poniosła klęskę. W tę noc pożogi, kiedy zginęła i kiedy umarł mój tata - Laceyowie byli już zrujnowani.

Potem sprawy przybrały zły obrót wszędzie: i w naszej rodzinie, i we wsi, gdzie ludzie byli brudni jak Cyganie i tak jak oni ubodzy. Z wielkiej

rodziny Laceyów zostałyśmy jedynie my z mamą; chodziłyśmy w pocerowanych sukniach i nie miałyśmy powozu. Dla mamy znacznie gorsze było to, że utraciłyśmy władzę. Nie tę, którą mają właściciele ziemi; nie sądzę, by kiedykolwiek pragnęła móc rozkazywać ludziom jak służącym. Chodziło o to, że nie mogła teraz, gdy działo się tam bardzo źle, ingerować w sprawy wsi. Wszelka możliwość pomocy Acre znalazła się nagle w rękach tych, którzy ustanawiali przepisy o dobroczynności. Nawet pastor Pearce nie był w stanie nic zrobić. Kiedyś, gdy miałam dziesięć lat, przyjechał do nas na spienionym gniadoszu, powiedział, że musi natychmiast widzieć się z mamą, i tuż za Stride'em wpadł do salonu. Richard brzdąkał na fortepianie, ja siedziałam przy oknie, transponując dla niego partyturę, i wdychałam świeże powietrze, mama zaś cerowała.

- Proszę wybaczyć mi to wtargnięcie - mówił urywanym głosem pastor - okropne rzeczy dzieją się w Acre... Zabierają dzieci...

- Co? - zawołała mama. Rzuciła przerażone spojrzenie w stronę okna, a ja zadrżałam ze strachu, że zostanę „zabrana”

- cokolwiek to miało oznaczać.

14

Pastor ściągnął rękawice jeździeckie i zaraz niepotrzebnie włożył je znowu.

- To nadzorca parafii z Chichester. - Nadal jeszcze głos rwał mu się po pospiesznej jeździe. - Dostał rozkaz od fabrykantów z północy. Chcą krzepkich dzieci z ubogich rodzin do nauki rzemiosła.

Mama skinęła głową.

Pastor zdjął jedną rękawiczkę.

- To niewolnictwo! - krzyknął. - Pani Lacey! Oni biorą je, nie pytając

nikogo o zgodę. Mogą wziąć każde dziecko, którego rodziców nie stać na jego utrzymanie. To znaczy, że mogą zabrać wszystkie dzieci z Acre, bo nikt nie ma tu stałej pracy. Jeżdżą po wsi wielkim wozem i wybierają najzdrowsze i największe dzieci. Zanim tu przyjechałem, mieli już troje. Popatrzyłam na mamę. Podniosła się i stanęła przy pustym kominku.

Pobladła, a jej twarz w ostrym letnim świetle przybrała ziemisty kolor.

- Dlaczego przyjechał pan do mnie? - spytała cicho. Pastor ściągnął drugą rękawiczkę i uderzył nią w dłoń.

- Myślałem, że pani będzie wiedziała, co robić. Sądziłem, że pani ich powstrzyma.

Powoli i sztywno wskazała na ogołocony salon, wyszczerbiony stół, stare pianino i leżący przed kominkiem nasz jedyny dywanik.

- Jestem kobietą. Nie mam ani pieniędzy, ani wpływów.

- Jest pani wdową po dziedzicu! - zawołał. Mama skrzywiła się.

- A pan jest proboszczem - rzekła gorzko. - I co z tego? Żadne z nas nie jest w stanie zapobiec temu, co się tam dzieje.

- A pani ojczym? Lord Havering? Znowu usiadła na krześle.

- On mówi, że to wioska bezprawia. Nie kiwnąłby palcem, nawet gdyby mieli stąd wywieźć wszystkich. Poza tym on wierzy w te nowe fabryki.

Zainwestował w nie.

Pastor Pearce opadł na krzesło, nie czekając na słowa zachęty, i zwinął rękawiczki w ciasną kulę.

- To nic nie zrobimy? - spytał bezradnie.

Mama zbliżyła swą robótkę do światła i znów zajęła się cerowaniem.

- Nie mogę nic zrobić, by to powstrzymać. Czy to jest zgodne z prawem?

- Z prawem, tak! - odparł. - Ale czy jest moralne?
- W takim razie nic nie mogę zrobić - powtórzyła. - Może chociaż zdobędzie pan adresy miejsc, w które dzieci są wysyłane, by rodzice mogli je odzyskać, gdy nadejdą lepsze czasy.
- Gdy nadejdą lepsze czasy? - Pastor zerwał się na nogi. Mama popatrzyła na niego. Miała nieruchomą twarz i oczy pełne łez.
- Gdy nadejdą lepsze czasy - rzekła.

Ujął jej dłoń i schylił się w głębokim ukłonie, jakby mama była wielką damą, a on dworzaninem.

- No, to wracam. Atmosfera we wsi jest już chyba bardzo ciężka, ale zrobię, co się da.

- Tylko czy oni pana posłuchają? - zapytała.

Włożył rękawiczki i po raz pierwszy tego dnia ujrzeliśmy jego uroczy bezradny uśmiech.

- Wątpię w to. Ale będę się starał.

Miał rację uważając, że niewiele jest w stanie zrobić. Rodzice byli szybsi - ukryli dzieci, gdy tylko wóz zajechał do wsi. Ostatecznie tylko sześcioro zabrano i wywieziono do fabryk gdzieś na północy. Nadzorca powiedział, że będą się uczyć rzemiosła, a swoje zarobki mogą przysyłać do domów. Otrzymają wykształcenie i wychowanie religijne. Za parę lat prawdopodobnie wrócą do domów i będą chlubą swych rodziców i pracodawców. Wieśniacy wysłuchali tych słów i rozeszli się w milczeniu. Przez cały miesiąc babcia zabierała nas powozem do katedry w Chichester, bo mama nie chciała chodzić do kościoła w Acre. Potem pastor Pearce napisał jej, że nie ma już powodu do obaw i że spokojnie możemy przyjeżdżać - wszystko jest tak jak przedtem.

Tylko ja zauważyłam, że nie wszystko.

Nie przychodziły już dzieci, które kiedyś chętnie podglądały nas przez bramę. Dziewczynki, które kiedyś kłaniały się mamie, gdy szłyśmy wzdłuż nawy kościoła, nie uśmiechały się już do mnie zuchwale. We wsi zapadła taka cisza, jakby wszystkie dzieci ukradła jakaś zła baba-jaga. Młodzież w Acre nauczyła się chować na widok każdego obcego wozu pojawiającego się na drodze.

Odjechało tylko sześcioro dzieci, ale nie było już tak jak przedtem.

Całe lato było upalne. Upalne i spokojne. Mama cierpiała z powodu bólów głowy i przemęczenia, więc pozwoliła, byśmy

16

sami wędrowali po polach, choć nie dalej niż sięgają granice posiadłości.

Pewnego razu spytałam ją - nie po raz pierwszy zresztą - gdzie się podziały nasze pieniądze i dlaczego spłonął dwór. Chciałam też wiedzieć, dlaczego ona, taka potężna w moim małym świecie, nie może nic zrobić w Acre i Chichester. Twarz jej przybrała ten nieruchomy wyraz, którego oboje z Richardem zawsze się obawialiśmy, po czym cicho powiedziała:
- Nie teraz, kochanie. Wyjaśnię ci wszystko, gdy będziesz dość duża, by to zrozumieć. Ale nie teraz.

Te słowa zaspokajały mą dziecięcą ciekawość, wystarczały też Richardowi. Przez całe życie widywaliśmy ruiny dworu i leżącą odłogiem ziemię, trudno więc nam było wyobrazić sobie czasy rozkwitu posiadłości, podobnie jak nie mogliśmy sobie wyobrazić czasów, gdy nas tu nie było. Zostawieni sami sobie przez całe lato spacerowaliśmy, leniuchowaliśmy, marzyliśmy, bawiliśmy się i rozmawialiśmy.

- Chciałbym być Laceyem - rzekł do mnie Richard, gdy leżeliśmy wśród

paproci, gapiąc się na błękitne niebo i kłębiące się białe chmurki.

- Dlaczego? - zapytałam leniwie. Trzymałam między palcami źdźbło trawy i dmuchałam w nie, wydając okropne dźwięki.

- Aby być Laceyem z Wideacre. Chciałbym, by wszyscy wiedzieli, że jestem posiadaczem, i to od tylu lat, że nikt nie może tego zakwestionować.

Wyrzuciłam trawkę, zrobiłam fikołka i wylądowałam głową na jego chudej piersi.

- Gdy się pobierzemy, będziesz mógł przyjąć moje nazwisko. Staniesz się Laceyem, skoro tak bardzo tego pragniesz.

- Tak - rzekł z zadowoleniem. - Odbudujemy dwór, a ja zostanę dziedzicem, tak jak chciała moja mama.

Przytaknęłam.

- Wstąpimy tam, gdy będziemy wracać do domu.

Pomogłam mu wstać i ruszyliśmy gęsiego po wąskiej piaszczystej ścieżce prowadzącej z pastwiska aż na skraj Wideacre. Ogrodzenie parku było tak dziurawe, że swobodnie przechodziły tędy króliki, jelenie, lisy i my dwoje.

Wyglądało na to, że ziemia i zwierzyna nie stanowią tu niczyjej własności.

Kłusownicy z Acre mogli wchodzić wszędzie, gdzie chcieli, bo gajowy Bellings był równie zepsuty jak oni. Wszyscy jednak omijali z daleka

17

zrujnowany dwór. Tym miejscem ciągle jeszcze władali wyłącznie Laceyowie. Chodziliśmy tam razem, a okaleczone ściany odbijały echem tylko nasze głosy i wołania duchów.

- Pobawmy się w Saracenów - zawołał nagle Richard. Wyłamaliśmy więc kije leszczynowe i jak miecze trzymaliśmy je przed sobą. Gdy przed nami

ukazał się dwór, Richard dał znak ręką i dobrze wyćwiczonym ruchem padliśmy na ziemię. Przepelziliśmy jak węże przez zarośnięty ogród w pobliżu kuchni, gdzie tawuły i driakwie tworzyły wysoką dżunglę i gdzie rosło mnóstwo jeżyn. Richard rozkazał przygotować się do ataku, po czym pędem minęliśmy stajnię i z triumfalnym wrzaskiem wpadliśmy na podwórze.

Między kostkami bruku rosła gęsta trawa, pompa z uniesioną w górę rączką była zardzewiała, a w korytku obok stała woda.

- Teraz państwo Laceyowie. - Richard zaproponował nową zabawę i z dwornym ukłonem podał mi ramię. Odwzajemniłam mu się, rozkładając szeroko zabłoconą muślinową sukienkę, i z głupawym uśmiechem przyjął podaną dłoń. Z wysoko uniesionymi głowami kroczyliśmy dookoła domu, odgrywając ludzi, którymi powinniśmy być.

- Diabelnie udana była pogoń za tym lisem - odezwał się Richard.

- Diabelnie - powtórzyłam równie śmiało jak on. Potem przerwaliśmy zabawę i stanęliśmy przed budynkiem,

by na niego popatrzeć. Dom gapił się na nas bezmyślnie; jego miodowej barwy ściany były popękane i szerniały od ognia, a ze szczytu - jak pióro z kapelusza - wyrastał krzew budlei. Spłonęły drewniane podłogi i runęły belki, zawaliła się zachodnia ściana przy ogrodzie różanym. Fasada jeszcze stała, ale ludzie cichcem wykradali z niej coraz więcej kamieni.

Dwór wyglądał jak olbrzym, który stoi bezradnie wśród dzikich pokrzyw i wierzbówek, wytrzeszczając niewidzące oczy.

Tak wyglądało nasze dziedzictwo. Ruina, cały rejestr długów i pola, których nie mogliśmy ani wydzierżawić, ani uprawiać. Ciągle należały do nas lasy Wideacre, ale wujek John nie sprzedawał drewna. Mieliśmy też

kilka farm, których dzierżawcy zwlekali z czynszami, a mama nie potrafiła ich zmusić do płacenia. Jediną rzeczą, którą naprawdę posiadaliśmy i której byliśmy pewni, była ta kupa osmolonych gruzów i ziemia pod stopami w zachwaszczonym ogrodzie.

18

A to wystarczało, bym cieszyła się ogromnie. Wydaje mi się, że kochałam to miejsce od najwcześniejszego dzieciństwa. Nieważne, co mogłoby się jeszcze wydarzyć, skoro wiedziałam, że następnego ranka obudzę się, zobaczę wysokie wzgórza i poczuję zapach rosnących na ugorach paproci i wrzosów. Gdy czułam, jak twarz owiewa mi rozkoszny, nasycony solą wiatr, nie obawiałam się już niczego. Kiedy przykładalam dłoń do szarej kory jednego z olbrzymich buków lub przytulałam policzek do świeżej trawy, czułam, jak wielkie tajemnicze serce ziemi bije w tym samym rytmie co moje.

Spojrzałam na słońce, które pochylało się nad polami, i uświadomiłam sobie, że znowu spóźnimy się na obiad. Pomknęliśmy więc przed siebie w równym tempie, którego nauczyliśmy się w dzieciństwie. Choć Richard był wychudzony niby nędzarz, a ja, według pani Gough, podobna do kija od miotły, potrafiliśmy biegać równie dobrze jak psy gończe. Dotarliśmy do domu, ani razu się nie zatrzymując dla zaczerpnięcia oddechu.

Ostrożnie zajrzeliśmy przez okna do salonu, potem okrążyliśmy dom i tylnym wejściem wśliznęliśmy się do rozprażonej kuchni. Zastaliśmy tam niezadowoloną i zagniewaną kucharkę.

- Znowu się spóźniliście - gderała, podparłszy się pod boki rękami ubielonymi mąką. - Pan Stride za chwilę będzie prosił do stołu, a wy wyglądacie jak para żebraków.

Próbowałam milczkiem, jak kot, przemknąć obok niej do pokoju, żeby ogarnąć się przed obiadem. Richard zawsze mógł liczyć na swój wdzięk.

- Och, pani Gough - rzekł ujmująco i objął jej szeroką talię. - Nie mieliśmy pojęcia, która jest godzina, a ja przecież tak się cieszyłem na pani pasztet z bązanta. Chyba się nie popsuje, jeśli Stride zaczeka tych kilka minut.

- Zaczeka tak długo, aż doprowadzicie się do ładu i będziecie mogli udawać przed waszą mamą, że cały czas siedzieliście w domu - prychnęła. Richard uśmiechnął się do niej promiennie i szczerze odparł:

- Tak. Przecież nie chciałyby pani, żebyśmy oberwali, prawda?

- Uciekajcie. - Popchnęła go lekko w stronę drzwi, już rozchmurzona. -

Biegnij, paniczu, i spróbuj wbić grzebień w ten twój gąszcz loków.

Wyglądasz jak mokre straszdyło. Obiad nie popsuje się,

19

jeśli odłożę go o dziesięć minut, ale pospieszcie się obydwójce.

Nie trzeba nam było tego powtarzać. Natychmiast znaleźliśmy się w swoich pokojach, umyliśmy się i przebrali, po czym zbiegliśmy do salonu kilka sekund przed Stride'em, który oznajmił, iż podano do stołu.

Pani Gough zawsze była uległa wobec Richarda. Potrafił ją oczarować jednym szelmowskim uśmiechem na uniesionej w górę twarzy. Był ulubieńcem domowej służby i wszyscy go rozpieszczali. Był również kimś więcej: jedyną nadzieją Laceyów i jedyną nadzieją Wideacre. Obydwójce byliśmy spadkobiercami tej ruiny, ale to na nim skupiały się wszystkie oczekiwania. Mimo że bardzo zubożeliśmy, Richard miał otrzymać staranne wykształcenie, po to by mógł stawić czoło zadaniom, które czekają go po powrocie ojca. Nieważne, ile miałoby to zająć czasu,

Richard odbuduje dwór i weźmie w swe ręce całą ogromną posiadłość. Wówczas w Acre pojawią się pieniądze, będzie praca dla mężczyzn i kobiet, a ten niewielki zakątek hrabstwa Sussex stanie się rajem odzyskanym. Potem Richard mnie poślubi.

Mama była przeciwna naszemu narzeczeństwu. Nigdy tego nie powiedziała, ale wyczuwaliśmy dziecięcą intuicją, że nie podoba jej się ten pomysł i nie lubi, gdy o tym mówimy. Staraliśmy się więc nie prowokować jej do wyrażania opinii, a nasze plany i złożone obietnice zachowaliśmy dla siebie.

Tylko raz powiedziała coś na ten temat. Miałam wówczas siedem lat i jeszcze kąpałam się razem z Richardem w wielkiej drewnianej wannie, którą Stride przynosił z piwnicy i ustawiał przed kominkiem. Mama wyszła z pokoju, pozwalając nam się bawić. Kiedy wróciła, byłam ubrana w białą nocną koszulę, na głowie miałam biały ręcznik, a na palcu kółko od zasłon. Golutki Richard w niewielkim turbanie na włosach odgrywał pana młodego, jego brązowe nogi i ręce połyskiwały w świetle ognia. Miałam niezwykle poważną minę.

Mama roześmiała się na ten widok, lecz gdy usłyszała, że bawimy się w ślub, zmarszczyła brwi.

- Istnieją pewne ważne powody, dla których nie możecie się pobrać. W bardzo starych arystokratycznych rodzinach, takich jak Laceyowie, było za dużo małżeństw pomiędzy kuzynami. Jesteście jeszcze zbyt mali, by to zrozumieć, ale gdy będziecie starsi, wyjaśnię wam wszystko. Niektóre cechy Laceyów powinny

20

zostać rozcieńczone świeżą krwią. Namiętność do ziemi nie zawsze

przynosiła im szczęście. Harry i Beatrice bardzo kochali swoją posiadłość, ale ich pomysły bywały szalone. Dlatego właśnie razem z Johnem uznaliśmy, że wy dwoje nie możecie się pobrać. Lepiej będzie, jeżeli wybierzecie kogoś spoza naszej rodziny; ludzi, którzy nie mają w sobie ani krwi Laceyów, ani ich słabości.

Przerwaliśmy zabawę, żeby mamie nie sprawiać przykrości, a Richard, który zdążył prawie całkiem wyschnąć, wspiął się na jej kolana, żądając pocałunków i uścisków.

- Wytrzymaj mój niezwykły znak - zażądał, więc wzięła ręcznik i delikatnie pogładziła niewielką okrągłą bliznę na jego szyi. - Teraz mi o nim opowiedz - powiedział, tuląc się do jej piersi.

Owinąwszy swe drobne, chude ciało w ręcznik, usiadłam i oparłam głowę o jej kolana. Kiedy mówiła, Richard trącał mnie bosymi stopami, jakby wystukiwał rytm opowieści. Mama opowiadała tę historię jak bajkę, używając zwykle tych samych słów.

- Zdarzyło się to, gdy byłeś maleńki, niedługo po twoich narodzinach. Razem z twym tatą byłam na probostwie u pastora Pearce'a. Czasy były ciężkie, a my we trójkę próbowaliśmy znaleźć jakiś sposób, by nakarmić mieszkańców Acre. Twoja mama wybrała się na przejażdżkę powozem razem z tobą i nianią. Nagle zauważyła, że połknąłeś dzwonek od małej srebrnej grzechotki.

Richard wydawał się całkowicie pochłonięty jej opowiadaniem.

- Popędziła do wsi, chcąc znaleźć tatę. Świetnie powoziła i oczywiście jechała bardzo szybko.

Richard przytaknął. Obydwoje znaleźmy tę historię równie dobrze jak mama.

- Wpadła do salonu z tobą w ramionach. Tata położył cię na biurku, ostrym nożem rozciął ci gardło i wyjął dzwoneczek, a ty znowu mogłeś oddychać.

Gdy skończyła, odetchnęliśmy usatysfakcjonowani. Ona jednak nie patrzyła na nas. Ponad wilgotną grzywą Richarda patrzyła w ogień, tak jakby w żarzących się czerwono polanach znowu widziała salon pastora i mężczyznę o pewnych rękach, który miał dość odwagi, by rozciąć dziecku gardło i uratować mu życie.

- To była najcudowniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. W pewnym sensie większa od cudu narodzin.

21

Zapytałam, czy zdołali nakarmić ubogich. Jej twarz stała się nieprzenikniona, a ja miałam ochotę odgryźć sobie język za karę, że przerwałam, kiedy - a zdarzało się to bardzo rzadko - opowiadała nam o dawnych czasach.

- Nie - odparła wolno. - Nie udało się. Tamten rok był bardzo trudny dla Acre.

- Czy wtedy wybuchł bunt i pożar? Dlatego że oni byli biedni?

- Tak... ale to zdarzyło się bardzo dawno temu. Poza tym powinniście już być w łóżkach.

Richard przytulił głowę do jej ramienia.

- Nie obchodzi mnie ta niedobra przeszłość. Lepiej opowiedz o tym, jak ja się urodziłem.

- Opowiem, gdy będziesz w łóżku - rzekła stanowczo i ubrała go w koszulę nocną. - Ale przedtem położę Julię.

Uśmiechnęłam się do niej. Kochałam Richarda tak bardzo, że ustępowanie

mu nie było dla mnie żadnym poświęceniem.

- Poczekam.

Moja miłość do niego była błogosławieństwem dla nas wszystkich. Dzięki niej w naszym ciasnym gospodarstwie panował spokój. Widząc, jak mój kuzyn kocha moją matkę, nigdy nie zastanawiałam się, która z nas jest dla niego ważniejsza. Z kolei uczucia mamy ogrzewały nas równo - nawet gdyby miała dziesięcioro dzieci, wszystkie czułyby się jednakowo kochane.

Nie sędzę, bym kiedykolwiek była o coś zazdrosna, aż do czasu gdy Richard skończył jedenaście lat i zaczął lekcje u pastora. Prosiłam mamę, by pozwoliła mi na nie uczęszczać, ale odmówiła. Pamiętam, jak nachmurzyłam się, gdy powiedziała, że nie ma pieniędzy, aby kształcić nas oboje.

- To niemożliwe, Julio. Wiem, jak bardzo lubisz się uczyć i jaka jesteś zdolna, kochanie. Żałuję, że nie znam łaciny - mogłabym ci dawać lekcje w domu. Lecz dla dam nauka to tylko zabawa. Dla mężczyzn, dla Richarda, jest to konieczność.

- Ale on nie chce się uczyć. Chce tylko mieć nauczyciela muzyki i lekcje śpiewu... - zaczęłam, lecz umilkłam na widok jej zmarszczonych brwi.

- Tym większa chwała mu za to, że jest gotów rozpocząć naukę. Jeśli zechce odrabiać lekcje razem z tobą, to w ten sposób wiele się nauczysz.

Nie możesz go jednak zamęczać prośbami, by

22

ci robił wykłady. John przesyła pieniądze na edukację Richarda, nie twoją. Miałam dużo szczęścia. Richard szczerze obdzielał mnie swymi pracami domowymi. Wracał do domu ze starymi podręcznikami, niegdyś

używanymi przez samego pastora, i zezwalał, bym w uroczystym milczeniu stała obok niego, podczas gdy on zmagał się z czasownikami i deklinacjami łacińskimi.

- Co za męka - mawiał niecierpliwie i podsuwał mi książki. - Masz, Julio, może ty coś z tego pojmiesz. Muszę to przetłumaczyć, a nie rozumiem ani słowa.

Drżąc z przejęcia, brałam książkę, otwierałam ją z tyłu, tam gdzie był słowniczek, i wypisywałam po kolei wszystkie słówka.

- Pokaż - wołał potem Richard i brutalnie wrywał mi swoją własność. - Chyba wiem już, co robić. - Kończył zadanie, po czym uśmiechaliśmy się do siebie z triumfem.

Mama cieszyła się widząc, że jesteśmy zadowoleni i że problem nierównego dostępu do wiedzy został tak mądrze rozwiązany. Usilnie starała się traktować nas jednakowo i sprawiedliwie, ale okoliczności ustawiały Richarda i tak na pozycji uprzywilejowanej. On po prostu więcej potrzebował. Brał najlepsze kęski mięsa i największe porcje, bo rósł szybko i stale był głodny. Dostawał nowe ubrania. Mama przerabiała dla mnie swoje sukienki, ale nie umiała szyć marynarek. Ponieważ rósł tak szybko, często kupowano mu nowe buty. I w dodatku pobierał prawdziwe lekcje. Myślę, że gdybym mniej go kochała, to odczuwałabym przykrość z tego powodu. Była jednak taka rzecz, której zazdrościłam mu dłużej niż przez moment, tylko jedna rzecz, której pragnęłam i nie umiałam tego uczucia opanować: Szeherezada.

Była klaczą Richarda, koniem od dzieciństwa obiecywanym nam przez dziadka Haveringa, uroczego łobuza i nieudacznika, który sześć razy do roku wpadał do naszego hrabstwa i odnawiał dzierżawy.

Podczas którejs z swych czerwcowych wizyt - ja miałam wówczas dwanaście, a Richard jedenaście lat - zdecydował się spełnić swą obietnicę. Dowiedziałam się o tym z listu, który przysłał do mamy. Otworzyła go w salonie, gdzie siedziałam jak zwykle na podłodze, z głową opartą o jej kolana i przez okno przyglądałam się rozkołysanym drzewom tłoczącym się wokół małego pudełka z piaskowca - naszego domu.

Czekałyśmy na

23

powrót Richarda z lekcji. Mama złamała pieczęć na liście i nagle znieruchomiała.

- Kto tam śpiewa? - spytała Stride'a. Chrząknął zakłopotany.

- To panicz Richard. Wszedł przez drzwi kuchenne i pani Gough poprosiła go, by zaśpiewał. Uwielbia jego śpiew.

Mama skinęła głową i przez chwilę słuchała w milczeniu. Czyste dźwięczne tony płynęły nieprzerwanie. Była to włoska pieśń - Richard chyba stracił już nadzieję, że nauczy mnie grać ją prawidłowo. Kiedyś od ręki stworzyłam angielską wersję tekstu i teraz Richard ją śpiewał. Jego słodki wysoki głos drgał w powietrzu. „Jeśli jest gdzieś wybraniec, niech będę nim ja” - rozbrzmiewał refren. Potem powtórzył ciszej, kornie błagając okrutnych bogów, którzy nigdy nie są sprawiedliwi wobec śmiertelników: „Jeśli jest gdzieś wybraniec, niech będę nim ja”.

Póki nie zamarło echo ostatniej nuty, siedzieliśmy nieruchomi jak posągi.

Pierwszy poruszył się Stride - przypomniał sobie o nie nakrytym stole i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- To wielki dar - odezwała się mama - Richard jest

szczęśliwcem.

- Czy wujek John wie, jaki on jest zdolny? - zawołałam. - Gdyby naprawdę zdawał sobie z tego sprawę, znalazłby pieniądze na opłacanie nauczyciela muzyki.

Mama potrząsnęła głową i rozłożyła list na kolanach.

- Muzyka to luksus niedostępny dla nas. Richard musi wstąpić na uniwersytet i uzyskać dyplom, który pozwoli mu zrobić karierę w świecie. To dużo ważniejsze niż pielęgnowanie talentu muzycznego.

- Gdyby dawał koncerty, zarobiłby tyle pieniędzy, że wujek mógłby wrócić do domu. Uśmiechnęła się.

- Oby każdego można było tak łatwo oczarować jak ciebie i panią Gough. Z pewnością od razu stalibyśmy się bogaczami. Zanim Richard dawałby koncerty, musiałby dużo ćwiczyć. Ani jego tata, ani ja nie życzylibyśmy sobie tego. Śpiewanie w salonie - owszem, ale dżentelmeni nie występują na scenie.

Zawahałam się, ale drążyłam sprawę dalej.

- Mógłby śpiewać w kościele - zaproponowałam - i ćwiczyć razem z chórem.

24

Mama ponownie odłożyła list na kolana i ujęła w dłonie moją twarz, obracając ją ku sobie. Powiedziała z naciskiem:

- Słuchaj, Julio. Kocham go bardzo, podobnie jak ty. Ale nie możemy pozwolić, by uczucia nas zaślepiały. Richard ma śliczny głos, lecz muzykę traktuje jak zabawę. Ma również talent do rysunku, a stale porzuca to zajęcie. Jest podobny do swojego wuja

- twojego taty - który też miał wiele zdolności, lecz brakowało mu wielkiego daru koncentracji. Richard nigdy nie będzie tak ciężko pracował i walczył z przeciwnościami, jak robią to wielcy muzycy. Chciałby wszystko osiągnąć bez trudu. Z was dwojga to ty więcej poświęciłaś muzyce. Ćwiczyłaś wiele godzin, bo chciałaś mu akompaniować. Zresztą, gdyby Richard naprawdę kochał muzykę, śpiewałby stale, a nie wtedy, kiedy ma ochotę.

Przyglądałam się jej badawczo. Zastanawiałam się nad tym, co powiedziała o tacie. Już dawno słyszałam, jak mówiono o nim, że bawił się w farmera, podczas gdy majątkiem zarządzała jego siostra.

Otworzyły się drzwi i wszedł Richard. Miał błyszczące oczy i zaróżowione policzki - widocznie wysłuchał w kuchni wielu pochwał.

- Podobno nawet tu było słycać mój śpiew? Stride tak mi powiedział. To niesłychane! Przecież i drzwi kuchenne, i te od salonu były zamknięte.

- Tak, Richardzie - rzekła mama, słodko się uśmiechając.

- Pięknie śpiewałeś. Chciałabym cię znowu posłuchać po obiedzie. Teraz biegnij umyć ręce, a ja przeczytam list od dziadka Julii.

Wyszliśmy razem z pokoju, więc dopiero przy obiedzie dowiedzieliśmy się, co ten list zawierał. Prawdę mówiąc, była to ostatnia rzecz, jakiej oczekiwaliśmy.

- Dostałam list z Havering - rzekła mama, gdy Stride podawał cieką zupę. - Lord Havering pisze, że ma konia, który mógłby wam odpowiadać. Richard uniósł głowę znad talerza i oczy mu nagle pojaśniały. Uśmiechnęła się do niego.

- Odpisałam, że wszyscy jutro przyjedziemy, byście go mogli wypróbować. Możesz wziąć swoje wysokie buty, Richardzie.

Odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Niestety nie mamy stroju jeździeckiego dla ciebie. Wydaje mi się, że również chciałabyś się uczyć, i nie mam pojęcia, jak to załatwić.

25

- Nie martw się, mam - powiedziałam zdławionym głosem. - Nic nie szkodzi. Richard pragnie jeździć jeszcze bardziej niż ja. Niech uczy się teraz, a ja później.

Ten drobny przejaw mojej wielkoduszności został nagrodzony tylko ciepłym uśmiechem mamy, bo przejęty Richard go nie zauważył.

- Ciociu Celio, to będzie klacz czy wałach? - dopytywał się. - Czy lord Havering pisze, ile ma lat?

- Nie - zaśmiała się - wiem tylko to, co wam powiedziałam. Musicie poczekać do jutra. Wiem jednak, iż mój ojczym jest wielkim znawcą koni i możecie być pewni, że to dobre zwierzę.

- Tak - odezwał się Richard. - Założę się, że to klacz.

- Możliwe - odparła i dała znak Stride'owi, by sprzątnął naczynia. Potem zwróciła się do mnie, pytając, co robiłam po południu, kiedy pisała listy. Gdy jej odpowiadałam, zauważyłam, że Richard wierci się jak zapchlony psiak. Przez cały obiad nie mógł spokojnie usiedzieć, nie byłam więc zdziwiona, że skoro tylko mama udała się na herbatę, odciągnął mnie na bok i powiedział:

- Julio, nie wytrzymam do jutra. Muszę zobaczyć tego konia jeszcze dziś. Chodź ze mną! Wrócimy przed kolacją.

- Ale mama powiedziała... - zaczęłam.

- Mama powiedziała... Mama powiedziała... - przedrzeźniał mnie bezlitośnie. - Idziesz ze mną czy zostajesz w domu?

Poszłam. Zawsze tak było. Nie umiałam się oderwać od Richarda, tak jak czasami człowiek nie może się uwolnić od jakiejś melodii, którą nuci. Gdy on wzywał, szłam za nim. Zawsze.

- Powinniśmy powiedzieć mamie - ociągałam się - może mnie potrzebować.

- Powiedz jej, co chcesz. - Włożył kurtkę i skierował się do kuchni.

- Zaczekaj! - zawołałam, ale już go nie było. Chwyciłam szal i wybiegłam za nim.

Stride siedział przy kuchennym stole.

- Dokąd się panicz wybiera? - zapytał. Na talerzu przed nim znajdowały się resztki obiadu, obok stał kufel piwa. Kucharka przygotowała już tacę z zastawą do podwieczorku i czajnik z wrzątkiem.

- Idziemy zaczerpnąć świeżego powietrza - odparł wyniośle. - Nie musisz nam otwierać drzwi. - Ruszył do wyjścia,

26

naśladować arogancję dziadka Haveringa tak dobrze, jak tylko mógł to uczynić jedenastoletek.

Poszłam za nim. Po drodze zerknęłam na Stride'a. Potrząsnął głową z dezaprobatą, ale nic nie powiedział.

Na dworze zapomniałam o moich wahaniach. Ziemia rzuciła na mnie swoje czary.

Kiedyś, gdy miałam siedem lat, mama przyjęła do pracy artystę - pewnego ubogiego wędrownego malarza. Chciała, żeby namalował ładną scenkę salonową: dwoje dzieci na sofie pokrytej błękitnym aksamitem. Ta sofa była jedynym cennym meblem w naszym paradnym pokoju. Wyobrażam sobie, o jaki obraz jej chodziło: Richard i ja z szeroko otwartymi oczami i

uroczystymi minami siedzący sztywno obok siebie. Już wówczas, jako mała dziewczynka, pozowałam do takiego obrazka wyłącznie ze względu na mamę.

Malarz jednak okazał się człowiekiem niezwykle spostrzegawczym. Zanim zaczął wykonywać szkice, poprosił, byśmy razem z Richardem pokazali mu całą posiadłość. Wędrował z nami po lesie, przyglądał się nam, gdy przemykaliśmy pod drzewami cicho jak jelenie, widział, że ptaki na gałęziach nie drgnęły, nawet gdy byliśmy w pobliżu. Zrozumiał, jak jesteśmy zrośnięci z Wideacre. Czuł, że my dwoje i ta ziemia to jakiś niezniszczalny trójkąt pełen pragnienia, miłości i tęsknoty.

W końcu namalował swój obraz w lesie, a mama oprawiła go i powiesiła nad kominkiem. Przedstawia mnie i Richarda pod ogromnym kasztanowcem. Ja - mała dziewczynka w perkalowej sukience w gałązki, przewiązanej niebieską szarfą - mam rozpuszczone włosy, które w blasku słońca wyglądają jak złote, i jestem bez kapelusza. Jak zwykle w maju drzewo obsypane jest kwiatami, a ich szkarłatne jak krew płatki tworzą dookoła mnie prawdziwe zaspę. Richard stoi obok w bohaterskiej pozie, doskonale świadomy wrażenia, jakie wywiera, i patrzy na mnie. Mam mglistoszarze oczy i spoglądam w dal. Za plecami malarza, gdzieś w oddali, widzę świat niepodobny do bezpiecznego domu mojego dzieciństwa.

Richard ustawił się jak mały rycerz. Zawsze potrafił być taki, jakim chcieli go widzieć ludzie. Mama życzyła sobie konwencjonalnego obrazka, więc stanął za mną wyprostowany i z jedną ręką opartą na biodrze. Ja natomiast spoglądam na osobkę zwariowaną, dziką i rozmarzoną. Bliskość krwistoczerwonego

kasztanowca wydobyła tę część mojej natury i nic na to nie mogłam poradzić.

Czasem, kiedy siedziałam w domu haftując lub głośno czytając, odczuwałam jakby szum w głowie i wówczas bardzo pragnęłam wybiec na pole lub do lasu. Robótka czy książka spadała na kolana, a ja opierałam czoło o zimną szybę i patrzyłam w dal. Byłam wtedy daleko od domu, nędznego, wyświechtanego szlactwa, zmartwień, pozorów i przerabianych sukien. Byłam daleko od Wideacre i marzyłam, by tu wrócić i gospodarować.

Mamę martwiły te moje ucieczki. Wcześniej je zauważyła i próbowała, czy to miłością, czy też wytrwałym łagodnym naciskiem, uczynić ze mnie dziecko swych wyobrażeń. Dziecko, które siedziałoby spokojnie, nie brudziło ubrań, chętnie przebywało w domu i nie podniecało się, gdy czuło wiatr ze Wzgórz Południowych.

Nie udało się jej. Kiedy ziemię pokrywał delikatny biały szron, kiedy wiały wiosenne wiatry, po prostu nie mogłam wytrzymać w domu.

Musiałam wyjść. Powstrzymywał mnie jedynie zmartwiony wyraz jej twarzy.

- Julio, wiem, że pragniesz wyjść - powiedziała kiedyś łagodnie. - Ale młode damy nie zawsze mogą robić to, na co mają ochotę. Tutaj leży twój haft, którego w tym tygodniu nawet nie tknęłaś. Jest też parę rzeczy do pocerowania. Po południu możesz trochę pospacerować.

- Nie chcę iść na spacer, mamó - jęknęłam. Niedaleko w lesie, tuż za zamkniętymi drzwiami kusząco rozbrzmiewał śpiew ptaków. - Po prostu chcę tam być. Wiosna już przyszła, a ja jej jeszcze nie widziałam. Byłam

tylko w ogrodzie i w lesie, nie widziałam ani pól, ani wzgórz. Na pewno wyrosły paprocie i pojawiły się wiosenne kwiaty. - Przerwałam, bo dostrzegłam, że patrzy na mnie dziwnie, jakby nic nie rozumiała. Patrzyła ze smutkiem, a moja miłość do rodzinnych stron wyraźnie ją niepokoiła. - Wiem - odparła i położyła dłoń na moim ramieniu. - Wiem, że kochasz tę ziemię. Lecz to nieszczęśliwa miłość. Lepiej kochać Boga i ludzi, którzy kochają ciebie. Miłość do ziemi daje mało radości i czasem przynosi wiele bólu.

Kiwnęłam głową i próbowałam sprawiać wrażenie posłusznej córeczki. Spuściłam oczy, nie chcąc, by malujący się w nich sprzeciw ranił jej zdrowy rozsądek. Nic nie mogłam poradzić na to, że

28

kochałam te strony, podobnie jak na to, że kochałam Richarda. Ani nie mogłam, ani nie chciałam uwolnić się od tych uczuć.

Wiedziałam jednak, że mama ma rację. Ta miłość była nie odwzajemniona. Kiedy patrzyłam na zachwaszczone pola i łąki, które porastały wysoko, bo nie wypasano na nich zwierząt i nie koszono siana, uświadamiałam sobie, że miłość do ziemi nie ma żadnej wartości, jeśli brakuje pieniędzy i wspierającej je wiedzy. Kiedy płakałam przez Richarda, wydawało mi się, że uczucie do niego też było nieszczęśliwe, bo przynosiło więcej bólu niż radości.

Ale nie było innego miejsca niż Wideacre.

Nie było nikogo prócz Richarda.

Dlatego szłam zawsze, gdy mnie wzywał. Nawet wtedy kiedy wiedziałam, że nie powinnam. On zaś był tak tego pewny, tak przekonany o mej miłości, że pędził traktem, nie oglądając się za siebie, i wiedział, że zaraz

usłyszy za plecami stuk moich butów.

Droga do dworu Havering dłużyła się, mimo że szliśmy na skróty, a nawet przeszliśmy w bród przez Fenny. Zdyszani i spoceni dotarliśmy do stajni i zobaczyliśmy, że dziadek robi właśnie przegląd swych koni.

- Wielki Boże! - zawołał tubalnym głosem. - Popatrz, Dench, kogo wiatr przywiał w nasze strony.

Główny stajenny Haveringów zerknął na nas ponad drzwiami jednego z boksów i uśmiechnął się.

- Przyszliście zobaczyć nową klaczkę? - zapytał cicho. Przeciągał nieco wyrazy, jak wszyscy mieszkańcy Sussex.

- Tak, jeśli można - odparł rozpromieniony Richard. Patrząc na niego, można by pomyśleć, że jest całkowicie niezdolny do nieposłuszeństwa. - Ciocia powiedziała mi o tym przy kolacji i ze wstydem przyznaję, lordzie Havering, że nie mogłem czekać do jutra.

Mój dziadek uśmiechnął się do swego ulubieńca z pobłażaniem.

- Wyprowadź ją - polecił Denchowi, a potem nachylił się do mnie. - A ty? Mała panienka Julia jak zwykle przyszła za Richardem, co?

Zaczerwieniłam się i nic nie odpowiedziałam. Brakowało mi tej swobody, którą w towarzystwie dorosłych miał Richard. Chciałam wyjaśnić, że przyszłam, by również zobaczyć konia. Chciałam się przejechać z jednego końca majątku do drugiego.

29

Chciałam wreszcie wytłumaczyć, że to nie Richard sprawił, iż tu jestem. Nie zdołałam jednak nic powiedzieć. Spuściwszy oczy, zaczęłam szurać nogami i wyglądałam bardzo głupio.

Dench przyprowadził klacz. Była ślicznym zwierzęciem, wspaniałą

brunatną kasztanką. Jej ogon i grzywa były nieco ciemniejsze - barwą przypominały matową miedź. Miała białą łatkę na nosie i ciemnobrązowe oczy. Dench trzymał ją mocno za uprząż, ona zaś stała spokojnie i patrzyła na nas.

Jej oczy, ciepłe niby stopiona czekolada, zdawały się zachęcać, bym podeszła do niej, więc nie czekając ani chwili, przemknęłam obok dziadka, minęłam Richarda i wyciągnęłam do niej rękę.

Zarżała cicho i schyliła głowę do mej kieszeni. Nie miałam tam nic, ale Dench sięgnął do swych luźnych bryczesów i podsunął mi garść owsa. Ostrożnie i delikatnie dotknęła wargami mojej dłoni, tak jakby uważała, by nie przygryźć cienkich palców. Nieśmiało wysunęłam drugą rękę i podrapałam ją za uszami, tam gdzie klacze zwykle dotykają źrebiąt. Prychnęła lekko i zaczęła obwąchiwać przód mej sukienki. Niewiele myśląc, pochyliłam się i zaczęłam wciągać w nozdrza jej wilgotny, pachnący owsem oddech. Była to moja miłość od pierwszego wejrzenia.

- Pospiesz się, Richardzie, bo stracisz swego konia - odezwał się dziadek, który przyglądał mi się z uznaniem. - Twoja kuzynka wyprzedziła cię. Wydaje mi się, moja droga, że odziedziczyłaś po Laceyach rękę do koni. Twoja ciotka Beatrice umiała oczarować nawet dzikiego konia, a twój ojciec był wspaniałym jeźdźcem. Z kolei twój dziadek parę razy urządził sobie ze mną wyścigi, po których do dziś śnią mi się koszmary. Laceyowie zawsze byli zwariowani na punkcie koni.

Odsunęłam się, by Richard mógł podejść do klaczy.

- Jak ma na imię? - zapytałam, odzyskawszy nareszcie głos.

- Szeherezada. - Ton dziadka wyrażał najgłębsze zadowolenie. - Ale ja mówię na nią Sally.

- Szeherezada - szepnęłam - arabska księżniczka z Baśni z tysiąca i jednej nocy.

- Ma chyba w sobie kroplę krwi arabskiej - rzekł dziadek, który nie usłyszał dokładnie mego bojaźliwego mamrotania. - W każdym razie jest to dobra rasa. Sam ją wybrałem na wyprzedazy u starego ubogiego Tileya. Jeździła na niej jego córka,

30

więc jest przyzwyczajona do nowicjuszy. Przywykła też do damskiego siodła - powiedział i nagle tknęła go jakaś myśl. - Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, bym ciebie również uczył jazdy, moja droga.

- Julia nie ma amazonki - odezwał się zdecydowanie Richard. Usiłował właśnie podać Szeherezadzie kilka zielonych jabłek, które zerwał w naszym sadzie. Trzymał je w wyciągniętych dłoniach. - Mama nie pozwoli jej jeździć bez odpowiedniego kostiumu.

- Hm. Szkoda. Gdybyś jednak chciała spróbować, może udałoby się nam znaleźć jakiś strój dla ciebie, panienko.

Richard rzucił mi spojrzenie. Tylko jedno.

- Nie - odparłam z żalem. - Nie, dziękuję, dziadku.

Nie wykrztusiłam już ani słowa. Nie potrafiłam szybko znaleźć jakiegoś usprawiedliwienia czy wyjaśnienia. Dziadek jednak nie pytał, czemu zlekceważyłam jego ofertę. Uniósł tylko brwi, podszedł do Richarda i pięknej klaczy, przytrzymał ją za głowę, podczas gdy Dench pomagał chłopcu wsiąść.

- No, jak? - zawołał dziadek, oprowadzając go po dziedzińcu. Richard

mocno przywarł do miedzianej grzywy. Szeherezada drobila po bruku.

- Cudownie! - odkrzyknął, ale twarz miał bladą.

Pewnie odbyłby swoją pierwszą lekcję, gdyby nie to, że podczas drugiej rundy dookoła dziedzińca dziadek spojrzal na zegar wiszący na budynku stadniny.

- Wasza mama będzie na mnie wściekla - rzekł ponuro. - Dench, wyciągnij powóz i zawieź tę dwójkę do domu. Nie powinni tu przychodzić bez pozwolenia. Jeśli nie wrócą do Dower House przed zmierzchem, Celia obedrze mnie żywcem ze skóry.

Dench bezceremonialnie ściągnął Richarda z konia i zaprowadził Szeherezadę do stajni. Poszłam za nimi. Nie chciałam się z nią jeszcze rozstawać, chciałam też zobaczyć stajnię, poczuć zapach słomy i słodką woń siana.

- A kiedy panienka zacznie się uczyć? - spytał Dench. Brązowe oczy błyszczały mu ciekawością. Widział wyraz mej twarzy, gdy Szeherezada jadła mi z ręki, i widział, jak ona chętnie poddawała się pieszczotom.

- Gdy nauczy się Richard - odparłam. Wiedziałam, że uzna on klacz za swoją własność. Wiedziałam również, że jeśli nie

31

rzucę mu wyzwania i spokojnie poczekam na swoją kolej, będzie najbardziej szczodrym i troskliwym chłopcem na świecie. Zawsze mieliśmy wspólne zabawki i jeśli szybko je zwracałam, dając mu pierwszeństwo, nigdy się nie kłóciliśmy. Richard pozwoli mi jeździć na Szeherezadzie, ile zechcę, pod warunkiem że oboje będziemy wiedzieli, że to jego koń.

Dench zakładał uprzęż do powozu na konia, który stał w następnym

boksie.

- Najpierw panicz Richard... co? - Rzucił na mnie okiem. - Nie przeszkadza to panience?

- O, nie - odrzekłam i obdarzyłam go uśmiechem równie niewinnym jak moje myśli. - Chcę, żeby jeździł. Czekałam na to od wielu miesięcy.

Dench mruknął coś pod nosem, pewnie do konia. Później wyprowadził go ze stajni i wycofał prosto do dyszla od dwukółki. Usiedliśmy obok niego na małej ławeczce, a dziadek pomachał nam na pożegnanie cygarem.

- Do jutra! - zawołał wesoło. - I pamiętajcie, żeby się jakoś wytłumaczyć przed mamą!

Nie musieliśmy nic mówić. Mama od razu zgadła, dokąd poszliśmy. Gdy powóz wjechał przez bramę ogrodową, siedziała sama przy kolacji. Stał przed nią talerz z grzankami i mała miseczka peklowanego mięsa. Nawet nie podniosła oczu znad posmarowanej masłem grzanki, gdy wsunęliśmy się do pokoju.

- Wasza kolacja jest w kuchni - rzekła zimno. - Dzieci, które wymykają się jak chłopcy stajenni, powinny jadać w kuchni.

Nie mieliśmy nic do powiedzenia. Nisko dygnęłam - miał to być gest pojednania - i cicho wycofałam się z pokoju. Richard zbliżył się do mamy i położył obok jej talerza czerwoną różę, najwyraźniej skradzioną z ogrodu w Havering.

Jej twarz natychmiast się rozpogodziła.

- Och, Richardzie - rzekła czule - jesteś taki niegrzeczny. Idź zjeść kolację, wykąp się i marsz do łóżka, bo jeśli nie, to jutro nie będzie żadnych przejażdżek.

Odetchnęłam z ulgą. Wybaczyła nam. Tej nocy zasypiałam spokojnie,

szczęśliwa, że pod tym samym dachem śpi dwoje ludzi, których najbardziej na świecie kocham, i żadne z nich nie jest na mnie obrażone.

32

- Dostaniesz amazonkę - szepnęła mama, gdy całowała mnie na dobranoc.

- Poszukam starej sukienki mojej siostry albo uszyję ci nową.

- Będziesz się uczyła jeździć - obiecał Richard, idąc na górę do sypialni. -

Gdy tylko sam się nauczę, będę ci dawał lekcje.

- Dziękuję ci - odwróciłam twarz w jego stronę, by mógł mnie pocałować.

Tym razem, zamiast symbolicznego cmoknięcia w policzek, poczułam delikatny pocałunek w usta.

- Kochana Julia - rzekł ze słodyczą, a ja wiedziałam, że zauważył i docenił fakt, iż nie chciałam lekcji od dziadka. Zostałam nagrodzona po stokroć, bo przecież najbardziej na świecie ceniłam sobie jego miłość.

ROZDZIAŁ Drugi.

Długo oczekiwana pierwsza lekcja jazdy była nudna dla dziadka, a upokarzająca dla Richarda. Dla mnie były to dwie godziny męczarni. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego wszystko idzie tak źle.

Richard szykował się do jazdy na dziedzińcu stadniny. W jasnych promieniach sierpniowego słońca widziałam jego bladą twarz usianą świecącymi plamami piegów; niebieskie oczy błyszczały jak wypolerowane kryształy. Uznałam, że to z ekscytacji, że podnieca go perspektywa pierwszej prawdziwej przejażdżki na własnym koniu.

Szeherezada wiedziała lepiej. Nie mogła ustać spokojnie, gdy wkładał nogę w strzemię. Kręciła się nerwowo, jej kopyta ślizgały się po bruku.

Parskała i szarpała wędzidło, kiedy Dench złapał za uprząż, by ją uspokoić. Richard z jedną stopą w strzemieniu, a drugą na ziemi podskakiwał bezradnie i próbował na nią wskoczyć.

Dziadek syknął ze złością i krzyknął:

- Dench, podsadź panicza!

Ten szybko podłożył splecione dłonie pod nogę Richarda i podrzucił go niedbale jak worek z mąką.

Dziadek wsiadł na swego konia, pięknego jabłkowitego wałacha, który idealnie spokojny, wyglądał jak marmurowy pomnik na tle zielonego padoku i wspaniałych drzew lasu Wideacre.

- Pamiętaj: ona ma delikatne wargi - upomniał Richarda. - Trzymaj lejce tak, jakby to były jedwabne wstążki. Nie możesz za mocno ściągać cugli, bo ją pokaleczysz. Są tylko po to, by jej przypominać, czego chce jeździec. Nie ciągnij, mówię! - krzyknął,

34

bo szarpnięta przez Richarda Szeherezada nerwowo uskoczyła w bok. Dench bez słowa wyciągnął dłoń i złapał klacz ponad wędzidłem. Patrzyłam na to z zapartym tchem. Nigdy przedtem nie widziałam początkującego jeźdźca i uważałam, że Richard wygląda wspaniale, jak prawdziwy myśliwy, jak waleczny rycerz króla Artura. Wpatrywałam się w niego wzrokiem pełnym uwielbienia. Richard nie mógł przecież robić nic niewłaściwego, a gdy siedział na Szeherezadzie, był dla mnie półbogiem.

- Jedziemy na padok - odezwał się dziadek. Jego głos brzmiał uszczypliwie.

Dench wyprowadził Szeherezadę, mocno trzymając cugle prawą ręką.

Kiedy mnie mijał, mówił coś do napiętej i niespokojnej klaczy. Niepewnie uczepony jej grzbietu Richard samym dotykiem denerwował konia.

Odczekałam chwilę, aż znaleźli się kilka kroków przede mną, dopiero potem ruszyłam za nimi. Nie chciałam, by moje kroki spłoszyły

Szeherezadę. Tak bardzo pragnęłam, by ta pierwsza lekcja jazdy wypadła doskonale.

Wypadła jednak źle.

Siadłam na rozklekotanym płocie i patrzyłam, jak dziadek pewnie zakreśla na swym koniu pętle i koła. Potem zawołał Richarda, by podążał za nim.

Szeherezada nie ruszyła się z miejsca. Dench puścił ją. Uniosła głowę tak, jakby dłonie Richarda ciążyły jej na lejcach. Gdy nacisnął nogami jej boki, uskoczyła niespokojnie. Kiedy dotknął, naprawdę tylko dotknął ją batem, cofnęła się ze wściekłością, a twarz Richarda dotąd blada, spurpurowiała.

Był strasznie zirytowany. Klacz nie reagowała na rozkazy.

Dziadek lekko ściągnął wodze swego konia i wydawał polecenia:

- Postępuj z nią delikatnie! Nie dotykaj pyska! Naciskaj nogami, ale nie kop! Nie! Nie tak! Rozluźnij ręce! Usiądź głębiej w siodle! Bądź bardziej zdecydowany! Powiedz jej, czego chcesz! Ach, do ciężkiej cholery!

Zeskoczył z konia i ciągnąc go za sobą, wielkimi susami pognał w stronę Richarda. Rzucił lejce Denchowi, który stał ze stoickim spokojem. Potem ściągnął chłopca z konia, tak jak rozzłoszczony sadownik zdejmuje wiejskiego dzieciaka ze swej jabłonki, i z młodzieńczą werwą wskoczył na siodło.

35

- Posłuchaj, Sally, moja dziewczynko - powiedział głosem nieoczekiwanie ciepłym i czułym - nie zgadzam się na to!

Uszy klaczy, które przedtem płasko przylegały do głowy, czyniąc ją brzydką i kościstą, nagle znowu się wyprostowały. Oczy zabłyśły, zniknęły z nich białe obwódki.

- Teraz ty, Richardzie - mówił dziadek dalej. - Mówiłem ci już na dziedzińcu, że gdy ciągniesz lejce, podajesz komendę „stój” albo „do tyłu”.

Ledwo dostrzegalnym ruchem uniósł ręce i Szeherezada ruszyła przed siebie. Cofnął lekko łokcie - zatrzymała się od razu, gdy poczuła napięcie cugli. Przyciągnął je nieco mocniej, a klacz wdzięcznym ruchem tancerki, stawiając kopyta jedno za drugim, zrobiła trzy lub cztery kroki do tyłu.

- Naciskając ją nogami dajesz rozkaz „naprzód”. - Dziadek opuścił ręce, napiął mięśnie i Szeherezada miękko i elegancko ruszyła do przodu.

Lśniąc w blasku słońca, płynęła nad ziemią jak miedziana fala.

Splotłam dłonie pod brodą i wodziłam za nią wzrokiem. Byłam chora z miłości. Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego.

- Jeżeli najpierw każesz jej się zatrzymać, a zaraz potem ruszyć, to ogłupiasz ją kompletnie - ciągnął dalej dziadek, robiąc niewielkie koło. - Ona czuje, że każesz jej się zatrzymać, a jednocześnie dajesz znak, by szła, i to ją denerwuje. Zwierzętom trzeba wszystko jasno komunikować.

Ludziom zresztą też! - Uśmiechnął się i na moment oderwał wzrok od klaczy. - Ona się bardzo pięknie porusza, ale wymaga delikatności. Usiądź głębiej w siodle, to poczujesz ją lepiej. Mów jej wyraźnie, czego chcesz.

Jeśli będziesz ją dobrze traktował, zrobi dla ciebie wszystko.

Jechał coraz wolniej, wreszcie zatrzymał się obok Richarda i zsunął się z siodła.

- Wsiadaj, zuchu - odezwał się miękko. - Ona wie, co

robić. Ty musisz się tego nauczyć.

Pomógł mu wsiąść. Richard wsunął jedną stopę w strzemię, ale nie mógł odnaleźć drugiego. Machał nogą, usiłując trafić w metalową pętlę.

Szeherezada odskoczyła w bok i zderzyła się z dziadkiem.

- Spokój! - wrzasnął na konia i jeźdźca. - Oboje musicie się nauczyć opanowania. Jesteście spięci jak dwie za mocno naciągnięte struny skrzypiec. Co się u diabła dzieje z twoim strzemieniem?

36

- Nic, proszę pana - odparł Richard cienkim głosem. Były to pierwsze słowa, które wypowiedział, odkąd wsiadł na konia. Ze zdumieniem zdałam sobie sprawę, że jego głos jest zdławiony i pobrzmiwa w nim strach.

- Z początku nie mogłem go znaleźć, ale już trafiłem.

- Więc naucz się tak je znajdować, by nie trącać nogą Szeherezady. Nie dręcz jej. Masz ją głaskać, nie kopać.

Wyrwał swe lejce z rąk Dencha i wymienił z nim spojrzenie, którego znaczenia nie rozumiałam. Dench odwrócił się i podszedł do mnie, a jego twarz miała tyle wyrazu co kawałek kredy.

- Teraz - rzekł dziadek, usadowiwszy się na swym koniu - ruszaj w moim kierunku.

Richard sztywnym ruchem opuścił ręce i Szeherezada zaczęła się posuwać drobnymi kroczkami. Szła tak, jakby się obawiała, że ziemia jest pusta w środku i może się zarwać pod jej kopytami. Obserwując jej niepewne ruchy, zdałam sobie sprawę, że wciąż jest niespokojna. Musiałam być równie napięta jak ona, bo dłonie, o które opierałam brodę, zacisnęłam w pięści.

Nie lubiła Richarda.

Dlatego właśnie Dench i dziadek tak na siebie spojrzeli. Dlatego Szeherezada tak gniewnie reagowała na jego obecność. Dlatego Richard niezgrabnie siedział w siodle i miał bladą twarz. Było w nim coś, co drażniło zwierzę, coś, co powodowało, że zachowywała się jak kot głaskany pod włos. Po prostu buchała niechęcią. Była niespokojna, a ja czułam zapach jej potu, wyostrzony przez lęk.

Nie mogłam dłużej na to patrzeć. Kiedy Richard zatrzymał ją krótkim szturchnięciem w pysk i dziadek wychylił się z siodła, by poprawić mu lejce, aż drgnęłam ze współczucia. Kiedy Szeherezada ruszyła w ślad za dziadkiem, a Richard siedział na niej tak sztywno i niezgrabnie, jakby powoził furmanką, czułam, że kulę ramiona. Tak strasznie pragnęłam, by się uspokoił i głębiej wcisnął w siodło.

Widok był nie do zniesienia. Z twarzy Richarda znikły wypieki, pobladł, a oczy mu się zwężyły. Przestał wyglądać jak księżę z bajki.

Zsunęłam się z płotu, uważając, by nie zaczepić muślinową sukienką o jakąś drzazgę, i pobiegłam do domu, do salonu - miejsca, w którym powinny przebywać damy.

O tym, że lekcja jazdy nie była sukcesem, wiedziałam tylko dlatego, że widziałam to na własne oczy. Richard nigdy by mi nie

37

powiedział. Wrócił do domu, umył się i przebrał, a potem promiennie uśmiechnięty tak swobodnie odpowiadał na pytania mamy, że ta uznała, iż jest zachwycony nowym wierzchowcem. Ja zaś pomyślałam, że widocznie szło mu dużo lepiej, gdy już opuściłam moje stanowisko na płocie.

- Ma ciężką rękę - oto co mama usłyszała od dziadka. - Ale przecież ma

jeździectwo we krwi i powinien sobie z tym dawać radę. Harry Lacey - stary dziedzic, też miał ręce jak baranie kotlety. Śmialiśmy się z tego! Nigdy bym mu nie pozwolił dotknąć mego konia. Tymczasem to on nauczył jeździć Beatrice i Harry'ego. A Beatrice miała najlepsze ręce, jakie kiedykolwiek widziałem w tym kraju. - Przerwał i uśmiechnął się, jakby na wyblakłej tapecie salonu widział rudą dziewczynkę, która umiała czarować dzikie konie. - Ona była prawdziwym jeźdźcem! Dziwię się, że jej syn jest taki niezdarny.

Zerknął na Richarda. Ten, mimo że pogrążony w rozmowie z babcią, wyteżał słuch, chcąc dosłyszeć, o czym mówią. - Przyzwyczai się - dodał dziadek.

Nie przyzwyczaił się jednak. Dziadek dał mu mnóstwo lekcji w Havering Hall, jeździli też po lasach i pastwiskach. Richard nie umiał się swobodnie zachowywać wobec Szeherezady. Siedział na jej grzbiecie tak sztywno, jakby była hubką i krzesiwem jednocześnie i mogła się za chwilę zapalić. On i klacz po prostu nie umieli ze sobą współpracować.

Widziałam to i dziwiłam się, lecz nie mogłam o tym mówić. Za to dziadek był brutalnie szczery.

- Szkocka krew - rzekł do mamy.

Obie byłyśmy w ogrodzie na tyłach Dower House, gdy mężczyźni nadjechali od strony dworu. Dziadek orzekł, że Richard może trzymać konia u siebie i jeździć bez nadzoru, kiedy tylko zechce. Zmęczyło go już nauczanie Richarda i z ulgą powierzał to niewdzięczne zadanie albo naszemu stajennemu Jemowi, albo Denchowi z Havering. Uznał też, że zbyt długo siedział na wsi.

- Szkocka krew - powtórzył złowieszczo. - Jego ojciec, John MacAndrew,

jeździł nieźle, przyznaję, ale Szkoci nie są nacją kawalerzystów. Nie mają konnicy, przeklęte dzikusy. Brakuje im tradycji hodowli, moja droga. Richard jest po kądzieli Laceyem, a między Laceyami nigdy nie było takiego, który nie czułby się w siodle jak we własnym domu. On zaś nie ma ani serca, ani rąk do jazdy. Jest przeciętnym jeźdźcem, może będzie

38

sobie jako tako dawał radę na koniu, ale nigdy nie dorówna swojej matce, której dusza niech spoczywa w pokoju!

- Wcale tego nie żałuję - odparła cicho mama, obserwując Richarda, który kłusował po sadzie. Szeherezada biegła miękko i pewnie, ale jej uszy czujnie drgały. - Przyjemnie było oglądać Beatrice na polowaniu, ale to ujeżdżanie koni przerażało rodzinę. Poza tym nie mogę zapomnieć o tym, że jej ojciec zginął, spadłszy z konia.

- Gadasz głupstwa, Celio - zachnął się dziadek. - Na grzbiecie konia jesteś bardziej bezpieczna niż na tych twoich przeklętych schodach bez dywanu. Masz jednak to, czego chciałaś. Chłopak nigdy nie będzie zapalonym jeźdźcem, choć zrobiłem dla niego, co mogłem. Dałem mu pierwsze lekcje i zapłaciłem za utrzymanie konia.

- Tak - powiedziała z wdzięcznością. - Oboje ci dziękujemy.

Skinął głową i wypuścił w powietrze idealne kółko dymu.

- A co z małą panienką? - zapytał. Stałam plecami do nich przy ogrodzeniu sadu.

- Poczekamy, aż będzie starsza. Nie ma amazonki, nie mamy też damskiego siodła.

Dziadek lekceważąco machnął ręką.

- Znajdźcie coś - rzekł.

Mimo że mama zniżyła głos do szeptu, słyszałam ją.

- Julia chowała się zbyt dziko i swobodnie. Ma już dwanaście lat i najpierw musi się uczyć, jak być młodą damą, a dopiero potem zacząć jeździć. Wolę, żeby więcej czasu spędzała ze mną w domu.

Nie odezwałam się. Nawet nie odwróciłam głowy. Wiedziałam, że się czerwienię, i czułam ból w miejscu, gdzie głucho kołatało moje serce. Nie będę mogła jeździć na Szeherezadzie, chyba że dziadek będzie nalegał. Jeśli nie będzie powtarzał, że muszę się uczyć jazdy, bo nazywam się Lacey i konie mam we krwi, zostanę uwięziona w salonie. Wówczas jedyną moją radością będzie przyglądanie się, jak Richard coraz pewniej dosiada Szeherezady. Oczywiście cieszyłam się ze względu na niego, ale w głębi mej duszy zaczynała się tlić iskierka buntu.

„To niesprawiedliwe, mamó. Niesprawiedliwe” - myślałam.

- Jak chcesz - rzekł dziadek. Zapadła decyzja - na moją niekorzyść.

39

Straciłam szansę zostania jeźdźcem i musiałam teraz czekać na łaskawy gest Richarda.

Lato z wolna ustępowało jesieni i właśnie wtedy zaczęło się dziać coś strasznego. Głos Richarda zmienił się. Z początku traktował ten fakt jako nową zabawę. Czasem głos brzmiał czysto i wysoko jak dawniej, czasem znowu nisko i ochryple.

Pewnego razu Richard urządził w salonie widowisko, coś w rodzaju przedstawienia teatralnego na motywach powieści „Poczwara, czyli przygody gwinei”. Opowiedział nam o przygodach motyla. Kiedy odgrywał motylka, mówił wysoko i piskliwie, kiedy naśladował zbójców, z którymi jego mały bohater zmagął się w czasie wędrówki przez Londyn,

grzmiał prawie basem. Ja mu akompaniowałam, wygrywając na fortepianie fanfary, kiedy motyla przyjmowano na dworze królewskim, a mama uśmieła się do łez.

Przestała się śmiać, gdy odkryła, skąd znaleźliśmy tę powieść. Richard wypożyczył ją u babci Havering. Na rewersie było moje nazwisko, a przecież czytanie powieści mogło naruszyć moje morale. Cała wina spadła na mnie, Richardowi zaś przypadły pochwały za dowcip i wyobraźnię. Wykorzystał swój zdumiewający nowy głos, ale chyba nie przypuszczał, że jego brzmienie zmieniło się już na zawsze.

Nie zawsze był go w stanie kontrolować. Czasem nagle w połowie zdania zaczynał mówić falsetem, to znowu zaczynał chrypieć. Przestało go to śmieszyć i warczał na mnie, kiedy chichotałam.

Najgorsze nastąpiło nieco później. Śpiewał kiedyś prostą piosenkę, a ja grałam rytmiczny akompaniament. W pewnym momencie głos mu się załamał.

Richard zmarszczył lekko brwi, jakby wydarzyło się coś równie drobnego i niewartego uwagi, jak na przykład wypuszczenie z ręki klamki od drzwi.

- Zagraj jeszcze raz, Julio - powiedział - to tylko ten mój głupi głos...

Zagrałam, ale moje palce już utraciły swobodę. Mimo że wystukałam mnóstwo fałszywych nut, Richard nie powiedział jednego złego słowa. Próbowaliśmy trzy razy, mój akompaniament brzmiał coraz gorzej, a on wciąż nie mógł wyciągnąć nuty, choć było to tylko wysokie G. Popatrzył na mnie z zakłopotaniem,

potem odwrócił głowę i przez okno spojrział na szare niebo i gęste chmury.

- Skończyło się - rzekł bardzo zmieszany - już nie mogę śpiewać.

Wolno, krokiem cięższym niż zwykle, wyszedł z pokoju. Gdy wspinał się po schodach do sypialni, jeszcze było słychać, jak próbuje wyśpiewać tę nieszczęsną frazę. Za każdym razem głos mu drżał i łamał się na wysokim G; utracił swą niewiarygodną wysokość. Niezwykły dar został Richardowi odebrany.

Po obiedzie, gdy razem siedzieliśmy w salonie, powiedział mi na ucho:

- Musimy znowu spróbować tej piosenki. Wiesz, tej, którą śpiewaliśmy rano. Miałem wtedy chrypkę i dlatego nie mogłem trafić w nutę. Teraz już mogę śpiewać.

Przyniosłam partyturę i ustawiłam ją na fortepianie. Wstęp zagrałam okropnie, a arpeggio, które powinno spływać perlistą kaskadą, zabrzmiało ciężko i niepewnie.

- Ach, Julio. - Mama zmarszczyła brwi, potem odwróciła się i uśmiechnęła do Richarda.

Ten siedział na ławeczce w wykuszu, przyglądał się drzewom za oknem i wyglądał jak czarnowłosy cherubin. Wciągnął w płuca powietrze, by rozpocząć śpiew, a ja nareszcie uderzyłam we właściwe klawisze.

Zaśpiewał fałszywie.

Przerwał natychmiast i spróbował po raz drugi.

Ręce zsunęły mi się z klawiszy. Nie wiedziałam, co powiedzieć, co zrobić.

Przez sekundę jego śliczny głos brzmiał czysto, potem zadrżał, załamał się, a później było już po wszystkim. Richard, kompletnie oszołomiony, popatrzył najpierw na mnie, potem na mamę.

- Przechodzisz mutację - powiedziała mama z uśmiechem. - Stajesz się mężczyzną.

Patrzył na nią tak, jakby jej nie rozumiał.

- To stało się dość wcześnie - dodała. - Masz dopiero jedenaście lat. Ale głos się zmienił i to oznacza, że nie będziesz już mógł śpiewać sopranem.

- Czyjego głos się obniży? - zapytałam. Nigdy nie myślałam o czymś takim. Srebrzysty głos Richarda wydawał mi się częścią jego samego. Nie potrafiłam go sobie wyobrazić bez tego głosu. Zdumiony wyraz jego twarzy mówił, że on także.

41

- Oczywiście - uśmiechnęła się mama. - Jakiż by z niego był mężczyzna, gdyby całe życie miał głos małego chórzysty?

- Ale co będę teraz śpiewał? - zapytał Richard, który wyglądał, jakby miał się za chwilę rozplakać. Policzki mu poczerwieniały, pociemniały oczy. - Co będę śpiewał?

- Partie tenorów - odpowiedziała spokojnie. - Sopranem tego domu będzie teraz Julia.

- Julia - wymówił moje imię z taką złością, jakby splunął. - Julia nie umie śpiewać. Śpiewa tak, jakby przywoływała krowy z pastwiska. Ona nie może być sopranem.

Mama przybrała kwaśną minę, ale zachowała spokój.

- Nie przesadzaj, Richardzie. To prawda, że nikt z nas nie ma twoich zdolności muzycznych, ale jest wiele dobrych partii tenorów, które z radością zaśpiewasz. Twój wujek, a ojciec Julii, miał cudowny głos.

Wykonywał wszystkie partie tenorów, gdy razem muzykowaliśmy. W Havering na pewno są jeszcze nuty. Poszukam ich, gdy będziemy tam

następnym

razem.

- Nie chcę! - wykrzyknął ze złością. - Nie chcę być tenorem. Nigdy nie będę śpiewał partii tenorowych. To taki pospolity głos! Nie chcę mieć pospolitego głosu. Jeśli nie mogę śpiewać moim głosem, nie będę tego robił wcale! Mój głos jest niezwykły. Nikt nie śpiewa tak jak ja! Nie będę zwyczajnym tenorem!

- Wypadł z pokoju, a ja słyszałam tupot jego nóg, gdy biegł na górę.

W salonie zapadło grobowe milczenie. Cicho zamknęłam pokrywę fortepianu. Mama odcięła jakąś nitkę.

- Nigdy mu nie chodziło o muzykę - rzekła ze smutkiem.

- Po prostu chciał być kimś wyjątkowym, biedny chłopiec. Biedny chłopiec - powtórzyła mama z żalem w głosie.

Jednak Richard znowu zaśpiewał publicznie. W katedrze w Chichester odbywało się bowiem specjalne nabożeństwo, w czasie którego śpiewano pieśni żniwne, i babcia zabrała nas oboje. Richard zaczął śpiewać czystym, lekkim tenorem o nienagannym brzmieniu. Dawniej, gdy rozległ się jego wysoki głos, ludzie, którzy siedzieli w ławkach, unosili głowy, chcąc zobaczyć chłopca śpiewającego jak sam archanioł Gabriel. Teraz nikt nie zwracał uwagi na przyjemny tembr jego głosu, ja zaś rzucałam mu obojętne spojrzenia. Nie chciałam, żeby się domyślił, że mu współczuję. Byłby wówczas okropnie zły.

42

Milczałam przez całą drogę do domu. Kiedy mama poszła na górę zdjąć kapelusz, a Richard leniwie rozsiadł się w salonie, podeszłam do

fortepianu i podniosłam pokrywę.

- Zaśpiewajmy coś - powiedziałam, starając się, by to zabrzmiało swobodnie. Opuściłam ręce i dzięki Bogu uderzyłam we właściwe klawisze, ale gdy podniosłam oczy, zobaczyłam, że Richard spochmurniał. Cicho powiedział:

- Nie. Nigdy już nie będę śpiewał. Owszem, mogę tak jak dziś pojękiwać w kościele, ale nie będę śpiewał w salonie, w kuchni, nawet w łazience.

Miałem głos, który mi się podobał, ale straciłem go bezpowrotnie.

- Masz teraz bardzo miły głos...

- Miły! - ryknął, ale natychmiast się opanował. - Tak, to prawda. Jest miły. Przedtem był to chyba najlepszy głos w Europie. Ale oni nie pozwolili mi go ćwiczyć, nie chcieli opłacić dobrego nauczyciela muzyki. Teraz wszystko przepadło, dostałem w zamian słaby tenor, który nazywasz bardzo miłym. Cóż... jeśli o mnie chodzi, to równie dobrze mógłbym wcale nie mieć głosu.

- Co zamierzasz? - spytałam. Usta drżały mi tak, jakby Richard opowiadał mi o swoich strasznych ranach. Zresztą w pewnym sensie był śmiertelnie zraniony.

- Nic. Zapomnę o tym, że miałem dobry głos, potem zapomną o tym ludzie. Zapomnę, że chciałem być muzykiem. Zapomnę, że chciałem wypełnić nasz dwór muzyką. Zacznę się uczyć, jak być dziedzicem, dziedzicem Wideacre. Tylko to mi zostało. Tylko to odróżnia mnie od innych.

Nie powiedział nic więcej, a ja już nigdy nie prosiłam, by ze mną śpiewał. Mama wciąż udzielała mi lekcji fortepianu, ale jako że osłabł mój zapał, wyniki były coraz gorsze.

Richard zdawał się myśleć o swej jedynej szansie zostania kimś niezwykłym - o tym, jak być prawdziwym spadkobiercą Wideacre. Podczas gdy ja musiałam przesiadywać w domu, on codziennie wyjeżdżał i walczył z lękiem przed własnym koniem, wytyczał nowe ścieżki na polach i pastwiskach. Ziemia, jego ziemia, stała się jedyną rzeczą, która sprawiała, że był kimś więcej niż tylko niedouczonego chłopakiem szybko wyrastającym ze swoich ubrań.

Nigdy nie nabrał swobody w obcowaniu z Szeherezadą, ale po pewnym czasie, gdy nauczył się dawać jej jasne polecenia, znakomicie wychowana klacz zaczęła go słuchać. Siostrzeniec

43

Dencha - Jem, który zajmował się naszą stajnią, powiedział, że należy ją codziennie trenować, bo inaczej zbyt się rozbryka. Chłodne jesienne popołudnia zachęcały do przejażdżek, więc Richard wychodził wcześniej i długo przebywał poza domem.

Tymczasem ja siedziałam w salonie i czytałam, a mama zajmowała się szyciem. Liście na czerwonym buku za oknem stawały się fioletowe, a kasztanowiec pożółkł jak jedwab na słońcu. Przeczytałam od deski do deski dwa tomy poezji, mama uszyła wiele rzeczy na zbiórkę dla ubogich. Siadałam zwykle plecami do okna, by móc czytać przy dziennym świetle; w salonie było bardzo ciemno. Poza tym widok tych płomiennych jesiennych barw przyprawiał mnie o ból serca z tęsknoty.

Czasem małą pożyczoną dwukółką zaprzęzoną w kucyka wyjeżdżaliśmy do Havering Hall. Mroźne powietrze szczypało w policzki, a dźwięk kopyt na utwardzonej drodze sprawiał, że serce biło mi szybciej - tak, jakbym oczekiwała jakiejś wielkiej przyjemności. Jednak czekało nas tylko

spotkanie z babcią, która siedziała we dworze sama. Dla dziadka zaczął się już sezon londyński, ale ona umiała z pustki swych dni uczynić coś niezwykle pięknego.

Zaproponowała, bym została w Havering na dłużej. Byłam już znużona atmosferą Dower House, więc zgodziłam się i bawiłam się tam lepiej, niż mogłabym przypuszczać. Miło było być jedynym dzieckiem w domu.

Miło było żyć swobodnie, nie licząc się z oczekiwaniami Richarda.

Moja babcia nadała Havering Hall aurę spokoju i dyscypliny. Miała tę odwagę, która pozwala kobiecie żyć tak, jak sama chce. Wiele się od niej nauczyłam tamtej jesieni. Nauczyłam się, że można bez rozżalenia myśleć o ponurej przeszłości, a o beznadziejnej przyszłości mówić bez skarg. Nie miała poczucia klęski ani nie narzekała; może dzięki temu, że zachowała wewnątrz jakąś niewielką część siebie: wolną, niezależną i dzielną.

Rano zwykle rozmawialiśmy z zarządcą lub lokajem. Potem spacerowaliśmy po ogrodach, które - podobnie jak nasze - były w opłakanym stanie. Babcia jednak kroczyła po nich jak królowa po Wersalu. Jedną rękę opierała na moim ramieniu, w drugiej trzymała kosz na kwiaty, które spodziewała się znaleźć wśród chwastów. Przemierzała zwirowe ścieżki, nie zwracając uwagi na pałac pokrzywy, dziko rosnącą trawę i rzepy czepiające się falban naszych wyjściowych sukien. Potem ścinała nieliczne kwiaty,

44

które przetrwały przez wszystkie lata zaniedbania, i zabierała je do domu. Tam pouczała mnie, że jeden lub dwa kwiaty w wazonie, przyozdobione kilkoma liśćmi, to bardzo elegancka kompozycja.

- Sztuka bycia szczęśliwym polega na cieszeniu się tym, co się ma - mawiała i z wyraźną przyjemnością spoglądała przez okno na ogród, który w październikowym słońcu złocił się jak nie skoszone pole. - A dobre maniery zależą tylko od tego, czy umiesz się tym cieszyć.

A ja z wrodzoną uprzejmością (czyż córka subtelnej mamy mogłaby być inna?) rozsądnie kiwałam głową i wybierałam kolejną chryzantemę, by mogła ją precyzyjnie umieścić w kryształowym wazonie.

Tej jesieni babcia nauczyła mnie, że bycie damą to nie tylko zewnętrzne pozory. Nauczyła mnie spokoju wewnętrznego, który płynie ze świadomości własnych zalet i słabości oraz wykonywanej pracy.

Udowodniła mi, a ja nie byłam w stanie zaprzeczyć, że nie jestem już małą dzikuską. Miałam się stać młodą damą i sama nauczyć się koniecznej do wypełnienia tego zadania samokontroli. Tak więc ja uczyłam się opanowania, a Richard jazdy konnej.

I myślę, że mimo wszystko to ja dostałam lepszą część.

Richard się bał. Uświadomił sobie bowiem to, co ja dostrzegłam na jego bladej twarzy wtedy na dziedzińcu stadniny, gdy Szeherezada odsuwała się od niego. Nie była starą szkapą, z którą można się było drażnić na łące, rzucając jej kamienie pod kopyta. Nie była nisko pochylonym koniem pociągowym, który gotów jest sforsować się dla jednej marchewki. Była klaczą czystej krwi i Richard obawiał się jej, gdy znajdował się z nią sam na sam gdzieś na wzgórzach lub pastwiskach. Lękał się, że spadnie, bał się, że zostanie kopnięty, ale po stokroć bardziej obawiał się samej Szeherezady, jej błyszczących oczu i rozwartych nozdrzy.

Spędziłam u babci trzy tygodnie i wróciłam do domu krótko przed powrotem dziadka. Ani babcia, ani mama nie chciały, bym przebywała w

Havering Hall wtedy, gdy dziadek i jego koleżkowie z londyńskich klubów wypadną z bryczek, klnąc na czym świat stoi i ciskając swymi walizkami.

Babcia pomogła mi się spakować, a na pożegnanie podarowała kupon muślinu na nową sukienkę.

- Może i jesteś Laceyówną - powiedziała, gdy stałyśmy przy drzwiach frontowych, patrząc, jak Dench wkłada mój kuferek

45

pod siedzenie dwukółki - ale jesteś też moją wnuczką. - zabrzmiało to tak, jakby te dwa fakty były równie ważne.

- Zresztą czy nazywasz się Lacey czy Havering, czy też zostaniesz żoną kogoś bez znanego nazwiska, mam nadzieję, że zawsze będziesz pamiętać, iż jesteś damą - dodała.

Potaknęłam. Usiłowałam słuchać uważnie, ale byłam zaledwie dwunastoletnim dzieckiem. Myślałam o powrocie do domu, do mamy i Richarda. Zastanawiałam się, czy będę mogła pojechać na Szeherezadzie. Miałam już w głowie Dower House, gdy babcia mówiła, że w życiu są rzeczy ważniejsze niż majątek, nazwisko, człowiek, którego się poślubi, nawet miłość. Ważniejsze od tego wszystkiego jest zachowanie własnej dumy i odrobiny godności, niezależnie od tego jak się nazywasz i z kim jesteś spokrewniony.

- Widzę, że bardzo już chcesz jechać do domu, do mamy

- rzekła łagodnie.

- Tak, babciu.

- Do Richarda też?

Pod jej badawczym spojrzeniem zarumieniłam się i spuściłam oczy.

- To zupełnie naturalne - powiedziała ze spokojem.

- Jesteście współspadkobiercami Wideacre i kuzynami. Nie wyobrażam sobie, by można było lepiej rozwiązać problem podziału majątku, niż oddając go we władanie Richardowi. To czarujący chłopiec. Jest dla ciebie miły?

Rozpromieniłam się, zapomniawszy o naszych dziecinnych sprzeczkach.

- O tak - powiedziałam z naciskiem. - Zawsze powtarza, że powinniśmy się pobrać i razem odbudować Wideacre.

Babcia potaknęła.

- Jeżeli John MacAndrew wróci do domu z pieniędzmi, to ten związek będzie dla ciebie najbardziej odpowiedni. - Przyjrzała mi się bacznie, a jej twarz rozpogodziła się. - On nie wyrośnie na mężczyznę, który zniósłby kobiece rządy. Jest rozpieszczony. Przyzwyczał się do rządzenia tobą. Będzie panem domu, a ty będziesz musiała go słuchać.

Kiwnęłam głową. Nie powiedziałam jej, że mam już niezłą praktykę w ustępowaniu Richardowi. Słuchałam go już wówczas, gdy byliśmy małymi dziećmi. Nie umiałam sobie wyobrazić, by to się mogło zmienić. Nie chciałam zmiany.

46

- Nie zawsze jest łatwo słuchać męża - babcia powiedziała to bardzo patetycznie. Jej lekkie westchnienie mówiło wyraźnie o życiu w samodyscyplinie, o powstrzymanym i nigdy nie wyrażanym gniewie, o znoszonych afrontach i doznawanych okrucieństwach. - W kościele powiedzą ci, że małżeństwo jest sakramentem, ale jest ono również

obowiązującym cię kontraktem prawnym. Dench zdążył już spakować rzeczy. Stał teraz obok konia i czekał cierpliwie poza zasięgiem naszych głosów. Babcia mruknęła pod nosem:

- Możesz sobie wyjść za mąż z miłości, moja droga, ale chcę, byś pamiętała, że małżeństwo to transakcja i gdy uczucie przeminie, będziesz musiała dotrzymywać warunków kontraktu.

Patrzyłam na nią szeroko otwartymi oczyma. Nie rozumiałam tego.

- Jesteś czyjąś żoną nawet wtedy, kiedy przeminie miłość i zniknie wzajemna sympatia. Nie ma ucieczki. To, co dawniej robiłaś z miłości, teraz wyświadczasz z obowiązku. Wtedy właśnie cieszysz się, mogąc sobie powiedzieć „jestem damą” albo „nazywam się Lacey” czy też coś innego, co przypomina ci o tym, że jesteś człowiekiem i masz pewne prawa, mimo że żyjesz jak niewolnica.

Zadrzałam, choć ostro świeciło słońce. Jej słowa brzmiały złowieszczo jak ponure proroctwo. W głębi ufego, zakochanego serca byłam przekonana, że babcia się myli. Wyszła za mąż pięćdziesiąt lat temu zgodnie z wolą swego ojca, a kiedy owdowiała, zrobiła to ponownie, by zapewnić byt sobie i dzieciom. Trudno się więc dziwić, że uważała małżeństwo za kontrakt i to taki, który niesie ze sobą surowe kary. My z Richardem byliśmy inni. Nasze małżeństwo będzie naturalną kontynuacją dziecięcej miłości. Byłam pewna, że kiedy ziszczą się nasze marzenia o odbudowaniu Wideacre, nie będę musiała szukać w swym sercu dumy, która pomoże mi przetrwać ból i upokorzenie. Całkowicie wystarczała mi świadomość, że kocham Richarda i jestem jego miłością. Nigdy nie będę chciała niczego więcej.

To głębokie przekonanie musiało się odbić na mej twarzy, bo babcia

roześmiała się sarkastycznie, pochyliła się i ucałowała mnie raz jeszcze.

- Nie można nikogo pouczać - powiedziała z rezygnacją. Każdy musi się uczyć sam. Do widzenia, kochanie, i nie zapomnij o tych przepisach dla mamy.

47

Uściskałam ją i wskoczyłam do powozu, a Dench zasiadł obok mnie. Później pomachałam ręką i czule się do niej uśmiechnęłam. Była wspaniałą i odważną kobietą. Nie spodziewałam się, że kiedyś będę się zastanawiać, skąd brała się jej odwaga, bo sama będę tej odwagi potrzebować.

- No to jedziemy do domu? - zagadnął Dench.

- Tak - odparłam.

Siedziałam wysoko i bardzo mi to odpowiadało. Ponad żywopłotami widziałam, jak porośnięte dziką roślinnością pola Wideacre falują na jesiennym wietrze. Lubiłam Dencha, lubiłam jego przeciągły akcent, spokojną twarz, która sprawiała wrażenie zagniewania. Oczy mu jednak migotały, a ja z dziecięcą intuicją czułam, że też mnie lubi.

- Cieszy się panienka na powrót do mamy?

- Tak. Cieszę się też, że zobaczę kuzyna Richarda. Nie wiesz, czy dużo jeździ konno?

- Dużo - powiedział. Ujął cugle jedną ręką, bo skręcaliśmy na drogę prowadzącą do Acre. - Jem mówi, że jego ręce są równie niezdarne jak przedtem. Zrzuńuje tej klaczce pysk. Nie wiem, co mój pan sobie myślał...

- To koń Richarda - natychmiast stanęłam w jego obronie.

- No tak - rzekł, udając, że mnie nie zrozumiał. - Panienka nie miała żadnej szansy, prawda?

- Damy nie jeżdżą konno przed ślubem. Potem mogą je uczyć mężowie - powiedziałam bez przekonania, cytując mamę.

- Nigdy panienka nie usiadła na jej grzbiecie? - spytał, bystro spoglądając z ukosa. - Nigdy się nie zakradła do stajni i nie wspięła na nią z drzwi?

- Zrobiłam to - powiedziałam nieuleczalnie prawdomówna. - Ale Richard mnie przyłapał.

- Tak? - zapytał, wyraźnie czekając, że opowiem mu coś więcej.

Zamilkłam zamyślona.

Udało mi się podprowadzić Szeherezadę do drzwi, bo skusiły ją jabłka, które przyniosłam w kubelku. W chwili gdy przerzuciłam nogę nad jej grzbietem, do stajni wszedł Richard. Klacz poczuła mój ciężar, znów zanurzyła głowę w wiadrze, a ja siedziałam na niej rozkraczona, z zadartą spódniczką i wiedziałam, że

48

wyglądałam jak skończona awanturnica. Ale mój Boże! Jak rozkosznie było czuć pod sobą jej gładką skórę i wypukłe mięśnie.

- Zejdz - zabrzmiał lodowaty głos Richarda. Wyprostowałam się i spłoszonym wzrokiem rozejrzałam dookoła.

Wszedł do stajni, zamknął za sobą drzwi i stanął w kącie, trzymając przed sobą siodło, uprząż i wsunięty w strzemię bat.

- Zejdz - powtórzył. Nie nabrałam się na jego tym razem beztroski ton. W półmroku stajni widziałam jego błyszczące oczy płonące ogniem.

Przywarłam do klaczy i z ociąganiem zaczęłam zsuwać się po gładkim boku, rozkoszując się gładkością szyi muskanej moim policzkiem. Gdy tylko znalazłam się na ziemi, odwróciłam się do niego i błagalnie

powiedziałam:

- Richardzie...

Odłożył siodło i uprząż, potem odciągnął mnie od tej osłony, jaką było ciało Szeherezady. Bezlitośnie ścisnął mój nadgarstek i zawlókł mnie do kąta. Klacz uniosła głowę i zaczęła się nerwowo kręcić. Richard nabrał powietrza w płuca i szarpnął mnie tak, że znalazłam się pomiędzy nim a niespokojnym zwierzęciem.

- Szeherezada jest moim koniem - syknął, przysuwając swoją twarz do mojej. - Lord Havering mnie ją podarował. Nauczył mnie na niej jeździć. Nazywasz się Lacey, ale to mój tata płaci nasze rachunki. Lord Havering jest twoim dziadkiem, ale konia dał mnie. Mówiłem ci, żebyś jej nie dotykała, prawda?

Usta drżały mi tak, że nie mogłam mówić. To, co się działo, było gorsze niż tamta historia z wodnymi węzami sprzed wielu lat.

- Richardzie... proszę... - odezwałam się żałośnie.

- Prawda? - naciskał.

- T-tak. Ale...

- Ostrzegałem cię, Julio - rzekł władczy tonem. - Powiedziałem, że będziesz jeździć wtedy, kiedy ja będę gotów cię uczyć. Kazałem ci trzymać się z daleka od mojego konia.

Nie mogłam powstrzymać łez. Po chwili policzki miałam mokre, jakbym stała na dworze podczas burzy. Patrzyłam na Richarda w nadziei, że to zobaczy i puści moją rękę, a potem przytuli mnie i pocałuje, tak jak zawsze to robił.

- Czyż nie ostrzegałem cię? - wrzasnął.

- Tak! Tak! - łkałam. Wyglądało na to, że nie ma wyjścia z tej pułapki.

Mama była daleko w domu, Jem zaś albo porządkował

49

uprząż w wozowni, albo siedział w kuchni. Byłam więc zdana na łaskę i niełaskę Richarda, a on nie miał litości. Rzeczywiście ostrzegł mnie.

Uprzedził, że jeśli to zrobię, będzie wściekły. Ja zaś nie mogąc się oprzeć pokusie, jak głupia pobiegłam do Szeherezady. Teraz musiałam patrzeć prosto w płonące złością błękitne oczy. Potem stało się coś niezwykłego: wybuchnęłam gniewem.

- Wcale jej nie lubisz! - krzyknęłam. - Nigdy jej nie lubiłeś tak bardzo jak ja. Obiecałeś, że mnie nauczysz jeździć, ale nie wierzę, że to się kiedykolwiek stanie. Zawsze zależało ci tylko na tym głupim śpiewaniu! Nie możesz już śpiewać! Jeździć też nie potrafisz!

Złapał mnie i całym ciężarem ciała popchnął na ścianę stajni.

- Zabiję cię! - wrzasnął ogarnięty furją. Przygwoździł mi obie ręce do ściany. Przez chwilę byłam zbyt przerażona, by się ruszyć. Wykorzystując to chwilowe oszołomienie, podniósł z podłogi bat i trzymając mnie mocno jedną ręką, z całej siły spuścił mi go na plecy.

Chciał mnie wychłostać, tak jak czasem na polecenie mamy robił to z nim Stride. Zdołałam się jednak obrócić i cios ugodził mnie w bok. Poczułam piekący ból przenikający przez materię zakietu. Krzyknęłam z oburzenia i przestraszu. Zanim wywinęłam się z jego uścisku i pognałam do boksu Szeherezady, zdążył mnie trzy razy uderzyć. Przestraszona klacz nerwowo drobiła nogami i wywracała oczy łyskając białkami. Bez namysłu zanurkowałam pod jej brzuchem i przedostałam się na drugą stronę. Teraz

znajdowała się między mną a Richardem. Zerknęłam na niego spod jej ruchliwej szyi. Opuściła go wściekłość, wyglądał, jakby się miał rozpłakać.

- Och, Julio - odezwał się błagalnie.

Ja jednak nie chciałam pojednania. Korzystając z osłony, jaką mi dawała Szeherezada, ruszyłam do wyjścia. Przez moment zmagalam się z zamkiem, wreszcie wypadłam ze stajni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Nie poszłam do domu, choć na drodze widziałam ciepłe światło padające z okien salonu. Chciałam być sama. Pobiegłam na stryszek, gdzie trzymano wiązki siana. Zapłakana rzuciłam się na jedną z nich. Szlochałam z bólu, upokorzenia i ze strachu przed buntem, który sprawił, że nawymyślałam Richardowi, a on zapragnął mej śmierci.

50

Stłumiłam głośny płacz, przyciskając do ust zaciśniętą dłoń. Nie chciałam, by mnie słyszano. Zranił mnie tak okropnie! Chyba wcale mnie nie kochał, skoro mógł mi zrobić coś takiego. Złość, która ciągle płonęła we mnie, mówiła, że powinnam przestać go darzyć miłością. Nie powinniśmy się nawet przyjaźnić. Znęcał się nade mną wystarczająco długo. Ten nikczemny akt był już ostatni. Nie będę więcej przez niego płakać.

Siano drapało mnie w policzek, stawało się wilgotne i gorące od łez...

Nagle poczułam najmiłsze dotknięcie na świecie - dłoń Richarda na mym rozdygotanym ramieniu. Delikatnie, ach jak delikatnie, podniósł mnie i odwrócił ku sobie.

- Maleńka - rzekł głosem przepelnionym czułością. Otoczył dłońmi moje policzki i całował każdy cal czerwonej i mokrej twarzy tak długo, aż

osuszył łzy.

Wtedy znowu zaczęłam szlochać.

- Nie powinieneś mnie tak traktować - mówiłam tak cicho, że ledwo słyszałam swoje słowa. - Nie powinieneś, Richardzie. Jeśli będziesz się nade mną znęcał, przestanę cię kochać. Byłeś dla mnie bardzo niedobry.

- Wiem - powiedział ze skruchą. - Wiem, że nie powinienem się tak zachowywać. Wybacz mi, nie chciałem cię skrzywdzić. To był wypadek.

- Wypadek! To nie był wypadek! Zbiłeś mnie z całej siły! Trzy uderzenia batem! Mama nigdy mnie tak nie uderzyła! W dodatku powiedziałeś, że mnie zabijesz!

- Wiem - powtórzył głosem pełnym ciepła i czaru. - Przepraszam cię, Julio, i przysięgam, że nigdy cię nie skrzywdzę.

Uklęknął obok mnie na sianie.

- Patrz! Na kolanach błagam cię o przebaczenie. Zawahałam się. Ból już osłabł, a zmartwiony wyraz twarzy

Richarda był nie do zniesienia.

- Powiedz, że mi wybaczysz! - błagał szeptem, wyciągając do mnie ramiona.

- Nie - odparłam ponuro. - Byłeś dla mnie okrutny, choć nie zrobiłam nic złego. Dosiadłam tylko konia w stajni.

Przez chwilę milczał, wciąż klęcząc u mych stóp.

- Prawdziwe damy przyjmują przeprosiny - odezwał się. Powiedziałem, że cię przepraszam, Julio. Naprawdę cię przepraszam.

51

Instrukcje mamy, pouczenia babci, świat, w którym żyliśmy, wreszcie moje zakochane serce - wszystko to przeważało poczucie krzywdy.

- No dobrze, Richardzie - powiedziałam. Otoczył mnie ramionami i całował po policzkach, potem osuszył mi oczy własną chusteczką z białego płótna.

Siedzieliśmy w milczeniu na ciemnym strychu. Pierwsze gwiazdy zabłyśły na jesiennym niebie, robiło się coraz chłodniej. Richard cicho i spokojnie powiedział:

- Po prostu nie lubię, gdy ktoś sięga po coś, co należy do mnie.

Odparłam, uznając, że w pewnym sensie była to moja wina:

- Wiem o tym i obiecuję, że już nigdy nie wsiądę na Szeherezadę.

Pewnie obiecałabym jeszcze więcej, ale właśnie w tym momencie zza chmury wysunął się cienki sierp księżyca, a ja usłyszałam ten słodki, wysoki ni to śpiew, ni szum, który zawsze brałam za głos samego Wideacre. Dziś brzmiał on jakoś złowieszczo. Pomyślałam, że to ostrzeżenie, jakby księżyc mówił mi, że oczekiwania Richarda i jego potrzeba posiadania to nie najlepsze cechy u małego chłopca i że nie powinnam mu we wszystkim ustępować.

Po chwili znowu byłam zapłakaną dziewczynką siedzącą na strychu ze swym ukochanym dręczycielem.

Dench wyrwał mnie z zadumy, pytając:

- Panicz Richard nie lubi nawet, kiedy panienka dotyka jego konia?

- Nie - odpowiedziałam. - Nigdy już nie tknęłam Szeherezady i Richard zapomniał o swej złości. Zresztą zaczął wtedy codziennie wyjeżdżać konno i mało go widywałam.

- Pies ogrodnika - krótko skomentował Dench. - Myślę, że panienka nie

potrzebuje lekcji jazdy. Od razu będzie dobrze jeździć. Pochodzi przecież z Laceyów.

- Nie, Dench - powiedziałam, prostując plecy. - Nie chcę się uczyć, zanim nie będę dorosła.

- No tak - powiedział bez przekonania. Przyspieszył konia i chyżo pomknęliśmy pod wielkimi drzewami lasu "Wideacre. - Chce panienka wziąć lejce?

- O, tak - odparłam. Jem pozwolił mi kiedyś powozić, ale wówczas była to nasza starzejąca się szkapa. Po raz pierwszy miałam kierować jednym z rączych koni Haveringów.

52

- Proszę - rzekł wspaniałomyślnie i podał mi podwójne lejce. - Niech panienka trzyma lekko.

Przyglądał mi się, gdy naśladować go, pewnie cmoknęłam na konia.

Trzymałam skórzane pasy tak, jakby to były cenne wstążki.

- Ma panienka dobre ręce - powiedział z uznaniem - takie jak pani Beatrice.

Skinęłam głową, ale prawie go nie słyszałam. Gdy przejeżdżaliśmy pod drzewami, słońce złociło mi policzki, a ożywczy wiatr wiał mi prosto w twarz. Po prawej stronie w żywopłocie gromada szpaków wyśpiewywała swoje trele, a ponad zaniedbanym polem fruwały gawrony i krakały ochryple.

- Nie musimy jechać prosto do domu - odezwał się Dench, który cały czas obserwował moją wniebowziętą twarz. - Jeśli panienka chce, możemy pojechać koło młyna i lasem wrócić do domu. Grunt jest dość twardy. Zawahałam się. Musieliśmy przejechać przez Acre, a ja wciąż czułam lęk

spowodowany przez tę niejasną historię o zabieraniu dzieci. Lecz Richard przecież jeździł tu na lekcje, poza tym mama nigdy wyraźnie nie powiedziała, że mam tam nie chodzić...

- Dobrze - powiedziałam.

Przez szeroko otwartą bramę wyjechaliśmy na drogę prowadzącą do Acre. Główna ulica wioski była zupełnie pusta, drzwi chat pozamykano przed wiatrem. Z niektórych okien bez szyb wyglądały blade twarze. Dench niedbale pomachał ręką kowalowi i szewcowi beczynnie siedzącemu przy kopycie. Za kościołem skręciliśmy w lewo, minęliśmy nieczynny młyn z porośniętym chwastami kołem i zagłębiliśmy się w las - samo serce Wideacre. Dench zmierzył wzrokiem gładką darń ścieżki.

- Jeśli panienka chce, możemy tu pogalopować. Niewiele myśląc, popuściłam cugli i poczułam, że powóz po prostu wyskakuje do przodu. Końskie kopyta wybijały szybki rytm, a Dench, przekrzykując szum wiatru i turkot powozu, zapytał:

- Podoba się panience?

- O tak! - krzyknęłam. Głos mój zabrzmiał jak melodyjne nawoływanie do pośpiechu, więc koń postawił uszy, głośno parsknął i rzucił się do przodu.

- Prrr! - krzyknął nagle Dench i wyrwał mi lejce. Tym gwałtownym gestem o mało nie stracił mnie z siedzenia.

- Co...? - wyjąkałam, gdy brutalnie pociągnął lejce. Powóz zatrzymał się z lekkim poślizgiem, a ja dostrzegłam to, co Dench

53

zauważył wcześniej. Na trawiastej dróżce po lewej stronie stała Szeherezada. Miała przekrzywione siodło i zerwane lejce. Na widok powozu podniosła głowę, zarżała radośnie, widząc konia, i przykłusowała

do nas.

- Psiakrew - odezwał się Dench - gdzie jest ten niezdarny smarkacz?

Wygramoliłam się z dwukółki i ujęłam zwisające lejce. Szeherezada zarżała i zaczęła mnie obwąchiwać.

- Richardzie! Richardzie, gdzie jesteś! - zawołałam. Nikt nie odpowiedział. Gdzieś daleko od nas słychać było sójkę i dzięcioła. Turkawki gruchały z zadowoleniem. Tylko Richard się nie odzywał.

Obejrzałam się w stronę powozu. Dench siedział nachmurzony.

- Niezdara - powiedział i zabrzmiało to jak przekleństwo.

Podprowadziłam Szeherezadę do powozu. Przez chwilę przyglądał się jej uważnie.

- Nie jest ranna, więc może po prostu z niej spadł? - Przerwał, po czym spytał: - Gdzie on zwykle jeździ?

- Nie wiem - odparłam bezradnie. - Po łąkach, pastwiskach, wzgórzach. Po lesie.

- Zatem może być wszędzie. - Z gniewem popatrzył na pola po prawej stronie i porośnięte fioletowymi wrzosami wzgórze w dole. - Może pozbiierał się i pieszo wrócił do domu

- dodał nieco pogodniej. Potem twarz znów mu spochmurniała.

- Niezdara - mruknął pod nosem. Gwałtownie się odwrócił, zeskoczył z siedzenia powozu i zaczął wyprzęgać konia. - Proszę go potrzymać - rzekł krótko i zabrał mi lejce Szeherezady. Związał je w miejscu, gdzie były przerwane, poprawił przekrzywione siodło, potem zerkając na mnie, skrócił strzemiona. - Musi panienska jechać do domu - powiedział. - Proszę stanąć koło młyna, zobaczyć, czy są tam jacyś ludzie i powiedzieć im, że

muszą ruszyć na poszukiwania panicza Richarda, który spadł z konia. Niech panienska zatrzyma się też w Acre i powie o tym kowalowi Nedowi. On będzie wiedział, co robić. Ja pojedę do Dower House i zobaczę, czy panicz nie idzie do domu albo nie leży gdzieś przy drodze.

Gapiałam się na niego.

- Nie potrafisz jeździć. Przecież ci mówiłam! Richard mnie nigdy nie uczył!

54

Dench cicho zaklął i gestem kazał mi unieść nogę. Wsadził mnie na siodło jak chłopaka stajennego. Siedziałam okrakiem z uniesioną sukienką, widać mi było nie tylko kostki nóg, ale i łydki.

- Potrafi panienska jeździć. To oczywiste. Panienska jest Laceyówną.

Podał mi wodze i odwrócił się, jakby już nic nie miał do powiedzenia i jakby nie interesowało go moje bezpieczeństwo. Siedziałam przerażona. Szeherezada wyraźnie czuła się pode mną pewnie. Choć ziemia była tak daleko, wiedziałam, że klacz jest delikatna i dobrze ułożona. Czekwała na moje rozkazy, a ja pogodziłam się z całą tą sytuacją. Pochyliłam się, obciągnęłam spódniczkę, by choć trochę zakryć nogi, potem wyprostowałam się i lekko nacisnęłam boki klaczy. Ruszyła swym lekkim rozkołysanym krokiem. Poczułam, jak ogarnia mnie spokój. Czułam się tak, jakbym wróciła do domu.

Wiedziałam, jak ją prowadzić. Było to równie łatwe i przyjemne jak powożenie. Może nauczyłam się tego siedząc na płocie, kiedy z uwagą przysłuchiwałam się pierwszej lekcji Richarda? Jednakże gdy obie płynęłyśmy przed siebie jak świetnie zgrane tancerki, uświadomiłam sobie, że przyczyna jest inna. Pochodziłam ze starego rodu sławnych

jeźdźców i na grzbiecie konia byłam w swoim żywiole. Powożenie w lesie Wideacre było bardzo przyjemne, ale jazda na Szeherezadzie po porośniętej trawą ścieżce w blasku popołudniowego słońca była najwyższą rozkoszą.

Gdyby nie to, że Richard... Nagle przypomniałam sobie o tym, że zaginął i może nawet leżał gdzieś ranny. Bezwiednie napięłam mięśnie, a uważna klacz przeszła do szybkiego i sprężystego kłusa, który sprawił, że o mało nie spadłam na ziemię. Uchwyciłam się lęku i zacisnęłam zęby, bo uderzałam ciałem o siodło i bezradnie zsuwałam się to na jedną, to na drugą stronę, usiłując się wyprostować. Przypomniałam sobie, jak dziadek wrzeszczał, że Richard powinien się unosić i opadać zgodnie z rytmem końskiego kroku. Bez większej nadziei spróbowałam unieść się w strzemionach, a potem znów usiąść i prawie natychmiast złapałam rytm. Przestały mną wstrząsać okropne, powodujące szczęknięcie zębami uderzenia. Długonoga Szeherezada miarowo i szybko posuwała się naprzód. W pobliżu młyna opadłam na siedzenie i delikatnie napięłam lejce. Klacz zwolniła, później zatrzymała się. Stałyśmy przed bramą ogrodu młynarza.

55

- Panie młynarzu! Panie młynarzu! - zawołałam, tytułując go tak, mimo że od dziesięciu już lat nie mełł mąki. Tej nocy gdy spalono dwór, łupieżcy skradli wozy z mąką zmagazynowane na jego podwórzu.

Drzwi otwierały się powoli. Starsza pani Green wysunęła przez nie głowę.

- Nie ma nikogo - powiedziała gburowato. - Wszyscy pojechali na targowisko, szukać pracy.

Była niegdyś dumną kobietą, panią młynarzową. Miała nawet własną ławkę w kościele. Utrata środków utrzymania załamała ją całkowicie. W domu było czterech dorosłych synów i mąż. Musiała ich wszystkich nakarmić, choć żaden nie przynosił pieniędzy. Przez jej ogród płynęła rzeka, która mogła obracać młyńskie koło, ale przecież brakowało pszenicy. Od dziesięciu lat na ich stole nie pojawiała się ani mięso, ani świeże owoce. Czasem tylko, jesienią, jadali dzikie jagody. Odkąd oskrobali do czysta swój kamień młyński, nie widzieli też białej mąki.

- Zdarzył się wypadek - zawołałam. - Mój kuzyn Richard prawdopodobnie leży ranny gdzieś w lesie albo na łące. Bardzo proszę, niech pani wyśle chłopców na jego poszukiwanie, gdy tylko wrócą do domu. Dobrze, pani Green?

Spojrzała na mnie tępo.

- Syn panny Beatrice? - zapytała, potem spochmurniała i z zawziętością odparła: - Nie. Nic z tego. Nie wyślę moich chłopaków, by oddawali przysługi Laceyom. A już na pewno nie wtedy, gdy wrócą do domu zmęczeni po całym dniu szukania roboty, której nigdzie nie ma.

Wpatrywałam się w nią bezmyślnie. Czułam, jak narasta we mnie lęk. Richard był ranny, może złamał sobie rękę lub nogę, trzeba go było natychmiast odszukać. Bez pomocy pani Green, bez pomocy całej wsi, musielibyśmy go szukać wiele godzin. Zeskoczyłam z wysokiego grzbietu Szeherezady i zarzuciłam lejce na bramę. Myślałam tylko o Richardzie, o tym, jak rozpaczliwie potrzebna mu pomoc. Pani Green była stara i przygarbiona, ja zaś chuda i wysoka jak na swój wiek. Zbliżyłam się do niej. Była tylko o głowę wyższa ode mnie. Spojrzała na moją dziecięcą twarz, na której malowała się wcale niedziecięca determinacja.

- To prawda, jest synem Beatrice - powiedziałam - ale jest też moim kuzynem. Kocham go bardziej, niż można to sobie wyobrazić. Proszę mi pomóc.

56

Kiedy patrzyła na mnie, jej twarz nieco złagodniała. Nie widziała już dziewcziczki na koniu, ale stojącą w drzwiach chaty dziewczynkę - pobladałą i błagającą o pomoc.

- No dobrze - rzekła z rezygnacją. - Wrócą najdalej za godzinę. A potem wyruszą po niego.

Poczułam, jak do oczu napływają mi łzy szczęścia.

- Dziękuję - powiedziałam ochryple. Odwróciłam się, podeszłam do zniszczonego płotu i korzystając z niego jako podwyższenia, wspięłam się na konia. Gdy kłusowałam w stronę Acre, wiedziałam, że patrzy za mną i że z jej twarzy uleciała już ta niezrozumiała zawziętość.

Mimo że się na tym nie skupiałam, jechało mi się lekko i swobodnie. Na drodze do Acre usiadłam głęboko w siodle i pozwoliłam Szeherezadzie galopować. Szum wiatru, stuk końskich kopyt, szybkość - wszystko to nie budziło we mnie lęku, lecz przyprawiało o dreszcz rozkoszy. Jak wichor przemknęliśmy przez Acre. Przed domem kowala zatrzymałam ją z głośnym okrzykiem uniesienia.

- Kowalu! -zawołałam. Wyszedł, narzucając swój obdarty fartuch, a twarz jego rozświetlała nadzieja, że dostanie pracę.

- Przykro mi, ale mój koń nie potrzebuje podków. Chodzi o Richarda. Miał wypadek. Trzeba go poszukać. John Dench powiedział, że mi pomożesz. Ned zdjął fartuch i rzucił go na puste kowadło obok wygasłego paleniska.

- Ano - rzekł wolno - niektórzy pójdą, jeśli dostaną za to po pensie.

- Dobrze - odparłam i dodałam z zakłopotaniem: - Przykro mi, że nie mam dziś dla ciebie pracy. Przepraszam, że niepotrzebnie wzbudziłam w tobie nadzieję. Przykro mi, że nie możemy ludziom zapłacić więcej niż po pensie.

Podniósł na mnie oczy.

- Czemu panienka się tak przejmuje? - zapytał chłodno.

- Nazywam się Lacey - powiedziałam i sprowokowana jego spojrzeniem ciągnęłam dalej: - Wiem, że nastały teraz złe czasy, ale kiedyś byliśmy tu dziedzicami. Nam też jest trudno, podobnie jak wam.

Twarz jego przybrała cieplejszy wyraz, nie uśmiechnął się jednak.

Odniosłam wrażenie, że zdążył zapomnieć, jak się to robi. Westchnął ciężko, ale okazał mi wielkoduszność.

57

- Panienka była wtedy maleńkim dzieckiem. To nie wina panienki. Znajdę ludzi i poszukamy kuzyna. Proszę się nie trapić.

Skinęłam głową.

- Dziękuję - powiedziałam.

Nagle zauważył, że siedzę okrakiem na koniu i mam skrócone strzemiona.

- Dobrze się panience jeździ na tym koniu? Uśmiechnęłam się promiennie.

- Tak - powiedziałam triumfalnie. - Już kłusowałam i galopowałam. Ale do domu pojedę ostrożnie.

- Jeździ panienka tak jak Beatrice - rzekł jakby do siebie - i uśmiecha się tak jak ona. Kiedy zobaczyłem panienkę na koniu i z tym uśmiechem, przez chwilę myślałem, że wróciły dawne czasy, kiedy Beatrice nie była jeszcze złą kobietą.

„Kiedy nie była jeszcze złą kobietą” - powtórzyłam w myślach. Słowa te brzmiały jak zaklęcie, które mogłoby mi wiele wyjaśnić.

- Nie była jeszcze złą kobietą? - powtórzyłam głośno.

- O czym ty mówisz? Ona nigdy nie była zła.

Rzucił mi ironiczne spojrzenie spod gęstych ciemnych brwi.

- Nie...? - powiedział. - To panienkę tak nauczono. My tu w Acre widzimy wszystko inaczej. Lecz to takie stare dzieje niewarte opowiadania.

- Jak wy to widzicie? - spytałam. Wychyliłam się z siodła i patrzyłam na niego. Czułam, że może mi dużo wyjaśnić. Czułam, że to jedno zdanie o uśmiechu Beatrice może mi wytłumaczyć, dlaczego jesteśmy tak ubodzy i czemu ziemia dookoła nas stała się ugorem i rodziła tylko chwasty.

- Nie czas teraz na opowieści - rzucił krótko. Zdążyłam jednak dostrzec, że ma na twarzy ten sam tajemniczy wyraz, który widziałam u mamy zawsze, gdy pytałam o przyczyny upadku Laceyów i tamtego pożaru, który wybuchł wiele lat temu. - Musi panienka teraz myśleć o kuzynie. No cóż, miał rację. Potrząsnęłam głową tak, jakbym chciała w ten sposób oczyścić ją ze wszystkich tajemnic i lekko dotknęłam piętą boku Szeherezady. Ściągnęłam nieco lejce, klacz obróciła się i skierowała w stronę domu.

Ubity glina na drodze nie nadawała się do galopu, więc mogliśmy tylko zwawo kłusować. Kiedy zbliżyliśmy się do dworu

58

Wideacre, gdzie rzadko używaną ścieżkę porastały chwasty i trawa,

popuściłam nieco cugli, pozwalając Szeherezadzie na pełny galop.

Pędziłyśmy aż do bramy naszego ogrodu. Zwolniłam, widząc w nim mamę. Krzyknęłam, kapelusz spadł mi na plecy, włosy fruwały dookoła ramion, a oczy błyszczały.

- Julio! - zawołała z przerażeniem. - Co na Boga...?

- Kiedy wracałam z Denchem do domu, znaleźliśmy Szeherezadę - mówiłam zadyszana. - Dench wsiadł na swego konia i pojechał szukać Richarda, a mnie posłał do Acre po mężczyznę. Przyjechałam tu, żeby zobaczyć, czy Richard nie wrócił do domu. Nie ma go tutaj, prawda?

- Nie. Zaczęłam się już o niego martwić. Mój Boże, a jeśli jest ciężko ranny? - powiedziała. - Ale, Julio, ty jeździsz! Kiedy się nauczyłaś?

- Po prostu wsiadłam i pojechałam, mamó! - zawołałam z dumą. - Gdy tylko znalazłam się na jej grzbiecie, od razu wiedziałam, co robić! Poza tym ona jest taka kochana i delikatna. Byłam pewna, że nic mi się nie stanie!

- A ci ludzie z Acre... - wyszeptała zaniepokojona. - Z kim tam rozmawiałaś?

- Z panią Green we młynie i z kowalem. Obiecali pomóc.

- O Boże! - jęknęła mama ciągle przytłoczona widokiem, jaki przedstawiałam jadąc okrakiem, z podwiniętą spódnicą i krzycząc jak prostytutka. Za nieprzyzwoity uznała też fakt, że wydawałam polecenia ludziom z Acre. Przede wszystkim jednak dręczył ją lęk o Richarda.

Po chwili wyprostowała się i zaczęła wydawać rozkazy. Głos jej odzyskał dawną pewność.

- Zaprowadź konia do stajni i każ Jemowi jechać do Haveling. Niech powie jaśnie pani, że Richard prawdopodobnie został i anny, i zapyta, czy

możemy pożyczyć powóz. A ty szybko wracaj.

Weszła do domu, a ja usłyszałam jeszcze, jak dzwoni na Siride'a. Potem pochyliłam się leciutko, a kochana Szeherezada od razu wiedziała, czego chcę. Strzygąc uszami powędrowała do stajni. Tam zsunęłam się z jej grzbietu, chcąc zeskoczyć. Lecz gdy tylko dotknęłam ziemi, poczułam, jak kolana mi miękną i uginają się. Zamiast więc pewnie podać lejce Jemowi, upadłam mu do nóg jak kłoda, na wpół śmiejąc się, na wpół płacząc z bólu. Podniósł mnie, usadził na pniaku, a później zaczął przedłużać strzemiona tak, by mógł jechać na Szeherezadzie.

59

- Wszystko w porządku? - zapytał, spoglądając na mnie. - Może zaprowadzę panienkę do domu?

- Nie, nie trzeba - skłamałam. Miałam wrażenie, że ręce i nogi mam z galarety. Bolała mnie każda kość, a skóra w miejscu gdzie się styka z siodłem, piekła tak, jakbym się poparzyła. Jem podjechał do bramy ogrodowej i zawołał kucharkę. Gdy był zwrócony plecami do mnie, ostrożnie uniosłam spódnicę i obejrzałam sobie nogi. Wydawało mi się, że krwawią, miałam wrażenie, że mam na nich otwarte rany. Jednakże były tam tylko czerwone pręgi, w miejscu gdzie dotykałam siodła i popręgu, oraz kilka brzydkich krwawiących zadrapań na delikatnej skórze.

- Na miłość boską! - zawołała pani Gough. Stała nade mną, podparłszy się pod boki. - Jak panienka wygląda? Proszę natychmiast wejść do domu. Chciałam się podnieść, by wykonać jej polecenie, ale gdy tylko to uczyniłam, znowu ugięły się pode mną kolana, a ziemia zaczęła wyglądać jak dziwaczne schody o nierównych stopniach. Spojrzałam na niezadowoloną twarz naszej kucharki i wyciągnęłam do niej rękę.

- Nie czuję się zbyt dobrze - powiedziałam i upadłam zemdlona u jej stóp. Tak zakończył się ten pełen przygód dzień. Pani Gough może i bywała nieczuła, lecz była za to bardzo skuteczna. Zawołała Stride'a, by zaniósł mnie do sypialni, później przysłała mi miseczkę budyniu, trochę chleba i odrobinę wina. Oczy kleiły mi się bardzo, więc mimo niepokoju o Richarda szybko usnęłam.

Miałam sen. Bardzo zabawny, jakby wszystkie wydarzenia tego dnia splątały się i wymieszały. Zdawało mi się jednak, że to nie ja jestem w tym śnie, lecz jakaś dziewczynka bardzo do mnie podobna. Bardzo podobna, ale mocniej zakorzeniona w Wideacre. Ta dziewczynka nigdy nie zniosłaby dokuczającego jej towarzysza zabaw. Niczego się nie bała. Nie była ani spokojna, ani nieśmiała. Nie przesiadywała wciąż grzecznie w domu. Była podobna do mnie, ale nie odarto jej z dzikości. Byłabym taką dziewczynką, gdybym nie była dzieckiem swej matki.

Siedziała na koniu, gniadym kucu, który swą jasną sierścią przypominał Szeherezadę w blasku jesiennego słońca. Ja jednak jeździłam po lesie, ona zaś mknęła wąską ścieżką prowadzącą na wzgórze. Gdy poganiała kuca, słyszałam swój śmiech, a kiedy oddalała się od rosnących na szczycie drzew, dobiegło mnie moje

60

westchnienie rozkoszy. Po prawej stronie pasły się owce i wiedziałam, że należą one do mnie, więc gdy pasterz uniósł dłoń w leniwym geście powitalnym, podjechałam do niego i powiedziałam, że jeszcze tego popołudnia powinien je umyć w Fenny. Uśmiechnął się i zdjął przede mną czapkę, tak jakbym była samym dziedzicem i mogła zarządzać wszystkim na tej ziemi zgodnie ze swą wolą.

Przymrużywszy oczy, spojrzałam na jasne chłodne niebo, wzrokiem właścicielki omiotłam linię horyzontu.

- Będzie padać - rzekłam, a on potaknął, tak jakby nie było wątpliwości, że mam rację.

- Tak, panno Beatrice - rzekł z uśmiechem. Gdy odjeżdżałam, pomachał do mnie ręką.

Obróciłam się na drugi bok i wtedy usłyszałam jakiś głos mówiący:

„Dziecko szczęścia. Dziecko szczęścia. Zawsze była dzieckiem szczęścia”.

Otworzyłam oczy, zamrugałam. Byłam zagubiona jak zbudzona w środku dnia sowa. Rozejrzałam się po pustym słonecznym pokoju. Cienie na ścianach wskazywały, że spałam tylko kilka minut. Przypomniał mi się Richard, więc spróbowałam wstać, by sprawdzić, czy zdążył bezpiecznie dotrzeć do domu. Niestety w głowie kręciło mi się tak mocno, że z powrotem opadłam na poduszki. Czekając, aż ściany pokoju przestaną mi wirować w oczach, znowu zapadłam w sen.

Spałam aż do popołudnia, ominęło mnie więc poruszenie związane z powrotem Richarda do domu. Znalazł go Dench. Chłopiec miał złamany obojczyk i lewe ramię, więc nasz stajenny podarł koszulę i zrobił mu prowizoryczny opatrunek. Potem przewiesił go przez grzbiet konia i przywiózł do Acre. Mama wysłała tam powóz, do którego kowal i jeden z synów młynarza wnieśli Richarda, owinęli pledem i odesłali do domu. W czasie podróży po wyboistej drodze nie czuł bólu, bo Dench dał mu nieco laudanum otrzymanego od pani Green. Kiedyś schowała tę małą flaszkę przed komornikiem, potem oparła się pokusie, by ją wymienić na jedzenie, teraz wybiegła z nią, gdy Dench z Richardem przejeżdżał koło młyna.

Położyli rannego do łóżka i wezwali lekarza z Midhurst. Ten pochwalił

Dench za dobrze zrobiony, prosty opatrunek, nastawił ramię i obojczyk i zalecił, by chory przez co najmniej tydzień przebywał w łóżku.

61

Następne dni minęły nam bardzo spokojnie. Richard z początku gorączkował, więc siedziałam przy nim, zwilżałam mu czoło wodą z octem i czytałam opowiadania, by go rozerwać. Czwartego dnia poczuł się na tyle dobrze, że zaczął ze mną rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Opowiedziałam mu o pani Green i kowalu oraz o szybkiej decyzji Dencha, który w zalanym słońcem lesie postanowił wziąć konia, a mnie wysłał, bym zaalarmowała wieśniaków.

- Jak się dostałaś do Acre? - zapytał. Leżał na plecach oparty o stos poduszek, twarz miał bladą.

Piegi na kremowej skórze wyglądały jak okruchy czekolady. Spuścił powieki ocienione długimi rzęsami.

- Konno - odparłam i serce załomotało mi w piersi. Siedziałam przy oknie, tak aby słońce padało na otwartą książkę, którą trzymałam na kolanach. Nagle dotarło do mnie, że Richard mógłby mieć coś przeciwko temu, że jechałam na Szeherezadzie, nawet w tak nagłym przypadku. Z nieruchomych warg i ciemnych rzęs wciąż rzucających cienie na policzki nic nie mogłam wyczytać.

- Dench kazał mi wziąć Szeherezadę, a on tymczasem przeszukiwał las. Nie było innego wyjścia - powiedziałam.

Ciągle spoglądał na kołdrę.

- Dench kazał ci jechać na moim koniu - rzekł cicho.

- Julio... ty przecież nie potrafisz jeździć.

- Wiem! - zawołałam śmiejąc się nerwowo. - Wiem, że nie potrafię. Dench jednak wsadził mnie na siodło, a Szeherezada była po prostu wspaniała, chyba dzięki twoim treningom!

- Rzuciłam spojrzenie na jego ciągle kamienną twarz. - To ona znalazła drogę do domu. Ja po prostu siedziałam. Nie jechałam tak, jak ty to robisz.

- Szłaś tylko stępa?

- Nie przez całą drogę - odparłam z wahaniem.

- Nie przez całą drogę - powtórzył tak wolno, jakby zapisywał moją odpowiedź w zeszycie. - Nie przez całą drogę.

Kłusowałaś?

- Tak - powiedziałam szybko. Zbyt szybko. - Trochę kłusowałam.

- Kłusowałaś - powtórzył znowu. - Po raz pierwszy jechałaś konno i kłusowałaś? Unosiłaś się czy tylko waliłaś siedzeniem w siodło, trzymając się kurczowo i licząc na cud?

62

- Kłusowałam tak jak trzeba! I galopowałam!

Richard poderwał głowę. Oczy miał tak ciemne jak chmura burzowa.

- Wzięłaś konia bez mego pozwolenia i galopowałaś?

- Richardzie! - powiedziałam zrozpaczona. - Ja musiałam. Musiałam.

Dench mi kazał. On pojechał cię szukać, a ja musiałam wezwać ludzi i zawiadomić mamę. Nie mogłam odmówić. Dench wiedział, co robi, i to on mi kazał!

Zapanowało milczenie.

- A więc to Dench? - spytał.

- Tak.

- Powinnaś mu była odmówić - rzekł nieco nachmurzony.

- Nie wiedziałam, co robić. Naprawdę nie wiedziałam. Sądziłam, że on wie, więc go posłuchałam.

- Nigdy mnie nie lubił - powiedział, wpatrując się w pustą ścianę.

Wydawało mi się, że widzi na niej nieruchomą twarz Dencha. Oczyma wyobraźni ujrzał kamienną twarz stajennego, gdy ten przyglądał się szamotaninie Richarda podczas lekcji jazdy i słuchał wrzasków dziadka. - To nie stało się podczas pierwszej lekcji jazdy, tylko wcześniej. Nigdy mnie nie lubił. Chciał, żebyś to ty dostała Szeherezadę - mówił zadumany, odtwarzając w pamięci tamtą scenę na dziedzińcu stajni i przypominając sobie uśmiech Dencha, gdy zbliżałam się do klaczy. - Wykorzystał mój wypadek, żeby cię na nią wsadzić.

Nie odpowiedziałam. Wiedziałam, że to nieprawda. Ale groźba wściekłości Richarda zdawała się oddalać ode mnie. W piersiach czułam lodowaty chłód, a kołatanie w głowie ostrzegało, że jeśli natychmiast nie opuszczę tego dusznego pokoju, dostanę zawrotów i mdłości. Cicho siedziałam przy oknie, chłodna szyba ziębiła mnie w plecy. W obawie przed wybuchem Richarda bałam się stamtąd ruszyć.

- To wina Dencha - orzekł.

- Tak, tak - powiedziałam, myśląc jedynie o tym, jak się stąd wydostać.

Richard nie powiedział nic więcej, a ja siedziałam nieruchomo.

Kiedy znowu na mnie spojrzał, z ulgą zauważyłam, że jego oczy są błękitne i zamglone, jakby o czymś śnił na jawie i był bardzo szczęśliwy.

Uśmiechnął się do mnie, uśmiechnął się tak słodko jak najdroższy przyjaciel.

63

- Nie bądź taka przestraszona, Julio. - Powiedział to tak, jakby mówił coś

śmiesznego. - Nie jestem już zły na ciebie. Myślałem, że to twoja wina, ale teraz widzę, że to przez Dencha.

Ostrożnie odwzajemniłam jego uśmiech.

- Jesteś pewna, że to on kazał ci jechać na moim koniu? Czy nie przyszło ci do głowy, że możesz sama wykorzystać tę możliwość?

- Nie - odrzekłam pospiesznie. - To był jego pomysł.

- To dobrze. - Posłał mi jeden ze swych anielskich uśmiechów i wyciągnął do mnie prawą rękę, a ja ujęłam ją w swe zlodowaciałe palce.

Posłuszna jego woli osunęłam się na kolana obok łóżka. Richard położył mi dłoń na twarzy i delikatnie jak kochanek poklepał po policzku. Potem pocałował w czoło, tam gdzie zaczynał się ten okropny ból. Pod jego dotykiem rozplynęło się napięcie, zniknął lęk i ustało kołatanie w głowie.

- Już lepiej, prawda?

- Tak - odparłam cicho.

- Nie znoszę, gdy się kłócimy - wyszeptał. - Najgorszą dla mnie rzeczą na świecie jest myśl, że jesteś samolubna i niedobra. Musisz mnie kochać tak jak prawdziwa dama. Musisz być czysta i bezinteresowna.

Mrugałam, starając się ukryć łzy.

- Ja się staram. Ciągłe się staram. Uśmiechnął się ciepło.

- Wiem - rzekł łagodnie. - I tak być powinno. Położyłam głowę na poduszce i wdychałam słodki zapach

jego ciepłego ciała i ciemnych loków. Czułam niezwykły spokój. Richard nie był już na mnie zły.

ROZDZIAŁ Trzeci.

Ręka i obojczyk Richarda zrastały się bez żadnych komplikacji,

ustępowała też gorączka. Lekarz, który ponownie przybył z Midhurst, by

sprawdzić, jak postępuje kuracja, powiedział mamie, że nie widzi konieczności następnej wizyty. Pacjent był bardzo rozdrażniony, kiedy przebywał w ciasnej i niskiej sypialni, odkąd jednak pozwolono mu schodzić na posiłki i pojawiał się na dole wystrojony w stary żakiet dziadka, znowu stał się uroczym chłopcem. Przeszłam już do porządku dziennego nad jego wybuchem złości o Szeherezadę. Fakt, że widziano mnie pędzącą na koniu, który zrzucił Richarda, bardzo uraził jego dumę. Jednakże gdyby nie ból i gorączka, to na pewno nie zachowałby się tak brzydtko.

Mając to na uwadze, ukrywałam swoje wyprawy do stajni z okruchami czerstwego chleba dla Szeherezady. Nie marzyłam nigdy o tym, by kiedyś jeszcze na niej pojeździć. Rozzłościłam się nawet na Dencha, którego zastałam zatopionego w pogawędce z Jemem na dziedzińcu naszej stajni, kiedy opowiedział mi, że wyszukał jakieś tanie siodło damskie na sprzedaż.

- Nie wolno mi na niej jeździć - oznajmiłam. Równie dobrze mogłabym próbować odeprzeć swą największą pokusę słowami: „Odejdź ode mnie”. - Ona nie należy do mnie, ale do Richarda. Dench był szczery.

- Panicz nie umie jeździć. Zawsze się jej obawiał, a ona była przy nim niespokojna. Niech mu panienka powie, że będzie ujeżdżać klacz dla niego - teraz gdy on ma złamaną rękę. Jem da panience wskazówki.

65

Jem uśmiechnął się i skinął głową.

- Koń potrzebuje treningu. - Dench powiedział to tak, jakbym miała zrobić Richardowi łaskę, a nie sprawić sobie największą przyjemność. -

Nie lubi być zaniedbywany. Jeśli będzie cały dzień tkwić w stajni, stanie się znudzony i drażliwy. Proszę powiedzieć paniczowi, że Szeherezada musi wychodzić. Może pozwoli panience jeździć pod swoim okiem.

- Powtórzę mamie, że koń powinien trenować. Ale nie wiem, czy pozwolą mi jeździć.

- Szkoda - rzekł krótko. Jem pokiwał głową.

- Panienska powinna walczyć o swoje. Nic nie odparłam. Jem zaproponował:

- Może panienska chce ją oprowadzić po sadzie?

- O tak! - odparłam, więc wyprowadził ją z boksu. Szeherezada natychmiast ruszyła pędem, Dench uskoczył jej z drogi i wyciągnął rękę, by chwycić za uzdę. Stałam nieruchomo. Klacz zatrzymała się przede mną, jakby to do mnie tak się spieszyła, i zaczęła mi obwąchiwać przód sukienki. Złapałam jej miękki pysk i przyłożyłam do swego policzka.

Wtedy właśnie dostrzegłam jakiś ruch w oknie biblioteki i zamarłam.

Richard mnie obserwował. Gdy go zobaczyłam, instynktownie odsunęłam się od konia. Wstydziałam się tak, jakby przyłapał mnie na grzebaniu w jego rzeczach lub czytaniu cudzych listów. Podniosłam dłoń i pomachałam do niego, ale nie zareagował. Cofnął się i zniknął, zanim Dench i Jem zdążyli go zobaczyć.

- Richard nas widział - rzekłam słabo. - Nie pójdę z nią do sadu, idź ty, Jem.

Jem syknął przez zęby i przymocował do uzdy długą linkę. Spojrzał znacząco na Dencha, ale się nie odezwał.

- Muszę iść - powiedziałam. Zostawiłam ślicznego konia

i wróciłam do salonu.

Ten dzień był trochę nudny, podobny do innych, a jedyną jego atrakcją stała się gra w pikietę przy stole w salonie. Wygrałam sto czternaście funtów - płatnych w guzikach - i Richard ogłosił swe bankructwo, po czym rzucił karty. Spojrzał na mamę siedzącą przy kominku i zapytał, zupełnie tak, jakby to pytanie przyszło mu do głowy w tej chwili:

- Ciociu, co lord Havering zamierza zrobić z Denchem?

66

- Z Denchem? - powtórzyła zaskoczona. - A co ma być z Denchem?

Richard zrobił zakłopotaną minę.

- Oczywiście dostał naganę za to, że wystawił życie Julii na takie niebezpieczeństwo?

Mama przez chwilę milczała.

- Byłam wtedy taka wstrząśnięta - powiedziała wreszcie.

- Kiedy przyniósł cię do domu i zobaczyłam, że jesteś już bezpieczny, nie powiedziałam mu ani słowa. Zresztą wszystko działo się tak szybko!

- Wydawało mi się, że bardziej troszczysz się o Julię

- ciągnął ze zdumionym wyrazem twarzy. - Czyż nie zemdląca po powrocie do domu?

- Tak... - zawahała się.

- Przecież gdyby zemdląca na koniu, mogłaby spaść i skrócić kark. -

Przerwał. - Dench nie powinien był sadzać jej na Szeherezadzie. Mogła ją przecież zrzucić. Zrzuciła mnie, mimo że już od kilku miesięcy uczyłem się jeździć.

Mama była poruszona.

- Powinnam była o tym pomyśleć... - rzekła z poczuciem winy. Potem

zwróciła się do mnie: - Wyglądałaś tak pewnie i jechałaś świetnie. Byłam pewna, że panujesz nad koniem. Uznałam, że za plecami Richarda urządzałaś sobie przejażdżki po padoku.

- Nie! - powiedziałam szybko. - Nigdy tego nie robiłam. Dench kazał mi na nią wsiąść, więc wsiadłam.

- To okropne! Wysłał ją w jej pierwszą samotną podróż na wielkim niebezpiecznym koniu - rzekł Richard. - Jechała okrakiem... i to przez Acre!

Mama ściągnęła brwi.

- Byłam nierozważna. Nie zastanawiałam się nad tym, bo oboje byliście już bezpieczni w domu, ale przyznaję ci rację. Porozmawiam o wszystkim z moją matką.

Zmartwiona pokręciła głową i pochyliła się nad swoją robótką, by odciąć jakąś nitkę. Gdy znowu podniosła oczy, uśmiechnęła się z wdzięcznością do Richarda.

- Jesteś wspaniałym panem domu, Richardzie. Masz świętą rację.

Ja również uśmiechnęłam się do niego. Rozparty w fotelu promieniował prawdziwym męskim autorytetem.

67

Następnego dnia spotkaliśmy się z lady Havering. Jadąc do Chichester, wstąpiła do nas, by sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujemy. Mama długo stała obok jej powozu i mówiła coś z przejęciem. Byłam pewna, że babcia srodze zgani Dencha za to, że naraził mnie na niebezpieczeństwo, i że będzie bardzo zgorzonna tym, iż jechałam okrakiem z podkasaną spódnicą. Miałam jednak nadzieję, że nie spotka go nic gorszego niż jedna z wrzaskliwych tyrad dziadka. Wiedziałam, że w ogóle się tym nie

przejmie.

Sprawy przybrały jednak zły obrót. Dziadka nie było w domu, a pod jego nieobecność domem rządziła lady Havering. Kiedy usłyszała skargę mamy, zrezygnowała z wyjazdu do miasta. Zła i obrażona wróciła do dworu, wpadła do stadniny i odprawiła Dencha. Wypłaciła mu tygodniowy zarobek, nie dała referencji i nie chciała go wysłuchać.

Dench spakował walizki i opuścił pokój nad stajnią, w którym mieszkał od dwudziestu lat. Pieszko przebył długą drogę do Acre, gdzie mieszkał z rodziną jego brat - wszyscy strasznie biedni. Po obiedzie, który składał się z chleba ryżowego i owsianki, przyszedł do Dower House, gdzie tak niedawno przywiózł Richarda, a mama płakała i błogosławiła go.

Nie było Stride'a, więc zamiast niego do salonu weszła pani Gough i oznajmiła, że Dench czeka pod drzwiami. Mama miała niezdecydowaną minę.

- Mam nadzieję, że nie jest pijany i nie będzie się awanturował - rzekł lękliwie Richard.

To przeważyło szalę. Mama podeszła do skrzynki z przyborami do pisania, wyjęła kawałek papieru i owinęła w niego dwuszylingówkę.

- Powiedz mu, że ubolewam nad tym, iż go wyrzucono, ale nie mogę się wtrącać w domowe sprawy mojego ojczyma - powiedziała z zakłopotaniem. - I daj mu to ode mnie.

- Już ja mu powiem - wojowniczo odezwała się kucharka. - Też pomysł: narzucać się pani w jej własnym domu. - Wymaszerowała z pokoju, ściskając w dłoni monetę.

Choć drzwi do kuchni były zamknięte, słyszeliśmy, jak wymyślała Denchowi i jak on krzyczał coś w odpowiedzi. Zerknęłam na mamę.

Twarz jej poszarzała. Zdałam sobie sprawę, że się boi.

- Nic się tam nie dzieje, mamó. Pani Gough ma ostry język, a Dench z pewnością potrafi się jej odwzajemnić. Tylko tyle.

- Jest bardzo zawzięty - zaprzeczył Richard. - Mam nadzieję, że cała ta sprawa szybko się zakończy. Nie chciałbym, by przychodził do naszego domu albo włóczył się po wsi i sprawiał nam kłopoty. Lord Havering mówi, że Acre to beczka prochu pełna podpalaczy. Dench to po prostu kolejny chętny do podpalenia lontu.

Wycofałam się do sieni pod byle pretekstem. Drzwi frontowe były otwarte. Narzuciłam płaszcz i wybiegłam. Na drodze niewyraźnie majaczyła sylwetka Dencha, który wracał do Acre. Nawet z tej odległości widziałam, że zwiesił ramiona i porusza się bez zwykłej swobody. Ruszyłam za nim.

- Dench, jest mi tak przykro! - krzyknęłam. Zatrzymał się, gdy usłyszał, że za nim biegnę, ale na te słowa

odwrócił się i ciężko poszedł przed siebie. Znow ruszyłam za nim.

- Kiedy dziadek wróci, powiem mu, że nic mi nie groziło. Babcia źle zrozumiała to, co się wydarzyło. Wiesz przecież, jaka jest przewrażliwiona na moim punkcie.

Skinął głową.

- Nie musi panienka nic mówić. Nigdy bym nie narażał życia panienki i lord Havering wie o tym. Ale wielmożna pani ma rację nie myślałem wtedy o Acre i nie martwiłem się, że panienka pojedzie okrakiem. Niech mnie diabli porwą, jeśli wiem, co według niej miałem zrobić. Nie mam szansy zapytać o to. Nie mam szansy powiedzieć jej, iż zastanawiałem się tylko nad tym, skąd wziąć ludzi do szukania panicza. - Przerwał. - Gdy wielmożny pan wróci do domu, pewnie znajdzie mi jakieś

miejsce. Słabe to wynagrodzenie za dwadzieścia lat pracy.

- Tak mi przykro - powtórzyłam. - To nie jest sprawiedliwe.

- Ano - powiedział i po raz pierwszy usłyszałam w jego głosie szczyptę goryczy. - Nie ma sprawiedliwości dla biednych. wiem, komu to zawdzięczam. Żałuję, że ten koń nie padł po tym, jak zrzucił panicza. Moja bratowa musi mnie teraz karmić, chociaż w jej chałupie jest pełno głodnych gąb. Ale panienka tego nie zrozumie. Proszę iść do domu. Nie winię panienki.

Chwilę patrzyłam na niego. Potem ze smutkiem skinęłam głową i zawróciłam do domu. Znalazłam się w salonie, gdzie jasno płonęły świece i grano w karty.

69

Nie zapomniałam jednak o tym, że Szeherezada potrzebuje treningu i jeszcze tej nocy zatrzymałam Richarda u stóp schodów wiodących do jego sypialni.

- Richardzie, czy sądzisz, że mogłabym poprosić mamę o zgodę na wyprowadzenie Szeherezady na padok albo nawet do lasu? Nie chcę oczywiście jej ujeżdżać, chciałabym z nią tylko spacerować. Jem powiedział mi dziś rano, że w czasie, gdy ty nie możesz jeździć, powinna być chociaż wyprowadzana.

W słabym odblasku świecy nie widziałam dokładnie jego twarzy.

- Chciałabyś? - spytał.

- Tak - odpowiedziałam, ale zaraz ostrożnie dodałam: - Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Pewnie chciałabyś również uczyć się jazdy? Mogę cię uczyć,

gdy wyzdrowieję.

- Richardzie, naprawdę? - zawołałam i złapałam go za zdrową dłoń. Świeca omal z niej nie wypadła, cienie na ścianie najpierw urosły, potem skurczyły się. - Byłabym zachwycona! Wiedziałam, że mi na to pozwolisz! Jesteś taki kochany, kochany, kochany! Może gdy wygoi ci się ramię, dziadek poszuka dla mnie kucyka i będziemy mogli codziennie wyjeżdżać razem. Możemy uczyć się skoków! I... ach, Richardzie... może dziadek zabierze nas na polowanie! Będziemy sławnymi jeźdźcami, tak jak twoja mama!

Zaśmiał się, ale w jego głosie pobrzmiwało napięcie, kiedy powiedział:

- Dobrze! Dobrze! Nie zapalaj się tak! Weź pod uwagę moją chorą rękę! Nie ściskaj mnie pod żadnym pozorem! Zrobiłam krok w tył i zaczęłam tańczyć z radości.

- Przepraszam! - zawołałam. - Ale, och, Richardzie...

- Uspokój się. Od początku wiedziałem, że chcesz na niej jeździć.

- Jesteś najlepszym kuzynem na świecie - rzekłam wylewnie. W tym momencie usłyszeliśmy kroki mamy, która weszła do sieni i skierowała się na schody. Czmychnęliśmy do swoich sypialni.

Nie mogłam zasnąć z podekscytowania. Wreszcie zapadłam w lekką drzemkę. Wczesnym rankiem coś mnie obudziło. Usłyszałam kroki na schodach, blisko moich drzwi.

- Kto tam? - zawołałam.

- Ciii - szepnął Richard, otwierając drzwi. - To ja. Ktoś włóczy się koło stajni. Usłyszałem hałas, zszedłem na dół i zobaczyłem go z okna biblioteki.

- Kogo? - spytałam ciągle jeszcze zamroczone snem.

- Nie wiem. Jest zbyt ciemno. Otworzyłem okno, krzyknąłem i on uciekł.

- Któż mógłby to być i czego mógłby szukać w stajniach? Och, Richardzie, chyba nic się nie stało koniom? Może powinniśmy obudzić mamę?

- Widziałem głowy koni nad drzwiczkami boksów - uspokoił mnie. - Jediną osobą, która przychodzi mi na myśl, jest Dench. Sylwetka, którą widziałem, bardzo go przypominała. Chyba wie, że po tej awanturze, którą wczoraj urządził, nie byłby tu mile widziany.

- Co robimy? - spytałam. W łóżku było ciepło i przytulnie. Nie uśmiechała mi się perspektywa wychodzenia z niego. Skoro Szeherezada była bezpieczna, niewiele obchodzili mnie nocni włóczędzy.

Richard ziewnął szeroko.

- Myślę, że możesz iść spać - rzekł. - Nie zauważyłem żadnych szkód. Jeśli to nawet był Dench, to pewnie zdążył już zbiec. Mamie powiem o tym rano, nie będziemy jej teraz budzić.

- A rano sobie pojeżdżę - powiedziała rozkosznie senna. - Wyjdiesz ze mną i dasz mi pierwszą lekcję, tak?

- Oczywiście - odparł pobłaźliwie. - Pierwszą lekcję. Do jutra, maleńka. Od razu ponownie zapadłam w sen, ale byłam tak podniecona perspektywą przejażdżki, że obudziłam się wcześniej. Wskoczyłam szybko z łóżka, włożyłam najstarszą sukienkę i z tupotem zbiegłam po schodach. Pani Gough też już wstała i była zajęta szykowaniem czekolady dla nas.

Powiedziałam, że wrócę, by ją wypić, lecz najpierw muszę się zobaczyć z Szeherezadą.

Popatrzyła na mnie surowo, ale nie zwróciłam na to uwagi. Wysunęłam się kuchennymi drzwiami i pobiegłam do sadu. Zebrawszy tam jabłka strząśnięte przez wiatr, zawróciłam do stajni.

- Szeherezado! - zawołałam już od drzwi. Na dźwięk mego głosu zwykle wysuwała głowę nad drzwiczkami boksu. Tym razem nie uczyniła tego. Znowu ją zawołałam i nagle poczułam straszny niepokój. Nie słyszałam, żeby się poruszała.

71

- Szeherezado? - powtórzyłam niepewnie, potem zajrzałam do boksu. Leżała na słomie. Przez moment wydawało mi się, że jest chora, bo na mój widok zaczęła poruszać nogami tak jak usiłujące się podnieść źrebę. Kiedy oczy mi przywykły do ciemności, zobaczyłam, że na słomie jest krew. To głupie stworzenie skaleczyło się.

- Szeherezado! - powiedziałam, tym razem z wyrzutem. Gwałtownie otworzyłam drzwi i przeszłam pod poziomą belką, która zagradzała wyjście z boksu. Znowu się poruszyła, uniosła przednią połowę ciała, ale jej tylne nogi wyglądały na całkowicie bezwładne. Nagle zrozumiałam, że jest ciężko ranna. Słoma wokół niej cuchnęła moczem i była czerwona, przerażająco czerwona w jasnym świetle poranka. Jej piękny długi ogon koloru miedzi był pokryty zaschlą krwią. Z pewnością krwawiła przez większą część nocy. Gdy znowu spróbowała się unieść, zobaczyłam, że na obu tylnych nogach ma wyraźne cięte rany.

Wyglądały jak cięcia nożem.

Bliska obłądu rozejrzałam się wokół, szukając wzrokiem metalowego kubła o ostrych brzegach, porzuconego tu lemiesza czy też czegoś innego, co mogło spowodować te symetryczne zranienia. Dwa czyste niewielkie cięcia, każde w poprzek ścięgien jej wspaniałych nóg, mogły zostać zrobione nożem. Wyglądały na zrobione nożem. Zostały zrobione nożem. Ktoś wszedł do stajni i okaleczył nożem piękną klacz Richarda, by ten już nigdy nie mógł jej dotrzeć.

Na widok tych ran nie uroniłam ani jednej łzy, ale moim ciałem wstrząsał spazm. Powlokłam się do domu, wiedząc, że ktoś musi powiedzieć Richardowi o tym, że jego klacz, jego cudowna klacz została okaleczona. Kochałam go tak bardzo, że nawet ogarnięta rozpaczą i przerażeniem wiedziałam, że muszę to być ja. Zrobił to Dench.

Richard od razu powiedział, że to Dench. Dench, który wiedział, że życie jest niesprawiedliwe. Nie mogłam zrozumieć, jak człowiek, który całe życie opiekował się końmi, mógł uczynić coś takiego. Mama z pobladłą i ściągniętą twarzą powiedziała, że bieda napędza ludzi nienawiścią i wyrządza dziwne i przerażające szkody w ich umysłach.

Jak powiedział Richard, Dench w nocy włóczył się koło stajni. Był rozżalony na nas i Haveringów. Wygrażał nam w naszej

72

własnej kuchni. Nawet ja musiałam przyznać, że to zawzięty człowiek.

Mama wysłała Jema z tą wiadomością do Acre, do kowala. Ned przyszedł do zalanej krwią stajni i orzekł, że ścięgnięta się nie zagoją, a klacz nie będzie już nigdy zginać nóg. Na zawsze zostanie kulawa.

- Trzeba ją zabić, wielmożna pani - powiedział. Stał w sieni, był bardzo zakłopotany, a jego brudne buty zostawiały ślady na błyszczącej posadzce.

- Nie! - krzyknął Richard chyba szybciej, niż pomyślał. - Nie! Nie można jej zabić. Wiem, że będzie kulawa, ale nie zabijajmy jej!

Ned zwrócił ku niemu swą szeroką nieruchomą twarz.

- Nie nadaje się do niczego. To zwierzę robocze, nie zabawka. Skoro nie można na niej jeździć, nie ma po co jej trzymać. Lepiej, by była martwa niż okaleczona.

- Nie! - powtórzył Richard. Wydawało mi się, że w jego głosie zabrzmiała panika. - Nie chcę. Jest moja. Mam prawo decydować o jej życiu lub śmierci.

Mama lekko potrząsnęła głową, wzięła go pod rękę i zaprowadziła do salonu.

- Kowal ma rację - powiedziała cicho, potem dyskretnie kiwnęła głową Nedowi. - Trzeba ją zabić.

Wciąż stałam w sieni. Kowal rzucił mi smutne spojrzenie.

- Jest mi bardzo przykro, panienko - odezwał się łagodnie.

- To nie mój koń - powiedziałam żałośnie. - Tylko raz na nim jechałam.

- Tak. Ale wiem, że panienska ją bardzo kochała. To była piękna klacz.

Niezgrabnie ruszył w swych wielkich butach do drzwi frontowych i podniósł młot, który za nimi zostawił. Później poszedł prosto do boksu, gdzie Szeherezada leżała na słomie jak nowo narodzone, słabe źrebię.

Zabił ją silnym ciosem młota między ufne brązowe oczy. Potem przyszli jacyś ludzie z Acre i załadowali ogromne bezwładne ciało na wóz.

- Co z nią zrobią? - spytałam. Nie mogłam się oderwać od okna salonu, musiałam zobaczyć ciężki wóz toczący się po drodze i leżące na nim bezwładne ciało ze sterczącymi nogami.

Mama spojrzała na mnie ponuro.

- Sądzę, że zjedzą ją tam we wsi - odparła ze wstrętem. Wydałam okrzyk przerażenia i odwróciłam głowę. W milczeniu opuściłam salon i poszłam do swojego pokoju. Tam rzuciłam się na łóżko i zaczęłam bezmyślnie patrzeć w sufit. Wiedziałam, że Richard woli teraz być sam, dlatego nie poszłam do niego. Siedział w pustej bibliotece na jedynym znajdującym się tam krześle, plecami do okna, które wychodziło na podwórze i stadninę. Nie chciał widzieć, jak Jem usuwa ściółkę z pustej przegrody, którą potem szoruje.

Dench zniknął bez śladu.

Tak powiedział Ned, gdy wrócił do drzwi kuchennych, by umyć ręce i odebrać zapłatę. Uznałam, że ucieczka dowodzi jego winy, ale wciąż nie mogłam tego zrozumieć. Ned powiedział pani Gough, że Dench zniknął, gdy tylko usłyszał, iż koń zostanie zabity.

- On wiedział, czyja to wina - rzekł.

- A kto inny mógłby to zrobić? - ostro zapytała pani Gough. - Nikt inny w całym hrabstwie nie ma żadnych pretensji do naszego kochanego chłopca. To nieszczęście złamało mu serce. Skąd on weźmie nowego konia? Przecież nie można być dżentelmenem, jeśli nie ma się konia pod wierzch, prawda?

- Nie może być dżentelmenem ten, kto nie umie się na koniu utrzymać! - odparł Ned ze złością.

- Wynoś się z mojej kuchni! - zawołała z właściwą sobie gwałtownością. - Razem ze swoim złośliwym jęzorem. Wracaj do Acre. Każdy z was to podżegacz, podpalacz i morderca koni!

Ned wyszedł z gorzkim uśmiechem. Wrócił do wioski, którą nasz dziadek nazwał kiedyś wsią bezprawia, oddalonej od naszego domu zaledwie o półtorej mili.

Nie bacząc na naszą obecność, dziadek klął straszliwie, gdy mama opowiedziała mu całą tę historię. Później uprzejmie zwrócił się do Richarda i obiecał mu, że gdy tylko wyzdrowieje, znowu dostanie konia. Nowego konia na własność.

Richard uśmiechnął się i podziękował. Był jednak niepokieszony. Spokojnie oznajmił, że nie chce innego konia, a w każdym razie nie teraz.

- Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek zdołali ją zastąpić.

Dorośli pokiwali głowami i zgodzili się z nim. A mnie bolało serce na wspomnienie ślicznej Szeherezady i tej cudownej przejażdżki, którą na niej odbyłam.

74

Przede wszystkim jednak bolałam nad nieszczęściem Richarda, nad tym, że koń, którego kochał, został zabity.

Dziadek rozwiesił plakaty informujące o nagrodzie za ujęcie Dencha. Okaleczenie zwierzęcia to bardzo poważne przestępstwo. Dench mógł zostać skazany na banicję lub - co bardziej prawdopodobne - powieszony. Nikt jednak się nie zgłosił z informacjami, a rodzina w Acre nie miała od niego żadnych wiadomości. Dziadek komentował to jadowicie:

- Akurat im wierzę! Mówię ci, moja droga, im szybciej twój cenny John MacAndrew wróci do domu i zaprowadzi porządek we wsi, tym lepiej. Porządny człowiek nie może spokojnie spać we własnym łóżku, mając pod bokiem taką bandę morderców.

Mama spuściła głowę, jakby wstydziła się, że nasza wieś jest takim okropnym miejscem, a ja czułam, że nie chce, by dziadek pomstował na Acre w mej obecności. Między tą wsią, gdzie żona młynarza nie chciała posłać swych chłopców po syna Beatrice Lacey, a naszą rodziną istniała od lat głęboka wrogość. Mama nie zamierzała mi o tym opowiadać.

Zauważałam wszystkie tego oznaki. Mama nie chodziła do wsi. Gdy tylko mogła, jeździła do katedry w Chichester, a nie do naszego parafialnego kościoła. Buty zamawialiśmy w Midhurst, choć szewc z Acre był bez pracy. Pranie posyłaliśmy do Lavington. A wszystko sprowadzało się do tego dziwnego zdania kowala o tym, że Beatrice stała się zła.

Richard zdawał sobie sprawę z tego, że we wsi panuje napięcie. Mówił o tym otwarcie:

- To szumowiny. Nie pracują dla nikogo, nie uprawiają swych poletek. Są złodziejami i kłusownikami. Kiedy zostanę dziedzicem, pozbędę się wielu z nich, a tę brudną wioskę zrównam z ziemią.

Nabrałam powietrza w płuca i potrząsnęłam głową z cichą dezaprobatą.

Wiedziałam, że te słowa dyktuje Richardowi jedynie młodzieńcza brawura. On się bał. Miał tylko jedenaście lat i powody do strachu.

Wiejskie dzieciaki prześladowały go. Wiedziały, podobnie jak my dwoje, że wieś i rodzina z Wideacre to zaprzysiężeni wrogowie. Po ucieczce Dencha wszystko się pogorszyło. Dzieci wygwizdywały Richarda i wyśmiewały go, gdy mijał je, niosąc pod pachą książki. Drwiły z jego starego płaszcza i zniszczonych butów, które powoli zaczynały być za ciasne. A kiedy nie mogły wymyślić już

dziedzicem i Laceyem, chociaż nie umie się utrzymać na koniu.

Wystraszony Richard kroczył między tą zgrają, a oczy błyszczały mu jednocześnie i buntem, i nienawiścią. Uważał ich za motłoch i był przekonany, że jeśli jednego z nich wyzwie do walki, zaatakują go wszyscy. Wydaje mi się, że obawiał się jeszcze czegoś, iż dorośli wyjdą z chat, będą się gapić, jak syn pani Beatrice szamoce się na wiejskiej drodze, i nie zrobią nic, by mu pomóc.

Większości tych rzeczy domyśliłam się sama. Richard był zbyt dumny, by mi się zwierzyć. Mówił tylko, że nie znosi przechodzenia przez wieś, a ja zauważyłam, iż w pogodne dni, kiedy wiejskie dzieci bawiły się na drodze, wychodził wcześniej i szedł okreśną drogą przez pola, omijając Acre.

Nigdy też nie opowiadał o tym mamie. Mój wspaniały, odważny kuzyn Richard nigdy nie powiedział mamie, że się czegoś boi. Raz tylko zapytał ją, co oznacza słowo „maminsynek”. Siedziała właśnie przed lustrem w sypialni i rozczesywała włosy, a on bawił się jedwabną wstążką. Ja siedziałam przy oknie i spoglądałam w zimowe niebo nad lasem Wideacre, tam gdzie odtruwały liście z drzew. Gdy padło to pytanie, uważnie spojrzałam na mamę.

Odłożyła szczotkę i spojrzała na niego, na bladą twarz w kształcie serca i gęstwinę ciemnych włosów, na wstążkę w dłoni i pozę, w jakiej siedział wygodnie u jej boku.

- Skąd znasz to słowo, kochanie? - zapytała spokojnie.

Wzruszył ramionami.

- Dzisiaj we wsi tak krzyczeli za mną - rzekł. - Nie zwróciłem na to uwagi. Nigdy na nich nie zwracam uwagi.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy.

- Będzie dobrze - powiedziała łagodnie. - Kiedy wróci twój tata, wszystko się poprawi.

Chwytał jej dłoń i wdzięcznie jak dworzanin ucałował.

- Nie brakuje mi go. Podoba mi się tak, jak jest.

Nic wówczas nie powiedziałam. Później też nie. Lecz gdy pewnego dnia wrócił do domu blady, z podartym kołnierzem, odgadłam, że sprawy przybrały zły obrót.

Nie wiem, skąd przyszło mi do głowy, że mogę mu pomóc. Nie czułam takiego lęku przed Acre jak on. W Wideacre czułam się jak w domu i nie byłam w niezgodzie z żadną częścią naszej posiadłości - nawet z tą najgorszą wsią w całym hrabstwie.

76

Należałam do tej ziemi, więc należałam też do Acre. Dobrze pamiętałam uśmiech kowala Neda i tę cenną flaszeczkę laudanum, którą pani Green dała dla Richarda.

Użyłam tej flaszeczki jako pretekstu i oznajmiłam, że muszę ją oddać młynarzowej. Powiedziałam, że najpierw pójdę z Richardem do Acre, a później sama do młyna, po czym spotkamy się, by razem wrócić do domu. Richard obdarzył mnie uśmiechem, a mama zdziwionym spojrzeniem.

- Pójdiesz przez wieś? - zapytała.

- Czemu nie - odparłam śmiało. - Odwiedzę panią Green, posiedzę sobie u gospodyni pastora, a gdy Richard skończy lekcje, wrócimy do domu.

- No dobrze - powiedziała. W jej spokojnym tonie kryło się całe morze zastrzeżeń. Domyśliłam się, że nie chce we mnie wzbudzać lęku przed Acre. Myślę, że dostrzegła też u mnie coś, czego nie rozumiała, a co

widowała już przedtem: odwieczne zaufanie Laceyów do tutejszej ludności.

Pobiegłam po płaszcz i kapelusz, bo Richard był gotowy do wyjścia. Mój płaszcz uszyto poprzedniej zimy. Był już za krótki, pił pod pachami i na ramionach, rękawy zaś kończyły się tak wysoko, że między ich mankietem a rękawiczką widać było moje chude zziębnięte nadgarstki. Zauważyłam, że mama patrzy na niego z niezadowoleniem.

- Przykro mi - odezwałam się żartobliwie - że nie mogę przestać rosnąć.

- Cóż, wołałabym, byś przestała - odrzekła z nieco pogodniejszą miną.

Później, gdy wyszliśmy, pomachała do nas dłonią z okna salonu.

Gdy zbliżaliśmy się do wioski, wyczułam niepokój Richarda. Przełożył tobolek z książkami pod drugą pachę i wyciągnął do mnie dłoń. Ściskając się za ręce szliśmy pokrytym kredowym pyłem traktem, mijaliśmy chaty, których okna wydawały się gapić na nas, jakby nie podobał im się nasz widok.

Po lewej stronie mieszkał szewc, który jak zwykle siedział beczynnym w wykuszu okna. Obok znajdował się domek furmana

i był tam wóz, którym wywieziono Szeherezadę. Woźnica dawno już sprzedał konie, lecz wóz udało mu się zatrzymać. Wciąż czekał na nadejście lepszych czasów, zresztą nie miałby dokąd pójść, bo gdyby opuścił swoją parafię, to ani on, ani jego rodzina

77

(w tym sześcioro brudnych dzieciaków) nie mogliby się domagać zasiłku dla ubogich.

Jeszcze dalej było podwórze kowala i jego nieczynna kuźnia. W Acre nikt nie posiadał konia, któż chciałby kupować podkowy? Kiedy mijaliśmy te

chaty, przyglądałam się im i zastanawiałam, jak tylu ludzi mogło przetrwać w takiej małej opuszczonej wiosce. Żywili się zwierzyną z lasu i królikami, które pojawiały się na łąkach. Nie mieli nasion ani sadzonek warzyw, a już na pewno brakowało im pieniędzy na odzież i narzędzia. Byłam tak zaabsorbowana tym problemem, że nie wyczułam czyjejś obecności z tyłu.

O krok za nami znajdowała się gromada obdartych łobuziaków. Nie było ich wielu - może tuzin - ale dla mnie i Richarda stanowili przerażający tłum. Tropili nas jak stado wygłodniałych wilków; mierzyli wzrokiem tobolek z książkami i mój sfatygowany płaszcz, wyobrażając sobie zapewne, że żyjemy w niewyobrażalnym zbytku.

Richard wstrzymał oddech aż do chwili, gdy znaleźliśmy się przed werandą domu proboszcza.

- Julio, nie wracaj tamtędy - poprosił półgłosem, czekając, aż gospodyni go wpuści. - Zaczekaj tu, aż skończę lekcje. Te dzieci mogą na ciebie krzywo patrzeć, mogą ci też powiedzieć coś okropnego.

Uśmiechnęłam się do niego, starając się, by nie dostrzegł, że drżą mi kolana.

- To tylko małe dzieci - powiedziałam lekceważąco - a ja muszę się zobaczyć z panią Green. Nie będę tam długo. Jeśli będą mnie zaczepiać, to ucieknę. Założę się, że biegam szybciej niż każde z nich.

Richard skinął głową. Wiedział, że potrafię biegać szybko jak strzała. Bose wygłodzone dzieciaki nigdy nie byłyby w stanie mnie dogonić, nawet

biegnąc w grupie.

- Wolałbym jednak, żebyś poczekała - powiedział.

- Nie będę czekać. Pójdę - odparłam zdecydowanie. W tym momencie gospodyni pastora otworzyła drzwi. Richard nie ucałował mnie w jej obecności i ze względu na obserwujące nas dzieci, a tylko uściśnął mi dłoń. Ten jeden gest znaczył dla mnie bardzo wiele - dodał mi odwagi. Odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z małymi prześladowcami, po czym ruszyłam w ich stronę.

78

Przy bramie zatrzymałam się i popatrzyłam na nich. Wszyscy mieli ponure i zacięte twarze. Tylko troje górowało nade mną wzrostem - dwóch chłopaków i dziewczynka z cienkim warkoczem. Ona jedna patrzyła na mnie. Wpatrywała się w moją starą sukienkę i ciasny płaszcz tak, jakbym była wystrojoną na bal księżniczką. Wsadziłam ręce w kieszenie i spokojnie odwzajemniłam jej spojrzenie. Później bardzo wolno otworzyłam bramę i wyszłam na drogę.

Zaskoczyłam ich. Chyba sądzili, że zostanę w bezpiecznym zaciszu ogrodu, więc gdy weszłam między nich, rozbiegli się na wszystkie strony. Potem jednak ruszyli za mną krok w krok i całą wiodącą ku łąkom i młynowi ścieżkę przebyłam z tą pstrokatą zgrają za plecami. Gdy tylko znaleźliśmy się w lesie, zaczęli hałasować i gwizdać. Później usłyszałam, jak najstarsza dziewczynka intonuje piosenkę: „Julia Lacey! Julia Lacey! Nie ma powozu! Nie ma powozu!”. Śpiewali ją w kółko.

Zacisnęłam zęby i zmusiłam się, by iść w tym samym tempie. Obrażliwa śpiewka rozlegała się coraz głośniejsze i śmielej. Potem ta sama dziewczynka zmieniła jej tekst: „Julia Lacey! Julia Lacey! Nie ma konia! Nie ma

konia!"

Zagotowało się we mnie na wzmiankę o Szeherezadzie, ale mimo to szłam dalej z uniesioną głową, tak jakbym była sama.

Zacząła więc następną zwrotkę: „Julia Lacey! Julia Lacey! Nie ma ojca! Nie ma ojca!"

- Umarł ze strachu! - odezwał się ktoś inny i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Wzdrygnęłam się na to szarganie pamięci mojego ojca i obrażanie Laceyów.

Trochę się bałam. Podobnie jak Richard bałam się, że mnie otoczą i zaczną się nade mną znęcać. Bałam się, że bardzo ucierpię w tym starciu.

Wiedziałam jednak coś, o czym on mimo całego swego wdzięku i bystrości nie miał pojęcia. Wiedziałam, że jeśli nie staniemy do walki twarzą w twarz z tymi dziećmi, to nigdy nie będziemy mogli spokojnie przechodzić przez Acre.

Richard marzył o pozbyciu się tych ludzi, planował przyszłość, w której każda zniewaga miała zostać po stokroć pomszczona. Ja chciałam żyć na mojej ziemi w zgodzie z rodzinami, które żyły tu tak długo jak Laceyowie. Nie chciałam oczyszczać Acre, pragnęłam tylko przywrócić rzeczom ich właściwe miejsce. Niezależnie od tego, czy wuj John przywiezie pieniądze, czy też wróci biedny

79

jak mysz kościelna, chciałam wkraczać do wioski bez tłumaczenia się i lęku.

Minęłam młyn. Na końcu traktu była wielka jama w ziemi. Kiedyś stał tam podobno ogromny dąb, który wyrwano z korzeniami, gdy Beatrice

zamieniła wszystko na pola uprawne, takie jak to za nami, porośnięte teraz rdzawymi paprociami i fioletowym wrzosem. Doprowadziłam swych prześladowców aż na skraj tej jamy i odwróciłam się twarzą do nich.

Cofnęli się jak stado głodnych psów tropiących borsuka.

- Jak się nazywasz? - spytałam, wskazując dużą dziewczynkę. Popatrzyła na mnie bystrymi niebieskimi oczami.

- Clara Dench - odparła. Z pewnością była bratanicą Dencha.

- A ty? - zwróciłam się do stojącego obok niej chłopca.

- M-M-Matthew Merry - nerwowo mrugając oczami, walczył z jękaniem.

Zdusiłam w sobie nagły chichot. Słyszając to jękanie, poczułam ulgę. Ten przerażający duży chłopak wydał mi się podobny do malca i niegroźny.

- A ty? - ostro odezwałam się do drugiego dryblasa.

- Ted Tyacke - odparł. Patrzył na mnie uważnie, tak jakby oczekiwał, że to nazwisko coś dla mnie oznacza. Nigdy go przedtem nie słyszałam, a mimo to poczułam, jak ciarki przechodzą mi po plecach. Kiedyś w przeszłości Laceyowie musieli bardzo skrzywdzić tę rodzinę. Nie miałam pojęcia, co im zrobili, ale ten nieokrzesany chłopak z pewnością wiedział, że nasze rodziny to zaprzysiężeni wrogowie.

- Jestem Julia Lacey. - Powiedziałam to tak, jakby przez całą drogę nie wyśpiewywali tego nazwiska, i bardzo uważałam, by nie nazywać się „panienką”, choć miałam do tego prawo.

- Byliście bardzo nieuprzejmi wobec mego kuzyna - rzekłam oskarżycielskim tonem. - Dokuczaliście mu.

- A on pewnie przysłał cię, byś stanęła w jego obronie

- zadrwiła Clara. Nie drgnęłam nawet, gdy przysunęła do mnie

swą brudną twarz.

- Nie - odrzekłam spokojnie. - On szedł jak zwykle na lekcje, a ja przyszedłam tu, żeby odwiedzić panią Green. Szliście za mną, więc pytam: czego chcecie?

- Nic nie chcemy od Laceyów - odparł z nienawiścią chłopiec o nazwisku Ted Tyacke. - Nie potrzebujemy twojej łaski.

80

Znamy takich jak ty. - Inni potaknęli i czułam, jak wzbiera w nich złość. Zaczęłam się bać.

- Nic wam nie zrobiłam i niczego nie powiedziałam - zaprotestowałam płaczliwym głosem. Moja słabość dodała im odwagi. Znowu stłoczyli się dookoła mnie.

- Wiemy wszystko o Laceyach - złośliwie odezwała się Clara. - Wiemy o was wszystko. Okradacie biednych. Nie płaciecie dziesięcin. Posyłacie żołnierzy przeciwko młodym ludziom. A wasze kobiety to czarownice. - Ostatnie słowo wysyczała, a ja ujrzałam, jak wszystkie dzieci, nawet te najmniejsze, zginają palce, tworząc znak chroniący przed złymi mocami: kciuki zaciśnięte między palcem wskazującym i środkowym i tworzące krzyż.

- Wszystko to nieprawda - odparłam spokojnie. - Nie jestem czarownicą. Gadacie bzdury. Nic przeciw nam nie macie, a jeśli ktoś powie inaczej, to jest kłamcą.

Clara przyskoczyła do mnie i popchnęła, aż zatoczyłam się w tył. Na skraju jamy straciłam grunt pod nogami i spadłam na jej dno. Małe dzieci zaczęły po prostu wyć z zachwytu, a Clara niezgrabnie zeszła na dół w ślad za mną. Jej brudną twarz rozświetlał złośliwy uśmiech. Poderwałam

się jak na sprężynie i gdy tylko znalazła się obok mnie, rzuciłam się na nią z takim impetem, że od razu upadła na ziemię. Potoczyłyśmy się po dnach jamy, bijąc się i drapiąc. Poczułam w ustach jej podobne do szponów palce i smak krwi. Złapałam ją więc za cienki warkocz i pociągnęłam z całej siły. Wydała okrzyk bólu, potem odruchowo wygięła się do tyłu. Zdołałam wtedy na nią wskoczyć i mocno usiąść na drobnej, chudej piersi. Wówczas też po raz pierwszy odczułam litość nad nią, bo była taka szczupła i lekka.

- Poddajesz się? - spytałam krótko, używając tych samych słów, które zawsze wypowiadał Richard w czasie naszych bitew na niby.

- Tak - rzekła. Nie brzmiało to drwiąco, więc podniosłam się i podałam jej rękę. Przyjęła ją bez zastanowienia i wstała, i potem dopiero zdała sobie sprawę, że stoimy ze złączonymi dłońmi, jakbyśmy dobijały targu.

- Nie będziecie już więcej dokuczać Richardowi - oznajmiłam, odkrywając tym samym mój jedyny cel. Uśmiechnęła się leniwie i niechętnie, ukazując poczerwiałe zęby.

- Dobra - rzekła wolno, a jej sposób mówienia przypominał mi Dencha i jego sympatię dla mnie. - Damy mu spokój.

81

Niezgrabnie opuściłyśmy ręce, zupełnie tak, jakbyśmy już zapomniały, dlaczego stoimy tak blisko jak przyjaciółki. Clara spojrzała mi prosto w twarz i powiedziała nieco innym tonem:

- Krew ci leci. A ja, naśladując ją, odparłam:

- Naprawdę? - Tak, jakby mnie to nic nie obchodziło.

- Chodźmy nad Fenny - zaproponowała. Wszyscy ruszyliśmy przez las nad rzekę, by się napić i opłukać

skaleczenia. Tym razem nie szłam samotnie na czele pochodu, ale ramię w

ramię z innymi dziećmi, które po kolei podchodziły do mnie i przedstawiały się. Uświadomiłam sobie w tym momencie, że nie tylko zapewniłam Richardowi bezpieczeństwo, ale również znalazłam przyjaciół.

Było tam troje dzieci kowala: krępy ośmiolatek Henry, jego siostra Jilly i ich młodszy braciszek, który chcąc dotrzymać kroku starszym, musiał biec. Miał cztery lata i wszyscy nazywali go Mały. Gdy się urodził, sądzono, że umrze, więc dali mu na imię Henry - tak jak jego bratu. Chłopczyk jednak przeżył, a ponieważ w domu było dwóch Henrych, stracił imię.

Clara powiedziała mi - dość zresztą obojętnie - że nie ma to większego znaczenia. Mały prawdopodobnie nie przeżyje nadchodzącej zimy, bo przez cały czas kaszle krwią, tak jak matka, która zmarła zaraz po jego urodzeniu. Odłożyli wówczas o tydzień pogrzeb, aby chłopiec mógł spocząć w jej trumnie i aby pogrzebać dwoje zamiast jednego. Mały jednak przetrwał.

Utkwiłam w nim wzrok. Miał skórę białą jak mleko, z niebieskawym odcieniem. Poczul, że się mu przyglądam, i uśmiechnął się do mnie z taką słodyczą, że odniosłam wrażenie, jakby w jakimś ciemnym kącie zapłonęła jasna świeczka.

- Możesz do mnie mówić Mały - powiedział, oddychając płytko i szybko.

- A ty możesz mnie nazywać Julią - odparłam, wpatrując się w jego drobną buzię z olbrzymimi oczami. Czulałam się okropnie bezradna.

- Ja jestem Jane Carter - powiedziała inna dziewczynka, wysuwając się do przodu. - To moja siostra Emily. Mamy jeszcze jedną siostrę, ale ona jest w

domu z niemowlęciem. Mamy też dwóch braci. Jeden z nich jest słaby na umyśle.

Skinęłam głową, próbując ogarnąć ten zalew informacji.

82

- Oni są w lesie, łapią w sidła króliki - dodała prowokująco. Zauważyłam, że wszyscy inni wymienili między sobą spojrzenia, czekając, jak zareaguję na wieść o kłusownictwie.

- Mam nadzieję, że się im powiedzie - powiedziałam i była to prawda. - Skoro jest was w domu sześcioro, na pewno potrzebujecie mięsa.

- Polujemy też na bażanty, zające i kuropatwy. Te słowa były już jawnym wyzwaniem.

- Dobrze. Życzę wam szczęścia.

Kiwnęli głowami tak, jakbym właśnie przeszła jakiś decydujący test.

Dzieci szewca - jasnowłose bliźnięta - podeszły do mnie i podały mi małe zimne rączki.

Razem z Clarą przyglądałyśmy się, jak słońce wolno podnosi się nad lasem. Powrotną drogę przebyłyśmy truchtem, nie zamieniając już ani słowa. Clara, mimo że strasznie chuda, narzuciła tak szybkie tempo, że inne dzieci zostały w tyle. Jedynie Matthew Merry i Ted Tyacke nadążali za nami. Staralam się panować nad oddechem, by nie słyszała mojego sapania, ale ponieważ po chwili zwolniła tempo, odgadłam, że i ona jest zmęczona.

Droga do Acre biegła pod górę. Była kamienista i fatalna dla dzieci w dziurawych butach -jak ja, a jeszcze gorsza dla bosych jak oni. Poszłam jednak do przodu, mimo że płaszczyzna cisnęła mnie na piersiach i pod pachami. Gdy dotarliśmy na szczyt,

z trudem łapałam powietrze, ale byłam pierwsza.

- W-W-Wspaniale - odezwał się Matthew, jękając się bardziej niż zwykle, jakby w swym chudziutkim ciele nie miał dość oddechu, by wypowiedzieć to słowo. - Sz-sz-szybko biegasz.

- Mój kuzyn biega jeszcze szybciej - powiedziałam, rzucali się na ziemię. Czekaliśmy, aż dołączą do nas Clara, Ted i małe dzieci.

Matthew splunął na ziemię jak grubiański dorosły mężczyzna.

- Mamy go w nosie - rzekł lekceważąco.

Mało brakowało, a uniosłabym się, biorąc Richarda w obronę. Coś mi jednak podpowiadało, że zachowując spokój, przysłużę mu się lepiej.

- Jest miły - rzuciłam lekko - i jest moim przyjacielem. Matthew skinął głową.

- My tu w Acre nie mamy już przyjaciół. Dlaczego?

83

W tym momencie na mokrą ziemię obok mnie położyła się Clara, a zaraz po niej Ted. Leżała na plecach i przymrużywszy oczy, patrzyła na jasne niebo i ostre zimowe słońce, które rzucało na nas swój chłodny blask.

- Umierają - rzekła spokojnie. - Zeszłej zimy zmarła moja przyjaciółka Rachel. Przedtem chorowała.

- I mój kolega Michael - dodał Ted.

- I moja koleżanka, z-z-zapomniałem, jak jej było na imię - powiedział Matthew.

- Sally - podpowiedziano mu. Milczałam, próbując pojąć to wszystko.

- Sally umarła daleko stąd - powiedziała Clara jakby ze złością. -

Okręgowy nadzorca zabrał wszystkie dzieci, które udało mu się wydrzeć rodzicom. Miały pracować gdzieś w fabrykach. Dlatego właśnie my

jesteśmy najstarszymi dziećmi w wiosce.

- Słyszałam o tym, ale nie bardzo rozumiałam, co właściwie się wtedy wydarzyło. Kto zabrał te dzieci?

Ted spojrział na mnie ze zdumieniem.

- Ludzie z północy kraju - rzekł surowo. - Z daleka. Potrzebowali dzieci do pracy w wielkich warsztatach, przy ogromnych maszynach. Zażądali biedaków ze wszystkich parafii. Nadzorca zabrał te dzieci, których rodzice pozostawiali na zasiłkach dla ubogich. Ostatnio zabrał wszystkie dzieci, które były dość duże. Żadne z nich nie wróciło, a o Sally słyszeliśmy, że umarła.

Zawsze była chorowita.

Zawahałam się. O mało co nie powiedziałam: „Przykro mi”. Zabranie z Acre dzieci było zbyt wielkim nieszczęściem, by mu zadośćuczynić słowami.

- O-O-Oni mnie nie wzięli - z dumą oznajmił Matthew. Clara uśmiechnęła się do niego z matczyną niemal czułością.

- Myśleli, że jest niespełna rozumu. Gdy jest przestraszony, jąka się jeszcze bardziej, a oni zadawali mu pytania tak wrzaskliwie, że całkiem stracił mowę. Uznali go za głupka i zostawili.

- P-P-Po to, żebym mógł być z tobą - powiedział, patrząc z uwielbieniem na małą ubłoconą damę swego serca.

- Tak - odparła z dumą. - Opiekuję się nim i opiekuję się maluchami.

- Jak dziedziczka - zażartowałam.

Ted splunął na ziemię równie grubiańsko jak przedtem Matthew.

- Nigdy nie mieliśmy żadnych dziedziców. Żaden Lacey nigdy nie dbał o tę wieś. Dziedzice nie troszczą się o ludzi. Zakłopotana potrząsnęłam głową.

- Co masz na myśli? Acre było w dobrym stanie, gdy żył mój tata i Beatrice, zanim Laceyowie stracili majątek. Dopiero po ich śmierci i po pożarze wszystko tak się pogorszyło.

Na wzmiankę o Beatrice rozległ się taki szum, jakby podniósł się wiatr niosący ze sobą burzę. Zobaczyłam, że wszystkie brudne ręce nagle zacisnęły się w pięści - ich kciuki znajdowały się między drugim a trzecim palcem. Złapałam dłoń Clary.

- Czemu to robicie?

Patrzyła na mnie z zakłopotaniem.

- To ty nie wiesz?

- O czym? Nie, nie wiem.

- Nie wiesz nic o czarach Laceyów? I o Beatrice? - wymówiła to dziwnie, jakby wypowiadała zaklęcie, a nie imię mej dawno zmarłej ciotki.

- O jakich czarach? - spytałam szyderczo, ale gdy zobaczyłam wokół siebie krąg przejętych twarzy, zadrżałam tak, jakby powiał mi po plecach zimny wiatr.

- Beatrice była czarownicą - cicho powiedziała Clara.

Wiedziała, jak zaczarować ziemię, by dawała plon, i jak przywołać piękną pogodę. Umiała wzywać burze. Przewracała drzewa, rzucając na nie zaklęcia. Każdej wiosny brała sobie za męża jakiegoś młodzieńca, a każdej jesieni go zabijała.

- To nie tak... - zająknęłam się. Z wolna uległam czarowi jej monotonnego

tonu.

- Tak było. Jednym z tych, których zabrała ze wsi, był John Tyacke.
- Mój wujek - uzupełnił Ted.
- Gdzie on się podział? - ciągnęła Clara. - Przepadł! A Sam Frosterly, a Ned Hunter? Spytaj o nich w Acre, zobaczysz, co ci powiedzą! Zabrała ich Beatrice. Wzięła ich wszystkich.

Nic nie powiedziałam. Byłam zbyt oszołomiona.

- Ale jeden z nich, ten pierwszy, którego sobie wzięła, będąc jeszcze dziewczyną, także pochodził z dawnych ludzi. Jego matką była Cyganka Meg, a ojcem jeden z dawnych bogów, których nigdy nie widziano w ludzkiej postaci. Beatrice go zabrała, lecz nie potrafiła zniszczyć. Zaszył się w krainie mroku i ciszy.

85

Tam czekał, a gdy już była pewna, że on nie nadejdzie, wrócił i zmierzył się z nią.

- Jak to zrobił? - spytałam. Czułam suchość w ustach i choć wiedziałam, że to tylko bajka wymyślona w długie ponure wieczory przez ciemnych wieśniaków, musiałam usłyszeć jej zakończenie.
- Przybył w swej prawdziwej postaci pół człowieka, pół konia - głos Clary przeszedł w hipnotyzujący szept. - Jego kopyta zostawiały odciski z ognistymi obwódkami. Wjechał po drewnianych schodach wielkiego dworu Wideacre, a tam gdzie przejeżdżał, buchały płomienie. Przerzucił ją sobie przez ramię i odjechał do krainy mroku, w której obydwójce teraz żyją. Dwór spłonął, a pola nigdy odtąd już nie rodziły. Dzieci milczały zaszuchane, choć dobrze znały tę historię.
- Czy to koniec tej opowieści? - zapytałam.

Potrząsnęła głową.

- Pozostawili spadkobiercę. Dziecko, które odziedziczy ich magiczną moc. Dziecko, które położy stopę na ziemi, oprze dłoń na lemieszu i sprawi, że wszystko będzie rosło. Dziecko szczęścia.

- A kto to jest? - spytałam, zapominając, że i ja mam swoje miejsce w tej historii.

Clara uśmiechnęła się dojrzałe i mądrze.

- Musimy czekać. Zobaczymy - rzekła. - Wszyscy tu w Acre czekamy na znak. Może to ty, może twój kuzyn. On jest jej synem, ale ty wyglądasz zupełnie jak ona i nazywasz się Lacey. Podobno koń wiedział, że to ty. Tak powiedział Ned.

Pokręciłam głową. Było zimno. Dopiero teraz zauważyłam, że ziemia jest wilgotna, a ja całkiem przemarzłam.

- To bzdury - oznajmiłam śmiało. Myślałam, że Clara posprzecza się ze mną, lecz ona tylko uśmiechnęła się i spuściła oczy.

- Wiesz, że nie - rzekła. Nie dodała już ani słowa. Poderwałam się na nogi i oznajmiłam, że muszę iść.

- Do domu na obiad? - zapytała, godząc się na powrót do prozaicznego świata.

- Tak - odpowiedziałam, myśląc już o dwóch lub trzech daniach głównych, puddingu i serach.

- Co będziecie jedli? - tęsknie spytał Matthew.

- Nic takiego - odparłam stanowczo.

- A będziecie pić herbatę? - zapytał Mały.

W jego głosie słychać było autentyczne pragnienie.

- Tak - odpowiedziałam, nie zrozumiawszy go. - Wy nie?

- Nie - odrzekł.- Dostajemy tylko wodę.

- Jadacie mięso? - spytała jedna z dziewcząt od Carterów.

- Tak - powiedziałam i poczułam się zawstydzona, że żywiono mnie tak dobrze, podczas gdy niecałe dwie mile od naszego domu ludzie chodzili głodni. Wiedziałam, że w Acre jest bieda, ale nie miałam pojęcia, że od lat panuje tam głód. Nie domyślałam się, że te dzieci nie wiedziały, co to pełny żołądek, że od dzieciństwa głodowały i ciągle myślały o jedzeniu. Ja marzyłam o jeździe konnej, ogrodach, balach, przyjęciach i strojach, one nawet we śnie przywoływały tylko jedzenie.

Odwróciłam się, chcąc wracać do Acre, lecz usłyszałam, że podnoszą się i idą za mną. Clara dogoniła mnie i szłyśmy obok siebie jak stare przyjaciółki.

- Do zobaczenia - powiedziałam, gdy znalazłyśmy się na brudnej drodze, która była główną ulicą wioski.

Przystanąła.

- Pastor Pearce ma w ogrodzie jabłka.

- Wiem - odparłam. Patrzyła na mnie wyczekująco.

- Jeszcze wiszą na drzewie. Nie zerwał wszystkich. Znowu potaknęłam.

Na starych drzewach wisiały przywiedłe jabłka, chyba nie nadające się do jedzenia. Mały podszedł do nas i wsunął mi w dłoń swą chudą rączkę.

- Mogę je tylko oglądać - rzekł świszczącym szeptem - a mam na nie straszną ochotę.

Zerknęłam na Clare.

- Gdybyśmy cię przesadzili - zaczęła - przez mur ogrodu, to mogłabyś je nam rzucić, potem pójść do bramy frontowej i jak zwykle wyjść przez nią.

- Dlaczego ty tam nie pójdziesz?

- Bo jeśli mnie przyłapią na kradzieży, zostanę powieszona, rzekła z brutalną szczerością. - Jeśli ty coś zabierzesz, to nikt nawet nie uzna tego za kradzież. Zawahałam się.

- Ona tego nie zrobi - odezwał się Ted. Niechęć do mnie - jak do wszystkich dziedziców - sprawiła, że jego głos brzmiał twardo.

Przyszła po to, by pomóc kuzynowi, nie po to, żeby być z nami.

87

- Zrobię to - przyjęłam wyzwanie.

- Przejdiesz przez mur i skradniesz pastorowi jabłka?

- zapytał drwiąco.

- Tak - odparłam i natychmiast zaczęliśmy wszyscy chichotać. Nawet surowa twarz Teda pofałdowała się w uśmiechu na myśl o tym, że posyła mnie, bym kradła.

Podbiegliśmy do wysokiego muru na tyłach gospodarstwa pastora.

Mniejsze dzieci aż osłabły ze śmiechu. Ted i Matthew splekli dłonie, a Clara pomogła mi na nich stanąć. Gdy chłopcy zachwiali się pod moim ciężarem, zawołała:

- Dalej! Przerzućcie ją!

Parsknęłam śmiechem. Musiałam uchwycić się szczytu muru, bo chłopcy zataczali się ze śmiechu i wysiłku.

- Raz... dwa... trzy... do góry! - odliczała Clara. Niepewne podparcie moich stóp nagle uniosło się w górę i znalazłam się na szczycie muru

zwieńczonego ostrymi krzemieniami. Usłyszałam też dźwięk rozpruwanego materiału. Spojrzałam na znajdujący się w dole ogród, przerzuciłam nogi i właśnie szykowałam się, żeby zeskoczyć, gdy nagle zamarłam.

W dole, prawie pode mną, stał pastor Pearce. Uniósł głowę i spoglądał na mnie z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy.

- Panna Lacey? - powiedział, jakby nie wierzył własnym oczom. - Panna Lacey? Co panienka wyprawia?

Nie potrafiłam wymyślić żadnej odpowiedzi. Odwróciłam się, by sprawdzić, czy są tam jeszcze Ted i Matthew.

- Łapcie mnie - kwiknęłam jak zarzynane prosię i runęłam do tyłu prosto na nich.

Upadliśmy beładnie na twardą ziemię. Chłopcy przyjęli na siebie cały impet mojego upadku. Zdołali się jednak podnieść, podczas gdy ja nie mogłam się ruszyć ze śmiechu.

- Co to było? Co to było? - dopytywała się Clara, uśmiechając się na widok tych wybuchów, które mną wstrząsały.

- Pastor! Bezpośrednio pode mną. Spojrzał w górę... i powiedział... „Panno Lacey. Co panienka wyprawia?”

Clara zaniósła się śmiechem i wpadła w ramiona Matthew. Ted wyciągnął rękę i pomógł mi wstać. Mniejsze dzieci pokładły się na ziemię i zanosły od śmiechu.

- Muszę iść - odezwałam się, ocierając zalane łzami oczy.

- Muszę pójść do frontowej bramy.

To rozbawiło nas jeszcze bardziej i znów zaczęliśmy się zataczać ze śmiechu jak banda pijaków.

- Nie idźcie ze mną, błagam. Muszę się przestać śmiać. Clara skinęła głową, wciąż chichocząc.

- Przyjdź do nas niedługo - powiedziała. Jej brudną buzię pokrywały smugi od wycieranych łez i ciągle trzymała się za brzuch. - Byłby z ciebie pożytek dla gangu. Julio Lacey, jesteś wspaniałą złodziejką.

Skierowałam się ku frontowej bramie probostwa. W połowie ścieżki zatrzymałam się i wzięłam głęboki oddech. Nie znałam pastora zbyt dobrze, ale nie sądziłam, by mogło mnie tu spotkać coś gorszego niż wymówki. Nie chciałam się jednak całkowicie skompromitować, wybuchając śmiechem na progu jego domu.

Słyszałam za sobą gwizdanie, które upewniało mnie, że Clara mnie obserwuje, lecz nie obejrzałam się. Zapukałam do drzwi. Gospodyni otworzyła je szeroko i złożyła mi ukłon, a ja weszłam do sieni i z powrotem znalazłam się w świetle, do którego przynależałam.

Pastor wyszedł z biblioteki razem z Richardem i skłonił mi się lekko, tak jakby jeszcze mnie nie widział tego poranka.

- Dzień dobry, panno Lacey - rzekł uprzejmie. - Przyszła panienka po kuzyna? Właśnie skończyliśmy.

Przez chwilę wpatrywałam się w niego, zanim pojęłam, że pastor Pearce nie należał do ludzi wyszukujących sobie problemy. Jeśli mógł na coś przymknąć oko, robił to. Z pewnością nie interesowało go, co robiłam na wysokim murze ogrodu, z rozdartym płaszczem i ubłoconą twarzą, podczas gdy nieznośne dzieciaki z Acre stały na dole i kocią muzyką dodawały mi odwagi.

Ukloniłam się przesadnie nisko.

- Tak, panie pastorze - rzekłam.

Richard włożył płaszcz i kapelusz, ja trzymałam w tym czasie jego książki. Potem wyruszyliśmy do domu na obiad.

Dzieci na dźwięk obcych kroków rozpierchły się i zniknęły.

Po słonecznym poranku nie było już śladu. Na niebie zgromadziły się gęste chmury. Zaczęliśmy biec, poganiani przez tnące nas po plecach krople deszczu.

- Widziałaś się z panią Green? - zapytał Richard, ciężko oddychając.

89

- Nie - odparłam. Z trudem za nim nadążałam. Byłam zmęczona gonitwą z wiejskimi dziećmi i potłuczona po walce z Clarą i upadku z muru.

- Czemu? - Spoglądał na mnie swymi jasnoniebieskimi oczami. Dostrzegł zadrapania na mej twarzy i poplątane włosy, gdy tylko przekroczyłam próg domu pastora. Wiedział, że coś się stało, ale nie chciał mnie pytać wprost.

- Później ci powiem - wysapałam, bo brakowało mi tchu. Nie mogłam składać teraz długich wyjaśnień, a poza tym chciałam zyskać na czasie. Musiałam dokładnie przemyśleć to, co mu powiem. Miałam przeczucie, którego nie umiałam wyjaśnić, a które wydawało mi się słuszne, że nie powinnam mu powtarzać tych dziwnych historii, które wieśniacy wymyślali na temat jego mamy. Mogłoby mu to sprawić przykrość. Byłam też z jakiegoś powodu pewna, że nie mogę mu opowiedzieć tej najnowszej bajki o dziecku szczęścia i prawdziwym spadkobiercy.

Richard jednak posłyszał wahanie w mym głosie. Nagle się zatrzymał i tak mnie złapał za ramię, że musiałam się odwrócić twarzą do niego. Deszcz

smagał mnie po prawym policzku, ale chroniły nas nieco drzewa rosnące wzdłuż drogi z Acre. - Powiedz mi teraz - zażądał.

Ton jego głosu brzmiał ostrzegawczo. Bez słowa zaczęłam więc opowiadać o tym, jak szliśmy do lasu, o bójce z Clarą i zawartym jak się wydaje pakcie. Powtórzyłam mu każde wypowiedziane słowo z wyjątkiem historii o Beatrice. Milczał groźnie, więc uznałam, że im bardziej szczegółowa będzie moja opowieść, tym lepiej dla mnie. Zdecydowałam się jednak nic nie mówić o zarzucie, że walczyłam za kuzyna. Nie powiedziałam też, że Matthew splunął na wzmiankę o nim. Wreszcie pominęłam próbę kradzieży jabłek.

Wysłuchał wszystkiego, choć deszcz padał mu na głowę. Pod wpływem wilgoci włosy skręciły mu się mocno i bardziej niż zwykle wyglądał na upadłego cherubina.

- Wspaniale, Julio - rzekł, gdy skończyłam. - Jesteś bardzo odważną dziewczyną. Cieszę się, że już nie czujesz lęku przed Acre. Dobrze, że stanęłaś do walki z tymi dziećmi. Nie będziesz się teraz bała chodzić ze mną na lekcje.

Rozpromieniłam się, słysząc te słowa uznania. On zaś niedbale dodał:

90

- Nigdy nie zwracałem na nie uwagi, ale cieszę się, że ty przezwyciężyłaś swój strach.

Puścił moje ramię i ruszył przed siebie. Wahałam się, ale tylko przez chwilę. Jakaś część mego umysłu, jakiś niespokojny, dumny głos we mnie mówił: „Poczekaj, Richardzie. Przecież to ty się bałeś. Walczyłam z nimi dla ciebie”. Potem przypominałam sobie, jak babcia ostrzegała mnie,

że miejsce damy jest zawsze z tyłu. Uśmiechnęłam się więc tajemniczo i zachowując spokój, wielkimi krokami podążyłam za nim. Po chwili nad naszymi głowami rozpętała się burza i popędziliśmy przed siebie, rozchlapując po drodze mętne kałuże. Do domu wpadliśmy przez drzwi kuchenne, wołając, że potrzebujemy ręczników i suchych ubrań, a pani Gough skrzyczała nas za to, że roznieśliśmy błoto po czystej podłodze.

ROZDZIAŁ Czwarty.

Tak zaczęła się moja przyjaźń z Clarą Dench - przyjaźń, która pomogła mi pogodzić się z tym, że będę musiała zostać młodą damą z wyższych sfer. Stało się tak nie dlatego, że Clara знаła tajemnicze zakazy i nakazy rządzące moim światem - tak przecież nie było - ale dlatego, że przebywanie z nią było ucieczką od norm głoszonych przez moją mamę i od narzucanej sobie dyscypliny, która miała ze mnie uczynić dobrą córkę, a w przyszłości żonę.

W jej towarzystwie byłam sobą. Kochałam ją, mimo że nasz styl życia był odmienny, mimo że pobiłyśmy się podczas pierwszego spotkania, a i potem kłóciłyśmy się regularnie. Budowałyśmy tę przyjaźń, czerpiąc radość z przebywania razem, i nigdy się nie zastanawiałyśmy, dlaczego tak się lubimy. Codziennie rano odprowadzałam Richarda na probostwo, na lekcje, później spotykałam się z Clarą i spędzałam z nią jedną lub dwie godziny. Odkryłam, że ten sposób wypełniania sobie pustego i beczynnego zwykle przedpołudnia bardzo mi odpowiada.

Często razem wędrowałyśmy nad Fenny, wstępując po drodze do młyna. Starsza pani Green teraz już zawsze się do mnie uśmiechała. Czasami udawało mi się wyprosić w domu trochę herbaty ze spiżarni. Siadałyśmy wtedy z Clarą przy kominku, podczas gdy pani Green przyrządzała herbatę

i wróżyła nam z fusów. Była to jednak tylko zabawa, nie sędzę, by miała jakąś wiedzę na ten temat. Naśladowała to, co robili Cyganie, którzy w zimie rozbijali swe obozowisko na wspólnej ziemi i wędrowali po domach, proponując kupno drewnianych zabawek i rzeźbionych kwiatów, przepowiadali też przyszłość.

92

Kiedy była ładna pogoda, chodziłyśmy albo nad rzekę, albo na łąkę. W upalne letnie dni rozbierałyśmy się do koszul i kąpałyśmy w głębszych miejscach Fenny. Żadna z nas nie potrafiła pływać, lecz gdy Clara przytrzymała mój podbródek ponad wodą, a swą brązową ręką osłaniała mi usta, byłam w stanie krótko utrzymać się na powierzchni. Potem niezbyt elegancko tonęłam, czemu towarzyszyły salwy jej śmiechu i głośny chlupot.

Clarze szło zdecydowanie lepiej. Po tygodniu potrafiła już przepłynąć z jednego brzegu rzeki na drugi, rozchlapując wodę na wszystkie strony.

Nauczyła się nawet nurkować. Kiedyś wynurzyła się z ociekającymi wodą włosami i łapiąc powietrze, zawołała:

- Urodziłam się w czepku! Na pewno nigdy nie utonę! Leżałam wtedy na mieliźnie i chociaż mocno przygrzewało słońce, poczułam, że drzę, jakby owiał mnie silny wiatr. Gdy wypowiedziała te słowa, słońce zakryła chmura, a moje ciało pokryło się gęsią skórką.

- Co ci jest? - spytała. - Wyglądasz tak dziwnie.

- Nic - odparłam pospiesznie. Oczyma wyobraźni ujrzałam jej śmiertelnie bladą twarz z pływającymi dookoła włosami. Z ust wyciekała woda, woda z rzeki. - Zobaczyłam coś naprawdę wstrętnego. Wychodź z wody, Claro.

- Dobrze - powiedziała spokojnie.

Podpłynęła do brzegu i ułożyła się obok mnie, by wyschnąć na słońcu.

Nasze nagie ciała były tak białe i błyszczące jak piersi gołębi.

- Obiecuj mi coś - odezwałam się poważnie. Nie opuszczał mnie obraz jej nasiąkniętej wodą twarzy. - Obiecuj mi, że nigdy nie będziesz sama pływać.

Odwróciła się do mnie i podparła łokciem.

- Dlaczego? Czemu tak dziwnie wyglądasz, Julio? - Przestraszona, widząc wyraz mej twarzy, powiedziała: - Dobra, dobra, obiecuję. Ale powiedz mi, czemu tak dziwnie wyglądasz?

- Widziałam... - zaczęłam, lecz zawahałam się i ten okropny obraz zbladł w mej pamięci. - Wydawało mi się, że coś widzę, rzekłam.

To na pewno było widzenie. Słyszałam - powiedziała Clara, jak mama rozmawiała z panią Green. Mówiły o tobie i Richardzie. Powiedziały, że to z was, które jest prawdziwym spadkobiercą, będzie miało widzenia, gdy tylko dorośnie.

93

- Prawdziwym spadkobiercą jest Richard! - Przekreśliłam się na brzuch, zerwałam źdźbło trawy i zaczęłam je żuć. Jego rdzeń był słodki jak nektar.

- Ludzie we wsi mówią, że to ty - rzekła ostrzegawczo. - Mówią, że wyglądasz dokładnie tak jak Beatrice, kiedy jako mała dziewczynka przyjeżdżała konno do wsi razem ze swym ojcem. Mówią, że ty będziesz spadkobierczynią.

Usiadłam i zaczęłam wkładać zmiętą sukienkę.

- Nie - odparłam zdecydowanie. - Nie wzięłabym tego, nawet gdyby mi to przyniesiono na talerzu. Richard jest jej synem i spadkobiercą. Razem

będziemy władać tą ziemią, lecz to on zostanie dziedzicem, a ja jego żoną.
Naprawdę chcę, żeby tak
było!

- No tak - kiwnęła głową z uśmiechem. - Całujecie się?

- Nie... nie tak naprawdę. Wydaje mi się, że w naszej sferze te sprawy
wyglądają nieco inaczej. Jest dla mnie raczej bratem. Czasami jesteśmy ze
sobą blisko, czasem się kłócimy, lecz nie wygląda to tak jak w
powieściach.

Bardziej doświadczona życiowo Clara patrzyła na mnie sceptycznie.

- Nie odpowiadałoby mi życie arystokracji. My z Matthew chodzimy,
trzymając się za ręce, i często całujemy. Zaręczyliśmy się, wycinając nasze
imiona w drzewie. Tylko że on nie jest zbyt silny - dodała z niepokojem. -
Boję się o niego. Strasznie kaszle w zimie... jego babcia myślała kiedyś, że
nie zdoła go utrzymać
przy życiu.

- Nie powinien pracować na powietrzu. Sama mówiłaś, że jest zdolny i ma
głowę na karku. Może uda mu się zostać urzędnikiem albo kimś w tym
rodzaju w Midhurst czy nawet w Chichester. Chciałabym, żebyś mieszkała
we wspaniałym domu
w mieście!

Roześmiałyśmy się, lecz Clara potrząsnęła głową.

- Nigdy bym nie opuściła Wideacre - powiedziała. - A mój Matthew jest
tak zdolny, że może robić wszystko. Sam nauczył się czytać, kiedy był
mały. Zawsze pisał i czytał listy ludzi z naszej wsi. Potrafi też układać
wierszyki równie dobre jak te
w książkach.

Z uznaniem skinęłam głową. Potem odwróciłam się, prosząc, by mi zapięła na plecach sukienkę. Chciałam wyglądać choć trochę reprezentacyjnie, kiedy zjawię się na probostwie.

94

Wyśmiałam jej wiarę w widzenia i dziedzictwo Beatrice, ale... Nie mogłam się uwolnić od myśli o dawnym bóstwie Wideacre, od wspomnień tkwiących w spojrzeniach ludzi w Acre. Dorastałam i próbowałam być zwyczajną dziewczyną z Dower House. Jednakże cały czas gdzieś w mej podświadomości tkwiła myśl o Beatrice, tajemniczym bogu, który po nią przyszedł, i o tym piętnie magicznej potęgi, które pozostawiła swemu niezwykle następcy, nieważne czy byłam nim ja, czy też Richard.

Choć próbowałam tę legendę ignorować, wciąż zdawałam sobie sprawę, że istnieje jakaś dziwaczna, pełna przesady i fałszu wersja tej nocy, kiedy płonęło Wideacre. Byłam często nieprzytomna ze strachu, gdy Richard opowiadał historie o duchach, i mama karciała mnie za to. Nie powinnam więc przejmować się i trwożyć jakąś głupią wiejską plotką.

Nie mogłam jednak wymazać jej z pamięci. Nie dawała mi spokoju ta opowieść o mężczyźnie, który był jednym z dawnych Bogów i który przybył po Beatrice. I sama Beatrice, która była piękną i okrutną boginią niszczycielką. Mimo że chciałam o tym zapomnieć, ten obraz ciotki nie opuszczał mych myśli. Był całkowicie niepodobny do tego, co o tamtych dniach opowiadała mama. Mama mówiła nam zwykle o pracy na roli Harry'ego i Beatrice, o ich harmonii i partnerstwie. Kilka razy wzruszałam ramionami i wmawiałam sobie, że już o tym nie pamiętam, lecz koń, który zostawił płonące ślady kopyt na dębowych schodach, co noc odwiedzał mnie we śnie.

Wtedy właśnie zaczęłam śnić ten dziwny sen.

Był podobny do innego - tego o kobiecie, którą byłam, o dziecku niesionym przez nią do rzeki. Tym razem jednak liderka snu nie była mną. Wiedziałam, że choć patrzę w jej oczy i uśmiecham się jej uśmiechem, ona nie jest mną. Wiedziałam to jeszcze wtedy, gdy śniłam.

Ten niezwykły sen po raz pierwszy pojawił się kilka nocy po tym, jak Clara zahipnotyzowała mnie w lesie swoją bajką. Później powtarzał się wiele razy. Za każdym razem ostrzejsze były jego obrazy. Za każdym razem wyraźniejsze były dźwięki. Było tak, jakbym oglądała krajobraz we mgle, którą z wolna rozprasza pomarańczowe słońce. Za każdym razem serce biło mi szybciej, bo rosły przerażenie, i zachwyty. W noc przed moimi szesnastymi urodzinami

95

sen był już tak wyrazisty i żywy, iż miałam wrażenie, że to wszystko dzieje się na jawie.

Śniło mi się, że znajduję się w pustym domu, wielkim i pięknym, którego nigdy w rzeczywistości nie widziałam. Choć go nie znałam, był najbliższym mi, najukochańszym i najcenniejszym miejscem na świecie. Wspaniały dom, dom posiadacza władającego urodzajną ziemią. Byłam oczarowana spokojem panującym w tym budynku, który był moim domem. Wzdychałam, ciesząc się, że wszystko jest tu moją własnością, że jest nareszcie moje, a jedynym dźwiękiem, który rozbrzmiewał w olbrzymiej sieni, jedyną rzeczą, która naruszała ciszę pokojów, był mój oddech.

Jak duch, albo jak jego wyobrażenie, przenosiłam się z jednego pomieszczenia do drugiego. Poruszałam się cicho jak kot i jak kot bacznie

przyglądałam się wszystkiemu. Patrzyłam, patrzyłam, patrzyłam... tak, jakbym już nigdy nie miała tego zobaczyć. Utrwalałam ten obraz w swej pamięci tak, jakbym miała za chwilę udać się na wygnanie albo zostać zaczarowana. Staralam się również utrwalić swą obecność tutaj, tak aby to miejsce - mój dom - nigdy mnie nie zapomniało. Należałam do niego. Zawsze powinnam tu być.

Wszędzie panowała cisza. Nie robiłam żadnego hałasu, nie było nawet słychać mych kroków. W tej ciszy kryły się głosy ludzi, którzy się tu kiedyś znajdowali, ale nie byłam pewna, kim oni są. Były to głosy ludzi, którzy dopiero co stąd odeszli - echo głośnych rozmów, przykrych słów, jakiegoś odległego trzaśnięcia drzwiami. Teraz jednak dom był pusty. Był nareszcie mój.

Dotykałam różnych przedmiotów. Robiłam to jak kapłanka w świątyni, czcicielka tych gładkich i pięknych fetyszy. Na grubym palu, od którego zaczynała się poręcz schodów, były wyrzeźbione różne scenki. Dotknęłam pieczołliwie obrazków przedstawiających płodne i żyzne pola, wełniste owce, snopy pszenicy. Wiedziałam, że ta pachnąca woskiem drewniana belka, w której złożono hołd mojej ziemi, jest ciepła i jedwabista, tak jakby uwielbiała moje pieszczoty.

Na wprost schodów znajdowało się pozłacane lustro. Stojąc na stopniu, odwróciłam się, by w nie zerknąć. To, co zobaczyłam w ciemnej tafli, nie było moim odbiciem. Nie była to moja dziecinnie okrągła buzia, jasne włosy i szare oczy. Była to twarz kogoś obcego, kobiety, której nigdy nie widziałam na jawie. Znałam

włosy i skośne zielone oczy były moje. Jako swoje rozpoznałam również to nieobecne, prawie szalone spojrzenie. Długo przyglądałam się odbiciu obcej twarzy, która była zarazem moją twarzą, później spuściłam oczy, uśmiechając się tajemniczo i przebiegle.

Pod lustrem stał stół z mahoni. Oparłam na nim dłoń i poczułam, jak jego chłodna drewniana powierzchnia staje się ciepła pod dotknięciem. Srebrna waza stojąca na stole była pełna zwiędłych białych róż, które zwiesiły główki i przypatrywały się swemu odbiciu na wypolerowanej powierzchni. Niedbale musnęłam jeden kwiat czubkiem palca, a on strząsnął swe płatki, które opadły nagłą ulewą, tworząc śnieżnobiałą zaspę. Usłyszałam w myślach jakiś głos - brzmiał jak głos mamy, lecz nigdy nie słyszałam, by przemawiała takim tonem - mówiący: „Jesteś niszczycielką, Beatrice”. Głos ten był pełen pogardy.

W głębi sieni stała ogromna chińska czara pełna kwiatowego potpourri. Zanurzyłam w niej dłoń, dotykałam podobnych do papieru płatków róż i kłujących nasion lawendy, potem schyliłam się i wciągnęłam w nozdrza ich słodką woń. Gdy nieostrożnie wzięłam do ręki garść suszu, by go powąchać, lekkie płatki posypały się na podłogę razem z kurzem. Nie miało to znaczenia. Niebawem wszystko miało utracić swe znaczenie. Burza, którą początkowo słyszeć było w oddali, teraz grzmiała coraz bliżej. Przetoczyła się nad wzgórzami i lasem, zbliżała się do dworu. Pomyślałam o dzieciach: małej dziewczynce i maleńkim chłopcu, uciekających z tego domu w powozie. Deszcz bębnił o jego szyby, walił po grzbietach spłoszonych koni. Wiedziałam, że nic im się nie stanie. Znajdowały się na mojej ziemi, były kością z mej kości, krwią z mej krwi. Miały odziedziczyć Wideacre. Jedno z nich z całą

pewnością nauczy się słuchać bicia serca ziemi. Któreś - tak jak kiedyś ja - wyczaruje bogate plony.

Jedno z nich będzie dzieckiem szczęścia.

Tapeta, której dotykałam, była miękka i gruba. Aksamitne lamperie na oknach były delikatne jak runo nowo narodzonego jagnięcia. Grube szyby w oknach zrobiły się lodowato zimne od padającego na zewnątrz deszczu. Oparłam czoło o ich chłodną powierzchnię i uśmiechnęłam się.

Dom wypełniała cisza. Słyszałam, jak zegar w salonie wybija metaliczne: tik... tik... tik... Zegar dziadka w sieni miał

97

głębszy ton: tak... tak... tak... Doszedł mnie również inny dźwięk. Nie niepokoiło mnie głucho dudnienie burzy, ale przez grzmoty przedostał się jakiś inny, nowy odgłos. Zaczęłam wyęczać słuch, by dowiedzieć się, co to za hałas.

Był to odgłos wielu stóp, bosych stóp maszerujących po trawie i zbliżających się do tego domu. Usłyszałam go już wówczas, gdy był zaledwie odległym szuraniem, bo spodziewałam się go. Czekałam na niego. Znałam ten sen i wiedziałam, co się później wydarzy. Nie mogłam tego powstrzymać. Nie potrafiłam przerwać. Nie było dla mnie ucieczki, bo to, co nadchodziło, było moim przeznaczeniem. To, co przybywało po mnie, było surową sprawiedliwością. Przybywała po mnie wieś, którą próbowałam zniszczyć, i mężczyzna, na którego podniosłam rękę. Byłam bowiem Beatrice, Beatrice Lacey z Wideacre, i z dzikim uśmiechem na ustach wpatrywałam się w ciemność i burzę. Byłam Beatrice i czekałam na ludzi nadciągających z Acre, prowadzonych przez boga, który był pół człowiekiem, pół koniem. Miał on wjechać na dębowe schody, pozostawić

ogniste ślady kopyt i zabrać mnie do
swej mrocznej krainy.

Obudziłam się przerażona. Doznawałam jednak uczucia jakiejś szalonej dumy, tak jakby świat, który zmierzał ku końcowi, czynił to z mojej woli. Podniecenie i strach uleciały całkowicie, kiedy rozejrzałam się po pokoju i wróciłam do swego prostego i zwyczajnego życia na jawie - życia Julii Lacey. Nie byłam czarownicą o miedzianych włosach. Byłam zwyczajną prostą dziewczyną, Julią Lacey w połatanej koszuli nocnej, siedzącą w zimnym pokoju.

Ułożyłam się na plecach i zaczęłam patrzeć na sufit, który w blasku wschodzącego wiosennego słońca był bladożółty. Sen powoli zacierał się w mej pamięci, a razem z nim bogactwo barw i piękno jego formy. Był to tylko sen, nic więcej, ale pozostawił we mnie pragnienie, by się dowiedzieć, jaką kobietą była Beatrice, pragnienie, by poznać prawdę o jej życiu i śmierci. Pozostało też we mnie zakłopotanie i jakieś niezadowolenie z tego małego domu i drobnych przyjemności, z tego, że jestem posłuszna woli Richarda i poddaję się łagodnym rządóm mamy. Zostało we mnie poczucie, że Beatrice nie zniosłaby takiego życia, podczas gdy ja usiłowałam się nim cieszyć. Ona wzięłaby wszystko w swoje ręce, zażądałaby własnego konia i codziennych przejażdżek. Nie dopuściłaby do tego, by jej scheda popadła w ruinę. Pożyczyłaby pieniądze,

98

obsiała pola i kupiła zwierzęta. Jej wiedza, determinacja i magiczna moc działyby cuda.

Westchnęłam. Wiedziałam, że nie jestem taką kobietą. Byłam zbyt oddana i posłuszna mamie, żeby lekceważyć jej wolę czy choćby kwestionować jej słowa. Byłam też tak wierną narzeczoną Richarda, że nie potrafiłam samodzielnie myśleć. Wydawało mi się, że wtłoczono mnie w pewien szablon i nie dano czasu, bym dokonała wyboru. Byłam zwyczajną, potulną młodą damą. Musiałam przesiadywać w domu i zachowywać się odpowiednio.

W tym momencie nagle przypomniałam sobie, co to za dzień. Od razu wyleciało mi z głowy to przelotne rozdrażnienie życiem, jakie wiodłam. Bo też nie był to wcale zwykły dzień. Były to moje szesnaste urodziny. Sen gdzieś uleciał, a ja wyskoczyłam z łóżka i podbiegłam do okna, żeby zobaczyć, jaka jest pogoda. Owinięta szalem czekałam, aż przyniosą mi czekoladę. Czekałam, aż zacznie się ten dzień.

Miałam wrażenie, że nastąpią jakieś zmiany. Miały to być zmiany błahe i niewielkie, ale miłe. Sądziłam, że najbardziej ekscytującą rzeczą będzie poranna wizyta mamy w mej sypialni. Przyjdzie po śniadaniu ze swymi szylkretowymi szczotkami do włosów i pudełkiem szpilek. Potem posadzi mnie przed niewielkim poplamionym lustrem i upnie mi włosy. Kaskada gęstych jasno brązowych włosów miała już zawsze być upinana, a moje sukienki miały być dłuższe. Miałam się stać młodą damą, oczywiście na tyle, na ile mama mogła sobie pozwolić - bez pieniędzy, bez wyjazdu do Londynu i balu. Byłam dorosła.

Richard zaczął łomotać do drzwi.

- Czy wolno mi popatrzeć? - zawołał.

- Oczywiście, że nie - odparła mama z ustami pełnymi szpilek. - Musisz uzbroić się w cierpliwość i czekać w salonie, aż skończymy.

- Nie chcę, żeby Julia wyglądała inaczej - powiedział buntowniczo.
- Będzie wreszcie wyglądała jak dama, a nie jak łobuziak odparła stanowczo. - Idź już, Richardzie.

Usłyszałyśmy stukot jego butów, gdy schodził po schodach. Napotkałam w lustrze oczy mamy i uśmiechnęłam się. Powiedziała przepaszająco: Nie mogę ich pięknie upiąć. Powinnaś je mieć porządnie upięte, lecz fryzjerzy tyle kosztują. Tak bardzo chciałabym urządzić

99

dla ciebie przyjęcie z tej okazji. I zabierać cię na spotkania towarzyskie. Nie ma jednak na co czekać. Skończyłaś szesnaście lat i musimy to uczcić. Ja będę twoim fryzjerem, a dzisiejszy obiad musi ci zastąpić pierwszy bal. Potaknęłam, choć nie słuchałam jej zbyt uważnie. Byłam pochłonięta obserwowaniem zmian, które dokonywały się w moim wyglądzie. Mama zaczesła do tyłu całą gęstwinę mych włosów, skrzyła je w grubego węża i wreszcie zręcznie upięła. Po obu stronach twarzy wyciągnęła pasma włosów, przycięła je krócej i zwinęła palcami w miękkie fale. Była całkowicie pochłonięta czesaniem mnie i dopóki nie wpięła wszystkich szpilek, ani razu nie spojrzła w lustro, by ocenić efekt całości. Dopiero potem podniosła oczy, chcąc mnie obejrzeć, i uśmiech nagle zniknął z jej twarzy, która zrobiła się bardzo blada.

- Co się stało? - spytałam. Uśmiechnęłam się do swego oblicza w lustrze i uznałam, że wyglądam niezwykle wytwornie.

Przełknęła ślinę.

- Nic - odparła. Mimo że się uśmiechnęła, nie wyglądała radośnie. - Zrobiłaś się nagle tak bardzo dorosła. - Ucałowała mnie w sam czubek głowy.

- Kiedy ja byłam dziewczyną, włosy posypywano pudrem. Myślę jednak, że lepiej wyglądają, gdy pozostawia się im naturalny blask i urodę. Twoje włosy są szczególnie piękne latem. Stają się wtedy zupełnie jasne - zgarnęła swe szczotki i szpilki, po czym pospiesznie wysunęła się z pokoju. Obserwowałam jej nagłe odejście ze zdumieniem. Po chwili znowu zerknęłam w lustro.

Wtedy od razu zgadłam, kogo we mnie zobaczyła.

Ujrzała Beatrice.

Wyglądałam dokładnie tak, jak kobieta ze snu. Warkocze, które zwykle nosiłam, zasłaniały czystą linię mego profilu, zamazywały kształt twarzy. Teraz gdy włosy odgarnięto do tyłu, a przy twarzy pozostawiono tylko miękkie fale, widać było wystające kości policzkowe i dziwne, lekko skośne oczy, które z całą pewnością odziedziczyłam po ciotce. Jednakże moja twarz ciągle jeszcze była okrągła i puciołowata, co doprowadzało mnie do rozpacz. Spróbowałam się uśmiechnąć do swego odbicia w szklanej tafli. Mogłam liczyć na to, że za kilka lat będę ładna. Jeżeli stanę się piękną, to na pewno będę przypominać urodziwą Beatrice.

Chyba powinno mnie to raczej martwić, niż cieszyć, ale miałam zaledwie szesnaście lat i uroda była tym, czego pragnęłam

100

nade wszystko. Gdybym odziedziczyła po Beatrice jej słynną urodę, być może przestałabym się bać kobiety ze snu. Radość pozwoliłaby mi zapomnieć o lęku. Znowu uśmiechnęłam się do siebie.

„Chyba nie jestem do niej aż tak podobna” - pomyślałam. Nie chciałam w takim dniu myśleć o tym śnie. Pragnęłam, by wszystko było dzisiaj radosne, normalne i zwyczajne. Osiągnęłam pełnoletność i nie chciałam

być przestraszona spadkobierczynią Laceyów. Wolalam być Julią, nareszcie dość dorosłą, by nosić upięte włosy, Julią, która po południu znajdzie dwie posrebrzane szczotki do włosów, owinięte w śliczny papier i leżące obok talerza na stole.

- Julio! Jeszcze nie jesteś gotowa? - zawołał stojący u stóp schodów Richard. - Jeżeli się nie pospieszysz, nie zdążymy pojechać do Havering Hall i wrócić punktualnie na obiad.

- Idę! - odpowiedziałam i raz jeszcze zerknęłam do lustra. Potem wypadłam z pokoju, zatrzasnęłam drzwi i zbiegłam w dół, głośno tupiąc po schodach pozbawionych dywanu.

Miałam nadzieję, że na widok zmian w mojej powierzchowności Richard padnie na kolana. Byłam wystarczająco młoda, niemądra i próżna, by przypuszczać, że zostanę uznana za ładną, może nawet piękną. Lecz on tylko się uśmiechnął na mój widok.

- Jaka elegancka - powiedział. - Jaka dorosła. Podejrzewam, że jesteś już zbyt dorosła, by do Havering biec przez las, i będziemy musieli wolno pójść drogą.

Odwzajemniłam jego uśmiech, a miejsce rozczarowania zajęła ulga, że nic się między nami nie zmieniło.

- Nie - odparłam. - Możemy pójść przez las. Jeżeli potargam włosy, będziesz je musiał upiąć, zanim pojawimy się u babci. Ja jeszcze nie potrafię tego robić.

- Nie sądzę, by było to trudniejsze od zawiązywania kokardek - stwierdził. Wyszliśmy przez bramę frontową. Był wspaniały wiosenny dzień, a słońce swą barwą przypominało brzoskwiniowe wino.

Całe Wideacre błyszczało, jakby w prezencie dla mnie. Ubiegłej nocy

padał deszcz, więc pączki na drzewach i trawiaste zbocza połyskiwały od jego kropel. Bladozielone żywopłoty wyglądały jakby ktoś zarzucił na czarne gałązki i konary cienką jak pajęczyna woalkę. Na horyzoncie widać było jasne pasma chmur, wiatr znad lasu rozkosznie muskał moją twarz, witając Laceyów

101

w imieniu ich ziemi. Po lewej stronie aż do jasnego nieba wznosiły się wzgórza pokryte pręgami kredowego pyłu i porośnięte śliczną jasnozieloną trawą, która wyrosła wśród kredy. Przed nami, jak ściana zbudowana z pni, wznosiły się drzewa parku

Wideacre.

Nie mówiąc ani słowa, zeszliśmy z głównej drogi. Skierowaliśmy się w stronę dworu Wideacre i zanurzyliśmy się w gęstwinie lasu. Wąska ścieżka wiodła prosto do Havering Hall.

Fenny gwałtownie wezbrała. Zimowe opady i niewielkie, lecz wartkie strumyki spływające ze zboczy wzgórz aż po brzegi wypełniły jej koryto. Idąc wzdłuż rzeki, nie odzywaliśmy się do siebie. Słuchaliśmy, jak szumi, przetaczając się po kamieniach, które lśniły złotawo gdzieś w głębinie.

Prąd unosił kawałki drewna, gałązki i zeszłoroczne brązowe liście.

Zatrzymaliśmy się na moment i patrzyliśmy, jak płyną rzucone przez nas liście paproci. Wirowały, płynąc w dół rzeki, potem minęły młyn Greenów, przedostały się przez tamę i powędrowały gdzieś dalej... aż do morza.

Przeszliśmy przez obalone drzewo, które służyło za most.

Kiedyś była na nim wyraźna, wydeptana ścieżka, bo ludzie często chodzili tą drogą i przez drzewo-most przedostawali się do dworu

Wideacre. Wiele jednak lat minęło od czasu, gdy ubodzy z Acre po raz ostatni szukali dziedzica. Po spaleniu dworu jego ruiny odwiedzałam tylko ja, Richard i duchy Laceyów. Ścieżka była zarośnięta, więc musiałam się przedzierać przez jeżyny i osty i odrywać od nich ubranie. Mama miała rację, kiedy ostrzegła mnie, że nie zawsze będę się rozkoszować tą zmianą w moim wyglądzie, jaką było podłużenie sukienki.

- Zaczekaj! - zawołałam zniecierpliwiona. - Podciągnę ją. Richard zachichotał i przytrzymał mi płaszcz, podczas gdy ja podkasałam sukienkę.

- Nie jesteś żadną młodą damą, tylko łobuziakiem - rzekł z uśmiechem.

- Jestem młodą damą - upierałam się. Obraz Beatrice był wciąż żywy w mej pamięci. - Ale nie zawsze mogę być doskonałą panią na Wideacre.

Z podniesioną sukienką szło mi się łatwiej i już bez problemów przedostaliśmy się przez śliski pień drzewa, trzymając się tylko jego gałęzi. Później odbyliśmy przechadzkę trawiastą aleją i znaleźliśmy się w Havering, gdzie babcia pogratulowała mi nowej

102

fryzury. Była tak wielkoduszną, że raczyła nie dostrzec warstwy błota wokół obrębu świeżo podłużonej sukienki. Zostaliśmy u niej na herbacie, a potem zarządziła, by odwieziono nas do domu.

- Możemy pójść pieszo, pani Havering - grzecznie odezwał się Richard. Uśmiechnęła się.

- Moja wnuczka stała się dziś młodą damą. Myślę, że powinna wracać do

domu powozem.

Tak więc zajechaliśmy przed dom we wspaniałym stylu: w zniszczonym powozie z wyblakłym herbem na drzwiczkach. Mama pomachała do nas ręką z okna salonu, po czym pospiesznie wyszła na próg.

- To już drugi powóz, który przywiózł mi dzisiaj gości - powiedziała z błyszczącymi oczami. - Biegnijcie szybko na górę i przebierzcie się. Nie chcę widzieć takich brudasów w salonie. Pospieszcie się! - Cofnęła się do pokoju, wybuchając śmiechem jak mała dziewczynka i nie zwracając uwagi na nasze twarze wyrażające osłupienie. Najzwyczajniej w świecie uciekła przed pytaniami.

Richard od razu skierował się do kuchni. Panował tam okropny bałagan. Ogień buchał w piecu, biały czepek kucharki był przekrzywiony, a ona sama przeraźliwie czerwona na twarzy.

- Kto przyjechał? - zapytał. - Pani Gough, dla kogo szykuje pani dodatkowe nakrycie?

- Poczekaj, to zobaczysz! - odparła krótko, klepiąc dłonią kulkę ciasta leżącą na posypanym mąką stole. - Pani kazała, żeby panienka Julia przebrała się w najlepszą sukienkę, a panicz ma włożyć niedzielne ubranie!

- Czy to lord Havering? - odważyłam się zapytać, na co pani Gough tylko zacisnęła usta, rozwałkowała część ciasta i zawinęła je, by nie wysychało.

- Pani de Courcey! - zgadywał Richard.

- No idźcie już, proszę - powiedziała z tą wyrozumiałością w głosie, którą zawsze miała dla Richarda. - Nie widzicie, że ledwo się trzymam na nogach. Paniczu, proszę pójść się ubrać.

A panienka niech będzie tak dobra i pójdzie na podwórze zobaczyć, czy

Jem już wrócił. Miał przywieźć trochę owoców, warzyw i mięsa z Midhurst. Nie mogę bez tego ruszyć z miejsca!

Skinęłam głową i posłusznie ruszyłam do kuchennych drzwi, Richard się jednak nie poddawał i dalej próbował zgadywać.

103

Jem jeszcze nie wrócił. Rumieńce, które pojawiły się na różowych policzkach naszej kucharki, ostrzegały, że nawet Richard nie może dalej nadużywać jej cierpliwości. Skuliliśmy ramiona i wymknęliśmy się do sieni. Zobaczyliśmy, że leży tam na stole męski kapelusz. Obok były brązowe rękawiczki z eleganckiej skóry. Z salonu dobiegał nas szmer głosów. W pewnym momencie rozległ się śmiech mamy, tak czysty jak dźwięk fletu. Nigdy w życiu nie słyszałam, by śmiała się tak radośnie. Richard próbował podsłuchiwać pod drzwiami, ale z jadalni wyszedł Stride i wygonił nas na górę.

- Stride, kto tam jest? - zapytałam szeptem, kiedy już stałam na schodach.
- Im szybciej panienska się przebierze do obiadu, tym prędzej się dowie - odparł opryskliwie. - Proszę już iść, panienko.

W sypialni zrzuciłam na podłogę zabłocone ubranie i wyciągnęłam z szafy nową sukienkę z kremowego jedwabiu. „Tylko dla ciebie jest ona nowa” - powiedziała ze smutkiem mama. Była to bowiem obcięta suknia jej przyrodniej siostry. Jedwab był błyszczący, żółtawy i przypominał barwą środek pierwiosnka. Wyblakł jedynie na szwach. Kiedy przełożyłam tę chmurę słodko pachnącego materiału przez głowę i spowiły mnie miękkie fałdy, poczułam się wyższa i doroślejsza. Stałam na palcach, by jak najwięcej zobaczyć w małym lusterku. Zauważyłam, że kolor sukni dodał ciepła mej twarzy i oczom, które były teraz mgliście szare. Później

usłyszałam, że Richard puka do drzwi, więc wsunęłam stopy w najlepsze pantofle i razem zeszliśmy na dół, by zobaczyć, kim jest ten ważny gość. Musiał być bardzo ważny, skoro jego nazwisko ukrywano jak jakiś wielki sekret, a pani Gough dostała nawet pieniądze na mięso i owoce.

Był to John MacAndrew.

Domyśliłam się tego w sekundę po otwarciu drzwi, wcale nie dlatego, że rozpoznałam wysokiego, lekko przygarbionego mężczyznę stojącego przy kominku, jak najbliżej płonącego ognia. Domyśliłam się tego, gdy ujrzałam zaróżowioną i dziewczęcą twarz mamy, która po prostu promieniowała szczęściem. Nigdy jej takiej nie widziałam.

- Julio! To jest...

- Wujek John! - przerwałam i przebiegłam przez pokój, wyciągając do niego ręce. Widząc takie powitanie, uśmiechnął

104

się szeroko, chwycił moje dłonie i mocno przyciągnął mnie do siebie.

Uściskał mnie i ucałował w czoło, a potem zrobił krok w tył, żeby mi się przyjrzeć.

Swobodny uśmiech nagle zniknął mu z twarzy, a bladoniebieskie oczy straciły swój ciepły wyraz. Wpatrywał się we mnie tak, jakby widział ducha, a nie swoją siostrzenicę. Potem podniósł oczy i ponad moją głowę zerknął na mamę, która podniosła się z krzesła i patrzyła na niego, chyba z przestraszaniem.

- Co się stało? - spytała.

- Ona jest tak podobna... tak podobna do... - mówił wolno, dobierając słowa, z oczami utkwionymi w mej twarzy. Miałam wrażenie, że się boi. Niezgrabnie odsunęłam się od niego w stronę mamy. Spoglądałam na nią

w nadziei, że podpowie mi, co mam robić.

- Nie! - powiedziała tak ostro, że aż podskoczyłam. Wcale nie jest podobna do Beatrice!

Słyszając to imię, wujek wypuścił z ust powietrze.

- Wcale nie jest podobna do Beatrice - powtórzyła mama. Zachowywała się jak odważny jeździec, który zamierza wziąć trudną przeszkodę. - Ma całkiem inny kolor włosów i inne oczy. Jest zupełnie inna. Zbyt długo byłeś z daleka od nas. Za długo trzymałeś w pamięci obraz Beatrice. Julia w najmniejszym stopniu jej nie przypomina. Jest moją córką i jest podobna do mnie. Czasami bywa niegrzeczna, jest też zwariowana na punkcie Wideacre. Wszystkie dzieci bywają nieznośne i to nic nie znaczy. Julia jest moją małą dziewczynką. Gdybyś zobaczył ją wczoraj, nim upięła włosy, na pewno nie uznałbyś jej za młodą damę!

Wujek wzruszył ramionami i potrząsnął głową tak, jakby chciał odpędzić jakieś myśli.

- Oczywiście - rzekł i uśmiechnął się do mnie, czerpiąc ze zdrowego rozsądku mamy. - Oczywiście. To tylko jej fryzura, uśmiech, głos i sposób trzymania głowy... pewnie przejęła wdzięk od ciebie, Celio.

Cieszę się, że tak uważasz - powiedziała - bo ja uważam ją za łobuziaka kompletnie pozbawionego dobrych manier.

Uśmiechnął się, a ciepły wyraz jego oczu sprawił, że ucieszyłam się ze względu na mamę. Od pierwszego wejrzenia wiedziałam, że on ją kocha. Z początku wydawało mi się, że jest to zgarbiony, zmęczony i schorowany mężczyzna o żółtawej twarzy, pierwsze wrażenie uleciało jednak, gdy zobaczyłam iskierki

w jego oczach i ledwo dostrzegalny, tajemniczy uśmiech na ustach.

Wydawało się, że wujek próbuje być poważny, ale nie może powstrzymać się od śmiechu.

- Wujku - rzekłam nieśmiało - jest tu również Richard. Szybko odwrócił się do swego syna. Zobaczyłam, jak prostuje ramiona, tak jakby brał na siebie brzemię, za którym od dawna tęsknił. Wyciągnął dłoń, gdy tylko Richard przekroczył próg pokoju, a jego uśmiech i słowa sprawiały wrażenie już dawno wyćwiczonych:

- Richardzie, tak się cieszę, że cię widzę.

Objął go i mocno uściskał, a potem, ciągle trzymając chłopca blisko siebie, ze śmiechem zwrócił się do mamy:

- Celio, przez cały czas wyobrażałem sobie ciebie z małymi dziećmi.

Okazuje się, że Richard jest prawie mego wzrostu, a Julia sięga mi do ramienia.

Mama również się roześmiała. Jestem pewna, że spodziewała się wahania i niepewności ze strony wuja i umiejętnie wszystko tuszowała, zanim ktokolwiek mógł to zauważyć.

- Iluż oni potrzebują ubrań! - zawołała. - A ilu butów!

- Widzę, że przydadzą się wszystkie moje rubiny i diamenty

- rozpromienił się.

- Ojczy, to ty masz rubiny i diamenty? - szybko zapytał

Richard.

- Całe kopalnie - odparł wuj. Mama uśmiechnęła się do niego.

- Wydamy je wszystkie - zapowiedziała. - Teraz jednak usiądź, proszę, i odpocznij, zanim Stride poda obiad. Opowiedz nam swoje przygody.

Skarby możesz rozpakować później!

Obiad był arcydziełem, jeśli wziąć pod uwagę niewielką ilość czasu, jaką pani Gough miała na jego przygotowanie. Jedliśmy na porcelanie z herbem Haveringów, piliśmy z najlepszych kryształowych kieliszków. Babcia Havering nie szczędziła trudu, kiedy Jem przybył do niej po powrocie z Midhurst i poinformowała ją, że wrócił doktor MacAndrew. Zapakowała nawet butelkę zimnego szampana, który wypiliśmy przy deserze, wznosząc toast za pomyślną przyszłość.

- Musimy porozmawiać, Celio - powiedział wujek, gdy mama zadzwoniła, aby Stride zebrał talerze.

- Możemy to zrobić później - zaproponowała, spoglądając na jego bladą twarz z czułością i zatroskaniem.

106

John zdobył się na uśmiech.

- Nie. Jestem zmęczony, to prawda, przyznaję. W Indiach miałem kilka ataków gorączki, która osłabiła mnie bardziej niż powinna. Są jednak rzeczy, o których musimy zdecydować wszyscy, i chcę, abyśmy zrobili to szybko. Chodźmy do salonu na naradę wojenną.

- Wujku, a komu wypowiemy wojnę? - spytałam z uśmiechem, gdy przechodziliśmy przez sień. Ogień na kominku zdążył już zgasnąć, więc mama zadzwoniła, by przyniesiono świeże polana. My tymczasem rozsiedliśmy się wokół stołu.

- Wydaje mi się, że wypowiadamy wojnę przeszłości - rzekł poważnie. - Złym dawnym stylom myślenia i postępowania. Chcę, żebyśmy przebudowali Wideacre i chcę, żebyśmy odnieśli prawdziwe zwycięstwo.

- Poszcęściło mi się w Indiach - tymi słowami rozpoczął naszą naradę. -

Pracowałem dla jednego z niezależnych hinduskich książąt. - Przerwał i uśmiechnął się z przymusem. - Wioski, którymi się opiekowałem, umknęły epidemii, która opanowała resztę kraju. Za moją zasługę uznano to, co było jedynie kombinacją szczęścia i wprowadzonej higieny. Książę w nagrodę dał mi rozległy obszar ziemi. Jest to dobra gleba, nadaje się pod Uprawę herbaty i przypraw. Ponadto jest tam mała kopalnia, już obecnie przynosząca niezły dochód, a można ją jeszcze rozbudować.

Richard podniósł głowę.

- Kopalnia? Kopalnia czego?

- Opali - odparł wujek. Uśmiechnął się, lecz jego ton był ironiczny: - Wygląda na to, że znowu mam szansę stać się bogaczem.

Moją poprzednią fortunę straciłem tu, w Wideacre. O tę nową będę lepiej dbał.

- Opale - cicho powtórzył Richard. Oblizał usta tak, jakby opale były czymś słodkim do jedzenia.

- Wróciłem do domu po to, by nieść pomoc - ciągnął zdecydowanie wujek. - Wróciłem, żeby zaprowadzić porządek na ziemi i wśród ludzi. Wideacre cieszy się bardzo złą sławą. Ludzie z Acre znaleźli się na czarnej liście. Nie mogą nigdzie znaleźć pracy. Okoliczni farmerzy nie chcą zatrudniać podpalaczy. Jest to okropne dziedzictwo, z którym ta wieś musi sobie poradzić.

Ludzie żyją tu w biedzie, trwają w nienawiści do dziedziców i są

107

znani z awanturnictwa. Wszystko to razem stanowi fatalny przykład dla dzieci.

- Wujku - przerwałam, lecz kiedy odwrócił do mnie swą surową twarz,

zdołałam powiedzieć tylko: - Nie rozumiem.

Spojrzał na mamę.

- Nic im nie powiedziałaś? - zapytał.

- Tak jak ustaliliśmy - odparła spokojnie. - Uznaliśmy, że nie należy ich obciążać znajomością takiej przeszłości, póki są jeszcze dziećmi.

Mówiłam im tylko o tym, że był pożar, po którym i nasza rodzina, i wieś Acre popadły w ruinę. Nie opowiadałam im więcej, choć czasami próbowali wydostać ode mnie jakieś informacje. Sądzę, że teraz są już dość dorośli, by poznać ogólny zarys tamtych wydarzeń.

Zdumiało mnie to, że podkreśliła słowa „ogólny zarys”.

John skinął głową.

- Doskonale. Zapewne słyszeliście, że kiedyś tym majątkiem wspaniale zarządzali tata Julii, dziedzic, i jego siostra Beatrice. Tak jednak nie było. Oni wycisnęli z tej ziemi wszystko, co się dało, żeby zdobyć pieniądze na zmianę prawa majoratu. Chcieli, żebyście obydwójcie dziedziczyli posiadłość. Celia i ja sprzeciwialiśmy się temu. Byliśmy przeciwni zarówno zmianom w prawie, jak i uprawianiu w Wideacre jedynie pszenicy.

Okolica była bardzo uboga i wielu ludzi głodowało. Pewnej nocy zbuntowani wieśniacy przyszli do dworu. Ostrzeżono nas wcześniej, więc razem z Celią wywieźliśmy was do Havering Hall. Beatrice jednak postanowiła zostać. Zginęła w czasie pożaru. Tata Julii dostał ataku apopleksji i umarł. Zawsze miał słabe serce. To choroba rodzinna.

Wymieniliśmy z Richardem długie zdumione spojrzenie.

- Och - rzekł tępo Richard - to mama została we dworze całkiem sama,

kiedy nadchodził ten motłoch?

- Tak - spokojnie odparł wuj. - Tak postanowiła. Od dłuższego czasu nie żyliśmy już ze sobą jak mąż i żona, więc nie miałem obowiązku nakłaniać jej do wyjazdu czy też zostawać tam, by ją chronić. Za mój obowiązek uznałem ochronę was dwojga. Beatrice zdecydowała się zostać. Gdyby tylko zechciała, mogła wsiąść do powozu.

Na stole znajdowała się czarka z białymi pierwiosnkami. Utkwiłam w nich oczy, lecz prawie ich nie widziałam. Zwiesiły swe główki nad brzegiem srebrnego naczynia. Przypomniałam

108

sobie inne naczynie ze srebra i ciężkie główki kremowych róż, które spoglądały na swoje odbicie. Przypomniały mi się słowa mamy, która pogardliwie powiedziała: „Jesteś niszczycielką, Beatrice”.

Zostawili ją tam. Odjechali ogarnięci nienawiścią. Nie znałam jej powodu. Przypomniałam sobie ciszę, jaka panowała w moim śnie i uczucie spokoju, jakiego doznawałam wiedząc, że wszyscy oni nareszcie odjechali i dom jest pusty. Skończył się cały trud, znikły kłamstwa i oszustwa.

Przypomniałam sobie, jak Beatrice spoglądała na drogę, czekając na zbuntowany tłum.

- Czy oni mieli jakiegoś przywódcę? - zapytałam, myśląc o dawnym bogu, który był pół człowiekiem, pół koniem.

- Nigdy nikogo nie ujęto - spokojnie odparł wujek.

- Skąd oni byli? - spytał Richard.

- Tego nikt nie wie - odpowiedział tym samym spokojnym tonem.

Podniosłam wzrok znad kwiatów i zobaczyłam jego bladoniebieskie oczy.

Wiedziałam, że ukrywa przed nami prawdę. Beatrice

dobrze znała zbuntowanych wieśniaków. Wydaje mi się, że znała też tego mężczyznę, którego ludzie z Acre nazywają teraz bogiem. Zawsze jednak bardzo szanowałam tajemnice dorosłych, ich zadawnione lęki i urazy. Poza tym niczego nie byłam pewna.

Zapytałam tylko: - Co to oznacza? Co to oznacza dla nas?

- To znaczy, że chcę przywrócić porządek w tej posiadłości rzekł John. - Czas już dać tej ziemi kolejną szansę. Czas, byśmy rozpoczęli nowe życie. Mam parę konkretnych pomysłów co do tegorocznych zbiorów. Możemy sprzedać owoce i warzywa w Chichester albo w Londynie. Chciałbym, żebyśmy spróbowali podzielić się dochodem z wieśniakami. To zachęci ich do pracy i pokaże, że nadciąga nowa epoka. Od pewnego czasu interesowałem się przemianami, jakie zachodzą we Francji - mówił dalej, a oczy błyszczały mu entuzjazmem. - Głęboko wierzę, że nadchodzą nowe czasy. Czasy, w których ludzie będą razem pracować i dzielić się dochodem. Będzie to era nauki i postępu, era zwalczania dawnych ograniczeń i przesądów. Naprawdę nadchodzą nowe czasy, a ja pragnę, by Wideacre stało się ich częścią.

Milczeliśmy wszyscy nieco przytłoczeni zarówno zapalem wuja, jak i wizją tak odmiennego Wideacre.

109

- Julia będzie mogła wyjechać na jakiś czas do miasta - wolno powiedziała mama.

John skinął głową.

- Odbudujemy dwór - odezwał się Richard.

- Odbudujemy dwór, ponownie ogrodzimy park, a ziemia znów stanie się płodna i urodzajna - potwierdził wujek.

- We wsi nigdy już nie będzie nędzy - powiedziałam, myśląc o biednych dzieciach, które nadzorca okręgowy może następnym razem zabrać i wywieźć do fabryk na północy.

- Ta sprawa jest dla mnie najważniejsza - powiedział.

W ciszy, która potem zapadła, powoli zaczęliśmy sobie uświadamiać, że wszystkie nasze marzenia mogą się urzeczywistnić.

- Liczę na was wszystkich - odezwał się wuj. - Znajdę zarządcę, który poprowadzi gospodarstwo. Będę jednak potrzebował waszych rad i pomocy. To wasze dziedzictwo chcemy uporządkować, Julio i Richardzie.

- Z powagą spojrzał na każde z nas po kolei.

- Będzie mi potrzebna wasza pomoc.

- Czy mam zrezygnować z uniwersytetu, ojcze? - z zapalem spytał Richard.

John uśmiechnął się, jego oczy nagle nabrały ciepłego wyrazu.

- Na pewno nie - rzekł stanowczo. - Czasy dziedziców, którzy nie znają się na niczym prócz swych upraw, dawno już przeminęły. Wstąpisz do Oksfordu, a Julia wyjedzie na sezon towarzyski najpierw do Bath, potem do Londynu. W lecie będzie dość czasu, byś zajmował się gospodarstwem.

- Dobrze - powiedział Richard. Wujek spojrzał na mnie.

- A czy panience Julii też to odpowiada? - spytał, przybierając żartobliwy i czuły ton.

Uśmiechnęłam się do niego serdecznie.

- Tak. Naprawdę. Odkąd tylko zaprzyjaźniłam się z dziećmi z wioski, czekałam z utęsknieniem na dzień, w którym zapanuje tam ład i dostatek.

Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa.

Wuj i mama popatrzyli na siebie przeciągle.

- Wszyscy zatem jesteście zadowoleni - powiedział - A teraz rozpakuję walizki i zobaczę, czy pamiętałem o tym, by wam coś przywieźć z mojej podróży.

110

Wuj postanowił wręczyć nam prezenty przy kolacji. Byliśmy jeszcze trochę skrepowani w jego towarzystwie. Mama była zdenerwowana i zakochana, a ja tak onieśmielona, że na każdym kroku ujawniałam swój brak obycia. Tylko Richard był rozluźniony i czarujący jak zwykle. Wujek usiadł u szczytu stołu na miejscu Richarda i uśmiechnął się do nas jak ojciec wspaniałej rodziny. Potem rozpakował prezenty. Przywiózł po kilka metrów cudownego jedwabiu i muślinu dla mnie i dla mamy. Wyjął też wąskie, obite pluszem pudełko. Podsunął je mamie, kiedy Stride zabierał talerze, a na pytanie: „Co to jest?”, odpowiedział tylko tajemniczym uśmiechem.

Otworzyła zameczek i wyciągnęła naszyjnik. Był niezwykle piękny, zrobiony z jednakowych pereł zrodzonych w muszlach, gdzieś daleko w ciepłych wodach oceanu, tysiące mil od Wideacre. Każda z nich była doskonałą gładką kulą.

- Ależ one są różowe! - zawołała mama, zbliżywszy je do świecy.

- Różowe perły - rzekł triumfalnie wuj. - Wiem, że uwielbiasz perły, Celio, i nie potrafiłem się im oprzeć. Są tam również pasujące do naszyjnika kolczyki.

- Gdzie je znalazłeś? - zawołała. - Chyba w Indiach.

- Tak, ich zdobycie było robotą prawdziwie diabelską rzekł z poważną

miną. - Poławianie pereł co niedzielę, po mszy, w morzu pełnym rekinów - to nie żarty, mówię ci, Celio. Mama zaśmiała się z tej bajki i zabrzmiało to tak uroczo jak śmiech zalotnej dziewczyny. Później włożyła naszyjnik. Kiedy niezręcznie próbowała sobie poradzić z zameczkiem, miałam nadzieję, że wujek jej pomoże. On jednak świadomie unikał odgrywania roli jej kochanka przed naszym bystrym, zaciekawionym wzrokiem.

- Są cudowne - powiedziała z radością. - Czy mam je zachować na okazje wyjściowe?

Nie! - odparł. - Na te „okazje wyjściowe” będziesz miała jeszcze wspanialsze rzeczy, obiecuję ci to. Te perły to tylko prezent z okazji powrotu do domu. Masz je nosić na co dzień. Posłała mu przez stół uśmiech, a jej oczy stały się bardzo ciepłe.

Zatem będę je nosić codziennie - rzekła. - Będę je miała na sobie nawet wtedy, gdy nie będą pasować do sukni. A to, co kupisz mi w przyszłości, na pewno nie będzie wspanialsze niż

111

ten podarunek, który przywiozłeś, gdy nareszcie zdrowszy i cały wróciłeś do domu.

Oczy ich spotkały się na dłużej. John milczał.

- Wydaje mi się, że poławianie pereł jest dla tych ludzi, którzy to robią, bardzo szkodliwe - odezwał się Richard.

Wujek spojrzał na niego.

- Zwykle tak. Ale zdarza się, że perły znajdują się w stosunkowo płytkich wodach. Zresztą nurkowie pracują dla kogoś, kto bardzo dobrze ich trenuje i dba o ich zdrowie. Nie kupowałbym ich, gdyby było inaczej.

Przez chwilę nic nie mówiliśmy. Richard wyrugowany ze swego dawnego miejsca przy stole wpatrywał się w obrus, jakby go widział po raz pierwszy.

- Wujku - zapytałam niby obojętnie - co jest w tej paczce?

- Też mi pytanie! - odparł, nagle przypominając sobie o swych zobowiązaniach. - Tak pytasz, moja mała panno Lacey, jakbyś nie wiedziała, że na tej paczce jest twoje imię. - Przysunął ją do mnie, a ja odpakowałam. W środku było piękne pudło farb akwarelowych.

Uśmiechnął się, gdy mu dziękowałam, lecz potem zaśmiał się ironicznie, bo mama powiedziała, że lepiej by zrobił, nie wydając pieniędzy na farby. Jedyną rzeczą, do której rysowania dawałam się namówić, były pola i krajobrazy.

- W tym domu artystą jest Richard - powiedziała łagodnie mama. - Bardzo się interesuje architekturą i klasyczną rzeźbą.

- Naprawdę? - spytał John, uśmiechając się do syna z aprobatą.

- Kto wie, może tak śliczne pudełko farb i paleta zachęca i ciebie, Julio - rzekła mama.

- Na pewno - obiecałam. - Bardzo jesteś kochany, wujku. To piękny prezent! - Wstałam z krzesła, zbliżyłam się do niego i ucałowałam pobrużdżone zmęczone czoło. Ten pocałunek był tyleż podziękowaniem, co i przeprosinami za to, że nie jestem taką uroczą, dobrze wychowaną siostrzenicą, jaką sobie wyobrażał.

- A co ty dostałeś, Richardzie? - spytałam, widząc, że paczka dla niego stoi w kącie pokoju. Miała kształt słupa z zaskakująco wybrzuszoną podstawą i sięgała mu do piersi. Rozerwał opakowanie, a my ujrzeliśmy jakieś dwa dziwne młotki i sześć twardych,

ciężkich kul. Richard z zakłopotaniem popatrzył na ojca i zważył młotek w dłoniach.

- To kije i piłki do polo - wyjaśnił wuj. - Widziałeś kiedyś, jak się w to gra?

Richard potrząsnął głową.

- To cudowna gra dla dobrego jeźdźca, a szalona przygoda dla słabego. Zanim znajdziemy przyzwoitego wierzchowca dla ciebie, wynajmiemy parę koni i zagramy niejeden mecz.

Wydaje mi się, że nie ja jedna dostrzegłam nagłą bladość Richarda. John z błyszczącymi oczami wyjaśniał mu zasady gry, opowiadał o tym, jak jest szybka i niebezpieczna. Tymczasem Stride wnosił owoce, słodczyce i portwajn, a mama z radością obserwowowała, jak dwaj bliscy jej mężczyźni nawiązują przyjaźń.

Zostawiłyśmy ich pogrążonych w rozmowie o koniach i wycofałyśmy się do salonu. Tam mama podeszła prosto do lustra nad kominkiem i przyglądała włosy, uśmiechając się lekko do swego odbicia. Zrobiło mi się wesoło, bo był to pierwszy przejaw próżności, jaki u niej zauważyłam. Jej odbijająca się w lustrze twarz, oświetlona świeczką z najlepszego wosku (z zapasów babci Havering), wyglądała bardzo ładnie. Jak ciepłe żelazko prasuje kremowy jedwab, tak radość z powrotu wujka wygładziła bruzdy na jej czole i zmarszczki. Jej brązowe aksamitne oczy promieniowały szczęściem, a wiek zdradzały tylko siwe pasma we włosach. Wdowi czepek przymocowała z tyłu głowy tak, że wyglądał jak kawałek koronki wpięty w uczesane w kok włosy. Kiedy dostrzegła, że się jej przyglądam, zarumieniła się lekko i odwróciła od lustra z pogodną

miną.

- Bardzo się cieszę, że mają przynajmniej jeden wspólny temat: konie - powiedziała. - Bałam się, że nie będą mieli o czym rozmawiać.

Chciałabym, żeby się zaprzyjaźnili. To dla nich bardzo ważne.

Usiadłam skulona we wnęce okiennej i odsłoniłam zasłony, chcąc popatrzeć na aleję przed naszym domem. W srebrnym świetle księżyca, obramowana ciemnymi drzewami, wyglądała niesamowicie. Szum wiatru w górnych gałęziach drzew brzmiał jak westchnienie za życiem, które zostało zmarnowane.

W domu światło było złotawe i ciepłe. Mama przysunęła do siebie lichterz, żeby lepiej oświetlić swoją robótkę. Na zewnątrz, gdzie ciemności rozpraszał tylko blask księżyca, ziemia wciąż pamiętała.

Przemawiała do mnie.

113

Siedząc tak z twarzą zwróconą do chłodnej szyby, utkwivszy oczy w ciemności, zapadłam w półsenną zadumę. Wiedziałam, że wuj opowiedział nam jedynie połowę historii naszej rodziny. Byłam pewna, że kobieta ze snu to Beatrice czekająca we dworze. Beatrice wiedziała - we śnie doznawałam tej pewności - że na czele zbuntowanego tłumu szedł człowiek, którego dobrze znała. Ludzie ci przyszli z Acre, bo zasłużyła na ich gniew.

Wiedziałam także, że mieszkańcy wioski przestali ją nienawidzić.

Zapomnieli o tych strasznych czasach, gdy samo jej pojawienie się oznaczało śmierć, kiedy zagrażała wszystkim młodym mężczyznom. Teraz wspominali tylko małą dziewczynkę, która sprawiała, że zboże rosło wyżej i miało grubsze kłosa niż kiedykolwiek przedtem. Siedząc plecami

do małego salonu i mamy schylonej nad szyciem, poczułam, że z całego serca pragnę być tą osobą, która sprawi, że ziemia zacznie rodzić i Acre zbudzi się do życia. Wydaje mi się, że tego wieczoru po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że chcę być dzieckiem szczęścia.

Byłam tak zatopiona w myślach, że aż podskoczyłam na dźwięk otwieranych drzwi, kiedy panowie wchodzili do salonu. Richard od razu dostrzegł na mej twarzy i noc, i światło księżyca. Uniósł brew tak, jakby chciał posłuchać wiatru, lecz niczego nie usłyszał. Była to bowiem noc rozmów o koniach i opowieści o podróżach, noc wspomnień o czasach, gdy na tej ziemi panował spokój i dobro. Bardzo późno położyliśmy się spać, ale gdy znalazłam się w łóżku, nie śnił mi się dwór i buntownicy przybywający wśród ciemności. Śniłam o nowych sukienkach i salach balowych, jak śni każda dziewczyna, która właśnie stała się młodą damą.

ROZDZIAŁ Piąty.

Po paru dniach obydwójce z Richardem odkryliśmy, że życie z wujkiem Johnem nie zawsze jest rozkoszą. Wezwał nas bowiem po kolei do salonu i poddał egzaminowi, na który składały się różne pytania zadawane w szybkim tempie. W ten sposób sprawdził zarówno nasze zdolności, jak i aktualną wiedzę. Byłam na tyle głupia, aby pochwalić się, że razem z Richardem uczyłam się łaciny i greki. W konsekwencji musiałam przetłumaczyć dwie strony, męcząc się jak potępieniec. Byłam kiedyś przekonana, że mam wspaniały francuski akcent, ale wujek od razu wyprowadził mnie z tego błędnego mniemania. Zaczął do mnie mówić tak szybko, że rozumiałam zaledwie jedno słowo na dwadzieścia, a odpowiadając mu, jękałam się okropnie. Biedny Richard wypadł jeszcze gorzej. Opuścił salon czerwony na twarzy i wściekły, mamrocząc coś o

ludziach, którzy wracają z Indii i popisują się jak nababowie. W końcu wybiegł z domu trzaskając drzwiami. Ja schroniłam się w jadalni ze szkolnymi książkami Richarda i z bardzo zranionym poczuciem własnej godności.

Tego samego wieczoru wujek oznajmił nam, że musi wyjechać do Londynu, by spotkać się ze swym ojcem - naczelnym dyrektorem należącego do nich Towarzystwa Okrętowego.

Mam mu służyć jako konsultant do spraw handlu z Indiami, wyjaśnił. - Kiedy będę w Londynie, na pewno znajdę odpowiedniego człowieka, któremu będzie można powierzyć zarządzanie Wideacre. Potem nachylił się do mamy i zapytał:

Czy mam ci coś stamtąd przywieźć? Może jakieś wzory sukien?

115

Mama zerknęła na swoją zniszczoną ciemną sukienkę.

- Bardzo mi są potrzebne nowe stroje - powiedziała. - Jeszcze bardziej Julii, która, biedactwo, nie miała nigdy nowej sukienki. Nie wierzę jednak, byś potrafił wybrać odpowiednie fasony.

- Przywiozę wam purpurowe sari - odparł natychmiast. - Takie jak noszą damy w Indiach. Jestem przekonany, że obie wyglądałybyście w nich czarująco.

- Być może - roześmiała się mama - lecz wolałabym, żeby Julia pokazała się w Bath w czymś nieco bardziej konwencjonalnym. Zresztą napisałam już do mojej dawnej krawcowej z Chichester. Uszyje nam szybko parę sukien, w których będziemy chodzić aż do czasu, gdy się z nią spotkam i naradzę. Nie musisz więc nam nic przywozić. Przywieź swoją cenną osobę i nie

pracuj zbyt ciężko.

Wujek wyjechał następnego ranka zaraz po śniadaniu. - Nie potrafię powiedzieć, jak długo tam zabawię - powiedział, zarzucając na ramiona płaszcz. - Podczas mojej nieobecności będziecie mieli sporo pracy.

Richardzie, chciałbym, żebyś w tym czasie poważnie zabrał się do nauki. Jeżeli nie zaprezentujesz w Oksfordzie poziomu wyższego niż to, co pokazałeś mnie, nie masz tam żadnych szans.

Otworzył drzwi i ujął Richarda pod rękę, mówiąc: - Nie winię za to pastora Pearce'a. To tylko twoja wina, bo nie byłeś wystarczająco pilny. Jeżeli chcesz sam o sobie decydować, czy to jako właściciel ziemski, czy jako ktokolwiek inny, musisz się nauczyć koncentracji. Nie jestem zachwycony twoimi postępami. A w dodatku Julia zna łacinę nie gorzej od ciebie, choć uczyła się jedynie z drugiej ręki.

Richard, ten pogodny Richard, uśmiechnął się do ojca anielsko i rzekł:

- Przepraszam, ojcze. Wiem, że powinienem był więcej pracować. Moja kuzyneczka zawstydzła mnie. Zawsze była bardzo bystra.

Poczułam ulgę, słysząc te słowa, gdyż bałam się, że to porównanie go urazi. Wujek uśmiechnął się słysząc, że jego syn jest taki wielkoduszny, a potem wsiadł do powozu. Pomachał do nas ręką i odjechał.

Gdy tylko powóz zniknął nam z oczu, prysnął dobry nastrój Richarda.

Oznajmił, że idzie się uczyć do salonu, więc odwróciłam się, by pójść z nim.

116

- Nie idź za mną - rzekł szorstko. - Będziesz gadać i rozpraszać mnie.

Chyba słyszałaś, co tata powiedział: mam więcej pracować. Nigdy się niczego nie nauczę, jeśli będziesz mnie stale zagadywać albo wyciągać na

spacery. Byłam zdumiona.

- Ależ, Richardzie! - powiedziałam. - Przecież przychodziłam tylko po to, by ci pomagać w lekcjach.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - skłamał. - W niezłych mógłbym się znaleźć tarapatach, gdybym polegał na twoich możliwościach umysłowych. Idź do mamy i posiedź z nią trochę. Ja idę ciężko pracować. Chcę, żeby tata był zadowolony.

Odeszłam bez słowa, uznając, że jest bardzo niesprawiedliwy. Wiedziałam, że bez mojej pomocy wyszukiwanie słówek zajmie mu dwa razy więcej czasu. Nie powiedziałam mamie o tej naszej cichej kłótni, a gdy skończyłam robótkę, zapytałam ją, czy mogę pójść do kuchni i przygotować dla Richarda jego ulubione cukierki. Miała to być nagroda za pilne przykładanie się do nauki. Przy obiedzie wręczyłam mu talerzyk ze słodyczami. Podziękował mi jednym ze swych promiennych uśmiechów i niedbałym uściskiem pod drzwiami mej sypialni, zanim poszliśmy spać. Poczułam się ogrzana jego uśmiechem i szczęśliwa, że znowu przywrócił mnie do łask. Zrozumiałam, że była to kolejna lekcja. Jeszcze raz nauczyłam się, że kobieta powinna odpowiadać uśmiechem na złe słowa i czekać, aż wszystko wróci do normy. Ten sposób jest zawsze dobry, pod warunkiem że potrafisz się uśmiechać wystarczająco długo.

Przez całe trzy dni nie mieliśmy żadnej wiadomości od Johna. W piątek rano jego powóz wynurzył się ze wstrętnej, nietypowej dla tej pory roku mgły i cicho zajechał przed dom. Obie z mamą rzuciłyśmy swe robótki i na oślep pognałyśmy ogrodową ścieżką, go przywitać. Wujek wyskoczył z powozu, przyciągnął do siebie mamę, uściskał ją i cmoknął tak głośno, że słychać było chyba na wybrzeżu.

Celio! - zawołał i uśmiechnęli się do siebie. Nie musieli mówić. Wuj mrugnął do mnie nad głową mamy.

Jest tu też panienska Julia! - powiedział wesoło. - Wejdz do środka. Obie przemarzniecie, stojąc na dworze, bo pogoda jest okropna. Cały ranek była mgła. Ubiegłej nocy musiałem się

117

zatrzymać w Petersfield, bo po prostu nie widziałem drogi przed sobą.

Gdyby nie to, byłbym z wami już wczoraj.

Mama wprowadziła go do salonu i zadzwoniła, by przyniesiono więcej polan do kominka i podano gorącą kawę. Wujek rozgrzewał się przy kominku, trzymając nad ogniem swe smukłe dłonie.

- Wydawało mi się, że wracam do domu na lato - poskarżył się. -

Tymczasem jest tu tak mokro, jak w Indiach podczas monsunu.

- Julio, proszę, idź i przynieś wujkowi pikowane wdzianko - powiedziała mama. - Może chciałbyś kieliszek brandy?

Najpierw pobiegłam więc po kurtkę do jego sypialni znajdującej się na samej górze, potem zbiegłam do kuchni, by powiedzieć Stride'owi o brandy. Gdy wróciłam, mama usadowiła już wujka na przysuniętym do kominka krześle. Policzki zdążyły mu nieco poróżwieć.

- A gdzie Richard? - zapytał. Mama właśnie nalewała kawę, a Stride dorzucał drzewa do ognia.

- Na lekcjach - odparła. - Przez cały czas po twoim wyjeździe uczył się bardzo pilnie. Musisz go za to pochwalić. Bardzo sobie wziął do serca

twoje wyrzuty.

- Mam iść po niego? - spytałam. - Czasami siedzi u pastora do późna, a na pewno chciałby wrócić szybko, gdyby wiedział, że wujek wrócił.

- Tak. Idź - rzekł John. - Przywiozłem kilka projektów przebudowy dworu i nie mogę się doczekać, kiedy je wam pokażę. Lecz to jeszcze nie wszystko - dodał, odwracając się do mamy. - Znalazłem nowego zarządcę. Zanim do was przyjechałem, zawiozłem go do wsi. Julio, możesz go spotkać po drodze. Nazywa się Megson. Ralf Megson.

Nagle posłyszałam jakiś dźwięk, jakby brzęk rozbijanego kryształu. Potem rozległ się śliczny wysoki śpiew, który wydawał się pochodzić z drzew parku Wideacre pochylających się nad domem. Miałam wrażenie, że mgła śpiewa dla mnie piosenkę, a wzgórze za jej szarą ścianą wołają, bym przyszła. Jednak śpiew ten rozbrzmiewał we mnie. Potrząsnęłam głową, by się go pozbyć, lecz nie udało mi się. Śpiew wciąż się rozlegał i był jak dźwięk tysięcy pączkujących listków.

Mama była pod wrażeniem słów wujka. - To bardzo szybko! Jak to zrobiłeś?

118

- Zadziałały moje umiejętności i upór - odparł bez wahania, a mama wybuchnęła śmiechem. - Prawdę mówiąc, miałem szczęście - przyznał. - Rozwiesiłem ogłoszenia. Zgłosiły się tylko dwie osoby, ale żadna z nich nie wyglądała na odpowiednią. Niestety Wideacre ciągle jeszcze cieszy się bardzo złą sławą. Już podjąłem decyzję, że zatrudnię tego człowieka, który wydawał się mniej nieodpowiedzialny, kiedy przysłano mi do pokoju wiadomość, że jest jeszcze jeden kandydat.

- Wszedł - ciągnął wuj z uśmiechem - i zaczął mnie wypytywać o plany

dotyczące Wideacre. Musiałem przejść przez coś, co wyglądało na serię testów, i zapewniłem go, że nie pragnę wyłącznie handlować i osiągnąć dochody, ale interesuje mnie uczynienie z tej posiadłości wzorowego majątku opartego na podziale zysku. Wówczas raczył mi powiedzieć, że weźmie tę posiadłość.

A gdy odparłem, że nie jestem pewien, czy jest on odpowiednim człowiekiem, roześmiał się i powiedział: „Doktorze MacAndrew, jestem jedynym odpowiednim dla pana człowiekiem”.

- Jakże to niezwykle! - powiedziała mama z rozbawieniem. Co miał na myśli?

- Okazało się, że pochodzi z Acre, choć opuścił wieś, gdy był chłopcem - wyjaśnił John. - Chyba sądzi, że wciąż jeszcze ma tu przyjaciół, i twierdzi - zresztą wierzę w to - że jest w stanie namówić wieśniaków, by znowu pracowali dla Laceyów.

Uważa się jednak za człowieka z zasadami i pewnie dlatego poddał mnie takiemu śledztwu. Nie chciałby zachęcać ich do pracy, gdyby istniała obawa, że będziemy tylko niezaangażowanymi właścicielami lub sprzedamy majątek spekulantowi.

Mama skinęła głową, ale jeszcze się wahała.

- Kiedy stąd wyjechał? - zapytała.

Wuj usłyszał niepokój w jej głosie i uśmiechnął się.

- Pytałem go o to, moja droga - rzekł łagodnie. - Jest mniej więcej w naszym wieku, a wyjechał, gdy był zaledwie chłopcem, jeszcze zanim stary dziedzic zginął na koniu. Nie było go tu, kiedy Beatrice zarządzała majątkiem. Gdy wybuchł bunt, był daleko stąd.

Poza tym - dodał - mimo że jest radykałem, na pewno nie jest

wichrzycielem. Jest zdecydowanym przeciwnikiem posiadaczy ziemskich, ale jego poglądy niewiele różnią się od tego, co od pewnego czasu myślą rozsądni ludzie. Nie jest podżegaczem.

Wiele podróżował i jest bardzo doświadczony. Wydaje mi się, że
119

pragnie wrócić do domu, do swych korzeni i żyć we wsi dostatniej. Mamy więc ze sobą wiele wspólnego.

- A gdzie zamieszka? - spytałam, myśląc o Acre.

- Czy jest tu rodzina o nazwisku Tyacke?

- Tak - odparłam.

- Dopytywał się o ich dom. Chyba była to najlepsza chata we wsi, w czasach gdy był chłopcem, i zachował ją przez wszystkie te lata w pamięci. Znasz ich, Julio? Zgodzą się przeprowadzić?

- Tak. Mieszka tam jedynie Ted Tyacke i jego mama. Ten dom jest dla nich za duży. Ojciec Teda został w zeszłym roku ranny przy wyrębie drzewa i zmarł. Od tego czasu żyje się im bardzo ciężko. Jeśli zaproponujemy im ten mały domek koło kościoła, który teraz stoi pusty, i dodamy do tego trochę pieniędzy, to na pewno chętnie się zgodzą.

Wujek skinął głową i popatrzył na mnie jakoś tak oceniająco.

- Do kogo należy ta chata przy kościele? - zapytał tak, jakby sprawdzał jakąś wiadomość Richarda z gramatyki greckiej.

- Kiedyś należała do rodziny Lewesów. Rok temu wyjechali do Petworth, gdzie ich brat ma sklep.

- Chodząca historia Acre - powiedział do mamy, unosząc brwi.

- Julia zna wieś dużo lepiej niż my wszyscy - potwierdziła.

- Jeśli zobaczysz pana Megsona, to przekaż mu to, co nam opowiadałaś o Tyacke'ach - rzekł do mnie. - Jeśli zdoła tę sprawę załatwić ku zadowoleniu wszystkich, to może ten dom wziąć.

- Mamo, czy mogę już iść? - zapytałam.

- Tak - odpowiedziała. - Tylko włóż płaszcz z kapturem, kochanie. Jest okropna mgła. Nikt nie zgadłby, że to wiosna, widząc taką pogodę!

Wzięłam kapelusz i zimowy płaszcz. Wyszłam na szary świat, który z okien salonu wydawał się ciemny i odpychający. Spacer we mgle okazał się jednak osobliwą przyjemnością. Mgła tak tłumiała dźwięki, że nie słyszałam własnych kroków. Liście na bukach, które jeszcze wczoraj szumiały i szeleściły, dziś były ciche i wilgotne. W oddali słyszałam Fenny przelewającą się po kamieniach. Najgłośniejszym dźwiękiem, który słyszałam na tej zacisznej i dobrze osłoniętej dróżce, było miarowe kap... kap... kap..., to buki chwytały mgłę na swe stulone świeże listki i zamieniały ją w zimne krople rozpryskujące się na kapturze mego płaszcza. Nie widziałam pól po obu stronach drogi, a jedynie czułam ich

120

szarą przestrzeń. Widziałam też, jak mgła odsuwa się od ich krańców i niknie w głogowym żywopłocie. Wzgórza były całkowicie niewidoczne. Wszystko stanowiło wielką szarą plamę, tak jakby przed moimi oczami trzymano bury koc. Na całym świecie byłam tylko ja, te ociekające wodą drzewa i jasny grząski pas ścieżki wiodącej mnie pewnie i zdecydowanie do Acre. Byłam na rodzinnej ziemi i mogłam pójść, dokąd chciałam.

Ten spacer był wycieczką do krainy snów, wprost w osamotnienie, którego każdy się lęka. W świat, gdzie jest się jedyną żyjącą istotą i gdzie nikt nie

może usłyszeć krzyku. Dla mnie ten spacer nie był straszny. Nigdy się nie bałam być sama w Wideacre. Choć mama uważa mnie czasem za głupią dziewczynę, choć Richard zemści się na mnie, to gdy jestem tu sama, czuję się pewnie.

Nie ma tu miejsca na słowa. Zresztą słowa zawsze przychodziły mi z trudem. Trzeba się wczuć w ziemię, odgadnąć, czy jest spokojna. Mimo że zdziczała i zachwaszczona, ta ziemia jest bliska Laceyom. Gdy jestem tu sama, czuję, że jestem na wskroś Laceyem.

Zrobiło mi się prawie przykro, gdy mgłę rozproszyły światła chatek na skraju wsi. Na wprost mnie wynurzyła się z niej nagle jakaś postać, a ja z przerażenia wstrzymałam oddech.

- To ja - odezwała się Clara Dench. Jej słowa tłumił wielki kawał placka owsianego, który wpychała sobie do ust. Oczy miała błyszczące z podekscytowania. - Witaj, Julio. Przyszedłeś, żeby go zobaczyć? Pojechał do Midhurst, żeby kupić różne rzeczy na targu, odrzekła.

- Kogo zobaczyć? - spytałam, choć już znałam odpowiedź.

- Ralfa - odparła. - Wrócił Ralf i przywiózł ze sobą ogromne pudło jedzenia. Powiedział, że nie możemy tego zjeść od razu, bo się pochorujemy. Wszystkim dał placki owsiane, a potem pojechał do Midhurst po mleko, boczek, piwo i inne rzeczy. Przygotujemy posiłek i zrobimy przyjęcie. Tata mówi, że teraz, kiedy wrócił Ralf, wszystko się zmieni.

Przyjechał razem z wujkiem Johnem, by zostać zarządcą majątku - powiedziałam. - Kim on jest, Claro? Długo go tu nie było? Oczy jej

rozbłysnęły figlarnie.

Nie wiesz, kim jest? Nie wiesz, co zrobił? - spytała. Ach! - Aż podskoczyła z radości. - Julio, nie patrz tak na mnie, proszę. Musisz go sama zapytać.

121

- Czy to jakaś historia z dawnych lat? - spytałam intuicyjnie. - Znał Beatrice i Harry'ego? Pracował tu kiedyś?

Parsknęła śmiechem i połknęła ostatni kawałek placka.

- Nie mogę ci powiedzieć - rzekła. Usiłowałam nie okazywać zniecierpliwienia. Clara wsunęła mi do kieszeni swą chłodną dłoń i szła obok mnie.

- Gdzie przebywał przez cały ten czas? - spytałam. - Wujek mówił, że on pochodzi z Acre.

- Był przemytnikiem - powiedziała szeptem, w którym brzmiał zarówno szacunek, jak i przestach. - Przewodził też zamieszkom. Przez wiele lat żył pomiędzy Cyganami, umie więc przepowiadać przyszłość i rzucać zaklęcia. Kiedy było nam bardzo ciężko, przysyłał pieniądze. - To on... - przerwała. - Nic więcej nie mogę ci powiedzieć - powtórzyła. - Sama go musisz

spytać.

- I zrobię to - odparłam. - Niedobrze mi się robi od wszystkich tych tajemnic.

Dotarliśmy do bramy probostwa. Clara zatrzymała się przy wejściu, a ja otwierałam bramę.

- Poczekaj tu na mnie - zaproponowałam. - Wrócisz do domu ze mną i Richardem.

- Nieee - odparła, przeciągając to słowo. W Acre był to sposób

okazywania lekceważenia. - Richard nie ma czasu dla wiejskich dziewcząt. Zobaczymy się, kiedy następnym razem przyjdiesz do Acre. Zgodziłam się. Nie byłam w stanie bronić Richarda przed zarzutem arogancji. Kiedy byliśmy młodszy, usiłowałam go zaprzyjaźnić z dziećmiakami ze wsi. On jednak był drażliwy i wyniosły, a oni najpierw stali się gburowaci i niegrzeczni, a później buntowniczy i impertynency. Dziwiło mnie, że Richard, który w salonie zachowywał się bez zarzutu i był bardzo miły dla naszej służby, zmieniał się całkowicie, kiedy stawał twarzą w twarz z Clarą, Tedem czy innym dzieckiem z Acre. Oczekiwał od nich uprzejmości, sam natomiast dawał im w zamian chłodne, kalkulujące spojrzenia, jakby się zastanawiał, co oni mogą dla niego zrobić.

- Poza tym - stanowczo powiedziała Clara - chciałabym pomóc w przygotowaniu przyjęcia.

Ruchem głowy wskazała na kościół, z którego ludzie wynosili przechowywane tam stoły. Później po raz pierwszy zobaczyła

122

Że w Acre dymią kominy. Kobiety rozpały ogień i szykowały się do gotowania wody i potraw. Nareszcie było czym rozpały ogień i można było włożyć coś do garnka.

Ociągałam się z odejściem. Clara uśmiechnęła się do mnie. - Idź już - powiedziała i popchnęła mnie w stronę eleganckiego domu pastora. - Jesteś arystokratką! Zmykaj!

Zrobiłam minę wyrażającą rozczarowanie, że ominie mnie Cała ta krzątania z przygotowaniami. Chciałam też pokazać, że nie chcę być nazywana arystokratką. I powędrowałam do frontowych drzwi

probostwa.

Zapukałam, otworzyła gospodyni i wpuściła mnie do środka.

Richard jeszcze miał lekcję, więc zaczekałam na niego w salonie, pijąc kawę i pogryzając słodkie ciasteczka. Dziwnie się czułam, siedząc w cieple, blisko ognia płonącego na kominku i ciastek stojących na stole, gdy kilka metrów za bramą ogrodu mieszkały rodziny od lat głodujące.

Zrozumiałam, czemu pastor Pearce ma takie białe włosy i dlaczego się rzadko uśmiecha. Każda trumienka ze zmarłym dzieckiem była spuszczana do grobu u jego stóp. We wsi więcej było matek o zgorzkniałych twarzach niż odpowiedzi jego teologii.

Żyjąc w Dower House, byliśmy nieco odsunięci od Acre. Tu w samym sercu wsi nie można było nie widzieć okrucieństwa Laceyów i upodlenia biedoty.

Drzwi salonu pastora otworzyły się i wyszedł Richard mocujący ramię dookoła swych książek.

- Julia! - rzekł z zadowoleniem. - Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

- Pomyślałam, że mogę ci wyjść na spotkanie. Wujek John wrócił do domu i uznałam, że chciałbyś o tym wiedzieć. Przywiózł ze sobą szkice dworu i nowego zarządcę majątku.

Widziałaś tego człowieka? Jaki jest?

Nie. Nie było go u nas. Wujek zostawił go w Acre, wyjaśniłam. - Mieszkał tu przed laty. Po drodze spotkałam Clarę Dench. Powiedziała mi, że robią przyjęcie na jego powitanie, a on sam pojechał do Midhurst po jedzenie, a przedtem wszystkim dzieciom dał placki owsiane. Chyba bardzo go lubią. Każdy lubi tego, kto za darmo rozdaje jedzenie - rzekł uczciwie. - Nie tak należy zarządzać Acre. Mam nadzieję, że nie powierzył tego stanowiska

komuś nieodpowiedzialnemu.

123

- Może go zobaczymy - powiedziałam. - Clara mówiła, że do Midhurst pojechał zaraz po przyjeździe. Możliwe, że już wrócił.

Richard kiwnął głową i otworzył mi bramę. Wyszliśmy na jedyną ulicę wioski, kredowo błotnistą drogę, którą rano wędrowałam we mgle.

Otwieraliśmy szeroko oczy, wypatrując, czy nie pojawi się przed nami ktoś obcy.

Nie musieliśmy się wysilać. Jeden rzut oka na tę ulicę wystarczył, by się zorientować, że w Acre coś się zmieniło. Przedtem była to opuszczona droga z ciemnymi oknami ruder po obu stronach. Teraz ożywiła ją gorączkowa krzątanina. Przyszła mi na myśl bajka o śpiącej królewnie i pocałunek księcia. Uznałam, że Ralf Megson jest czarodziejem, pod którego dotknięciem wieś wróciła do życia.

Przed chatą pani Merry ustawiono stół, obok którego stał wóz furmana. Do wozu zaprzężone były konie; na zwykle chmurnym obliczu woźnicy jaśniał teraz rozanielony uśmiech. Mężczyźni i kobiety zgromadzili się wokół wozu, rozładowywali go i nakrywali do stołu. Po raz pierwszy od wielu lat wieśniacy pracowali razem we wspólnym celu. Nagle zobaczyłam te wszystkie znane mi osoby w zupełnie nowej roli: jako zgraną grupę współpracowników. Po raz pierwszy usłyszałam tutaj śmiech inny niż gorzka, okrutna radość z nieszczęścia drugiego.

Drzwi chat trzaskały głośno, bo ludzie co chwila wbiegali do nich, a to po nóż, a to po tacę. Kufer podróżny, który jak odgadłam, należał do Ralfa

Megsona, leżał porzucony na zapuszczonej grządce warzywnej pani Merry i stał otworem. Były tam dwa jutowe worki: jeden z herbatą, drugi z cukrem, wielki krąg sera i ciężka bryła szynki na wierzchu. Widok ten otwarcie zachęcał do kradzieży, ale jakoś dziwnie byłam pewna, że Acre nie jest już wioską złodziei. Z komina chaty unosił się w niebo pióropusz dymu, jakby był chorągwią z napisem „Ralf Megson wrócił do domu” na sfalowanym dachu chmur czuwających nad ruinami wsi. A w centrum tego poruszenia znajdował się nowy zarządca podobny do tajemniczego boga, którego burzowe niebo zesłało, aby zaprowadził tu porządek. Posyłał dzieci po kwiaty i gałązki do dekoracji stołów, klepał po plecach furmana, obejmował panią Merry, wreszcie - temu przyglądałam się z otwartymi ustami - podniósł do góry posępnego pana Greena i głośno go cmoknął.

124

Miał około czterdziestu lat. Jego ciemne, lekko siwiejące na skroniach włosy były krótko obcięte, a jedynie z tyłu żeglarskim zwyczajem zwisał mały warkoczyk. Wyglądał jak żeglarz... nie, prawdę mówiąc, wyglądał jak pirat. Miał skórę brązową jak cygan, a białe kreski dookoła oczu nasuwały przypuszczenie, że przez wiele lat spoglądał na jasne słońce. Jego ubranie z brązowego samodziału było proste i dobrze uszyte. Koszulę miał bardzo elegancką, a na szyi gładki skromny krawat. Pewnie, na rozstawionych nogach, stał na wozie, górując nad całym zamętem. Usłyszałam znajomy dźwięk, wyraźne, śliczne brzęczenie w głowie, które nasilało się z każdą chwilą. Nie mogłam oderwać oczu od Ralfa Megsona. Potem dobiegł mnie głos Richarda mówiącego:

- Dobry Boże.

Oboje staliśmy nieruchomo w centrum wsi, jakiej dotąd nie znaleźliśmy.

Rozgadana, dążąca do jednego celu wspólnota, zapracowana jak rój w ulu i radosna niczym majowy festyn.

Nowy zarządca wyciągnął rękę do jednego z ludzi stojących na ziemi i wciągnął go do siebie na wóz, by mu pomógł rozdawać zakupioną w Midhurst żywność. Dopiero gdy się poruszył, zrozumiałam, czemu cały czas stał tak nieruchomo. Był kaleką. Nie miał nóg. Kikuty amputowanych od kolan nóg i obcięte spodnie były wetknięte w dwie drewniane protezy. Wiedziałam już, czemu ma tak szerokie ramiona i potężną klatkę piersiową. Przez wiele lat podpierał się kulami. Od chwili gdy zauważyłam, jak niezdarne są jego nogi, i ujrzałam, jak chwieje się przy poruszeniu wozu, nie słyszałam nic tylko śpiewne brzęczenie i nie widziałam nikogo prócz niego. Był tylko on. Zapomniałam o wszystkich domysłach na temat roli, jaką odgrywał w Wideacre, i powiedziałam głosem przepełnionym współczuciem:

- Och, Ralfie! - Co gorsza, powiedziałam to głośno. Dziwny, trochę ponury uśmiech pojawił się na jego twarzy, kiedy spojrzał na mnie i usłyszał, że wymieniam jego imię tak, jakbym była jego dawną ukochaną. Uchwyciwszy się bocznej części wozu, swobodnie zeskoczył na ziemię. Widocznie był już przyzwyczajony do swych niezgrabnych drewnianych nóg. Ktoś podał mu kule, więc wsunął je sobie pod pachy i ruszył w moim kierunku. Tłum rozstępował się przed nim, jakby był księciem powracającym

125

z wygnania. Ludzie patrzyli na nas tak, jakbyśmy odprawiali jakiś tajemniczy rytuał magiczny.

Ralf był blady, drganie jego nozdrzy sprawiało wrażenie, że zwęszył w

powietrzu dym. Patrzył na mnie tak, jak gdyby musiał nabrać odwagi, by przejść przez tłum i stanąć naprzeciw mnie

- swojego przeznaczenia.

- Kim jesteś? - spytał, przyglądając się natrętnie mej twarzy ocienionej niemodnym czepkiem.

Dźwięk jego głosu sprawił, że prysnął czar. Nagle uświadomiłam sobie, że ludzie patrzą na nas z ciekawością i ożywieniem, a obok mnie stoi zgorszony Richard.

- Jestem Julia Lacey. Panią Julia Lacey - powiedziałam. Te banalne słowa wymówiłam już moim własnym, dziewczęcym, nieco wymuszonym tonem. Nie był to ten tęskny i namiętny głos, który na jego powitanie powiedział: „Och, Ralfie!” Megson opuścił głowę, gdy tylko zdał sobie sprawę z tej zmiany.

- Lacey? - rzekł, najwyraźniej próbując sobie coś przypomnieć.

- Jestem córką świętej pamięci Sir Harry'ego Lacey'a z dworu Wideacre - powiedziałam uroczyście. - A to mój kuzyn Richard MacAndrew.

Pan Megson kiwnął głową, pewnie ulokował nas w swej pamięci.

- Córką Harry'ego - powtórzył, spoglądając na mnie z niedowierzaniem. - Któż by pomyślał, że ten mięczak może mieć takie dziecko. Trzeba jednak przyznać, że wyglądasz na Laceyównę. Podobnie jak... - przerwał, zanim wypowiedział imię. Wiedziałam, że myśli o Beatrice i jest na tyle ostrożny, żeby nie kończyć tego zdania. Wolał zwrócić się do Richarda: - A więc jesteś synem Beatrice - powiedział.

Poczułam, że Richard zeszywniał, i delikatnie dotknęłam jego rękawa.

Czułam przez ubranie ciepło jego ramienia. Chłopiec wydawał się

rozgorączkowany. Nie chciałam, żeby wybuchnął gniewem i pokłócił się z panem Megsonem. Mój kuzyn doskonale wiedział, jak oczarować kogoś jednym tylko uśmiechem, a umiał też jednym prowokującym słowem zamienić potencjalnego przyjaciela we wroga. Był bardzo dumny, a z powodu naszego ubóstwa przewrażliwiony. W każdej chwili gotów był walczyć o swój honor. Zawsze podziwiałam tę wspaniałą dumę, lecz tym razem zdenerwowałam się, że Richard zechce przywołać Ralfa

126 Megsona do porządku. Pan Megson nie wyglądał na człowieka, którego można strofować.

- Richardzie - rzekłam cicho - to pan Megson, wiesz, nowy zarządca Wideacre.

Skinął głową.

- Jestem synem doktora MacAndrew - odezwał się. Mój tata jest pańskim pracodawcą.

Słyszając ten ton, Ralf uniósł jedną brew i pokiwał głową.

- Nie przypominasz Laceyów. Są zwykle jasnowłosi. Richard nie odpowiedział. Wydawało mi się, że szacuje Ralfa.

- Skąd pan zna Laceyów? - spytał szorstko. - I czemuż to jest pan tak fetowany w Acre?

Megson uśmiechnął się. Wyglądało na to, że nie uznał pytań Richarda za godne odpowiedzi.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł uprzejmie. - Muszę szykować obiad.

Odwrócił się do nas plecami, tak jakby Richard był powietrzem, i ujął czyjąś pomocną dłoń, by z powrotem wdrapać się na wóz. Wziął tacę pełną wspaniałych białych bułek i podał ją żonie furmana, mówiąc łagodnie:

- Uważaj, Margaret. Jest ciężka.

Richard wydał krótki okrzyk, odepchnął jednego z młodych Greenów i wskoczył na wóz.

- Słuchaj, ty - powiedział rozjuszony. Słyszało go niewielu ludzi, lecz każdy dostrzegł, że na wozie coś się dzieje. Wszyscy natychmiast oderwali się od swoich zajęć i odwrócili, by popatrzeć.

- Słuchaj - rzekł z wściekłością. - To jest moja ziemia, moja wieś. Jeśli spróbujesz stanąć między mną a nimi, pożałujesz tego. Jestem spadkobiercą Wideacre, a gdy dorosnę, będę tu panem. Zadając pytanie jednemu z moich robotników, oczekuję odpowiedzi. Oczekuję odpowiedzi i spodziewam się, że będę odpowiednio tytułowany. Czy to jasne, Megson? Ralf odwrócił się, nie przerywając pracy. W ręce miał worek pełen płatków owsianych. Potrącił nim Richarda tak, że ten spadł z wozu i jak długi rozciągnął się na ziemi. Skoczyłam ku niemu, lecz Sonny Green zatrzymał mnie, zastawiając drogę ramieniem. Ralf zsunął się z wozu, chwycił Richarda za łokieć i uniósł do góry jak dziecko. Twarz chłopaka była purpurowa z wściekłości, a ze zdenerwowania nie mógł wypowiedzieć nawet jednego słowa.

127

- Oj, przykro mi chłopcze - niedbale rzucił Ralf. - Nie miałem pojęcia, że stoisz za mną na wozie. - Przytrzymał jego dłoń i przyciągnął go bliżej siebie. - Może i jesteś spadkobiercą - wyszeptał mu prosto do ucha - ale nigdy nie będziesz tu panem. Najpierw muszą cię pokochać ludzie z Acre. I nic ci się tu nie uda, jeśli nie będziesz im okazywał szacunku.

Richard zrobił minę, której znaczenia nie potrafiłam odczytać.

Zanurkowałam pod ramieniem Sonny'ego, by się do niego

przedostać.

Natarczywie powiedziałam:

- Richardzie, chodźmy już. On jednak mnie nie słyszał. Wpijał się w twarz Megsona

swymi atramentowobłękitnymi oczami.

- Obraziłeś mnie! - krzyknął.

Twarcz Ralfa na moment pociemniała, lecz zaraz się rozpogodziła.

- Nie, chłopcze - rzekł uprzejmie. - Dostałeś to, co ci się należało. Jesteś teraz wściekły, ale gdy to przemyślisz, dojdiesz do wniosku, że nie miałeś racji. - Odwrócił się do niego plecami, jakby spadkobierca Wideacre był tylko niegrzecznym uczniakiem. Potem wyciągnął ręce do ludzi na wozie, by pomogli mu wejść

z powrotem.

Richard skoczył do przodu, a ja chwyciłam go za ramię i osadziłam na miejscu. Ze złości nie mógł składnie mówić.

- Zabiję go... - zaczął.

- Richardzie, wszyscy patrzą na ciebie! - syknęłam.

Poskutkowało.

Odrzącił mnie, lecz nie rzucił się na wóz. Spojrzał na ożywione ciekawskie twarze wokół siebie, nabrał w płuca powietrza, potem ujął opiekuńczo moje ramię i kiwnął głową w stronę pleców Ralfa i tłumu obok wozu. Jak król i królowa ze sztuki wędrowniej trupy przeszliśmy między rozstępującymi się wieśniakami. Richard, oślepiiony złością, spoglądał prosto przed siebie, ja natomiast zerkałam na prawo i lewo, rozdając przepaszające półuśmiechy.

Zobaczyłam, że Clara Dench otwarcie się ze mnie śmieje i uświadomiłam

sobie, jak zabawnie musimy wyglądać. Gdyby nie obawiała się Richarda i jego rozdrażnienia, pewnie wybuchnęłabym głośnym śmiechem. Kroczyliśmy jak para książęca w gronostajach, a gdy tylko zakrył nas zakręt drogi, Richard puścił moją rękę.

128

Oczekiwałam wybuchu wściekłości, lecz się pomyliłam.

- Jestem pewna, że on nie miał nic złego na myśli, Richardzie... - zaczęłam.

Zmierzył mnie lodowatym wzrokiem.

- Zrzucił mnie na ziemię - odezwał się cicho. - Nigdy tego nie zapomnę.

- Przypadkiem się z tobą zderzył - powiedziałam. - I natychmiast zeskoczył, żeby ci pomóc wstać.

Popatrzył na mnie ponuro, potem szybko ruszył ku domowi. Pobiełam za nim.

- On cię przeprosił - brnęłam dalej. Prawie mnie nie słuchał.

Usłyszałam wypowiedziane półgłosem słowa:

- Obraził mnie. Pożałuje tego.

- Jest nowym zarządcą wujka - powiedziałam ostrzegawczo. - Wujek potrzebuje go do prowadzenia Wideacre. Dziś widzieliśmy, że jest w stanie zjednoczyć ludzi do pracy. Może jest to jedyny człowiek zdolny uratować naszą posiadłość.

- Nie obchodzi mnie to. Obraził mnie na oczach całej wsi. powinien zostać ukarany.

Na te słowa aż przystanęłam.

- Nie ma rzeczy ważniejszej niż Wideacre - powiedziałam. Nie ma rzeczy ważniejszej niż zmuszenie Acre do pracy.

Richard przerwał swój marsz, zatrzymał się i popatrzył na mnie. Dookoła nas owijała się mgła, więc wyglądaliśmy upiornie, podobnie jak chylące się nad nami drzewa. Ja drżałam z zimna i wilgoci. Oczy Richarda rzucały błyski. Obraził mnie - powiedział. - Obraził mnie na oczach całej wsi. Nie zniosę tego. Musi mnie za to przeprosić. Rzucił mi wyzwanie i to ja muszę zwyciężyć. Richardzie - powiedziałam niespokojnie - to wydarzenie nie było aż tak okropne! Nie było tak poważne! To sprawa honoru. Nie rozumiesz tego, bo jesteś dziewczyną. My z tatą wiemy jednak, że panowie muszą mieć władzę nad pospólstwem. Natychmiast mu o wszystkim opowiem. Chwilę stałam jeszcze na ścieżce i zastanawiałam się nad tym, czy Acre to „pospólstwo” i czy pan Megson też jest częścią tego „pospólstwa”. W tym czasie Richard zbliżył się do oświetlonego domu, uderzeniem otworzył bramę ogrodu, podbiegł do drzwi, popchnął je i wpadł do środka. Powlokłam się za nim. Zrobiłam

129

wszystko co w mej mocy, by powstrzymać go przed opowiadaniem o tym wujkowi. Za moje starania zostałam tylko zbesztana. Ogarnęła mnie złość. Wiedziałam, że moja opinia o ludziach z Acre i o panu Megsonie jest słuszna. Moim zdaniem Richard nie został obrażony. Uważałam, że bardzo głupio zachował się we wsi i nie wydawało mi się, żeby jego drogocenny honor został naruszony choćby w najmniejszym stopniu.

Potem jednak zganiałam samą siebie. Babcia ostrzegała, mama dawała mi przykład: kobieta nie powinna się odzywać. Wiele jest rzeczy, które mężczyźni rozumieją, a kobiety nie. Jeżeli Richard uznał, że jego honor ucierpiał, nie moją rzeczą było to kwestionować czy też spierać się z nim. Przez kilka chwil stałam w lodowatej mgłę i głęboko wciągałam wilgotne

powietrze, by się uspokoić. Jeżeli chcę zostać prawdziwą damą (a chciałam tego), muszę okiełznać swe niezależne opinie. Jeżeli chcę zostać wierną żoną Richarda (a tego chciałam bardziej niż czegokolwiek na świecie), muszę nauczyć się wspierać jego myśli i działania niezależnie od tego, co sama myślę.

Kiedy tak stałam zamyślona przy bramie ogrodu, poczułam, że jedną rękę mam zimną. Zgubiłam w Acre lewą rękawiczkę. Przez cały czas gdy trzymałam dłoń pod ramieniem Richarda i grzałam ją w jego uścisku, nie czułam chłodu. Nie zauważyłam więc, kiedy ją zgubiłam. Miałam tylko jedną parę rękawiczek. Były uszyte z brązowej skóry i należały kiedyś do jednej z przybranych sióstr mamy, która prawie ich nie nosiła. Babcia Havering znalazła je i podarowała mi - nie mogłam ich zgubić.

Zawróciłam na pięcie i znowu rozpoczęłam męczącą drogę do Acre. Z trudem przebrnęłam kilka jardów, kiedy usłyszałam za sobą wołanie i serce zabiło mi szybciej, bo myślałam, że to Richard. Był to jednak wujek John. Na ramiona zarzucił płaszcz do konnej jazdy, który rozwiewał się, gdy wuj pędził za mną po drodze. Zatrzymałam się i poczekałam na niego.

- Muszę wrócić do Acre. Zgubiłam rękawiczkę - wyjaśniłam.

- Ja też wybieram się do Acre - rzekł. - Richard powiedział mi, że przemówił się z panem Megsonem.

- Tak - rzekłam krótko.

- Byłaś tam? - zapytał zaskoczony. - Z tego co mówił Richard, wynikało, że była tam jakaś bijatyka. A cóż ty tam mogłaś robić, Julio?

- Nic takiego się nie stało - powiedziałam.

Wujek najprawdopodobniej w ogóle nie zrozumiał Richarda. Ten nie mógł powiedzieć, że była bijatyka, skoro wypowiedziano tylko kilka ostrych słów i zdarzył się drobny wypadek, w którym nikt nie został skrzywdzony.

- Richard zadał panu Megsonowi pytanie, na które on nie odpowiedział.

Richard wskoczył więc na wóz, a pan Megson potrącił go workiem z jedzeniem. Richard spadł z wozu i pan Megson pomógł mu się podnieść.

To wszystko.

Wujek zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Czy to prawda? Naprawdę tylko tyle się wydarzyło?

- Tak - odparłam. Trwałam w postanowieniu, że swe prywatne opinie będę zachowywać dla siebie. - Pan Megson zachował się nieco lekceważąco, a Richard był zdenerwowany. Nie stało się jednak nic poważnego.

Wyraźnie mu ulżyło.

- No cóż, dzięki ci za to, Panie. Ten młodziak Richard sprawił, że doszedłem do wniosku, iż przyjąłem do pracy jakobina i zawodowego boksera w jednej osobie. Ralf Megson jest dokładnie tym, kogo potrzebuję. Nie byłoby jednak u mnie miejsca dla niego, jeśli zachowywałby się grubiańsko.

- Nie jest grubianinem - powiedziałam, przypomniawszy sobie, jak łagodnie przemawiał do Margaret Carter. - Po prostu miał z Richardem małe nieporozumienie. Nic więcej.

Skinął głową.

- No tak. Skoro już tak daleko doszedłem, pójdę jednak z tobą - rzekł uprzejmie. - Dałem panu Megsonowi trochę pieniędzy, by na początku zaspokoił najbardziej palące potrzeby, powiedziałem, że ma oszacować wszystkie braki i rozsądnie wydawał

pieniądze. Nie widziałaś, czy dokonał już jakiegoś podziału żywności? Nie mogłam się opanować i głośno się roześmiałam. Nie - powiedziałam - urządzają przyjęcie.

Minęliśmy zakręt i wujek zobaczył przygotowany do obiadu stół i ludzi znoszących pniaki i okrągłe kawałki drewna, które miały służyć jako krzesła.

Potem zamarłam. Drzwi domu Denchów otworzyły się, wyszedł jakiś mężczyzna i znalazł się przed nami, nim zdążyłam wydać ostrzegawczy okrzyk. Zresztą nawet nas nie zauważył. trzymał w rękach wielki rondel z parującą zupą i zamiast patrzeć na to co ma przed sobą, utkwiał wzrok w tym gorącym płynie.

131

Był to wyjęty spod prawa John Dench, wuj Clary, ten, który zranił Szeherezadę-klacz Richarda. Stajenny Haveringów, który pozwolił mi jeździć na tej klaczy. Poznałam go od razu, ale nie wiedziałam, co robić.

- Uważaj, człowieku! - ostro zawołał wujek, więc Dench zatrzymał się i zaskoczony spojrzał na nas znad garnka.

Mnie poznał natychmiast, a widząc doskonałego gatunku ubranie wujka, zorientował się, że stoi przed szlachcicem. Rzucił oczami na prawo i lewo, jakby zamierzał cisnąć ten rondel i popędzić gdzieś na pola, uciec, zanim ktoś podniesie alarm. Później znowu na nas spojrzał i zdał sobie sprawę, że jestem tylko z wujem. Jego oczy wyglądały jak oczy ściganego zwierzęcia. Wszystkie krew odpłynęła mu z twarzy, która wyglądała teraz szaro i brudno.

- Kim jesteś? - spytał wujek.

Znał historię Szeherezady. Mama opisała mu ją w liście, a Richard opowiedział. Gdyby usłyszał nazwisko Dench, na pewno przypomniałby sobie winnego, kazał go aresztować i zabrać do Chichester na rozprawę, która odbyłaby się podczas następnego posiedzenia sądu. Oczy Dencha powędrowały ku mej twarzy, a na ulicy zrobiło się tak cicho, jakby wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci wstrzymali oddech w oczekiwaniu na odpowiedź. Dench otworzył usta, ale nic nie powiedział.

- To Dan Tayler - powiedziałam. Mój głos brzmiał pewnie i czysto. - Dan mieszkał tu kiedyś, lecz obecnie pracuje w majątku w... w... w... Petersfield.

Nagle obok Dencha znalazła się Clara i lekko popchnęła swego wuja.

- Ludzie czekają na zupę - rzekła. Rzuciła mi poważne, szczere spojrzenie.

- A to Clara Dench - dodałam nie wytrącona z równowagi. - To jest Sonny Green. Pan młynarz Green i jego żona, Ned Smith z Henrym i Jilly. A to - Mały. To Matthew Merry i jego babcia, pani Merry. Obok niej stoi pani Tyacke, a tam jest jej syn Ted. To jest Peter - szewc i jego żona Sairey, to są bliźniacy. George'a - furmana już znasz, a to są jego córki: Jani i Emily.

Podaliśmy imiona wszystkich. Wuj schylał głowę i uśmiechał się, gdy kobiety nisko się kłaniały, a mężczyźni czapkowali. Większość z nich znał już wcześniej, ale uśmiechał się również do tych,

132

którzy przybyli do Acre w ostatnich latach, i do młodych ludzi, którzy byli dziećmi, kiedy stąd wyjechał.

Rozejrzałam się dookoła. Dench zniknął.

Zbliżył się do nas Ralf.

- Czy zechciałby pan zjeść z nami obiad, doktorze MacAndrew? - zapytał uprzejmie. - Pan i panienska Julia będziecie tu mile widziani.

- Nie chcemy wam przeszkadzać - równie grzecznie odparł wuj. - Przyszliśmy tylko po rękawiczkę panienki. Upuściła ją gdzieś tutaj. Jedno z młodszych dzieci Denchów dało susa pod stół, po chwili wynurzyło się z rękawiczką jak z trofeum i przyniosło ją mnie.

- Dziękuję ci, Sally - powiedziałam z uśmiechem. Wujek John skinął głową Ralfowi.

- Widzę, że zdążył się pan już zadomowić - rzekł. - Wiedziałem, że ucieszy pana przyjazd do domu, lecz nie przypuszczałem, że powitają tu pana jak bohatera.

Megson uśmiechnął się.

- Ludzie z Acre nigdy nie zapominają swych przyjaciół powiedział, a ja odebrałam to jako przesłanie dla siebie. - My w tych stronach mamy dobrą pamięć.

- To mnie cieszy - rzekł wujek. - Łatwiej będzie zaprowadzić tu porządek, jeśli ludzie będą wiedzieć, że pracują dla kogoś, komu mogą ufać. - Zawahał się. - Ale chciałem, żeby zorganizował pan dystrybucję żywności, a nie wiejską zabawę.

Ralf Megson odrzucił do tyłu swą ciemną głowę i roześmiał się.

Wiem, czego pan chciał, doktorze MacAndrew - rzekł pogodnie. - Są jednak pewne sprawy, które musi pan pozostawić mnie. Nie zamierzam panu mówić, jak leczyć ludzi, więc niech pan nie mówi mi, jak przywrócić Acre do życia. Oni wcale nie chcą pieniędzy. Nawet nie jedzenia. Przez

cały ten czas łaknęli odrobiny radości. Przypuszczam, że pan sam zna to uczucie. Przywrócenie ładu w tej wiosce to zadanie dla całego pokolenia. Możemy zacząć je wypełniać tylko wtedy, gdy dobrze zrozumiemy problemy tych ludzi. A odrobina nadziei jest tym właśnie, co możemy im dać od razu. Wujek wahał się przez moment. Później spojrzał na ożywioną śmiechem i gwarem ulicę.

133

- Nie to planowałem - powiedział wolno. - Widzę jednak, że to pan może mieć rację.

Ralf skinął głową.

- Proszę mi zaufać - rzekł po prostu. - Co prawda służę interesom Acre, nie pańskim, lecz dopóki życzenia pana i wsi idą w parze, może pan mieć do mnie zaufanie.

Wuj przytaknął i między dwoma mężczyznami przemknął uśmiech.

- Zostawiamy was teraz - rzekł. - Może zaszedłby pan do Dower House po obiedzie?

Megson zgodził się. Wujek zbierał się do odejścia, ale jeszcze na chwilę przystanął, by porozmawiać z panią Green. Wówczas Ralf odezwał się do mnie półgłosem:

- To, co zrobiłaś, było wspaniałe. Naprawdę wspaniałe. Rzuciłam mu spojrzenie, a ciepły uśmiech, który zobaczyłam, sprawił, że spuściłam oczy i zaczęłam się przyglądać swoim butom, całkiem białym od zaschniętego kredowego błota. Nie powinnam była kłamać i nie powinno się mnie za to wychwalać. Nic mu nie odrzekłam, on stał koło mnie i też nic nie mówił, a milczenie to nie było niezręczne, lecz

jakoś dziwnie przyjemne. Mogłabym tak stać cichutko obok tego człowieka przez cały dzień.

- Panie Megson - odezwałam się niepewnie.

- Tak, panno Julio - rzekł, a głos miał rozbawiony.

- Dlaczego oni uważają pana za bohatera? - Zaryzykowałam przelotne spojrzenie i dostrzegłam, że w oczach tańczą mu figlarne błyski.

- Jak to? - powiedział. - Wydawało mi się, że pani już wie, przecież zna pani wszystkich mieszkańców Acre, a oni mówią, że jest pani bardzo spostrzegawcza. Czy nie domyśla się pani? Muszę sam to powiedzieć? Potrząsnęłam głową, ostrożnie zerkając na wujka, który wciąż był pogrążony w rozmowie.

- Myślałem, że się pani od razu domyśliła - rzekł melodyjnym głosem. - Mówiono mi, że pani miewa widzenia.

Ponownie potrząsnęłam głową.

- Czyim głosem przemówiła pani, gdy się pierwszy raz widzieliśmy? - spytał ostro.

Popatrzyłam na niego i znowu potrząsnęłam głową.

- Nie wiem - powiedziałam. Oczy jego zwęziły się, a ja oblałam się purpurą zawstydzona, że przyłapałam go na kłamstwie.

134

- Przepraszam, ja to wiem - poprawiłam się. - Ale to tak głupio brzmi... nie chciałam tego powiedzieć.

Ryknął śmiechem tak głośno, że aż wujek odwrócił się i uśmiechnął do nas. Szerokie ramiona Megsona drgały od śmiechu, oczy mu błyszczały.

- Nie ma takiego powodu na świecie, dla którego musiałyby pani

odpowiedzieć na moje pytanie i żadnego, dla którego miałaby pani powiedzieć prawdę, jeśli tego nie chce - rzekł otwarcie. - Ja jednak z łatwością odpowiem sobie sam.

Przez chwilę patrzył na mnie uważnie, wręcz mierzył mnie wzrokiem. Potem uśmiechnął się do mnie pogodnie, tak jakby zdradzał mi jakiś drobny i niezbyt ważny sekret.

- Byłem tu w noc pożaru - rzekł ufnie. - Poszedłem na ich czele do dworu, by spalić dom i zamordować Beatrice. Jestem Ralf Megson, jej dawny kochanek i zabójca. W tamtych czasach nazywany byłem Mścicielem. Spojrzałam na niego i głośno wciągnęłam powietrze. Wciąż uśmiechał się pewnie i swobodnie. Odwrócił się tak obojętnie, jakby mi powiedział jakiś banał, coś mało ważnego, i podszedł do szczytu stołu, bo ludzie czekali, aż zajmie swe miejsce.

Stałam tam, gdzie mnie zostawił, i milczałam kompletnie oszołomiona.

Wujek musiał mnie wołać dwukrotnie, w końcu nawet lekko dotknąć, bym ocknęła się z osłupienia. Uśmiechnęłam się do niego niezbyt przytomnie i ruszyliśmy do domu.

Pan Megson obserwował mnie. Zerkał w naszym kierunku i przyjaźnie machał ręką do wujka, wiedziałam jednak, że wpatruje się we mnie. Jego smutny, prawie skruszony uśmiech był przeznaczony dla mnie, tylko dla mnie. Przez mgłę przezierało słońce, a ja drżałam, jakby był to środek nocy i ulewna burza.

Znałam ten uśmiech. Widziałam go już przedtem. Ralf uśmiechnął się tak samo jak we śnie, chociaż tam nie widziałam jego twarzy. Wiedziałam, że gdy przyśni mi się następnym razem, nad łbem wielkiego konia zobaczę Ralfa Megsona, który schyli się, by mnie unieść i wbić mi pod żebra nóż.

Zrobi to tak uważnie i delikatnie, jakby spełniał akt miłosny. Schwytana w szpony nocnego koszmaru dziewczyna będzie krzyczeć z przerażenia, ale ta kobieta ze snu nie będzie się bała. Wiedziałam, że się nie bała.

Widziałam, że uśmiechała się do uśmiechniętej twarzy Ralfa, gdy po nią przyszedł.

ROZDZIAŁ Szósty.

- Jaki on jest? - spytała mama z życzliwym zainteresowaniem.

Stride stawiał właśnie przed wujkiem karafkę z porto, a my obie starałyśmy się jak najdłużej przeciągnąć to sympatyczne zebranie szczęśliwej rodziny przy butelce ratafii i kandyzowanych owocach.

- Twój nowy zarządca - powtórzyła. - Jaki jest? Sądzisz, że przyda ci się choć trochę?

Wujek siedział u szczytu stołu. Nalewając sobie kieliszek brązowego trunku, odparł:

- Jestem tego prawie pewny. Już w londyńskim pokoju hotelowym zrobił na mnie spore wrażenie, ale dopiero w Acre zobaczyłem, jaki jest wspaniały! Myślę, Celio, że go polubisz. Jest bardzo samodzielny. Wierzę w jego odpowiedzialność i bez lęku powierzę mu pieniądze.

Uśmiechnęła się.

- Wspaniale, bo może dzięki temu wy troje będziecie więcej przebywać w domu. Jeśli zarządca będzie dobrze pracować, nareszcie będziesz mógł pomyśleć o swoim zdrowiu, a ja z czystym sumieniem wyjadę z Julią do Bath.

- Był bardzo niegrzeczny wobec mnie - ostro odezwał się Richard.

Odwrócił się od ojca w stronę mamy siedzącej przy przeciwległym krańcu

stołu i zawsze gotowej spełniać jego życzenia. - Uderzył mnie workiem z jedzeniem tak, że spadłem z wozu na ziemię. Zrobił to na oczach całej wsi. Mama westchnęła ciężko i spojrzała na Johna.

136

- Nie przejmuj się tym - poradził jej krótko. Uniósł kieliszek i ponad jego brzegiem zerknął na Richarda. Ten znowu zwrócił się do mamy:

- Zrobił to na oczach całej wsi - powtórzył. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zawahała się. Wujek pochylił się w stronę swego syna i rzekł:

- Zapomnij o tym. Przydarzyło ci się drobne nieporozumienie z panem Megsonem, na które nikt nie zwrócił uwagi. Byłem w Acre i pytałem ludzi, czy słyszeli jakąś awanturę. Nikt nic nie słyszał.

Szybko spuściłam oczy i wbiłam wzrok w splecione na kolanach ręce. W Acre nikt nigdy nie zauważał niczego, co wyglądałoby na awanturę.

- Ralf Megson to człowiek bywały w świecie, który potrafi obiektywnie oceniać fakty. Na pewno nie będzie już wracał do tego, co się stało, cokolwiek to było - dodał łagodnie. - Zapomnij o tym, dobrze ci radzę. Jego przyjaźń będzie ci bardzo potrzebna.

Richard rzucił mu krótkie wściekłe spojrzenie, potem odwrócił się i rzekł do mamy:

- Nie lubię go. Obraził mnie, a skoro nie umie się przyzwoicie zachowywać, nie powinien u nas pracować.

Popatrzyła na niego z bezgraniczną czułością.

- Wiem, że martwisz się o nas - powiedziała. Później, przenosząc oczy z jego zagniewanej twarzy na spokojne oblicze wujka, dodała: - Richard jest nad wiek odpowiedzialny. Myśli tylko o tym, co jest dla nas najlepsze.

John skinął głową.

- Taka odpowiedzialność to chwalebna cecha, lecz pozwól, bym to ja był sędzią całego tego wydarzenia.

Potaknęła i uśmiechnęła się do Richarda. Przez chwilę mierzył ją wzrokiem, a ja wiedziałam, iż czuje się zdradzony. Ta, która kiedyś ufała tylko jemu, teraz miała u swego boku mężczyznę, w którym była zakochana, i wolała przyjmować jego rady.

A w tej chwili beztrosko popijała coś z kieliszka i pytała:

- Czy on się zna na uprawie roli? Jakie ma przygotowanie?

- Był dzierżawcą folwarku w Kent - odparł wujek, tak jakby opinia Richarda nie miała znaczenia. - Potem stracił

moc pieniędzy, gdy wykupił go pewien bogacący się właściciel wioski.

Gdyby w ten sposób stracił ziemię człowiek słabszy od

137

niego, na pewno stałby się zgorzkniały. Tymczasem on zaczął się zastanawiać nad prawami posiadaczy i prawami dzierżawców i robotników. Oczywiście jest radykałem, lecz wcale mi to nie przeszkadza.

Cieszę się, że mam zarządcę, który bardziej niż o dochody posiadłości dba o dobro ludzi, bo nie sądzę, by zachłanny człowiek mógł długo zagrześć miejsce w Acre.

- Masz rację - rzekła mama. - Pod warunkiem że będą robili to, co im każe...

Wujek uśmiechnął się do mnie przez stół.

- Wychodzili ze skóry, żeby go zadowolić, gdy tam byliśmy - rzekł. - Jeżeli nadal będzie tak popularny, to kto wie, może nawet zaorzą swe przydomowe ogródki i każą nam je obsiać pszenicą. Wyglądał jak

prawdziwy bohater, prawda, Julio?

- Tak - potwierdziłam, ale nie dodałam nic więcej.

- Dziwne, że nigdy o nim nie słyszałam - odezwała się mama. - Pewnie opuścił Acre wiele lat temu i nigdy się nie spotkaliśmy. Zastanawiam się, dlaczego jest tu tak popularny. Wyjechał przecież jako młody chłopiec. Poruszyłam się niespokojnie na krześle. Richard ocknął się z zadumy i rzucił mi krótkie surowe spojrzenie. Od razu pierwszego popołudnia po powrocie pana Megsona do domu padło to pytanie, pytanie, którego tak się obawiałam. Życie tego człowieka znalazło się w moich rękach.

Wystarczyłoby, żebym powtórzyła to, co mi opowiedział, a zabrano by go do Chichester i powieszono. Fakt, że pożar miał miejsce czternaście lat temu, był bez znaczenia. Ralf Megson, podpalacz, włóczył się po Wideacre wolny i ja o tym wiedziałam. Powinnam o tym donieść. Sekret, który mi zdradził, mógł zaprowadzić go razem z wieloma wieśniakami na szubienicę. Tymczasem on powiedział mi to swobodnie, żartobliwie i śmiało. Wiedział, musiał wiedzieć, że postawił mnie w bardzo trudnej sytuacji, bo przed koniecznością wyboru między obowiązkiem wobec mojej rodziny a oczekiwaniami Acre.

W obecności wszystkich powiedział mi, że jest podpalaczem i mordercą, a ja nie zaczęłam krzyczeć. Nie pobiegłam do wujka i nie powiedziałam mu o tym. Nie odciągnęłam go na bok, zanim dotarliśmy do domu, by mu przekazać te przerażające wieści. Ciepły uśmiech Megsona, jego fascynująca niezależność od prawa i świata zewnętrznego, wreszcie jego niesłychana pewność siebie sprawiły, że stałam się jego współniczką. A teraz stałam

przed decyzją: czy bezczelnie okłamywać mamę, czy też zdradzić kogoś obcego - mordercę.

Nigdy nie okłamałam mamy.

Miałam nadzieję, że nigdy jej nie okłamię.

Miałam nadzieję, że nigdy nie będę przed nią nic ukrywać.

- Słyszałam, że wyjechał, gdy był bardzo młody - odezwał się. -

Podobno w ostatnich trudnych latach przysyłał ludziom ze wsi pieniądze.

Dlatego jest tak popularny. Pieniądze te zdobył w czasach, kiedy był na morzu.

Richard spojrzał na mnie. Twarz miał kamienną. Widział, że zbladłam, i widział, jak rusza się przede mną obrus, który skręcałam i zgniatałam pod stołem. Domyślał się, że kłamię, i to nieudolnie. Wiedział, iż robię to, żeby chronić Megsona - człowieka, którego dopiero co nazwał swoim wrogiem.

- Jakie to piękne - powiedziała lekko mama. Zdjęła szal z oparcia krzesła i zarzuciła go na ramiona.

- O, tak. I bardzo nieprawdopodobne - powiedział wuj. Wstałam i odwróciłam się, by mu spojrzeć w oczy.

- Co wujek ma na myśli? - zapytałam gwałtownie.

- Kochana Julio - rzekł nieco zaskoczony - jedynie to, że jak sądzę, jest to oficjalna wersja życiorysu tego człowieka. Prawdopodobnie zaczął wcześniej terminować u przemytników. Przysługami, które oddawał wieśniakom jako miejscowy przemytnik, z pewnością zasłużył sobie na wdzięczność.

Uśmiechnął się, widząc mą wystraszoną twarz.

- Nie bądź taka przerażona - dodał łagodnie. - Nie ma to żadnego znaczenia. Przemysł będzie istniał dopóty, dopóki nasze prawo handlowe

będzie niedorzeczne. Skoro pan Megson potrafił dowodzić bandą przemytników, na pewno da sobie radę z wieśniakami.

- Och! - zawołałam. - Powtórzyłam tylko to, co słyszałam we wsi, lecz jeśli był przemytnikiem, a teraz już nim nie jest, to znaczy, że nie można go o nic oskarżyć.

Wuj przytrzymał otwarte drzwi, byśmy obie z mamą mogły przejść.

- Nie sądzę, by prawo ufało ludziom, którzy z drogi przestępstwa zeszedli dla świętego spokoju. W Acre nie ma jednak nikogo, kto mógłby go zdradzić. A ja nie zamierzam się do niego uprzedzać. Chcę spokojnie porozmawiać z lordem Haveringiem i dwoma innymi sędziami pokoju i dowiedzieć się, czy nie poszukuje się

139

kogoś podobnego do Ralfa Megsona. Nie mam nic przeciwko zatrudnieniu na swych gruntach przemytnika, ale wolałbym nie mieć tutaj eks-korsarza czy byłego rozbójnika.

- Wielki Boże! - krzyknęła mama, sadowiąc się na krześle w salonie. - Czemuż w tym Acre nigdy nie może być spokojnie! A ty, Johnie, chyba mogłeś znaleźć zarządcę, który nie byłby przestępcą? Ani byłym przestępcą?

- Kłusownik, który zostaje gajowym, to najlepszy strażnik zwierzyny - zacytował z uśmiechem. - Acre zawsze było bardzo ekscentryczną wioską, moja droga. Obawiam się, że nadal tak będzie. Lecz gdy już przywrócimy tu porządek, może powrócą wspaniali synowie tej ziemi. Dziś był właśnie taki powrót z tułaczki, prawda, Julio? Myślę o tym człowieku, który przyszedł na obiad aż z Petersfield.

Moja mina winowajczynie była dla Richarda całkowicie czytelna.

Wiedziałam o tym, gdy tylko spojrzałam mu w oczy, lecz siedząc przy kominku u stóp mamy, nie byłam w stanie ukryć twarzy.

Pozornie niedbale zapytał:

- Kto przyszedł z Petersfield?

- Nie pamiętam jego nazwiska - odparł wuj. Potem jednak przypomniał sobie. - Tayler. Dan Tayler, prawda, Julio?

- Tak - odparłam krótko, patrząc w ogień.

- A któż to jest?

- Nie wiesz? - zdziwił się wujek. - Sądziłem, że obydwójecie znacie Acre na wylot. Widocznie to Julia jest ekspertem w tej sprawie. Kim on jest, Julio?

- Jest... jest... - Nie mogłam niczego wymyślić, gdy na mej twarzy spoczywały jasne oczy wujka i pociemniałe podejrzliwe oczy Richarda.

- We wsi nie ma rodziny Taylerów - odezwał się mój kuzyn.

- Jest! - zawołałam szybko. - Mieszkają w barakach.

- Wiedziałam, że Richard nie ma pojęcia o ludziach żyjących na skraju wsi, którzy środki utrzymania zdobywali na wspólnych polach. Gorzej żyli już tylko Cyganie koczujący z dala od wioski.

- Nigdy o nich nie słyszałem - upierał się Richard.

- A kim właściwie jest ten człowiek?

Teraz już patrzyli na mnie i wujek, i mama. Spojrzenie Richarda było ostre i czujne. Dwoma kolejnymi kłamstwami wpędziłam

140

się w cały ich labirynt. Wiedziałam, co się stanie, jeśli odkryją tożsamość

człowieka, który o mało co nie wpadł na nas ze swym rondlem. Richard nigdy nie wybaczy mi kłamstwa, co będzie okropne, ale przede wszystkim Dench zostanie ujęty.

Mogłam stawić czoło złości mego kuzyna i byłam w stanie znieść milczące potępienie ze strony mamy. Nie mogłam jednak dopuścić, by Dench został aresztowany, osądzony podczas najbliższej sesji sądu i powieszony. Stałoby się tak, gdybym teraz wypowiedziała jego nazwisko. Wujek na pewno posłałby po niego swego woźnicę, londyńczyka, który nie poczuwał się do solidarności z tutejszą ludnością.

Oparłam głowę o kolana mamy, bo dotyk jej atlasowej sukni na odkrytej szyi dodawał mi siły. Richard zorientował się, że jestem u kresu wytrzymałości i naciskał dalej.

- Gdzie spotkałaś tego człowieka? - zapytał zatroskanym głosem. Spojrzał na mamę tak, jakby pragnął jej przypomnieć, że nie powinnam się sama włóczyć po wiosce, która cieszy się najgorszą sławą w Sussex. - Czy podszedł do ciebie, gdy spacerowałaś, czekając, aż skończę lekcje u pastora? A może to przyjaciel tej ordynarnej małej wieśniaczki, z którą ciągle się widzisz? Czemu nigdy nam o tym nie opowiadałaś?

- Spotkałam go, kiedy spacerowałam z Clarą, Matthew Merry i innymi dziećmi z Acre - odparłam.

Wujek, który grzał sobie ręce nad ogniem, skinął głową, lecz Richard wyczuł kłamstwo, jak pies gończy czuje świeżą krew rannego zwierzęcia, i był na moim tropie.

- Kiedy się to wydarzyło? - dopytywał się. - Nigdy mi nie opowiadałaś. Poza tym dlaczego dzieci ze wsi wdają się w rozmowy z człowiekiem z baraków?

- Nie wiem! Nie pamiętam! - zawołałam nagle zniecierpliwiona i wystraszona, że zdołają ze mnie wydobyć prawdę. Czułam, że muszę wyjść z pokoju. Podniosłam się ze swego miejsca u stóp mamy i zrobiłam kilka szybkich kroków w stronę drzwi.

- A co ten tajemniczy człowiek robi teraz? - dręczył mnie Richard. - Jak zdołał tak szybko dotrzeć do Acre?

- Czy nie moglibyśmy po prostu o nim zapomnieć! - krzyknęłam rozzłoszczona. Czułam, że z przerażenia mam ściśnięte gardło. Za nic nie chciałam ujawnić nazwiska Dencha. Odwaga opuściła mnie całkowicie, gdy zobaczyłam zdziwioną twarz mamy i spojrzenie, jakie rzuciła wujkowi. Chyba wstydziła się, że jestem

141

w jego obecności tak niegrzeczna. Znalazłam się jednak w pułapce i musiałam brnąć dalej.

- Co to znaczy, Richardzie! I ty, i mama traktujecie mnie tak, jakbym była dzieckiem! Nie bierzcie mnie w krzyżowy ogień pytań! Spotkałam tego człowieka w Acre, gdzie mam wielu innych znajomych. Mamo!

Przepraszam, ale muszę wyjść - powiedziałam i popędziłam do drzwi.

W tym momencie do pokoju wkroczył Stride trzymający w rękach tacę z zastawą do podwieczorku. Zdezorientowany stanął w progu i wytrzeszczył oczy, patrząc, jak rozzłoszczona opuszczam salon. Zawahał się, czy ma odłożyć swój ciężar i przytrzymać przede mną drzwi, czy też pozwolić mi przecisnąć się koło siebie w sposób urągający dobrym manierom.

- Panienko! - rzekł z wyrzutem. Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie i zobaczyłam ciepłą, pełną troski twarz. Złapałam za klamkę i wysunęłam się z pokoju. Potem stanęłam, oparłam się o drzwi i znieruchomiałam, tępo

patrzając przed siebie. Nigdy w życiu tak nie przemawiałam do mamy. Czułam, że samą siebie skrzywdziłam, mówiąc mamie takie rzeczy prosto w twarz. Skarga, że zawsze ograniczała moją wolność, była absurdalna! A w dodatku byłam tak niegrzeczna przy wujku Johnie! Westchnęłam. Nie zatrzymałam się tam po to, żeby podsłuchiwać, ale usłyszałam, że w pokoju zapadła cisza. Potem dobiegły mnie miłe, łagodne słowa Richarda:

- Ciociu, mamó, nie denerwuj się, proszę. Ojczce, nie czuj się obrażony. Julia nigdy się tak nie zachowuje. Ciocia może to potwierdzić. Nie ma na świecie istoty słodszej niż moja kuzynka. Nigdy przedtem nie widziałem jej w takim stanie.

Cicho odetchnęłam, słysząc, że jest wobec mnie lojalny. Bronił mnie w chwilę po tym, jak na niego napadłam. W tym momencie uświadomiłam sobie, że nie powinnam tak stać i słuchać, więc odsunęłam się od drzwi.

Mogłam pójść do swego pokoju lub usiąść w pustej jadalni. Pragnęłam jednak zobaczyć niebo nad Wideacre i poczuć, jak wiatr znad lasu wywiewa ze mnie złość i wstyd. Otworzyłam drzwi wyjściowe i wybiegłam - prosto w późne popołudnie.

Nie przejmując się sukienką, usiadłam na kamiennych schodkach i z przyjemnością przyjmowałam chłód wilgotnego powietrza. Tej wiosny wieczory zwykle były rozświetlone perłowym

142

blaskiem słońca, tym razem jednak było ciemno jak w zimie. Przez całe popołudnie było szaro od mgły i niskich chmur. Nabrałam w płuca wilgotnego powietrza. Po drugiej stronie drogi widać było mglistozielony

las, a niewidoczne ptaki śpiewały i śpiewały z niesamowitą siłą gdzieś w mokrym powietrzu. Nie przeszkadzał im chłód, nie rozpraszała ich nadciągająca ciemność, bo czuły, że nadeszła wiosna, czas miłości, zalotów i godów.

Westchnęłam. Miałam wrażenie, że odpływają ode mnie złość i wstyd, jakby były płatkami kwiatów rzuconymi w nurt Fenny. Było mi dobrze. Dopuszczałam się kłamstwa, wielu kłamstw, ale zrobiłam to, by ratować człowieka z Acre, który liczył na pomoc Laceyów. Dość było gróźb i aresztowań w przeszłości. Ani Richard, ani ja nie chcemy tego rachunku powiększać. Wrócił Ralf Megson i przywiózł nową nadzieję, a jeśli drobne kłamstwo czy nawet seria oszustw miała uratować tę wizję przyszłości, to skłamałabym jeszcze raz.

Rozgrzeszyłam się z tego, co powiedziałam na temat Dencha oraz pana Megsona i jego tajemnic. Nie przejmowałam się tym. Chcieli, bym była młodą dziewczyną, która ufa sądom wujka i nie próbuje sama oceniać ludzi. Wuj John uważał Megsona za odpowiedniego zarządcę, mimo że miał jakieś wiadomości o jego życiu. Wychwalał charakter Ralfa i był gotów zignorować jego burzliwą młodość. Nie mogłam zdradzić pana Megsona i nie zamierzałam go oceniać. Pozwoliłam, żeby moje kłamstwa poszły własną drogą, by zniknęły z mej pamięci tak, jak znika poranny przymrozek. Wciągnęłam głęboko w płuca powietrze Wideacre, a potem wypuściłam je z westchnieniem.

Zrobiłam wrażenie nieznośnej, źle wychowanej pannicy, i to na człowieku, którego mama kochała i szanowała najbardziej na świecie - ale Acre było tego warte. Przepraszę mamę, przepraszę wujka, być może nawet zdołam powiedzieć prawdę Richardowi. Uznałam, że on jeden może mnie

zrozumieć. Jeśli tylko on nie będzie się na mnie złościł, zdołam stawić czoło całemu światu.

Siedziałam tak i pozwalałam, by spływał na mnie spokój Wideacre. Znowu byłam Laceyem i wiedziałam, że tu jest mój dom.

Drzwi za mną otwały się z hałasem i na progu pojawił się Richard. Prawie potknął się o mnie, bo nic nie widział w zapadających ciemnościach.

143

- Ach, więc tu jesteś - rzekł szorstko. - Prędzej czy później będziesz musiała stanąć przed nimi i przeprosić, chyba wiesz o tym.

- Wiem - odparłam spokojnie. Uśmiechnęłam się do niego. - Zachowałam się okropnie. Ale naprawdę nie wiedziałam, co robić.

- Widziałem, że próbowałaś bezczelnie kłamać. Nie mogłem jednak zrozumieć tego, co mówiłaś.

Opadł na schodki obok mnie, a ramię jego otarło się o moje. Przybliżyłam się do niego i poczułam, że robi mi się cieplej. Sama jego obecność dodawała mi otuchy.

- Kim, u diabła, jest ten tajemniczy Dan Tayler? - spytał.

- Mogłaś zwodzić mamę swymi kłamstewkami, lecz widać było, że blagujesz. Co próbowałaś ukryć?

- Richardzie, wiem, że nie ma sensu cię okłamywać. Nie chciałam oszukiwać ani mamy, ani wujka, ale bałam się powiedzieć im o tym.

- O czym bałaś się im powiedzieć? - zapytał zdziwiony.

- Czyżby mała Julia miała jakieś wielkie tajemnice?

- To był Dench! - rzekłam pospiesznie. - John Dench, stajenny

Haveringów. Widocznie przez cały czas ukrywał się w Acre lub w pobliżu. A kiedy urządzili przyjęcie, oczywiście na nie przyszedł. Prawie się z nim zderzyliśmy na drodze! To było okropne. Nie wiedziałam, co zrobi wujek, a nie zniosłabym aresztowania Dencha.

Objął mnie. Ułożyłam głowę w ciepłym zagięciu jego ramienia i z lubością wciągałam zapach rozgrzanego ciała.

- Dziadek Havering ufundował nagrodę za jego aresztowanie - powiedział cicho. - Jesteś małą współniczką przestępcy. Pomogłaś mu się ukryć. Potaknęłam. Podniósł dłoń i pieszczotliwie dotknął mego policzka. Miałam ochotę zacząć mrużyć jak głaskany kotek.

- Wiem - rzekłam. - Nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu przypomniałam sobie, jaki był miły, gdy cię uczył jeździć konno, i jak niepokoił się o ciebie, kiedy miałaś wypadek. No i znam Clare Dench, a on jest jej wujkiem i ona go bardzo kocha. Naprawdę nie mogłam podać wujkowi jego nazwiska i spokojnie patrzeć, jak go zabierają.

- Więc skłamałaś. - Jego głos wciąż jeszcze brzmiał łagodnie.

144

- Tak - odpowiedziałam. Jego dotyk już mnie nie rozczulał. Dosłyszałam w swym głosie cień zdenerwowania. - To wszystko wydarzyło się tak dawno - mówiłam coraz mniej pewnie. - Całe lata temu. Nie chciałam, żeby początek nowej ery dla Acre i pierwszy dzień pana Megsona tutaj zostały popsute przez takie stare, bardzo stare urazy.

- Świadomie podałaś tacie fałszywe nazwisko, okłamałaś mamę i mnie? - zapytał, a jego głos był delikatny jak jedwab.

- Tak. Lecz wiedziałam, że ty mnie zrozumiesz. Byłam pewna, że to zrozumiesz. Nie okłamałam cię, bo sam widzisz, od razu gdy było można,

powiedziałam ci prawdę. W pierwszej chwili kiedy tylko znaleźliśmy się sami. Nie okłamałam cię, Richardzie.

- Nie - rzekł sprawiedliwie. - Powiedziałaś prawdę. Lecz jeszcze nie wyjaśniłaś czegoś, co wydaje mi się bardzo dziwne.

- O czym mówisz? Wszystko ci powiem. Przecież wiesz, że nie mam przed tobą tajemnic.

Dotyk jego dłoni na moim ramieniu nie był już pieszczotliwy. Trzymał mnie przy sobie tak mocno, że nie miałam szansy się wyrwać. Jego głos brzmiał cicho i łagodnie jak zawsze, a mimo to czułam się jak zajęty skaczący w stronę pułapki.

- Czy już zapomniałaś, dlaczego dziadek wyznaczył nagrodę za ujęcie Dencha? Zapomniałaś, co on zrobił z moim koniem?

- Nie, Richardzie! - krzyknęłam. - Jakżebym mogła? Przez cały tydzień co noc płakałam nad biedną Szeherezadą i nad twoim rozczarowaniem. Sam wiesz, jaka byłam nieszczęśliwa z tego powodu. Nie zapomniałam, naprawdę - przerwałam i zamilkłam na chwilę. Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, zdałam sobie sprawę, że nie jest to właściwa odpowiedź. - Nie zapomniałam, ale nie myślałam o tym wtedy, kiedy zobaczyłam Dencha. Myślałam jedynie o biednej Clarze, która tak kocha swego wujka, i o Denchu żyjącym gdzieś w ukryciu, w nędzy. We wsi panowała taka radość i ożywienie, a ja nie chciałam, żeby ktoś zepsuł ten nastrój. Oni wszyscy słuchali i patrzyli. Wiesz przecież, jak jest w Acre. Nie mogłam znieść myśli o tym, że nasza rodzina znowu złamie im serca! Uwierz mi, nie mogłam podać jego nazwiska wujkowi! Ścisnął mnie za ramię tak mocno, że aż czułam ból. Jego palce wbijały się w delikatną skórę jak cztery tępe noże. Nic mi nie odpowiedział.

- Richardzie, trzymasz mnie za mocno. Bardzo mnie boli.

145

- O, tak - powiedział z radością w głosie.

Było zbyt ciemno i nie widziałam jego oczu, lecz byłam pewna, że pociemniały ze złości. Źle zrobiłam, kłamiąc, ale jeszcze gorzej uczyniłam, próbując mu wszystko wyjaśnić. Doznałam dobrze sobie znanego uczucia - miałam wrażenie, że grunt usuwa mi się spod nóg. Wiedziałam już, że nic mnie nie uchroni przed wybuchem jego złości.

- Zasłużyłaś na to, bym ci sprawiał ból - rzekł. - Ukryłaś człowieka, który zranił mojego konia. To przez niego koń został zabity. Zobaczyłaś go w Acre i aby mu zapewnić bezpieczeństwo, okłamałaś tatę. Wiem, czemu to zrobiłaś, panno Lacey z Wideacre. Zrobiłaś to, by zostać ulubienicą wieśniaków i pysznić się tym. Sama powiedziałaś, że wszyscy patrzyli i słuchali. Chciałaś, żeby myśleli, że jesteś miła i dobra, że jesteś taką małą księżniczką. Wcale nie pomyślałaś o mnie. Nie przyszło ci do głowy, że Dench zabił konia tylko przez złość i nienawiść do mnie.

- Nie, Richardzie! - powiedziałam zdumiona. - Nie! To nieprawda! Tak nie było!

- Chcesz być ulubienicą Acre - mówił dalej, a jego palce na moim ramieniu były jak żelazo. - Myślisz, że jeśli zostaniesz ich ukochaną panią, to uznają cię za dziedziczkę i zapomną o mnie i moich prawach. Właśnie to sobie zamyślasz! Wiem o tym!

- Ależ nie! Nie!

- Próbujesz mi ukraść Wideacre!

- Nie! Nigdy! Przenigdy! Ani bym nie mogła, ani nie chciała. Kiedy mnie pytają, zawsze im mówię, że to ty będziesz dziedzicem. Że to ty jesteś dzieckiem szczęścia.

- Kim? - zapytał.

- To nieważne, nieważne - rzekłam szybko. - To tylko legenda, głupia legenda opowiadana we wsi.

Patrzył na mnie i czekał. Musiałam opowiadać dalej.

- Oni wierzą, że jedno z nas jest prawdziwym spadkobiercą Beatrice, obdarzonym jej zdolnością ożywiania ziemi. I jej widzeniami.

Zastanawiają się, które z nas nim jest. Zawsze powtarzam, że to ty.

Nagle mnie puścił i tak gwałtownie popchnął, że upadłam i uderzyłam plecami w kamienny schodek. Głową stuknęłam w drzwi, rozległ się głuchy łoskot, a ja przez chwilę nie widziałam i nie słyszałam nic.

146

- Richardzie! - krzyknęłam wstrząśnięta.

- Tak, to ja! - zasyczał. Był nieprzytomny z wściekłości. - To ja! Gdy ja siedziałem kamieniem w bibliotece pastora Pearce'a, ty włóczyłaś się po wsi i zjednywałaś tam sobie przyjaciół. Robiłaś wszystko, żeby myśleli, iż to ty jesteś prawdziwą spadkobierczynią. Nigdy byś mi o tym nie powiedziała, gdyby ci się to nie wymknęło przypadkiem. Jesteś oszustką, Julio. Jesteś złodziejką. To moja ziemia. Jestem synem Beatrice i będę tu dziedzicem.

Nie mogłam wymówić ani słowa. Byłam zrozpaczona, że Richard tak mnie traktuje, a w głowie kręciło mi się od uderzenia. Przesuwając palcami po zmierzwionych włosach, odkryłam nabrzmiewającego guza.

Oczy miałam zalane łzami, łzy płynęły mi po policzkach, głos uwiązł w krtani i nie mogłam wykrztusić ani słowa w swej obronie. On się mylił, tak bardzo się mylił. Miał jednak nade mną przewagę. Składała się na nią jego złość i powaga oskarżenia. Rzeczywiście wyglądałam bardzo podejrzanie. Oslaniałam DENCHĘ, a ludzie z ACRE pewnie za to mnie pokochali. Poza tym prawdą było, że legendę o dziecku szczęścia zachowałam dla siebie.

- Przepraszam cię... - zaczęłam.

Nie miało to sensu. Obrócił się na pięcie i bez słowa wszedł do domu. Kiedy zamykał drzwi, przygniótł środkowy palec mej opartej na górnym stopniu dłoni. Poczułam, jak staw przeszywa mi ostry, nagły ból i krzyknęłam. Chwyciłam ten palec drugą dłonią i ścisnęłam z całej siły, starając się rozproszyć ból. Płakałam jak zbite dziecko. On nie mógł tego zrobić celowo, na pewno nie chciał mnie skrzywdzić, po prostu szybko zamknął drzwi. Mimo to szlochałam nadal, trochę z żalu nad sobą, trochę z powodu stłuczonego palca i paznokcia, na którym pojawiła się biała półksiężycowa szrama.

Trwało to krótko. Choć wydawało mi się, że całe wieki siedziałam na schodach, byłam pewna, że musiało to trwać chwilę. Ostrożnie dotknęłam paznokcia i upewniłam się, że nie będzie schodził, czego okropnie się obawiałam.

Łzy przestały mi płynąć. Stopniowo uspokajało się rozdygotane serce, powoli słabł też ból głowy spowodowany uderzeniem. Przestałam dygotać ze strachu przed złością RICHARDA. W ogrodzie robiło się coraz ciemniej. Siedziałam na kamiennych stopniach i choć przez jedwabną sukienkę czułam ich chłód, czekałam,

aż całkiem obeschną mi łzy, przestaną drżeć dłonie i aż znajdę w swym wnętrzu jakieś źródło spokoju i wyciszenia. Richard był moim narzeczoną. Babcia ostrzegła mnie kiedyś, że nie zawsze będzie on kochającym chłopcem. Byliśmy już po słowie, więc miał prawo robić ze mną, co chciał. Guz na głowie i przypadkowo zraniona ręka nie były niczym strasznym. Siedziałam cicho i spokojnie, usiłując przekonać samą siebie, że ani mi nie ubliżono, ani nie wyrządzono krzywdy, ani nie pogwałcono moich praw. Skoro chcę poślubić Richarda (a chciałam tego naprawdę), muszę ze spokojem przyjmować to, co w jego naturze jest brutalne. On ma do tego prawo.

Było mi coraz zimniej. Niewielki blady sierp księżycy ukazał się zza chmur i rzucał na mnie słabe światło. Usłyszałam tętent kopyt końskich, potem otwarła się brama i na ogrodowej ścieżce pojawił się pan Megson, który szedł swobodnym, lekko kołyszącym krokiem, chociaż był bez kul. Od razu też zatrzymał się, widząc, że siedzę na progu własnego domu jak żebraczka, z potarganymi włosami, zaczerwienionymi oczami i mokrą twarzą.

- A cóż to? - spytał łagodnie. Zerknął na okna salonu, z których sączył się blask świec. - Zamknięto panią na zewnątrz? A może jest pani nadąsana? Co, panno Julio?

Przez chwilę milczałam. Potem wydobyłam z siebie słaby chichot, który brzmiał prawie jak łkanie.

- Raczej nadąsana - odparłam. - Bo na pewno mnie nie zamknięto.

Potaknął, jedną ręką oparł się o drzwi, a drugą wyciągnął do mnie, aby mi pomóc wstać. Podałam mu zranioną dłoń i natychmiast z krzykiem ją

wyrwałam.

- Przytrzasnęłam palec drzwiami - wyjaśniłam. Podałam mu drugą rękę, pomógł mi się podnieść, a że zaraz zaczęłam się słać na nogach, chwycił mnie pod łokcie.

- Zawroty głowy?

- Uderzyłam się o schodek - odparłam, przykładając dłoń do tyłu głowy, w miejscu, gdzie skóra była napęczniała i wrażliwa na ból. Opuchlizna powiększyła się.

- Jeśli się daszasz, rób to właściwie! - rzekł z rozbawieniem. - Czy ze złości waliła pani głową o schody?

- Oczywiście, że nie - powiedziałam urażona. - To wypadek.

- A co z palcem?

148

- To był wypadek - rzekłam i nieświadomie się zdradziłam,

- W jaki sposób uderzyła się pani w głowę? - spytał. Poczzerwieniałam aż po cebulki włosów.

- Już mówiłam, że to był wypadek. - Richard był mym przyszłym mężem i miałam obowiązek chronić zarówno jego reputację, jak i swą dumę. Nawet gdyby mnie pobił, nie powinnam nikomu o tym opowiadać.

- Czy Richard jest w domu? - wypytywał mnie dalej.

- Nie - odparłam natychmiast. - To był wypadek. - Oparłam rękę o zimny mur, chcąc się uspokoić. - Bardzo przepraszam. - Staralam się zachowywać dobre maniery, choć przed oczami wirowały mi ciemne plątki i bałam się tego, co Ralf może sobie pomyśleć o Richardzie. -

Bardzo przepraszam, ale źle pana zrozumiałam. Oczywiście Richard jest w

domu. Są też mama i wujek. Czy mogę pana wprowadzić?

Skinął głową. Wprawdzie nie uklonił się jak dżentelmen, lecz ramię podał mi z gracją, której pozazdrościliby mu wielcy panowie. Przyjęłam je z lekkim uśmiechem i weszliśmy do domu.

W sieni stał Stride.

- Panienko! - odezwał się z przyganą w głosie. - Nie wiem, co panienkę opętało. I co też panienka sobie teraz zrobiła?

Uśmiechnęłam się do niego blado. Wyglądał na zaniepokojonego.

- Niezbyt dobrze się czuję, Stride. Pójdę do łóżka. Proszę mnie wytłumaczyć przed mamą i wujkiem. Nie mogę się dziś do nich przyłączyć. Powiedz też, proszę, że pan Megson chce się zobaczyć z wujkiem.

Stride zaprowadził Megsona do biblioteki, a ja z trudem powlokłam się na górę do swego pokoju.

Zrzuciłam ubranie i w nieładzie przewiesiłam je przez poręcz łóżka.

Cienka płócienna poduszka chłodziła mnie w policzek, a gdy odgarnęłam włosy z karku, poczułam, jak jej dotyk łagodzi ból stłuczonego miejsca.

Leżałam na plecach i czekałam, aż osłabnie pulsowanie w skroniach i ból serca. Czułam się bardzo samotna i bardzo smutna.

Zasnęłam.

Wydaje mi się, że ten sen przyśnił mi się od razu. Wiedziałam, na pewno wiedziałam, że to sen. Był jednak bardziej realny niż niektóre dni na jawie.

149

Znajdowałam się w pokoju, w którym nigdy przedtem nie byłam, i obojętnym wzrokiem patrzyłam w ogień płonący na kominku. Był późny wieczór. Niebo pociemniało od burzy. Mimo grzmotów i ostrych

błyskawic nie czułam lęku, w ogóle się nie bałam. Miałam wrażenie, że umarłam, stałam się duchem i już nie muszę się niczego obawiać. Gdy tak wpatrywałam się w płomienie, nagle dobiegł mnie jakiś hałas, wyraźniejszy niż odgłos burzy. Był to dźwięk skrzypiącego okna. Coś przysłoniło słabe światło docierające z pochmurnego nieba i w pokoju zrobiło się całkiem ciemno. Ktoś wchodził przez okno do mojego pokoju. Wolno odwróciłam głowę, ale nie wezwałam pomocy. Otworzyłam usta, lecz nie krzyknęłam. Po prostu zastygłam w oczekiwaniu. Leżałam wyciągnięta przed kominkiem i czekałam na to, co nadchodziło. Podszedł do mnie cicho i odepchnął krzesło, o które się opierałam, tak że całym ciałem opadłam na podłogę. Dygotałam, jakby samo jego dotknięcie było lodowatym podmuchem wiatru, lecz nie ruszałam się z miejsca. Przymrużywszy oczy, przyglądałam się świecącemu księżycowi. Ten tajemniczy ni to obcy, ni znajomy człowiek ze snu pocałował mnie w ramię. Potem rozpiął sukienkę, ucałował jedną pierś, której brodawka zrobiła się twarda jak owoc jeżyny, potem pocałował drugą. We śnie wydałam jęk pożądania, ale dziewczynka na jawie, jeszcze dziewica, szamotała się, krzyczała i walczyła z tym, czego nie chciała poznać. Kobieta ze snu oparła swe wprawne dłonie na piersi mężczyzny, potem tak długo gładziła jego brzuch, aż poczuła tę twardość na dole. Wtedy on odsunął jej ręce, mocniej rozchylił suknię i - drapiąc delikatną skórę swym ostrym zarostem - zsuwał twarz po ciepłym brzuchu i w końcu posiadał ją ustami.

Ona wygięła plecy w łuk i łapczywie chwyciła powietrze. Dziewczynka leżąca w łóżku rzucała się na poduszkach i krzyczała - wołała mamę i przyzywała kuzyna. Sen wprowadzał ją w ekstazę, a jednocześnie

napelniał lękiem. Walczyła z nim tak długo, aż okrywające ją koce spadły na podłogę, a głuchy odgłos ich upadku obudził ją. Usiadła wyprostowana na łóżku i sen zniknął z jej pamięci. Ciszę ciemnego pokoju zmaćliło tylko jedno wypowiedziane przez nią słowo. Powiedziała: „Ralf!” Powiedziała to głosem Beatrice.

150

Położyłam się i natychmiast zasnęłam. Rano przyglądałam się ścianom i sufitowi, jakbym nagle obudziła się w jakimś obcym miejscu. Nie wiem, dlaczego byłam przekonana, że otworzywszy oczy, zobaczę nad sobą wspaniały rzeźbiony baldachim. Z trudem rozpoznawałam swój pokój, choć przecież ten sufit oglądałam każdego ranka. Mało znałam swój pokój. Mało znałam siebie.

Wiedziałam, że coś mi się śniło, ale nie mogłam sobie przypomnieć treści snu. Pamiętałam tylko, że się nie bałam. Z nie znanego mi powodu dawny, znajomy nocny koszmar zmienił swą postać i obecnie niósł ze sobą rozkosz. Nie pamiętałam go jednak dokładnie. Gdy zobaczyłam poduszkę na podłodze i nieład na łóżku, zrozumiałam, że rzucałam się i kręciłam przez sen, choć nie pamiętałam, bym się bała. Sądziłam, mimo że nie rozumiałam tego dokładnie, że nie czułam strachu dlatego, iż spotkałam mężczyznę zwanego Mścicielem, patrzyłam mu w twarz i widziałam, że ma najmiłsze na świecie oczy i najcieplejszy uśmiech.

Wiedziałam, że cokolwiek ten człowiek uczynił, zrobił to z miłości.

Wychyliłam się z łóżka, podniosłam poduszkę i podłożyłam ją pod plecy.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła służąca z filiżanką czekolady.

Wypiłam ją, spoglądając na niebo rozpościerające się za mym oknem.

Wiatr zamienił mgłę w chmury, które wyglądały jak chorągwie na

błękitnym niebie. Słońce przelewało przez nie swój ciepły złoty blask. „Nareszcie wujek John będzie mógł posmakować swego ukochanego angielskiego lata” - pomyślałam z zadowoleniem, a potem zrobiłam przerażoną minę, bo sobie coś przypomniałam.

Przecież byłam w niełasce z powodu swego okropnego zachowania. Byłam niegrzeczna wobec mamy i Richard był na mnie zły. Cała moja radość z tych rozkołysanych czubków drzew, poprzecinanego chmurami nieba i dmuchającego wiatru zniknęła równie szybko jak poranna mgła. Wyskoczyłam z łóżka i ostrożnie wymacałam na głowie guz, który wielkością przypominał jajko turkawki i był doskonale okrągły. Pod lekkim dotknięciem palców wykrzywiłam się z bólu. Musiałam mocno zacisnąć zęby, żeby się uczesać i ułożyć na głowie masę jasnobrązowych loczków. Później narzuciłam szlafrok, podeszłam do okna i zaczęłam nasłuchiwać.

151

Było bardzo wcześnie. Służba już krzątała się po kuchni, ale mama jeszcze nie dostała czekolady, którą piła każdego ranka. Cicho zeszłam po schodach i przedostałam się przez zielone drzwi do kuchni. Wówczas dobiegł mnie głos pani Gough, która na posypanym mąką stole zagniała właśnie ciasto na bułeczki do śniadania.

- Zawsze mówiłam, że ona jest bardzo samowolna - mówiła podniesionym głosem, żeby mógł ją usłyszeć Stride, który akurat czyścił sztuce i przygotowywał tacę. - Była tak mocno związana z mamą i chyba jest o nią zazdrosna teraz, kiedy nasz pan wrócił.

Nagle zdałam sobie sprawę, że rozmawiają o mnie.

- Za to chłopiec jest przemiły. - W tym momencie głos jej zabrzmiał ciepło. - Wspaniale będzie, kiedy zostanie dziedzicem i odbuduje dwór. Znowu wrócą dobre czasy.

- On nie jest Laceyem - krótko odparł Stride. - Dwór jest domem panienki Julii.

Wyciągnęłam rękę do tyłu i stuknęłam w drzwi, aby mnie usłyszeli. Nie miałam zamiaru podsłuchiwać i nie chciałam słyszeć już nic więcej. Kilka razy tupnęłam nogami w przejściu, a potem pani Gough rzuciła mi krótkie „Dzień dobry”. Nie podejrzewała nawet, że słyszałam ich rozmowę.

- Chciałabym zanieść mamie czekoladę do sypialni - powiedziałam.

Stride uśmiechnął się do mnie.

- To dobrze - rzekł. - Na pewno nie będzie się gniewać. Wczoraj wieczorem też się nie gniewała.

Kucharka mruknęła coś pod nosem i odwróciła się do pieca, gdzie grzało się mleko. Zanurzyła palec w garnku, potem wlała gorący płyn do dzbanka z czekoladą. Stride rzucił okiem na tacę i dał mi znak, że mogę ją zabrać.

Podszedł do drzwi, przytrzymał je, gdy wychodziłam, i przyglądał się, jak wolno idę na górę, ostrożnie trzymając tacę, i jak pukam do drzwi sypialni mamy.

Nie spała. W narzuconym na ramiona szlafroku siedziała na łóżku i patrzyła na świeże listki drzew stłoczonych blisko okna i na błękitne niebo nad nimi.

- Julia! - zawołała radośnie. Potem jej twarz przybrała nieco chłodniejszy wyraz. Widocznie przypomniwała sobie moje hańbiące zachowanie. 152

- Dzień dobry, mamó - rzekłam, kładąc tacę obok łóżka Schyliłam się, by

ją pocałować. - Przyszłam powiedzieć, że jest mi bardzo przykro.

Gdy tylko to usłyszała, objęła mnie i uściskała.

- Och, kochanie moje! Wiesz, że się nie gniewam.

Nie potrzebowała niczego więcej. Nie musiałam się usprawiedliwiać. Nie musiałam już mówić ani słowa. Usiadłam na łóżku, gdy popijała czekoladę.

- Masz jakieś zmartwienie? - spytała. - Chcesz mi coś powiedzieć?

Pokusa wyznania prawdy była zbyt silna. Wyrzuciłam z siebie wszystko. Opowiedziałam o tym, jak ujrzałam Dencha, i odruchowo skłamałam, o tym, jak rozzłościł się na mnie Richard. Wiedziałam, że Dench zdążył już się bezpiecznie ukryć, a ja musiałam się przed nią wytłumaczyć.

Nie opowiedziałam jej o trzech rzeczach. Nie wymknęło mi się ani słowo o panu Megsonie. Wyrzuciłam z pamięci jego nonszalancką spowiedź, jakby nigdy mi tego nie powiedział. Nie chciałam wspominać tej historii. Nie chciałam o niej myśleć. Nie powiedziałam też o tym, że Richard zadał mi ból. Mama nie usłyszy o tym ode mnie. Miałam jednak rację, opowiadając o Denchu. Ze zrozumieniem pokiwała głową i poruszyła tylko jedną kwestię. Tę, o której wiedziała, że najbardziej mnie trapi.

- Czy Richard jest na ciebie bardzo zły?

- Tak. - Nie dodałam ani słowa. Westchnęła.

- Jestem pewna, że to cię zmartwi - rzekła - ale wydaje mi się, iż te wahania atmosfery między tobą a Richardem są wynikiem waszej zbyt dużej bliskości.

Potaknęłam, ale znowu nie miałam nic do dodania.

- Na pewno się między wami poprawi - powiedziała. - A na razie musimy przywrócić ład w całej posiadłości. Richard będzie miał różne zajęcia,

dużo czasu będzie spędzał poza domem. My obie też będziemy miały sporo pracy. Potem po raz pierwszy pojedziesz do Bath. Wybierzemy się tam jesienią i wrócimy na Boże Narodzenie.

Przyjrzała mi się uważnie.

- Nie bądź taka zgnębiona, maleńka. Gniew Richarda przeminie, bo on nigdy się nie złości długo, a ty musisz przestać przejmować się jego humorami.

153

Uśmiechnęłam się i nie zaprotestowałam. Usłyszałam bowiem na schodach kroki Richarda, a na samą myśl o tym, że mogę do niego pójść i normalnie się zachowywać, serce zabiło mi szybciej. Opuściłam mamę, która zaczęła się ubierać, i pobiegłam na dół, by poszukać kuzyna.

Był w salonie. Na stole przed nim leżały książki. Kiedy wsunęłam się do pokoju, zerknął na mnie bez uśmiechu. Nie wyglądał na zachwyconego tym, że mu przerwałam, a ja na widok jego zmarszczonych brwi uświadomiłam sobie, że jeszcze mi nie przebaczył.

Cicho podeszłam do stołu i stanęłam obok niego, lecz nie odzywałam się. Czekałam. Mimo wszystko miałam nadzieję, że obdarzy mnie jednym ze swych słodkich uśmiechów albo chociaż powie jakieś miłe słowo, tak żebym wiedziała, że nawet jeśli jeszcze mi nie wybaczył, to przynajmniej nie jest już tak bardzo zły.

- Możesz tu stać przez cały dzień - odezwał się - i nie usłyszysz ode mnie słowa.

Jego ton był dla mnie policzkiem.

- Mylisz się, sądząc, że chcę zagarnąć Wideacre dla siebie
- odpowiedziałam, próbując zachować spokój. - Jest mi obojętne, które z nas będzie właścicielem. Zawsze sądziłam, że będziemy nim my oboje, bo pobierzemy się i zamieszkamy razem.

Kiedy mówiłam o małżeństwie, głos zadrżał mi wbrew woli i poczułam, że do oczu napływają mi łzy.

- Zresztą nieważne, czy zechcesz mnie poślubić czy też nie. I tak to ty będziesz dziedzicem.

Patrzył na mnie surowo.

- Wiem, że jesteś synem Beatrice - dodałam cicho.
- Odziedziczyłeś jej zdolności. To ty jesteś dzieckiem szczęścia.
- Tak - rzekł szybko. - To prawda, że mam jej zdolności. Jestem prawdziwym dziedzicem i wszyscy o tym wiedzą.
- Oczywiście - potwierdziłam, czekając, że coś jeszcze powie, ale milczał.
- Przykro mi z powodu Dencha. Wiem, że nie miałam racji, ukrywając prawdę o nim przed twym tatą. Ale nie próbuję być najważniejsza dla Acre, wiesz o tym.
- Bardzo dobrze - powiedział władczy tonem. - Wierzę ci. - Mówił to, dając mi jednocześnie do zrozumienia, że nie jestem godna zaufania i że nie wierzy mi, choć wspaniałomyślnie wybaczają moją winę. Spuściłam więc głowę, a on dodał: - Teraz

154

jestem zajęty. Wspólnie z tatą uznaliśmy, że czas przed śniadaniem muszę wykorzystać na cichą naukę.

Pokiwałam głową, spoglądając na jego książki. Robił właśnie rozbiór gramatyczny fragmentu utworu Johnsona. Ponieważ pisał dużymi literami,

mogłam przeczytać jego pracę i widziałam, że zrobił błąd. Doszłam jednak do wniosku, że moja pomoc go nie ucieszy.

- Pójdę zatem na spacer - powiedziałam.

Nie odpowiedział. Cicho przeszłam z salonu do swojej sypialni, włożyłam codzienną sukienkę, a ustępując porannemu chładowi i konwenansom, narzuciłam na głowę i ramiona szal. Wyszłam frontowymi drzwiami i zdezorientowana stanęłam na progu.

Nie miałam pojęcia, dokąd iść. Nie wiedziałam, czego chcę. Wymiana zdań z Richardem uświadomiła mi, że walka o to, by być dobrą żoną i właściwie zachowującą się damą, może mnie kosztować więcej, niż zdolna jestem zapłacić. Wyglądało na to, że będę musiała stale powściągać język, nie chcąc wypowiadać gniewnych słów. Po raz pierwszy w życiu bez współczucia myślałam o samotnym życiu mamy, która mimo że tak bardzo opłakiwała tatę, mogła spokojnie siedzieć przed kominkiem, opierając stopy o jego kratę. Mogła zamawiać takie posiłki, na jakie miała ochotę, i sama decydować o swoim losie. Nie musiała zważać na słowa, przeproszać za błędy, ukrywać myśli i przepuszczać każdej swej wypowiedzi przez pryzmat uprzedzeń mężczyzny. Potem potrząsnęłam głową i uznałam, że jestem okropnie głupia. Te myśli to chyba efekt mej dzikości, którą mama usiłowała wykorzenić. Płaciłam cenę za to, że nie byłam prawdziwą panią z dworu. Musiałam się uczyć od Richarda tego, czego oczekuje się od młodej damy i młodej mężatki. A on był niecierpliwym nauczycielem.

Wzięłam wielki haust świeżego powietrza i poczułam, że mój nastrój zmienny jak chorągiewka na wietrze poprawił się, gdy tylko zobaczyłam szczyty wzgórz i pokryte smugami niebo nad nimi. Zapach poranka

ogrzanego zapowiedzią lata i widok świeżych zielonych liści obmytych deszczem sprawiały, że serce biło mi szybciej i prawie śpiewało.

Wydawało mi się, że słyszę, jak rośnie Wideacre. Był to śliczny dźwięk, jakby delikatne nucenie albo wibrowanie harfy, gdy lekki wiatr biega po jej strunach.

Nie wiedziałam, dokąd pójść na spacer. Chciałam, by ktoś mnie zawołał na przechadzkę, pragnęłam zasłużyć na uśmiech

155

mamy i znaleźć sposób, by powrócić do łask wujka. Chciałam więc takiego spaceru, który dałby mi czas na uspokojenie się. Chciałam przez chwilę pobyc w samym sercu ziemi i poczuć, jak wiatr zabiera ode mnie wszelką złość. Chciałam posłuchać, jak płynie woda.

Ciche rozkoszne dźwięki rozlegające się we mnie mówiły mi, że wokół mnie jest Wideacre, a sen o Beatrice przybliża się. Zmierzałam prosto w stronę drogi, jakby ciągnęła mnie jakaś zaczarowana nitka. Brama ogrodu nie zaskrzypiała (jak to się zwykle działo), gdy ją otwierałam, jeżyny przyczepiły mi się do sukienki, lecz jej nie rozdarły. Szłam jak duch, w ogóle nie poruszając powietrza.

W głowie rozbrzmiewał mi ten sam śpiew, który słyszałam zawsze, gdy blisko mnie była rzeczywistość ze snu. Wiedziałam, że mam zamglone i oszalałe oczy. Po Wideacre prowadził mnie duch. Ona i ja byłyśmy teraz jednością. Obie spacerowałyśmy po cudownej ziemi owiewane chłodnym wiatrem poranka. A ja stąpałam leciutko jak boginka.

Znalazłszy się na drodze, skręciłam w prawo i ruszyłam w stronę ruin

dworu. Blask słońca przedzierający się przez drzewa, których gałęzie zwieszały się nad drogą, malował mi plamy na twarzy. Po prawej stronie rósł żywopłot cały pokryty słodko pachnącym kwieciem. Między kwiatami niezgrabnie poruszały się pszczoły, a ich brzęczenie i ten śpiew w mej głowie były tak głośne jak stuosobowy chór. Nic. Nic.

Nic tylko ten delikatny cichy śpiew, który chyba ciągnął mnie naprzód. Była to jedyna naprawdę piękna rzecz, która spotkała mnie w tym dniu, gdy zbyt wielu ludziom i zbyt wielu rzeczom miałam stawić czoło. Jedyne wyraźny odgłos w paplaninie świata. Był to głos Wideacre. Moja ziemia wywołała mnie z Dower House i wzywała do dworu.

Na zakręcie rósł olbrzymi kasztanowiec. Wiewiórka dopiero co odgryzła gałązkę, na której było kilka świeżych palczastych liści, i zrzuciła ją na ziemię. Pochyliłam się, podniosłam ją i powachlowałam twarz. Powietrze pachniało słodyczą kwitnących kwiatów, a nieliczne niesione wiatrem kropelki ostrzegały, że burza nie odeszła, lecz po prostu oddaliła się. Wiedziałam, że jeszcze przed południem spadnie deszcz.

156

Kamienie, którymi wysypana była droga, chrzęściły pod nogami. Przypomniały mi dźwięk setek stóp, gdy oświetlona pochodniami i błyskawicami gromada bosych ludzi szła do dworu, z Ralfem Megsonem jadącym na czele.

Byłam jakby na wpół pogrążona we śnie. Spojrzałam na przejaśniające się niebo niemal pewna, że na mą uniesioną w górę twarz spadną krople deszczu. Zrobiłam to tak samo jak Beatrice, gdy wyszła na spotkanie burzy.

Dzień był jednak zupełnie inny, burza była daleko. To nie był sen. Szłam

bez celu do dworu. Chciałam odbyć tę wędrówkę, zanim będę musiała zasiać z mamą do szycia i zanim obejrzę razem z wujkiem szkice narysowane przez architekta. Nie wiedziałam, dlaczego idę tą drogą, jakby mnie ktoś ciągnął w stronę ruin Wideacre. Nie wiedziałam też, czemu w mojej głowie rozlega się ten dziwny śpiewny dźwięk i czemu pod żebrami boli mnie coś, chyba serce. Szłam jak pogrążona w transie lunatyczka. Gdy znalazłam się w ogrodzie różanym, gdzie chwasty były już tak wysokie jak krzewy, zobaczyłam mnóstwo małych pączków zdradzających barwę kwiatów, które z nich się rozwiją: czy będą białe, kremowe czy różowe. Uparte róże przedzierały się przez bujną zieleń dziko rosnących jesionów, starych krzaków oraz wysokich różowych firletek. Zatrzymałam się, odłamałam gałązkę firletki i przyjrzałam się jej pięknie ukształtowanym, podobnym do muszelek kwiatom. Każdy z nich był doskonały. Potem oderwałam oczy od roślin i skierowałam się do na wpół zrujnowanej, białej drewnianej altanki.

On tam był.

Gdy znalazłam się na ścieżce, wyszedł na próg i stał tam, czekając na mnie. Spojrzałam prosto w jego śniadą twarz i uśmiechnęłam się na powitanie. Byłam szczęśliwa, że go widzę. Na jego widok od razu przestałam czuć ból pod żebrami. Śpiewne wibrowanie w mej głowie nagle ucichło, jakby ktoś położył dłoń na strunach harfy. Od razu też pokazało się jaskrawe słońce i uśmiechnęło się do mnie swymi złotymi promieniami, które sprawiły, że ogród zaczął wyglądać na zbyt jasny, a jednocześnie zbyt mglisty. Lekko, zupełnie jak duch, jak tańcząca zjawą, wstąpiłam na niepewne schodki. Mężczyzna wyciągnął do mnie ręce i mocno przytulił, a ja uniosłam twarz do pocałunku.

Dotyk jego ust był bardzo twardy. Pod ciężarem jego ciała wygięłam się do tyłu, unosząc jednocześnie ręce, które objęły

157

jego głowę. Pióropusz firletki niezauważenie wysunął mi się z palców, a ja odchyliłam się tak długo, aż plecami oparłam się o ramę drzwi. Ralf przyciskał się do mnie i czułam ciepłe, miłe w dotyku ciało, jędrne jak u młodego chłopca. Ogarnął mnie ramionami i podniósł, a potem ostrożnie położył na podłodze altany. Zrobił to tak, jak byśmy od dawna byli kochankami. Podłoga stała się łóżkiem księżniczki. Położył się obok mnie, a ja przyciągnęłam bliżej jego twarz, bo chciałam całować delikatne przymknięte powieki, gładkie i ciepłe czoło, kosmyk włosów i usta.

Gładziłam dłońmi krótko ostrzyżoną głowę i byłam na granicy ekstazy, w którą wprowadzała mnie jego obcość, moja miłość i szaleństwo tego dnia.

Poczułam, że rozpina mi z tyłu suknię. Jego palce poruszały się pospiesznie i niezgrabnie, więc uniosłam się nieco z brudnej podłogi, by mu ułatwić zadanie. Starannie odpinał każdy guziczek, a ja przyglądałam się jego skupionej twarzy. Potem złapał w garście brzeg sukni i ściągnął ją ze mnie. Uniosłam biodra, by mógł to zrobić, podniosłam też ramiona.

Zostałam prawie naga, w samej bieliźnie, leżąc u jego boku na podłodze altany.

Opadł na mnie jak fala, pocałował w szyję, a potem objąwszy dłonią pierś schylił się i zaczął ją pieścić ustami. Później podniósł mi koszulę, całował po brzuchu i między nogami. Byłam nieprzytomna, bezwolna i

oszołomiona z rozkoszy. Kiedy krzyknęłam: „Ralf”, spojrzał na mnie i zobaczyłam, że jego oczy pociemniały

z pożądania.

„Najdroższa” - rzekł cicho, jakbym nie miała imienia. Potem znów schylił głowę i lizał mnie twardym szpiczastym językiem tak długo, aż chwyciłam jego krótkie włosy i wydawałam z siebie ciche jęki.

Cofnął się z uśmiechem, kpiącym i przepraszającym jednocześnie, i miałam wrażenie, że chce powiedzieć, iż oboje jesteśmy pozbawieni rozsądku. Zdjął koszulę, ściągnął buty i spodnie. Nie miał nic pod spodem. Oddychałam szybko, ogarnięta bezwstydną żądzą. Rzucił się na mnie, a ja nie umknęłam. Czułam jego ciepłe nagie ciało, miękkie włosy na piersi, szyję opartą o moje czoło i przytuliłam twarz do jego ramienia, dotykając rozkosznie pachnącej skóry.

„Ralf” - powiedziałam i cały świat, świat Wideacre, zdawał się powtarzać to imię. Altana była go pełna, podobnie zdziczały

158

ogród, dom, który do cna przez niego spłonął, i wieś, która darzyła go czcią.

„Ralf” - powtórzyłam. Wszedł we mnie i było to podobne do tamtego pchnięcia nożem ze snu. Kiedy podnosiłam oczy, widziałam - tak samo jak we śnie - jego uśmiech. A gdy on spoglądał na mnie ciemnymi zakochanymi oczyma, widział, że ja uśmiecham się również.

„Panna Lacey” - rzekł łagodnie. Całował moje powieki, zagłębienia skroni i delikatną skórę pod oczami. Zlizał łzę z kącika oka, a potem zaczął się poruszać.

Był ostrożny. Chyba bał się, że może mi sprawić ból. Były chwile, gdy naprawdę mi go zadawał. Lecz każdy ostry ból był przyjemnością, każdy

zawrót głowy rozkoszą, więc przywarłam do niego i wygięłam plecy, przyjmując jego ciało tak jak żona rycerza witająca w domu swego utraconego pana. Poruszał się coraz szybciej, a mnie mąciło się w głowie z rozkoszy i nie miałam pojęcia, gdzie jestem, kim jestem i co robię. Na całym świecie był tylko Ralf.

Leżeliśmy w milczeniu.

Po chwili usiadł, sięgnął po swoją kurtkę i mój szal i nakrył nas nimi jak kocem, bowiem wiatr, który przywiał mnie tutaj w jego ramiona, nasilił się.

Ralf podparł się łokciem i przytrzymał mnie tak, jakbym była jakimś cennym, rzadkim przedmiotem powierzonym jego opiece. Schyliłam głowę, położyłam mu twarz na ramieniu i wciągałam czysty zwierzęcy zapach jego skóry i wyraźną rozkoszną woń podobną do piżma.

Istniałam tylko w tym miejscu. Była tylko ta chwila. Było tylko jedno wrażenie: ciepłe, wypieszczone, zachwycone ciało. Widziałam profil Ralfa, który ponad moją głowę spoglądał w otwarte drzwi. Czułam ciepło w miejscu, gdzie mnie dotykał, ból tam, gdzie był przedtem, i dziwny spokój, który wydawał się promieniować ze środka ciała ku głowie i oczom. Pragnęłam tylko usnąć w jego ramionach i czekać, aż mnie obudzi. Zamknęłam oczy; zapadałam w drzemkę, czując rękę Ralfa na ramionach i jego szorstki płaszcz, który pachniał wrzosami i dymem.

- Idzie deszcz - rzekł cicho. - Chmury gęstnieją.

Otworzyłam oczy. Przez częściowo zburzone ściany altanki patrzyliśmy, jak nadciąga deszcz, który w oddali, nad polami, utworzył olbrzymią ścianę wody. Poprzedzał go wiatr, który przygiął

do ziemi smukłe brzoźki, a ich liście kładły się tak, jak krótkie włosy Ralfa pod głaszczącą je ręką. Do altany wtargnęło chłodne powietrze, a dach zaczął skrzypieć w podmuchach wiatru. Potem lunęły srebrne strugi, długie krople przywodziły na myśl kłujące ziemię promienie gwiazd. Ulewa waliła w dach jak w bęben i altana zaczęła trzeszczeć jak łódka na morzu. Znajdowaliśmy się za kurtyną wody, całkowicie osłonięci i dobrze ukryci.

- Chodź - rzekł Ralf. - Przeziębisz się.

Narzucił na mnie sukienkę, sam zaś wciągnął koszulę. Ubrałam się po omacku, a gdy odwróciłam się do niego, zobaczyłam, że siedzi przy ścianie z szeroko rozłożonymi nogami.

- Usiądź na chwilkę przy mnie - poprosił łagodnie. Podeszłam więc szybko i usiadłam, opierając się o niego plecami. Objął mnie niedbale i razem w milczeniu przyglądaliśmy się spadającym kroplom.

Trwało to dosyć długo. Chmury nad polami zrobiły się bardzo gęste i ciemne, niemal fioletowe. Lecz gdy się tak przyglądaliśmy, wiatr, który przyniósł ze sobą burzę, zaczął ją pędzić nad dworem, altanką, wsią Acre w stronę morza, gdzie deszcz będzie mógł swą słodką wodą zalewać wzburzone słone fale. Wicher wyrywał dziury w gęstym poszyciu chmur i odsłaniał błękitne łaty na niebie. Osłabło walenie w dach, deszcz nie rozmazywał już krajobrazu przed nami i wyraźnie widzieliśmy ociekający wodą ogród. Liście lśniły wilgocią, a gdy wyszło słońce, leżące na nich kropelki zamigotały jak drogocenne kamienie. Czuliśmy cudowny zapach powietrza Wideacre, wspaniałą woń czegoś świeżo umytego, nasiąkniętego wodą i z wolna schnącego. Gdzieś w oddali słychać było nieco głośniejsze niż zwykle bulgotanie Fenny, do której spływały teraz

liczne małe strumyczki.

Miałam całkowicie poplątane włosy. Ujęłam jedno gęste pasmo i zaczęłam je sobie bezmyślnie owijać dookoła palca. Nagle znieruchomiałam. W mej głowie rozlegał się bardzo głośny szum, a nawinięte na wskazujący palec loki okazały się rude jak sierść lisa. Rude jak sierść lisicy. To były rude włosy

Beatrice.

Dwór nie był zburzony, a dookoła nie unosił się zapach starego dymu.

Rozkwitający czerwienią młodych róż ogród wyglądał doskonale.

Kamienie wyścielające taras były gładkie i równe. Gmach dworu miał perłowozieloną barwę, w oknach wisiały ciemne zasłony,

160

ogromne drewniane drzwi były gościnnie otwarte, a z kominów unosił się dym.

Wytrzeszczałam oczy i mrugałam powiekami. Oszołomiona i przerażona oparłam się dłońmi o podłogę, bo wydawało mi się, że zaraz upadnę.

Miałam wrażenie, że ziemia rozstąpiła mi się pod nogami i lecę gdzieś na dół, w szaleństwo, tam gdzie sen staje się jawą, gdzie Beatrice w każdej chwili może się we mnie wcielić, a ja nie potrafię odróżnić sennego urojenia od rzeczywistości.

Na solidnie zrobionej podłodze leżały nowe deski. Okna były całe, ich szyby lśniły czystością, a białe ramy zostały świeżo pomalowane.

Pod wpływem tego niewiarygodnego widoku odwróciłam się, chcąc powiedzieć: „Ralfie! Pomóż mi! Nie wiem, czy jestem Julią czy Beatrice.

Wiem tylko, że mnie nie skrzywdzisz. Pomóż mi! Pogubiłam się i nie wiem, kim jestem!”

Nie było tam nikogo.

W kącie leżała kupka śmieci i liści wprawianych w ruch przez wiatr, który wpadał przez wybite szyby. Byłam całkowicie ubrana, opierałam się o zrujnowaną ramę drzwi, a gdy przyłożyłam dłoń do głowy i wyciągnęłam jeden z loków, zobaczyłam, że jest jasny.

Głęboko westchnęłam z przerażenia i rozejrzałam się po mokrym ogrodzie. Znajdowałam się w dobrze znanym od dzieciństwa, zarośniętym ogródku różanym, gdzie chwasty pięły się w górę, a otaczające go ściany i murki poczerniały od dymu lub rozsypały się.

Kolana ugięły się przede mną. Ukryłam twarz w dłoniach.

Wiedziałam, że muszę to przemyśleć. Muszę zrozumieć, co mi się przydarzyło. Przypomniałam sobie, że miało to miejsce całe lata temu, tymczasem stało się to ostatniej nocy. Może uderzenie zaburzyło pracę mego umysłu? Po chwili jednak przypomniał mi się ten dźwięk, który rozległ się w mej głowie, gdy po raz pierwszy ujrzałam Ralfa. W przeciwieństwie do skołatanej i strapionej głowy moje ciało było ufne i pewne siebie, a w dodatku miałam wrażenie, że jest gładkie i lśniące jak sierść zdrowego kota. Wiedziałam, że powinnam być przestraszona lub zmęczona, lecz nie miałam poczucia, iż to, co się działo, było złe.

Poza tym nic nie mogłam poradzić na to, że czułam się zadowolona.

Widziałam dwór w czasach jego świetności. Zobaczyłam, jaki piękny był ogród i jak ciepłą barwę miały ściany. Przede mną

161

rozciągał się taras, z kominów unosił się dym i wiedziałam, że w pokojach na kominkach płonie ogień, a w kuchni szykują się do gotowania.

Byłam z Ralfem równie blisko jak niegdyś Beatrice. Kochał mnie i uroczo parodiując szacunek nazywał „Panną Lacey”. To było przecież jej nazwisko.

Lecz ja też byłam panną Lacey.

On był jej kochankiem, a ta ziemia była jej własnością. To był też mój kochanek i moja ziemia. Podniosłam oczy i spojrzałam na słońce. Czas już było iść do domu na śniadanie. Wstałam i lekko i swobodnie przeszłam przez ogród różany. Pączki kwiatów zaczynały słodko pachnieć w wilgotnym powietrzu, a chwasty błyszcząły zielono. Czułam się tak, jakby nic na świecie nie mogło mnie dotknąć. Nic nie mogło mi zagrozić. Byłam spadkobierczynią Beatrice, a czasami stawałam się nią samą. Mogłam iść do domu i próbować wieść żywot grzecznej dziewczynki, panienki z Dower House, lecz w głębi serca chowałam sekretną moc, która pochodziła od Beatrice, mojej ciotki i mego drugiego „ja”. Wiedziałam, że już niedługo, podobnie jak ona, dobrze poznam i pokocham tę ziemię. Wiedziałam, że powinnam tu pracować razem z jej kochankiem, którego znałam i darzyłam miłością tak samo, jak kiedyś ona.

Szłam do domu oszołomiona, ale już o tym nie myślałam. Wiatr, który przez całą drogę do dworu silnie dmuchał, ustał teraz i jedynie lekko mnie pieścił swym wilgotnym oddechem. Czułam zapach mokrej ziemi i zbóż, które dopiero miały na niej wyrosnąć. Miałam wrażenie, że moje młode ciało unosi się nad drogą, jakbym wciąż jeszcze śniła. Nie myślałam o niczym. Nie byłam w stanie myśleć. Zresztą nie było takich myśli, które mogłyby ogarnąć to, co się zdarzyło. Czułam po prostu, że muszę się poddać temu szaleństwu i radości tak, jak pstrąg daje się nieść prądowi Fenny. I mieć nadzieję, iż to, co czuję, jest dobre. Najlepiej było nie

myśleć wcale.

ROZDZIAŁ Siódmy.

Wbiegłam po schodach do drzwi wejściowych. Były zamknięte tylko na klamkę. W sieni wiało pustką, więc zajrzałam do jadalni, gdzie zobaczyłam nakryty stół. Nie spóźniłam się na śniadanie. Drzwi do salonu dokładnie zamknięto; domyśliłam się, że Richard wciąż ciężko pracuje. Po spacerze miałam zabrudzony błotem brzeg sukienki i pokryte pyłem plecy. Musiałam więc pobiec do pokoju i przebrać się. Wyjęłam z paczki jedną z nowych sukienek, które właśnie przysłano mi z Chichester. Mama zamówiła je tam u swej krawcowej.

Sukienka miała cudowny bladozielony kolor młodego zboża. Zielona barwa wpadała w srebrny odcień. Pospiesznie narzuciłam na siebie czystą halkę, włożyłam nową sukienkę i spojrzałam w lustro. To co zobaczyłam, sprawiło, że zastygłam w bezruchu.

Mimo że lustro było stare, poplamione i ciemne, widziałam swoje odbicie: kwadratowy dekolt, który lekko odsłaniał powiększające się piersi, zarys kości policzkowych, cień włosów rozrzuconych na ramionach, przechyloną głowę i zamglone oczy, które połyskiwały jak szare łupki na deszczu. Widok ten sprawił, że zaczęłam się sobie dokładniej przyglądać. Dziewczyna w lustrze też na mnie patrzyła. Bardzo chciałam odgadnąć, kim naprawdę jestem. Okazało się, że mama miała rację, robiąc mi wymówki o to, iż nie wkładam codziennie kapelusza, bo na nosie pojawiły mi się piegi podobne do drobnych plamek na kurzym jajku. Skórę miałam bowiem jasną jak skorupka jajka i równie jak ona gładką. Moja twarz sprawiała wrażenie, że tego właśnie poranka utraciła swe urocze dziewczęce zaokrąglenia i stała się wyrazista

i delikatna. Patrzyłam na swoje odbicie tak, jakbym nigdy przedtem nie widziała własnej twarzy.

- Wzięłam sobie kochanka Beatrice - rzekłam pełnym grozy szeptem. - Najwyraźniej w świecie opętała mnie. Poszłam do jej domu i spotkałam się z jej kochankiem tam, gdzie ona go zwykle oczekiwała. Kochaliśmy się tak, jakbym była nią. Czułam do niego to samo, co ona. Nie mogłam znieść tej namiętności, więc Beatrice wstąpiła we mnie, a ja zrobiłam to, co ona czyniła niegdyś.

Spuściłam oczy i odwróciłam się od lustra. Musiałam zachować w tajemnicy tę rozkosz. Tego ranka miałam się pojednać z dwoma władającymi domem mężczyznami: wujkiem Johnem i kuzynem Richardem, a przecież nie mogłam tego zrobić, mając oczy pełne nasyconych pragnień i nieodgadniony uśmiech na wargach.

Zabrział gong wzywający na śniadanie, więc potrząsnęłam głową, jakbym strząsała z siebie czar, i pobiegłam na dół, wsuwając w biegu ostatnią szpilkę, która mocowała loki na czubku głowy.

Śniadanie jedliśmy w pośpiechu, ponieważ chcieliśmy obejrzeć szkice odbudowy dworu, jeszcze zanim Richard wyruszy do Acre na lekcje. Architekt narysował zachwycający, bardzo nowoczesny dom. Ten elegancki i prosty budynek miał zaokrągloną, śliczną wieżę z jednej strony, kwadratowy front, do którego prowadziły dobrze nam znane, olbrzymie drzwi, i duże okna. Nowy dwór miał mieć trzy poziomy.

- To pałac! - zawołała mama.

- Poprzedni dwór był równie duży - przypomniał jej wujek. - Tak długo

mieszkałaś w krainie liliputów, że zdążyłaś zapomnieć, jak wygląda dom normalnej wielkości.

- Mój Boże - odezwałam się z przejęciem. - On naprawdę wspaniale wygląda.

- Zatem my będziemy wyglądać równie wspaniale. Musimy przecież do niego pasować - rzekł wujek stanowczo. - Czy będzie ci odpowiadał status panny Lacey z dworu Wideacre,

Julio?

- Bardzo. - W tym momencie przypomniałam sobie, czego żądał ode mnie Richard. - Lecz jeszcze bardziej pragnęłabym zobaczyć Richarda jako dziedzica prawdziwego dworu.

- A skoro mowa o naszych nowych planach i działaniach - powiedział wujek - sądzę, że nadszedł czas, byście na serio

164

zaczęli się uczyć jazdy konnej. Dziś w Chichester odbywa się koński targ, wybieram się tam z nadzieją, że kupię sobie dobrego wierzchowca.

Zamierzam również kupić dwa konie dla was. Oczywiście pod warunkiem że znajdę coś odpowiedniego.

Nie mogłam wykrztusić ani słowa. Nagle zdałam sobie sprawę, że ściskam ułożone pod brodą dłonie oraz że prawie uniosłam się z miejsca. Nic jednak nie powiedziałam.

Richard też dziwnie jakoś zamilkł.

Wreszcie wujek odezwał się ze zniecierpliwieniem:

- Przypuszczam, że to milczenie oznacza zgodę.

- O tak, wujku! - zawołałam ochoczo. - Tak! Tak! Tak! Wujek popatrzył na mamę i wybuchnął śmiechem.

- Oni są naprawdę rozkoszni, Celio - powiedział ponad naszymi głowami zupełnie tak, jak mówi się o małych dzieciach. - Są cudownie niezepsuci, muszę to przyznać. Ale mimo że będą nadal żyć w Wideacre, muszą wyjechać - jedno do miasta, drugie na uniwersytet - i nabrać trochę ogłady.

- To okropne! - rzekła mama. - Julio, doprawdy wstyd mi za ciebie! Przestań powtarzać to swoje „tak!” i podziękuj wujkowi, dowodząc, że masz choć odrobinę rozumu. A tobie, Richardzie, co się stało? To zupełnie do ciebie niepodobne, byś nie miał nic do powiedzenia.

Richard odchrząknął.

- Dziękuję, ojczy - rzekł grzecznie. Sądzę, że tylko ja dosłyszałam w jego głosie brak entuzjazmu. Poczulałam wyrzuty sumienia i zaczęłam mu współczuć, bo uświadomiłam sobie, że on wciąż myśli o Szeherezadzie.

- Dziękuję, wujku - odezwałam się cicho. - Mama ma całkowitą rację: jestem pozbawiona dobrych manier. Po prostu byłam tak... tak... tak...

Wujek uśmiechnął się do mamy, widząc, że mi brakuje słów.

- Może szkoła z internatem? - zaproponował.

- Raczej dom wariatów! - odparła. - Julio, jeśli nie masz nic do powiedzenia, idź, proszę, i przynieś mi papier i atrament, zamiast klęczeć tu na podłodze z otwartą buzią. Ty zaś, Richardzie, musisz już iść do pastora.

Uklonił się jej, pomachał nam ręką na pożegnanie i jeszcze raz tęsknie zerknął na piękne szkice tak, jak ktoś wygłodzony patrzy na posiłek, który w każdej chwili mogą mu zabrać sprzed nosa.

165

- Tak - rzekł niechętnie i ruszył do drzwi. Miałam nadzieję, że uśmiechnie się do mnie, lecz nie zrobił

tego. Wyszedł ze spuszczoną głową, nawet na mnie nie spojrzawszy, choć stałam w sieni, kiedy narzucił płaszcz, i podeszłam do drzwi, gdy wychodził. Wyszedł bez słowa, mimo iż wiedział, że cierpliwie czekam, aż się odezwie. Stałam przy oknie salonu i patrzyłam za nim, gdy kroczył aleją, w nadziei że jednak zmięknie i pomacha mi ręką. Nie uczynił tego. Po chwili weszła mama i zobaczyła, że wpatruję się w jego znikającą postać. Dostrzegła też moje milczenie.

- Kochanie, napiszesz dla mnie listy? - zapytała zachęcająco.
- Tak - odparłam bez wahania. Popatrzyła na mnie uważnie i spytała:
- Czy Richard jest na ciebie zły z powodu Johna Dencha?

Nie zaczęłam płakać rzewnymi łzami. Nie byłam zrozpaczona. Nie doznałam tego dobrze znanego od dzieciństwa uczucia przerażenia na samą myśl o wściekłości Richarda. Lekko skrzywiłam się w grymasie zniecierpliwienia.

- Ma muchy w nosie - rzekłam obojętnie. - Przejdzie mu to.

Potem, nie zwracając uwagi na pełen zaskoczenia wyraz twarzy mamy, usiadłam przy stole, wyjęłam kilka arkuszy papieru, zanurzyłam pióro w kałamarzu i zaczęłam pisać pod jej dyktando tak, jakbym nigdy w życiu nie płakała z powodu zatargu z Richardem.

Wujkowi Johnowi poszczyło się na końskim targu. Nie można było tego samego powiedzieć o mnie i Richardzie. Wujek powiedział:

- Nie ma tu koni odpowiednich dla was. Przykro mi, że was rozczarowałam. Sam też czuję się zawiedziony. Tak się cieszyłem, że

przyjadę do domu, a za moim powozem przykłusują aż trzy konie. Wynalazłem tego wspaniałego rumaka dla siebie, lecz niestety nie zdołałem znaleźć nic dla was.

- A czego brakowało tym koniom, które oglądałeś, ojcze?

- spytał Richard. Właśnie zasiedliśmy do późnego obiadu. Wujek uśmiechnął

się do syna znad krojonej przez siebie tłustej gęsi, której cienkie plasterki roznosił Stride.

166

- Dobrej krwi - odparł krótko. - Chciałem wam kupić konie zdrowe, spokojne, a jednocześnie rasowe, żeby jazda, kiedy się wreszcie nauczycie, sprawiała wam przyjemność. Richardzie, nie martw się, dla ciebie poszukałbym rumaka nieco bardziej zwawego. Julia miała dostać zwierzę spokojne i zrównoważone. Niestety na targu były tylko jakieś dychawiczne szkapy, które może i by zdołały przejść do galopu, ale dyszałyby wówczas jak wyjęte z wody ryby.

Richard roześmiał się serdecznie. Przyglądałam mu się bardzo uważnie.

Jego złość na mnie gdzieś się ulotniła i wyglądał na odprężonego, a nawet zadowolonego. Nie mogłam tego zrozumieć, bo ja sama, mimo że robiłam co mogłam, by nie mieć nachmurzonej miny, byłam rozczarowana niepowodzeniem na targu i miałam ochotę wybuchnąć płaczem.

- Może i lepiej się stało, że nie wydałeś pieniędzy, ojcze - rzekł Richard. - Myślę, że ponieważ i tak wyjeżdżam do Oksfordu, to kupno konia dla mnie nie ma sensu. Przecież nie miałbym kiedy na nim jeździć.

- To prawda - przyznał wuj, odkrawając ostatni plasterzek gęsi i siadając na swoim miejscu. Stride podał mu chrupiące przypieczone ziemniaki,

soczystą marchewkę z ogrodu w Havering i opiekany pasternak. Wujek zrezygnował z tłuszczu od pieczenia, w zamian nałożył sobie dużą porcję delikatnego sosu cytrynowego zrobionego przez kucharkę.

- Uznałem jednak, że gdybyś miał konia, to mógłbyś z niego korzystać podczas wakacji. Wiesz przecież, że w stajni jest dość miejsca.

Richard uśmiechnął się ze słodyczą.

- Jesteś dla mnie taki dobry, ojcze. Skoro jednak tak trudno jest znaleźć tutaj odpowiedniego konia, proszę, byś się już więcej o mnie nie kłopotał. Przez całe życie pieszo chodziłem po Wideacre i mogę to robić nadal. Jestem pewny, że Julia uważa tak samo.

Otworzyłam usta, by zaprotestować, lecz ostre spojrzenie błękitnych oczu uciszyło mnie natychmiast. On zaś ciągnął dalej przymilnym tonem:

- Wydaje mi się zresztą, że tego lata żaden koń nie jest nam potrzebny. Z tego co wiem, babcia Julii uważa, że damy nie powinny jeździć konno latem. Będę szczęśliwy, mogąc dotrzymywać towarzystwa mej kuzynce podczas pieszych wędrówek.

167

Mama uśmiechnęła się.

- Bardzo to miło z twojej strony, Richardzie - pochwaliła go, a wujek z aprobatą skinął głową. Mama zwróciła się do niego:

- Richard ma rację. Ta pora roku nie nadaje się na rozpoczęcie nauki jazdy. Skoro nie można dostać dobrych koni, nasze dzieci mogą zaczekać do świąt Bożego Narodzenia.

Wuj wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzycie. Chciałem wam podarować konie bez specjalnych ceregieli, ale rzeczywiście w okolicy nie ma w tej chwili żadnych

odpowiednich zwierząt. Zapewniam was jednak, że nadal będę szukał. Nie mamy odpowiednich wierzchowców, ale na pewno da się kupić jakiegoś kuca, abyście mogli sobie jeździć dwukółką.

Przygryzłam wargi i spuściłam głowę. Wyglądało na to, że zawsze ilekroć perspektywa otrzymania własnego konia będzie bliska, będę przeżywać zawód.

Mama zauważyła, że jestem przygnębiona, i uśmiechnęła się do mnie ze słodyczą.

- Nie martw się, Julio. Kiedy następnym razem będę w Chichester, zamówię dla ciebie amazonkę, żebyś od razu mogła rozpocząć jazdy. Na pewno w końcu znajdziemy odpowiedniego konia.

- Dziękuję, mamó - odpowiedziałam, usiłując sprawiać wrażenie zadowolonej. Później tak gorliwie zajęłam się pieczoną gęsią, jakbym przez cały dzień pościła.

Wujek John zaczął opowiadać:

- Spotkałem w Chichester lorda Haveringa i przedstawiłem mu niektóre z moich projektów rozwoju posiadłości. Był tak miły, że nazwał je jedynie radykalnymi bzdurami.

- A nie pokłóciliście się czasem? - zapytała mama, ściągając z niepokojem brwi.

- Ależ skąd - odparł. - W kłótni zwykle uczestniczą dwie osoby, a jego lordowska mość nie dał mi nawet dojść do słowa. Opowiedziałem mu o swoich planach, po czym on nie wiedział, czy ma się śmiać z mej naiwności, czy też wpaść we wściekłość z powodu tak rewolucyjnych poglądów.

- A ty jesteś rewolucjonistą, wujku? - zapytałam, spoglądając na niego z

odrobiną grozy.

- W porównaniu z twoim dziadkiem jestem prawdziwym zdrajcą stanu - odparł ze śmiechem. - Mówiąc jednak poważnie, Julio, jestem tylko jednym z bardzo wielu ludzi, którzy uważają,

168

że świat stanie się lepszy, jeśli naród nie będzie się dzielił na ogromną rzeszę robotników - około sześciu milionów ludzi

- którzy nie mają ziemi, oraz maleńką grupę - może ze czterysta rodzin - która posiada wszystko.

- Co byś zrobił? - spytałam. - Co byś zrobił, żeby to zmienić?

- Gdyby jutro obwołano mnie królem - uśmiechnął się

- wydałbym ustawę, która wszystkim ludziom dawałaby prawo posiadania kawałka ziemi. Potem nakazałbym, żeby ludzie utworzyli wspólnotę i razem uprawiali ziemię. Każdy miałby swój dom i własne pole, mały ogród i trochę inwentarza. Widzisz więc, Celio, wcale nie jestem przeciwnikiem własności prywatnej, choć zarzuca mi to twój ojczym. Ale uważam, że ludzie powinni razem pracować na ziemi, która znajduje się pod wspólnym zarządem, tak jak dawne wiejskie pola, kiedy starsi wsi decydowali, co należy zasiać i jakie stosować metody upraw.

- Niech żyje królestwo Johna! - zawołałam, a wuj roześmiał się, widząc moją ożywioną twarz.

Potem zwrócił się do mamy:

- A zatem mam już pierwszą zwolenniczkę. Nie bądź taka poważna, Celio. Skoro mam wyznawców, przyszłość należy do mnie.

- A co będziesz robił, zanim zostaniesz królem Anglii?

- zapytała. - Jak zamierzasz przekonać Acre, że znowu nadchodzą dla nich

dobre czasy?

- Muszę się skonsultować ze swym doradcą. - Zwrócił się do mnie: - Pani premier, jak mamy wytłumaczyć tym ludziom, że wszyscy muszą pracować razem i dzielić zysk między siebie?

Zastanawiałam się przez moment.

- Czy mówisz poważnie, wujku? Naprawdę chciałbyś, by wieś uczestniczyła w podziale dochodu?

- Kusi mnie to - przyznał. - Podczas pobytu w Indiach wiele czytałem i myślałem nad tym, co tutaj się wydarzyło. Doszedłem do wniosku, że jedyny uczciwy sposób zarządzania majątkiem to taki, gdzie każdy może się wypowiadać na temat upraw oraz podziału dochodu. - Przerwał, spojrzał na nasze twarze. Ja byłam skupiona, mama pełna wątpliwości, a Richard przybrał właściwą sobie uprzejmą minę.

- Zastanawiałem się, co by było, gdyby każdy mieszkaniec wsi, nieważne czy jest dzierżawcą, czy robotnikiem, mógł wykupić

169

udział w dochodach majątku - ciągnął dalej. - Wówczas przez pierwszy rok musieliby pracować po to, by ich dochody utworzyły coś w rodzaju centralnego funduszu. Za część tych pieniędzy kupowalibyśmy nowy sprzęt, nasiona, potrzebne nam zwierzęta, a ponadto opłacali pracowników i inne sprawy związane z prowadzeniem gospodarstwa. Reszta tego funduszu stanowiłaby ich oszczędności.

- A co z nami? - zapytał Richard. Odezwał się po raz pierwszy, a jego głos zabrzmiał ostro. - Przecież jesteśmy właścicielami Wideacre. Jakie jest nasze miejsce w tym planie? Co my na tym zyskamy?

- Będziemy otrzymywać swój udział w dochodach - odpowiedział wujek.
 - Pieniądze zainwestowane przez nas w posiadłość będą stanowiły nasz wkład pracy i co roku będziemy otrzymywać zysk taki sam, jakbyśmy nimi obracali.
 - Będziemy się dzielić dochodem z Acre? - zapytał Richard. Samo pytanie brzmiało tak, jakby zwyczajnie próbował zrozumieć ten problem, lecz coś w jego głosie sprawiło, że zrobiło mi się zimno i poczułam ciarki na plecach. - Czy nie istnieje obawa, że wieśniacy uznają, iż mają prawo do naszej ziemi i zażądają dochodów większych niż ich wkład pracy?
Wujek pokiwał głową.
 - Być może. Ale to ty będziesz sędzią ich praw.
- W tym momencie pojawił się Stride, który zaczął sprzątać ze stołu. Zebrał talerze i napełnił kieliszki stojące przed mamą i Johnem. Nikt prócz mnie nie patrzył na Richarda. Zobaczyłam, że pobladł, a jego oczy zrobiły się ciemne jak niebo w środku bezgwiazdnej i bezksiężycowej nocy. Siedział przy stole i trząsał się z wściekłości. Spuściłam więc wzrok i zaczęłam się przyglądać haftowanej serwetce, którą miałam na kolanach. Obawiałam się, że mój kuzyn zacznie krzyczeć o swoich prawach do Wideacre i zhańbi się tym wybuchem złości, chociaż zwykle starał się nad sobą panować.
- Okazało się, że nie znałam go wystarczająco dobrze. Zanim Stride przyniósł deser, na który podano nam wspaniałe krem z bezami i sosem jabłkowym oraz ciasto z dżemem, Richard był już spokojny i uśmiechnięty.
- To naprawdę nadzwyczajny pomysł, ojcze - rzekł uprzejmie. Myślę, że tylko ja usłyszałam złość bulgoczącą pod tym spokojnym tonem. -

Sądziś, że uda ci się go wcielić w życie?

170

Stride podał deser mamie, potem mnie i wujkowi, który wziął od niego talerzyk z ciastem i szczerze dołożył sobie kremu zrobionego według przepisu babci Havering.

- To zależy - odparł. - To zależy od wielu czynników. Przede wszystkim ludzie muszą zaakceptować ten pomysł. Kiedyś bardzo ucierpieli pod rządami Laceyów nowatorów i prawdopodobnie nie chcą powtarzać tamtych doświadczeń. Pan Megson powiedział mi, że wieśniacy nie zaczną dla nas pracować, zanim nie uwierzą, że przyszłość będzie lepsza i że można mieć do nas zaufanie. - Przerwał, by uśmiechnąć się do mnie i Richarda. Potem dodał łagodnym tonem: - Wszystko zależy od was. Ta posiadłość jest waszym dziedzictwem. Wy podejmiecie decyzję, czy będziecie tą ziemią zarządzać w dawny sposób, który jednemu pokoleniu przyniósł wiele bogactwa i zarazem wiele bólu, czy też zechcecie spróbować czegoś nowego.

Zerknęłam na Richarda. Miał spokojny wyraz twarzy, a nawet łagodnie się uśmiechał.

- Zgadzam się z tobą, ojczy. Myślę, że nie ma lepszego sposobu zarządzania majątkiem niż dzielenie dochodu między właścicieli i pracowników.

Wujek skinął głową i spojrzał na mnie.

- A ty, Julio?

- Zgadzam się - odparłam. Nie brzmiało to może tak entuzjastycznie jak słowa Richarda, jednak sama myśl o tym, że nie będę już się czuła winna wobec Acre i uwolnię się od odpowiedzialności za okrucieństwa Laceyów

i całej szlachty, była jak silny oczyszczający wiatr po deszczu. Nie potrafiłam im tego wyjaśnić, więc jeszcze raz powiedziałam tylko: - Zgadzam się.

- Jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek decyzje - łagodnie powiedział wujek. - Ale chciałbym, abyście oboje poszli do pana Megsona i powiedzieli mu, że popieracie mój projekt. Chciałbym też, żebyście dowiedzieli się, co on o tym sądzi. W ten sposób on będzie miał okazję was poznać, a wy dowiedziecie się, przed jakimi trudnościami staniecie podczas wprowadzania tego projektu w Acre. Nie jest to człowiek, który łatwo daje się przekonać, nie nabierzecie go też, rysując zbyt kolorowe wizje. Jest jednak prostolinijny i uczciwy. Opowiedzcie mu o naszej rozmowie i zobaczcie, jakie według niego są szanse powodzenia takiego planu.

171

- Pójdę z przyjemnością - powiedział Richard, potwierdzając tym samym, że jako chłopiec i przyszły dziedzic zamierza pracować dla dobra posiadłości.

- Julia również powinna pójść - przypomniał mu wuj.

- Tak - powiedziałam. - Zrobię to z chęcią.

- Nie widzę powodu, dla którego nie moglibyście pojechać do Acre jeszcze dziś wieczorem - odezwała się mama, bardzo dzielna w obliczu samotnej wyprawy jej dwojga dzieci do wsi, której wciąż jeszcze unikała.

- Możecie wziąć dwukólkę i konia od powozu.

Wujek uśmiechnął się.

- To prawda! - rzekł. - Pan Megson na pewno poczęstuje was herbatą, a jeśli się postaracie, zdążycie wrócić do domu, zanim się ściemni.

Zerknęłam na Richarda. Przez cały dzień chodził obrażony na mnie i nie miałam ochoty narzucać mu swego towarzystwa, jeśli nadal był zły.

Okazało się jednak, że wizja pomniejszenia stanu posiadania wyparła z jego pamięci wszystkie inne krzywdy.

Pobiegłam do pokoju po kapelusz, a on poszedł do stajni zawiadomić Jema, że bierzemy konia i nową dwukólkę. Do Acre jechaliśmy w różowych promieniach słońca widocznego nad wałem chmur. Z ulgą zauważyłam, że Richard siedzi swobodnie, pewnie trzyma lejce i najwyraźniej nie boi się powozić.

- Mam nadzieję, że Megson jest w domu - odezwał się.

- Założę się, że na nas czeka - powiedziałam przebiegle.

- Z pewnością on i wujek John długo dyskutowali i zastanawiali się nad tym, jakimi dziedzicami Wideacre będziemy my oboje.

Spojrzał na mnie z wielkim zaskoczeniem.

- Kto wie, czy nie masz racji. Przypuszczam, że Megson obwołał samego siebie sędzią. - Przerwał i po chwili dodał:

- Nie muszę ci chyba przypominać, że w Acre nie masz się pchać przede mnie. - Jego słowa nie brzmiały jak pytanie.

- Nie, nie musisz. Pamiętam o tym - rzekłam spokojnie. Zerknął na mnie z ukosa, ale nic nie powiedział. Jechaliśmy

w milczeniu, dwukółka toczyła się już po ulicy wsi. Na placyku obok chaty Denchów bawiły się ich dzieci, a Clara siedziała na ławce w blasku zachodzącego słońca i przyglądała im się. Na kolanach miała miskę z ziemniakami, obok stało wiaderko z wodą do ich płukania. Pomachałam do niej, a gdy Richard usłużnie zatrzymał powóz, Clara podeszła do nas dużymi krokami.

- Dzień dobry - powiedziała. Potem z uśmiechem zwróciła się do mnie: - Nareszcie jesteś damą w powozie, co, Julio?

- Jestem teraz tak dostojna, że rozmawiając z tobą, robię ci wielką łaskę - żartowałam, uśmiechając się do niej.

Wybuchnęła śmiechem, a potem wesoło odezwała się do Richarda:

- To wspaniały powóz, paniczu.

Skinął głową, lecz nic nie odpowiedział. Przyglądał jej się swymi jasnoniebieskimi oczami, zmarszczywszy brwi.

- Może pewnego dnia przewiozę cię nim - odezwał się wreszcie z wysiłkiem. Patrzył na nią bez swego zwykłego swobodnego uśmiechu.

Patrzył tak, jakby była przedmiotem, który można kupić na jarmarku.

- Dziękuję paniczowi - odparła lekko i odsunęła się od dwukółki. - Czy wybieracie się do Ralfa Megsona? - spytała mnie.

- Tak. Mieszka w chacie Tyacke'ów, prawda?

- Mhm - przytaknęła. - A Becky Miles prowadzi mu dom i sprzęta. Ralf spodziewa się waszej wizyty.

Kiwnęłam głową, Richard cmoknął na konia i wyruszyliśmy w stronę chaty, która znajdowała się na końcu wąskiej ścieżki, na lewo od głównej ulicy.

Richard zarzucił lejce na bramę ogrodu, a nasz koń zwiesił głowę. Nie było tam żywopłotu, który mógłby skubać, bo wszystkie liście wiele lat temu zerwano na paszę dla zwierząt, a nagie gałęzie zużyto później jako opał. Ziemia tu leżała odłogiem, podobnie jak we wszystkich innych ogrodach w Acre. Najpierw zebrano i zjedzono wszystkie rosnące w nich warzywa, potem grządki zostały do czysta wydziobane przez nieliczne

wychudzone kury, które jeszcze ocalały. Teraz w ogrodach był tylko szary pył albo - gdy padało - błoto.

Kiedy szliśmy wyłożoną płytami dróżką, trzęsłam się na samą myśl o tym, że zobaczę Ralfa. Czułam napięcie tak silne, że odbierałam je jako przerażenie. Drżącą dłonią zastukałam do drzwi. Słyszałam, że na piecu szumi czajnik, a jego ton nie był ani wyższy, ani bardziej melodyjny niż brzęczenie w mej głowie, które rozlegało się, bo byłam tak blisko Ralfa. Drzwi otworzyła nam jednak Becky Miles, która jak się wydawało, zdążyła się tu zadomowić jako kucharka, pokojówka i sprzątaczką.

173

Spojrzałam na nią ostro. Była dużą, ciężką wiejską dziewczyną. Miała masę jasnych włosów i olbrzymie bladobłękitne oczy. Ubóstwo jej rodziny zdawało się być wystarczającym wytłumaczeniem tego, że miała na sobie sukienkę z tak głęboko wyciętym stanikiem, iż widać było częściowo jej pełne piersi, a jej obręb kończył się ponad kostkami nóg. Zawsze dosyć ją lubiłam. Była jednym z tych dzieci, które stale włóczyły się za Clarą.

Podobał mi się jej pogodny sposób bycia, lubiłam patrzeć, gdy wybuchając śmiechem, odrzucała głowę do tyłu. Lubiałam jej słodki głos, szczególnie gdy podczas Bożego Narodzenia śpiewała kolędy. Dziś jednak wydawała mi się zbyt duża i zbyt ożywiona. Miałam wrażenie, że swą obecnością wypełniła niewielki pokój, i zastanawiałam się, czy Ralf Megson nie czuje się przytłoczony i czy nie zamierza jej odprawić.

Nie wyglądał na przytłoczonego, sprawiał raczej wrażenie, że dobrze się tu czuje. Chata Tyacke'ów, mimo że największa we wsi, miała tylko dwa pokoje na dole i trzy ubogie ciasne sypialnie na górze. Największe pomieszczenie na parterze, z wyłożoną ceglami podłogą, służyło jako

jadalnia, kuchnia i pokój gościnny jednocześnie. Wchodziło się do niego przez drzwi frontowe prosto z podwórza, a zarówno zimą, jak i latem było tu duszno i gorąco od ognia płonącego w piecu do gotowania potraw.

Na środku pokoju pysznił się przywieziony przez Ralfa wspaniały okrągły stół, który chwiał się na nierównej podłodze. Obok niego tyłem do drzwi stała ława z wysokim oparciem. U szczytu stołu, blisko pieca, stało rzeźbione krzesło gospodarza i trzy stołki dla gości. Z lewej strony były drzwi prowadzące do salonu, pomieszczenia używanego tylko na najbardziej uroczyste okazje. Kiedyś sąsiedzi przestępowali próg tego pokoju jedynie po pogrzebach albo ślubach, później, gdy ubóstwo stało się w Acre stylem życia i ludzie zapomnieli, że kiedykolwiek posiadali meble, salon przestał być używany i stał tak pusty jak stodoła na pszenicę w Wideacre. Stół i krzesła z salonu zostały sprzedane za grosze, kiedy rodzina zaczęła głodować, a ponieważ nigdy już nie wydostali się ze szponów nędzy, nie kupili sobie nowych.

Gdy zobaczyłam w tym miejscu Ralfa Megsona, uświadomiłam sobie, że nie należy on do mojej sfery. Był jednym z dzierżawców i mieszkał w chacie, w której było tylko pięć pokoi. Wiedziałam jednak, że ludność wsi uważała go za bogacza. Miał prawdziwe krzesła i stół. Jadał na porcelanie, a nie z drewnianych misek

174

i talerzy. Na jego stole leżał elegancki gładki obrus. Wreszcie, jeśli można tak nazwać niechlujną Becky Miles, miał służącą.

Nie był szlachcicem, skoro żył tutaj i tylko taką miał służbę, szybko jednak zauważyłam, że wujek nigdy nie mówił o nim inaczej niż „pan Megson”. Choć nie był szlachcicem i nie mógł nim zostać, roztaczał wokół

siebie jakąś szczególną aurę, która stawiała całe to dzielenie ludzi na sfery pod znakiem zapytania.

Na nasz widok wstał i przywitał nas tak pewnie, jakbyśmy byli mu równi. Wskazał nam stołki po obu stronach stołu i ponownie zajął swoje miejsce, nie pomyślawszy nawet, że może powinien je zaproponować mnie. Potem skinął na Becky, by podała herbatę, tak jakby ta, która nigdy w życiu nie widziała obrusa, mogła wiedzieć, co powinna robić.

O dziwo, poradziła sobie całkiem nieźle. Usiłowałam nie patrzeć na nią, ale gdy otworzyła szafkę i wysunęła szufladę ze sztucami, nie mogłam się powstrzymać od zerkania w tę stronę nie tylko dlatego, że chciałam wiedzieć, co ona robi, lecz także dlatego, że byłam ciekawa, co on tam ma. Miałam nadzieję, że Ralf nie zauważy mojego zaciekawienia. Jednakże gdy Becky zabręczała czymś za moimi plecami, obejrzałam się, a on dostrzegł to spojrzenie i lekko się uśmiechnął. Dobrze wiedział, że robię przegląd jego rzeczy, ale jego oczy spoglądały przyzwalająco.

Usiadłam na stołku, lekko wzdychając. Ralf zachowywał się bardzo towarzysko, podobnie jak ja, i było między nami jakieś porozumienie, jakiś prąd przepływający pod żywym strumieniem rozmowy. Czułam głupi zabobonny lęk, że on wie o wszystkim - o tym, że mi się śnił, że pragnęłam go, obejmowałam i kochałam. Sama myśl, że mógłby o tym wiedzieć, sprawiła, iż poczerwieniałam tak mocno, aż zapiekły mnie policzki, a do oczu napłynęły łzy. Spuściłam głowę i czułam, że płonę z zawstydzenia.

Kiedy zorientowałam się, że patrzy na mnie, posłałam mu krótkie spojrzenie.

Wiedział o czymś. Przeczuł coś jak bystre, wrażliwe zwierzę. Jednak

uśmiech, którym mnie obdarzył, był bardzo swobodny, a ja uznałam, że Ralf nie mógł odgadnąć mych myśli. Potem przypomniałam sobie, jak bardzo był niegdyś zakochany w Beatrice. Przyglądał mi się z czułym wyrazem twarzy, więc wyprostowałam się, odczekałam, aż znikną rumieńce, i odważyłam się spojrzeć mu prosto w oczy.

175

W życiu zdarzają się takie sytuacje, które nie wymagają słów. Ralf wiedział o tym jeszcze lepiej niż ja.

Popijałam herbatę i nawet nie drgnęłam, kiedy Becky zabręczała czajnikiem tuż za moimi plecami; później podsunęłam Richardowi kawałek ciasta, tak jakby nic innego mnie nie obchodziło.

Najpierw rozmawialiśmy o planach, które wujek chciał zrealizować w naszym gospodarstwie. Ralf zażyczył sobie, byśmy mu szczegółowo o wszystkim opowiedzieli.

Richard zaczął wyjaśniać obojętnym tonem:

- Pomysł ojca polega na tym, że każdy mieszkaniec wsi miałby uczestniczyć w podziale dochodów z ziemi, zamiast jedynie otrzymywać płacę. Wszystkie uzyskane z majątku pieniądze stanowiłyby wspólny fundusz, z którego kupowałoby się nasiona i wyposażenie. My właściciele dostawalibyśmy płacę, które by odzwierciedlały nasz wkład finansowy w posiadłość. Reszta funduszu miałaby zostać podzielona między wieśniaków w zależności od tego, ile każdy z nich włożył pracy.

- Zatem zamierzacie założyć pewnego rodzaju wspólnotę? - zapytał Ralf, a ja wiedziałam, że zna odpowiedź. W milczeniu obserwowałam jego twarz, gdy badawczo i oceniająco przyglądał się Richardowi. Oczy mojego kuzyna były przezroczyste jak woda. Można by pomyśleć, że jest

najbardziej gorliwym reformatorem.

Richard skinął głową i powiedział:

- W ten sposób zatarta zostanie różnica między panami i poddanymi.

Wszyscy razem pracujemy i dzielimy się dochodem tak w wypadku sukcesu, jak i porażki.

- To dobry plan - rzekł Ralf. Spojrzał uważnie na Richarda. - Bardzo wspaniałomyślny. A co na tym zyskują właściciele ziemscy, paniczu Richardzie?

- Bardzo mało - odparł szczerze. - To pomysł mojego taty, który chce przywrócić porządek w Acre. Chce wynagrodzić zło, które wyrządzono tym ludziom w przeszłości. Ten projekt jest korzystny dla wsi, bo pomaga biednym. - Przerwał, spojrzał Ralfowi w twarz, jakby sprawdzał, jakie wywarł na nim wrażenie. - Wydaje mi się, że najlepszy jest dawny sposób zarządzania, gdy Laceyowie decydowali o wszystkim, płacili ludziom sprawiedliwie, a tym, którzy znaleźli się w szczególnej potrzebie, dawali odpowiednie jałmużny.

176

- To znaczy, że pan wolałby dawny porządek? - spytał Ralf.

Richard spojrzał na niego oczami jaśniejącymi wyrachowaniem.

- Chcę być pewien, że Acre jest miejscem dobrym dla każdego. Chcę mieć pewność, że to co wybierzemy, pomoże nam zaprowadzić ład we wsi. Zarządzając tak, jak to było kiedyś, przynajmniej wiemy, na czym stoimy.

Ralf kiwnął głową, jakby się czegoś dowiedział.

- A pani, Julio?

- Zgadzam się z Richardem - powiedziała spokojnie, dotrzymując danej

mu obietnicy.

Ralf posłał mi lekki serdeczny uśmiech, który mówił, że wie on, iż kłamię, bo w głębi serca pragnę, by wieś wzięła ziemię w posiadanie. Jakies polano w kominku zsunęło się na dno paleniska i w górę uniosła się odrobina popiołu i dymu. Przez chwilę milczeliśmy, on patrzył na mnie, a ja uśmiechałam się do niego.

Richard poruszył się ze zniecierpliwieniem i czar prysnął.

- Co powiemy tacie? - zapytał. - Prosił, byśmy razem z panem przedyskutowali jego projekt. Mogę mu powiedzieć, że woli pan, żeby wszystko pozostało po staremu?

Ralf odsunął krzesło od stołu i ciężko podszedł do drzwi na swych drewnianych nogach. Wyjrzał na zewnątrz i powiedział:

- Posłuchajcie. Ten projekt jest wspaniały. Byłby wielkodusznym gestem ze strony każdego posiadacza ziemskiego, nawet zbankrutowanego.

Szanuję to. Proście jednak, aby wszyscy ludzie porzucili dzikie i wolne życie, które wiedli przez czternaście minionych lat. Prawda, że zimą głodowali, lecz latem pełno było zwierzyny, ryb i ptactwa. Jeśli chcieli, mogli pracować, mogli też kłusować lub łowić ryby, jeżeli tylko mieli na to ochotę. Chcecie, żeby tacy ludzie zabrali się do codziennej pracy.

I cóż za to oferujecie? Nie proponujecie nawet przyzwoitej zapłaty.

Obiecujecie im udział w dochodach, które przyniosą nie posiane jeszcze zboża. Jeżeli dochody będą małe, powiecie im, że najpierw trzeba kupić nasiona, potem opłacić was, a dopiero na końcu pracowników. Jeśli ziemia nie przyniesie dochodu... no cóż, zawsze możecie ją sprzedać. Więc sprzedacie ją jako czynne przedsiębiorstwo razem z ludźmi żądnymi pracy. A oni będą głodować przez następną zimę.

Wy - panowie, nic nie ryzykujecie. Jesteście właścicielami zaniedbanej posiadłości, której nie możecie ani sprzedać, ani rozwinąć.

177

Jeżeli wieś zaakceptuje ten projekt, to za darmo zyskacie ludzi do pracy. Gdyby nie udało się wypracować wystarczająco dużych dochodów, których wymaga ten projekt, to właśnie oni na tym ucierpią. Właściciele nie cierpią nigdy. Oni ustanawiają prawa i reguły. Oni decydują o świecie i chcą, by ludzie byli im wdzięczni za drobne akty miłosierdzia.

Ralf oparł się o drzwi i uśmiechnął do nas tak, jakbyśmy byli jakimiś czarującymi rozbójnikami.

- Wy nie dajecie żadnych gwarancji - rzekł. - Natomiast wieś daje wam te gwarancje. Wszyscy mieszkańcy Acre są tak biedni, że ani nie mogą sobie stąd pójść, ani się usamodzielnąć. A wy możecie robić, co chcecie.

Możecie przez kilka lat bawić się w radykałów, ale równie dobrze możecie sprzedać posiadłość pierwszemu klientowi, który wam się trafi, dzierżawcy, który będzie z nich zdierał skórę, spekulantowi czy jeszcze komuś innemu. Szlachta stoi ponad prawem - powiedział i przerwał.

Potem dodał: - Zawsze tak było.

Siedzieliśmy z Richardem kompletnie ogłuszeni. Nigdy nie patrzyliśmy w ten sposób na to, co wujek opowiadał nam od czasu, gdy wrócił z Indii.

Ralf Megson, który nie był szlachcicem, w jaskrawym świetle widział wszystkie wady projektu. Uznał go za następny podstęp właścicieli ziemskich, ukryty tym razem pod płaszczykiem sprawiedliwości i równości, za dobrze opakowaną spekulację. Wbiłam oczy w obrus i poczerwieniałam po same uszy, wstydząc się swej głupoty i tego, że nie dostrzegłam tak oczywistych argumentów przeciw projektowi. Było mi też

wstyd, że Ralf Megson uważa mnie za jedną z tych, którzy biorą to, czego nie zarobili, i korzystają z tego, czego nie wykonali.

Zostawił otwarte drzwi: blask zachodzącego słońca, który padał na ceglana podłogę, zamienił cząsteczki kurzu w małe gwiazdki szybujące ku nieskończoności. Ralf ciężko podszedł do stołu, przechodząc musnął mnie po szyi wierzchem dłoni i wiedziałam, że to dotknięcie oznacza przebaczenie.

- Powiedźcie doktorowi MacAndrew, że przemyślę jego projekt. To bardzo śmiały plan, a byłby naprawdę dobry, gdyby można było mieć zaufanie do właściciela ziemi. Nigdy jednak nie przekonacie Acre, by się do was przyłączyło, i nie dostaniecie mego poparcia, jeżeli nie dacie nam gwarancji. Jeżeli jednak wy oboje zaangażujecie się w tę sprawę, może się uda.

178

- Skoro radzi pan, by zostać przy starym stylu zarządzania, gdzie dziedzic jest właścicielem wszystkiego i dobrze płaci pracownikom, to wydaje mi się, że mój tata przyjmie pańską radę

- szybko powiedział Richard.

Ralf spojrzał na niego surowo.

- Tak pan sądzi? - zapytał i nie dodał już ani słowa.

- Musimy wracać do domu - odezwałam się po chwili.

- Dziękujemy za herbatę, panie Megson.

- Bardzo mi było przyjemnie - odparł uprzejmie. - Obydwoje musicie

znowu mnie odwiedzić. - Potem zwrócił się do Richarda: - Zdaje się, że

lubi pan polowania. Za kilka dni przyślą mi z Londynu mojego jastrzębia.

Będę szczęśliwy, mogąc zabrać pana ze sobą.

- Dziękuję, z chęcią! - rzekł Richard i po raz pierwszy tego popołudnia szczerze uśmiechnął się do Ralfa. Nie był to tym razem wyrachowany urok, którym mój kuzyn posługiwał się, odkąd mama i wuj zjednoczyli się, broniąc pana Megsona przed jego oskarżeniem.

Gospodarz domu odprowadził nas do bramy, a gdy Richard odwiązywał konia, pomógł mi wsiąść do dwukółki. Wyciągnęłam do niego rękę.

- Życzę pani miłego dnia - rzekł z tą żartobliwą kurtuazją, o której śniłam dziś rano. Skłonił swą dumną siwiejącą głowę i ucałował podaną mu dłoń. Pod dotykiem jego ust zadrżałam jak brzoza na wietrze. On zaś cofnął się na ścieżkę i pomachał nam ręką na pożegnanie.

ROZDZIAŁ Ósmy.

To, co opowiedzieliśmy o reakcji Ralfa Megsona i rozmowie z nim, sprawiło, że wujek siedział przy kolacji zdenerwowany, a zaraz po posiłku udał się do biblioteki, by przejrzeć opracowane przez siebie prowizoryczne rozkłady dzierżaw. Następnego dnia zażądał powozu, bo zamierzał pojechać do Chichester i zapytać prawników, co sądzą o kontrakcie, który obowiązywałby zarówno pracowników, jak i właścicieli ziemi.

Byłam właśnie w ogrodzie przed domem. Wyglądałam jak ideał młodej skromnej damy. Miałam na sobie białą sukienkę i chroniący twarz kapelusz słoneczny. Moje palce były jednak podejrzanie ubłocone, a gdy wujek pojawił się na ścieżce, nie zdołałam wystarczająco szybko ukryć małej łopatki.

- Co to? Ogrodnictwo? - spytał. Miał zgorszoną minę, lecz w jego głosie słychać było rozbawienie - Julia! Moja siostrzenica Julia! Co my z tobą zrobimy? Co twoja mama mówi o tym, że pracujesz w ogrodzie?

- Ona udaje, że nic o tym nie wie - odparłam zawstydzona. - Wujku,

wiem, że to niewłaściwe, ale ktoś musi to robić. Stride jest za stary, a wszystkie rośliny Jema zwiędły. Ktoś musiał się tym zająć. Wiesz przecież, jak mama kocha kwiaty. - Uderzyłam w tę strunę, która mogła go przekonać. - Ustaliliśmy więc z mamą, że mogę to robić pod warunkiem, że nie zobaczy mnie nikt z naszej sfery. I wszystko jest dobrze, ponieważ rano nikt tędy nie przejeżdża powozem, a ja nigdy nie zajmuję się tym po południu.

Wujek usiłował przybrać surową minę, ale wyraźnie nie mógł opanować wesołości i wybuchnął śmiechem.

180

- Panienko Julio! Ma pani ukryty romans z Naturą! - powiedział. - Ale skąd wiesz cokolwiek o ogrodnictwie?

- Po prostu wiem - odparłam wymijająco. - Wiedziałam, jakie są ulubione kwiaty mamy, i zawsze, gdy byłam jeszcze mała, zbierałam nasiona, aby jej zrobić prezent. Sadziłam je w małych doniczkach w swojej sypialni, a gdy podrosły, przenosiłam do ogrodu, żeby mama miała wokół siebie swe ulubione rośliny i nie umierała z tęsknoty za dworem.

Wujek pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Wspaniale to zrobiłaś. Ale kto ci powiedział, gdzie należy umieszczać rośliny i czy wolą one światło czy też cień?

Wzruszyłam ramionami. Nie potrafiłam tego wyjaśnić.

- Przypuszczam, że przyglądałam się im, gdy rosły i rozkwitały w starym ogrodzie - rzekłam, starając się to sobie przypomnieć. - Poza tym kiedy trzymałam w ręce jakąś cebulę albo garść nasion, czułam, gdzie chcą być posadzone, wiedziałam, czy wolą glebę wilgotną czy też suchą. Wiem, że to niemądre, ale wydaje mi się, że urodziłam się z wiedzą, jak uprawiać

rośliny.

Wujek popatrzył na mnie poważnie, rozbawienie natychmiast uleciało z jego twarzy.

- Zawsze ci się udawały? - spytał nagle. - Nie chorowały, nigdy nie wiedły niespodziewanie, gdy już sądziłaś, że się przyjęły?

- Nigdy - odparłam zaskoczona. - Tutaj jest bardzo dobra gleba. I odpowiedni klimat. Poza tym sadzę tylko te rośliny, które od dawna uprawiano w Wideacre i zawsze się tu udawały. - Zrobiłam kilka kroków w jego stronę i wyciągnęłam do niego brudną rękę. - Dlaczego tak patrzysz, wujku? Teraz, gdy jesteś w domu, przestanę to robić, jeżeli ci się to nie podoba. Będzie mi tego brakowało, ale przestanę.

Wujek potrząsnął głową, jakby chciał uporządkować zamęt w myślach.

- Nie - odrzekł. - To ja nie mam racji. Nieco mną wstrząsnęło to odkrycie, bo talentem do upraw bardzo przypominasz swoją ciotkę Beatrice. Kiedy jeszcze żyła, ludzie ze wsi opowiadali sobie, że ta jej niezwykła umiejętność to jakaś moc czarnoksiężka, ale nie musisz sobie tym zaprzętać głowy. Była to jedynie bardzo wartościowa cecha, a ty ją odziedziczyłaś. Przyszło mi do głowy, że skoro jesteś dobrą ogrodniczką, możesz również okazać się uzdolnioną farmerką. Mamy nauczyć Acre, jak mają sprawić,

181

by ziemia znowu rodziła, więc przydadzą nam się wszyscy, którzy się na tym znają. Czy chciałabyś pracować na polach, Julio? Oczywiście jeżeli mama się na to zgodzi. Zaparto mi dech.

- Wujku, będę zachwycona! - krzyknęłam. - Czy masz na myśli to, że będę pomagać podczas orki i zasiewów? Wujku Johnie! Będę tym

zachwycona!

Uśmiechnął się na widok mojej rozjaśnionej twarzy i pogłaskał mnie po policzku.

- Te dziewczyny od Laceyów - powiedział czule. - Wszystkie są zwariowane na tle ziemi. Zrobię co w mojej mocy, by zapłał tej jednej się nie zmarnował. Jeżeli mama pozwoli, to z radością będę się przyglądał, jak wykorzystujesz swój talent na polach i pomagasz im rozkwitać. Musisz tylko pamiętać, że ludzie są o wiele ważniejsi niż plony. Wieś Acre znaczy o wiele więcej niż bogactwo Wideacre.

Kiwałam głową, ale tylko częściowo rozumiałam, co mówił. - Nie zdołamy jednak niczego osiągnąć, jeśli nie uda mi się dojść do porozumienia z moim nieugiętym zarządcą - dodał chłodno i ruszył w stronę bramy ogrodu. - Można by pomyśleć, że to on mnie zatrudnił i wydaje mi polecenia, a nie odwrotnie. Pan Megson nie może zrozumieć, że wcale nie mam większej swobody niż robotnicy z Acre. Przede wszystkim muszę znaleźć jakiś sposób, by przekonać prawników, że nie zamierzam podstępnie pozbawić was - ciebie i Richarda - tej posiadłości. Zresztą prawdę mówiąc, ja was rzeczywiście oszukuję. Gdybyśmy zmusili wieśniaków do pracy, a potem sprzedali Wideacre jako czynne przedsiębiorstwo, zarobilibyście na tym dużo więcej.

Otworzyłam mu bramę i stałam przy niej, gdy szedł do powozu, obok którego czekał Jem. Słowa wujka brzmiały rozsądnie, a mój wielkopański umysł natychmiast zareagował na wizję wyższych dochodów dla właścicieli. Jednakże sen o Ralfie sprawił, że osiągnęłam harmonię z otoczeniem. Od wczorajszego poranka w altanie czułam, że powietrze

pieści me policzki, słońce mocniej niż zwykle grzeje mi twarz, a trawa na drodze jest bardziej delikatna i zielona niż kiedykolwiek przedtem.

Wspaniała bujna zieleń lasów Wideacre zapierała mi dech w piersiach, a zaokrąglone wzgórza ponad drzewami wyglądały jak prawdziwe góry.

Słowa wypowiedziane przez Ralfa w chacie, która była najlepszym domem w Acre, ale wyglądała jak rudera w porównaniu

182

z Dower House, nauczyły mnie, że jesteśmy bogaci dlatego, iż wieś jest

biedna. Obojętne jak przyjaźnie będziemy nastawieni do wieśniaków,

nieważne jak sprawiedliwie dzielić będziemy dochody, i tak to my -

szlachta - należymy do lepszego świata i możemy żyć tak, jak chcemy.

Byliśmy bogaci i wolni, a oni nigdy takimi nie będą. Nie zapraszaliśmy ich też do siebie na herbatę.

- Wydaje mi się, że nie chodzi tylko o własność ziemi - odezwałam się do wujka. - Chodzi o władzę. Możemy im obiecać, co chcemy, a potem, jeśli przyjdzie nam na to ochota, wyjechać z Acre choćby jutro, sprzedając ich pierwszemu lepszemu kupcowi. Oni o tym wiedzą.

Uśmiechnął się ironicznie.

- Jesteś równie zepsuta jak Acre - rzekł. - Wieśniacy uważają, że możni nie są zdolni szanować ich praw. Nie wierzą, że dostaną jakiś podarek, nawet gdy go już zobaczą. Dlatego kłócą się i żądają gwarancji, podczas gdy my z mamą, ty i Richard nie chcemy niczego prócz ładu w majątku.

Uśmiechnął się do mnie jak człowiek, który dobrze wie, co mówi, a ja odwzajemniłam jego uśmiech. Lubiłam wujka Johna i wiedziałam, czemu mama go kocha. Choć nie czuł się związany z ziemią i nie pochodził z Wideacre, był człowiekiem prawdziwie honorowym. Nie wyobrażał sobie,

by można było nie spłacić długu. Uważał, że ma dług wobec Acre, i zamierzał pracować dopóty, dopóki go nie spłaci. Był człowiekiem pozbawionym fałszu, takim, któremu można było zaufać.

- Nikt nie wątpi w ciebie, wujku - powiedziałam. - Oni jedynie wątpią w świat, w którym żyjemy.

Uśmiechnął się.

- Życzę ci przyjemnego dnia - rzekłam i dodałam: - Nie przemęczaj się. - Zabrzmiało to prawie jak błogosławieństwo.

Zasalutował mi żartobliwie i wsiadł do powozu. Jem podniósł schodki, zamknął drzwi i wspiął się na miejsce dla woźnicy. Potem strzelił z bata na pożegnanie, a gniade konie ruszyły z kopyta. Były wypoczęte i szczęśliwe, że znajdują się na powietrzu w blasku letniego słońca, więc rączo pędziły przed siebie i już po chwili powóz zniknął w obłoku białego pyłu.

Odwrociłam się w stronę domu, ale nikt tam nie machał ręką z okna.

Mama dostała nowe wzory ozdób do firanek, a poranną pocztą przyszły też informacje o domach na sprzedaż w Bath. Zabrała wszystko do salonu, by tam przejrzeć, i nie pojawiła się

183

w oknie, aby pozdrowić odjeżdżającego wujka. Richard dawno już wyszedł na lekcje.

Nikt na mnie nie patrzył. Byłam sama.

Położyłam swój koszyk z nasionami w cieniu kwitnącego krzewu. Jakaś pszczoła brzęczała wokół purpurowych pączków w nadziei, że zdobędzie pyłek i nektar. Dźwięk ten kojarzył mi się z pełnią lata. Czułam, że mam słabe i wiotkie mięśnie, a moja skóra sprawiała wrażenie topniejącej na słońcu śmietanki. Chciałam znaleźć się w jakimś miejscu, gdzie

mogłabym się położyć w cieniu i marzyć.

Tak samo jak wtedy, ruszyłam drogą przed siebie. Tym razem jednak nie chciałam pójść do dworu. Nie wzywał mnie w tamtym kierunku żaden śpiew, trochę też obawiałam się, że może tam na mnie czekać sen.

Chciałam zobaczyć Fenny. Chciałam się położyć na brzegu rzeki i słuchać, jak szumi, przelewając się po kamieniach. Chciałam patrzeć, jak płynie, a słońce migocze i tańczy na jej powierzchni. Chciałam leżeć w cieniu, widzieć, jak słońce wędruje po niebie, i marzyć o mężczyźnie, który mnie posiadał.

Skręcałam w wąską ścieżkę prowadzącą do stawu (w dzieciństwie łowiliśmy tam ryby) ukrytego wśród wysokich drzew, ciemnego i tajemniczego. Gęsta roślinność utrudniała mi przejście, jeżyny czepiały się sukienki. Dopiero w głębi lasu mogłam się poruszać swobodnie.

Wysoko na drzewach turkawki ćwierkały o zalotach i miłości, na niższych gałęziach drozdy śpiewały piękną melodyjną pieśń, która rozbrzmiewała bez ustanku, jakby ktoś wygrywał na flecie bez melodii i bez nut. Brązowe poszycie leśne pod stopami było usiane zawilcami, które tworzyły biały dywan. Pod każdym potężnym szarym pniem drzewa sterczało mnóstwo szpiczastych zielonych listków, które obiecywały bogaty plon dzwoneczków. Ziemia, mimo że zapuszczona i zaniedbana, była pełna życia. Lasy, których przez czternaście lat nie karczowano, rozkwitały wspaniałą roślinnością. Dotknęłam jednego z buków i poczułam pod dłonią jego ciepłą korę.

Weszłam na ścieżkę wiodącą prosto do stawu. Staw należał tylko do mnie i Richarda. Nikt inny tam nie bywał. Tym razem był tam Ralf. Oczywiście był tam Ralf.

Nogi same mnie tu przyniosły, bym mogła znaleźć się przy nim.

Bezwiednie szukałam go od chwili, gdy opuściłam nasz ogród. Ralf był tutaj.

Siedział na ziemi oparty o olbrzymią jodłę, wyższą od innych drzew, która wyglądała jak potężna wysoka kolumna sięgająca aż do błękitnego nieba.

Kończyła się wyżej niż grube splątane gałęzie stanowiące dach lasu, sufit intymnego, ukrytego w cieniu świata. Ralf miał na głowie filcowy

kapelusz; naciągnął go głęboko na oczy jak wieśniak. Zatrzymałam się i patrzyłam na niego w milczeniu. Wydawało mi się, że śpi. Odłożył na bok swe drewniane nogi i jego ciało, które kończyło się na kolanach, było teraz dziwnie krótkie. Wyglądał tak, jakby dla żartów zakopał się w liściach.

Uderzyło mnie, że wcale nie jest młodszy od wujka Johna, którego właśnie wyprawiłam w drogę, przestrzegając z niepokojem, żeby się nie przemęczał. John jednak był wyczerpany tęsknotą i nadmiarem obowiązków, podczas gdy Ralf - mimo bólu, jaki znosił, i niebezpieczeństw, które przetrwał - nigdy w życiu nie robił niczego, na co nie miał ochoty.

Zsunął kapelusz na tył głowy i zobaczyłam, że ma otwarte oczy.

- Panienska Julia - rzekł sennie. - Witam panią.

- Dzień dobry panu - odezwałam się równie ceremonialnie, lecz głos mi zadrżał i zdradził mnie.

Zerknął na mnie ciepło, z uśmiechem.

- Proszę usiąść - rzekł tak uprzejmie, jakbyśmy się znajdowali na dworze królewskim. - Ziemia nie jest wilgotna.

Zgarnęłam swą jasną spódnicę i usiadłam obok niego, wprowadzie w

zasięgu ręki, ale nie nazbyt blisko. Czułam, że mierzy swymi doświadczonymi oczyma odległość między nami.

- Kłusuję tu - powiedział. - Chce pani zobaczyć, jak będę łapał pstrągi ręką? Czy ktoś nauczył was tego, kiedy byliście dziećmi?

- Nie. Nikogo takiego nie było. Byliśmy tylko z mamą i naturalnie ze służącymi.

- A nieopodal znajdowała się wioska pełna kłusowników, którzy mogli wam tę sztukę pokazać. Oni jednak oczywiście się nie liczyli - rzekł Ralf.

- Kiedy byliśmy dziećmi, bardzo rzadko chodziliśmy do wsi -
powiedziałam prawie przepaszająco. - Dopiero gdy zaprzyjaźniłam
185

się z Clarą, zaczęłam poznawać mieszkańców Acre. Moja mama zjawia się we wsi jedynie w wyjątkowych sytuacjach, oczywiście oprócz niedzielnych wypraw do kościoła.

- Z powodu pożaru? - spytał tak, jakby było to jakieś wydarzenie historyczne pozbawione większego znaczenia.

- Tak. Po tym wszystkim zaczęła się bać wieśniaków. Skinął głową i zrobił dyplomatyczną minę.

- Niepotrzebnie. Wszyscy mieszkańcy Acre szanują pani matkę. Wiedzą, ile próbowała dla nich zrobić. Podpalając dwór, chcieli złamać potęgę Beatrice i Harry'ego Laceyów. Nie był to atak na panią Celię i pana Johna.

- Może po prostu trudno jej jest odróżnić te dwie rzeczy - powiedziałam zjadliwie. - Wydarzenia tamtej nocy uczyniły ją wdową. Została w zrujnowanej posiadłości i musiała samotnie wychowywać dwoje dzieci. Jeśli wieśniacy nie mieli zamiaru jej skrzywdzić, to doprawdy nieźle im się to udało.

Ralf uśmiechnął się wcale nie speszony moim nagle ostrym tonem.

- Ach, ci możni! - rzekł z rozbawieniem. - Oto zabrzmiał głos wielkiej pani!

Odwrócił się i poczołgał nad rzekę. Byłam gotowa odwołać wszystko, co przed chwilą powiedziałam, lecz on najwyraźniej zdążył już o tym zapomnieć.

- Musimy zachowywać się tak, aby pstrąg myślał, że nasza ręka jest częścią jego otoczenia - mówił, pochylając się nad taflą wody. - One mają bardzo wrażliwą skórę, a poza tym chyba czują zapach wody. Zanim zatem rozpoczniemy polowanie, musimy przez chwilę potrzymać rękę w wodzie. Czysta i chłodna dłoń to najlepsza przynęta.

Ściągnął kurtkę i rozpostarł ją na ziemi, bym miała się na czym położyć. Potem podwinął rękawy, starannie umył ręce wodą i rozmazał na nich trochę mułu. Podciągnęłam koronkowe mankiety aż nad łokcie i zrobiłam dokładnie to samo co on. Zanurzyliśmy dłonie w rzece i leżeliśmy w milczeniu, patrząc przed siebie.

Po kilku chwilach wygładziły się wzburzone przez nas fale, a ja zdałam sobie sprawę, że wpatruję się w odbicie nas dwojga. Ciemna powierzchnia wody była łaskawa dla Ralfa, sprawiła bowiem, że przestał wyglądać jak człowiek, który mógłby być moim ojcem. Woda ukryła zmarszczki goryczy dookoła ust i wygładziła głębokie równoległe bruzdy między brwiami. Jego twarz w migotliwym

186

blasku słońca prześwitującego przez liście drzew nie była ani stara, ani młoda. Wyglądał na człowieka bez wieku, wiecznego jak drzewa wokół

nas i ziemia, z której wyrastały.

Przypomniałam sobie legendę o Mścicielu, jednym z tajemniczych bogów ziemi, który zabrał Beatrice. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że znajduję się w najciemniejszym zakątku Wideacre sam na sam z mordercą. Zadrżałam i poczułam, jak po plecach przechodzą mi ciarki.

Prawie niedostrzegalnym ruchem odwrócił głowę i popatrzył na mnie przeciągle.

- Spójrz na siebie - szepnął, a ja miałam wrażenie, że odgadł, o czym myślałam.

Znowu zwróciłam oczy ku wodnej tafli. Kiedy zobaczyłam swe odbicie, od razu zrozumiałam, dlaczego wujek pobladł na mój widok i czemu Ralf tak mi się przyglądał wtedy we wsi.

Nigdy przedtem nie widziałam portretu Beatrice. Nigdy nie opisywano mi, jak wyglądała. Wiedziałam tylko, że miała kasztanowe włosy i zielone oczy. Lecz jej twarz ukazała mi się w zwierciadle snu, a jej uśmiech oglądałam w swoim lustrze. Ciemna toń odebrała barwy mej twarzy i nadała tajemniczy odcień jasnym włosom i szarym oczom. Byłam podobna do Beatrice, wyglądałam jak jej córka. Nie miałam jedynie skośnych oczu i stanowczego podbródka kobiety zarządzającej majątkiem. Jednakże gdyby ktoś zobaczył odbicie mej twarzy w wodzie tuż obok odbicia kochanka Beatrice, nie byłby w stanie powiedzieć, czy to jestem ja czy też ona.

- Nie powinnaś się mnie obawiać - rzekł do mego wizerunku, a jego twarz złagodniała. - Nie zapomniałem, że ona nie żyje. Nie zapomniałem, że ty jesteś zupełnie inną śliczną dziewczyną, mimo iż tak bardzo ją przypominasz. Wreszcie - nie jestem człowiekiem, który daje się osaczać

duchom.

Milczeliśmy przez kilka minut.

- Masz już zimne ręce? - zapytał, a ja w odpowiedzi kiwnęłam głową. - Teraz przesun je w głąb, nie wzburzając wody i nie robiąc fali. Wyprostuj palce, niech dłonie upodobnią się do ryb.

Wysunął ramiona, potem przyciągnął je do brzegu i szukał czegoś pod wodą czubkami palców.

- Mam go - rzekł ze spokojną satysfakcją. - Nie ruszaj się teraz.

187

Posłusznie zamarłam i patrzyłam na jego twarz pociemniałą ze skupienia.

- Dotykasz jego brzucha - powiedział, a słowa te zabrzmiały cicho jak oddech. - Delikatnie, bardzo delikatnie przesuwasz palcem po jego brzuchu. On to lubi. Robi się senny, rozmarzony i otępiały. Później, gdy poczujesz, że staje się ciężki i sam wchodzi ci do ręki, złap go dwoma palcami przy skrzelach i wyciągnij z wody.

Wciąż jeszcze mówił, gdy nagle poderwał rękę do góry i wyrzucił na brzeg pomiędzy nas srebrną śliską rybę. Cofnęłam się jak oparzona, a on wybuchnął śmiechem na widok mojej miny. Później podniósł z brzegu jakiś kamień i uderzył nim w głowę pstrąga. Zrobił to spokojnie i precyzyjnie; ryba znieruchomiała, tylko wzdłuż jej kręgosłupa przebiegły jeszcze drgawki.

- On żyje - odezwałam się niespokojnie.

- Nie - łagodnie odparł Ralf. - To są skurcze odruchowe. Ten pstrąg jest całkiem martwy.

Z przestraczem przyglądałam się delikatnym cętkowanym łuskom.

- Następnego sama złowisz - obiecał. - Powinienem był ci pozwolić złapać tę rybę, lecz tak dawno już nie kłusowałem, że nie mogłem oprzeć się pokusie, gdy poczułem, że pstrąg chowa się pod nasypem.

Uśmiechnęłam się, mimo że nic z tego nie rozumiałam.

- Chciałabyś teraz sama popробować? - zachęcił mnie. - A może musisz już iść do domu?

- O trzeciej muszę być na obiedzie.

Położył się na plecach i zmrużywszy oczy, przyglądał się słońcu prześwitującemu przez splątane gałęzie. Potem oświadczył:

- Masz zatem pół godziny.

- Wydaje mi się, że wujek i tak się spóźni - powiedziałam wolno. -

Pojechał do Chichester, by znowu spotkać się z prawnikami. Wie pan, on rzeczywiście pragnie, żeby wieś przejęła nasze gospodarstwo.

- No tak, wiem o tym. Martwię się jedynie o to, co przyniesie przyszłość.

- Myślałam, że będzie pan zadowolony - odezwałam się nieśmiało. -

Sądziłam, że uzna pan ten plan za wielką szansę dla Acre. Jest to nie tylko szansa wydobycia się z nędzy, ale również możliwość uwolnienia się raz na zawsze od władzy dziedziców.

188

Posłał mi lekki uśmieszek.

- Problem polega na tym, że tego się nie da zrobić, prawda?

- rzekł łagodnie. - Acre nie jest wyspą. Mężczyźni i kobiety wyjeżdżają

stąd, aby zarobić pieniądze, a potem znowu wracają. Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby ich przekonać, iż powinni wpłacać swe zarobki na jakiś wspólny fundusz. Gdyby się tak jednak stało, najlepsi i najzdolniejsi młodzi ludzie opuściliby wieś i znaleźli pracę tam, gdzie nie tylko dobrze zarobią, ale i będą mogli zatrzymać swe pieniądze dla siebie. Jak widać, to szlachta...

- Przerwał.

- Przecież nie wszyscy są źli - powiedziałam. Znowu się do mnie uśmiechnął.

- Nie. Nawet najgorsi z nich są być może tylko sympatycznymi gałganami. Mają jednak władzę. Nie mam żadnych wątpliwości, że gdyby w Acre dobrze się wiodło, skorzystaliby ze swej potęgi przeciwko wsi. Znaleźliby jakiś przepis, który mówiłby, że jest to nielegalne. A gdyby nie było takiego przepisu, sami by go wydali. Zaprowadzenie porządku na jednym niewielkim obszarze nie zmieni całego kraju.

- Ale może zapoczątkować zmiany - powiedziałam z przekonaniem i odwróciłam się. Leżałam teraz na brzuchu, podpierając brodę dłońmi, a nasze głowy były blisko siebie. - Gdyby udało nam się tutaj, zachęciłibyśmy innych ludzi, by spróbowali tego gdzie indziej.

- To prawda. Nawet gdyby nasze gospodarstwo funkcjonowało dobrze tylko przez krótki czas, wiedzielibyśmy, żeśmy przynajmniej próbowali i mogliśmy się zastanawiać, czemu nam się nie udało. Na pewno byłaby to dobra lekcja dla ludzi, którzy pełni nadziei przyjdą po nas ze swymi ideałami.

Westchnął ciężko.

- Jestem rozdarty. W głębi serca czuję, że to się nie uda, bo sukces zależy od kaprysu dziedzica. Dopóki wieśniacy nie wykupią ziemi i nie staną się jej prawnymi właścicielami, dopóty od woli dziedzica zależy powodzenie wszelkich planów. W tej sytuacji Laceyowie nadal niepodzielnie władają wsią. A ja nie mogę ufać nikomu, kto ma taką władzę. Nadużywanie władzy jest równie naturalne jak oddychanie. Ta prawidłowość dotyczy każdego mężczyzny i każdej kobiety. Jeśli ktoś jest wychowywany w atmosferze panowania nad innymi, wśród ludzi, którzy są do tego przyzwyczajeni, i w kraju, który pozwala mu - mało tego, nawet

189

zachęca - aby posiadanej przewagi nadużywać, to jest zepsuty! Nic na to nie można poradzić!

- Sądzi pan, że jestem zepsuta? - zapytałam słabym głosem. Ralf patrzył na gałęzie nad naszymi głowami. Usłyszawszy to pytanie, odwrócił się i spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Oczywiście - rzekł, jakby oznajmiał jakiś powszechnie znany fakt. - Nie mówię tego, by cię zranić. Jednak jesteś przecież jedną z możliwych i przyzwyczałaś się panować nad biedniejszymi. Wyobraźmy sobie, że mieszkasz we dworze, masz dziecko, o które musisz się troszczyć, i założmy, że kilka razy nie udały się plony i zabrakło ci pieniędzy. Myślę, że zrobiłabyś to, co każdy - zaczęłabyś się rozglądać za sposobem ich zdobycia. Wtedy inaczej patrzyłabyś na Acre i ludzi pobierających część zysków, które uważasz za swoje, bo pochodzą z ziemi, która od wielu pokoleń należała do twojej rodziny. Nie uważam, że jesteś zła, ale też nie myślę, byś była święta. John ma bardzo idealistyczne poglądy na to, co ludzie mogą i czego nie mogą robić. Ale nawet jemu bym nie zaufał,

gdybym wiedział, że stracił swój majątek, jest biedny i niepewny jutra.

- Więc nie zgadza się pan na ten projekt? - spytałam. Było mi okropnie przykro. Myślałam o wujku, który miał takie wspaniałe plany i tyle chciał zrobić w Acre. Było mi przykro ze względu na wieś, która nie stanie się miejscem, gdzie przełamana zostanie niedobra tradycja okrucieństwa wobec biednych. Niepokoiliam się również o samą siebie, bo wiedziałam, że jeśli Ralf Megson nie podejmie się zarządzania Wideacre, to mama i wujek będą nalegali, aby sprzedać majątek.

Usiadł i roześmiał się, lecz jego śmiech był całkowicie pozbawiony wesołości.

- Zgadzam się - odparł. - Skoro zniszczyłem potęgę Laceyów, mam teraz obowiązek zrobić tutaj coś dobrego. Zawsze wiedziałem, że łatwiej jest niszczyć niż budować, a wygląda na to, iż dostanę kolejną twardą lekcję tej wiedzy. Podjęmę się tego zadania. A jeśli poniosę klęskę, jeśli my poniesiemy klęskę, wtedy będę mógł z przyjemnością powiedzieć, że miałem rację.

Usiadłam, zarzuciłam mu ręce na szyję i uściskałam go z radości.

- Tak, tak! - zawołałam. - Ale na pewno nie poniesiemy porażki! Uważa pan, że wszyscy możni są źli. Jednak jestem pewna, że Richard dotrzyma umowy z Acre, ja również, a poza tym

190

będzie tu wujek John. A jeśli pan będzie wszystkim zarządzał, na pewno odniesiemy sukces.

Uśmiechnął się, widząc mój entuzjazm, i otoczył mnie ramieniem.

Jednakże jego twarz ciągle wyrażała skupienie.

- Nie mam innego wyjścia - rzekł - choć wydaje mi się, że znowu prowadzę tych ludzi prosto w mrok.

Podobny do błękitnej iskry zimorodek wystrzelił w górę znad strumyczka łączącego rzekę i staw i natychmiast zanurkował w jamie na brzegu. Nie ruszaliśmy się, więc przez chwilę nas nie zauważył, mimo że siedział niedaleko i wlepił w nas swe ciemne błyszczące oczka. Potem opuścił głowę i znowu wyruszył w dół strumienia. Leciał tak blisko wody, że na tafli widać było turkusowe odbicie sylwetki ptaka.

Ralf patrzył na niego zamarły w bezruchu, bo nie chciał go płoszyć. Ja też znieruchomiałam, lecz nie dlatego, bym martwiła się o rzeczno ptaszka. Przez cienki muślin sukienki czułam na plecach ciepłą dłoń Ralfa, obejmowałam go ramieniem i dotykałam boki. Przedtem objęłam go bezmyślnie w nagłym porywie radości, teraz uświadomiłam sobie, że jesteśmy blisko przytuleni. Mając ciągle w pamięci tamten sen i rozkosz, nie potrafiłam się przemóc i odsunąć od niego, choć wiedziałam, że muszę to zrobić.

Ralf opuścił rękę, lekko zadrżał i zerknął na niebo.

- Musisz już iść - powiedział. - Chyba nie chcesz, żeby zaczęli się o ciebie martwić w domu. Chciałabyś wziąć tego pstrąga?

- Pan go złapał - powiedziałam - więc będzie sprawiedliwie, jeśli pan go zatrzyma.

- Złapałem go w stawie Laceyów, na ich ziemi i pod ich niebem - odparł. - Ale bardzo się cieszę, że upolowałem sobie obiad. Dziękuję.

Ostrożnie owinał rybę w kilka liści i wetknął ją sobie do kieszeni kurtki.

Gdy wstawałam, poczułam, że drżą mi kolana, a że bardzo nie chciałam, by to zauważył, zaczerwieniłam się po same uszy. Miał tyle lat, że śmiało

mógłby być moim ojcem, w dodatku był prostym człowiekiem, a ja przed chwilą objęłam go ramionami i nie miałam dość rozsądku, aby je natychmiast cofnąć.

Odsunęłam się nieco, gdy wkładał swe drewniane nogi. Najpierw odwinął spodnie i delikatnie je przesunął po obolałych kikutach, potem wsunął je w drewniane protezy. Skrzywił się, a na czole pojawiły mu się kropelki potu.

191

- Czy to bardzo boli? - zapytałam. To, co niechcący zauważyłam, mówiło mi, że nogi palą go jak polewane wrzącą smołą. Stare blizny ciągle były czerwone od codziennego drażnienia ich protezami.

- Diabelnie - odparł ze spokojem. - Mam jednak szczęście, że w ogóle żyję.

Chciałam go zapytać, jak to się stało, lecz jakiś wewnętrzny głos ostrzegł mnie, bym zamilkła. Stałam więc i patrzyłam, jak podnosi się, opierając plecy o pień drzewa. Nie było to łatwe. Kiedy wreszcie się wyprostował, miał twarz skurzoną bólem.

- A teraz możesz mi przyprowadzić konia. - Jego słowa zabrzmiały raczej jak pozwolenie niż prośba o pomoc.

Odwiązałam klacz, którą wypożyczył sobie ze stadniny w Midhurst, przyprowadziłam ją i zakłopotana stanęłam u jej głowy. Nie mogłam patrzeć, jak na nią wsiada. Klacz nie była wysoka - nawet ja zdołałabym na nią wskoczyć, lecz miałam przecież zdrowe stopy, kostki i kolana.

Trzymałam ją przy pysku i czekałam.

Ralf chwycił łęk siodła i podciągnął się tak wysoko, aż zrównał się z grzbietem konia. Ciągle balansując na rękach, uniósł wysoko nogi i jedną z nich przerzucił na drugą stronę. Opadł na siodło i uśmiechnął się do mnie

ze słodyczą.

- Nieźle sobie radzisz z tym koniem - rzekł, zauważywszy, że stoję blisko łba klaczy. - We wsi mówili, że jeździsz jak Beatrice.

Wzruszyłam ramionami i posmutniałam słysząc, że znowu porównuje się mnie z tą czarownicą z Wideacre.

- Dziwię się, że nie masz własnego konia - dodał.

- Wujek John chciał nam kupić konie - jednego Richardowi, drugiego mnie - wyjaśniłam, lecz nie potrafiłam opanować tęsknej nuty, która zabrzmiała w moim głosie. - Na jarmarku nie było jednak żadnych odpowiednich zwierząt, więc odłożył te plany, na razie.

Zrobił śmieszny minę, taką jaką próbuje się rozbawić płaczące dziecko.

- Zobaczę, co się da zrobić - powiedział, a ta jego niby-obietnica była więcej warta niż umowa podpisana krwią przez każdego innego człowieka.

- W każdym razie dziękuję za pstrąga, panno Lacey - rzekł, drażniąc się ze mną tym tytułem.

192

Podeszłam do boku konia, udając, że chcę go poklepać po szyi. Prawdę powiedziawszy, chciałam jedynie znaleźć się blisko Ralfa. Gdy dotknęłam klaczy, on złapał mnie za rękę, nisko schylił głowę i tak delikatnie pocałował mi dłoń, iż miałam wrażenie, że musnęło ją skrzydło ptaka.

- Życzę ci miłego dnia - powiedział ciepło, niemal czule. - Miłego dnia.

Zawrócił konia i odjechał. Wielobarwna ściana lasu skryła go natychmiast. Słyszałam go jeszcze, ale nie widziałam postaci jadącej dróżką, którą - jak sądziłam - znaleźliśmy tylko my z Richardem. Przez chwilę w zamyśleniu przyglądałam się grze światła i cieni na powierzchni stawu, potem bardzo dokładnie otrzepałam sukienkę, zawiązałam wstążki kapelusza i

skierowałam się z powrotem do domu.

Nie czułam się jednak szczęśliwa. Ralf ze swymi chłodnymi od rzecznej wody dłońmi i świeżym pstrągiem w kieszeni pewnie był spokojny. Był przecież prostym, przeraźliwie prostym człowiekiem. Nie przeszkadzało mu to, że był kochankiem Beatrice i zarazem jej mordercą, cieszyły go moje spojrzenia i uśmiechał się, widząc, jak się do niego przysuwam. Natomiast ja, mimo że będąc z nim, czułam jedynie radość, zaczęłam się denerwować.

Wrócił ten dawny niepokój ze snu. Cudowny szum lasu tym razem brzmiał jak ostrzeżenie. Nie potrafiłam żyć w dwóch światach naraz. Nie mogłam być taką córką, jakiej pragnęła mama, a jednocześnie zamieniać się w szaloną, namiętą i beztroską dziewczynę z lasów Wideacre. Nie mogłam być i szlachcianką, i dziewczyną obejmującą zwykłego pracownika z majątku. Nie mogłam być w pełni sobą i grzeczną panią z dworu. Wędrowałam do domu, z gniewem spoglądając na jaskrawe słońce. Nić pożądania, która jak kawałek złotej przędzy pociąganej przez wprawna prądkę przywiodła mnie tu w głąb lasu, zerwała się teraz i poplątała. Nie wydawała się już złota, wyglądała na pozłacaną. Pozłota miała brudny kolor, a nić była skłębiona i brzydka.

Po obiedzie wrócił z Chichester wujek. Był bardzo wyczerpany, choć uśmiechnięty.

- Chyba udało mi się osiągnąć kompromis - oznajmił.

- Nie teraz - stanowczo odparła mama. - Teraz musisz odpocząć.

193

Zaśmiał się, słysząc jej rozkazujący ton, ale od razu ciężko ruszył na górę.

- Przed kolacją chciałbym się spotkać w bibliotece z panem Megsonem - zapowiedział Richardowi, który razem ze mną stał w korytarzu i przyglądał się, jak ojciec wolno wspina się na schody, trzymając się poręczy tak mocno, że aż pobiełały mu kostki palców.

- Richard pójdzie go zawiadomić - odezwała się mama. - Tylko powiedz mu, że ma przyjść nie później niż o dziewiątej, i uprzedź go, że John nie może mu poświęcić całego wieczoru.

- On na pewno doskonale wie, iż jestem dziecięciem, które należy utulić do snu przed jedenastą - wtrącił wujek, zerkając na nią wesoło. - Powiedz mu też, że jeśli ma jakieś wątpliwości co do mojej osoby, musi się skonsultować z doktor Celią.

Mama zachichotała, lecz nie zwalniając uścisku na jego ramieniu, zaprowadziła go na górę. Wujek nie protestował. Richard patrzył na nich z kwaśną miną.

- Masz ochotę pójść ze mną? - spytał.

Potrząsnęłam głową. Szaleństwo i rozmarzenie opuściły mnie. Chciałam być dziewczyną szykującą herbatę na podwieczorek, młodą panią domu szyjącą coś w salonie. Sadzonki tak niedbale porzucone w ogrodzie pewnie już zwiędły, lecz być może odżyją, jeśli umieszczę je w chłodnym miejscu i skropię wodą. Miałam ochotę usiąść w pokoju i paplać z mamą. Nagle poczułam niechęć do słońca, które tak jasno świeciło za oknem, do wzgórz porośniętych pachnącą słodko zielenią i do upału letniego dnia.

- Nie - odparłam. - Mama chce, żebym była w domu, więc zostanę.

Rzucił mi krótkie badawcze spojrzenie.

- To całkiem niepodobne do ciebie - skomentował. - Niepodobne do ciebie, że nie chcesz ze mną iść do Acre.

- Nie chcę - powiedziałam sennie.

Byłam tak zmęczona, że nie obchodziła mnie nuta rozżalenia w jego głosie. Nie potrafił sobie wyobrazić, że mogę go zlekceważyć. Nawet gdybym to uczyniła, musiałabym mu to szybko zrekompensować. A ja po prostu czułam, że nie mam siły ponownie się mierzyć z zakurzoną, skapaną w blasku słońca drogą do wsi. Nie chciałam też spotkać Ralfa w tej ciasnej chacie, gdzie obsługiwała nas Becky Miles, a Richard się nam przyglądał.

194

- Dzisiaj po południu zostanę w domu - powtórzyłam. Miałam nadzieję, że salon okaże się azylem, a obecność mamy uchroni mnie przed Beatrice i przed rozkoszą, której doznałam, kiedy wcielona w swoją ciotkę spoczywałam w ramionach Ralfa.

- Dobrze. Skoro nagle zapalałaś miłością do haftowania, nie będę ci tego odradzał. Zostanę u niego na herbacie, jeśli mi to zaproponuje. Ciekaw jestem, czy już mu przywieziono jastrzębia.

- Nie, jeszcze nie - wymknęło mi się. Ze złości miałam ochotę odgryźć sobie język. Wiedziałam, choć nikt mi tego nie mówił, że Ralf nie łapałby pstrągów, gdyby miał w domu jastrzębia, poobijanego i rozdrażnionego po podróży dylizansem.

- Skąd wiesz?

Patrzył na mnie uważnie, a ja spurpurowiałam pod tym badawczym spojrzeniem.

- Pani Gough mi mówiła - odparłam, uciekając się do najprostszego

kłamstwa. - Nocowała wczoraj w Acre u swojej siostry. Mówiła, że wczorajszy dyliżans z Londynu został odwołany.

Pokiwał głową, jakby mi wierzył, lecz jakiś cień w jego błękitnych oczach ostrzegał, że Richard wątpi w moje słowa. Zdecydował się jednak nie dopytywać.

- Powiedz mamie, że wrócę na kolację - rzekł tylko. Schylił się, by mnie pocałować w usta na pożegnanie, lecz

odwróciłam głowę, i zdołał mnie trafić jedynie w policzek. Cofnął się, zerknął na mnie ze zdziwieniem, ale nic nie powiedział. Wyszedł.

Podeszłam do okna i przyglądałam mu się, gdy maszerował po ścieżce.

Urósł bardzo i zmężniał. Jego nogi nie wydawały się już zbyt długie, nie poruszał się też jak młode źrebię. W tym momencie drzwi salonu otworzyły się i weszła mama.

- Jak dobrze, że tu jesteś! - wykrzyknęła na mój widok.

- Chciałam, żebyś mi pomogła wybrać nowe obicia na krzesła i materiały na zasłony do jadalni.

Podbiegłam do niej i mocno ją objęłam.

- Wiesz, że nie znam się na kolorach - powiedziałam

- ale na pewno zgodzę się z tobą. Pragnę dziś popracować w domu, chciałabym też, żebyś mi znalazła jakieś zajęcie na jutro. Od słońca bołą mnie oczy i czuję się znużona.

Jej łagodne brązowe oczy uważnie badały moją twarz.

195

- Dziś przy obiedzie wydawało mi się, że nie jesteś sobą - rzekła łagodnie.

- Byłaś taka zdenerwowana. Czy coś się stało, kochanie?

- To... - zaczęłam i przerwałam. Potem powiedziałam szybko: - To od czasu, gdy upięłam włosy i wujek wrócił... i powiedział, że przypominam Beatrice, mamę. Wszyscy mieszkańcy wsi, nawet pani Gough i Stride patrzą na mnie tak, jakby im się wydawało, że to ona się pojawiła. Dlatego czuję się tak dziwnie. Ona przecież nie była zbyt miłą osobą, prawda?

- Nie - odparła impulsywnie. - Wiele można o niej powiedzieć, lecz nie to. Chyba powinnam ci o niej więcej opowiedzieć, ale nie teraz, kiedy jesteśmy tu w Wideacre. Nie teraz, gdy dookoła jest pełno przestraszonych ludzi. Dopóki tu jesteśmy, pamiętaj tylko o jednym: mimo że jesteś spokrewniona z Beatrice, jesteś przede wszystkim moją córką. Twoje podobieństwo do niej polega na tym, że odziedziczyłaś dumę Laceyów i ich sposób trzymania głowy. Wszystko inne to fantazja, która jest wytworem tego małego światka, skąd nikt nie wyjeżdża dalej niż do Chichester i gdzie spędza się długie noce na wymyślaniu bzdur i straszaniu się nawzajem historiami o duchach.

- Jesteś moim dzieckiem - dodała tak stanowczo, jakby te słowa miały mi zagwarantować bezpieczeństwo. - Twoje pochodzenie jest niczym wobec faktu, że to ja cię wychowałam. Nie przeraża mnie ani Beatrice, ani Wideacre, więc ty również nie musisz się ich bać. Zresztą jesteś tylko dorastającą panienką, a dorastające panienki są najbardziej niezrównoważonymi istotami na świecie. Gdy moja szwagierka była w twoim wieku, była tysiąc razy gorsza od ciebie. Kiedyś nawet rzuciła talerzem w lokaja, a mama kazała jej sprawić lanie. Jeśli chodzi o ciebie, musisz po prostu bardziej poskramiać swój temperament i wypowiedzi, niezależnie od tego, co czujesz. Wszystko inne to tylko fantazja.

Odsunęłam się od okna, oparłam głowę na jej ramieniu, a ona objęła mnie opiekuńczym gestem. Zamknęłam oczy i wciągałam słodki zapach wody kwiatowej, którą skrapiała włosy i sukienki. Siedziałyśmy razem w wykuszu oblane blaskiem słońca przez długi, długi czas. Potem słońce zaczęło zachodzić za wysokimi drzewami parku, a ja nie tęskniłam już za Ralfem i nie musiałam z lękiem unikać każdej myśli o nim.

196

Zjadłyśmy razem podwieczorek w salonie. Richard jeszcze nie wrócił do domu, a wujek był wciąż w swym pokoju. Mama poleciła więc, by Stride przygotował specjalną tackę. Był na niej placek jęczmienny, dżem, śmietanka, kilka makaroników i imbryk herbaty takiej, jaką lubi wujek: mocnej i czarnej, bez mleka, cukru czy cytryny. Mama sama zaniósła ją do biblioteki. Mimo że zamknęła drzwi za sobą, usłyszałam czułe słowa, którymi powitał ją wujek, jego okrzyki zachwytu nad tacką, a potem jej głos. Miałam wrażenie, że coś mu wyjaśniała i o coś prosiła. Odgadłam, że mówi o mnie i pewnie dlatego zamknęła drzwi. Nie chciała, abym słyszała. Wróciłam więc na swoje miejsce w salonie, przede mną cichutko syczał imbryk z herbatą, a ja marzyłam o tym, by być taką dziewczynką, za jaką uważała mnie mama. Chciałam być dobrą córką, której jedyną niezwykłą cechą jest wychowywanie się razem z kuzynem w wiejskim odosobnieniu, a jej zmienność nastrojów należy wyjaśnić tym, że powoli i niezręcznie przeistacza się w kobietę.

Nie otworzyłam oczu nawet wówczas, gdy sprzątano ze stołu. Tym razem nie robił tego Stride, lecz Jenny Hodgett ze stróżówki, która przez jakiś czas praktykowała w Havering Hall, a teraz wróciła do pracy w Wideacre. Jej rodzice strzegli bram dworu nie tylko za życia mego taty, ale i

wcześniej, gdy żył dziadek. Po pożarze i śmierci dziedzica nikomu nie przyszło do głowy, że można by ich wyrzucić. Zostali więc u nas jako dozorczy otwartej bramy i opiekunowie opuszczonej alei. Jenny po cichutku zebrała naczynia i nie zakłócając mojego spokoju, wzięła dzbanek ze stołu. Słyszałam, jak zamyka za sobą drzwi, i chyba właśnie wtedy zasnęłam. Gdy znowu otworzyłam oczy, w pokoju była ze mną mama, która musiała trochę czasu spędzić w bibliotece.

- Zmęczona jesteś, kochanie? - spytała czule.

- Trochę.

Usiadła na swoim miejscu przy kominku. Stała tam mała doniczka jasnych piwonii, które wykopałam w ogrodzie Wideacre i przyniosłam tu, by ożyły w ciepłe pokoju.

- Rozmawiałam z wujkiem o jego planach - powiedziała.

- Ja też mam trochę pomysłów.

- Czy radcy prawni w Chichester przydali się na coś?

- zapytałam uprzejmie. - Możemy dać wieśniakom jakieś gwarancje?

197

- Tak - odparła. - Spadkobierca Wideacre i mieszkańcy wsi będą w jednakowym stopniu związani kontraktem prawnym i będą musieli wpłacać swe dochody na jeden fundusz. Jeśli któraś ze stron się wycofa, pieniądze zostaną w Acre. Jeżeli natomiast sprzedamy majątek przed upływem pięciu lat, musimy wypłacić ludziom odpowiednią rekompensatę.

Skinęłam głową.

- A czy wujek ma zamiar jeszcze skonsultować się z panem... Megsonem?

- Zawahałam się, nim wymówiłam jego nazwisko, i zabrzmiało to dziwnie.

- Oczywiście. John uważa go za klucz do serc mieszkańców wsi. Bez jego pomocy nie zdoła ich przekonać do tego projektu. Jego plany urzeczywistnią się tylko wówczas, gdy my wszyscy: pan Megson, Richard, ty i ja będziemy gotowi ciężko pracować. John chce, bym zajęła się higieną i edukacją wiejskich dzieci. Richard z kolei ma nadzorować odbudowę dworu, ponadto oboje będziecie pomagać panu Megsonowi na roli.

Nie odpowiedziałam, lecz patrzyłam na nią szeroko otwartymi oczami.

Uśmiechnęła się lekko i z przymusem powiedziała:

- Myślisz pewnie o tym, że nigdy przedtem nie angażowałam się w sprawy Acre. O tym, że bałam się wsi i nie lubiłam tam chodzić. To prawda, kiedyś tak było, lecz teraz wszystko się musi zmienić. Musimy całkowicie zmienić naszą posiadłość, jeśli chcemy, by ten eksperyment się udał.

Zresztą to nieprawda, że zawsze bałam się Acre. Były czasy, gdy naprawdę uczestniczyłam w życiu mieszkańców wsi. A teraz mogę im nareszcie zaoferować coś więcej niż zwykłe współczucie. Chcę wkroczyć do Acre i przywrócić tam ład i spokój. Uczyniłabym to już dawno, gdybyśmy mieli na to pieniądze.

Patrzyłam na nią, czując jakiś nowy szacunek. Widać nie znałam swojej matki wtedy, gdy uważałam ją za zastraszoną wdowę z Dower House, uzależnioną od łaskawości swego ojczyma, który dawał jej żywność, i szwagra, który przysyłał pieniądze. Te myśli musiały się odbić na mej twarzy, a mama zachichotała z rozbawieniem.

- Julio, wiem doskonale, że według ciebie nikt prócz was z Richardem nie zna się na sprawach tego majątku. Zapewniam cię jednak, że i ja nie jestem zupełnie niekompetentna. 198

- Wcale tak nie myślę, mamó - odparłam pospiesznie i kłamliwie. -

Powiedz, czego oczekuje ode mnie wujek? I kiedy miałabym zacząć?

- Możesz zacząć choćby zaraz - odparła spokojnie. - Podobnie jak ja. Dziś wieczorem przyjdzie pan Megson. Jeśli zgodzi się na te nowe propozycje, pojedę jutro do wsi i porozmawiam z pastorem o możliwości ponownego otwarcia szkoły wiejskiej. Zaś ty, Richard i pan Megson omówicie plan prac polowych. A potem pewnie rozpoczniecie orkę i siew?

- W tym roku nie zdążymy. Jest za późno, lecz jeśli wujek chciałby uprawiać rzepę i jakieś nowe gatunki owoców, to możemy już zacząć, by w przyszłym roku dały plony.

Patrzyła na mnie przenikliwie. Nadzorowała moją edukację, nauczyła mnie czytać i pisać, mówiła, jak nazywają się ptaki i kwiaty. Wiedziała, że u boku Richarda uczyłam się łaciny i greki. I doskonale zdawała sobie sprawę, że nikt nigdy mnie nie uczył, jak należy przygotowywać glebę i siać zboże, że nigdy nie widziałam w Wideacre oraczy.

- Skąd o tym wiesz? - spytała cicho. Spojrzałam prosto w jej czujne oczy.

- Nie mam pojęcia - odparłam zgodnie z prawdą. - Po prostu wiem.

Pokiwała głową tak, jakby potwierdziło się coś, o czym już wcześniej słyszała od Johna.

- Ta twoja wiedza może wywołać wielkie zamieszanie, podobnie jak lekkie podobieństwo do cioci Beatrice. Ale nie powinnaś się tym przejmować. Twój wujek uważa, że odziedziczyłaś właściwą Laceyom rękę do gospodarowania. Należy się z tego cieszyć. Nie martw się więc, że to cię upodabnia do Beatrice. Jesteś moją córeczką i możesz sobie być farmerem. Ja również przez następny rok będę wiejską nauczycielką.

Wszyscy będziemy pracować dla dobra Wideacre.

Uśmiechnęłam się radośnie. Miałam cudowne uczucie, że wracam do domu, że dorastam i nareszcie widzę cel przed sobą. Wystarczy, że nie będę się bać swego snu i Beatrice, wystarczy, że będę żyć i pracować w Wideacre, a mój los na pewno będzie godny pozazdroszczenia.

ROZDZIAŁ Dziewiąty.

Dobrze się stało, że nie przystąpiłam od razu do pracy, bo przydał mi się ten ostatni pełen lenistwa dzień spędzony w ogrodzie, lesie i salonie. Od pamiętnego wieczoru, gdy wujek John i Ralf Megson uścisnęli sobie dłonie, zgadzając się na to, by dochody dzielono między panów i poddanych, nikt z nas nie miał nawet jednej wolnej godziny.

Najmniejszym zmianom uległo życie Richarda, który jako że wujek na to nalegał, nadal codziennie chodził na lekcje do pastora Pearce'a.

- Być może zechcesz wstąpić na uniwersytet - rzekł stanowczo wujek w odpowiedzi na protesty syna - a poza tym żaden młody człowiek, którym się opiekuję, nie będzie wyrastał na nieuka.

Każdego więc ranka Richard maszerował do Acre z książkami pod pachą i wracał dopiero na obiad. Czasami przychodził spóźniony. Wyglądało na to, że niegdysiejsza wrogość między nim a moimi przyjaciółmi z wioski gdzieś zniknęła. Mój kuzyn chodził już w glorii młodego dziedzica.

Wiejskie dziewczęta rumieniły się, kiedy mijał je na drodze, i choć pochylały głowy w niskich ukłonach, oczy śmiały im się do niego.

Umorusane przyjaciółki z mego dzieciństwa zamieniły się w młode kobiety pyszniące się nowymi sukienkami. Zawsze miały jakieś sprawy, które sprowadzały je w pobliże bramy probostwa właśnie wtedy, gdy Richard miał tam przyjść lub stamtąd wyjść.

Za każdym razem kiedy jechał powozem do Midhurst, przynajmniej kilka dziewcząt musiało tam coś pilnie załatwić. Wracając z Chichester, zawsze przywoził im w prezencie całe pęki wstążek.

200

Polubili go też wiejscy chłopcy. Dawne przykre urazy ulotniły się z Acre tak, jakby powrót Ralfa był wiosennym wiatrem. I choć dziewczyny zabiegały o względy Richarda, chłopcy nie byli zazdrośni. Początkowo sądziłam, że przyczyną tego był fakt, iż mój kuzyn kochał mnie i był moim narzeczonym. Wujek był chyba jednak bliższy prawdy, kiedy oznajmił mamie, że Richard jest dla dziewcząt ze wsi zbyt młody.

- A nie jest przypadkiem wyniosły wobec wieśniaków? - spytała.

Zaprzeczył ruchem głowy i zwrócił się do mnie, bym potwierdziła jego opinię.

- O, nie - powiedziałam. - Stara się jak może, by go lubili. Zresztą jako syn wujka nie mógłby zrobić nic złego.

Była to prawda. Ludziom z wioski, przyzwyczajonym, że na jedno zdrowe dziecko przypadało czworo takich, które umierały, doktor MacAndrew wydawał się aniołem zesłanym z nieba. Raz w tygodniu otwierał swój gabinet lekarski, a wynędzniałe kobiety przynosiły mu swe zapłakane dzieci. Wujek zdejmował z nich zawszawione okrycia i badał chude, niedożywione ciała powykęcane bólem i głodem.

- Będzie żył? - szepnęła Margery Sharp do wujka, gdy czekałam na jego zalecenia w słonecznej zakrystii kościoła zamienionej na prowizoryczną przychodnię.

- Tak - odparł życzliwym tonem.

Jej oczy napełniły się łzami, a ja miałam wrażenie, że to właśnie wujek

nauczył ją płakać.

- Myślałam, że umrze - rzekła ponuro. - Wszystkie inne umarły.

- Ile ich było? - spytał łagodnie, zginając małe ręce i stopki.

Ośmiomiesięczne dziecko było drobniutkie i bardzo chude. Miało wystające żebra, a całe pokryte wysypką ciało było dodatkowo usiane śladami po ukąszeniach pcheł i pluskiew. Pachniało brzydko.

- Czworo - odpowiedziała - nie... pięcioro. Wzdrygnęłam się. Byłam zdumiona, że kobieta może upaść

tak nisko, że nawet nie wie, ile ze swych dzieci pochowała.

- To ostatnie żyło tylko jeden dzień - wyjaśniła. - Nawet nie zdążyłam jej nadać imienia.

- Ani ochrzcić? - zapytał, wiedząc, jakie to może mieć znaczenie dla zabobonnej wieśniaczki.

201

- Pastor Pearce to zrobił. Zrobił to dla mnie. Wiedział, że nie wytrzymałabym, gdyby ona poszła do piekła. Ochrzcił ją, choć była martwa. On też jest dobrym człowiekiem.

- Rzeczywiście jest dobry - zgodził się John. - A teraz powiem, co pani musi zrobić. Musi pani przebrać tego małego zucha w czyste rzeczy. Proszę iść do szkoły, do pani Lacey. Ona da pani wszystko to, co jest potrzebne. Chłopczyk nie powinien leżeć w powijakach, nie może też być tak ciasno opatulony.

Uniosła głowę, chcąc zaprotestować, a ja zobaczyłam, że wujek uśmiecha się. Był znużony.

- Wiem, że lubicie zawijać dzieci - rzekł życzliwie - i wiem też, że to ucisza ich płacz. Dzieje się tak dlatego, że kiedy są mocno owinięte, nie

mają dość powietrza, by płakać. Tak samo działałoby się z nami, gdyby nas mocno związano. Zrobiła pani wiele dla zachowania tego dziecka przy życiu, więc i teraz zrobmy wszystko co w naszej mocy.

Skinęła głową, czując, że w jego głosie brzmi autentyczna troska.

- Trzeba go umyć - dodał. Znów otworzyła usta, chcąc wyrazić sprzeciw, ale wujek to zlekceważył i stanowczo ciągnął dalej: - Trzeba go myć za każdym razem, kiedy się ubrudzi. Musi być przebierany w czyste rzeczy. W lecie musi dużo przebywać na słońcu. Jakieś starsze dziecko może go pilnować.

Margery Sharp kiwała głową, ale zdumiewały ją wszystkie te śmieszne polecenia.

- Niech starsze dziecko wynosi malucha na powietrze. Niemowlę nie będzie jeść, jeśli będzie stale przebywać w domu. Świeże powietrze doda mu apetytu i sprawi, że przez całą noc będzie spać, a w ciągu dnia czuwać.

- Ale mycie... - zaprotestowała.

- Panienska Julia zorganizuje skład opału dla całej wsi, więc zawsze można będzie rozpalić ogień. Niech pani stale trzyma na ogniu czajnik, żeby mieć ciepłą wodę do mycia. Zabrudzone rzeczy musi pani prać, a potem suszyć przy ogniu. W ten sposób zawsze będzie pani miała czyste ubranie dla niemowlęcia.

- Ale jego trzeba przebierać ciągle, wiele razy w ciągu dnia

- opierała się.

- Wiem o tym - odparł. - Ja również zajmowałem się dziećmi. Jeżeli pani dzieci będą czyste, to nie dostaną wrzodów, nie będą też płakać i chorować. Obiecuję to pani, Margery.

Wahała się i na jej twarzy malowały się rozliczne wątpliwości. Ton głosu Johna stał się ciepły i uwodzicielski.

- Spróbuj pani zrobić to dla mnie, Margery? - Spytał cicho.

Oblała się purpurą i zerknęła na mnie z zakłopotaniem. Potem powiedziała:

- Ach, doktorze!

W tym momencie zobaczyłam w tej zrezygnowanej i załamanej kobiecie kochliwą wiejską dziewczynę, którą była kiedyś.

- No dobrze - rzekła niechętnie. - Skoro jest pan pewien, że to pomoże...

Ale jeśli on od tego mycia zachoruje, to przestanę, proszę pamiętać!

- Zgoda - odparł wujek i z powrotem zawinął dziecko w łachmany. - Teraz proszę iść do szkoły wiejskiej. Pani Lacey znajdzie dla niego jakieś ubranka, pieluszki i ręcznik. Pokaże też, jak należy go kąpać. A wiadomo, że jaśnie pani potrafi się dobrze zajmować niemowlętami.

Kobieta odnalazła dawno zapomniany, promienny uśmiech i spojrzała mu prosto w twarz.

- Jak to dobrze, że pan wrócił - powiedziała i zabrała synka, jedyne żyjące dziecko z jej sześciorga. Potem wyszła.

- Wujku, ty flirtujesz! - zawołałam.

Odwrócił się do mnie z twarzą tak wesołą, jakby przed chwilą splątał figła.

- Ja tylko próbuję uczyć wieśniaków, jak mają wychowywać zdrowe dzieci - zaprotestował.

- To skandal - zarzucałam mu. - Przybrałeś miękki ton głosu, a twój akcent brzmiał tak, jakbyś właśnie przybył ze Szkocji i miał jeszcze na sobie spódniczkę. Powiem o tym mamie. Powinieneś się wstydić.

Wybuchnął śmiechem.

- Nie mów o tym Celi - błagał. - Nazwie mnie szarlatanem. Przysięgam ci, Julio, że to tylko element mojej metody nauczania.

Jeszcze się śmialiśmy, gdy ktoś zapukał do drzwi. Była to następna kobieta z mizernym dzieckiem na ręku.

- To pani Miles i jej syn Peter - powiedziałam. - Czy on się źle czuje, pani Miles?

- Nie może utrzymać jedzenia w brzuszku - rzekła do Johna. - To wszystko co kupiliście razem z panem Megsonem...

203

gdy tylko damę mu to do jedzenia, zaczyna zwracać. To nie są robaki, nie żadne cholerne odbijanie, nie kolka...

- Muszę już iść - odezwałam się ze wstydem, bo ta lista przyprawiała mnie o mdłości.

- Jesteś podszyta tchórzem - szepnął wujek. - Ja wolę być flirciarzem niż tchórzem.

- No i jesteś nim - odparłam, kierując się do drzwi.

- Chwileczkę, pani Miles - uśmiechnął się do niej. - Julio, jeśli idziesz do pana Megsona, to on właśnie ustawia robotników, którzy mają drenować Łąkę Trzech Bram. Bądź uprzejma mu powiedzieć, że dziś po południu zostaną przywiezione sadzonki jabłoni. Gdy tylko ziemia będzie gotowa, znajdziemy ludzi, którzy je posadzą.

- Ziemia już jest gotowa. Oracze wczoraj skończyli. Sprawdzę jeszcze, czy nie ma tam kamieni i czy nie stoi woda, i możemy od razu zacząć.

- To dobrze. - Wujek znowu zajął się małym bledziutkim Peterem, który

jękliwym głosem wyjaśniał, że teraz gdy nadeszły dobre czasy, ma apetyt tylko na słodczyce.

Dziedziniec kościoła był zalany słońcem. Na świeżych grobach ludzi pochowanych w zimie zieleniła się młoda trawa, a praca wujka w zakrystii obiecywała, że nie będzie już ani takich śmierci, ani następnych bezlitosnych zim. Przeszłam przez cmentarz, minęłam okazałe wejście do krypty Laceyów i znalazłam się przy bramie, gdzie zostawiłam nowego kucyka. Nazywał się Rdzawy. Kuc pasł się blisko ściany kościoła, w kącie, który z niewiadomej przyczyny nazwano Zakątkiem Panny Beatrice. Stał obok dwóch kopców wyglądających jak dziwnie umieszczone groby i skubał jakieś stare kwiaty, które ktoś położył na jednym z nich. Zebrałam fałdy mojej nowej eleganckiej sukni podróżnej, bo nie chciałam jej pobrudzić, i usadowiłam się w dwukółce.

Nasz nowy powóz stał przed starą stodołą, którą mama zarekwirowała i zamieniła w szkołę. Zawracając koło niej dwukółką, słyszałam podniecone głosy dzieci i wznoszący się ponad ich gwarem czysty głos mamy wydającej polecenia. Nie wierzyłam własnym uszom. Miałam wrażenie, że przez całe moje dzieciństwo mama podniosła na mnie głos tylko jeden raz. Tymczasem teraz krzyczała bez przerwy:

- Dostyc! Johnie Smith, Sally Cooper i wy, bliźniaki! Macie się przestać bić! Proszę natychmiast usiąść!

204

Nagle zapadła cisza. Potem rozległ się głośny tupot, bo tuzin nieokrzęsanych dzieci pędził na miejsca w ławkach i sadowił się w nich, by popatrzeć na swoją panią.

- Teraz jest lepiej - odezwała się spokojnie. - Proszę, kto może mi

powiedzieć: co to jest? Ale macie podnosić ręce, a nie wykrzykiwać!
Nie czekałam dłużej. Miałam już jasny obraz tego, co mama robiła w tej starej stodole z grupą dzieci siedzących w ławkach. Uczyła je, jak powinny myć i czesać włosy, pokazywała, jak trzeba szyć i zapalać lampę (nie poparzywszy się przy tym), wreszcie tłumaczyła, jak przygotowuje się posiłki.

- Dzieci chcą się uczyć - powiedział jej wujek John. - Powinny mieć zabawki, które zachęcą je do pisania i czytania. Trzeba sprawić, by przez cały czas zadawały sobie różne pytania. W ten sposób najwięcej się nauczą. Wszyscy naukowcy zgadzają się, że...

- Naukowcy, dobre sobie! - przerwała. - To wiejska szkołka dla wiejskich dzieci. Gdy twoi naukowcy obejmą władzę w kraju, wtedy będą mi opowiadać, czego powinny się uczyć dzieci, które również pracują. A do tego czasu będę je uczyć, jak mają się odżywiać, myć i jak pracować.

- Toryska! * - powiedział. Była to w jego ustach najgorsza obelga.

* Torysi - to członkowie partii konserwatywnej, silnie związani z Kościołem anglikańskim i monarchią (przyp. tłum.).

- Jakobin!* - zrewanżowała mu się, a szkołę i tak prowadziła według własnej koncepcji.

* Jakobini to członkowie najbardziej radykalnego ugrupowania politycznego w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej (przyp. tłum.).
Skierowałam dwukólkę na drogę biegnącą obok chat zajętych przez dzikich lokatorów i ruszyłam w stronę pól, które niegdyś stanowiły wspólną własność gminy, a obecnie leżały odłogiem. Beatrice obrabowała tę ziemię z całego bogactwa drzew, krzewów i paproci, a ze zniknięciem tej wspaniałej roślinności odeszły też dzikie zwierzęta: ptaki, zające,

króliki i jelenie. Po śmierci Beatrice ziemia znów stała się niczyja, a jedyną pamiątką po rządach mojej ciotki był dziwny kłos pszenicy chwiejący się na wietrze.

Byłam w tej rodzinie kolejną dziewczyną, która chciała zmienić oblicze ziemi. Sama do siebie szeptałam, że tym razem odmiana

205

będzie trwać dłużej niż jeden sezon i że tym razem będzie to zmiana na lepsze.

Ten wielki obszar prezentował się urokliwie nawet jako zaniedbane pole pszenicy. Kazałam go jednak zaorać i ogrodzić, a po trzech dniach pracy znikły gładkie zielone zbocza ozdobione wrzosem. W ich miejsce pojawiły się błotniste fale nakreślone ostrzami pługa. Podjechałam na skraj pola i zaczęłam się mu przypatrywać.

Wtedy znowu usłyszałam śpiewne brzęczenie w głowie.

- O, jak dobrze - powiedziałam z przejęciem. Wydaje mi się, że zrobiłam to na głos.

Miałam wrażenie, że przemawia do mnie sama ziemia. Wideacre mówiło mi, że ziemi jest dobrze. Nasze plany były słuszne, a to pole, przed którym stałam, mimo że nie tak olśniewająco piękne jak przedtem, miało wydać zbiór - owoc doskonałej gleby - który wykarmi wieś Acre.

Owiewał mnie wiatr unoszący się znad łagodnych zboczy. Beatrice dosłownie poruszyła góry, by stworzyć to pole. Nawodniła doliny i wyrwała wielki dąb. Zrobiła to jednak niefachowo. Widziałam zarysy tych dolin i dostrzegałam najlżejszy nawet ślad stóp na świeżo zaoranej ziemi.

A jama w miejscu gdzie dawno temu stał dąb, była sceną mojej pamiętnej

bójki z Clarą.

Uśmiechnęłam się. Nie tylko Beatrice miała tu swą historię. Wszyscy posiadacze tego majątku pozostawili po sobie jakieś znaki. Ja również. Wieś będzie pamiętała to pole jako obszar, który Beatrice wydarła wspólnej ziemi i tutejszym ludziom. Lecz zapamiętają je również dlatego, że Julia Lacey zasadziła tu jabłonie, co rok później miało się opłacić. Ostrożnie zawróciłam kuca i dwukólkę i pokłusowałam do domu. Po drodze zauważyłam, że nasz powóz odjechał sprzed stodoły. Widocznie mama uprzedziła mnie, zabierając wujka Johna i Richarda. Ponieważ chciałam jeszcze coś załatwić przed obiadem, popędziłam kucyka, ten przeszedł w zwawy kłus i po chwili znaleźliśmy się na Łące Trzech Bram. Na piaszczystym nasypie pod żywopłotem siedział Ralf z pracownikami. Podniósł głowę, słysząc turkot kół. Robotnicy mieli właśnie przerwę obiadową, siedzieli więc i jedli; widząc mnie, skłonili grzecznie głowy. Pozdrowiłam ich, zeskoczyłam na ziemię i zaczepiłam lejce o bramę. Ralf podszedł i uśmiechnął się do mnie.

206

- Dzień dobry, panno Lacey.

- Dzień dobry, panie Megson. Wujek prosił, bym panu powiedziała, że dziś po południu przywiozą jabłonki. Wybrałam już pole na obszarze wspólnej ziemi. Gleba wygląda tam na suchą i została oczyszczona z kamieni. Myślę, że możemy wsadzić drzewka, nie kłopotząc się dalszą orką czy odwadnianiem.

Zmarszczył brwi.

- Dzisiaj wszyscy robotnicy są zajęci, a jutro jadę do Petersfield po owce. Nie będę mógł dopilnować prac, chociaż ludzi na miejscu będzie dosyć.

Wolałbym nie zostawiać ich samych, bo sadzenie drzewek to dla nich całkiem nowe zajęcie. Co prawda sam wiem o tym niewiele i zamierzałem to robić według książki pana Johna.

- Jeśli to tylko kwestia posłużenia się książką, to przecież ja to mogę zrobić. Nie wiem za dużo o uprawie roli, ale potrafię czytać.

Uśmiechnął się.

- Ty się znasz na uprawie roli, Julio. Gdyby było inaczej, skąd wiedziałabyś, że pole nadaje się pod drzewka?

- To prawda - powiedziałam, nie chcąc się nad tym dłużej rozwodzić. - Wobec tego o której mam przyjść do pracy?

- Robotnicy będą na polu o siódmej. Później, o dziesiątej, mają przerwę na śniadanie, a o pierwszej - obiadową. Konieczna jest również przerwa o czwartej po południu. Dzień pracy kończy się o zachodzie słońca.

Prawdopodobnie nie uporacie się do tego czasu z robotą.

- Wiem - rzekłam z przejęciem. - To pole jest olbrzymie. Musimy się nastawić na dwa dni pracy.

- Tak, pani dziedziczko - skłonił się.

- Proszę mnie tak nie nazywać nawet w żartach. Dziedzicem będzie Richard. Wprawdzie oboje jesteśmy spadkobiercami, lecz to on jest chłopcem.

- Myślę, że skoro oboje dziedziczycie, to ty powinnaś się domagać swych praw.

Przypomniałam sobie, jak babcia ostrzegła mnie, że kobieta nie powinna się niczego domagać. Potrząsnęłam więc przecząco głową, ale nic nie powiedziałam.

Znowu się uśmiechnął.

- Wcale nie jesteś podobna do Laceyów! - powiedział ciepłym rozbawionym głosem. - Laceyowie poświęciliby wszystko

207

i wszystkich, by zatrzymać w swych rękach ziemię albo zdobyć jej więcej. A Beatrice była z nich najgorsza. Przed niczym się nie cofnęła, gdy chciała przejąć kontrolę nad posiadłością. A ty

- prawowita spadkobierczyni Laceyów - mówisz o podziale swej ziemi tak, jakby w twoich żyłach nie płynęła Fenny, a w twych kościach nie było gleby Wideacre.

- Nie jestem Beatrice! - wykrzyknęłam zniecierpliwiona.

- Byłam wychowywana przez swoją mamę i stosuję się do jej rad. Kobieta ma dawać, a nie grabić. A jeśli będę wspaniałomyślna i lojalna wobec Richarda, to on... - przerwałam w obawie, że mogę powiedzieć zbyt wiele.

- Więc o to chodzi? - odezwał się cicho, jakby do siebie. Sztywnym ruchem otworzył bramę i podszedł do mnie. - Ziemia i miłość - rzekł tak, jakby wypowiadał jakieś przysłowie - oto czego chcą Laceyowie. A ich kobiety chcą tego bardziej niż ktokolwiek. Wydaje mi się, że ty wybrałaś miłość.

Przyglądałam się uważnie jego ogorzałej twarzy i życzliwym oczom, dookoła których widniały białe kreski.

- Czy on jest tego wart? - zapytał. - Czy jego miłość warta jest najpiękniejszej gleby w całej Anglii?

- O, tak - odparłam pewnie. - Kochałam Richarda od dzieciństwa i przysięgłam, że będę go kochać wiecznie.

- Zatem dokonałaś wyboru. Postawiłaś na miłość, życie w domu i status młodej damy. - Nagle roześmiał się. - Beatrice sprawiłaby ci lanie, gdyby

żyła.

- Muszę być damą. Nie mam wyboru. Urodziłam się nią. Taka jest moja rola. Ja po prostu nią jestem.

- Nie. Nie jesteś typową panienką ze dworu. Przez całe życie byłaś podobna do młodego jastrzębia zamkniętego w klatce. To uczyniło cię tak słabą i głupią, iż wydaje ci się, że kochasz tego szczeniaka. Z faktu, że pozwalasz mu się nad sobą znęcać, uczyniłaś swoją cnotę, a w dodatku sama nie wiesz, czego chcesz, głuptasie. Powinnaś uprawiać ziemię, wszak jesteś spadkobierczynią Beatrice. Jeżeli zamkniesz się w salonie i będziesz myśleć tylko o tym, jak być młodą damą i kochać swego kuzyna, twoje życie stanie się puste i nudne!

Uśmiechnął się jak tajemniczy prorok głoszący zwykłe prawdy, o których zawsze wiedziałam, lecz nigdy nie słyszałam, by o nich mówiono. Nagle nasz Dower House wydał mi się dziwacznym miejscem, gdzie siłą zamieniano dziką wolną dziewczynę

208

w damę, którą można skrzyczeć i sponiewierać, a ona szczyścić się będzie tym, że za ból odpłaca miłością. Zmarszczywszy brwi, zastanawiałam się, co oznacza ta wizja mej osoby.

- Co więc powinnam robić? - zapytałam.

- Dorastać - odparł bezlitośnie. - Pracować nad sobą, Julio. Masz mózg nie całkiem jeszcze otumaniony tą edukacją, korzystaj więc z niego. Masz serce, które wyczuwa potrzeby ziemi, głos, który dociera do ludzi, i uszy, które umieją ich słuchać. Dorośnij.

W odpowiedzi na te krzepiące słowa tylko spojrzałam na niego spokojnie. Nie okazał jednak skruchy. Uśmiechnął się do mnie figlarnie i lekko

popchnął dwukólkę.

- Jazda, panno Julio. Zawsze jestem dokuczliwy, kiedy chce mi się jeść.

Pamiętaj, nigdy nie należy przeszkadzać robotnikowi podczas jego przerwy obiadowej. Nie należy też nikomu składać obietnic, zanim się nie odkryje, czego się naprawdę chce. - Odwiązał lejce, potem podał mi rękę, gdy wsiadałam.

- Przykro mi, że pana zdenerwowałam - powiedziałam cichym głosem, spuszczać oczy. - Nie chciałam pana rozzłościć.

- Ależ nie! - zawołał nagle zakłopotany. Dostrzegł jednak mój przelotny uśmiech i zorientował się, że z niego kpię. - Idź do domu, Julio Lacey! Do domu! - krzyknął. - Idź sobie i dokuczaj komuś, kto ma dużo czasu i poczucia humoru. Jestem tylko prostym człowiekiem, i w dodatku głodnym.

Zawołałam „wio!” i ciągle śmiejąc się, pomachałam mu ręką na pożegnanie, po czym pokłusowałam do domu.

Następnego ranka daleka byłam od śmiechu, gdy Jenny przyniosła mi o wpół do szóstej filiżankę czekolady i wiadomość, że pada lekki kapuśniaczek i wygląda na to, że taka pogoda utrzyma się przez cały dzień.

- O nie - powiedziałam, przewracając się na brzuch i zanurzając twarz w poduszkach.

- Jest też zimno - rzekła z pogodnym wyrazem twarzy osoby, która już wstała i ubrała się, a teraz patrzy na kogoś, kto będzie to musiał zrobić za chwilę.

Usiadłam na łóżku i wyjrzałam przez okno. Dzień był okropny, szary i mglisty. Z liści na drzewach w parku kapały krople deszczu.

- Jest zbyt mokro, by sadzić drzewka - orzekłam.

- Naprawdę? - spytała.

- Nie - powiedziałam ze złością. - Jest doskonała pogoda. Rozpal ogień.

Bez tego nie zdołam wstać przy tej pogodzie.

Skinęła głową i poszła do kuchni po drewno na rozpałkę. Przyglądałam się, jak zapala ogień, i popijałam czekoladę, a dopiero gdy z pokoju zniknął przejmujący chłód, znalazłam w sobie dość odwagi, by wyjść z łóżka i się ubrać.

Dzięki mamie, która odgadła, że pierwszą, niezbyt ładną suknię podróżną będę wkładać do pracy poza domem, dostałam drugą, nową. Poleciała krawcowej w Chichester, żeby uszyła dla mnie jeszcze dwie dodatkowe sukienki według tego samego wykroju. Na dzisiaj wybrałam tę grubszą, z jasnopopielatej wełny i pasujący do niej kapelusz. Popiel pochłonął barwę mych oczu i sprawił, że na tle bladej twarzy wydawały się świetliste i ogromne. Sukienka była bardzo ładnie skrojona, choć prawdę mówiąc nieco ciasna, bo przez ostatnie tygodnie miałam wilczy apetyt. Mimo to wyglądałam w niej na wysoką, szczupłą i elegancką.

Jenny zerknęła na mnie, gdy wymiatała kominek.

- Och, panienko! Ślicznie panienka wygląda! Do twarzy panience w tym kolorze.

- Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że ktoś mnie w ogóle dostrzeże - odparłam, przypatrując się szarości za oknem. - Stopię się w jedno z tą piekielną mgłą i robotnicy przejadą po mnie wozem z sadzonkami.

Roześmiała się z mego czarnego humoru i zeszła do kuchni. Stride jeszcze nie wstał, pani Gough także spała, lecz na stole leżała torba ze śniadaniem

dla mnie.

- Nie wiedziałyśmy, czy panienka zje na polu, czy też wróci tutaj - wyjaśniła Jenny. - Pani Beatrice zawsze jadła śniadanie na polu, więc kucharka przygotowała to na wszelki wypadek.

Na chwilę zapadła cisza. Obie zdałyśmy sobie sprawę z tego przypadkowego porównania. Potem Jenny dodała:

- Prosiła też, by spytać, czy ma panience przysłać obiad.
- Proszę mi przysłać, jeśli nie wrócę do drugiej. Sądzę jednak, że przyjdę na obiad, bo pogoda nie nadaje się na piknik.

Pożegnałam się i wyszłam tylnymi drzwiami. Wierzchołek ogromnego cedru w ogrodzie był zakryty chmurami, a jego ciemny pień pokryła wilgoć. Krople deszczu tworzyły regularne wzory

210

na liściach. Ziemia była prawdopodobnie mokra i lepka, ale nie obawiałam się, że korzenie drzewek nasiąkną wodą. Wiedziałam, że jabłonki się przyjmą, równie dobrze jak znałam swe nazwisko i kształty wzgórz wznoszących się w oddali, za mgłą.

W stajni spotkałam Jema. Zdążył już zaprząć kuca do dwukółki.

- Dziękuję - powiedziałam.

Nie lubiłam wstawać rano, ale wiedziałam, że Jem nie znosi tego jeszcze bardziej. Miał na sobie płaszcz, pod którym w przelocie mignęły mi bardzo brudne barchany. Nawet nie zdążył się ubrać.

- Gdyby zobaczył to wujek John, wyrzuciłby cię z pracy

- zauważyłam.

Skinął głową.

- Zaspąłem - przyznał. - Uznałem, że woli panienka, bym zaprzął kuca

na czas, będąc w takim stroju, niż żebym przyprowadził go za pół godziny, ale za to wystrojony w liberię.

- Wolałabym, żebyś przyszedł i w liberii, i punktualnie
- powiedziałam.

Podał mi rękę i pomógł wsiąść, a ja uśmiechnęłam się. Była to pierwsza próba udzielenia komuś nagany i nie byłam pewna, czy zrobiłam to właściwie.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się obrażony? - spytałam. Jego brudna twarz pofałdowała się w uśmiechu.

- Nie myli się panienka. Panienka się nie docenia - odparł.

- Dziękuję - rzekłam, a ta odrobina pewności siebie pomogła mi przeżyć ten dzień, nawet wtedy gdy przewrócił się wóz z sadzonkami i musieliśmy wyciągać z błota drzewka, uważając, by nie połamać ich giętkich gałązek. Dzięki niej przetrwałam chwilę, gdy okazało się, że robotnicy powsadzali drzewka zbyt blisko siebie, nie pozostawiając miejsca na przejście dla ludzi zbierających owoce i wyrywających chwasty. Musieliśmy je wykopać i zrobić wszystko od nowa. Wreszcie zniosłam również to, że wszyscy ulotnili się na obiad do Acre i nie było ich bardzo długo.

- Nic z tego nie wyjdzie - oznajmiłam ze złością Tedowi Tyacke. - Mnie obiad zajął tylko godzinę razem z dojazdem i powrotem z Dower House. Jeżeli tak ma wyglądać partnerstwo wsi i Laceyów, to ja nie zamierzam być tu nadzorczą. Powinniście wrócić na czas, i to z własnej woli.

211

Ted, mój przyjaciel z dzieciństwa, skinął głową i wyciągnął brudną dłoń, by mi pomóc wsiąść.

- Masz rację - rzekł. - Myślę, że wszystkim nam trudno jest uwierzyć w to,

iż pracujemy dla wspólnej sprawy.

Ta wymiana słów odbyła się na grząskim polu w połowie obsadzonym długimi, nie obiecującymi niczego dobrego rzędami jabłonek i w pobliżu stosu nie wkopanych jeszcze drzewek. Potem praca poszła szybciej.

Robotnicy, podobnie jak ja, dopiero uczyli się swych czynności, a kiedy w końcu została nam jedna dodatkowa sadzonka, mimo że wcześniej dokładnie wyliczyłam, ile drzewek przypada na rząd, a rzędów na pole, tak serdecznie śmiali się z mej zakłopotanej miny, że niektórym łzy pociekły po brudnych policzkach.

- Weźcie to głupie drzewko - odezwałam się ze zniecierpliwieniem. - Źle obliczyłam odległości i nie ma już na nie miejsca. Zasadźcie je w wiosce. Niech dzieciaki mają swoje jabłka, może to je przytrzyma z dala od naszych.

- N-n-nic ich nie utrzyma z dala od sadu - powiedział Matthew Merry, a w jego brązowych oczach pojawiły się ogniki. - T-t-to bandyci. Nie pamiętasz, jacy my byliśmy?

- Pamiętam. Za to spójrz na nas teraz.

Do naszego towarzystwa przyłączyła się Clara i razem patrzyliśmy na pole. Ralf nie miał racji. Ja nie miałam racji. Posadziliśmy wszystko w ciągu jednego dnia. Zapadał zmierzch. Nadszedł czas, by ze znużeniem ruszyć do domu, bo zrobiliśmy wszystko, co sobie przyobiecaliśmy. Nie - zrobiliśmy więcej.

- Jestem zmęczona - odezwała się Clara.

Spojrzałam na nią ze współczuciem. Jej matka właśnie urodziła następne dziecko i Clara zajmowała się nim przez całą noc, uciszając je, by mama

mogła spać.

- Podwożę was - zaproponowałam, więc wszyscy troje poszli za mną do dwukółki.

Na widok kuca Ted powiedział:

- My pójdziemy za wami. Jesteśmy za ciężcy, kucyk nie zdoła nas uciągnąć. Zatem do jutra, Julio.

Uśmiechnęłam się i kiwnęłam głową. Byłam zbyt zmęczona, by coś powiedzieć. Matthew złapał Clare za rękę, gdy wspierając się o bok powoziku, z trudem wsiadała.

- Przyjdę do was dziś w nocy, około dziewiątej. Jeśli dziecko się obudzi, będę je nosił.

212

Wychyliła się z dwukółki i pogłaskała go po policzku, potem lekko trąciłam lejcami zad kuca i ruszyliśmy błotnistą drogą wiodącą do Acre. Deszcz przestał już padać, lecz chmury wisiały nisko, a pod drzewami było ciemno i cicho.

- Matthew pomaga ci przy dziecku? - zagadnęłam.

- Tak - odparła krótko. - Także gotuje, choć rzadko mu na to pozwalam. I bez tego dość mu dokuczają z powodu niańczenia dziecka.

- To bardzo miło z jego strony. Ale on cię zawsze kochał.

- Tak. Wiesz, jesteśmy już zaręczeni. Wszystko tak, jak być powinno. Rozmawialiśmy z Ralfem Megsonem na temat mieszkania. Mówi, że możemy dostać ten pusty dom na błoniach.

Uścisnęłam jej rękę.

- Cieszy się, bo bardzo lubię Matthew. Zawsze bardzo mi się podobało, w jaki sposób cię traktuje. Ale jak sobie bez ciebie poradzi twoja mama?

Lekko westchnęła. Odwrócona ode mnie przyglądała się drzewom, które upiornie wolno przesuwały się obok nas.

- Dwoje starszych zabierzemy do siebie, a Alicja pójdzie na służbę do Midhurst. Tak więc mama zostanie tylko z Joem i niemowlęciem.

Clara matkowała swym braciom i siostram przez tyle lat, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, by mogła ich opuścić. Słuchając jej słów, czułam coś więcej niż zwyczajną radość ze szczęścia przyjaciółki. Czułam to samo co przedtem, gdy patrzyłam, jak drzewka wchodzą w ziemię, gdy widziałam świeżo wykopane kanały i lemiesz tnący ugór. W Acre nastawały dobre czasy. Dobre dla ziemi i dla ludzi.

- A co z tobą? - spytała nagle. - Czy to Richard jest twoim przeznaczeniem?

Skinęłam głową.

- Ale to tajemnica - ostrzegłam ją.

- Jak na tajemnicę jest całkiem nieźle znana - rzekła z uśmiechem. -

Wszyscy wiedzieli, że się pobierzecie, odkąd tylko przyszliście na świat.

- Może i wiedzieli - powiedziałam oschle. - Ale jeśli to dotrze do mamy lub wujka Johna, będę miała kłopoty.

Zerknęła na mnie z ukosa.

- Czy oni wciąż są temu przeciwni? Nawet teraz gdy macie pieniądze?

213

- Tak. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

- A może twoja mama sądzi, że możesz lepiej wyjść za mąż

- zasugerowała.

- Żadne małżeństwo nie będzie bardziej korzystne dla posiadłości - zaprotestowałam, lecz ona potrząsnęła głową.

- Nie chodzi o posiadłość, Julio, lecz o ciebie. Jeśli pokocha cię ktoś obcy, nie będzie w tobie widział ani cząstki swego dzieciństwa, ani współdziedziczki majątku. Będzie traktował cię czule - powiedziała to tak cicho, że ledwie ją słyszałam.

Byłyśmy już przed bramą jej domu. Zatrzymałam kucyka i przez chwilę cicho siedziałyśmy w półmroku.

- Nie wszystkie możemy wyjść za mąż za Matthew - powiedziałam w końcu. - Kocham Richarda i nie skarzę się.

- Wiem - odparła, a potem znowu zamilkłyśmy.

- Do diabła - odezwała się nagle zupełnie innym głosem, patrząc na ciemną sylwetkę swego domu - znowu zgasł ogień.

- Wejść do środka i pomogę ci - zaproponowałam.

- Nie. Cały dzień ciężko pracowałaś. Wydaje mi się, że pracowałaś więcej niż ktokolwiek z nas. Chyba ze dwadzieścia razy przebiegałaś wzdłuż pola, mierząc odległości.

- A w końcu zrobiłam to źle.

Roześmiała się.

- To najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

Myślałam, że Ted się udusi.

- No tak - powiedziałam - ale przynajmniej wieś będzie z tego miała swoją jabłoń. Jesteś pewna, że nie chcesz, bym weszła?

- Nie. Im wcześniej zacznę, tym wcześniej skończę. - Wyskoczyła z powozu. Była sztywna ze zmęczenia i wyglądała nie jak siedemnastolatka, lecz jak stara kobieta.

- Ech - rzekła ze smutkiem. - Nie będę dzisiaj tańczyć!

- Ani ja - powiedziałam. Ruszyła do swej niewielkiej chaty, ja zaś

pomachałam jej na
pożegnanie i skierowałam powozik w stronę domu.

ROZDZIAŁ Dziesiąty.

Z dołu dobiegał głos wujka Johna:

- Julio! Julio! Julio! Wołam cię! Ogluchłaś? Wskoczyłam z łóżka i
podbiegłam do drzwi, by je otworzyć.

- O co chodzi? - zawołałam.

- To niespodzianka. Zejdź natychmiast!

Zrzuciłam szlafrok i włożyłam swoją najstarszą sukienkę z muślinu,
niegdyś różowego, obecnie wyblakłego od ciągłego prania. Posłuszna
ponagleniom wujka nie upinałam włosów, tylko luźno przewiązałam je
kokardą i pozwoliłam im opaść na plecy tak, jak czeszą się małe
dziewczynki. Włożyłam sandały i popędziłam na dół.

Drzwi frontowe były szeroko otwarte, wujek stał na progu.

Za nim był Ralf.

Siedział wysoko na grzbiecie nowego czarnego konia, na którego widok
straciłam oddech. Był niezwykle podobny do tamtego zwierzęcia ze snu,
tego, na którym jechał po schodach dworu. Wyciągnęłam rękę, by się
oprzeć o drzwi, i z lękiem spojrzałam na Ralfa. Miał ciepłą i uśmiechniętą
twarz. Wiedział, o czym myślę, i jego uśmiech był równie czytelny jak
słowa: „Nie bądź niemądra, Julio”.

Skinęłam głową, a potem dostrzegłam jeszcze coś. Ralf trzymał na uwięzi
drugiego konia, klacz. Była tak jasnej maści, że wydawała się prawie
srebrna. Miała oczy głębokiej czarnej barwy, a jej ogon i grzywa były białe
jak fala morska uderzająca w zimie o brzeg.

- Spójrz! - z zachwytem rzekł wujek. - Powiedziałem panu Megsonowi, że

szukam konia dla ciebie, i popatrz, co dla nas wyszukał!

215

Ralf uśmiechnął się do mnie.

- To damski koń - rzekł. - Sprzedał mi ją farmer spod Rogate, jego córka porzuciła jeździectwo. Kiedyś zapłacił za to cudo sporą sumkę, teraz zażądał ceny naprawdę horrendalnej. Mimo to pomyślałem, że powinna ją pani wypróbować. Wiem, że ślicznie się porusza, bo widziałem, jak biegła. A przyprowadziłem ją wczoraj po licytacji owiec.

- Wygląda cudownie - z entuzjazmem powiedział wujek. - Wie pan, miałem kiedyś siwego araba. To był wspaniały koń.

Ralf kiwnął głową.

- Ludzie we wsi wciąż tego konia wspominają - rzekł uprzejmie. - Nazywał go pan Morskim Kwiatem, prawda?

John uśmiechnął się.

- To niesłychane! Jeszcze pamiętają! - wykrzyknął. - Tak, nazywał się Morski Kwiat i miał skórę równie czystą i jasną jak ta piękność tutaj.

Prawie nie słyszałam, co mówią. Zeszłam po schodach całkowicie oszołomiona. Mężczyźni wymienili rozbawione spojrzenia ponad mą głową, a zaraz potem wujek znalazł się koło mnie i łagodnie powiedział:

- Pewnie chciałabyś ją wypróbować od razu, co, Julio?

Potaknęłam. Klacz schyliła głowę i zaczęła obwąchiwać moje palce.

Później wpiła we mnie swe błyszczące oczy. Podeszłam bliżej jej boku.

Wujek wsadził mnie na siodło; podobnie jak ja nie zwracał uwagi na mą sukienkę. Zaczepiwszy nogą o lęk, bezskutecznie próbowałam ją

obciągnąć. Drugi raz w życiu miałam jechać konno, lecz pierwszy raz miało się to odbyć w damskim siodle.

- Niech pan ją wyprowadzi - polecił wujek. - Naprawdę chcesz spróbować, Julio?

- Tak - szepnęłam niemal oniemiała z zachwytu, czując pod sobą ciepłe spokojne zwierzę.

Ralf pochylił się i podał mi wodze. Pokazał mi, jak mam je trzymać, by swobodnie i naturalnie spoczywały między palcami, dokładnie tak, jakbym miała powozić. Później odwrócił swego konia i moja śliczna siwa klacz zaczęła stąpać obok niego. Wyglądała jak szara jedwabna wstążka z szerokim czarnym cieniem.

- Jak dobrze - odezwał się, gdy wolno przemierzaliśmy dróżkę. - Jak dobrze tak jechać z tobą u boku.

216

Nie odpowiedziałam, bo niemal go nie słyszałam. Byłam pochłonięta rytmem końskich kroków i dziwnym chybotliwym stylem jazdy na bocznym siodle.

- Wolałabym jechać okrakiem - powiedziałam. - Czuję się okropnie niepewnie.

- Tak sądziłem - zachichotał. - Wyobrażam sobie jednak, jaką minę miałaby twoja mama, gdybyś poprosiła o bryczesy, A babcia Havering! Roześmiałam się również i od razu wróciłam do realnego świata. Od chwili gdy zobaczyłam klacz, słyszałam w głowie rozkoszne nucenie. Byłam jakby pogrążona we śnie.

- Beatrice potrafiła jeździć równie dobrze jak mężczyźni, chociaż

korzystała z damskiego siodła - pocieszył mnie. - Sądzę, że panie byłyby bardziej bezpieczne, gdyby jeździły okrakiem, lecz niestety świat, w którym żyjemy, bardziej dba o ich wygląd.

Zgodziłam się z nim po chwili zastanowienia.

- Pokłusujmy - zaproponował.

Kilka razy niezgrabnie uderzyłam o siodło, potem jednak wpadłam w rytm i zaczęłam jechać w równym tempie.

- Jak się nazywa? - spytałam, gdy Ralf ściągnął lejce i zwolnił.

- Peggy. Myślę jednak, że dla ciebie to imię jest za mało fantastyczne!

- To prawda - przyznałam - lecz czy zmiana imienia nie przynosi pecha?

Zaśmiał się.

- Jeśli będziesz jeździć tak dobrze jak Beatrice, szczęście do koni nie będzie ci potrzebne. Sama sobie będziesz je przynosić.

- Mogę więc nadać jej nowe imię?

- Tak, pod warunkiem że ci się podoba i chcesz ją zatrzymać - odparł, drażniąc się ze mną.

Zastanawiałam się przez chwilę.

- Jak nazywał się ten siwy koń wujka Johna? - spytałam.

- Morski Kwiat.

- Zatem nazwę ją Morską Mgiełką - powiedziałam - bo ma ogon i grzywę tak białe jak przybrzeżna fala.

- A Mgiełką od wczesnej pory dnia, w której ją nazwałaś?

- Tak - odparłam z uśmiechem.

217

Klacz dostała nowe imię, a my jechaliśmy truchtem w przyjacielskim milczeniu.

- Lubisz galopować? - zagadnął mnie po chwili. Gdy skinęłam głową, objął prowadzenie, popędzając swego konia do równego, swobodnego galopu. Moja Morska Mgiełka wyskoczyła nagle do przodu, jakby miała wziąć jakąś wysoką przeszkodę, a ja uchwyciłam się łąku siodła w obawie, że mogę spaść. Obejrzał się, zobaczył moją pełną determinacji minę, ale nie zwolnił tempa. Mknęliśmy jak burza, w oczach migotały mi światełka i cienie. Zapomniałam o zdenerwowaniu. Przestałam się martwić, że spadnę czy że głupio wyglądam, i nisko pochylona nad grzywą konia pędziłam, wydając okrzyki radości. Ralf, słysząc to, roześmiał się i również przyspieszył.

Zatrzymaliśmy się przed bramą. Ralf powiedział:

- Świetnie! Pamiętaj, jeśli będzie ci się wydawało, że spadasz, trzymaj się albo siodła, albo grzywy. Nigdy nie rań jej pyska. Ona ma wargi delikatne jak jedwab. Nie przywiózłbym jej dla ciebie, gdybym nie wierzył, że masz lekkie ręce.

Skinęłam głową.

- A co z Richardem? - spytał zdawkowo. - On też chciałby mieć konia?

- Chyba nie. Nie chciał, by wujek wydawał pieniądze, skoro on i tak jest zajęty studiami. Zawsze może wziąć Księcia - konia wujka, jeśli będzie miał ochotę pojeździć sobie po posiadłości.

- Jakim jest chłopcem? Jakim będzie dziedzicem?

- Bardzo sobie ceni to, że przyszedł na świat w naszej rodzinie -

odparłam, troskliwie dobierając słowa. Czułam, chyba słusznie, że to pytanie jest bardzo ważne i odpowiedź na nie powinna być dokładna. -

Zrobiłby wszystko, żebyśmy mogli zostać właścicielami tej posiadłości.

Pokiwał głową.

- A jaki ma charakter?
- Jest dobry. Bardzo rzadko się złości. Nigdy nie gniewa się na mamę i nie okazuje gniewu przy ludziach.
- Nie bardzo mi to wygląda na gniew. Raczej na zawziętość - rzekł. - Co ją wywołuje?

Zakłopotana zmarszczyłam brwi. Nigdy nie analizowałam tych chwil, gdy oczy Richarda ciemniały z wściekłości. Po prostu przyjmowałam je tak jak burzę, która pojawia się latem, mimo że zwykle świeci słońce.

218

- Gdy mu się coś nie uda... - zaczęłam wolno, z zastanowieniem. Potem poprawiłam się: - Nie. Dzieje się tak wtedy, gdy nie udaje mu się być lepszym od innych.

- Lubi, by mu się szczęściło? - zapytał.

To słowo poruszyło jakąś strunę w moim umyśle.

- Chce być dzieckiem szczęścia - odparłam, patrząc mu prosto w oczy, i wiedziałam, że oboje słyszemy rezonans tych słów, głęboki jak bicie dzwonu. - Mówi, że nim jest.

Milczał przez chwilę.

- Ach, ta wieś i jej przesady! - rzekł z irytacją. - Nawet szlachcianki je powtarzają. - Potrząsnął głową, jakby wytrząsał z niej te głupie stare bajki.

- Wierzysz, że dotrzymywałby słowa, gdyby naprawdę był najważniejszy w Wideacre? Gdyby był dzieckiem szczęścia?

- Tak - odparłam. Wierzyłam Richardowi, bo przez całe życie go obserwowałam i kochałam.

- Nie jestem ślepy - obcesowo rzekł Ralf. - Wiem doskonale, że niewiele go obchodzi projekt podziału dochodów. Jeśli jednak John go w to

zaangażuje, a ty będziesz się domagać, by respektował zawartą umowę, czy mógłby złamać ją samowolnie? Czy też uzna, że to zobowiązanie honorowe?

- Jeśli da słowo, dotrzyma go - odparłam pewnie.

Nie wyglądał na przekonanego, ale skinął głową, potem zsunął się z siodła i złapał moje lejce.

W tym momencie otwarły się drzwi frontowe i ukazał się w nich Richard. Zamarłam. Dziecięce wspomnienie mej przejażdżki na Szeherezadzie było żywe nawet po wielu latach, więc natychmiast poczułam się winna, że w ogóle ujrzał mnie na koniu.

Gwałtownie wysunęłam stopy ze strzemion i zeskoczyłam na ziemię, nie czekając, aż Ralf mi pomoże. Chciałam się znaleźć z dala od tej ślicznej klaczy, na wypadek gdyby jej widok zdenerwował lub rozzłościł Richarda. Pomimo pewności, że on nie chce konia, nie miałam pojęcia, jak się zachowa, widząc mnie na grzbiecie Mgiełki.

- Richardzie! - uśmiechnęłam się nerwowo. - Spójrz, jaką piękną klacz przyprowadził z Rogate pan Megson.

Zerknęłam na niego i z ulgą dostrzegłam, że się uśmiecha.

- Przepiękne zwierzę - uprzejmie zwrócił się do Ralfa. - Na sprzedaż?

- Tak - odparł Ralf lakonicznie. - Pasuje do panny Julii.

219

- Julia jest urodzoną amazonką - wielkodusznie powiedział Richard.

- Nazywa się przecież Lacey. - Słowa Ralfa zabrzmiały tak, jakby to wszystko tłumaczyło. - Zabiorę ją do stajni. Pożyczyłem ją na kilka dni, a potem musi pani zdecydować, czy ta klacz jej odpowiada. Jeśli nie, odwiozę ją przy okazji. Na wypadek gdyby ją pani polubiła,

poinformowałem już pana Johna,
jaka jest cena.

- Wysoka, prawda? - spytał Richard. Ralf spojrział na niego z obojętnym wyrazem twarzy.

- Panna Julia musi mieć dobrego konia. Jako współdziedziczka Wideacre musi wszędzie jeździć i doglądać prac. Nie wypada, żeby jeździła na byle jakim zwierzęciu.

Richard zamrugał oczami.

- Oczywiście - powiedział. - Panna Julia powinna mieć wszystko najlepsze.

Coś w jego głosie mówiło, że nie jest w zbyt dobrym humorze, lecz kiedy zwrócił się do mnie, był uśmiechnięty. Wziął mnie za rękę i poprowadził do bramy ogrodu, kłaniając mi się i żartobliwie naśladowując maniery dworskie. Zawahałam się i z uśmiechem zerknęłam na Ralfa.

- Dziękuję, Ralf. - Tylko on wiedział, jak gorące było to podziękowanie.

- Tylko nie zapominaj o mnie, gdy już będziesz wielką panią na koniu - powiedział Richard, krocząc obok mnie po ścieżce. - Wyglądasz zupełnie jak młoda dama. Nie zapominaj, że dla mnie zawsze będziesz małą kuzyneczką.

Razem weszliśmy do domu i znaleźliśmy się w pustej sieni. Była ciemna, słabo oświetlona odrobiną słońca przedostającego się przez niewielkie okienko nad drzwiami. W półmroku twarz Richarda wydawała się jakby szczuplejsza, dziwna. Serce zabiło mi szybciej i zabrakło mi oddechu tak, jakby nie był on mym drogim bliskim kuzynem, lecz kimś obcym i

budzającym niepokój. Nie czułam się swobodnie. Doznawałam czegoś, co oczywiście nie mogło być bólem, ale nie miało również nic wspólnego z przyjemnością. W pewnym momencie poczułam, że uginają się pode mną kolana.

Zbliżył się i objął mnie w pasie.

- Źle wyglądasz, Julio. Mam nadzieję, że nie zmęczyła cię przejażdżka?

220

- Nie. Wcale nie jestem zmęczona.

- O jej - mówił cicho. - Jesteś taka wiotka i wyszczuplałaś, albo to ja stałem się cięższy. Urosłaś i w ogóle się nie zaokrągliłaś. Spójrz, prawie mogę objąć cię dłońmi. - Przez muślinową sukienkę czułam ciepło jego dłoni i siłę uścisku.

- Nie zbliżaj się - rzekłam bez tchu.

Jego twarz była blisko, a ręce wciąż spoczywały na mej talii. Na policzku czułam jego oddech. Oczy mu pociemniały, lecz nie ze złości. Staliśmy jak sparaliżowani w tej ciemnej sieni, nie mając odwagi bardziej się przysunąć i niezdolni, by od siebie odejść.

Potem usłyszałam dobiegający z salonu śmiech mamy i oboje odskoczyliśmy od siebie z takim poczuciem winy, jakbyśmy zrobili coś złego.

- Lepiej pójdę - wyszeptałam i ruszyłam na górę zdjęć pogniecioną sukienkę. Czas już było iść na śniadanie, a mama nie byłaby zachwycona, gdybym przyszła do stołu prosto z końskiego grzbietu.

- Julio - zatrzymał mnie, gdy stawiałam stopę na pierwszym stopniu.

Wsparta dłonią na poręczy nie drgnęłam nawet, gdy się zbliżył, lecz w

głowie zawirowowało mi z lęku i z radości.

Nie przysunął się jednak do mnie blisko, lecz zatrzymawszy się obok poręczy, skłonił głowę i pocałował mnie w rękę. Popatrzył na mnie przeciągle, później odwrócił się i wszedł do biblioteki, zostawiając mnie w ciemnej sieni całkiem samą.

Przyłożyłam ucałowaną przed chwilą dłoń do policzka i mocno przycisnęłam. Potem wolno, bardzo wolno ruszyłam na górę do sypialni. Czułam, że muszę być sama i bardzo dokładnie coś przemyśleć. Lecz gdy zamknęłam za sobą drzwi pokoju, nie byłam w stanie myśleć o niczym. Miałam pustkę w głowie, ale na pewno rozdzierały mnie dwa uczucia. Jednym z nich była jakaś zmysłowa tęsknota, tęsknota Beatrice.

Wiedziałam, że uczuciem tym jest pożądanie, i wolałam je nazywać jej pożądaniem, a siebie uważać za kogoś opętanego przez nią w ciemnej sieni. Drugim uczuciem był niepokój. Przez wiele lat żyłam blisko Richarda, kochałam go jak brata i myślałam o nim jak o bracie. I choć wiele razy mówiliśmy o naszym przyszłym małżeństwie i wspólnym władaniu ziemią, nigdy nie myślałam, że będzie się do mnie zalecał. Nie przypuszczałam, że pewnego dnia mnie dotknie. Jego ręce ściskające mą talię, ciepło oddechu na dłoni, przepełniły mnie

221

pożądaniem, ale sprawiły też, że drżałam, jakby było w tym coś złego.

Coś naprawdę bardzo złego.

Niepokój nie opuścił mnie przy śniadaniu, a ukradkowe spojrzenie Richarda jeszcze go wzmogło. Wujek i mama śmiali się z czegoś nad otrzymanym listem i żadne z nich nie dostrzegło

mego zakłopotania.

- Jakie masz plany na dzisiaj, moja droga? - zapytał John, gdy mama nalewała nam kawę.

- Dzisiaj zamieniam się w szwaczkę lub modystkę - odparła wesoło. -

Dziewczęta błagały, bym nauczyła je ozdabiać sukienki i kapelusze, więc muszę przyszykować pudełko ze skrawkami materiałów. Odkąd nauczyłam je upinania wstążek, puszka z datkami na biednych w Acre jest z pewnością najbardziej frywolna w całym kraju! Z przerażeniem myślę, że zobaczy ją nasz pastor.

- Rachunki parafialne również nie wytrzymują jego inspekcji - powiedział wujek. - Pilną potrzebą, zdaniem pana Megsona, są na przykład posagi dla dziewcząt, żeby mogły wyjść za mąż, za kogo zechcą. Żyję w ciągłym strachu, że wróci twój ojczym i zobaczy mnie w centrum tej radosnej rozrzutności.

- To nie rozrzutność - odezwałam się w obronie Ralfa. - To jedynie zdrowy rozsądek. Jeśli dziewczęta wyjdą za mąż w Acre, nie będą musiały stąd wyjeżdżać na służbę. Dzięki temu zatrzymamy na miejscu całe rodziny i będziemy mieć więcej godnych zaufania ludzi do pracy.

- Wiem - odparł z uśmiechem. - Naprawdę wiem o tym. Wiem też, że jeśli nasze gospodarowanie nie ma uszczęśliwić młodych ludzi, to wszyscy marnujemy czas.

Mama przytaknęła.

- Niedługo będę musiała pójść, a chciałabym jeszcze przygotować materiały, aby dziewczęta mogły zacząć pracę. Co robisz dzisiaj, Julio? Spojrzałam na wujka.

- Wezmę sobie trochę wolnego, dobrze? Chciałabym sprawdzić, jak

Mgiełka radzi sobie na wzgórzach, i obejrzeć owce, które kupił pan Megson. Potem rzucę okiem na broszury o sadownictwie, istnieją bowiem jakieś okropne choroby drzew, a ja nie wiem o nich zbyt wiele.

- A ty, ojczy, nie mógłbyś leczyć drzewek Julii? - zapytał

Richard.

222

- Oczywiście, ktoś powinien to robić - powiedział. - Dziś jednak wychodzę do Acre. Jeżeli będziesz potrzebowała recept na leki dla twoich jabłonek, musisz mi o tym dać znać.

Wstaliśmy od stołu. Wysłałam do sieni razem z mamą. Przez otwarte drzwi wpadało świeże powietrze, po deszczu widać było, że jest wymyte, nawilżone i pełne zieleni. Zmrużyłam oczy oślepiona jaskrawą barwą młodych liści w parku.

- Dzisiaj jest tak zielono - odezwałam się.

Mama skinęła głową, pakując do woreczka kłębki wełny.

- Nareszcie ładny dzień. Proszę jednak, żebyś ostrożnie jeździła na nowym koniu. Obiecuj mi, że nie pojedziesz dalej niż do pastwiska na wzgórzu i że nie będziesz galopować. Niech Richard przyjedzie z tobą na obiad.

Dałam więc słowo, pocałowałam ją i przyglądałam się, jak idzie przez ogród, a później wsiada do czekającego przy bramie powozu. Potem oznajmiłam Richardowi, że o drugiej będę przy stodole, i obserwowałam go odjeżdżającego na Księciu, który zdawał się bez wysiłku pokonywać mile swym rozkołysanym krokiem. W końcu oparłam stopy na podnóżku, przysunęłam do siebie stolik z broszurami i zaczęłam czytać. Nie! Nie żadne broszury! Na nic moje mocne postanowienia! Pomiędzy broszurami

znalazłam powieści wypożyczone przez mamę z biblioteki. Zerknęłam tylko na tytułową stronę jednej z nich, żeby zobaczyć, czy jest ciekawa. Następną rzeczą, którą sobie uświadomiłam, było pukanie Stride'a do drzwi. Przyniósł dla mnie kawę i okazało się, że jest już po pierwszej. - O nie! - zawołałam. - Obiecałam Richardowi, że o drugiej będę na wzgórzach. Stride, poproś Jema, by osiodłał dla mnie Mgiełkę. Zaraz wyjdę, tylko się przebiorę.

Filizankę zabrałam ze sobą na górę i popijałam kawę, przebierając się w nowy strój do jazdy. Mama dotrzymała słowa i kupiła mi go, choć nie miałam jeszcze wtedy konia; dziś wkładałam go po raz pierwszy. Miał głęboki śmietankowy kolor wpadający w żółty odcień - była to barwa delikatnego sosu maślanego. Fala sztywnego aksamitu przeszła nad moją głową, potem przesunęła się po wypukłościach piersi i bioder, a ja mruczałam z rozkoszy, czując jego dotyk i zapach. Do kostiumu dopasowano śliczny kapelusik z piórem ufarbowanym na ten sam kolor. Ponadto za namową Johna mama kupiła mi wysokie buty ozdobione maleńkimi żółtymi frędzelkami, które uznałam za szczyt elegancji.

223

Mogłabym godzinami wdzięczyć się do poplamionego lustra, lecz przypominałam sobie o Richardzie i - co ważniejsze - o tym, że Mgiełka czeka gotowa w stajni.

Jej skóra połyskiwała tak jasno, że klacz sprawiała wrażenie białej, a nie jabłkowitej. Jem umył jej grzywę i ogon od razu po tym, jak Ralf zostawił ją w boksie, i wyglądała teraz jak baśniowy jednorożec. Jem uśmiechnął się, widząc wyraz mej twarzy, i wyciągnął dłoń, abym mogła w nią włożyć stopę i wsiąść na konia.

- Proszę jeździć ostrożnie - rzekł, a ja przypomniałam sobie Johna Dencha, który udzielił mi pierwszej lekcji jazdy. - Pierwszego dnia lepiej nie galopować. Chcemy, by panienka wróciła na jej grzbiecie, nie na noszach.

Kiwnęłam głową, choć prawie go nie słyszałam, bo byłam zajęta szczytywaniami białych loków grzywy Mgiełki na prawą stronę błyszczącego karku.

- Będę ostrożna - obiecałam i skierowałam ją na drogę. Zobaczyłam, jak strzyże uszami, potem poczułam, że najpierw drobi kopytami po bruku, a później zaczyna przyspieszać.

Gałęzie nad moją głową połyskiwały zielono w słońcu, młode listki tętniły życiem. Na żywopłotach po obu stronach alei widniały kremowe plamy dzikich róż, na nasypach natomiast rosła rzeżucha łąkowa. W głębi lasu ziemię pokrywał dywan późnych dzwoneczków i przesycił ją zapach dzikiego czosnku. Nad baldachimem z liści fruwały po niebie oszalałe ptaki szukające pokarmu dla młodych, a cały las tętnił nawoływaniem zalecających się turkawek. Przez ich marzycielskie gruchania przebijała się pieśń kukułki, która przywoływała z odległych wzgórz swego małżonka.

W ogrodzie za bramą stróżówki siostra Jenny ze swoimi córeczkami sadziła ziemniaki. Pomachały do mnie dłońmi, po czym dziewczynki, Neli i Molly, podbiegły do wyjścia.

- Nie mogę was dzisiaj przewieźć - odpowiedziałam na nieme pytanie malujące się w ich oczach. - Jeszcze nie czuję się wystarczająco pewnie na tym koniu. Mam go od niedawna i muszę się nauczyć dobrze jeździć, zanim kogoś zabiorę ze sobą. Gdy tylko nabiorę wprawy, przyjadę tutaj i

każda z was pojeździ ze
mną.

Dzieci rozpromieniły się, a ja z powrotem wjechałam na drogę do Acre.
Nie skierowałam się jednak do wsi, lecz skręciłam w boczną dróżkę
przeznaczoną tylko dla koni, która wiodła

224

w stronę pola uprawianego niegdyś przez wieśniaków. Ralf Megson
nalegał, by te niewielkie działki oddać im ponownie, po jednej na chatę,
żeby znowu mogli uprawiać warzywa dla siebie. Ja jednak uznałam, że na
ten cel lepiej nadaje się jedno z nowych pól ogrodzonych przez Beatrice.
Obsiano je tylko raz, potem przez cały czas leżało odłogiem. Poza tym
znajdowało się blisko wioski i niedaleko rzeki, co było ułatwieniem dla
tych, którzy chcieli uprawiać rośliny wymagające podlewania.

- No i była to wspólna ziemia zabrana przez Beatrice, a teraz zwrócona
wsi przez panią - ostro odezwał się Ralf. - Panno Julio, wolałbym nie mieć
w pani przeciwnika. To bardzo zręczne posunięcie.

Uśmiechnęłam się.

- Panie Megson, mam nadzieję, że nigdy nie będę pańskim wrogiem.

Dopóki interesy moje, pana i Acre będą się zgadzać, nie będzie powodu do
niezgody, cóż dopiero mówić o wrogości.

Odrzucił w tył swoją siwą głowę i wybuchnął śmiechem.

- Żadnego powodu! - zachichotał. - Całkowita zgoda panów, zarządców i
ludności już na zawsze.

- Amen! - powiedział wujek, spoglądając to na mnie, to na Ralfa.

- Amen? - Ralf ciągle się uśmiechał. - Chyba alleluja! Bo nadeszło nagle
Królestwo Niebieskie! U nas i we Francji!

Roześmialiśmy się, a obaj mężczyźni uznali, że pole przy trasie dla koni zostanie w tym roku obsiane koniczyną dla zasilenia gleby. Później możemy tam uprawiać pszenicę, warzywa czy nawet owoce.

W trawie stale było widać granice wykopane pomiędzy działkami, a starsi ludzie wciąż jeszcze pokazywali jakiś zarośnięty pokrzywami róg pola i mówili: „To kiedyś było moje, rosła tu marchew, pasternak i ziemniaki.” Choć nie istniały żadne prawne akty posiadania i dziedziczenia, potrafili odtworzyć historię tej czy innej działki od ponad dwustu lat, określając nie tylko nazwiska właścicieli, ale i rośliny uprawiane przez nich.

Na widok trawiastej drogi, która skręcała aż za wzgórze, moja Morska Mgiełka postawiła uszy, a ja zapomniałam o obietnicach danych mamie i Jemowi. Klacz wydłużyła krok i przeszła do pełnego galopu, który dla mnie był łatwiejszy niż trucht. Pochyliłam się nad jej wygiętą szyją, przesuwając do przodu środek ciężkości i popędzałam ją. Mknęłyśmy galopem w górę zbocza, błoto rozpryskiwało

225

się na wszystkie strony, wiatr świstał mi w uszach, a oprócz niego słyszałam tylko stukot jej kopyt i moje wołanie „Naprzód! Naprzód!” Mgiełka biegła tak szybko, jakbyśmy brały udział w wyścigu.

Zwolniła tempo, gdy przed nami pojawiło się pole i ścieżka zaczęła się zwężać; na szczęście, bo naprawdę nie miałabym pojęcia, jak ją zatrzymać, gdyby zdecydowała się pędzić dalej. Była cudownym zwierzęciem, wspaniale ułożoną klaczą. Jestem przekonana, że myśl o pędzeniu aż na szczyt wzgórza powstała nie tyle w jej, co w mojej głowie. Miałam straszną ochotę uciec i spędzić cały dzień na jej grzbiecie, lecz

przypomnienie obietnicy danej Richardowi i wyrzuty sumienia przywołały mnie do rzeczywistości, gdy zobaczyłam Księcia uwiązanego przed nową stodołą. Podprowadziłam do niego Mgiełkę, zsunęłam się z siodła i przymocowałam lejce do palika, po czym weszłam przez otwarte drzwi.

Oślepiąca ostrym blaskiem słońca przez chwilę nie widziałam, co dzieje się w środku. A potem zaczęłam mrugać oczami, nie wierząc w to, co zobaczyłam.

W przeciwległym krańcu stodoły, przyciśnięty plecami do ściany, stał Richard. Kapelusz spadł mu z głowy, ogromne oczy pociemniały z przerażenia. W panującym półmroku wydawał się podobny do ducha.

Owce i barany zgromadziły się dookoła niego, tworząc wielkie półkole. Przyciśnięte do siebie bokami, tworzyły olbrzymie stado, przez które nie można się było przedostać. Rozejrzałam się po stodole, szukając wzrokiem pasterza lub jego psa, bo nigdy przedtem nie widziałam, by barany podchodziły tak blisko, chyba że były pędzone lub ochraniały owce z młodymi. Nie było tam jednak nikogo - tylko Richard i gromada zwierząt, które stały o dwadzieścia stóp od niego w takim ścisku, jakby znajdowały się na wozie.

Potem zaczęły się do niego zbliżać.

Z niedowierzaniem patrzyłam, jak potężnie zbudowany tryk tupnął swym rozszczepionym kopytem raz, później drugi, wreszcie pochylił głowę.

Ledwo dostrzegalnym ruchem, jak fala, wszystkie przesunęły się do przodu, przycisnęły się do siebie jeszcze mocniej, ich oszalałe żółte oczy

pojaśniały, a białe zaokrąglone pyski z ciemnymi szczelinami nosów znalazły się bliżej Richarda.

226

Tłoczyły się wokół niego tak, jak rozwścieczone stado otacza małego pieska. Tym razem jednak okręzały człowieka.

Przez moment odczuwałam to samo przerażenie, które przygwoździło Richarda do ściany. Był to głęboki pierwotny lęk przed czymś, czego się nie rozumie, co nie jest zgodne z naturą albo przynajmniej z całą naszą dotychczasową wiedzą. Gdybym była przesądna, pewnie uznałabym, że opętał je diabeł, i uciekła w przestachu, gdy baran znowu tupnął swym ostrym kopytem.

Ja jednak szybko nabrałam w płuca powietrza - chyba samo powietrze Wideacre dodawało mi odwagi - i powiedziałam: „Nie!”, jakby baranom można było dawać rozkazy podobnie jak psom.

- Nie! - powiedziałam, a Richard nagle zmrużył oczy i zobaczył jasny kwadrat drzwi i moją sylwetkę na ich tle.

- Julia! - wyszeptał wylęknionym schrypniętym głosem. - Julio, sprowadź pomoc. Te barany oszalały.

- Nie! - powtórzyłam, dodając sobie animuszu. Zgarnęłam fałdy sukienki i ruszyłam prosto w ich kierunku w swych nowych butach z żółtymi frędzelkami.

Rozstąpiły się, gdy przechodziłam, oczywiście, że to zrobiły. Zawsze tak robią. Zeszły z drogi i zrobiły mi przejście - prosto do Richarda. Potężny tryk schylił głowę, demonstrując rogi, lecz znów powtórzyłam: „Nie!”, więc cofnął się na swych zgrabnych kopytkach aż na drugą stronę stodoły. Dopóki do niego nie dotarłam, Richard nawet nie drgnął. Potem wyciągnął

ramiona i przywarł do mnie jak tonący, który właśnie po raz trzeci idzie pod wodę.

Objęłam go mocno i razem ruszyliśmy w stronę wyjścia. Mój kuzyn potykał się. Gdy tylko z wahaniem przełożył nogę przez poprzeczkę, tryk i niektóre stojące obok niego owce podeszły nieco bliżej i wlepiły w niego swe obojętne żółte oczy. Zatrzymały się, gdy jak wiejska dziewczyna odganiająca kury krzyknęłam: „Sio!” Rozejrzałam się po stodole i zobaczyłam, że Richard ich nie nakarmił. Podniosłam stojące obok drzwi wiadro z karmą i napełniłam koryto. Zwierzęta podeszły do niego skwapliwie i przestały na nas zwracać uwagę. Przecisnęłam się między nimi do drzwi i odsunęłam poprzeczkę, aby wyjść.

Richard siedział na zewnątrz i zamknięwszy oczy, wystawiał twarz do blasku i ciepła słońca. W milczeniu usiadłam obok niego.

227

Nie wiedziałam, co naprawdę wydarzyło się w tej ciemnej stodole.

To, co widziałam, wydawało się nieprawdopodobne.

- Rzuciły się na mnie - odezwał się bardzo cichym głosem. - Wszedłem tam, żeby je nakarmić, a one ustawiły się w pierścień dookoła mnie.

Postawiłem na ziemi wiadro z karmą, bo myślałem, że idą do niego, lecz nie - one szły do mnie.

- A gdzie jest pasterz? - zapytałam.

- Przesłał dziecko z wiadomością, że jest chory - mówił potrząsając głową, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się stało. - Powiedziałem, że nie ma problemu, mogę sam je nakarmić i napoić. Chciałem też dać im trochę siana. Lecz gdy znalazłem się w stodole, za ogrodzeniem, otoczyły

mnie i zaczęły iść w moim kierunku. Zrobiłem krok do tyłu, a one szły za mną. Cofałem się i cofałem, ich było coraz więcej, aż wreszcie dotknąłem plecami ściany i one zaczęły się przybliżać.

Wstrząsnął nim dreszcz i oparł głowę na kolanach.

- Barany nie robią takich rzeczy - rzekł.

Nie odpowiedziałam. Otoczyłam go ramieniem i wsunęłam dłoń pod kołnierz jego kurtki. Płócienna koszula, którą miał na sobie, była mokra od potu. Był przerażony. Przez ułamek sekundy odtworzyłam w pamięci jego obraz w dniu, gdy po raz pierwszy zobaczył Szeherezadę, i przypominałam sobie, jak klacz spłoszyła się i położyła po sobie uszy, czując go w pobliżu.

- Nieważne - powiedziałam łagodnie.

Nie potrafiłam powiedzieć nic więcej. Scena w ciemnej stodole była koszmarnym snem, jednym z tych chorych snów, w których zwykłe przedmioty stają się nieskończenie groźne.

- Nie - powiedział tak, jakby chciał szybko zapomnieć te minuty nikczemnego strachu. - To w ogóle nie ma znaczenia.

- Chcesz już iść do domu? - zapytałam, spoglądając na słońce i dochodząc do wniosku, że musi już być wpół do trzeciej.

- Za chwilę. Co zrobimy z baranami?

- Otworzę drzwi i wypuszczę je na łąkę - powiedziałam wstając. - Policzę je, gdy będą wychodziły, a Giles obejrzy je dokładnie po powrocie.

- Wobec tego ja zamknę bramę - rzekł.

Poszedł wyprowadzić konie, a ja widziałam, że po drodze oglądał się nerwowo. Stałam więc w miejscu, by go upewnić, że nie wypuszczę stada, zanim on nie minie bramy i bezpiecznie nie

zamknie jej za sobą. Księżę był nieruchomy kiedy Richard odwiązywał jego lejce, lecz Mgiełka po trochu odsuwała się. Ruszyłam w stronę stodoły dopiero wtedy, gdy wsiadł na konia i skinął mi głową.

W mrocznym wnętrzu zobaczyłam zwrócone ku sobie białe pyski. Przez moment poczułam to samo przerażenie, które pozwoliło zwierzętom otoczyć Richarda, lęk, który każde zwierzę nieomylnie odbiera i odczytuje jako poczucie, że jest się w pułapce lub w mniejszości.

- Nie - powiedziałam po raz kolejny, a za moją pewnością siebie stała potęga i wiedza Laceyów. Uniosłam głowę aroganckim ruchem dumnej rudej Beatrice. - Oczywiście, że nie

- oznajmiłam stanowczo i odsunęłam poprzeczkę na tyle szeroko, by przez powstały otwór mogło się przedostać jedno zwierzę.

Zadrzały, lecz widok darni na wzgórzu był zbyt silną pokusą. Stary tryk minął mnie ze spuszczoną głową, pozostałe wybiegły za nim i w końcu została tylko jedna głupia owca, zbyt tchórzliwa, by iść do przodu, ale jednocześnie zdenerwowana, że została sama. Otworzyłam zagrodę szerzej i cisnęłam starą rzepą w jej podskakujący zad, gdy wreszcie zdecydowała się koło mnie przebiec. Cieszyłam się, że ją uderzyłam. Przedtem to ja się bałam.

- Załatwione - pogodnie odezwałam się do Richarda, wspinając się na bramę. Podprowadził do mnie Morską Mgiełkę tak, bym prosto z bramy mogła wejść w strzemiona.

- Nienawidzę owiec - rzucił lekko. - Powiem tacie, że nigdy nie będę pastuchem, więc nie zamierzam tego próbować. Powiem mu, że nie będę się zajmować tym stadem, wolę się skupić na budowie dworu. Bóg jeden

wie, ile tam jest do zrobienia!

- Naprawdę? - spytałam. - Jak ci idą poszukiwania tego kamienia, którego potrzebuje architekt?

- Chyba zdecydujemy się na kamień z Bath. Wydobywany tutaj jest zdaniem projektanta zbyt miękki. Ze względu na koszty transportu chciałem znaleźć coś bliżej domu i pewnie by mi się to udało, ale ten projekt aż się prosi o żółty piaskowiec.

- Uwielbiam jego kolor, gdy jest nowy - powiedziałam.

- Jak wiele starego kamienia zdołacie wykorzystać?

- To następny problem. Próbuję go przekonać, by w miarę możliwości trzymał się sylwetki dawnego dworu, co zaoszczędziłoby nam pracy, bo nie musielibyśmy kopać nowych fundamentów

229

i piwnic, oraz żeby wykorzystał stary kamień i stojące nadal ściany. On oczywiście wolałby budować wszystko od nowa.

Aleja przed nami rozszerzyła się, więc jechałam obok niego i przez całą drogę do domu słuchałam opowiadań o odbudowie dworu. Nie wspominaliśmy już stada, które zostało na zboczu wzgórza. Richard spędził kilka chwil sam na sam z ojcem i oznajmił mu, że nie będzie się zajmował inwentarzem.

Wujek, człowiek wychowany w mieście, potomek wielu pokoleń kupców, nie uznał tego za dziwactwo. Troska o owce i niewielkie stado mlecznych krów stała się od tego dnia moim obowiązkiem. Ktoś to przecież musiał robić. Mama miała swoją szkołę, wujek był odpowiedzialny za zdrowie mieszkańców i finanse, Ralf Megson dozorował uprawę roli, Richard objął pieczę nad dworem, a ja codziennie opuszczałam dom, by pilnować

zwierząt, pól i zbiorów. Byłam bardzo zapracowana, zmęczona... i naprawdę byłam Laceyem na własnej ziemi.

Richard nie zajmował się inwentarzem. Richard nie zajmował się ziemią i uprawami. Richard nie zajmował się ani dzierżawcami, ani chałupnikami, ani robotnikami, ani zawiłymi szczegółami posiadania i dzielenia ziemi w Wideacre.

Jego wielką miłością, wielkim zadaniem stała się praca nad odbudową dworu. A mama, ja, nawet wujek - wszyscy musieliśmy przyznać, że każdego dnia coraz więcej wiedział o tym, co dzieje się wokół naszego domu. Tylko on mógł z zapałem, jeśli nie namiętnością, poszukiwać w dwunastu kamieniołomach właściwego koloru kamienia tak długo, aż znalazł ten, który uznał za właściwy.

- Jest ciemniejszy od zwykłego piaskowca - wyjaśniał pewnego dnia wujkowi, Ralfowi i mnie w bibliotece, gdzie zebraliśmy się, by podjąć decyzję o uprawie owoców jagodowych. - Będzie dobrze harmonizował ze starym kamieniem. Architekt i budowniczy chcieli, żeby korzystać jedynie z nowego budulca, lecz wydaje mi się, że dobrze robię, wybierając ten właśnie, mimo że trzeba go będzie przywozić z daleka. Za to będziemy go potrzebować o połowę mniej, bo wykorzystamy stare kamienie. Ponadto bardzo mi się podoba to, że w ten sposób naprawdę odbudujemy dwór z ruin.

Ralf Megson uniósł brew, słysząc te słowa, lecz nie podniósł głowy znad planów rozłożonych przed nami na stole. Potem odezwał się:

230

- Nie mogę dać wielu ludzi. Nie mają odpowiednich kwalifikacji. Mogą dla

pana wykonać jedynie niektóre prace.

Richard skinął głową.

- Rozmawiałem już z architektem i uznaliśmy, że będzie mógł sprowadzić doświadczonych robotników budowlanych. Mogą zamieszkać w Midhurst i codziennie przyjeżdżać wozem. Czy sądzi pan, że to spowoduje wzburzenie w Acre?

Ralf nadał policzki i surowo popatrzył na Johna.

- Ci ludzie będą dostawać zapłatę, jak sądzę? Nie będą uczestniczyć w podziale dochodów?

Wujek spokojnie przyjął to spojrzenie.

- Nie będę w tej sprawie toczył akademickich sporów. Dostaną uczciwe stawki. Poza tym jesienią sprowadzimy też ludzi do orki i siania pszenicy. Będą pracowali na dniówki. Nie sądzę, by wieś mogła tego nie zaakceptować.

- Dopóki nasze zyski będą większe od dniówek - odrzekł Ralf.

- Takie właśnie są moje plany - powiedział wujek. - Panie Megson, czy byłby pan tak uprzejmy i rzucił okiem na tę mapę...

Rozłożył narysowany przez Richarda plan dworu i mapę pól Wideacre, na której różne kolory oznaczały różne gatunki upraw. Richard spojrzał na mnie smętnie. Nikt tak jak on nie przejmował się dworem.

- Zamierzam stworzyć doskonale zrównoważoną posiadłość rolną - mówił dalej wujek. - Obojętne jaka będzie pogoda, zjawiska klimatyczne zawsze będą sprzyjać jakiemuś gatunkowi. Chciałbym uprawiać ich wiele.

- Wszystkie owoce potrzebują słońca - zauważył Ralf, spoglądając na pomalowane na zielono fragmenty pól, które pokazywały uprawę owoców.

- Tak, to prawda. Ale znoszą też deszcz i z czasem wydają takie odmiany,

które są bardziej wytrzymałe. W rozwijających się miastach powstaje wielki rynek zbytu. Chcę, by owoce z Wideacre jechały do Chichester, Portsmouth i nawet do Londynu.

- To znaczy, że widzi pan przyszłość we właściwym świetle - krótko rzekł Ralf. - W miastach jest coraz więcej ludzi i trzeba ich nakarmić. Jednak gdyby doszło do wojny z Francją, znacznie wzrosłaby cena chleba. W czasie wojny dobrze jest uprawiać pszenicę.

231

Wujek skinął głową.

- A co z Acre? - zapytał. - Co ludzie powiedzieliby na uprawę pszenicy na szeroką skalę?

W pokoju zapadła cisza. Wydawało się, że powietrze pachnie dymem dawnych rozruchów. Potem Ralf uśmiechnął się.

- A czemu mieliby protestować? Nigdy nie byli przeciwni sensownym dochodom. Nikt nie był przeciwnikiem eksportu żywności. Nie miały tu miejsca zamieszki na tle jej dystrybucji, wyjąwszy te wypadki, gdy głodująca ludność widziała, jak wysyła się jej zbiory.

- Mówi pan tak, jakby te rozruchy miały racjonalne uzasadnienie. - Richard powiedział to głosem spokojnym i zachęcającym. - Czy zetknął się pan osobiście z takimi awanturami?

- Tak, zetknąłem się - odparł Ralf i rzucił mi lekki uśmiezek, który wyraźnie mówił, że nigdy nie był on jedynie neutralnym obserwatorem. - Nigdy nie widziałem takich, które na swój własny sposób nie byłyby uporządkowane.

- Uporządkowane zamieszki? - zainteresował się wujek, który

wychowywał się w Edynburgu, a czternaście ostatnich lat spędził w Indiach.

- Tak. Zwykle biorą w tym udział kobiety, więc nie wygląda to na walczących ze sobą mężczyzn czy wichrzycieli. Widziałem takie rozruchy w Portsmouth. Kobiety otoczyły piekarnię, w której sprzedawano za pełną cenę bochenki chleba o zaniżonej wadze. Wyjęto więc drzwi frontowe sklepu, zatrzymano piekarza i wezwano sędziego pokoju. Ten obejrzał używaną w piekarni wagę i stwierdził, że zaniżała ciężar, bo została podpiłowana. Ponownie zważył wszystkie bochenki i sprzedał je kobietom po rzetelnych cenach. A one uwolniły tłustego brzuchatego piekarza i poszły sobie. Nikomu nic się nie stało, sklep nie został zniszczony z wyjątkiem drzwi wyjętych z zawiasów, a w dodatku w kasie zostały pieniądze.

Ta opowieść zaintrygowała wujka, natomiast my z Richardem byliśmy rozbawieni.

- Sędzia pokoju przyznał rację buntownikom? - zapytał wujek z niedowierzaniem.

Ralf wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- On uznawał dawne normy moralne. Nikt nie lubi nieuczciwych kupców, podobnie jak nikt nie lubi spekulantów. Te kobiety były sympatyczne i godne szacunku, ale mój Boże, jakie

232

one były wściekłe! Gdyby to na mnie patrzyły wtedy... dałbym im połowę sklepu!

- Ale na pana pewnie też patrzyły, prawda, panie Megson - spytałam chytrze. - Co pan tam robił?

- Nic - odparł niewinnie. - Po prostu tam stałem i trzymałem drzwi... i dłuto... i młotek.

Wszyscy głośno wybuchnęliśmy śmiechem, a Ralf wtórował nam chichotem.

- Tamte dni już przeminęły - rzekł jakby z żalem. - Dni, kiedy biedni ludzie mogli się domagać sprawiedliwych cen na targowisku. Zauważenie tego zabrało mi trochę czasu, ale teraz to wiem. Dlatego właśnie nie sprzeciwiam się obsiewaniu Wideacre zbożem i sprzedaży go z zyskiem. Jedynym sposobem, by nakarmić ubogich w całej Anglii, jest zaopatrywanie w wystarczającą ilość jedzenia rynków w całym kraju i rozwożenie go wszędzie. Biedni nie mogą się uzależnić od towarów produkowanych na miejscu, nie mogą też kontrolować przepływu zboża. Wujek zgodził się z nim.

- Według naszego systemu nadmiar ziarna będzie sprzedawany w Londynie. Będzie to o wiele bardziej opłacalne niż sprzedawanie go po niskich cenach na targu w Midhurst.

Ralf skinął głową.

- Oczywiście trzeba zawsze zostawić tyle, by najedli się mieszkańcy Acre, ale do tego wystarczyłby zbiór z kilku pól. Tymczasem tu w Wideacre możemy ich mieć ze dwadzieścia.

- Nie tylko Acre musi zostać wyżywione - odezwał się. - Zboże wysyłane przez nas do Midhurst jest wykupywane przez ubogich z całego regionu. Byłoby dobrze, gdybyśmy się dogadali z innymi posiadaczami i wszyscy utrzymywali dostawy po rozsądnych cenach na miejscowy rynek, natomiast zarabiali w miarę możliwości na nadwyżkach.

- Handlowy krąg na rzecz ubogich! - ze śmiechem powiedział Ralf. -

Panno Julio, powinna pani iść na barykady. Słyszałem o tworzeniu takich kręgów w celu uzyskania jak najwyższych cen, pani tymczasem proponuje, by się stowarzyszać w celu uzyskania cen rzetelnych! Krąg producentów wyświadczających dobrodziejstwa konsumentom! To byłoby coś zupełnie nowego.

- Kto wie, może to się uda - poważnie rzekł wujek. - Nie było tu pana, gdy ojciec Julii, dziedzic, rozpoczął swoje eksperymenty rolnicze, a Beatrice zarządzała posiadłością. W tych dobrych czasach

233

Wideacre wywierało wpływ na całe hrabstwo. Nasza posiadłość cieszyła się szacunkiem, a jej przykład był naśladowany. Gdybyśmy zdołali dowieść, że jesteśmy w stanie wykarmić tutejszych ubogich, robotników i w dodatku osiągnąć dobre zyski, wielu poszłoby w nasze ślady.

- I udowodnilibyśmy, że polowanie wyłącznie na zysk w ogóle się nie opłaca - dodałam.

Ralf uśmiechnął się, widząc mój zapał.

- Tak, ma pani rację, Julio.

- Zgadza się - nagle oznajmił Richard. Obaj mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na niego, lecz on uśmiechnął się do mnie. - Dobrobyt Acre nie zależy jedynie od zysków - rzekł. - Dobrobyt każdej posiadłości opiera się na dobrych stosunkach z sąsiadami. Obsiejmy wielkie obszary zbożem, sprzedawajmy je tutaj po uczciwej cenie i zarabiamy na nadwyżce. To sprawiedliwe.

- A więc umowa stoi! - zawołał wujek, jakbyśmy dobijali targu. - Ale mam jeszcze pewne pomysły co do malin i truskawek.

- Tak, wiem - rzekł chłodno Ralf. - Ciekawe, jak je pan

zbierze, jeśli dojrzeją podczas żniw.

- Ja je zbiorę - powiedział uroczyście Richard. - Będę robił wszystko poza hodowlą owiec.

Roześmialiśmy się z tego oświadczenia. Nikt nie miał pojęcia o strachu, jakiego Richard doznał wtedy w ciemnej stodole, a ja też prawie o tym zapomniałam. Po prostu wszyscy wiedzieli, że młody panicz Richard nie może sobie zawracać głowy żywym inwentarzem. Zwierzętami mieli się zajmować pan Megson lub panna Julia. Jesienią Ralf miał wynająć siewców i oraczy, którzy przyjadą z własnym sprzętem i znowu obsieją Wideacre pszenicą.

ROZDZIAŁ Jedenasty.

Nikt się nie spodziewał, że Wideacre da jakiś zysk już w pierwszym roku. Zebraliśmy jednak sporo siana -jak to określił Ralf: „samo kwiecie” - a to oznaczało, że będziemy mogli tanio wykarmić zimą krowy i owce. Owoce nie przyniosły oczywiście plonu, ale krzaczki malin rosły w prostych, równych rzędach na polu, tuż obok drogi wiodącej do dworu. Truskawki posadziliśmy na nowym polu obok rzeki, gdzie jak sądziliśmy, będą miały dużo słońca i ochronę przed wiatrem ze wzgórz. Moje jabłonki przyjęły się, były proste i wysokie. Okazało się, że zostały posadzone w odpowiednim miejscu, co uznałam za coś w rodzaju cudu, a ironiczne gratulacje Teda brałam za dobrą monetę, która mi się nie bardzo należy. Większą część zimy Richard spędził poza domem, przygotowując się do egzaminów na uniwersytet oksfordzki, które miały się odbyć po Bożym Narodzeniu. Wujek zawiózł go do Oksfordu i zostawił tam, a potem w drodze powrotnej zatrzymał się w Londynie, by udzielić porad swej spółce. Chodziło o zmiany, które mogą zajść w Indiach po wojnie z

Francją. Przez kilka tygodni byliśmy więc z mamą same na gospodarstwie i całymi dniami pracowałyśmy jak woły, spotykając się jedynie przy obiedzie.

Dzieci ze szkółki robiły szybkie postępy w zajęciach praktycznych, zaczęły też naukę czytania i nasz salon co wieczór zaśmiecany był jaskrawymi farbami i papierkami, z których mama wycinała litery.

Ja też pracowałam. W Acre zaleciłam naprawę zaniedbanych przez długi okres chat, na wzgórzach dozorowałam sadzenie żywopłotów i budowę ogrodzeń dla owiec, na wspólnych ziemiach

235

przeglądałam zagajniki, szukając drzewek do wyrębu i na opał. Przede wszystkim jednak byłam zajęta na polach, gdzie stale trzymałam za siebie kciuki, by podjąć właściwą decyzję. Podobnie jak ja, Ralf Megson był wszędzie.

Nie potrafiłam określić, kim był dla mnie. Czasem był jak ojciec, czasem jak kochanek, czasem jak nauczyciel. Zawsze jednak był przyjacielem.

Mijał czas, listopadowe dni stawały się coraz krótsze i coraz bardziej nieprzyjemne, a my powoli przestawaliśmy być uczennicą i nauczycielem.

Stawaliśmy się partnerami. Pewnego dnia na początku grudnia spotkałam go na moście nad Fenny. Zatrzymałam właśnie Mgiełkę i przyglądałam się, jak woda kłębi się pod kamiennymi łukami, gdy od strony Acre nadszedł Ralf.

- Wygląda na to, że jest ci ciepło - powiedział.

Przytaknęłam. Miałam na sobie nową amazonkę uszytą z grubej, fioletowej jak śliwka wełny. Zapięłam ją dokładnie pod szyją, bo dzień był wilgotny, a w powietrzu czuć było mokry śnieg.

- Jak się mają owce? - spytał. Wiedział, że tego ranka
byłam je obejrzyć.

- Dobrze. Wydaje mi się jednak, że Giles jest zbyt stary, by się nimi
zajmować. Jego syn Jimmy nie może przejąć tej pracy, bo jest za mały,
poza tym mama chce, żeby chodził do szkoły.

- Wiem. We wsi nie ma nikogo, kto by się znał na owcach. Musimy
rozważyć możliwość zatrudnienia pasterza na jeden lub dwa sezony, już od
świąt. Przydzielimy mu kilku wiejskich chłopców, niech nauczy ich tej
roboty.

- Mama na pewno wie, jacy chłopcy się nadają. Myślę jednak, że skoro
Jimmy uwielbia owce, to jest on najlepszym kandydatem. Jego
przyjacielem jest Simon, mogliby pracować razem.

Ralf kiwnął głową i nagle schwycił mnie za ramię.

- Patrz! - zawołał. - Łosoś! Płynie w górę rzeki!

Pochyliłam się, spojrzałam w wodę i zobaczyłam samicę łososia płynącą
powoli i ociężale, jakby była bardzo zmęczona. Odbyła długą podróż od
morza, przedostała się przez zapory koło młynów i przez całą drogę
walczyła z prądem. Była ciężka od jajeczek, z których miały się wylęgnąć
małe łososie, które zawsze opuszczały Fenny i wracały tu jako dorosłe
ryby.

- Uwielbiam łososia - rzekł. - Panno Julio, musisz mnie dzisiaj zwolnić.
Zamierzam tropić tę rybę, a gdy złoży ikrę, złapię ją w sieć. Mam
nadzieję, że mi to wybaczysz.

236

- Wybaczę - powiedziałam, uśmiechając się do zaabsorbowanej twarzy. -
A pan przyśle kilka dzwonek do Dower House i pani Gough przygotuje je

dla pana, pod warunkiem, że zje pan z nami kolację.

- Tak - powiedział z roztargnieniem. - Będę tym zaszczycony. - Włożył dwa palce do ust i gwizdnął przeraźliwie.

Natychmiast przybiegło do niego dwóch małych chłopców ze wsi, a on polecił im, by obserwowali łososa i tropili go, ale bez naprzykrzania się, a on tymczasem pójdzie po swego konia. Nie odzywał się już do mnie. Tak szybko, jak mu na to pozwalał jego chwiejny krok, ruszył do domu po konia i sieć.

Jeszcze tego samego dnia Mały przyniósł trzy okazałe dzwonka i zawstydzonym szeptem przekazał pozdrowienia od pana Megsona.

Wieczorem na kolację dostaliśmy łososa, którego wierzch był pokryty przypieczoną jasnobrązową skórką, a w środku miał biały sos śmietankowy.

- Czy będzie w tym roku przyjęcie świąteczne? - zapytał Ralf. - Mógłbym je zorganizować we wsi, bo tutaj jest za ciasno.

- Wolałabym je urządzić tu, w Dower House - odparła mama. - Pan zrobi przyjęcie we wsi na Boże Narodzenie, a my później zaprosimy tu przynajmniej dzieci, na przykład na Trzech Króli. Muszę napisać do doktora MacAndrew i zapytać go, co o tym sądzi.

- Czy już wiadomo, kiedy doktor wraca do domu? - zapytał, podsuwając mamie półmisek z kandyzowanymi owocami.

- Jeszcze nie. Interesy związane z jego spółką są bardzo skomplikowane, a nikt nie wie tyle o Indiach, co John. Czy potrzebuje go pan?

- Nie - odparł, uśmiechając się do mnie. - Zostawił tu bardzo kompetentnego zastępcę.

Mama również się uśmiechnęła.

- Wierzę panu. Nie mogę od niej wydobyć żadnej rozsądnej wypowiedzi, chyba że chodzi o coś, co rośnie w Wideacre lub pożera tutejsze zbiory. Wydaje mi się, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy ani razu nie otworzyła książki, nie mówiąc już o grze na fortepianie.

Skinęłam głową, bo była to prawda.

- Nazywa się Lacey - rzekł miękko Ralf. - Jest podobna do swego ojca.

237

- Do Harry'ego? - Mama spojrzała na niego ostro. - Uważa pan, że ona przypomina Harry'ego?

Kiwnął głową. Ja jedna chyba wiedziałam nie tylko to, że skłamał, ale i dlaczego to zrobił. Próbował nas - mnie i mamę, chronić przed szeptami, które urosły już we wsi do rozmiarów zgodnego chóru. Szeptano, że nie tylko jestem jak dwie krople wody podobna do Beatrice, ale że jestem nią, że złota dziewczynka - Beatrice, wróciła, by przynieść dobro ludziom i doprowadzić ziemię do rozkwitu.

- We wsi mówią, że jest taka jak Beatrice - powiedział - ale mi się wydaje, że jest bardzo podobna do swego ojca. Słyszałem, iż odziedziczywszy posiadłość, a był wówczas w wieku Julii, po prostu oszalał na jej punkcie i trwało to kilka lat.

Napięcie widoczne w twarzy mamy nagle złagodniało, jakby Ralf podał jej środek odurzający.

- To prawda. Harry, zanim się ożenił, spędzał całe dnie na polach i w lesie. Wie pan, prawie o tym zapomniałam. Wszyscy wspominają czas, gdy majątkiem zarządzała Beatrice, a zapominają o tym, że przez kilka lat robił to Harry.

Stride wniósł porto, więc obie z mamą podniosłyśmy się, by zostawić pana

Megsona samego przy karafce, lecz on zatrzymał nas ruchem ręki.

- Proszę mnie nie zostawiać. Jestem zwykłym robotnikiem, pani Lacey, i nigdy nie pijam porto. Może wypilibyśmy razem po kieliszku ratafii, zanim wyruszę do domu?

Tak też się stało. Ralf Megson, robotnik, siedział w naszej jadalni, śmiał się razem ze mną i uśmiechał do mamy, a potem poszedł do domu; obojętny zimowy księżyc na czystym niebie oświetlał mu drogę.

Zabrał ze sobą pewien sekret, tajemnicę poliszynela, o której szeptało w Acre i którą znał każdy: że z każdym dniem stawałam się coraz bardziej podobna do Beatrice, ostatniej dziewczyny z rodu Laceyów, która władała ziemią. Ludzie codziennie słyszeli, jak Beatrice wydaje polecenia swym czystym głosem i jak śmieje się, gdy ktoś ze mną żartuje. Tylko przez szacunek dla mnie i mamy nikt nie mówił o tym wprost. Wszyscy wieśniacy jednak wierzyli w głębi swych nieoświeconych umysłów, że wróciła do nich Beatrice.

Że to ja nią jestem.

Nie umiałam się z tego śmiać.

238

Coraz częściej odzywał się w mej głowie ten śpiew, który oznaczał, że zbliża się Beatrice, a wydając rozkazy i odpowiadając na pytania, miałam dziwne uczucie, że już kiedyś byłam na tym polu czy stałam przy tej bramie. Wówczas starsi mężczyźni i kobiety, z którymi rozmawiałam, kiwali głowami i mówili pieszczotliwie: „Witamy, dziecko, witamy”, a ja byłam pewna, że oni byli tu kiedyś z Beatrice i że wypowiedziałam jej

słowa.

Drżałam wtedy, nawet gdy przygrzewało ostre zimowe słońce. Drżałam, gdy patrzyli na mnie i przemawiali w ten sposób. Potem otrząsałam się jak wychodzący z wody psiak i odpowiadałam: „Nie! Nie! To ja! Julia Lacey! Proszę nie myśleć o nikim innym”.

Oni zaś uśmiechali się, a oczy jaśniały im bezsensownym przekonaniem, że to co myślą, wiedzą i widzą, jest naprawdę nadzwyczajne.

Święta były według tutejszych norm bardzo spokojne. Wujek wrócił z Londynu, Richard z Oksfordu, więc obie z mamą byłyśmy niezmiernie uszczęśliwione. Ralf zrobił przyjęcie świąteczne, a mama postanowiła, że jej uroczystość dla dzieci odbędzie się w Trzech Króli w Dower House. Obawiałyśmy się, że nie udadzą się tańce, jako że zmarł stary skrzypek z Acre, lecz w drugie święto Richard oznajmił nam, że Cyganie mieszkający na błoniach zagrają w zamian za kolację i szylinga. Dzięki nim dzieci ostatecznie mogły mieć zabawę.

W przeddzień przyjęcia zamartwialiśmy się jedynie pogodą.

Zastanawialiśmy się, czy gwiazdziste niebo zwiastuje słoneczny dzień, który pozwoli dzieciom jeść, tańczyć i dokazywać na świeżym powietrzu. Okazało się, że martwiliśmy się niepotrzebnie. Kiedy następnego ranka mama zeszła na dół, wujek powitał ją radośnie:

- Dzień dobry! Słońce uśmiecha się dziś tak, jak powinno, masz więc cudowny dzień na swoją uroczystość!

Tego dnia późno jedliśmy śniadanie, bo obie z mamą byłyśmy zajęte szykowaniem słodczy i pieczeniem ciastek. Gdy już skończyliśmy posiłek i Stride zbierał talerze, dobiegły nas dźwięki skrzypiec i wysoki czysty śpiew drewnianej piszczałki. Podbiegliśmy do okien i

zobaczyliśmy, że Cyganie grają skoczną piosenkę tylko dla nas, na powitanie, stojąc na trawniku przed domem.

- Są znakomici! - zawołała mama i zaczęła przebierać nogami. Później wybuchnęła śmiechem, bo Richard objął ją w pasie

239

i puścili się w tan dookoła stołu. Porcelana zaczęła dźwięczeć, a jedwabna sukienka mamy pofrunęła niebezpiecznie blisko im bryków z kawą.

- Nie tutaj! - krzyknęła, przerywając zabawę. - Jesteś Cyganem, Richardzie! Jeżeli już musisz tańczyć, zabierz, proszę, Julię i pokręćcie się na trawniku. Tutaj jest za mało miejsca na menueta, nie mówiąc o tej twojej polce!

Roześmiał się. Potem otworzyliśmy drzwi i wypadliśmy na trawę, tańcząc przy cygańskiej muzyce. Pani Gough, Jenny, Stride i Jem nakrywali tymczasem ustawione na dziedzińcu stoły, a dzieci z Acre przystanęły przy ogrodzeniu i z uśmiechem machały do nas rączkami.

Kiedy je zawołałam, podbiegły natychmiast, po czym zmiotły wszystko z talerzy, nie zostawiając ani okrucha. Zauważyłam jednak, że nie rzucały się na jedzenie tak, jakby nie jadły od wielu dni, nie chowały też przysmaków za pazuchę, by je zanieść głodnym w domu. Doraźne zaopatrywanie Acre w żywność stanowiło początek długofalowego planu, który miał na celu zlikwidować ubóstwo, a na razie pierwszym efektem naszych działań było zniesienie tu głodu. Zobaczyłam, że wujek spogląda na mamę i oboje uśmiechają się, widząc, że we wsi nareszcie zaczyna się lepiej dziać.

Mieliśmy szczęście złapać ostatni przed długą przerwą słoneczny dzień.

Później stale leżał śnieg i lód, a najgorsza była zimna mgła, która co noc podnosiła się znad Fenny i tak wyziębiała nasz mały dom, że zdawało się, iż każdy kamień najpierw zamarza, a potem wydziela lodowatą wodę jak zimny pot. We wszystkich pokojach rozpalano ogień i mama stale zdumiewała się, jak mogliśmy przedtem wytrzymać, paląc przez cały dzień tylko w salonie, a w sypialniach jedynie rano.

Ostatnie tygodnie stycznia były jeszcze gorsze, bo wiatr, który wprawdzie przepędził mgłę, sprawiał, że nasz dom chwiał się jak statek na morzu.

Nocami słyszeliśmy, jak na dziedzińcu roztrzaskiwały się spadające dachówki. Ziemia zrobiła się tak twarda, że dopóki trzymał mróz, nie można było ani orać, ani siać, nie dało się nawet wykopać kanałów. Jediną rzeczą, którą mogliśmy zrobić, było przycięcie żywopłotów i praca ta zajęła nam trochę czasu.

Wiele godzin spędzałam zatem w domu, w dzień przyglądając się lodowatej mgle nad aleją, wieczorami zaś patrząc w ogień

240

na kominku. Wydawało mi się, że za każdym razem gdy byłam sama, przybywała do mnie Beatrice.

A potem pewnej nocy miałam sen.

Zaczął się od tego dziwnego przyjemnego nucenia, które słyszałam także we śnie, a które zawsze uprzedzało mnie, że Beatrice jest blisko. Chyba odwróciłam się na plecy, pamiętam bowiem, że wpatrywałam się w sufit szeroko otwartymi oczami, a po widocznym na nim szarym blasku zorientowałam się, że to zimowy świt. Słyszałam wiatr w kominach jęczący jak duch kogoś niedawno zmarłego, nie dość kochanego, kogoś,

przed kim zamknięto drzwi. Naciągnęłam kołdrę i ukryłam twarz w poduszkach, nie chcąc słyszeć tego niesamowitego wołania.

Potem zasnąłam.

Śniło mi się, że jestem w Acre, lecz nie tej wiosce z czasów Beatrice, gdy ogrody przed domami były pełne kwiatów, ale w Acre współczesnym, ze świeżo pobielonymi ścianami chat, naprawionymi dachami, skopanymi i nawiezionymi ogródkami, które czekają na sadzonki i nasiona. Stałam na niewielkim poletku obok kościoła, które ludzie nazywają Zakątkiem Panny Beatrice. Przede mną było probostwo, za mną widniała strzelista sylwetka kościoła. Wiatr rozwiewał mi włosy i szarpał sukienkę, a choć padał ulewny deszcz, stałam milcząca i śmiertelnie spokojna. Kiedy podniosłam głowę i spojrzałam na zaciągnięte chmurami niebo, miałam wrażenie, że woda przenika przez moje ciało. Nie było mi jednak zimno i nie czułam się przemoczona.

Bałam się, bo wiedziałam, że nie jest to zwyczajny sen. Czułam, iż muszę coś zrobić; nie wiedziałam co.

Odwróciłam się i spojrzałam na kościół, a wtedy rozległ się głuchy, przerażający grzmot, jakby chmury zderzyły się nad moją głową, i trzask, jak gdyby niebo pękło przeszyte błyskawicą, i piorun podobny do strzały z kuszy uderzył w hełm wieży kościelnej.

Rozdarł go jak dobry łucznik, który strzałą rozszczepia gałązkę. Oniemiała patrzyłam, jak zwieńczenie wieży niebezpiecznie się pochyła, a potem spada na domy w absolutnej ciszy uspiionej wioski. W groteskowym cieniu spadającej kopuły znalazł się śliczny domek Teda Tyacke'a i jego matki, dom Brewerów, stojący obok, i następny, należący do rodziny Clayów.

Otworzyłam usta, chcąc krzyczeć i ostrzec ich, lecz nie mogłam wydobyć

głosu. Szczyt wieży spadł na domy jak palec okrutnego boga i zgniółł je na pył.

241

Stałam na deszczu pogrążona w milczeniu i patrzyłam. Z ruin podniósł się ogień podobny do szalonego, zbyt prędko rosnącego zielska. Olbrzymie żarłoczne płomienie, które strzeliły w górę, syczały w zetknięciu z padającym deszczem jak gniazdo węży. Ogień skakał po ruinach, karmiąc się strzechami chat i drewnem ścian i podłóg. Czekałam w milczeniu, bo wiedziałam, że nie mogę już nic powiedzieć ani zrobić. Ogień w szaleńczym tempie przenosił się na kryte słomą dachy następnych chat. Ludzie z krzykiem wypadli na zalaną deszczem ulicę, na jednej z dziewczynek Carterów płonęła nocna koszula. Widziałam, jak doskoczyli do niej, chcąc zdusić płomienie, widziałam jej otwartą w krzyku buzię, lecz nic nie słyszałam. Jej ojciec rzucił się z powrotem do trawionego przez ogień domu po dziecko, które tam zostało. Zobaczyłam jego twarz, kiedy ludzie przytrzymali go w miejscu - wyglądał jak udręczone zwierzę. Ogień rozprzestrzeniał się szybko, a każdy dom, którego dotknął, rozkwitał na czerwono. Wieś ulegała całkowitej zagładzie.

W tym momencie obudziłam się pokryta zimnym potem i dygocząca od chłodu, bo pościel spadła na podłogę. Było wcześnie, zbyt wcześnie, żeby wstać. Dopiero świtało, a mój sen z pewnością był spowodowany szumem silnego wiatru i bębnieniem deszczu o szyby. Straszliwy sen. Prawdziwy koszmar.

Zadrzałam, jakbym naprawdę przed chwilą znajdowała się na zewnątrz, wśród burzy i wychyliłam się z łóżka, by podnieść kołdrę, którą zaraz potem owinęłam się jak zmarznięte i przerażone

dziecko.

Zasnęłam natychmiast.

Od razu też znalazłam się na trawniku przed kościołem. Znowu rozejrzałam się i zobaczyłam, jak piorun przepoławia kopułę wieży. Usłyszałam straszny grzmot i widziałam chwiejący się hełm, który za moment zmiążdży chatę Tyacke'ów, i choć wołałam Teda i jego matkę, nie było słychać mego głosu.

Czułam, że szamoczę się w łóżku, próbując się wyrwać ze snu, ale on trzymał mnie w bezlitosnym uścisku jak kat, więc musiałam znowu to wszystko oglądać: pożar, płonące dziecko, zagładę

Acre.

Sen urwał się, a ja na wpół śpiąca, dygocąc z zimna, zanosłam się płaczem. Gdy znowu spróbowałam zasnąć, wszystko zaczęło się od nowa.

242

/

Stałam pod kościołem na miejscu zwanym Zakątkiem Panny Beatrice.

Śniłam wciąż to samo. Byłam jak schwyтана w pułapkę łasica biegająca po klatce w kieracie widocznym tylko dla niej.

Usłyszałam głos Jenny stojącej przy łóżku z filiżanką gorącej czekolady w ręce:

- Panienko? Czy panienka jest chora? Spojrzałam na nią.

- Tak się cieszę, że mnie obudziłaś, Jenny! - zawołałam.

- Śniło mi się coś tak okropnego, że aż trudno uwierzyć. Śniło mi się to za każdym razem, kiedy zasypiałam.

Usiadłam na łóżku i odgarnęłam włosy z czoła. Były skłębione i mokre, jakbym spocona przez całą noc rzucała się na poduszce.

- Czy to był prawdziwy sen? - zapytała. Odwróciła się i podeszła do ognia. - Jeżeli sen się powtarza, tak mówią ludzie, to może w nim być wiadomość - rzuciła przez ramię. - Czy tam była jakaś wiadomość? Oparła rękę o wiadro na węgiel, a ja zobaczyłam jej palce złożone w starodawny znak odganiający czary: kciuk znajdował się między palcem wskazującym i środkowym, tworząc krzyż, który miał odstraszać szatana i jego siostry. Ten znak, jej słowa, mój sen, wszystko to razem sprawiło, że straciłam rozum.

- Tak - odparłam. Głos, który zabrzmiał, nie był moim głosem. - Muszę się ubrać i pójść do Acre. - Kiedy wypowiadałam te słowa, czułam, że język ciąży mi w ustach.

Rzuciła mi przerażone spojrzenie, ale nie zwracałam na nią uwagi.

- Pada deszcz - powiedziała słabo.

- Jeśli tam nie pójdę, stanie się coś gorszego niż deszcz

- odpowiedziałam. Wysunęłam się z łóżka; nie czułam, że podłoga pod bosymi stopami jest zimna i twarda. Nie czułam też, że bielizna ziębi mi skórę. Wstrzymałam oddech, kiedy Jenny sznurowała na mnie gorset. W milczeniu podała mi strój do jazdy; włożyłam go bez słowa. Później ukłoniła się i wybiegła z pokoju, gdy ja zwijałam włosy w węzeł, by przypiąć do nich kapelusz.

Wiedziałam, że poinformuje Jema o tym, iż potrzebna mi jest Mgiełka. I rzeczywiście czekał na mnie, trzymając klacz za wodze, gdy z rozbieganymi oczami wpadłam do stajni.

- Jenny jest głupia - odezwał się ostro. - A panienka co tu robi tak wcześnie, bez wiedzy swojej mamy?

Patrzyłam na niego, lecz go nie widziałam.

- Muszę jechać do Acre - wykrztusiłam. - Ludziom z wioski grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Zerknął na mnie rozzłoszczony.

- Nie wierzę w to - powiedział wojowniczo. - Co panienka zamierza robić we wsi?

- Pójdę do Ralfa. Na jego twarzy odmalowała się ulga. Pomógł mi wsiąść na

konia i rzekł:

- To dobrze. Ralf będzie wiedział, co robić. Mgiełka stała nieruchomo jak posąg, jej skóra pociemniała

od deszczu. Czułam, że po plecach płyną mi strużki wody, lecz nie trzęsłam się. Klacz wyjechała ze stajni prosto na błotnistą drogę i choć

trudno się tam było poruszać, zdołała przejść do galopu. Moje ciało jechało konno, ale myślami stale byłam we śnie. Widziałam przed sobą ten rozpadający się hełm wieży podobny do uderzonego siekierą palika.

Ralf nie spał. Widziałam jego sylwetkę na tle kominka we frontowym pokoju. Gdy usłyszał stukot kopyt, odwrócił się, podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał na zewnątrz.

- Julia! - rzekł zaskoczony. - Co się stało? Siedziałam na koniu, patrzyłam na niego i wiedziałam, że

wyglądam jak wariatka. Na mej twarzy malował się lęk przed tym potwornym obrazem, którego nie widział nikt oprócz mnie.

- Musimy opróżnić domy po północnej stronie drogi

- powiedziałam z trudem. Ledwo ruszałam językiem i wargami.

- Piorun uderzy w wieżę kościoła, a jej czubek spadnie na domy

Tyacke'ów, Brewerów i Clayów. Potem wybuchnie pożar, który zmiecie Acre z powierzchni ziemi - ciągnęłam cichym głosem.

- Musimy zabrać ludzi z tych trzech chat i zburzyć następne, by ogień nie mógł się rozprzestrzeniać.

Ralf przyglądał mi się uważnie. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Wyszedł na deszcz i nadal patrzył na mnie tak, jakby próbował czytać w moich myślach.

- Julio? - zapytał.

- To prawda. Śniłam o tym przez całą noc. Wiem, że to prawda. Jeśli mi pan nie pomoże, zrobię to wszystko sama.

- Zaczekaj - rzekł i zawrócił do domu. Zostałam na deszczu podobna do mokrego marmurowego posążka kobiety na koniu.

244

Z początku zamierzałam czekać. Czy w Acre był ktoś, kto nie słuchał poleceń Ralfa? Jednakże gdy tylko zniknął za drzwiami, dotknęłam piętą boku Mgiełki i popędziłam do kościoła.

Nie odważyłam się stanąć tam, gdzie znajdowałam się we śnie. Bałam się, że może to spowodować grzmot i uderzenie pioruna. Nie pamiętałam, o jakiej porze miało miejsce to wydarzenie we śnie. Nie wiedziałam, ile mamy czasu, by uratować wieś i dziewczynkę Carterów przed spłonieniem, by uchronić słaby dach nad głową Teda i jego matki przed potwornym ciężarem strzaskanej wieży, ale byłam pewna, że jest go niewiele.

We śnie niebo było ciemnoszare - dlatego nie byłam w stanie zgadnąć, czy jest to burzliwy świt czy burzliwe południe; mała dziewczynka była jednak w stroju nocnym, a Carterowie zwykle wstawali wcześnie.

Zsunęłam się z siodła, uwiązałam Mgiełkę przy bramie probostwa po południowej stronie ulicy i pobiegłam do domu Teda. Załomotałam w drzwi, po czym cofnęłam się, by mógł mnie zobaczyć.

- Julia! Co się dzieje?

- Wyjdź, Ted - tylko tyle zdołałam powiedzieć. Potem czekałam na mego dawnego towarzysza zabaw na deszczu pod drzwiami jego chaty.

Zdążył wciągnąć spodnie i kaftan, ale nadal był bosy.

- Wejdz - rzekł i wziął mnie za rękę, chcąc, bym weszła do środka.

Rzuciłam się do tyłu jak spłoszony koń, z przestachem zerkając na wieżę kościoła.

- Nie! - odparłam.

Dostrzegł w mej twarzy przerażenie i zaniepokoił się. Wysłuchał całej opowieści o śnie, w którym jego dom został zmiażdżony, a cała wieś spłonęła. Potem odwrócił się, zawołał swoją matkę, wreszcie wszedł do domu i założył buty.

- Wierzę ci - rzekł krótko. - Wyniesiemy rzeczy na drogę. Idź obudzić innych.

Kiedy znów znalazłam się na ulicy, spotkałam Ralfa Megsona, który czekał obok mojego konia. Jego śniada twarz miała trudny do rozszyfrowania wyraz, a siwiejące włosy sterczały od wilgoci.

- Co teraz? - spytał tak, jakby sam nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie.

245

- Musimy obudzić wszystkich mieszkańców wsi. Piorun zniszczy te trzy chaty, ale jeżeli zburzymy dwie następne, to zrobimy wyłom na drodze ognia. W ten sposób możemy go stłumić.

Skinął głową i zapytał:

- Uderzysz w dzwon kościelny?

- O, tak! - Sama o tym nie pomyślałam. - Tak! - W tym momencie zamarłam na myśl o tym, że miałabym wejść do kościoła, gdy tymczasem burza mogłaby się zbliżyć. Kiedy się tak wahałam, niebo pociemniało, a ze szczytów wzgórz dało się słyszeć stłumione dudnienie.

- Nie mam odwagi - wykrztusiłam.

Ralf założył ręce.

- To twój sen - rzekł chłodno. - Twoje widzenie. Jeśli jesteś pewna, że to widziałaś, musisz pójść.

Odwrócił się i zaczął rozluźniać popręg Mgiełki, jakby składała w Acre wizytę towarzyską, jakby burza nie deptała nam po piętach, a deszcz nie lał się na głowy.

- Ralf... - po raz pierwszy w życiu świadomie zwróciłam się do niego po imieniu.

Odwrócił się i uśmiechnął.

- Jeżeli jesteś dzieckiem szczęścia, to się nie mylisz - rzekł cicho. -

Dowiedź swej wartości.

Nabrałam w płuca powietrza i odwróciłam się na pięcie. Wbiegłam po schodkach prowadzących na cmentarz i otwierałam jego bramę. Zanim zdążyłam cokolwiek pomyśleć, zanim zaczęłam się bać i nim ponownie złapałam oddech, byłam już w kruchcie kościoła i trzymałam w ręce puszysty sznur dzwonu. Uwiesiłam się na nim, nie rozległ się jednak żaden dźwięk. Zazgrzytałam zębami. Ciężki dzwon drgnął, lecz niewystarczająco, by jego serce uderzyło w ścianę. Oderwałam stopy od ziemi i zaczęłam się huśtać na sznurze; dopiero wówczas usłyszałam

głęboki donośny

dźwięk.

Jeszcze kilka razy szarpnęłam sznur, uwieszając się na nim, potem puściłam go i wyszłam.

Przez ten krótki czas niebo zupełnie pociemniało, a jego złowieszczą żółtawą poświata nadawała ludzkim twarzom blady wygląd. Wieśniacy zgromadzili się wokół Ralfa. Widziałam, że wskazuje na mnie, i pewna byłam, iż odmawia jakichkolwiek wyjaśnień. Przeszłam całą dróżkę od kościoła do bramy i zatrzymałam się na szczycie schodów, aby mogli mnie widzieć.

246

- Miałam sen - zaczęłam niepewnie. Słyszałam swój cienki, dziewczęcy niepoważny głosik. Zabrzmiało to głupio. Wystarczyłby jeden wybuch śmiechu, krótki żart, a wszyscy wróciliby do domów, przeklinając zarozumiałstwo dziewczyny, która wyciągnęła ich z łóżek na deszcz tylko dlatego, że przyśnił jej się koszmar.

- Posłuchajcie! - krzyknęłam zrozpaczona. - Śniło mi się, że w czasie burzy piorun uderzył w kościół i jego wieża spadła w tamtą stronę. - Machnęłam ręką w kierunku chaty Teda. - Zgniotła trzy domy, które zajęły się ogniem. Później pożar rozprzestrzenił się dalej.

Przerwałam. Ned Smith przecierał dłońmi zaspaną twarz.

- Mówi panienka, że śniła się jej prawda? - spytał.

- Tak. Jestem tego pewna. Musimy zburzyć dwa domy, te dwa, które są obok chaty Clayów. To znaczy dom Cooperów... i twój, Ned.

Twarz mu spochmurniała, a tłum wydał gniewny pomruk.

- Mamy zburzyć mój dom, by się uchronić przed pożarem, który jeszcze

nie wybuchnął? - zapytał.

Poszukałam wzrokiem Ralfa. Stał obok Mgiełki, za grupą ludzi i najwyraźniej nie zamierzał mi pomóc. Byli tu Ted i Matthew Merry, nadbiegła Clara, unosząc wysoko ponad bosymi stopami spódnicę w obawie przed błotem. Nikt nie był mi w stanie pomóc - nawet oni, moi najlepsi przyjaciele. Bałam się, że sama tego nie dokonam. Zaczekałam chwilę. Nie miałam nic do powiedzenia.

Wtedy właśnie, jakby w odpowiedzi na modlitwę, dosłyszałam wysokie śliczne nucenie, głośniejsze niż wiatr, deszcze i grzmienie burzy.

- Tak - odparłam, a coś w moim głosie sprawiało, że nikt nie potrafił mi zaprzeczyć. - Tak. Wiem, że to konieczne. Nie żądałabym tego, gdybym nie była pewna.

Rozległo się głośnie westchnienie podobne do wiatru, wydobywające się z piersi starych ludzi, którzy usłyszeli, jak przemawiam w ten sposób.

Zdałam sobie sprawę, że rozpoznali mój głos. Jej głos.

- Jestem spadkobierczynią Beatrice - zuchwale przywołałam jej imię, nie dbając o to, ile może mnie to kiedyś kosztować, gdy znów będę chciała być Julią z dworu. - Jestem dzieckiem szczęścia. Miałam widzenie.

Musicie zburzyć domy.

247

*

Poruszyli się. Ruszyli tak, jakbyśmy wszyscy byli we śnie, jakbyśmy wszyscy oszaleli. Poszli do domów i zaczęli wynosić meble, ustawiając je na ulicy. Stanęli w szeregu jeden za drugim i z rąk do rąk przekazywali sobie pościel i ubrania, przenosząc je do stajni Smithów. Później Ned zaczął zdzierać siekierą strzechę swego domu i rzucać ją na ulicę; inni

wspięli się na górę z toporami i zrywali krokwie.

W tym momencie otwarły się drzwi probostwa i ukazał się pastor Pearce.

Z pobladłą twarzą i w przekrzywionej peruce ruszył w stronę bramy, przy której uwiązałam konia. Po drodze zawiązywał pasek szlafroka.

- Czyście powariowali? - zawołał. - Czy wy wszyscy powariowaliście do reszty? Julio! Co ty... - Trzymał już rękę na klamce i byłby wyszedł na drogę, gdyby Ralf nie przytrzymał bramy.

- Proszę odejść, pastorze - powiedział łagodnie. - To nie jest miejsce dla pana.

Ludzie zawahali się, słysząc głos pastora. Głos pochodzący z rzeczywistego świata, świata, w którym nie ma miejsca na wizje, dobiegał ich z porządnie utrzymanego ogrodu. Lecz Acre od lat pogrążało się w szaleństwie i czarach, ludzie więc podjęli swą pracę i dalej niszczyli domy, wyrabując olbrzymią przerwę w zabudowie ulicy.

- Co oni robią? - pastor wypytywał Ralfa. - Co oni sobie myślą?

- Proszę podejść i zobaczyć, pastorze - łagodnie rzekł Ralf.

Pastor Pearce tępo spojrział na niego, potem na mnie. Próbowałam się uśmiechnąć, chciałam coś powiedzieć, ale zdawałam sobie sprawę, że mam ekstatyczny, szalony wyraz twarzy.

- Proszę odejść! - powiedziałam. To nie ja wypowiedziałam te słowa. - Niech pan nam nie przeszkadza. Mamy mało czasu.

Znowu zerknął na Ralfa, odwrócił się i poszedł do domu. Widziałam jeszcze zasłony poruszające się w oknie jego gabinetu i wiedziałam, że nas

obserwuje.

W miarę jak burza się zbliżała, odczuwałam coraz większy niepokój. Przez ten krótki czas, który minął od mojej przemowy na schodkach, niebo zrobiło się ciemne, a grzmoty były coraz głośniejsze. Wieśniacy pracowali szybko. Z chaty Smithów zostały już tylko ściany, jej suche deski podłogowe i łatwopalne krokwie

248

leżały w nieładzie na podwórzu kuźni. Następna, należąca do Cooperów, też była na wpół zburzona, a w każdym razie nie miała dachu. Nagle rozległ się głuchy odgłos pioruna i świst błyskawicy tak głośny, że wydawało mi się, iż to huknęło bezpośrednio nad naszymi głowami.

Przerażona krzyknęłam:

- Zaczyna się!

A Ralf, ten stwór ulepiony z szaleństwa i niepogody, uśmiechnął się tak, jak uśmiechał się do Beatrice, gdy przyszedł po nią wśród burzy.

- No cóż, ludzie są gotowi - powiedział. Zabrzmiało to tak, jakby mówił o polu przygotowanym pod zasiew.

Ruszyłam do niego spod bramy cmentarza, wylękniona zbytnią bliskością kościoła, gdy niesamowicie głośny huk pioruna sprawił, że straciłam grunt pod nogami i zatoczyłam się. Stałam na trawniku, który nazywano Zakątkiem Panny Beatrice, a deszcz spływał po mnie jak rzeka po młyńskim kole. Piorun podobny do wystrzału z tysiąca dział trzasnął nad moją głową, odwróciłam się szybko i zobaczyłam, że ku ziemi pędzi błyskawica - anielska strzała - i rozcina zwieńczenie wieży tak, jak topór rozciąłby marchew. Krzyczałam, lecz nie było mnie słyhać w huku burzy, a potem ogłuszona tym łośkotem, w głębokiej ciszy ujrzałam, że kopuła

przewraca się i spada na trzy puste chaty, zamieniając je w gruzy, nad którymi unosi się chmura pyłu.

Nie był to pył; to był gęsty brudnoczerwony dym. Jasne płomienie strzeliły w górę i ruszyły ławą, jakby chciały pochłonąć całą wieś. Moja Mgiełka podrzucała głową i rżała ze strachu, a Ralf mocno przytrzymał ją za uprząż. Chciałam do nich podejść, lecz nagle zdałam sobie sprawę, że klęczę na mokrej trawie, dygocę z zimna i czekam na straszliwy obraz płonącego dziecka i zagłady wsi.

Ludzie podawali sobie z rąk do rąk wiadra. Pomyśleli o tym, co mnie nie przyszło do głowy. Polewali wodą ruiny chat Smithów i Cooperów, aby chciwe płomienie nie miały innej drogi niż ta w górę, prosto w deszcz, który zamieniał je w dym. Wiatr zmienił kierunek i zaczęłam się krztusić dymem, więc wstałam i potykając się podeszłam do Ralfa. Mówił coś do mnie, lecz nie słyszałam absolutnie nic ogłuszona hukem pioruna i oślepią blaskiem błyskawicy. Wyciągnęłam do niego ręce, kolana ugięły się pode mną i upadłam, nim zdążył mnie złapać.

249

ROZDZIAŁ Dwunasty.

Ze snu wyrwał mnie głos mamy i jej zaniepokojony ton:

- Nie bardzo rozumiem to, co pan opowiada, panie Megson.

Uniosłam powieki, podparłam się łokciem i zobaczyłam, że nie znajduję się w domu, w swej sypialni. Zmrużyłam oczy i przyjrzałam się tapecie w jasny wzorek i jasnym zasłonom w oknach. W powietrzu czuć było zapach spalenizny.

- Przyszła do mnie i powiedziała, że miała sen. - Głos Ralfa brzmiał cierpliwie i pocieszająco. Słyszałam już przedtem, jak uspokajał

przestraszone zwierzęta, przemawiając do nich tym tonem.

Rozejrzałam się po pokoju. Leżałam na stosie kołder w gościnnej sypialni probostwa, przykryta grubym wełnianym szalem, na sobie miałam wciąż wilgotny strój do konnej jazdy. Przez cienkie ściany słyszałam głos mamy tak wyraźnie, jakbyśmy znajdowały się w jednym pokoju.

- Nie ma w tym nic niezwykłego - mówił łagodnie Ralf. - Jest bardzo wrażliwą i spostrzegawczą młodą kobietą.

- Sądzi pan, że ona w jakiś sposób zdołała przewidzieć uderzenie pioruna?

- Tym razem głos należał do wujka. Bardzo starał się kontrolować, lecz wiedziałam, że nienawidzi mówić o rzeczach, które wykraczają poza racjonalny świat. Mój wuj był człowiekiem o logicznym umyśle.

Ralf też o tym wiedział.

- Czemu nie? - zapytał swobodnie. - Powszechnie wiadomo, że zwierzęta przeczuwają nadchodzącą burzę. Wielu farmerów mogłoby opowiedzieć o koniach, które uciekają ze stajni przed burzą, zanim spowoduje ona pożar.

Panienska Julia, jak się

250

wydaje, została obdarzona zdolnością przeczuwania niebezpieczeństw grożących Acre. Jest to umiejętność rzeczywiście niezwykła, lecz nie absolutnie wyjątkowa.

Na dole zapadło milczenie. Usiadłam na łóżku i przyłożyłam rękę do czoła. Kręciło mi się w głowie, ale byłam podniecona ze szczęścia.

Dziecko Carterów nie spłonęło. Niemowlę nie zostało w palącym się domu. Ted Tyacke i jego matka nie zostali pogrzebani pod stertą gruzu.

Wieś była uratowana.

- To rodzinna choroba - z lękiem odezwał się wujek.
 - Julia odziedziczyła nie zrównoważony charakter Laceyów. Obawiałem się tego i dostrzegałem pierwsze objawy. Oni byli zbyt blisko spokrewnieni i to się w niej ujawniło.
 - Nie! - usłyszałam okrzyk mamy. - Ona jest moją córką. Niczego złego nie odziedziczyła, jest po prostu przemęczona i wyczerpana. Zbyt ciężko pracowała. To nasza wina, bo słabo się nią opiekowaliśmy. To nasza wina, nie dziedzictwa rodzinnego.
 - Wyglądała bardzo dziwnie... - powiedział cicho pastor.
 - Przez moment wziąłem ją za...
 - Nie! - ostro przerwała mama. - Jest przepracowana. To moja, to nasza wina. Dlatego tak blado wygląda i zeszczupiała.
 - Pani Lacey ma rację - zagrział Ralf. - Julia to niezwykła dziewczyna o nadzwyczajnych zdolnościach. Wyczuła nadchodzącą burzę i po prostu zrobiła to, co powinna. Kapitanowie statków czynią to samo każdego dnia. Usiadłam na łóżku i zawołałam:
 - Mamo!
- Natychmiast otworzyły się drzwi salonu, potem usłyszałam, jak biegnie po schodach. Bez tchu wpadła do pokoju.
- Kochanie moje! Nareszcie się obudziłaś! Wyglądałaś zupełnie jak Śpiąca Królewna. John uznał, że musisz tu zostać, dopóki się nie obudzisz. Tak bardzo nas wszystkich przestraszyłaś! - rzekła z wymuszonym uśmiechem. - Boli cię coś? Dobrze już się czujesz?
 - Tak, nieźle - odparłam i była to prawda. - Tylko...
 - Przeciągnęłam się jak rozleniwiony kot. - Tylko... och, mamusi... jestem taka zmęczona!

- Zaraz zawieziemy cię do domu - oznajmiła. - Powóz stoi przed domem.

John i ja przyjechaliśmy zaraz, gdy tylko Jem

251

powiedział nam, dokąd się wybrałaś. Natychmiast zabierzemy cię do domu, zdejmiesz te mokre rzeczy, położysz się do ciepłego łóżka i potem możesz spać choćby cały dzień.

Wstałam, a ona objęła mnie w pasie i podtrzymywała. Byłyśmy tego samego wzrostu, nasze twarze znajdowały się na jednym poziomie. To sprawiło, że poczułam się tak, jakbym była jej równa, jakbym już przestała być dzieckiem. Spojrzałam na nią uważnie i dostrzegłam napięcie w jej twarzy.

- Mamo, nic złego się nie stało - powiedziałam cicho.

- Tylko stale, w kółko śnił mi się ten sam sen. Nie czułam się źle, nie byłam przerażona, po prostu wiedziałam, że nadciąga burza.

Spuściła oczy. Nie chciała na mnie patrzeć.

- Nie, kochanie - kłamała odważnie z miłości do mnie.

- Nikt nie uważa, że było to coś złego. Uratowałaś wielu ludzi, a to dla nas wielkie szczęście. Porozmawiamy o tym dłużej, gdy odpoczniesz, teraz chcę tylko, żebyś wróciła do domu.

Zbyt zmęczona, by protestować, oparłam się na jej ramieniu i pozwoliłam się sprowadzić na dół. Pastor Pearce stał u stóp schodów, ciągle ubrany w szlafrok, a ujrawszy nas, posłał mi ostrożny, pełen napięcia uśmiech.

Wujek objął mnie i położył mi rękę na czole, jakby sprawdzając, czy nie mam gorączki.

- Cieszę się, że trochę spałaś - rzekł. - Niedługo znajdziemy się w domu i musisz jeszcze odpocząć. Twoja mała główka zniosła dzisiaj za dużo

napięć.

Miałam ochotę temu zaprzeczyć, ale nic nie powiedziałam, bo z ogrodu wyszedł właśnie Ralf Megson i rozjaśnił się na mój widok. Podobnie jak ja był mokry od deszczu, a jako jedyny z nich uśmiechnął się do mnie naprawdę serdecznie.

- Julia - powiedział i głos jego był pełen miłości.

- Ralf - odparłam, podając mu obie ręce, jakbyśmy byli kochankami.

Wziął mnie pod rękę (czułam, jak mokra jest jego flanelowa kurtka) i objąwszy w pasie, podprowadził do drzwi, które otworzyła panna Green, gospodyni pastora. Na zewnątrz kropił jeszcze słaby porywisty deszczyk, który zwykle szybko przemija.

Przed probostwem widać było pozostałości trzech małych chat i pozbawione dachu ruiny domów Smithów i Cooperów. Dom, w którym poprzedniej nocy spał mój przyjaciel Ted Tyacke, był jedynie kupą gruzów, z której ciągle unosił się dym.

252

Przy bramie obok powozu zebrali się wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci z Acre, a gdy otwarto drzwi i wyszłam prowadzona przez Ralfa, powitali mnie entuzjastycznym okrzykiem, tak głośnym, że aż się cofnęłam, słysząc go. Ralf roześmiał się i objął mnie jeszcze mocniej.

Ktoś zawołał:

- Wyprzęgać konie, pociągniemy ją do domu!

Wszyscy więc ruszyli do eleganckiego powozu wujka, by go zamienić w triumfalny rydwan.

- Nie! - krzyknął Ralf tonem podobnym do tego, którym wydawał

polecenia oraczom. - Julia jest wyczerpana i musi się natychmiast znaleźć w łóżku. Uczcimy ją innym razem, nie dzisiaj. To mała dziewczynka, w dodatku mokra, zmarznięta i zmęczona.

Uśmiechnęłam się. On, który przy najgorszej nawet pogodzie wysyłał mnie na koniu, bym doglądała owiec, tak mnie teraz chronił. Spojrzał na mnie i również się uśmiechnął. Potem pomógł mi wejść do powozu, cofnął się i podał rękę mamie. Wujek wsiadł ostatni, po czym Jem schował schodki i zamknął drzwi.

Ludzie już nie krzyčili, lecz każdy z nich z uśmiechem wypowiadał me imię, machał rękami. Poczułam, że do oczu napływają mi łzy - łzy zmęczenia i tej niewypowiedzianej miłości do nich wszystkich, do wioski i do posiadłości. Później wolno, bo oblepione błotem koła z trudem się obracały, ruszyliśmy do domu.

- A Mgiełka? - przypomniałam sobie, gdy Jem wynosił mnie z powozu. Zaniósł mnie po schodach aż do sypialni, a za nami szła procesja złożona z mamy, pani Gough i Stride'a, którzy nieśli gorące mleko z winem, wodę do mycia i rozgrzaną cegłę do łóżka.

- Ralf Megson się nią zajmie - odparł krótko Jem. - Pójdę po nią, gdy już zaprowadzę konie od powozu do stajni.

Skinęłam głową i nie powiedziałam ani słowa więcej. Mama rozebrała mnie jak małe dziecko, ułożyła na łóżku i opatulila kołdrą. Zasnęłam od razu.

Zaraz też przyśnił mi się mój najstarszy sen.

Choć sprowokowała go burza, burza i deszcz, nie był to sen o kobiecie czekającej na człowieka zwanego Mścicielem. Nie był to również sen o wieży kościoła. Był to dziwny sen, który znałam tak dobrze, jakby

pojawił się każdej nocy, sen przepelniony bólem i poczuciem, że coś utraciłam.

253

Cierpiałam, byłam obolała fizycznie i psychicznie. Czułam, że straciłam wszystko - ludzi, którzy byli mi drodzy, rzeczy, które sobie ceniłam.

Bolały mnie bosc stopy, bo długo maszerowałam po zimnym kamienistym terenie, były też mokre od gliny i krwi płynącej z setek zadrapań spowodowanych ostrą kredą i krzemieniem. Było mi zimno, bo miałam na sobie tylko koszulę nocną i pelerynę, która jak mokra szmata zwieszała mi się wokół kostek. Potykając się w ciemnościach, wędrowałam przez pobliski las ku rzece, ku Fenny. Słyszałam, jak huczą jej głębokie wody, a dźwięk ten był głośniejszy od wycia wiatru, który targał gałęziami drzew. Było tak ciemno, że nie widziałam drogi przed sobą i niewiele brakowało, a upadłabym na kamienie, bo potknęłam się, wydając okrzyk przerażenia. Błyskawice rozpraszające mrok raczej oslepiwały mnie, niż ułatwiały marsz. Pewnie byłoby mi łatwiej, gdybym nie dźwigała swego brzemienia.

Przytulałam do serca zawiniątko z nowo narodzonym dzieckiem.

Wiedziałam, że odpowiadam za tę dziewczynkę i że ona jest moja.

Wiedziałam też, że muszę ją zabić. Niosłam ją do rzeki po to, by przytrzymać jej drobne ciało pod wzburzoną wodą, potem je wypuścić i pozwolić, by prąd zabrał ze sobą maleństwo owinięte w biały szal.

Huk wody nasilał się, w miarę jak brnęłam błotnistą ścieżką. Na widok rzeki wstrzymałam z przerażenia oddech. Była szersza niż zwykle, wystąpiła z brzegów i waliła w pnie drzew. Przewrócone drzewa stanowiące nasz most odpłynęły i skryły się pod spienioną wodą.

Zaczęłam płakać, a burza zagłuszała moje łkanie. Wiedziałam, że dziecko

trzeba utopić, że muszę to zrobić ja, jest to mój obowiązek, bo jestem z rodu Laceyów.

Nie mogłam znieść tych łez i niemożności, bólu w sercu i obolałych stóp. Zaczęłam się szamotać, chciałam się obudzić. Nie miałam pojęcia, jak włożyć to ciepłe, spokojnie śpiące niemowlę do zimnej rozszalałej wody, a jednocześnie czułam, że muszę to zrobić. Szlochając, brnęłam ku rzece, która wrzała jak kocioł piekielny. Jakaś częśćka mojej osoby wiedziała, że to tylko sen, ten, który śni mi się od zawsze. Zaczęłam z nim walczyć, chciałam się od niego uwolnić, ale on trzymał mnie mocno. Rzucałam się na łóżku i jak dziecko wołałam mamę, by przyszła i mnie zbudziła. Lecz sen nie odchodził, choć go odpędzałam. Wiedziałam, że śniła mi się prawda. Wiedziałam, że ujrzałam to, co pewnego dnia zdarzy się na jawie: że będę tą udręczoną

254

kobietą z ciepłym i bezpiecznym niemowlęciem w objęciach i że będę je chciała utopić jak nowo narodzonego szczeniaczka w zimnych wodach rzeki pędzącej ze zboczy wzgórz gdzieś w dal.

Gdy się obudziłam, było całkiem jasno. Błękitne niebo przecinały wstęgi chmur przeganianych przez wiatry od morza. Wydawało się, że sen o ciemnościach i rozpaczach zniknie w blasku słońca, lecz tak się nie stało. Nie opuścił mnie, tkwił w mej pamięci jak przeczucie i wizja czegoś złego. Wyglądałam mizernie i byłam tak przygnębiona, że mama uparła się, bym przez całe dwa dni została w łóżku, jakbym znajdowała się w szponach jakiejś nieznannej dziwnej choroby. Kiedy mama głaskała mnie po głowie, ujęłam jej dłoń i pocałowałam. Czułam się okropnie, jakby właśnie po raz pierwszy w życiu ktoś mi powiedział, że pewnego dnia wszyscy umrzemy.

Po raz pierwszy też zdałam sobie sprawę, że mama nie zawsze będzie przy mnie wtedy, gdy będę jej potrzebować.

Musnęła dłonią mój policzek.

- Nie martw się. Jesteś przepracowana i dlatego twój mózg nie pracuje tak, jak powinien. Odpoczniesz i wszystko będzie dobrze.

Z oczu płynęły mi łzy. Czułam się tak osłabiona. Miałam wrażenie, że jestem śmiertelnie chora.

- Taki okropny sen... - zaczęłam, lecz nie chciała tego słuchać.

- Nie będziemy już rozmawiać o żadnych snach, kochanie. - Schyliła się i pocałowała mnie w czoło. - Nie chcę o nich słyszeć, a ty sama musisz o nich zapominać, gdy się budzisz. Sny nie mają znaczenia. Są niczym.

Zaśnij teraz, proszę, i nie śnij więcej. Usiądę tu z robótką, a gdyby ci się jednak przyśniło coś złego, obudzę cię.

Podniosła mały kieliszek, który stał na mym stoliku nocnym, i podała mi go.

- John zostawił to dla ciebie. To pomoże ci spać bez snów. Wypij wszystko i odpoczywaj.

Posłusznie, jak osoba ciężko chora, wzięłam kieliszek i wypiłam jego zawartość. Ponownie ułożyłam się na poduszkach i przez złotawą senną poświatę przyglądałam się, jak mama przysuwa krzesło do okna i zabiera się za szycie. Siedziała ze mną i strzegła

255

mego spokoju, a ja obserwowałam ją tak długo, aż zamknęły mi się oczy. Zasnęłam.

Mama siedziała przy mnie cały czas: gdy spałam, gdy się obudziłam i gdy ponownie zapadłam w drzemkę. Nic mi się nie śniło. Lekarstwo Johna

działało oszalamiająco i nasennie. Nie śniłam jednak.

Następnego dnia na podwieczorek przyjechała babcia Havering. Z trudem wspięła się po stromych schodach do mego pokoju, by mnie zlustrować. Krytycznym wzrokiem obejrzała mnie przez swój lornion.

- Wyglądasz kwitnąco - zauważyła zgryźliwie. - Laceyom zawsze było do twarzy z ekscentrycznością.

- Nie jestem ekscentryczna, babciu - odparłam uprzejmie. - A w każdym razie nie staram się taka być.

Uśmiechnęła się i lekko poklepała mnie po policzku.

- Oczywiście, moja droga. To byłoby naprawdę nie do zniesienia.

Powiedziawszy te słowa, zeszła na dół, gdzie odbyła się narada rodzinna z udziałem babci, mamy, wujka i nawet Richarda, który tego ranka przyjechał dylizanssem z Londynu.

Na podwieczorek Richard przyniósł mi herbatę i kawałek ciasta z morelami. Oznajmił mi wówczas z zadowoleniem, że mam wyjechać do Bath.

- Rozmawiali na ten temat od obiadu i stwierdzili, że gdy tylko wyzdrowiejesz, powinnaś pojechać z mamą do Bath. Mama uważa, że jesteś wyczerpana nerwowo i potrzebujesz odpoczynku. Tata mówi, że w rodzinie Laceyów jest zła krew, która u ciebie się ujawniła. Babcia z kolei powiada, że Laceyowie zawsze byli zwariowani i że najlepiej byłoby natychmiast wydać cię za mąż za kogoś normalnego. Tak czy siak musisz wyjechać.

Z hukiem odstawiłam talerz na tacę i przerażona wyciągnęłam obie ręce

do Richarda.

- Chyba nie na zawsze! - krzyknęłam. - Nie na zawsze, Richardzie!

- Nie - odparł. - Tylko na kilka miesięcy. Mama chce cię zabrać do wód, a tata chce, byś odwiedziła lekarza, który jest jego przyjacielem. Babcia ma nadzieję, że znajdziesz tam narzeczonego. Uważają, że kilka miesięcy w Bath wystarczy na to wszystko.

Przyjrzałam mu się badawczo. Uśmiechał się, lecz był to uśmiech wymuszony i słaby. Był na mnie zły i usiłował to ukryć.

256

- A ty? - zapytałam prawie bez tchu. - Co ty powiedziałeś?

- Nic - odparł. - Niewiele miałem do powiedzenia, choć mam swoje zdanie na temat twojego zachowania. Zatrzymam to jednak dla siebie.

- Ja nie pojedę - oznajmiłam.

- To już postanowione - rzekł radośnie. - Pojedziesz razem z mamą i zatrzymacie się tam w jakimś ponurym pensjonacie. Wydaje mi się, że to będzie okropnie nudne. Wyjedziecie natychmiast, gdy tylko mama otrzyma potwierdzenie rezerwacji pokoi, a tata zamówi konie na tę podróż. W Bath pójdziesz do jego przyjaciela, specjalisty. Razem z tatą praktykował kiedyś w Edynburgu, a potem zaczął się zajmować bardzo szczególnymi przypadkami. - Rzucił mi promienne spojrzenie. - Wiesz, o jakie przypadki chodzi?

Zawahałam się. Instynkt samozachowawczy podpowiadał mi, że nie chcę tego wiedzieć. Czułam się jednak wyczerpana i załamana snem, który wydawał się zapowiedzią mojej przyszłości.

- O jakie? - zapytałam.

- Pomieszanie zmysłów u młodych kobiet - rzekł ze słodyczą w głosie. - Leczy młode kobiety, które zwariowały. To właśnie jego masz odwiedzić w Bath, bo wszyscy uważają, że oszalałaś. Uważają, że pomieszało ci się w tej twojej sprytniej główce.

Talerz z brzękiem spadł na ziemię, gdy chwyciłam go za rękę.

- Nie, Richardzie - wykrztusiłam. - Nie pojedę. Oni się mylą, dobrze o tym wiesz.

Wywinął się z mego uścisku.

- To jeszcze nie wszystko - powiedział. - Aż do wyjazdu nie wolno ci odwiedzić Acre.

Gapiałam się na niego.

- Czy oni wstydzą się za mnie? Są źli o to, co zdarzyło się we wsi?

- Powiadają, że się o ciebie boją - odrzekł z zadowoleniem. - Mówią wszystkim, że jesteś chora. Są jednak przekonani, że oszalałaś.

Położyłam jedną dłoń na drewnianym zagłówku łóżka, drugą sobie na czole, mając nadzieję, że zdołam się uspokoić.

- To bzdura - odezwałam się niepewnie. - Zawsze miałam sny, a ten był podobny do innych. To było widzenie. Każdy wie, że takie coś istnieje.

257

- Widzenia to specjalność brudnych starych Cyganek - rzekł bezlitośnie. - Młode damy ich nie miewają, chyba że stracą zmysły. Zawsze starałaś się upodabniać do mojej mamy, Beatrice; wszyscy zaś mówią, że ona zwariowała. Teraz mówią, że to choroba rodzinna, którą ty odziedziczyłaś. Ściany pokoju zaczęły wirować dookoła mnie.

- Nie. To nie tak. Wiesz, że to nie tak, Richardzie.

- Nie wiem. Zawsze wydawało mi się, że cię dobrze znam. Lecz odkąd

wrócił mój tata, ciągle usiłowałaś się stać jego ulubienicą. Potem przyjechał Ralf Megson, a ty od razu próbowałaś być najważniejsza dla niego i dla całej wsi. Tylko dlatego, że zaprzyjaźniłaś się z tymi głupimi małymi wieśniakami, możesz tu wszędzie paradować i odgrywać rolę dziedziczki. Mnie wysyłano na lekcje, ty włóczyłaś się tam, gdzie miałaś ochotę. Gdy wyjechałem do Oksfordu, stale się tu pokazywałaś, wdzięczyłaś się do Megsona i udawałaś, że pracujesz tak, jakbyś była moją mamą, która powróciła. Teraz widzisz, co ci z tego wyszło! Dobrze ci tak! Spiskowałaś, chcąc, by wszyscy uwierzyli, że jesteś dzieckiem szczęścia, a teraz już nikt ci nie wierzy. Uważają cię za wariatkę i tyle.

- Nie jestem wariatką! - powiedziałam, starając się przełamać oszołomienie spowodowane środkiem nasennym, zmęczeniem i przygnębieniem. Byłam wściekła. Odrzuciłam kołdrę i zaczęłam wstawać.

- Miewam widzenia - rzuciłam prowokująco. - A to oznacza, że mogłam uratować wieś przed walącą się wieżą i pożarem. Nie zaplanowałam tego. Nie spiskowałam. Po prostu musiałam tam pójść, nie mogłam się temu oprzeć. To była Beatrice. To było widzenie.

Oparł ręce na moich ramionach i z powrotem osadził na łóżku.

- Takie rzeczy nie istnieją - zasyczał. Twarz mu pociemniała ze złości. - Nie ma żadnych widzeń. Beatrice nie żyje. A to co przed chwilą powiedziałaś, dowodzi, że wszyscy mamy rację, uważając, iż zwariowałaś. Zwariowałaś, Julio, i trzeba cię wsadzić do domu wariatów. Nigdy nie zamieszkaż w nowym dworze i nigdy nie staniesz się dzieckiem szczęścia.

Podniosłam ręce, chcąc go chwycić za nadgarstki i uciszyć, nic jednak nie zdołało go powstrzymać.

- Zwariowałaś i dlatego pojedziesz do Bath, a twoja mama zabierze cię do lekarza. On od razu się domyśli, że wszystkie

258

te twoje sny, widzenia i szумы w głowie to oznaka szaleństwa.

Krzyknęłam.

Puściłam jego dłonie, z całej siły uderzyłam go pięścią i krzyknęłam.

Natychmiast wcisnął mi twarz w poduszkę, przytrzymując mnie tak mocno, że zaczęłam się dusić, więc wiałam się i szarpałam, próbując go odepchnąć. Potem opadłam bez sił, a on dopiero wówczas zwolnił uścisk i odwrócił mnie twarzą do siebie.

- Lepiej się uspokój - szepnął ze słodyczą. - Jeżeli usłyszą, że krzyczysz, lub wyda im się, że stajesz się zbyt gwałtowna, będzie jeszcze gorzej. -

Uśmiechnął się do mnie bez troski, twarz jaśniała mu radością. - Już wyglądasz jak wariatka. Przed chwilą wrzeszczałaś jak szalona. Wpadłaś w furję, zaatakowałaś mnie, a teraz płaczesz. Każdy kto by to zobaczył, byłby pewny, że należy cię posłać do domu wariatów. Lepiej więc się uspokój. - Odgarnął mi włosy ze spoconego czoła. - Dobrze już, dobrze - powiedział.

Zadrżałam pod tym dotknięciem.

Podniósł me bosc stopy z podłogi i otulił je kołdrą, wygładził też pościel pod brodą.

- Leż spokojnie - szepnął mi do ucha. - Leż spokojnie. Babcia wciąż jeszcze jest na dole, a nie chciałabyś chyba, żeby słyszała twój krzyk, prawda, mała pieszczoszko rodziny?

Leżałam jak martwa. Nawet nie drgnęłam, kiedy lekko i czule, jakby z miłością, ucałował mnie w policzek. Później odwrócił się, cicho podszedł do drzwi i zamknął je za sobą.

Leżałam tam, gdzie mnie zostawił, tępo wpatrując się w sufit, z mokrymi od łez policzkami, a w moim sercu zaczynała narastać panika.

Następne dni przypominały nocny koszmar. Każdy słodki uśmiech mamy, każde spojrzenie wujka i pytanie o moje samopoczucie potwierdzały to, co powiedział Richard: oni sądzą, że zwariowałam. Wiedziałam, że mam napiętą twarz i czujne oczy. Robiłam wszystko, by się zwyczajnie zachowywać i wyglądać jak normalna dziewczyna, ale mój sposób bycia z każdym dniem stawał się coraz bardziej dziwaczny.

Pogoda uparła się, żeby mnie torturować, bo deszcz i wiatr ustąpiły porannym mrozom i popołudniowemu jaskrawo czerwonemu słońcu.

259

Mgiełka jadła owies w stajni i stawała się coraz bardziej niespokojna, a mimo to nie mogłam na niej jeździć. Nie miałam odwagi wyglądać oknem w obawie, że mama dostrzeże w mej twarzy coś niezwykłego i uzna to za objaw szaleństwa. Bałam się nawet siadać u jej stóp i wpatrywać się w ogień na kominku, aby wujek John nie zapytał łagodnie: „Julio, o czym myślisz?”

Za każdym bowiem razem, gdy siadałam beczynn timer i przyglądałam się płomieniom, on obserwował moją zamyśloną twarz. Byłam pod stałą kontrolą.

Niespokojna Mgiełka była już w Dower House. Ralf przyprowadził ją na drugi dzień po burzy, obładowaną przez dzieci z Acre, które zrobiły dla mnie łańcuchy z papierowych kwiatków, bukiety z gałązek obsypanych

drobnymi, zapowiadającymi wiosnę pączkami, zebrały też swoje ćwierćpensówki i powędrowały do Midhurst po pudełko kandyzowanych owoców. Nie pozwolono mu jednak zobaczyć się ze mną. Podobnie jak wszystkim gościom z Acre, powiedziano mu, że teraz odpoczywam, a w następnym tygodniu wyjeżdżam do Bath. Moje miejsce w gospodarstwie zajął Richard. Codziennie wyprowadzał ze stajni Księcia i jechał do Acre, gdzie razem z Ralfem decydował, jakie prace należy wykonać tego dnia. A niefrasobliwy i spokojny Ralf przyjął tę zmianę jako wyraz naszej - mojej woli. Wiedział wprawdzie, że Richard nie ma pojęcia o krowach i nie lubi zajmować się owcami, ale w martwym sezonie, jakim był styczeń, pracy w gospodarstwie było niewiele. Pilne było jedynie podparcie zachodniej ściany kościoła, zabezpieczenie jego dachu przed przeciekaniem i jak najszybsza odbudowa pięciu zniszczonych chat.

A Richard lepiej niż ktokolwiek inny znał się na budownictwie. Był przecież we wszystkich kamieniołomach, znał ceny kamienia i terminy dostaw. Potrafił narysować nowe plany lub odpowiednio przekształcić te, które widniały w jego książkach o architekturze. To właśnie on był najbardziej teraz potrzebny we wsi. Nie było pracy na roli, lecz pilnie potrzebny był ktoś, kto zaplanuje i będzie dozorował naprawę kościoła i odbudowę domów.

Codziennie wychodził do Acre, gdzie energicznie zaprzągnął ludzi do pracy nad rekonstrukcją dachów dwóch zniszczonych chat. Obserwował, jak wymieniają krokwie i kładą strzechy, a po

260

południu, gdy zaczynało się ściemniać, zabierał wszystkich do gospody i stawiał im po kuflu piwa.

Nie zapominał też o kobietach i dzieciach. Kiedy pewnego razu zachorował Mały, Richard kazał wezwać powóz, którym przywiózł chłopca do Dower House, do wujka, po czym odesłał go do domu z opatuloną szyją i porcją środka przeciwbólowego. Zawsze nosił w kieszeni pęk wstążek dla wiejskich ślicznotek. Odgrywał rolę uwielbianego młodego dziedzica i był równie miły dla wszystkich. Ponieważ Clara wciąż była przywódczynią tutejszej młodzieży, dla niej właśnie zachowywał najszersze i najjaskrawsze wstążki. Jedynie Ted Tyacke oparł się urokowi mego kuzyna. Tylko on nie chadzał z nim na piwo, tylko on zapominał się mu uklonić.

- Jest gburowaty - powiedział kiedyś przy obiedzie Richard i uśmiechnął się zarozumiale - ale to nie ma znaczenia. Poradzę sobie ze wsią bez błogosławieństwa Teda Tyacke'a.

Wszystko toczyło się tak, jakbym umarła w tę noc, gdy spadł hełm wieży, jakbym umarła i Richard zajął moje miejsce. Było tak, jakbym umarła i została zapomniana.

Mama i wuj polecili, by Stride odprawiał wszystkich, którzy chcieli mnie odwiedzić. W kuchni informowano ich więc, że źle się czuję i odpoczywam. Jeżeli trzeba było podjąć jakąś decyzję co do prac w polu, odsyłano ich do Ralfa Megsona, jeżeli natomiast chodziło o budowę, decydował Richard. Życie biegło tak, jakby mnie nie było, jakbym wyjechała do Bath i już nie miała tu powrócić.

Mama widziała, że czuję się nieszczęśliwa, ale nie pytała mnie dlaczego, a ja byłam równie ostrożna z otwieraniem się przed nią jak podejrzany w sądzie. Najgorszy był jednak sposób, w jaki wszyscy na mnie patrzyli. Nie mogłam się też uwolnić od ponurych wspomnień ze snu. Miałam

wrażenie, że spojrzałam w zaczarowane lustro i ujrzałam w nim odbicie swej twarzy, która zbrzydła od przebytych cierpień i pomarszczyła się z wiekiem. Chyba ukarano mnie zdolnością widzenia takiej przyszłości, w której nie było przywróconej do życia wsi i odbudowanego dworu, a jedynie samotność, ból, lęk i nie chciane dziecko, które muszę zamordować.

Może odzyskałabym równowagę ducha, gdybym odpoczęła i gdyby zostawili mnie w spokoju. Oni jednak ciągle wodzili za mną niespokojnymi zatroskanymi oczyma. Ani mama, ani wujek

261

nie byli w stanie ukryć, że chcą, bym wyjechała jak najszybciej i zostawiając dom i ziemię, udała się na wygnanie. Zawsze przeglądałam pocztę, bo wiedziałam, że wujek napisał już do swego przyjaciela lekarza. Odpowiedź od niego przyszła tego samego dnia, co list z potwierdzeniem rezerwacji pokoi.

- Możemy jutro wyjechać - odezwała się mama przy porannej kawie.
- Doktor Phillips przyjmie was w dogodnym terminie
- powiedział wujek.

Oboje unikali mego wzroku. Gapiłam się w talerz, bojąc się powiedzieć cokolwiek, a w powietrzu zawisło przepelnione lękiem milczenie.

- Wychodzę - rzekł wreszcie Richard i wszyscy przyglądaliśmy się mu, gdy odsuwał krzesło i szedł do drzwi. Po drodze ucałował koronkowy czepek mamy. - Smithowie i Cooperowie mogą już dzisiaj zacząć przeprowadzkę, a ja zabieram się serio do pracy nad odbudową trzech pozostałych domów - oznajmił pogodnie. - Ojczy, chyba zgadzasz się, że nie muszę wracać na uniwersytet, zanim nie doprowadzę tej pracy do

końca?

Wujek skinął głową z aprobatą.

- Oczywiście masz rację. Nikt inny nie narysowałby planów i nie sprowadził materiałów tak szybko. Acre pozostanie twoim dłużnikiem.

Nikt inny nie podjąłby się tej roboty.

Richard uśmiechnął się.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. Lecz wydaje mi się, że nie możemy pozwolić, by Julia wróciła z Bath, zanim nam nie obieca, że nie będzie już burzyć wioski. Przyznaję, że czasami sam chętnie zrównałbym to miejsce z ziemią, ale nie w połowie stycznia, w samym środku burzy!

Cała trójka wybuchnęła śmiechem, lecz jedynie Richard wyglądał na naprawdę rozbawionego tym żartem. Czułam, jak na twarzy zastyga mi tępy sztuczny uśmiech. Wiedziałam, że dziwnie wyglądam z tym uśmiechem i oczami pełnymi łez. Tylko Richard zdawał się tego nie dostrzegać. Przesłał mi całusa, otworzył drzwi, potem zatrzymał się i zerknąwszy na mnie, zwrócił się do mamy.

- Czy mógłbym dostać obiad dopiero wieczorem? Nie zdążę wrócić przed zmierzchem.

Mama uśmiechnęła się, widząc jego zapal.

262

- Oczywiście. Skoro jesteś taki zapracowany, zjemy później, jeśli ci to odpowiada.

- Pół praca, pół przyjemność - rzekł prowokująco i patrzył, jak zareaguję na jego słowa. - Wyjazdy do pracy kosztują mnie fortunę, biorąc pod uwagę to, co wydaję na wstążki.

Spuściłam oczy i nie powiedziałam ani słowa, gdy tymczasem oni żartowali sobie na temat flirtów z wiejskimi dziewczętami, zdołał już bowiem podbić serca wszystkich młodych mieszkanek wsi. Wiedziałam, że powiedział to, by mnie zdenerwować, i rzeczywiście - udało mu się. Później powiedział nam: „Do widzenia”, usłyszeliśmy, jak stuka butami po podłodze, wreszcie trzasnęły za nim drzwi frontowe.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

- Zdążysz się przygotować do wyjazdu? - łagodnie zapytała mama. - Nie musisz pakować zbyt wielu rzeczy, bo chciałabym ci kupić nowe stroje już w Bath.

Kiwnęłam głową. Nie miałam nic do powiedzenia. Wyszłam z pokoju, zanim jeszcze zaczęli głośno wydziwiać nad kontrastem, jaki stanowimy: ja i mój zdrowy, ożywiony kuzyn.

Miał nade mną istotną przewagę. Stał się teraz nie tylko podporą mamy, ale również wujka, który z pełnym zaufaniem powierzał mu swoją korespondencję z Acre. Ralf Megson przydzielił mu część moich obowiązków. Był niezastąpiony przy odbudowie domów, a jego popularność we wsi ciągle rosła. A on wciąż próbował osiągnąć jeszcze więcej, usiłował rozszerzyć swoją moc.

Coraz więcej potrafił zrobić w gospodarstwie. Stary łagodny koń Johna z zadowoleniem przyjmował zwiększoną porcję kłusa, a wujek chwalił Richarda za to, że szkapą nie pogardził. Richard nigdy przedtem nie wydawał się tak pewny na koniu jak na tym spokojnym zwierzęciu, które choć efektowne i dobrej krwi, było z powodu nieuchronnie zbliżającej się emerytury tak wygodne i bezpieczne jak fotel.

Stałam się dla niego nikim. Miał teraz ziemię, miał Acre, wystarczały mu

wiejskie dziewczyny.

Stałam się nikim dla Acre. Przedtem pracowałam dla nich, ratowałam ich życie. Teraz oni odbudowywali ruiny i patrzyli w przyszłość. Nim minie kilka tygodni, zapomną o mnie.

Stałam się - nie, nie nikim, tak nie sądziłam - ale zaczęłam być źródłem niepokoju i zmartwień dla mamy i wujka Johna. Nie byłam dzieckiem szczęścia. Byłam kłopotliwym dzieckiem.

263

Weszłam do salonu z błyszczącymi oczami i purpurowymi policzkami, a gdy zjawili się mama i wujek, zauważyłam, że spojrzeli na siebie wzrokiem pełnym troski i smutku. Uznali, że jestem albo humorzasta, albo nerwowa, albo histeryczna. Prawdę mówiąc, czułam się tak, jakby te trzy określenia były słuszne.

Podeszłam jak najbliżej mamy, jakby sama jej obecność miała mnie uchronić od pozorów szaleństwa, poczucia, że zwariowałam, od tego panicznego lęku przed utratą wszystkiego i od obawy, że ta bosonoga kobieta ze snu to ja. Wyciągnęłam stołeczek, usiadłam u jej stóp i pomagałam odpruwać obrąbek sukienki, którą miałyśmy zawieźć do przerobienia. Robiłam to jak uważna krawcowa, ostrożnie odczepiając starą koronkę przeznaczoną do ozdobienia nowych sukien. Zabrałam ją potem do kuchni, wyprałam i starannie wypłukałam, a później, lekko wycisnąwszy przez bawełnianą ściereczkę, rozwiesiłam, by wyschła. Richard pracował przez cały dzień i w domu pojawił się dopiero na obiedzie, który z jego powodu jedliśmy tego dnia wyjątkowo późno. Nie odczuwałam zniecierpliwienia, zazdrości czy też gniewu. Mój kuzyn był dziedzicem i mógł robić to, co

chciał.

Tak jak zapowiedział, wrócił późno. Zawiesił czapkę na poręczy i pobiegł na górę, by się przebrać, a od jego wełnianej odzieży bił zapach mroźnego powietrza, który wzywał mnie wyraźnie, jakby był głosem wypowiadającym moje imię. Narzuciłam na siebie szal i wybiegłam do ciemnego ogrodu, gdzie mogłam przyglądać się czarnym konturom wzgórz na tle granatowego nieba.

Zmarznięta trawa chrzęściła pod stopami, niebo wyglądało jak ciemny łuk upstrzony jaskrawymi gwiazdami. Jakiś cień przesunął się na jego tle - sowa pohukująca swą długą łowiecką pieśń. Wielki cedr wyglądał jak potwór z pokraczynymi palcami. Nagle z mroku wyłoniła się jakaś postać i zbliżyła do mnie.

Była to Clara Dench.

- Julia? - odezwała się. - To ja.

- Och, Claro! Tak się cieszę, że cię widzę! Skąd wiedziałaś, że tak strasznie cię potrzebuję?

- Miałam się zobaczyć z Richardem - odparła. - Po pracy, tu w lesie.

Spóźniłam się jednak, a on sobie poszedł. Myślałam, że będzie miał dla mnie jakąś wiadomość od ciebie, więc przyszedłam tutaj.

264

- Miałaś się spotkać z Richardem? - spytałam z niedowierzaniem. -

Spotkać się z nim po ciemku w lesie?

Wybuchnęła śmiechem w sposób całkiem niekobiecy.

- Nie bądź głupia, Julio. Za kogo mnie uważasz? Za jakiegoś stukniętego wiejskiego kocmołucha uganiającego się za młodym dziedzicem? Prosił

mnie, bym się z nim spotkała, więc pomyślałam, że ma wiadomości od ciebie. Jaki mógłby być inny powód?

Wolno skinęłam głową. Oto następna nitka Richardowej sieci złości i kłamstw, którą oplątywał mnie i przysłał mi świat.

- Och, Claro, jak dobrze, że się spotkałyśmy! Objąwszy ją ramieniem, poczułam znajome ciepło pulchnego ciała i łaskotanie długich włosów na policzku. Odwróciłyśmy się, razem przeszłyśmy przez trawnik i stanęłyśmy u stóp cedru. Przejechałam dłonią po korze, czując jej płatkowatą strukturę i wciągnęłam w nozdrza słodkokorzenny zapach. Później wyciągnęłam ręce do Clary.

- Cieszę się, że tu jesteś, bo muszę się z tobą pożegnać. Wiesz, od tej burzliwej nocy nie wolno mi chodzić do Acre. Mówią, że jestem chora, i prawdę mówiąc, niewiele brakuje, bym sama w to uwierzyła. Jutro wysyłają mnie do Bath i nie przypuszczam, by pozwolili mi się pożegnać z przyjaciółmi. Powiedz wszystkim we wsi, że myślę o nich i przesyłam im uściski.

Złapała mnie za ręce swymi chłodnymi dłońmi.

- Wyjeżdżasz? - powtórzyła. - Wyjeżdżasz stąd? Po co, Julio? Wyjeżdżasz na długo?

Usiłowałam się roześmiać i powiedzieć: „Och! Oczywiście, że nie!”

Usiłowałam się uśmiechnąć i powiedzieć: „Och! W Bath będę się tak dobrze bawić!”

Zamiast tego jednak głośno zaszlochałam, rzuciłam się jej w ramiona i pisnęłam żałośnie:

- Claro! Claro! Oni uważają, że oszalałam z powodu snu i burzliwej nocy, więc zabierają mnie stąd i nie wiem, co się wydarzy!

Płakałam po raz pierwszy od czasu, gdy Richard oznajmił mi, że nie wolno mi się dziwnie zachowywać. Clara klepała mnie po plecach i wycierała mi twarz, a ja czułam, że lęk i zdenerwowanie gdzieś ulatują. Potem pociągnęła mnie w stronę huśtawki, która upiornie wyglądała ze swymi pokrytymi szronem linami.

265

- Co się stało? - zapytała łagodnie. - Wcale nie jesteś szalona, ale nigdy nie widziałam, byś była tak nieszczęśliwa. Wyglądasz rzeczywiście dziwnie.

- Dziwnie? - spytałam z lękiem.

- Tak. Starzej - powiedziała, dobierając słowa. - Smutno. Tak, jakbyś wiedziała o czymś okropnym. Co się dzieje?

Miałam już na końcu języka kłamstwo, kłamstwo przeznaczone dla mej drogiej Clary. Chciałam skłamać, bujając się do przodu i do tyłu, jak zegar wybijający złą godzinę. Nie zrobiłam tego jednak. Oparłam nogi na ziemi i powoli zatrzymałam huśtawkę. Nie chciałam okłamywać Clary. Nie dbałam już o to, co jeszcze wydarzy się niedobrego. Były w moim życiu pewne rzeczy, które chciałam ocalić.

- Chodzi o Beatrice - powiedziałam wolno.

W cichym pozbawionym barw ogrodzie Clara i ja stanęłyśmy twarzą w twarz z tą przerażającą rzeczą, którą z uśmiechem wypowiedziałam. Clara zadrżała, choć była szczelnie owinięta szalem, ja poczułam ten sam chłód w swoim wnętrzu.

- To Beatrice i jej czary - szepnęłam.

Jej oczy pociemniały z przerażenia, a ja zdałam sobie sprawę, że delikatne włoski na karku zjeżyły mi się jak u przerażonego

psa.

- Widujesz ją? - spytała bardzo cicho.

- Nie - odrzekłam półgłosem. - Dzieje się coś jeszcze gorszego. Mam wrażenie, że nią jestem.

Zapadło milczenie. Delikatny wietrzyk niósł w naszą stronę zapach wzgórz, lecz pod nim czaiła się woń strachu, ostra jak szałwia.

- Czy to stało się wtedy, gdy przybył Ralf? - zapytała.

- Tak. Usłyszał ją w moim głosie. Wydaje mi się, że zauważył też podobieństwo między nami.

Jeszcze mocniej opatuliła się szalem. Ciarki przeszły mi po plecach, gdy zobaczyłam, że zaplotła palce w dawny znak odganiający czary - jej kciuk między palcem wskazującym i środkowym tworzył krzyż. Pochyliłam się i położyłam dłonie na jej rękach. Zrobiłam to zarazem błagalnie i oskarżycielsko.

- Claro, czy ty robisz ten znak przeciw mnie?

Zacisnęła pięści i spuściła głowę, a ja w świetle gwiazd dostrzegłam, że jej twarz pokryła się ciemnym rumieńcem.

266

- Och! Dobry Boże, nie! - rzekła. Odwróciła się, podeszła do cedru i oparła głowę o jego pień, chcąc uspokoić zamęt w myślach. - Nie - zwróciła się znowu do mnie i oparła o drzewo plecami. - Nie robię tego przeciw tobie. Robię to przeciw czemuś, co zobaczyłam w twoich oczach, Julio. Przeraziło mnie to, przyznaję.

- Zobaczyłaś w mych oczach ją - rzekłam. Spoglądała na mnie przyjaźnie, co przypominało o czasach,

gdy jako dzieci razem bawiliśmy się w lesie.

- Tak, chyba tak - odparła. - To samo, co ludzie przez cały czas opowiadali we wsi. Że to ty jesteś dzieckiem szczęścia. Jej spadkobierczynią.

- Nie wygląda na to, że jestem szczęściarą - oburzyłam się. - Śniło mi się, och, Claro, śnił mi się taki koszmar! Był niepodobny do innych snów o Beatrice - ciągnęłam. - Czułam się potwornie samotna. Tak okropnie, okropnie samotna. Nikt mnie nie kochał i ja też nie kochałam nikogo. Nikogo prócz maleńkiego dziecka owiniętego w biały szal, które miałam utopić.

Wstrzymała oddech, jej twarz widoczna w świetle księżyca pobladła.

Podeszła do huśtawki, uklękła na oszronionej trawie i położyła swe dłonie na moich.

- Zawsze będę cię kochać - powiedziała z tym cudownym tutejszym akcentem. - I zawsze będę tutaj.

Przez moment było mi cieplej od tego przywiązania, które brzmiało w jej głosie, i nawet zaczęłam się uśmiechać, lecz potem dobiegł mnie dźwięk podobny do szumu lodowatego wiatru, który przychodzi z daleka.

- Nie, nie zawsze - rzekłam z jakąś smutną pewnością w głosie.

Spojrzała na mnie pytająco, lecz jako że była mądrą wiejską dziewczyną, wzruszyła ramionami i posłała mi prowokujący łobuzerski uśmiech.

- No to przynajmniej nie będę musiała znosić twojego widoku, kiedy już będziesz tu odgrywać wielką panią.

Słaby to był żart, a nasze uśmiechy wypadły blado. Przez długi czas stałyśmy w ogrodzie milczące i nieruchome.

- Co zamierzasz zrobić? Możesz tam nie pojechać?

- Nie, nie mogę - odparłam markotnie. - Muszę wyjechać i nie wiem,

kiedy pozwolą mi wrócić.

267

Usiłowałam się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego jedynie smutny grymas. Lodowaty wiatr zdawał się przybywać wprost z gwiazd, a ja czułam za oczami pulsujący ból głowy sprawiający, że prawie nic nie widziałam. Wyglądało na to, iż niebawem utracę wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam: Richarda, Wideacre i moich przyjaciół. Wszystko to ukradła mi pokonana i martwa czarownica, nie dając w zamian nic prócz garstki przesądów i namiętności, której nie byłam w stanie kontrolować.

- Muszę zrobić to, czego oni chcą. Muszę jechać do Bath. Wierchem dłoni otarłam łzy z twarzy, ucałowałam Clare i blado się do niej uśmiechnęłam, po czym odwróciłam się, by pójść do domu. Zatrzymała mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu.

- A nawet jeśli naprawdę masz jej zdolności? Co z tego? - Miłość, jaką do mnie żywiła, dodała jej odwagi, by mówić o Beatrice. - Czy oni nie widzą, że to nie ma żadnego znaczenia? Starzy wieśniacy mówili tak o tobie zawsze, jeszcze gdy byłaś małą dziewczynką. Mówili, że jesteś Beatrice, która wróciła do nas, by zaprowadzić porządek. Czy nie można tego po prostu uznać za tajemnicę? Tajemnicę Laceyów i Acre?

- Nie - odrzekłam ze znużeniem. - Świat się zmienia i nie ma w nim już miejsca na tajemnice. Coraz więcej ludzi przyjeżdża tu do pracy, coraz więcej mieszkańców Acre szuka zatrudnienia gdzieś indziej. Świat nie akceptuje widzeń, marzeń i innych rzeczy, o których my wiemy, że istnieją. Ludzie nie chcą o nich słuchać, bo nie potrafią ich wyjaśnić. Skrzywiła się.

- A wydaje im się, że są tacy mądrzy - ludziom takim jak twój wujek John,

dobrym ludziom, którzy robią wspaniałe rzeczy. Wszystko chcą zaraz określić słowami. - Przerwała. - Muszę być w domu, zanim się całkiem zachmurzy. Po drodze wejdę do Ralfa Megsona i powiem mu, że rano odjeżdżasz. Twój wspaniały kuzynek nikomu o tym nie powiedział. Nikt z nas o niczym nie wie.

Przytuliłam się do niej i podziękowałam. Poczułam, że pod moim dotknięciem zadrżała, tak jakby się obawiała, że moja chłodna od nocnego powietrza skóra jest powłoką ducha. Cofnęłam się więc i spróbowałam normalnie uśmiechnąć, choć pewna byłam, że mam zamglone i oszalałe oczy.

- Nie bój się, Claro. Ja nadal jestem tą małą dziewczynką, która tarzała się z tobą w błocie. Może oni mają rację, że to nie żadne widzenia, lecz gorączka mózgu.

268

Skinęła głową, poklepała mnie brudną dłonią po policzku, owinęła się szalem i wybiegła z ogrodu.

Tego wieczoru wyczekiwałam Ralfa w nadziei, że wybierze się na przejażdżkę w świetle księżyca i przy okazji odwiedzi Dower House. Zostałam nawet pół godziny dłużej po kolacji, ale wyglądałam go nadaremnie. W końcu poszłam do łóżka i w absolutnej ciszy sypialni szlochałam w poduszkę, rozpaczając nad tym, że mnie zawiódł i że muszę odjechać, nawet go nie zobaczywszy.

Powinnam była bardziej mu ufać. Rano Jenny, która przyniosła mi czekoladę, oznajmiła, że na podwórzu czeka pan Megson i chce się ze mną pożegnać. Narzuciłam na siebie szlafrok i zakiet jeździecki, po czym zeszłam na dół. Słońce świeciło tak jasno, jakby był środek lata, lecz

ziemia była twarda niczym skała. Dzień był cudownie spokojny, niebo miało przejrzyste niebieską barwę, a na dziedzińcu stał Ralf Megson i uśmiechał się do mnie z grzbietu swego konia.

Podeszłam i zaczęłam klepać zwierzę po szyi, zerkając jednocześnie na jeźdźca.

- Chorowałaś? - zapytał cicho.

- Nie. Nie wolno mi było wychodzić. Bali się mnie wypuścić.

- Niepotrzebnie - powiedział łagodnie, a ja poczułam, że opuszczają mnie ból i napięcie, które towarzyszyły mi przez kilka ostatnich dni. Wydawało mi się, że jakieś pęta spadają z moich ramion i szyi.

- Muszę wyjechać do Bath - rzekłam szybko. Zabrzmiało to jak wyrok.

Ralf spoglądał na mnie ciepłymi, pełnymi współczucia oczami. - Zabiorą mnie tam do lekarza. Uważają, że jestem nie zrównoważona umysłowo z powodu tych snów i nocy, gdy była burza.

- No tak - skrzywił się lekko. - Tak przypuszczałem. - Milczał przez chwilę. - Żaden rozsądny lekarz nie będzie się do ciebie wtrącał. Każdy dostrzeże, iż jesteś mądrą i śliczną młodą kobietą. Każdy, jeśli tylko ma choć trochę zdrowego rozsądku, dostrzeże twoje niezwykle zdolności i szczególną moc. Ty zaś powinnaś się z nich cieszyć. Powinnaś pozwolić, by swobodnie pływały w twym umyśle, jak rzeka przepływa pod łukami mostu.

- Nie potrafię. Mam być młodą damą. Nie mogę się zachowywać jak niespełna rozumu Cyganka. Nie jestem wiejską znachorką

269

ani wróżbitką. Muszę się pozbyć snów i widzeń. Muszę przebywać w odpowiednim towarzystwie i być żoną dziedzica!

Ściągnął usta, jakby zamierzał splunąć, lecz zaraz przypomniał sobie, gdzie się znajduje, i rozmyślił się.

- Przepraszam bardzo - rzekł z ironiczną uprzejmością. - Na chwilę zapomniałem, że masz przed sobą taką wspaniałą przyszłość. Doprawdy status młodej damy z towarzystwa wart jest chyba tych kilku ofiar.

Popatrzył na mnie i złość zniknęła mu z oczu.

- Urodziłaś się i wychowałaś wśród arystokracji - rzekł nieco łagodniej. - Jeśli chcesz się pozbyć tej dzikości, którą masz w sobie, jeśli chcesz ją z siebie wykorzenić, może zdołasz to zrobić. Może uda ci się zostać prawdziwą panienką z Bath. Ja myślę, że to niemożliwe, lecz mogę się mylić. Jeśli jest na świecie miejsce, w którym można tego dokonać, to jest nim Bath.

Nie wytrzymałam tego obrzydzenia, które słyszałam w jego głosie.

Zaczęłam chichotać.

- Czy ty kiedykolwiek byłeś w Bath? - spytałam z uśmiechem.

- Tak. Lecz nie przerobiono mnie tam na młodą damę! Z tobą chyba lepiej im się powiedzie. - Ujął dłoń, którą klepałam konia, i uściśnął ją

pocieszająco. - Rób to, co nakazuje ci serce - powiedział łagodnie. -

Wydaje mi się, że twoje miejsce jest tutaj, bo jesteś spadkobierczynią Beatrice. John i mama chcą dla ciebie czegoś innego. Nie my jednak będziemy żyć twoim życiem, lecz ty sama. Będziesz miała to, co wybierzesz. Popróbuj Bath, zobacz, czy ci odpowiada, a jeżeli uznasz, że wolisz Wideacre, wracaj do domu, do nas.

Kiwnęłam głową. To co mówił, było mądre i pełne prostoty.

- Boję się tego lekarza - wyznałam.

Jego lekki dotyk zamienił się w uścisk. Miałam wrażenie, że

dobijamy targu.

- Póki ja żyję, nikt cię do niczego nie zmusi. Obiecuję

- rzekł krótko.

Patrzyłam na niego, czując, jak zaczyna we mnie rozbrzmiewać głośnie dzwonięcie.

- Przyjdzie taki czas, kiedy nie będziesz mi mógł pomóc

- powiedziała pełnym przekonania głosem, który nie brzmiał jak mój

własny. - Przyjdzie czas, gdy ja nie będę mogła pomóc tobie.

270

Zamilkłam, a on też się nie odzywał, czekając, że powiem coś więcej. W końcu rzekł:

- Przyjdzie na nas czarna godzina, Julio. Ale jeszcze nie teraz. Nie obawiaj się przyszłości, maleńka. Chwytaj dzień dzisiejszy i ciesz się nim. Miał już zawrócić konia, gdy nagle zanurzył rękę w kieszeni.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział niedbale. Podniósł klapę kieszeni i wyjął jakiś przedmiot ukryty w szerokiej zaciśniętej dłoni. Wyciągnęłam rękę.

Była to mała, wyrzeźbiona z drewna sowa, ciepła od temperatury jego ciała, jasna, twarda i gładko wypolerowana.

- Ralfie - rzekłam z zachwytem. - Sam ją zrobiłeś? Dla mnie?

- Tak. Pamiętasz, że jestem cygańskim chłopcem? Byłem kiedyś u nich i pożyczyłem narzędzia. Powinnaś się cieszyć, że nie przyniosłem ci torby z klamerkami do bielizny.

Zaśmiałam się. Kiedy objęłam małą drewnianą figurkę palcami, poczułam, że po ciele przebiega mi długi dreszcz. Było to wołanie z przeszłości, wołanie Beatrice.

- Jej także dałeś sowę - powiedziałam. Spojrzał na mnie przenikliwie.
 - Nie wiedziałabyś o tym, gdybyś była wariatką. Nikt o tym nie wiedział, tylko ona i ja. Z miłości podarowałem jej sowę na urodziny. Było to w tym roku, gdy byliśmy kochankami, a ona nazwała ją „Mądrałą”. Potem pewnego razu posłałem jej porcelanową sowę. Nienawidziłem jej i chciałem ją nastraszyć. Byliśmy już wrogami, a ona utraciła i mądrość, i talent. Teraz daję drewnianą sowę tobie, jej spadkobierczyni, daję ci ją ze swą miłością, bo chcę, byś pamiętała, że musisz zachować mądrość.
 - Obiecuję - rzekłam z przekonaniem. - Dziękuję. Wiesz, jesteś taki... - Nie mogłam znaleźć słowa. - Jesteś dla mnie taki słodki.
- Wyglądał tak, jakby raził go piorun.
- Chyba zaczynam dziecinnieć - powiedział tonem pełnym obrzydzenia. - Taka smarkata nazywa mnie słodkim? Dobry Boże! - Zawrócił konia i wciąż coś mamrocząc, pomachał mi na pożegnanie dłonią.
 - Do widzenia, Ralf! - zawołałam. - Wrócę, zanim zaczniecie orać!

271

Nie wiem, czy mnie dosłyszał, bo końskie kopyta głośno stukwały o zmarzniętą ziemię. Stałam uśmiechnięta, wyzwolona ze szponów lęku, a w ręce trzymałam małą drewnianą sowę.

Potem wróciłam do domu, by się spakować i przebrać na drogę. Zaraz też rozległ się gong wzywający na śniadanie, które mama jadła z kartką i ołówkiem obok talerza, musiała bowiem pamiętać o strasznie wielu rzeczach.

Wyjechałyśmy późno, gdy już w końcu przymocowano nasze pudła do bryczki. Później okazało się, że mama zapomniała książki, którą chciała ze sobą zabrać, więc wróciłyśmy po nią. Zdążyła jeszcze wydać tysiące

polecień, zanim wreszcie wyciągnęła ręce do Johna i przez okno powozu powiedziała:

- Do widzenia. Niech cię Bóg błogosławi i nie pracuj zbyt ciężko.

Ucałował podane sobie ręce, potem zbliżył się do okna i pocałował ją w usta.

- Szczęśliwej podróży, Celio. Nie kupuj tam królewskiej wyprawy i szybko wracaj.

Richard przystanął przy moim oknie.

- Mam nadzieję, że wyzdrowiejesz - rzekł obojętnym i nieszczerym tonem.

Skinęłam głową.

- Ale jeśli będziesz chora i zostaniesz w Bath, chyba uznają mnie za dziedzica? - zapytał. - Wierzą w twoje widzenia, lecz wiedzą, że to ja jestem dzieckiem szczęścia, prawda?

Nie miałam siły się bronić.

- Na pewno będą cię coraz bardziej lubić, a w każdym razie z pewnością dojdą do wniosku, że widzenia wcale się nie liczą

- powiedziałam znużonym głosem.

Patrzyłam na niego uważnie, szukając choćby cienia życzliwości dla mnie, śladu miłości, w którą tak wierzyłam od dzieciństwa. On tymczasem uśmiechnął się z samozadowoleniem i odszedł od okna.

- Kiedy ciebie nie będzie, Acre stanie się moją własnością. Czekałem na tę godzinę. Dwór będzie taki, jak zaplanowałem, a wieśniacy przyjdą mi jeść z ręki. Szczerze życzę ci szybkiego powrotu do zdrowia, lecz obawiam się, że przyjdzie ci tam spędzić kilka miesięcy. Do widzenia.

- Oboje jesteśmy spadkobiercami - odezwałam się ostro.

- Część tej ziemi należy do mnie.

272

Uśmiechnął się promiennie.

- Nie zamierzam się tym przejmować - rzekł. - Nie znasz wcale prawa, moja sprytna kuzyneczko. Jeśli umieszczą cię w domu wariatów, zostaniesz z miejsca wydziedziczona. Nie wiedziałas o tym, kochanie? Stracisz wszystko, jeśli nadal będziesz mieć swoje zwidy i sny.

Otworzyłam szeroko oczy ogarnięta panicznym strachem. Twarz Richarda ginęła już we mgle. Powóz ruszył, nim zdołałam zaprotestować przeciw temu wszystkiemu, co powiedział. Zdołałam tylko wychylić się i popatrzeć na mojego oszałamiająco przystojnego Richarda z ciemnymi lokami i jasnoblękitnymi oczami, który stał, podparłszy się pod boki, jakby całkowicie władał każdym calem tej ziemi.

ROZDZIAŁ Trzynasty.

Podróż z Wideacre do Bath zajęła nam dwa dni i była niezwykle uciążliwa. Gdybym jednak nie była chora z żalu i tęsknoty za domem już od momentu wyjazdu, pewnie byłabym nią zachwycona. Przyjemna była krzątania w przydrożnych gospodach, gdzie zmienialiśmy konie, piękne były strome zbocza dolin koło Salisbury. Jednostajny ruch powozu kołysał mnie do snu, a jego nagłe szarpnięcia budziły. Wreszcie była mama, taka odmieniona, w nowym czepku, wkraczająca do kawiarni i jadłodajni tak, jakby przez całe życie miała mnóstwo pieniędzy.

Najmilszą część podróży stanowił przejazd przez pofalowane tereny południowej Anglii, które bardzo przypominały naszą usianą wzgórzami okolicę. Wzniesienia były tu oczywiście niższe - któż zbudowałby drogę dla powozów na naszych pięknych wysokich wzgórzach? - lecz również

bardzo ładne, zielone i porośnięte tą szczególną, elastyczną trawą, która wyrasta tylko na jasnej glebie kredowego podłoża. Urocze czyste strumyki także miały przezroczystość wód wypływających z kredowych skał. Ślinka napływała mi do ust na myśl o tym, że mogłabym spróbować ich smaku, i przez moment serce bolało mnie z tęsknoty za szklanką wody z Wideacre. Były tam wielkie stada owiec, a jako że drogi nie były w większości opłotowane, białe zwierzaki nauczyły się umykać z trasy dylizansu, gdy tylko słyszały dźwięk rogu, w który dął stangret. Nawet tu farmerów opanowało szaleństwo uprawy pszenicy, widziałam więc, że dużo pól, po których przez całe lata swobodnie biegały owce, zostało ogrodzonych, zaoranych i przygotowanych pod wiosenny siew.

274

Podobało mi się, że mogę jechać i przyglądać się krajobrazowi. Lubiłam słuchać, jak Jem opowiada stajennym w gospodach różne historyjki o nas. Cieszyły mnie również obietnice mamy, która zapowiadała mi przyjemności, jakie mnie czekają w Bath.

Nie było mi jednak dobrze i nie mogłam tego zmienić. Czułam, że jestem poddawana próbie. Za każdym razem gdy mama spoglądała na mnie z niepokojem, wyrывałam się z półsennej zadumy z głową opartą o miękkie siedzenie powozu i rumieniłam się z lęku, że widząc, jak drgają mi powieki, lub słysząc głośno wypowiedziane przez sen słowo, mogłaby pomyśleć, iż znowu śnię.

W gospodzie niedaleko Salisbury, gdzie zatrzymaliśmy się na noc, dostałyśmy wspólną sypialnię. Obudziłam się, czując delikatny dotyk dłoni na swym ramieniu, i ujrzałam pod nocnym czepkiem jej poważną twarz.

- Co się stało? - zapytałam zamroczona snem. Śniło mi się, że stałam się małą dziewczynką z Wideacre i bawiłam się z chłopcem o włosach tak ciemnych jak loki Richarda i o jego szelmowskim uśmiechu.

- Śniło ci się coś - rzekła cicho. - Mówiłaś przez sen. Powiedziałaś: „Ralf. Uniosłam się na łokciu i wyciągnęłam do niej rękę.

- To nieważne, mamó - powiedziałam z przejęciem.

- Myślałam o naszych jabłoniach i o czymś, co muszę powiedzieć panu Megsonowi. To wszystko.

- Zatem przykro mi, że cię obudziłam. John mówił...

- zawahała się. - John mówił, że lepiej, abyś wcale nie spała, niż śniła te swoje sny. Uważa, że one źle wpływają na twój umysł.

Spuściłam oczy.

- To nieważne, mamó - powtórzyłam, wiedząc, że moje słowa brzmią szorstko.

- Nie - rzekła cicho. Podeszła do naszej torby podróżnej i wyjęła buteleczkę z lekarstwem, które uwielbiałam, bojąc się go jednocześnie. - Może powinnaś wziąć trochę tego... - zaproponowała.

Westchnęłam i zrezygnowana przetarłam oczy. Połknęłam lekarstwo, by ją zadowolić, i czekałam na znajome senne poczucie nierzeczywistości, które miało mnie ogarnąć. Okradano mnie ze snów, z samej istoty mej osobowości. Dziwną, niepoznawalną

275

część mojej osoby rozpuszczano w złotym syropie, a ja traciłam głęboką i oczywistą mądrość, którą dawały mi sny, zyskując w zamian senne ośpienie.

- ...branoc - powiedziałam niewyraźnie, bo narkotyki plątały mi język.

Mama pocałowała mnie w czoło, gdy już leżałam, a potem wróciła do łóżka i wsunęła się pod kołdrę.

- Jeszcze raz dobranoc - rzekła słodko, po czym dodała tak cicho, że ledwie ją słyszałam: - Niech Bóg cię błogosławi i strzeże.

Mama zarezerwowała dla nas pokoje przy Gay Street w Bath.

- Ten dom zaczęto budować właśnie wtedy, gdy moja matka poślubiła lorda Haveringa i przeprowadziliśmy się do Havering Hall - oznajmiła mi, kiedy z turkotem przebywaliśmy ostatnie mile drogi wiodącej przez wzgórze. - Obawiam się, że mogę pobłądzić. Kiedyś mieszkaliśmy niedaleko łaźni, aby mój tata mógł zażywać kąpeli, i nawet wówczas gdy byłam małą, to miasto zmieniało się niemal z dnia na dzień. Od tamtych czasów przybyło wiele ulic.

- Tak - powiedziałam i wyjrzałam przez okno. Z góry widać było szerokie koryto rzeki, z powodu zimowych opadów była głębsza i bardziej wartka niż zwykle. Wystąpiła z brzegów, zalewając przybrzeżne łąki; z wody wystawały wierzby, których rzadkie gałęzie, podobnie jak i niebo nad nimi, odbijały się w jej tafli. Pomyślałam, że Fenny też musiała wezbrać.

- Richard byłby zachwycony tymi budynkami - mówiła dalej mama. - Musimy poprosić, by przyjechał do nas z Johnem. Mogą tutaj zostać przez kilka dni, gdy tylko się rozlokujemy, a ty odwiedzisz doktora Phillipsa.

- Tak - powtórzyłam.

- Są tu na pewno cudowne sklepy - ciągnęła. Wychyliła się i zerknęła na drogę przed nami. Nawet przytępiąca lekarstwem nie mogłam powstrzymać uśmiechu na widok jej entuzjazmu. Potem powóz przyhamował, bo zjeżdżaliśmy ze stromego wzgórza, a mama aż wstrzymała oddech, widząc miasto, które wyglądało jak złociste morze,

jakby w dolinie zalanej słońcem założono jakąś nową Jerozolimę. W centrum znajdowało się opactwo, które z wysoką, sięgającą nieba wieżą górowało nad miastem, a zgromadzone dokoła domy koloru skórki cytrynowej, zbudowane z tutejszego kamienia wyglądały jak kostki masła.

276

Z łoskotem przejechaliśmy przez most. Siedzący na koźle Jem musiał nieco ściągnąć konie, które przeszły w niespokojnego stępa. Ulice były straszliwie zatłoczone i nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak zdołamy przez nie przejechać. Wszędzie było pełno lektyk, które chwiały się niebezpiecznie, gdy spoceni, umięśnieni ludzie, jeden z przodu, drugi z tyłu, przebiegali z nimi jak zwariowani przekupnie. Wiele z nich miało zaciągnięte firanki, lecz w jednej czy dwóch dostrzegłam koce, ręczniki i białych pasażerów, w innej zaś chrapiącego dandysa z poczerwieniałą twarzą. Byli tam również głośno krzyczący uliczni handlarze, chłopcy z pochodniami i zamiatacze ulic rozpychający się na poboczu drogi. Widziałam kramarzy rozkładających towary na chodnikach i dentystę wyrwizęba w zakrwawionym fartuchu. Przy bramach stali żebracy, którzy uśmiechali się gorzko i zarazem przymilnie, wyciągając pokryte strupami ręce, i małe dzieci klęczące na ziemi - ich skóra płonęła czerwoną barwą z powodu jakiejś choroby.

Mama usiłowała usprawiedliwić ten widok.

- To są skrajności. W każdym mieście są dzielnice nędzy, Julio. Nawet w Chichester.

- Wiem o tym - odparłam i głębiej schowałam się w powozie, bo dwóch pijaków szło właśnie chwiejnym krokiem w naszą stronę, a ja nie chciałam, by mnie zobaczyli i zaczęli wykrzykiwać wyzwiska.

Wóz przed nami, który dotąd tarasował drogę, nareszcie ruszył, więc Jem mógł popędzić konie. Usłyszałam, że woła: „Dzięki, panowie” do tragarzy, którzy wyjaśnili mu, jak ma dotrzeć na naszą ulicę, a ja uśmiechnęłam się, słysząc, jak w tym mieście rozbrzmiewa jego charakterystyczny akcent z Sussex.

- Mój Boże - odezwała się mama. - Zapomniałam już, jak tu jest głośno! Kiwnęłam głową i zaczęłyśmy wyglądać przez okna jak dwie wiejskie dziewczyny, które po raz pierwszy znalazły się w mieście.

Hałas i zamęt na drodze zmalął nieco, gdy opuściliśmy centrum, lecz wcale nie poruszaliśmy się szybciej. Powóz skrzypiał, z trudem wjeżdżając pod górę.

- To zbocze jest okropne dla koni - powiedziałam do mamy, która rozłożyła sobie na kolanach przewodnik.

- Mało kto używa tutaj powozów - odrzekła. - Myślę, że to już Gay Street. Musimy poszukać numeru dwunastego.

277

Koła powozu stukały i ślizgały się po bruku, Jem klął na konie, a gdy wreszcie dojechaliśmy na miejsce, foryś otworzył nam drzwi i rozłożył schodki.

- Dziękuję - rzekła mama z uśmiechem i zaczęła, aż podbiegnie do drzwi i zastuka w nie kołatką. Drzwi otworzyły się natychmiast i ukazała się w nich nasza gospodyni, pani Gibson, by nas powitać. Złożyła głęboki ukłon mamie, dygnęła w moim kierunku, po czym ubolewając nad długością naszej podróży i chłodem dnia, wprowadziła nas do salonu, gdzie czekał stół zastawiony do herbaty i czajnik z wrzątkiem.

Wynajęliśmy jadalnię, dwie sypialnie i tylko jeden salon. Mama dostała

dużą sypialnię od frontu, lecz ja uznałam mój pokój, którego okna wychodziły na ogrody w dolinie, za ładniejszy.

- Kiedy się obudzę, będę widziała drzewa - powiedziałam tak cicho, że tylko mama mnie usłyszała.

Jem dostał pokój przy stajni, w której stał nasz powóz. W domu nie starczyło dla niego miejsca. Mama nie przywiozła nawet ze sobą Jenny Hodgett, zamiast niej miała nas obsługiwać służąca pani Gibson imieniem Meg. Przyniosła dwa listy dla mamy już wówczas, gdy piłyśmy herbatę w salonie. Zachowywała się tak protekcyjnie i wielkopańsko, że niewiele brakowało, bym wstała i ukłoniła się jej. Mama uśmiechnęła się, gdy tylko Meg zamknęła za sobą drzwi.

- Tu chodzi o miejski szyk, Julio. Musimy pójść jutro do krawcowej! Odwzajemniłam jej uśmiech, lecz nie mogłam oderwać wzroku od listów. Jeden z nich miał czerwoną ciężką pieczęć. Byłam przekonana, że to list od lekarza, do którego wysyła mnie wujek. Miałam rację.

- Doktor Phillips odwiedzi nas dziś wieczorem - oznajmiła mama. - To dobrze. Będziemy miały dość czasu, by się rozpakować. - Zerknęła na mnie. - Rozchmurz się, kochanie. Jest na pewno miłym człowiekiem. John znał go już na studiach i bardzo lubił. Może wystarczy mu jedno spojrzenie na ciebie, by potwierdził to, co ja sędzę: że nie powinno się tak ciężko pracować na ziemi, jak ty to robiłaś. Powie też, iż to wszystko moja wina i że muszę ci to zrekompensować, zabierając cię na mnóstwo balów i przyjęć i nie wracając do domu przed latem.

Zdołałam się uśmiechnąć.

278

- Rozpakuję twoje rzeczy, mamó. Którą sukienkę włożysz dziś

wieczorem?

Powiedziała, że chce się ubrać w różową z brokatu, więc wyjęłam ją i poprosiłam Meg o wyprasowanie, oczywiście, jeśli nie sprawi jej to kłopotu i jeżeli nie ma nic przeciwko temu. Potem przebrałam się w nową sukienkę z kremowego aksamitu; przypominała mi strój do jazdy zostawiony w szafie w domu. Zeszłam do salonu i usiadłam, oczekując przyścia doktora, który miał mnie wyleczyć z przekonania, że dom jest moim miejscem na ziemi, sprawić, że przestanę spać tak, jak zawsze spałam, i w końcu zamienić mnie w prawdziwą młodą damę.

Choć nie był aż tak okropny, jak to sobie z lękiem wyobrażałam, poczułam do niego niechęć. Był wysoki i pulchny, pod wielką białą peruką widniała różowa, podobna do niemowlęcej buzia. Miał miękkie białe dłonie, którymi nerwowo gestykulował, i wyłupiaste niebieskie oczy patrzące bardzo bystro. Chociaż rozmawiał z mamą, obserwował mnie, bo wiedział już od wujka o moim śnie i o nocy, gdy runęła wieża.

•- Hacyjonalizm - rzekł do mamy, a ja odwróciłam się i przygryzłam wargi, by nie wybuchnąć śmiechem. - Powód? W dawnych czasach obawialiśmy się magii, czarów i opętania. Teraz jednak wiemy, że ludzki umysł ma własne hacje i powody. Jeśli je poznamy i nahysujemy ich wykhes, jak mapę nowego khaju, będziemy mogli być tacy, jak zechcemy.

Odwrócił się i uśmiechnął do mnie.

- Chciałaby pani zachować swoje sny, panno Lacey? A może chciałaby pani być zwyczajną młodą damą?

Zawahałam się. Czułam, że jeżeli odpowiem tak, jak oni tego oczekiwali, zdradzę Wideacre, dziedzictwo Laceyów i samą siebie.

- Nie chcę martwić mamy ani moich przyjaciół - odparłam powoli. - Lecz

nie chcę też stać się obca tej ziemi, która jest moim rodzinnym domem. Sny stanowiły część mej osoby, odkąd tylko pamiętam. Nie umiem sobie wyobrazić, że jestem sobą i nie śnię.

Skinął głową.

- Na hazie jeszcze będziesz śnić. Umysł ma swoje nawyki i sztuczki. Ja jednak uwolnię cię od nich.

279

Wyciągnął mały kalendarzyk i zwrócił się do mamy. Zanotował godziny i dni, w których mam się pojawiać w jego domu. Powiedział, że mama powinna przychodzić ze mną, a ja miałam z nim rozmawiać, opowiadać mu o wszystkich swych snach i widzeniach. Kiedyś, może już niebawem, dojdziemy do tego, skąd wzięły się moje zaburzenia.

Siedziałam cicho i słuchałam, jak ten obcy człowiek razem z moją mamą planował, że mnie zmieni. Uleciały gdzieś smutki i zmieszanie, które tkwiły we mnie przez całą długą podróż i pospieszne pożegnanie, bo wiedziałam już, że mylą się i doktor, i mama, i wujek, i Richard. Wszyscy byli w błędzie, a prawdziwe były tylko sny i widzenia.

Nie działo się ze mną nic złego.

Wyprostowałam plecy, podniosłam głowę, uśmiechnęłam się do doktora i obiecałam mu, że rano punktualnie zjawię się w jego domu. Kiedy się tak uśmiechałam, poczułam przyływ znajomej siły - siły, którą czasem określałam jako moc Laceyów, moc Beatrice. Mogłam śmiało patrzeć w jego bladoniebieskie oczy i myśleć sobie: „Ty i ja jesteśmy wrogami, będziesz chciał mnie zmienić, ale ci się to nie uda”.

Ukloniłam mu się pięknie, ucałowałam policzek mamy jak czuła córka i poszłam na górę do łóżka, jakbym rzeczywiście była ciężko chora i

jakbym naprawdę potrzebowała kuracji.

Dom doktora Phillipsa przy Royal Crescent był jednym z większych pałaców Bath. Wybrałyśmy się tam pieszo drogą przez wzgórza. Ze szczytu roztaczał się tak piękny widok na ulicę, że zaparło mi dech. Stał tam długi rząd budynków złocistej barwy, uporządkowany jak pluton maszerującego wojska i opadający stokiem wdzięcznie jak fałda złotej zasłony.

Mama zapukała do drzwi, otworzył nam lokaj, bardzo uroczy, w ciemnozielonej liberii i wpuścił nas do mrocznej sieni. Tak jak przedtem nie spodobał mi się sam doktor, tak teraz nie spodobał mi się jego dom pachnący nowymi skórzanymi fotelami i kupionym w sklepie potpourri. Poczułam się nieswojo.

- Mamo - odezwałam się cicho, a ona wyjęła dłonie z mufki i chwyciła mnie za rękę, jakbym była u dentysty.

Lokaj przytrzymał otwarte drzwi i już miałyśmy w nie wejść, gdy nagle na schodach pojawiła się młoda dama, mniej więcej

280

w moim wieku. Miała zaczerwienione - chyba od płaczu

- oczy, była blada i wychudzona jak widmo. Przystanęłam, spojrzałam na nią i już nie mogłam oderwać wzroku. Ona również się zatrzymała i popatrzyła na mnie badawczo, szacując cenę i nadążanie za modą mojego czepka ze starym piórem, płaszcza i sukienki. Potem przeniosła wzrok na moją twarz i uśmiechnęła się smutno, jakbyśmy obie znalazły się w takich samych opałach.

Zeszła na dół, ukloniła się mojej mamie i zaczęła, aż lokaj przyniesie jej pelerynę.

- Brat po mnie przyjedzie - odezwała się do niego - zaczekam w bibliotece. - Lokaj otworzył więc drzwi znajdujące się po przeciwnej stronie sieni, a ja przypomniałam sobie, że jestem osobą dobrze wychowaną, i w ślad za mamą weszłam do salonu. Jednak obejrzałam się jeszcze i zobaczyłam, że nieznajoma patrzy na mnie. Znow poślą mi ten dziwny zagadkowy uśmiech. Wydawało się, że jesteśmy nieznośnymi dziećmi, które popełniły jakieś drobne przewinienie i zaraz zostaną za to ukarane. Odwzajemniłam jej uśmiech i zniknęłam za drzwiami.

- Widziałas jej sukienkę? - od razu zapytała mnie mama.

- Cała przybrana koronką brabancką! A jaki krój! Dopasowana sukienka wyjściowa. Widziałam w żurnalu, że takie są modne w tym sezonie, ale nie sądziłam, iż to może tak elegancko wyglądać!

- Tak - odrzekłam. - Nie wydaje ci się, że ona płakała? Mama podeszła do okna i z wahaniem powiedziała:

- Tak. Przecież doktor Phillips zajmuje się chorobami nerwowymi. Może źle się czuła i dlatego była tak zdenerwowana.

Przypomniałam sobie jej smutny uśmiech.

- A może nie zgadza się z jego diagnozą - rzekłam.

- Może - odpowiedziała spokojnie. - Och, mój Boże! Co za wspaniałe konie!

Podeszłam do niej i obie ukradkiem wyjrzałyśmy przez okno jak plotkarki z Acre. Na dole stał elegancki mały powozik na jasnożółtych kołach, do którego zaprzężone były dwa lśniące kasztany. Ich sierść połyskiwała niemal czerwono. Na koźle siedział jakiś pan i zerkał w stronę drzwi domu doktora. Miał trójgraniasty kapelusz lekko zsunięty na tył głowy i kręcone brązowe włosy związane z tyłu głowy w schludny węzełek. Chyba był

przystojny, choć nie byłam w stanie się nad tym zastanawiać, bo uderzyła mnie wrażliwość malująca się na jego twarzy. Wyglądał

281

na człowieka, któremu można bez reszty zaufać. Wyglądał jak ktoś niezdolny do kłamstwa, podłości czy nawet nieuprzejmego słowa. Miał pogodną twarz i piwne oczy, a podjeżdżając do bramy, gwizdał jak zuchwały chłopak stajenny. Lejce pewnie spoczywały w jego dłoniach. Otworzyły się drzwi i wyszła młoda dama.

- Prędko, Marianno! - zawołał radośnie. - Prędko, bo nie mogę ich utrzymać. Zawiozę cię do Coombe Down i wrócimy punktualnie na obiad. Mama nam pozwoliła! Ale pośpiesz się!

Uniosła nieco spódnicę, wspięła się do powozu i usiadła obok młodego mężczyzny. Zobaczyłam, że objął ją w pasie i uściskał, a potem szybko zerknął na jej twarz, sprawdzając jej nastrój.

Ja też pragnęłabym mieć brata, który przyjechałby po mnie do doktora, patrzył na mnie w ten sposób, a później pędem odwiózł parą najpiękniejszych koni, jakie kiedykolwiek widziałam. W tym momencie otworzyły się drzwi i razem z mamą ruszyliśmy na górę do doktora Phillipsa.

Zajmował duży, skąpo umeblowany pokój. Był tam kominek, na którym płonął ogień, przed nim stało wygodne krzesło i haftowany parawanik. Dostrzegłam też zegar z pozłocanego brązu. W rogu stał klawikord, a na ciężkim biurku znajdował się papier do pisania i kałamarz. Doktor gestem wskazał mamie siedzenie przy oknie obok małego stoliczka z czasopismami i książkami. Sam usiadł na krześle przy mnie, ale nieco z tyłu, tak że mógł mnie obserwować, podczas gdy ja nie widziałam jego

twarży. Wsunęłam rękę do torebki i zacisnęłam dłoń na drewnianej sowie od Ralfa. Czekałam, aż doktor zacznie mówić.

- Opowiedz mi, proszę, o swoich snach - rzekł łagodnie. Jego nieumiejętność wymawiania „r” nie wydawała się już zabawna, lecz bardzo, bardzo groźna. - Czy pamiętasz swój piehwszy sen?

Nie miałam ochoty mówić, byłam niespokojna. Nie mogłam jednak milczeć. Byłam głęboko przekonana, że będę musiała wyjaśniać wszystko aż do chwili, gdy on będzie wiedział to, co jak mu się wydawało, wiedzieć powinien. Bałam się też trochę, że on może mieć rację - że zdolny jest zamienić mnie w dziewczynę, którą bardziej obchodzą tańce i stroje niż rytm serca ziemi.

Opowiedziałam mu o tym, jak byłam sama w starym dworze Wideacre. Powiedziałam wszystko: że czułam się spokojna, że w pustym domu panowała cisza, że wiedziałam, iż nadchodzą

282

ludzie z Acre, i bałam się ich, a jednocześnie pragnęłam, by przyszli. Opowiedziałam mu o burzy, mężczyźnie na czarnym koniu i jasnym błysku, który dojrzałam na ostrzu noża.

- A potem? - spytał cicho.

Odparłam, że to już wszystko, lecz on chciał posłuchać także o innych snach. Powiedziałam więc, że czasami śniło mi się, iż jestem małą dziewczynką swobodnie biegającą po Wideacre. Dodałam, że czasami bez żadnego ostrzeżenia widziałam ziemię jej oczyma, nawet wówczas gdy nie spałam.

- Kim jest ta dziewczynka? - zadał to pytanie tak, jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie.

- To Beatrice - odparłam głupio, a spod okna dobiegło mnie wyraźne głębokie westchnienie mamy. Doktor nie zwrócił na to uwagi, więc mogłam mówić, mówić, mówić o najbardziej prywatnych sprawach, tutaj, w tym ładnym pokoju, z dala od domu.

- Tehaz przezwiemy - rzekł miękko, a ja spojrzałam na zegar i uświadomiłam sobie, że minęła godzina; było południe i drewno całkiem wypaliło się w kominku.

Bolała mnie głowa.

Doktor powiedział do mamy:

- Jutho o tej samej porze. Zhobiliśmy dziś oghomny postęp.

Mama skinęła głową i ruszyła do drzwi. Szłam za nią jak pogrążona we śnie - nowym śnie - tym, w którym mówię o wszystkim, co czuję, i staję się zwyczajną dziewczyną pod powłoką tej, którą byłam kiedyś.

- Co teraz? - powiedziała mama ze sztucznym ożywieniem, gdy tylko znalazłyśmy się na chodniku przed domem doktora. Wiał chłodny wiatr i zanosilo się na śnieg. - Powinnyśmy najpierw zorientować się, jakie wydarzenia towarzyskie są planowane na ten tydzień, potem pójść do pijalni, by spróbować wody i wpisać się do księgi gości. Możemy też wybrać się do cukierni na kawę z tutejszymi bułeczkami. Och, Julio! To musimy zrobić koniecznie.

- Proszę, chodźmy do domu - powiedziałam żałośnie. - Przepraszam, mam, ale okropnie boli mnie głowa. Czy mogę iść do domu?

Od razu wzięła mnie pod rękę i wróciłyśmy na Gay Street. Mamie szło się łatwiej niż mnie. Wspinając się z trudem do drzwi

283

frontowych i po schodach wiodących do sypialni, pomyślałam, że jeśli tak

ma wyglądać owo zdrowienie, to po stokroć wolę być chora.

Mama pozwoliła mi zostać w łóżku aż do obiadu, lecz gdy zjadłyśmy posiłek, a mój ból ustąpił, uparła się, że natychmiast musimy pójść do sklepów, obejrzeć miasto i wpisać się do księgi gości, aby kulturalne towarzystwo dowiedziało się, że przyjechałyśmy.

- Chciałabym, żebyśmy tu miały znajomych - powiedziałam, gdy weszłyśmy do pijalni i zawahałyśmy się w drzwiach, widząc kilkanaście nieznanym osobom, które się nam przyglądały.

- Będziemy miały - odparła pogodnie. - Bath to najbardziej towarzyskie miejsce pod słońcem. Zawsze takim było. Nim skończy się ten tydzień, będziemy miały wielu przyjaciół.

- Ta dziewczyna jest tutaj! - odezwała się nagle. - Ta, którą widziałyśmy u doktora!

Siedziała przy stole wśród gromadki młodych ludzi i popijała wodę ze szklanki. Rozejrzałam się za mężczyzną o piwnych oczach, lecz nie było go tam. Jakieś dwie dziewczyny stały obok jej krzesła i żartowały ze swoim znajomym, trzecia siedziała przy niej i oglądała rysunki w żurnalu; dwaj młodzi mężczyźni zaglądali jej przez ramię i śmiali się z czegoś.

Tutaj, w miejscu publicznym, oświetlona jasnym blaskiem świec i otoczona przyjaciółmi, wydawała się jeszcze bardziej wåtła i bezbronna niż przedtem. Poczua na sobie mój wzrok, podniosła oczy i poznała mnie.

Wstała i podeszła do nas, poprawiając po drodze szal na ramionach.

Ukłoniła się mamie.

- Dzień dobry. Nazywam się Marianna Fortescue. Wydaje mi się, że spotkałyśmy się dziś rano u doktora Phillipsa, prawda?

- Tak, rzeczywiście - rzekła mama. - Jestem lady Lacey, a to moja córka

Julia.

- Nie widziałam pani wcześniej - zwróciła się do mnie Marianna. Mówiła tak cicho i wolno, jakby była skrajnie zmęczona. - Co rano chodzę do doktora.

- Ja też będę chodzić co rano. To znaczy przez cały nasz pobyt w Bath. W kwietniu wracamy do domu.

- A gdzie pani mieszka?

- W Sussex - odpowiedziałam. Nie słyszałam nucenia w swej głowie. Równie dobrze mogłabym wymienić każdą inną nazwę. - Nazywa się Wideacre i leży koło Chichester.

284

- My mieszkamy w Clifton koło Bristolu, więc codziennie wracam do domu. Dzisiaj przywiózł mnie tu faetonem mój brat. Byłam pewna, że nas wywróci, i w dodatku przemarzłam w czasie tej podróży na kość.

- Dzisiaj też wraca pani do domu? - zapytała mama.

- O, nie. Wieczorem odbędzie się koncert, którego mój brat chce wysłuchać. Zostajemy więc u naszej cioci. Czy panie również się wybierają?

Ku memu wielkiemu zdziwieniu mama odpowiedziała:

- Tak. Może się tam zobaczymy.

- To dobrze! - rzekła panna Fortescue, jeszcze raz złożyła ukłon i wróciła do swego towarzystwa.

- Pójdziemy na koncert, mamó? - zapytałam. Rzuciła mi figlarne spojrzenie.

- Chciałaś przecież mieć przyjaciół w Bath - rzekła otwarcie. - Wszystko wskazuje na to, że będziesz ich miała. Sam szal panny Fortescue

kosztował pewnie ze dwieście funtów. Myślę, że to bardzo odpowiednia znajoma dla ciebie!

- To, co mówisz, jest bardzo pospolite. Jestem tobą zaskoczona, mamó.

- Miejskie maniery - rzekła miażdżąco. - Nie rozumiesz tego, moja wieśniaczko. Chodź, pójdziemy się wpisać do księgi, a potem kupimy dla ciebie nową sukienkę na ten wieczór.

Mama zaplanowała, że tego wieczoru oficjalnie zaprezentuje mnie w Bath, i udowodniła mi, że naprawdę jestem prowincjuszka z Sussex, bo nie miałam pojęcia, iż można to zrobić z taką łatwością. Marianna Fortescue zjawiała się z bratem - miał na imię James - i dwiema dziewczętami, z którymi widziałam ją w pijalni - swoją siostrą Charlottą i kuzynką Emilią.

Wszyscy oni należeli do kręgu towarzyskiego matki Emilii, pani

Densham, która mieszkała w Bath i pamiętała sprzed lat moją babcię Havering. Przyłączyłyśmy się do tej grupy i na koncercie siedziałam między Marianną a Emilią, razem też zjadłyśmy kolację i wypiliśmy herbatę u pani Densham, bo koncert skończył się dość wcześnie.

Marianna nie jadła nic, wypiała tylko filiżankę herbaty i nie tknęła nawet ciasteczek ani pysznego placka. Widziałam, że brat przygląda się jej, zauważyłam też, jak zerknął spode łba na Emilię, gdy ta cicho powiedziała:

- Marianno, zjedz chociaż trochę ciasta.

285

Przerwał jej natychmiast narzekaniem na zimną herbatę, która zbyt długo stała. Emilia zaczęła protestować, że herbata była świeża i czajnik został podgrzany jak należy, więc nikt oprócz mnie nie zauważył momentu, gdy Marianna zaczerwieniła się i natychmiast potem zbladła.

- Mam nadzieję, że jutro spotkamy się u doktora - powiedziała, kiedy stałyśmy u stóp schodów, czekając, aż mama pożegna się z panią Densham. - Myślę, iż wybaczy mi pani, jeśli nie będę zbyt rozmowna. Nie czuję się dobrze po wizytach u niego, choć wiem, że to wspaniały człowiek i bardzo mi pomaga.

- Znachor! - rzekł James tak nagle, że aż podskoczyłam. - Znachor! Marianna roześmiała się głośno. Po raz pierwszy tego wieczoru słyszałam jej śmiech, potem lekko poróżowiała na twarzy i powiedziała:

- Nie mów tak, Jamesie! Nie powinieneś tego mówić! Panna Lacey pomyśli, że jesteś bardzo niegrzeczny!

- Znachor! - powtórzył nie skruszony James, uśmiechając się do mnie. - Panna Lacey sama to może ocenić. To, że mieszka w dużym domu, a najwspanialsze dziewczyny z Bath wypłakują się na jego sofie, nie czyni go w mniejszym stopniu znachorem, niż gdyby handlował na ulicy mąką jako lekarstwem!

Marianna rzuciła mi przepaszające spojrzenie.

- Mój brat uprzedził się do niego. Wszyscy mówią o nim z najwyższym uznaniem.

- Bhat się uprzedził - odezwał się niegodziwy James. - Uprzedził się, dophawdy!

- Dlaczego do niego chodzisz? - zapytałam nieśmiało. Spuściła oczy.

- Nie mogę jeść - powiedziała, jakby wyznawała coś hańbiącego. - Wiem, że to głupio brzmi i że taki problem jest głupi. Ale mama i tata byli bardzo zaniepokojeni i posyłali mnie do wielu lekarzy.

James Fortescue skrzywił się.

- Nie wierzę w to wszystko - rzekł otwarcie. - Zawożę ją tu jednak i

przyjeżdżam po nią, bo wszyscy uważają fakt, iż zaczęła mniej jeść, za jakąś tragedię, chociaż z pewnością będzie jeść dużo, gdy naprawdę wygłodnieje.

Marianna dziwnie się uśmiechnęła, jakby miała poczucie winy.

286

- Sprawy nigdy nie są tak proste jak wówczas, gdy mówią o nich inni, prawda? A co z tobą?

- Miewam sny - powiedziałam z zakłopotaniem. - Czasami są to koszmary. Był też taki sen, który... - przerwałam i spojrzałam na jasno oświetlone schody, żyrandol rozbłyskujący nad klatką schodową, jasną jedwabistą tapetę i gruby dywan. Nie potrafiłam opowiedzieć tym ludziom o świecie, w którym od uderzenia pioruna spadła wieża kościelna, a ja stałam na schodach przed cmentarzem podobna do starego proroka. - Miewam sny, które mnie niepokoją - rzekłam nieprzekonująco.

James ujął moją dłoń i ostrożnie podniósł ją do ust. Chociaż był to tylko grzecznościowy pocałunek na dobranoc, przytrzymał ją nieco dłużej, niż się spodziewałam. Potem uśmiechnął się i koło oczu pojawiły mu się drobne zmarszczki.

- Też miewam okropne sny - powiedział. - Szczególnie wtedy gdy na kolację najem się opiekanego sera.

Roześmiałyśmy się obydwie, a później zjawiała się mama i poszłyśmy do domu. Wiedziałam już jednak, że polubiłam Jamesa Fortescue, i uśmiechałam się na samą myśl o tym, iż mogłabym oznajmić doktorowi Phillipsowi, że koszmary śnią mi się z powodu zjedanego na kolację opiekanego sera.

ROZDZIAŁ Czternasty.

Rzeczywiście byłam prowincjuszka, bo dopiero po kilku dniach zdałam sobie sprawę z tego, że znalazłam się w najlepszym towarzystwie, jakie w tym sezonie mogło mi zaoferować Bath.

Rozkład moich zajęć był już odtąd podobny do harmonogramu pierwszego dnia tutaj. Rano chodziłam do doktora, siadałam w miękkim fotelu przy trzaskającym ogniu i opowiadałam mu o Wideacre i snach. Próbowałam kontrolować to, co mówię, by jak najwięcej przed nim ukryć. Było tyle rzeczy, o których nie chciałam go informować: odbłask błyskawicy na ostrzu noża i twarz Ralfa w tę burzliwą noc, gdy Beatrice wyszła mu na spotkanie; sen, w którym kochałam się z Ralfem w altanie, i świadomość rozkoszy, której żadna młoda dama nie powinna znać, tajemnice Acre, lęk zwierząt przed Richardem, noc mrocznej, niewypowiedzianej ekstazy przed pożarem, powracający sen o spadającej kopule i o tym, jak stojąc przed cmentarną bramą, wzywam ludzi, by zburzyli chaty i uratowali wioskę.

Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby okłamać doktora i w zaciszu swej pamięci schować sekrety Wideacre. Lekarz jednak był sprytny, w pokoju było bardzo gorąco, a przed oczami migotał mi ogień. Każdego dnia wyciągał ode mnie coraz więcej, aż wreszcie poczułam się okradziona i zdradzona. Wiedziałam, że tracę tę część mojej natury, która należy do Wideacre; wysysano ją ze mnie i stawałam się ładną pustą muszelką. Gdy doktor przymilnie mówił: „Powiedz mi, phoszę...”, wzdrygałam się, jakby ślimak wpełzł mi we włosy.

- Powiedz mi o tej kobiecie, twojej cioci... Beathice, phawda? Powiedz, dlaczego uważasz, że jesteś do niej podobna?

Zacząłam mu z wahaniem opowiadać, przez cały czas usiłując powiedzieć jak najmniej.

- Wydaje mi się, że wyglądam tak jak ona - zaryzykowałam. - Wszyscy we wsi to mówią.

- Widziałaś kiedyś jej pothet?

- Nie - odparłam wolno. Odgarnęłam włosy. Zasłony w oknach były miękkie i ciemne, na twarzy migotał mi blask ognia.

- Więc skąd wiesz, że wyglądasz tak jak ona?

Za każdym razem kiedy zadawał mi takie pytanie, jego głos przybierał ton nieco gderliwego zaskoczenia. Zachęcał w ten sposób do sprzeciwu.

- Bo... - przerwałam. - Wszyscy tak mówią.

- Nie wierzę. - Miałam wrażenie, że doktor wyśpiewał te słowa. - Nie wierzę, aby to było przyczyną. Czy ona ci się śniła, Julio? Wiesz przecież, że możesz mi o tym powiedzieć.

- Nie widziałam jej we śnie - próbowałam grać na zwłokę. On jednak od razu wyczuł podstęp.

- Ale śniła ci się?

Westchnęłam. W pokoju panował dziwny zapach, jakby nigdy nie otwierano tu okien, jakby całe powietrze wchłonęły płomienie z kominka.

Czułam się jak nieszczęsna Persefona na wieki zamknięta w podziemiu.

Miałam wrażenie, że już nigdy się stąd nie uwolnię.

- Tak, śniła mi się - odparłam znużonym głosem.

- A mimo to twiehdzisz, że jej nie widziałaś? - spytał cicho i melodyjnie.

- Jedynie w lustrze.

- W lustrze - powtórzył, jakby oblizywał cukierka. - Jak mogłaś ją widzieć w lustrze? Stałaś obok niej? - Nie czekał, aż mu odpowiem. - Obok niej?

Przed nią?

- Ja nią jestem! - przerwałam, tracąc nagle cierpliwość. - Śni mi się, że nią jestem!

Myślałam, że będzie zaszokowany. On tymczasem złożył swe grube krótkie palce na przodzie kamizelki i cicho rzekł:

- Bardzo dobrze. Myślę, że to wystarczy na dziś.

Tak to wyglądało za każdym razem. W momencie gdy wydawało mi się, że powiedziałam coś wstrząsającego, co rozproszy czar tego pokoju, zniweczy spokój lekarza i uwolni mnie, zawsze musiałam iść. Gdy przychodziłam następnego dnia, zaczynał od

289

miejsca, w którym przerwaliśmy. Dziwnym trafem w czasie tej przerwy między wizytami mijał wstrząs spowodowany tym, co powiedziałam.

Moje słowa stawały się po prostu jego informacją. Mój sen stawał się jego snem, a ja z każdym dniem byłam pomniejszona o swoje sny i tajemnice.

Sny, o których opowiadałam co rano, wydawały się coraz bardziej odległe.

Moje widzenie wydawało się mniej prawdopodobne, zaczynało być

pomyłką lub szczęśliwym trafem. Później doktor przestał mnie tylko

słuchać; zaczął mówić, że musiałam coś sobie opacznie wytłumaczyć, że

źle zrozumiałam to, co się wydarzyło, że Beatrice nie mogła chodzić po

Wideacre i spoglądać na świat moimi oczami, wreszcie, że ziemia nie ma bijącego serca.

Samo Bath też nieco nadkruszało podwaliny moich przekonań. Ralf

Megson miał rację mówiąc, że jeśli jest takie miejsce, w którym można

zapomnieć o ziemi, to na pewno jest nim Bath. Spacerując po parkach i

ogrodach, tęskniłam jednak za zapachem powietrza Wideacre. Miasto było

wybrukowane i pokryte dachówkami, a przez cały swój pobyt tam nie zobaczyłam nawet skrawka gołej ziemi. Nie widziałam tam listka innego niż przystrzyżony w jakiś modny kształt, ani dziko rosnącego kwiatka. Nawet przepływająca przez miasto rzeka została obwałowana, pocięta kanałami, skierowana pod ładny most i ponad kamienną groblę. Gorące źródła uznałam po prostu za obrzydliwe. Nie tylko przez okropny smak wody - mama wmuszała we mnie trzy szklanki dziennie - ale odrażający wydawał mi się fakt, iż woda wypływała z głębi ziemi. Była tak gorąca, że można się w niej było kąpać! Za każdym razem kiedy przechodziłyśmy obok łaźni i czułam wydobywającą się stamtąd parę o ciężkim metalicznym zapachu, tęskniłam za wzgórzami Wideacre, gdzie wszędzie wzdłuż pęknięć w kredowym podłożu wypływała woda zimna jak lód i smakująca jak czysty deszcz.

Tęskniłam za Wideacre nie tylko wtedy, gdy czułam zapach łaźni.

Tęskniłam rano, gdy budziłam się i widziałam za oknem rzędy ciągnących się w nieskończoność dachów pokrytych kamiennymi płytkami. Tęskniłam w nocy, gdy nie mogłam zasnąć. W mojej sypialni rozbrzmiewał turkot kół pojazdów, jaśniała nagle i ciemniała, gdy obok przechodzili chłopcy z pochodniami, i nie oświetlał jej, jak w Wideacre, chłodny blask księżyca.

Tęskniłam

290

za domem podczas posiłków, bo chleb wydawał mi się szary, mleko smakowało dziwnie i nie było wiadomo, czyje krowy dały to mleko i z czyjej pszenicy zrobiono mąkę na chleb.

Najbardziej jednak tęskniłam wtedy, gdy spacerowałam po parku.

Widziałam tam zamarznąłą lodową łachę, po której ślizgały się smętne

kaczki zebrzące o chleb, i mogłam chodzić tylko po krętych drózkach tworzących koła, zamiast tak jak na wsi iść prostą drogą na skróty. Na wsi szliśmy przed siebie dlatego, że chcieliśmy się gdzieś dostać, nie po to, by marnować czas. W Bath ludzie przede wszystkim zajmowali się marnowaniem czasu. Każdy dzień tutaj wypełniony był mnóstwem minut i godzin, podczas których rozciągałam jak tylko się dało swe nieliczne zajęcia, po to tylko by czymś wypełnić pustkę. Potem szłam do parku, przyglądałam się czubkom swoich nowych wysokich bucików, które nie wytrzymałyby nawet minuty w błocie na ścieżce przez Acre, i zastanawiałam się, co u diabła mam ze sobą zrobić, jak mam się wpasować w to życie, które powinnam wieść. Nie wiedziałam też, jak przeżyję tak ogromną zmianę.

Pewnego dnia pogrążona w myślach równie beznadziejnych, co buntowniczych nie dosłyszałam, że ktoś mnie woła.

- Julio! - powtórzył jakiś głos, więc podniosłam oczy i zobaczyłam Mary Gillespie.

- Byłaś bardzo daleko - zakpiła. - Czyżbyś marzyła o Jamesie Fortescue? Elizabeth chyba przestanie z tobą rozmawiać. Zeszłej nocy tańczyłaś z nim aż dwukrotnie!

Wybuchnęłam śmiechem i spojrzałam na Elizabeth, która wcale nie wyglądała na urażoną. Była wysoką jasnowłosą dziewczyną, bardzo miłą i spokojną, a złościwości swej siostry znosiła ze stoickim spokojem osoby starszej.

- To prawda! - rzekłam szybko. - Nie mogę o niczym innym myśleć.

- Ale mówiąc poważnie - powiedziała Mary, biorąc mnie pod rękę - chyba go lubisz, Julio. Jest naprawdę najlepszą partią w tym sezonie. -

Dostrzegła gniewne spojrzenie Elizabeth i potrząsnęła brązowymi lokami.

- No tak, wiem, że to co mówię, jest prostackie, ale to prawda! On ma po prostu góry pieniędzy, a jego ojciec pozwoli mu poślubić dziewczynę biedną jak mysz kościelna, byleby tylko miała nazwisko i prawo do posiadłości. Julia ma i to, i to!

Skrzywiłam się lekko.

291

- Nie jest to posiadłość. Nie nazwałabyś jej tak, gdybyś ją zobaczyła. Nie ma tam dworu, jest tylko ruina i obsiane w tym roku pola! - Przerwałam, bo już opisując w ten sposób Wideacre, czułam dławienie w gardle.

Naprawdę okropnie tęskniłam za domem. - Poza tym mam prawo tylko do jej połowy - skończyłam gburowato.

- Tak, ale powiedz: czy on ci się podoba? - Mary nie ustępowała, chcąc słuchać o miłości, gdy tymczasem moje serce rozpaczliwie się wyrywało do dwustu akrów ziemi ornej, lasu, pastwisk i wzgórz.

- Nie - odparłam z roztargnieniem, myśląc o zapachu wiatru, który w zimne, podobne do tego dni przybywał do nas ze zboczy wzgórz.

- W takim razie przyczyną jest ten kuzyn w domu! - oznajmiła triumfalnie. - Wiedziałam o tym od samego początku! Przyjechałaś na sezon do Bath, potem wrócisz do domu, wyjdiesz za męża, gdy tylko będziesz w odpowiednim wieku, i zamieszkasz w nowym ślicznym domu, a my przyjedziemy do ciebie z wizytą, jak już poślubimy naszych lordów. Nie byłam w stanie śmiać się z tej jej paplaniny, jak to zwykle czyniałam.

- Nie, to nie mój kuzyn - powiedziałam z cichym westchnieniem.

Od przyjazdu do Bath nie miałam żadnego listu od niego, jedynie krótki dopisek w liście wujka Johna. Miałam jednak wiadomości o nim. Stawał

się ulubieńcem wsi. Pracował u boku Ralfa. Gdy była ładna pogoda, pracował pospiesznie przy odbudowie dworu, gdy było brzydko, szedł do nowej stodoły, gdzie mężczyźni ostrzyli lemiesz. Czarował ich tak, jak robił to z panią Gough, babcią Havering, mamą, wreszcie ze mną. Za każdym razem gdy czytałam, że pomagał tu czy tam, czułam, jak zamiera mi w piersiach serce, bo wiedziałam, iż w tym samym czasie kiedy mnie uczą życia bez Wideacre, moje rodzinne strony uczą się żyć beze mnie.

- W takim razie na pewno niedługo ci się spodoba. - Marianna podkreśliła te słowa mocnym uściskiem. - Wszystkie dziewczyny w Bath szaleją za nim. Elizabeth nie jest jedyną, która z chęcią wepchnęłaby cię do rzeki. Roześmiałyśmy się wszystkie trzy, lecz jej słowa były po części prawdziwe. Wszyscy zauważyli, że James Fortescue tańczył

292

ze mną aż dwukrotnie. Jego rodzice zaprosili mnie i mamę do siebie, gdy przyjechali na weekend do Bath. Chcieli poznać dziewczynę, która była najlepszą przyjaciółką ich córki Marianny i potencjalną narzeczoną najmłodszego syna. Moja mama także pragnęła ich zobaczyć.

Wszyscy byli bardzo zadowoleni. Spodobałam się rodzicom Jamesa - wiedziałam o tym. Jego matka ucałowała mnie w policzek na powitanie i pożegnanie, a to dowodziło, że słyszała już o mnie wiele dobrego. Mama z zachwytem przyjmowała ich bogactwo i wyraźnie miejski styl bycia.

Fortescue byli rodziną wielkich kupców z Bristolu. Nie byli, jak my Laceyowie posiadaczami ziemskimi z dziada pradziada, lecz zdołali osiągnąć status, którego większość mogłaby im pozazdrościć. Ojciec był szanowanym w Bristolu radnym miejskim, mamę zaś łączyło pokrewieństwo z rodem Kentów.

Mimo to wróciłam do domu po tej wizycie ze smutnym uśmiechem. Zdawałam sobie sprawę, że oglądano mnie tam i uznano za zadowolającą, zupełnie tak jakbym była rasową klaczą. Widziałam również, że mama ich taksowała. Słyszałam już przedtem różne plotki - nie byłam w stanie przed nimi uciec - i wiedziałam, jak funkcjonuje tutejszy rynek matrymonialny. Chociaż wszyscy udawaliśmy, że jesteśmy tu wyłącznie z powodu wód, chęci kupienia nowych strojów i spotkania znajomych, to wszędzie przewijał się temat zaręczyn i małżeństw, jakby łączenie się w pary było zadaniem podobnym do wybierania inwentarza domowego. Prostackie odezwania Mary nie były wcale gorsze od faktu, że wszystkie byłyśmy tu po to, by oglądać i być oglądanymi, wybierać i być wybieranymi, zainteresować się kimś i spodobać się komuś. Moja subtelna mama wkroczyła na bardzo niebezpieczną ścieżkę, próbując lekceważyć trywialną wymowę swych starań o wydanie córki za mąż za jednego z najbogatszych młodych ludzi, jacy w tym sezonie pojawili się w Bath. Oczywiście nie zmusiłaby mnie do niczego, choć miała prawo tak uczynić i wiele było takich rodzin, w których rodzice nakazywali córkom poślubić człowieka wybranego przez siebie. Mama nigdy nie była osobą tego rodzaju. Nie próbowałaby nawet mnie przekonywać, gdyby widziała, że jestem niechętna temu czy innemu młodemu człowiekowi. Nie byłaby jednak istotą ludzką, gdyby nie schlebiało jej to, że jej córka często tańczy z Jamesem Fortescue. Nie byłaby dobrą matką, gdyby się nie upewniła, iż

293

rodzice jego wiedzą, że jestem współdziedziczką posiadłości niegdyś wspaniałej, która jest na najlepszej drodze do odzyskania świetności. Poznałyśmy nie tylko rodzinę Marianny, ale także wielu innych przyjaciół.

Od czasu wydanego przez państwa Fortescue przyjęcia stale spotykałam młodych ludzi, pozłacane lustro nad kominkiem było obrzeżone wiankiem zaproszeń, a misę stojącą u stóp schodów wypełniły wizytówki.

Codziennie wczesnym rankiem, przed wizytą u doktora Phillipsa, pod nasze drzwi zajeżdżał wysoko zawieszony faeton i James pytał gospodynię, czy panna Lacey zechciałaby się z nim wybrać na przejażdżkę.

Panna Lacey prawie zawsze chciała.

Był uroczym towarzyszem. Pozwalał mi nawet trzymać lejce, a gdy zobaczył, jak dobrze sobie radzę z końmi, zapowiedział, że z przyjemnością nauczy mnie powożenia dwójką.

- Masz dobre ręce - powiedział, a ja roześmiałam się, przypominając sobie, kiedy słyszałam to ostatnio. Chciał o tym posłuchać, więc opowiedziałam mu o Denchu, dzikiej jeździe przez Acre i uratowaniu Richarda. Wybuchnął śmiechem, gdy mu powiedziałam, że jechałam okrakiem z podciągniętą sukienką, a ja zmusiłam go, by przysiągł, że nikomu o tym nie powie.

- To twoje Wideacre wygląda na wspaniałą posiadłość - rzekł z zadumą. - Rozumiem teraz, czemu mój tata pragnąłby domu na wsi dla siebie i dla mnie. Mama twoja mówiła, że możesz przejąć całość, jeśli spłacisz kuzyna.

- Tak - odparłam, a potem zapadło między nami kłopotliwe milczenie, bo oboje zdaliśmy sobie sprawę, że moja mama i jego tata swatają nas. James zaśmiał się.

- Niech pani nie będzie taka poważna, panno Lacey. Mój tata naprawdę może sobie pozwolić na kupno posiadłości. Nie muszę się żenić po to, by

mu zrobić przysługę, a i ty nie musisz myśleć o wyświadczeniu nam grzeczności.

Nie mogłam się opanować i wybuchnęłam śmiechem. Taka rozmowa była bardzo niewłaściwa, ale lepiej czuliśmy się teraz niż przedtem, gdy z powodu konwenansu udawaliśmy, że nie wiemy, iż całe Bath od kilku tygodni planuje nasze małżeństwo.

- Zawsze mogę ci przekazać posiadłość za gotówkę - rzekłam niegodziwie.

294

- Tak - podchwycił od razu. - Proszę cię o to, błagam. Wszystko, tylko nie ta nieznośna rola, którą muszę odgrywać. Muszę przez cały czas udawać, że mi się podobasz, muszę cię zabierać na przejażdżki i prosić do tańca. Potem, jak sądzę, będę ci musiał przysyłać kwiaty!

- A ja muszę to akceptować - powiedziałam ponuro. - To okropne być taką posłuszną córką!

- Zawsze możesz uciec z lokajem - zaproponował życzliwie - ale nie masz żadnego, prawda?

Głośno parsknęłam śmiechem i zapomniawszy o tym, że powożę, poluzowałam lejce. Konie przyspieszyły, a ja musiałam wychylić się do tyłu i ciągnąć z całej siły, by je przyhamować.

- Przepraszam cię - powiedziałam - ale powinieneś zobaczyć naszego lokaja! Jest naprawdę kochany, lecz tak stary, że mógłby być moim dziadkiem!

- Zatem nie ma wyjścia - rzekł z pokorą. - Wcale nie podoba mi się to bardziej niż tobie, droga panno Lacey, ale będziemy się musieli ze sobą pogodzić.

Śmiech, który zdusiłam, był częściowo spowodowany naszymi nieprzystojnymi żartami, a częściowo sympatią. Zerknęłam na niego z ukosa i zobaczyłam, że przygląda mi się swymi uważnymi piwnymi oczami, w których czaił się uśmiech.

- To tylko żart - powiedziałam szybko. - Jeden z tych, na które nie powinniśmy sobie pozwalać. Nie zamierzam wychodzić za mąż jeszcze przez wiele, wiele lat.

- Wiem o tym! - rzekł tak głośno, że aż podskoczyłam. Potem zobaczyłam, że nadal się uśmiecha. - Kokietka! I to taka młoda! Nie zdołałam się opanować i wybuchnęłam śmiechem, choć wiedziałam, że nie powinnam. Ciągle jeszcze się uśmiechałam, gdy zajechaliśmy pod dom i James przejął ode mnie wodze. Wychylił się, by mi podać rękę przy wysiadaniu, lecz odmówił, gdy go poprosiłam, by wszedł.

- Przypuszczam, że będę się musiał z tobą zobaczyć na balu - oznajmił ponuro - i wydaje mi się, że będę musiał z tobą zatańczyć.

Odwróciłam się od drzwi i złożyłam mu wielce dystyngowany ukłon.

- Wcale nie - odparłam pocieszająco. - Ale dziękuję za zaproszenie.

Przykro mi, lecz wszystkie tańce mam zajęte.

295

Pełen pewności siebie uśmiech, który wykwitł na jego twarzy, był nieco zmacony myślą, że moglibyśmy ze sobą nie zatańczyć. Zwinął swój długi bicz i wyciągnął go w moim kierunku.

- Panno Lacey - powiedział stanowczo - jeżeli nie zachowałeś dla mnie tańca przed kolacją i po niej i jeżeli to nie ja zaprowadzę cię do stołu, powiem Mariannie i wszystkim znajomym, że jesteś skończoną kokietką. I każde moje słowo będzie prawdziwe.

A ja po raz pierwszy w życiu świadoma swej urody i tego, że ktoś mnie pragnie, podniosłam oczy na siedzącego w powozie mężczyznę i roześmiałam mu się w twarz.

- Poczekaj, to zobaczysz - rzekłam, obróciłam się na pięcie i bez słowa wbiegłam do domu.

Lubiłam go nie tylko z powodu przejażdżek w blasku zimowego słońca. Jeszcze nie stałam się zwyczajną dziewczyną, której przewraca w głowie otrzymany bukiet kwiatów albo fakt, że adorujący ją mężczyzna jest uważany za najbardziej atrakcyjnego młodego człowieka w Bath. Swego czasu dowodziłam grupą oraczy i naprawdę daleka byłam od przekonania, że najważniejszą rzeczą na świecie jest biel męskich rękawiczek czy liczba tanecznych kroków, jakie ktoś umie zrobić. Jamesa Fortescue lubiłam przede wszystkim za jego stosunek do siostry. Na przekór opiniom całej rodziny i domowego lekarza uważał, że nie dzieje się z nią nic złego. Jego niegrzeczne komentarze i przedrzeźnianie doktora Phillipsa wywoływały uśmiech na twarzy Marianny, a i ja czułam się pogodniejsza, mimo że nadal spędzałam długie godziny w tamtym zamkniętym pokoju.

- Co on z tobą robi? - spytał James, gdy siedzieliśmy przy kawiarnianym stolczku, czekając na Mariannę, która miała do nas dołączyć po wizycie w pijalni.

- Przemawia - odparłam ponuro. - Najpierw przez cały czas mówiłam ja. Chciał poznać wszystkie moje myśli. Krok po kroku, im więcej mu opowiadałam, tym więcej uczuć mnie opuszczało i teraz już przestałam wiedzieć, co o nich myślę. Z pewnością tęsknię za domem bardziej, niż mogłabym kiedykolwiek przypuszczać, ale to dziwne uczucie, którego doznawałam - że są tam jakieś czary - prawie mnie opuściło.

- Jakie to były czary? - spytał łagodnie.

Spojrzałam prędko na niego, lecz nie śmiał się ze mnie. Nie był też protekcyjny, co zawsze tak mnie złościło u doktora

296

Phillipsa. Był młodym człowiekiem, moim rówieśnikiem, ale o świecie wiedział dużo więcej niż ja. Miał zaufanie do własnych sądów, a ja z kolei ufałam jemu.

- To stara legenda - zaczęłam zakłopotana. - Ludzie wierzą, że moja rodzina jest niezwykła, że Laceyowie mogą sprawić, by ziemia zaczęła rozkwitać i stała się wyjątkowo urodzajna. A ja to odczuwałam. Kiedy przykładam policzek do ziemi, jestem pewna, że słyszę bicie jej serca, jakby była żywą istotą i kochała mnie.

Ktoś obok upuścił łyżeczkę, która zadźwięczała o talerz. Podskoczyłam i rozejrzałam się dookoła. Nie byłam w Wideacre, znajdowałam się wiele mil od domu. Nagle uświadomiłam sobie, że w kawiarni są dziesiątki ludzi, a w mieście są ich setki i poczułam, że muszę być arogancka i głupia utrzymując, iż jestem kimś wyjątkowym. Niespokojnie zerknęłam na Jamesa. Patrzył na mnie, a w jego twarzy nie malowało się nic prócz spokojnej uwagi.

- A w każdym razie tak było przedtem - ciągnęłam.

- Byłam tego pewna. Odkąd jednak opowiedziałam o tym doktorowi i musiałam mu to wyjaśniać wciąż od nowa, nie jestem już taka przekonana i wydaje mi się, że to wszystko bzdury.

Rozgniewany James złapał mnie za drżącą dłoń.

- Właśnie tego nie znoszę u doktora Phillipsa. To samo dzieje się z Marianną. Gdy zaczęła go odwiedzać, rzeczywiście miała problemy z

jedzeniem odpowiednich posiłków o odpowiednich porach. Wydawało mi się nawet, że wiem, czemu tak się dzieje. Ty masz małą rodzinę, w której razem spokojnie żyjecie

- powiedział niepewnie. - Nie wszędzie jest tak samo. Mój tata i mama często się spierają. Do obiadu zwykle siada u nas pięć osób. Rodzice czasami kłócą się długo i głośno, a wiesz już, jaka wrażliwa jest Marianna, ona po prostu nie znosi podniesionych głosów. Odmawiając jedzenia, wykręcała się od obiadów z rodziną. Byłem pewien, że od tego zaczęły się jej problemy i że kiedyś sama to zrozumie. Lecz odkąd zaczęła chodzić do doktora Phillipsa, przestała cokolwiek rozumieć. Zabrał jej pewność siebie, a zamiast tego nie dał nic prócz niejasnego poczucia, że to jej wina i że to ona robi coś złego.

Skinęłam głową. Wcześniej słyszałam podobne słowa od Marianny. James nie powiedziałby mi o tym, gdyby nie wiedział, że cieszę się jej zaufaniem.

297

- Trudno mi sobie wyobrazić, że ona siebie obwinia - rzekłam z wahaniem.

- Ja sobie to wyobrażam, a ty też powinnaś. Przypomnij sobie. Kiedy przyjechałaś do Bath, uważałaś, że słusznie traktujesz swój dom jako coś niezwykłego. Teraz natomiast myślisz, że to uczucie jest złe, a nawet że grozi ci całkowita jego utrata!

- O, nie! Byłam bardzo nieszczęśliwa z powodu znaczenia, jakie miało dla mnie Wideacre... - przerwałam i spojrzałam na niego.

- Dlaczego? - spytał łagodnie.

Zawahałam się, lecz uznałam, że mogę mu to powiedzieć. Nie

opowiedziałam mu jednak tej wersji, o której prawdziwości przekonał mnie doktor: że obudziła mnie burza, a ja uznałam, iż wieża może runąć i tylko przypadek sprawił, że miałam rację. Powiedziałam mu natomiast, że to na pewno było przeczucie, za którego głosem poszłam. Pospiesznie skończyłam opowieść o tamtej dziwnej nocy i zamknęłam oczy. To wszystko brzmiało tak dziwnie. Potem poczułam, że jego palce muskają moją przyodzianą w rękawiczkę dłoń, i podniosłam powieki.

- Ja nie umiałbym tego zrobić. Głupcem byłbym jednak uważając, że coś, czego sam nie potrafię, jest poza zasięgiem możliwości innego człowieka. Być może masz jakieś specjalne uzdolnienia. Może powinnaś je chronić i cieszyć się nimi, zamiast próbować się ich pozbyć.

Miałam już odpowiedzieć - szukałam w myślach słów, którymi mogłabym mu podziękować za to krótkie zdanie przywracające mi utraconą wiarę w Wideacre i siebie, spadkobierczynię tej posiadłości - gdy do stolika podeszły Marianna, Emilia, Mary i Elizabeth. Ręce miały pełne pudeł z kapeluszami, a usta - nowin, więc chwila, w której mogłam mu podziękować, umknęła.

Nie zapomniałam jednak jego słów. Chociaż nadal żyłam w kołowrocie wycieczek, zakupów, tańców i rozmów, każdej nocy, leżąc już w łóżku, przez kilka minut myślałam o tym dniu. Wydawało mi się, że osiągam jakiś nowy rodzaj pewności siebie. Wprawdzie doktor Phillips odebrał mi głęboką wiarę w to, że jestem spadkobierczynią Wideacre i dzieckiem szczęścia z tajemniczej legendy, lecz Bath dało mi coś w zamian. Stałam się dziewczyną zdolną, by swobodnie, może nawet zuchwale rozmawiać z każdym,

wysoko nosić głowę i traktować innych młodych ludzi jak równych sobie. A jako wybranka najwspanialszego młodego mężczyzny, który przyjechał do Bath, zyskałam pewność siebie, jakiej nigdy nie nabrałabym w domu. Za to również byłam Jamesowi wdzięczna.

ROZDZIAŁ Piętnasty.

Nie kłamałam, mówiąc Jamesowi Fortescue, że wszystkie moje tańce na ten wieczór są zarezerwowane. Ale miał rację, licząc na mnie - zachowałam dla niego taniec przed kolacją, mógł więc mnie porwać z zatłoczonej, oświetlonej sali balowej do pokoju jadalnego, gdzie przyłączyliśmy się do grupki młodych ludzi, których nazywałam teraz swoimi przyjaciółmi.

Mama grała w karty, a potem podeszła i stanęła za mną, kiedy siedziałam przy kolacji. Położyła dłoń na moim ramieniu, powstrzymując mnie od poderwania się.

- Zostań - powiedziała łagodnie. - Nie chcę, żebyś wychodziła wcześniej, ale ja muszę wracać do domu. Piekielne przeziębienie, którego nabawiłam się niedawno u modystki, i ta gorączka sprawiają, że już nie bawi mnie gra. Tak mnie to rozstraja, że jeżeli nie wyjdę, gotowa jestem przegrać fortunę Johna.

- Jak dostaniesz się do domu? - zapytałam.

- Wezmę bryczkę i pošlę jednego z ludzi pani Gibson po dorożkę, żeby odwiozła ciebie do domu.

- Pani wybaczy, lady Lacey - wtrącił się James, podnosząc się z krzesła - pragnę wybawić panią z tego kłopotu. Podejmuję się dostarczyć pannę Lacey bezpiecznie do domu. I jeżeli pani pozwoli, pójdę i upewnię się, czy bryczka czeka już przed drzwiami.

Mama uśmiechnęła się.

- Dziękuję, panie Fortescue - powiedziała. - Powinnam była wiedzieć, że pan okaże taką grzeczność. Spodziewam się Julii w domu o jedenastej, kiedy bal się skończy.

300

James podał jej ramię i wyprowadził przez zatłoczoną salę bankietową do jasnego holu.

- Ale z ciebie szczęściara! - westchnęła Mary Gillespie pod nosem. - Zepchnęłabym moją mamę ze schodów i złamała jej nogę licząc na to, że James Fortescue zawiezie mnie do domu.

- Mary! - wykrzyknęłam i zachichotałam. - To nieprawda. Zamknęłabyś ją w piwnicy, żeby mieć pewność, że jest bezpieczna.

Nadal się śmiałyśmy, kiedy James wrócił i spojrzał na nas podejrzliwie.

- To prawda - powiedział. - Moje serce jest przy mamie Julii. Ona jest naprawdę pociągająca, Julio. Musiała być oszałamiająca, kiedy była młoda. Czy kiedykolwiek spędziła sezon w Londynie?

- Myślę, że tak - odpowiedziałam. - Ale sądzę, że była nieśmiała i skromna i nie bawiło jej to.

- Bardzo jesteście podobne - rzekł James równie poważnie. -

Powiedziałem kiedyś Mariannie, że byłabyś całkiem sympatyczna, gdyby zdołała cię nakłonić do zaprezentowania się z lepszej strony.

- Ty!... - zaczęłam, ale w drugim pokoju kwartet rozpoczął grę.

- Czy to ostatni taniec, na jaki mogę liczyć tego wieczoru? - zapytał.

Pomachałam mu moim karnetem z uśmiechem zadowolenia.

- Ostatni - oznajmiłam. - Ale nie musisz zostawać do końca balu.

Ośmielam się twierdzić, że jeśli poproszę któregoś z partnerów, odwiezie mnie do domu.

- Jesteś bałamutką - powiedział z uczuciem. - Chodź i pozwól sobie deptać po stopach, Julio Lacey. Mam nadzieję, że unieszkodliwię cię na resztę wieczoru.

Roześmiałam się i poszłam zatańczyć z nim, a potem z George'em Gillespiem i z sir Clive'em, z majorem Petersonem i z wszystkimi innymi nowymi przyjaciółmi, dopóki kwartet nie zagrał ostatniego tańca i zegar nie wybił jedenastej. Muzycy zaczęli pakować swoje instrumenty, chociaż sir Peter Laverock błagał ich, żeby zegrali jeszcze jeden taniec, który chciał odtańczyć ze mną.

- Tak mi przykro - powiedział do niego James Fortescue, choć w jego głosie wcale nie słyszało się żalu - ale obiecałem

301

lady Lacey, że panna Julia będzie w domu o jedenastej, więc muszę dotrzymać słowa.

Sir Peter rzucił jedno spojrzenie na Jamesa Fortescue, a drugie na moją uśmiechniętą twarz.

- Cóż, prawdę mówiąc, James, nie podoba mi się to, że wracacie na Gay Street zupełnie sami. Pojadę z wami. Chcę dopilnować, żeby panna Lacey dotarła bezpiecznie do domu, a potem wrócę z tobą.

- Bardzo to miło z twojej strony - powiedział James - ale nie mogę cię prosić o coś takiego.

- Nalegam - rzekł sir Peter rozdrażnionym tonem. - Co pani na to, panno Lacey?

James Fortescue podał mi ramię z doskonale obojętną kurtuazją. A kiedy

jego dłoń dotknęła mojej, mocno ścisnął mi palce.

- Nie będę pana kłopotą, sir Peterze - powiedziałam grzecznie. - Życzę dobrej nocy i mam nadzieję zobaczyć pana jutro.

Potem, kiedy się odwróciliśmy do wyjścia, wyszeptałam do Jamesa Fortescue:

- Gdybym nie była damą, kopnęłabym cię w kostkę! Roześmiał się głośno i poprowadził mnie do wyjścia.

- Czy życzysz sobie pojechać krytą dorożką? - zapytał. - A może nie boisz się spaceru na mrozie?

Wzięłam głęboki oddech. Powietrze było lodowato zimne, zwiastowało śnieg. Wiedziałam, że czegoś mi brakuje, poszukiwałam jakiegoś zapachu i zwróciłam twarz ku bezchmurnemu atramentowoczarnemu niebu, szukając znaku. Tęskniłam za zapachem domu, słabą wonią zimnych liści bukowych, za śladami na zmarzniętej trawie. Dzisiejszej nocy byłam daleko od Wideacre.

- Chodźmy - powiedziałam i wyszliśmy na schody. Zakryłam głowę obramowanym czerwoną lamówką kapturem nowej peleryny.

Jedną dłoń wtuliłam w futrzaną mufkę, drugą włożyłam pod ciepłe, okryte rękawem płaszcza ramię Jamesa. Była to olśniewająca noc. Gwiazdy rozsiane po czarnym niebie były tak duże jak kwiaty na łące, a wokół księżycy widniała mglista aureola, która zawsze oznacza mróz. Wolnym krokiem ruszyliśmy ku wzgórzom, trzymając się blisko siebie i lawirując w tłumie gości opuszczających bal. Pozdrawialiśmy się nawzajem życzeniami dobrej nocy.

302

Dorożkarze wołali na ludzi, żeby usuwali im się z drogi, a chłopiec z

pochodnią podbiegł do nas i zapytał Jamesa:

- Oświetlić państwu drogę, sir?

- Gwiazdy są dzisiaj wystarczająco jasne - powiedział łagodnie James i sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu monety.

Popatrzyłam na stopy chłopca. Miał podwiązane szmatami buty bez podeszew. Powyżej, nad ich postrzępionym językiem, widoczne były gołe, posiniałe z zimna kostki upstrzone starymi śladami pchlich ukąszeń.

Bryczesy kończyły się pod kolanami - brudna para szmat, które kiedyś były aksamitem. Zamiast kurtki nosił męską marynarkę z podwiniętymi wielokrotnie mankietami, spod których widoczne były chude nadgarstki.

Ręce miał gołe. Był jednym z tych mętów Bath, które wypływały na wznoszącej się fali zamożności miasta. Był jednym z wielu, którzy żyli dzięki odrobinie szczęścia, odrobinie złodziejstwa i odrobinie żebraniny.

Widziałam nędzę w Acre, ale nędza na wsi jest nieporównywalna z upodleniem, jakie cierpieli biedni w tym najbardziej eleganckim z miast.

Można było rzucić pensa do wyciągniętej dłoni na targu lub dać na specjalną zbiórkę w kościele, ale można też było spędzać całe dni wśród bogatych i pięknych, nie oglądając ubogich. Władze miejskie ukrywały ich, aby nie szokować swoich bogatych gości. A my - ci z pieniędzmi, wygodnym życiem i chrześcijańską litością - chcieliśmy, żeby ulice były czyste, a biedacy schludni.

- Masz tutaj - powiedział życzliwie James, a chłopak spojrzał na niego i uśmiechnął się. Musiał mieć około czternastu lat, ale był tak drobny i chudy, że wyglądał na młodszego. W jego twarzy było coś, co mnie uderzyło - kwadratowe czoło i głęboko osadzone oczy.

Kiedy tak patrzyłam na niego, opadł na mnie jak wodospad śpiewny szum

Wideacre, który pochłonał dźwięki i widok ulicy.

Widziałam tylko jego bladą zmizerniałą twarz i słyszałam głos mówiący:

„Zabierz go do domu! Zabierz go do domu” - tonem tak pełnym tęsknoty i smutku, jak gdyby to matka go przywoływała.

- Zabiorę cię do domu - powiedziałam, a zabrzmiało to jak coś najbardziej oczywistego w świecie. - Zabiorę cię do domu.

Jego twarz o ostrych rysach, żółtawoblada w świetle pochodni, zwróciła się ku mnie.

303

- Do Acre? - zapytał.

Wiedziałam, że jest jednym z tych zagubionych dzieci z Acre, zabranych do fabryk na północy, które nigdy nie wróciły.

- Tak - powiedziałam i uśmiechnęłam się do niego bliska łez. - Tak.

Jestem Julia Lacey. Teraz wszystko w Acre idzie dobrze. Znajdzie się tam dla ciebie praca, jeżeli pozwolisz, żebym odesłała cię do domu. Jestem znajomą Clary Dench, Matthew Merry'ego i Teda Tyacke'a. Wszyscy oni otrzymują teraz zapłatę za pracę w Acre, a Ralf Megson wrócił do domu i zarządza majątkiem.

Wcisnął swoją pochodnię Jamesowi i zamknął moje dłonie w uścisku swoich brudnych i gołych rąk.

- Czy to prawda? - wypytywał gorączkowo. - Czy oni znowu pracują na wsi? Czy ja naprawdę mogę wrócić do domu? Czy nie odeślą mnie, kiedy wrócę?

- Nie - powiedziałam stanowczo. - Jestem spadkobierczynią części majątku. Jestem Julia Lacey i w Wideacre słuchają moich poleceń. Będzie tam dla ciebie praca, a ja zapłacę za twoją podróż powrotną do domu.

Wcześniej powiadomię ich, że przyjeżdżasz, aby znaleźli dla ciebie mieszkanie. Mogę ci to obiecać i naprawdę obiecuję.

Wtedy potrząsnął moimi dłońmi, jakbyśmy mieli nagle zatańczyć na zimnej ulicy nocnego Bath.

- Trudno w to uwierzyć! - zawołał. Potem śmiał się, ścisnął mnie za ręce i potrząsał głową, jakby usiłował obudzić się z pięknego snu. - Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu panią spotkałem!

- Jak go rozpoznałaś? - zapytał James. Odwróciłam się w jego stronę. Zupełnie zapomniałam, że tu jest. Wcisnął pochodnię w podpórkę poręczy, o którą się oparł, i patrzył na nas.

- Nie wiem. Myślę, że po prostu odgadłam - skłamałam. Nauczyłam się tego u doktora Phillipsa, który kazał mi nie wierzyć własnym zmysłom. Potem zawahałam się. Zaufałam Jamesowi Fortescue i powiedziałam mu prawdę o moich snach i wizjach.

- Nie, to nie jest prawda - powiedziałam po prostu. - To była wizja. Wiedziałam, że muszę zabrać go do domu; ale nie wiedziałam dlaczego. Nie wiedziałam, kim on jest. Ale teraz kiedy na niego patrzę, widzę, że naprawdę wygląda jak mieszkaniec Sussex.

304

- Jestem Jimmy Dart - wyjaśnił chłopiec. - Moja mama służyła w Havering Hall. Kiedy miałem się urodzić, odesłali ją stamtąd. Zamieszkała w Acre i pracowała w Wideacre. Ale kiedy miałem pięć albo sześć lat, uciekła, a oni zabrali mnie do opieki społecznej i wsadzili do przytułku. Kiedy przyszedł pan Blithe, zabrał mnie z innymi. Pracowaliśmy w jego fabryce. To była potworna praca. Potem nie mógł już zdobyć bawełny, zamknął fabrykę i wszyscy musieliśmy odejść. Nie mogli zabrać nas do

przytułku, bo nie jesteśmy stąd, ani nie odwieźli nas z powrotem do Acre. Julia słyszała, że biedacy mogą urządzać się w Bath, ale nie mieliśmy pieniędzy na podróż. Nastąpiła zima, a my byliśmy bez butów. Szliśmy. To była długa wędrówka i mała Sally zmarła w drodze. Zwyczajnie zwinęła się w kłębek w polu i już więcej nie wstała. Zostaliśmy z nią tak długo, aż była zimna i sztywna, wtedy ją zostawiliśmy. Nic już nie mogliśmy zrobić. Potem Julia płakała. Powiedziała, że płacze ostatni raz i nigdy więcej nie będzie. Potem dotarliśmy do Bath, a ja stoczyłem walkę z pewnym chłopakiem i wygrałem ją, więc dostałem jego pochodnię.

- On ci ją dał? - zapytałam.

- Zabiłem go - odpowiedział bezceremonialnie Jimmy. - Zadusiłem. To nie było trudne, był mały. Zdobyłem jego pochodnię, więc mogłem zacząć zarabiać. Robiłem to od dłuższego czasu, aż do teraz.

Wyciągnęłam rękę, żeby oprzeć się o poręcz.

- Zabiłeś go? - zapytałam słabym głosem.

- Tak - powiedział. - Oprócz pochodni mamy miejsce, gdzie on sypiał. Teraz tam mieszkamy.

Nie odezwałam się. Jimmy przypatrywał mi się w milczeniu, dotykając pięknej pelisy ozdobionej lamówką i futrzanej mufki.

- Nie dałaby mi pani pensa? - zapytał. - Wtedy mógłbym kupić trochę dżinu dla Julii. Ona go lubi. Lepiej dla nas, jak możemy kupić dżin zamiast chleba.

Miałam ochotę mu powiedzieć, że nie mogę pozwolić na kupowanie dżinu, że dostaną jedzenie, ubranie i pieniądze na przejazd do Acre, ale nie wolno im nigdy więcej pić alkoholu. Ale James Fortescue podszedł i przytrzymał mnie za łokieć.

- Tak, możesz dostać teraz trochę pieniędzy - powiedział łagodnie. - Czy ta Julia również jest z Acre?

- Aha - odparł Jimmy, obserwując jak James sięga ręką do kieszeni; patrzył, jak wyłania się stamtąd szyling połyskujący

305

tak jasno jak nóż w świetle księżyca. - Trzymamy się razem, my biedacy z Acre. Oprócz małej Sally, która zmarła, i George'a, który zeszłej zimy rzucił się do rzeki po pijanemu, reszta nas żyje na Fish Quay.

James wręczył mu szylinga.

- Czy ta reszta też chce wracać do domu? - zapytał. - Do Acre, gdyby to zostało zorganizowane?

Uśmiech podobny do wznoszącego się nad doliną słońca rozjaśnił twarz chłopca.

- Aha - powiedział. - Pewnie, że tak.

- Pójdę i zabiorę was wszystkich - postanowiłam pod wpływem nagłej decyzji. Cokolwiek zrobili, gdziekolwiek żyli teraz, byli dziećmi Acre, które powinny wychowywać się właśnie tam. Mała dziewczynka, która umarła na polu, chłopiec, który skoczył do zimnej rzeki, i twarda ziemia daleko od ich domów - to była wina Laceyów, Laceyów i właścicieli ziemskich, i świata, który stworzyliśmy, świata ogromnej liczby biednych i niewielkiej grupy bogatych.

- Przyjdę was odwiedzić, a do Acre napiszę dzisiejszej nocy

- obiecałam.

- Nigdy sama nas pani nie znajdzie - powiedział Jimmy.

- Spotkam się z panią przy końcu Fish Quay rano, jeżeli pani chce. -

Spojrzał na Jamesa i dodał: - Lepiej jak pan przyjdzie z nią, niektórzy tam

są groźni.

- Będę tam - obiecał James ponuro. - Przyjdziemy około dziewiątej.

Jimmy podniósł pochodnię.

- Mogę teraz iść prosto do domu - powiedział, umieszczając ostrożnie monety w poszarpanej kurtce i zbierając się do odejścia. Wtem zatrzymał się. - Przyjdziecie, prawda? - zapytał, nagle zwątpiwszy.

Położyłam mu dłoń na ramieniu. Przez cienką kurtkę dały się wyczuć ostre kości obojczyka.

- Obiecuję - powiedziałam. - Możesz zawsze do mnie przyjść.

Wynajmujemy mieszkanie u pani Gibson pod numerem dwunastym przy Gay Street. Zawsze możesz mnie tam znaleźć. Ale przyjdę do ciebie jutro rano.

- Zatem do jutra - zawołał, odwrócił się na pięcie i zmieszał z cieniami eleganckich ulic Bath. Bardzo biedni - o ile tu nie pracują - powinni pozostawać niewidzialni.

James ujął mnie pod rękę i ruszyliśmy w milczeniu.

306

- Wpadnę po ciebie za kwadrans dziewiąta - powiedział, kiedy doszliśmy do domu.

Spojrzałam w górę. Przez żaluzje sypialni mamy sączyło się światło.

Czekała na mnie.

- Dziękuję - odparłam - ale mogę pójść sama. Jem Dench pójdzie ze mną.

James potrząsnął głową z uśmiechem, ale nie kłopotał się odpowiedzią.

- Wiedziałaś od razu, prawda? - zapytał. - Widziałem, jak twoje oczy całkowicie się zamgliły, i uśmiechałaś się, jakby ktoś wołał cię po imieniu, a potem powiedziałaś: „Zabiorę cię do domu”. Poznałaś go od razu,

prawda?

- Tak - powiedziałam po prostu.

- To wielki dar. Jesteś szczęśliwą kobietą. - Urwał, bo uderzyła go pewna myśl. - Może odwołasz swoje jutrzejsze spotkanie z Phillipsem? - zasugerował. - Pewnie będziesz musiała spędzić trochę czasu z dziećmi z Acre.

- Zrobię to - powiedziałam. - Mam nadzieję, że nie będzie mi miał za złe...

- zawahałam się. - Ale wtedy mama...

James odsunął się trochę i popatrzył na mnie, przekrzywiwszy na bok głowę. Śmiał się.

- Może nie powinienem tego sugerować - rzekł figlarnie - ale dopóki nie poznasz lepiej sytuacji, może dobrze byłoby zrobić sobie wagary? Jeżeli twoja mama jutro nie będzie się dobrze czuła, nie pójdzie z tobą do doktora Phillipa. Potem powiesz jej, że nie poszłaś, i wyjaśnisz dlaczego.

- Panie Fortescue! - wykrzyknęłam. - To byłoby nieuczciwe.

- Tak - przyznał od razu.

- I bardzo wygodne - uświadomiłam sobie. - Zdecyduję jutro rano. Ale niezależnie od tego co powiem mamie, czekam na ciebie gotowa do wyjścia za kwadrans dziewiąta.

Uklonił się i uśmiechnął, słysząc nutkę zdecydowania w moim głosie.

Wyciągnęłam do niego dłonie w przypływie nagłej wdzięczności za sposób, w jaki obszedł się z Jimmym, i za to, że zrozumiał.

- Dobranoc, James.

- Dobranoc, Julio - odparł.

A potem zaspana Meg otworzyła mi drzwi i poczłapałam na górę do mojej sypialni. Napisałam do Ralfa, runęłam na łóżko i spałam tak dobrze,

jakbym była w domu.

307

Targ przy Fish Quay był rano pełen hałaśliwych kobiet robiących zakupy dla domów i restauracji Bath. Czasami pojawiali się tam ekscentryczni dżentelmeni szukający okazjnych zakupów, którzy spoglądali na Jamesa i na mnie ze zdziwieniem. Panował tam niemożliwy do zniesienia gwar; ludzie zachwalali towary i pokrzykiwali, rybacy ciskali ogromne skrzynie na wybrukowaną kocimi łbami ulicę, a handlarki ryb chodziły dookoła z koszami nakrytymi muślinowymi serwetkami.

Ulice za targiem, którymi prowadził nas Jimmy, cuchnęły rybami, wymiocinami i ekskrementami. Zaulek był mokry, oślizły, a małe strumyki nieczystości tworzyły kałuże w rynsztokach, w miejscach gdzie zablokowały je odpadki. Nie było tam chodników ani bruku. Zaulek był błotnistym traktem ze stertami śmieci i resztek wyrzucanych z okien domów po obu stronach ulicy. Było tu ciemno jak o zmierzchu, ponieważ budynki stały tak blisko siebie, że na dół nie docierał nawet podmuch wiatru. Szłam z zebraną w dłoni suknią, usiłując uniknąć pobrudzenia jej brzegu. James mocno podtrzymywał mnie pod ramię. Z każdego domu, zza każdych zamkniętych drzwi i nie oszklonych, nagich okien dobiegał nas płacz dzieci, jęk starych schorowanych mężczyzn i kobiet oraz kłótnie tych, którzy - zdrowi i pełni energii - woleli ujawniać gniew, a nie cichą rozpacz.

Jimmy spojrzał na pociemniałą twarz Jamesa.

- Tylko na to możemy sobie pozwolić - powiedział. James skinął głową; nie był zdziwiony.

Przeszliśmy zaledwie kawałek, kiedy oni zaczęli za nami iść. W pierwszej

chwili ledwie patrzyli na nas z progów i z okien, ale potem znaleźli się z tyłu - mrukliwy tłum, który wyglądał tak, jakby miał nas posiekać, ukamienować albo ograbić. Uścisk na moim ramieniu zwiększał się, a James i Jimmy wymienili spojrzenia.

- Jesteśmy już blisko - rzekł niespokojnie Jimmy. - Chyba nie powinienem był was prosić.

Chciałam powiedzieć, że moje miejsce jest tutaj. Jeżeli dzieci Acre mieszkały tutaj, to powinnam wiedzieć, jak żyją. Ale zapach ulicy sprawił, że trzymałam usta zamknięte. Byłam dzielna i zdeterminowana, niemniej jednak czułam się chora i żałowałam bardzo, że tu przyszedłam.

308

- Tutaj - powiedział nagle Jimmy i raptownie skręcił w bok.

W ogóle nie było tam drzwi, jedynie okno piwniczne. Ktoś wybudował z desek mały pomost prowadzący w dół. Jeżeli miało się mocny żołądek i wytrzymałe buty, można było przejść z zaułka do parapetu okiennego pomiędzy ogromnymi stertami śmieci.

- Uważaj, nie pośliznij się - ostrzegł mnie James i poszedł pierwszy.

Kiedy był w połowie pomostu, podał mi rękę i stoczyliśmy się do pokoju.

Usłyszałam, jak coś umyka przed nami. Zmrużyłam oczy, a kiedy przyzwyczały się do ciemności, zobaczyłam w pokoju czworo ludzi.

Dziewczyna w moim wieku leżała rozciągnięta na podłodze na starej pelisie, przykryta brudnym płaszczem. Z boku stał mały kubek. Jej niedbale podpięte do góry włosy byłyby rudawe, gdyby je wymyto. Miała przesadnie podmalowane oczy, teraz zlepione od snu, i mocno uróżowione, wpadnięte policzki. Była chuda, zagłodzona.

- To jest Julia - przedstawił ją Jimmy, a wszyscy mogli dosłyszeć miłość i

dumę w jego głosie.

- Dzień dobry - powiedziałam spokojnie. - Jestem Julia Lacey. - Kiedy to mówiłam, zdałam sobie sprawę, że nosimy to samo imię. Ona była prawdopodobnie o rok młodsza i nazwano ją po mnie, zgodnie z tradycją Acre. Uniosła się na łokciu i popatrzyła na Jamesa Fortescue, a potem na mnie, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Aha. Jimmy powiedział nam, że pani przyjdzie, ale ja w to nie wierzyłam. - Sięgnęła po mały kubek i pociągnęła łyk.

- To jest Nat - oznajmił Jimmy.

Chłopiec czarny jak afrykański niewolnik podniósł się i podszedł do nas. Był trochę wyższy od Jimmy'ego, ale chyba w tym samym wieku. W ciemności z trudem mogłam dostrzec jego rysy. Wszystko, co widziałam, to błyszczące jasnoniebieskie oczy wyglądające dziwnie w tej ciemnej twarzy.

- Jest pomocnikiem kominiarza - powiedział Jimmy

- nie może mówić z powodu sady w gardle. Stracił głos

- zeszłej zimy to było, prawda, Nat?

Chłopiec skinął energicznie. Obłok sady uniósł się z jego skudlonych włosów.

309

- Ale robi się za duży - kontynuował Jimmy. - Nie przejdzie przez komin, choćby chciał. Wkrótce już nie będzie miał pracy. Nawet nie będzie mógł zebrać bez głosu.

Nat znowu skinął, a potem podszedł do sterty papierów na podłodze. Były to stare gazety i przez moment myślałam, że zamierza pokazać nam jakiś artykuł. Ale pogrzebał wśród nich i zrozumiałam, że to jego legowisko.

Wydostał jakiś mały przedmiot i ściskając go w ciemnej piątce, podał go mnie.

- To jego krzemień - pospieszył z wyjaśnieniem Jimmy. - Kiedy zabierali go z Acre, jego mama dała mu ten kamień, żeby pamiętał dom. Czy znasz takie kamienie? Krzemienie podobne do tego, z błoń?

Wzięłam ostry mały kamyk do ręki i zacisnęłam na nim palce, żeby powstrzymać łzy płynące z moich oczu i drżenie głosu.

- Tak, znam.

Był biały na zewnątrz jak muszelka i ciemnopurpurowy, połyskujący w środku. Twarda mała pamiątka noszona przez lata. Ostrożnie oddałam ją Natowi.

- Z jakiej jest rodziny? - zapytałam.

- Jest synem Toma Brewera - powiedział Jimmy. - Jego ojciec pracował kiedyś w browarach w Midhurst, dopóki nie zwolnili go za to, że mieszka w Acre. Czy oni jeszcze tam są?

Spojrzałam na Nata. Sprawiał wrażenie zobojętniałego, jakby już dawno nauczył się, że jego rodzina zrezygnowała z niego przytłoczona siłą legalnych władz, że on sam powinien też się poddać.

- Są tam - odparłam, przypominając sobie chatę ze strzelistym dachem. - Mają nową chatę w Acre. Teraz ją budują. A w domu masz dwie młodsze siostry i nowego braciszka.

Umazana sadzami głowa skinęła, sugerując, że wiadomości są interesujące, ale nie mają życiowego znaczenia. Moją uwagę przyciągnął jakiś ruch w kącie pokoju.

- To Rosie Dench - powiedział Jimmy. - Znowu jest chora.

Ruszyłam ostrożnie w kierunku sterty na podłodze i zatrzymałam się koło

dziewczynki. Przy jej głowie, na szmatce, która w tym ponurym zaskorupałym pokoju wydawała się olśniewająco biała, leżała para prześlicznych rękawiczek pokrytych haftem z różą w pełnym rozkwicie, wijącą się wokół nadgarstka. Był to najładniejszy wyrób, jaki kiedykolwiek widziałam.

310

- Co to jest? - zapytałam. - Jakie piękne.

- To moja robota - odpowiedziała ochryplym głosem. Uniosła lekko głowę znad płótna. W bladej twarzy ostrą czerwienią odcinały się popękane wargi. - Kiedy światło jest trochę jaśniejsze, robię więcej. Otrzymuję za nie zapłatę; sprzedają je w fabrycznym sklepie pani Williams. Dobrze mi płacą, ponieważ wykańczam je podczas szycia i nie potrzebuję wzoru. Odwróciła głowę od nieskazitelnego płótna i ślicznych rękawiczek. Kaszłała, zakrywając się skrawkiem szmat, które ją okrywały; nawet w ciemnościach widziałam, że jej ślina jest ciemna.

- Znam ten sklep - powiedziałam. Uważałam go za zbyt drogi, ponieważ sprzedawano tam rękawiczki po pięć funtów od pary. Wraziłam swoje oburzenie mówiąc, że za to można wynająć zespół oraczy na miesiąc. Mama śmiała się z tego porównania, ale zakupy zrobiłyśmy w tańszym sklepie.

- Płacą mi pięć szylingów! - powiedziała z dumą. - Całe pięć szylingów. A jeśli światło jest dobre, potrafię zrobić parę w trzy tygodnie!

Nic nie powiedziałam. Absolutnie nic. Przeniosłam spojrzenie ze ślicznych rękawiczek na białą twarz dziewczyny z Acre i naraz wyhaftowana róża przestała tak pięknie wyglądać. Była jak pasożyt wyrastający z rękawiczki, żywiący się bladością dziewczyny, jej głodem i wycieńczeniem.

- Czy jesteś z rodziny Denchów z Acre? - zapytałam cicho. - Clara Dench jest jedną z moich najlepszych przyjaciółek.

- Aha - powiedziała. - Clara jest moją przyrodnią siostrą. Miałyśmy tego samego ojca, ale on nigdy nie ożenił się z moją mamusią. Kiedy ona umarła, zamieszkałam u mamy Clary, w chacie przy końcu uliczki. Ale kiedy pan Blithe przyszedł, musieli mnie oddać. Było nas za dużo do wyżywienia. Nie mam do nich o to żalu. Poza tym prawo było po jego stronie.

- Przyszłam, żeby zabrać cię do domu - wyjaśniłam. - Acre się zmieniło. Próbujemy je znowu doprowadzić do świetności. Ralf Megson wrócił do domu i jest zarządcą mojego wuja, Johna MacAndrew. Będziemy mieli zysk ze zbiorów na przyszły rok, a Acre będzie miało udziały w zyskach - nie tylko wypłaty, ale i uczciwe udziały. Napisałam zeszłej nocy do Ralfa Megsona, żeby go powiadomić o spotkaniu z Jimmym. Czy mogę napisać dzisiaj, że ty też wracasz do domu?

311

Spojrzała na rękawiczki.

- Najpierw muszę je skończyć - powiedziała. - Ale potem pojedę.

- Musisz skończyć! - krzyknęłam. - Sama odniosę je do sklepu. Po co chcesz je kończyć, jeśli jesteś tak chora i tak źle ci płacą?

- Mam dług - powiedziała. Popatrzyłam na nią w osłupieniu.

- Płacą mi z góry - wyjaśniła. - I musiałam pożyczyć od nich, żeby sobie kupić jedwab i igły. I szpilki też. Jak nie skończę tej robótki i zwrócę ją, to oskarżą mnie o kradzież towarów.

Odebrało mi mowę. Popatrzyłam na Jamesa.

- Myślę, że załatwimy to tak, żeby było w porządku - powiedział

łagodnie. - Gdybyś pozwoliła, żebyśmy razem z panną Lacey dostarczyli te rękawiczki za ciebie do sklepu w tym stanie, w jakim są, moglibyśmy zwolnić cię od długu.

Już miałam zaprotestować, ale James rzucił mi spod zmarszczonych brwi krótkie spojrzenie, które ostrzegało, bym zamilkła.

- Gdyby tak można zrobić... - zaczęła z wahaniem.

- Tak, można - powiedział stanowczo James. - Właścicielką sklepu jest pani Williams, tak? Cóż, będzie rozczarowana, tracąc tak dobrą pracownicę, ponieważ nigdy więcej nie będziesz dla niej haftowała.

Wrócisz do Wideacre ze swoimi przyjaciółmi.

Skinęła głową. Była śmiertelnie blada.

- Zatem napiszę - powiedziałam, rozglądając się dookoła i przemawiając do nich wszystkich. - Ale zanim uzyskamy odpowiedź, musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie będzie wam wygodniej. A Rosie powinien obejrzeć doktor.

Jimmy i Nat mierzyli mnie twardym, ostrym wzrokiem, zastanawiając się, czy dotrzymam słowa.

- Może załatwię miejsca w jakiejś gospodzie? - zapytałam.

Potaknęli bez słowa.

- Zorientuję się, co mogę zrobić, a potem wrócę. Czy będziecie tutaj po południu? - zapytałam.

- Nat będzie w robocie - powiedział Jimmy - ale Rosie, Julia i ja będziemy tutaj. Julia i ja pracujemy po nocach.

- Wrócę przed obiadem - obiecałam. - Przyniosłam wam trochę pieniędzy, żebyście kupili sobie śniadanie. - Sięgnęłam do kieszeni zakietu po pół korony. Kieszeń była pusta.

James potrząsnął głową z rezygnacją.

- Niczego nie widziałem. Ktokolwiek to zrobił, był bardzo szybki - powiedział i pomacał wewnętrzną kieszonkę płaszcza.

- Wziąłem pół korony na wypadek, gdybyś nie miała przy sobie pieniędzy, Julio. - Wręczył ją Jimmy'emu i rzekł: - Chleb i mleko, szczególnie dla Rosie. Koniec z dżinem!

Jimmy uśmiechnął się. Nat wbił oczy w monetę.

- Wrócimy po południu - obiecałam. Wzięłam rękawiczki, owinęłam je w czyste płótno i skierowałam się ku małemu okienku i rozchybotanym deskom.

Zapach ulicy był niemal słodki po cuchnącej ciemności maleńkiego pokoiku. Tłum, który podążał za nami, rozproszył się. Wymieniliśmy z Jamesem spojrzenia i ruszyliśmy w błocie do końca zaułka, gdzie na rybnym targu czekał jego powozik.

- Dokąd jedziemy? - zapytał James, pomagając mi wsiąść.

- Na poszukiwania lokum czy do sklepu pani Williams?

- Najpierw mieszkanie - zdecydowałam. - Chciałabym, żeby było gdzieś tu niedaleko, by nie czuli się obco.

- Minęliśmy po drodze mały zajazd - powiedział James.

- Wyglądał przyzwoicie, a to w końcu tylko kilka nocy.

Zawrócił powozik ostrym łukiem i pojechaliśmy z powrotem.

- Potrzywasz lejce, kiedy pójdę zapytać o wolne pokoje?

- powiedział, podając mi lejce, i wszedł do środka.

Słońce wznosiło się wysoko i wewnątrz powozu było bardzo gorąco.

Spojrzałam na moje dłonie w rękawiczkach. Drżały. Drżały z gniewu.

Byłam rozgniewana z powodu nędzy tego żalospnego pokoiku i dlatego, że istniały pokoje podobne do niego w każdym domu wzdłuż tego brudnego zaułka oraz że było tak wiele podobnych brudnych uliczek w tym pięknym mieście. Byłam wściekła, że każdy elegancki szal, każda para wykwintnych rękawiczek wykonane były przez młode dziewczyny, które traciły wzrok pochylone nad robótkami w swoich brudnych norach.

James wrócił uśmiechnięty.

- Załatwione. - Przerwał na widok mojej ponurej twarzy.

- Co się dzieje? Wyglądasz jak chmura gradowa.

- Chodzi o te dzieci - powiedziałam. - Dzieci Acre. Tak zdenerwował mnie sposób, w jaki są tu traktowane, że prawie nie mogę mówić.

- Gdybyś nie rozpoznała Jimmy'ego Darta, pozostałby przez całe życie chłopcem z pochodnią, dopóki ktoś silniejszy nie odebrałby

313

mu jej w walce. A tych czworo biedaków pozostałoby tutaj na zawsze.

Mają szczęście, że zaopiekowałaś się nimi - powiedział. Trzasnął batem na konie i ruszyliśmy.

Sklep pani Williams znajdował się przy Milsom Street. James podjechał przed elegancki budynek z biało-złotym podwieszonym szyldem i pomógł mi wysiąść z powozu.

- Pójdiesz z nią porozmawiać? - zapytałam.

- Sądzę, że lepiej będzie, jeśli ty to zrobisz - odparł. Dostrzegłam uśmiezek czający się w jego oczach, ale twarz pozostała poważna.

Znałam panią Williams od momentu, kiedy razem z mamą odwiedziłyśmy jej sklep. Była to wysoka postawna kobieta o stalowo szarych włosach i

ostrej zaciętej twarzy. Kiedy zdecydowałyśmy, że nie kupimy jej rękawiczek, uniosła jedną brew, jakby uwłaczało to jej godności, i skinęła na pannę sklepową, żeby ponownie je zapakowała. W sklepie zawsze była jedna lub dwie klientki popijające kawę lub herbatę, a w przymierzalni uwijały się dwie szwaczki biorące miarę. Sklep oddzielała od zaplecza cienka muślinowa zasłona biegnąca od drzwi. Dziewczyny pracujące za nią przestawały rozmawiać i nasłuchiwały, kiedy wchodziła jakaś klientka. Serce we mnie zamarło.

- Proszę, James, idź ty - powiedziałam. - Wejdę z tobą, ale nie chcę z nią rozmawiać. Nie zniosłabym, gdyby miała mi zrobić scenę.

- Zgoda - rzekł poważnie i skinął na stajennego, żeby zajął się końmi.

Na dźwięk srebrnego dzwonka nad drzwiami panna sklepową wyszła nam naprzeciw z ceremonialnym uśmiechem, który rozjaśnił się, kiedy rozpoznała Jamesa.

- Pan Fortescue! - zawołała. - Jakże się cieszę! I panna... panna Lacey! Poproszę panią Williams; będzie chciała obsłużyć państwa osobiście.

Odchyliła muślinową zasłonę i ostro zwróciła się do jednej z dziewcząt:

- Clarindo! Idź, proszę, po panią Williams. Powiedz jej, że pan Fortescue i panna Lacey są tutaj.

Pozostawiła rozsuniętą zasłonę i zauważyłam, że wszystkie szyjące tam dziewczyny wpatrują się we mnie. Miałam na sobie najstarszą pelisę narzuconą na najmniej wyszukaną suknię, ponieważ

314

nie chciałam wyglądać zbyt dostatnio podczas odwiedzin u Jimmy'ego. Spłoszowałam uzmysłowiwszy sobie, jak nędznie wyglądam w tym bogatym, wykładanym błękitnymi dywanami sklepie. Wiedziałam, że

moja suknia jest wilgotna i zabłocona, i strasznie się bałam, że wokół mnie unosi się zapach brudnego zaułka za Fish Quay.

Jakaś dama, której nie znałam, siedziała ze swoją córką w rogu sklepu na złoto-białym fotelu. Uniosła lornion i obejrzała mnie od zabłoconych bucików aż po kapelusik. Potem pochyliła się ku córce i szeptała coś, zasłoniwszy usta dłonią okrytą rękawiczką; obydwie się śmiały.

Pani Williams weszła bocznymi drzwiami cała w uśmiechach.

- Pan Fortescue, co za zaszczyt. Jak czuje się pani Fortescue? A co u pańskich sióstr? Proszę przekazać im moje uszanowanie.

James skłonił się.

- I panna Lacey! - dodała, usiłując nie dostrzegać błotnistych śladów pozostawionych przeze mnie na grubym błękitnym dywanie. - Jak miło widzieć panią znowu. Czym mogę pani dzisiaj służyć?

Zawahałam się i spojrzałam na Jamesa. Napotkałam jego spojrzenie.

Doznałam uczucia ulgi, że to jego głos dotrze do dziewcząt szyjących na zapleczu i to jego słowa zostaną przeniesione do każdej szwalni w Bath przez tę elegancką damę, która śmiała się z moich zabłoconych spódnic. Wystarczyło, że będę stać za nim i potakiwać, gdy on będzie zwracał rękawiczki.

- Panna Lacey ma do pani pewną sprawę - powiedział grzecznie James.

Odwrócił się do mnie, położył mi rękę na plecach i popchnął dość stanowczo do przodu. Wtedy cofnął się, zostawiając mnie oko w oko z panią Williams, która uniosła brwi, a uśmiech powoli schodził z jej twarzy.

Panna sklepowa wróciła za małe biurko służące za kontuar, a z przymierzalni wyszła inna, z drugą córką tej eleganckiej damy, wyglądającą bardzo pięknie w spacerowej sukni. Dama uniosła dłoń,

nakazując córce milczenie. Cały sklep zamarł w oczekiwaniu.

- Przyszłam, żeby to zwrócić - powiedziałam bez ogródek cichym głosem i wcisnęłam jej paczuszkę z na wpół wykończoną robótką.

315

Pani Williams zmarszczyła brwi i wręczyła paczuszkę ekspedientce. Jej rozpakowanie było najwyraźniej poniżej godności właścicielki sklepu.

Ekspedientka otworzyła zawiniątko, wyjęła rękawiczki i podała jej. Pani Williams popatrzyła na mnie z beznamiętnym wyrazem twarzy i czekała na wyjaśnienia.

- Przykro mi - powiedziałam - ale dziewczynka, która to robi, jest chora i już dłużej nie może pracować. Przyniosłam rękawiczki, żeby je zwrócić.

- To szalenie uprzejmie z pani strony - odparła lodowatym głosem pani Williams.

- Ona pochodzi z wioski w mojej posiadłości - wyjaśniłam nieco drżącym głosem. Niemal fizycznie czułam, że dziewczęta na zapleczu odłożyły swoje robótki i zgromadziły się przy wejściu, wpatrując się we mnie nieprzyjaznymi błyszczącymi oczami. - Poczyniłam przygotowania do jej powrotu do domu na wsi. Nie będzie już mogła pracować dla pani.

Pani Williams pochyliła głowę.

- Niestety ona ma dług wobec firmy - powiedziała głosem gładkim jak jedwab. - Powierzyłam jej w zaufaniu kilka cennych prac, które musiałam zwrócić do poprawienia. Nalegam na najwyższą jakość, ponieważ moi klienci są z najwyższej sfery. Niestety nie mogę zwolnić jej z kontraktu, dopóki nie spłaci swoich długów.

- Ile? - zapytałam.

Pani Williams westchnęła, tak jakbym sprawiła jej ogromny kłopot, a

młoda dama w spacerowej sukni zachichotała na głos. Matka spojrzała na nią i zakryła ręką usta, żeby ukryć własny śmiech.

- Pani Foster? - rzekła omdlewającym głosem pani Williams.

Ekspedientka zajrzała do ogromnej szuflady w biurku i wyciągnęła księgę rejestrową. Z wystudiowanym spokojem odwróciła jedną kartkę, a potem drugą.

- Nazwisko tej młodej osoby? - zapytała mnie.

- Rosie Dench.

Pani Williams spojrzała na damę i jej dwie córki.

- Moja droga lady Querry, proszę przyjąć moje przeprosiny za ten incydent. Wszystkich, którzy przychodzą w sprawach pracy, wpuszczam zazwyczaj wejściem dla dostawców i jedynie w umówionych terminach.

Panna Lacey wybrała wejście dla klientów,

316

podczas godzin otwarcia sklepu. Szalenie boleję nad tym, że muszę panią zaniedbać z powodu tej raczej skomplikowanej prośby. Czy mogę czymś jeszcze pani służyć?

- Chciałybyśmy zobaczyć szale - odparła lady Querry. Pani Williams skinęła na inną ekspedientkę, która przyniosła pudło pięknych haftowanych szali. Wiedziałam, że lady Querry i jej córki odwlekają odejście tylko po to, żeby zobaczyć moje zażenowanie. Rozejrzałam się. James zajął miejsce przy drzwiach i czekał na mnie, skrzyżowawszy ramiona. Wyglądał tak, jakby w ogóle nie miał ze mną nic wspólnego. Rzuciłam mu spojrzenie, jawnie błagając o pomoc, ale on tylko uśmiechnął się uprzejmie do mnie, tak jakbyśmy uzgodnili, że on jedynie podwiezie mnie do tego sklepu, gdzie miałam do załatwienia swoją

prywatną sprawę.

- Dench jest winna sześćdziesiąt cztery szylingi - odezwała się po chwili pani Foster. - A jeżeli zwraca te rękawiczki uszkodzone, to będzie, jak sądzę, osiem funtów i cztery szylingi.

- Uszkodzone! - krzyknęłam. - Są pięknie wyszyte i całe, brak jedynie wykończenia!

- Nie dokończoną robotę uważa się za uszkodzoną - powiedziała pani Foster, nie podnosząc oczu znad księgi. - Trudno jest, panno Lacey, tłumaczyć młodym roztrzepanym dziewczynom, żeby dokończyły prace, których się podjęły. Musimy stosować system kar, żeby wyrobić w nich dyscyplinę i odpowiedzialność. Mam nadzieję, że jest pani pewna, iż postępuje właściwie, ośmielając tę Dench do porzucenia pracy w taki sposób.

Westchnęłam i spojrzałam na Jamesa. A on obserwował przez okno swoje konie. Córki lady Query zdużyły chichot, pochylając się nisko nad pudłem z szalami.

- Zakończmy te roztrząsania, bo nie sądzę, żeby był po temu czas i miejsce - powiedziała pani Williams wyniośle. - To mnie zbyt rozstraja. Jestem napastowana w moim własnym lokalu, panno Lacey. Proszę mi wybaczyć, ale czy mogę panią prosić o przysłanie tej Dench wejściem dla dostawców z pieniędzmi za jej dług lub wykończonymi rękawiczkami? Ona już się z nimi spóźniła.

Z zaplecza dobiegł mnie wybuch śmiechu szwaczek.

- Czy życzyłaby pani sobie coś nabyć, panno Lacey? - zapytała gładko pani Williams.

Nie odezwałam się, ponieważ zaniemówiłam z niepohamowanego gniewu

i wstydu, które wywołał sposób, w jaki zostałam

317

potraktowana. Pani Williams skinęła na ekspedientkę Foster, która zatrzasnęła szufladę i wyminąwszy mnie z podniesioną głową, otworzyła przede mną drzwi.

Czułam, że twarz mi płonie. Lady Querry i jej dwie córki przestały używać szali jako pretekstu i otwarcie patrzyły na mnie. James podniósł się gotów do wyjścia, nie powiedziawszy ani słowa. Zrobiłam dwa kroki i wtedy odwróciłam się na pięcie.

- O nie! - powiedziałam gwałtownie i poczułam, jak znikają dobre maniery panienki z Bath. Nie byłam grzeczną młodą osobką. Byłam potomkiem Laceyów, byłam panną Lacey z Wideacre. A ta arogancka kobieta niewłaściwie traktowała jednego z moich ludzi.

- Nie tak załatwiam interesy - rzekłam ostro. - Przyszłam zwrócić te rękawiczki, które bez wątpienia wciśnie pani jakiejś innej biednej dziewczynie do wykończenia i sprzeda po lichwiarskiej cenie. Wzięłam na siebie kłopot, żeby tu przyjść i powiedzieć, że Rosie Dench już nie będzie tutaj pracowała. A gdybym miała odpowiednią władzę, to żadna dziewczyna nigdy by już dla pani nie pracowała. Płaci im pani stawki, które ledwie utrzymują je przy życiu; zmusza je pani do kupowania u siebie materiałów, karze je grzywną i obciąża długami, żeby nie mogły pracować gdzie indziej. Rosie Dench kaszle krwią w brudnej ciemnej norze, usiłując szyć dla pani rękawiczki. Więc proszę mi nie mówić, że zachowanie dobrego tonu jest tak ważne dla pani. Nie jest pani lepsza od madame w domu publicznym!

Lady Querry zareagowała na tę zniewagę zduszonym krzykiem, a pani

Williams wybiegła zza biurka do drzwi.

- Lepiej niech pani wyjdzie - wysyczała.

- Wychodzę - powiedziałam. - I nie zamierzam wracać. To samo dotyczy Rosie Dench. A jeżeli usłyszę choćby słowo o tym, że nazywa ją pani złodziejką, albo o tym śmiesznym długu, rozpowiem wszystkim, że niczym nie różni się pani od handlarza niewolników. Opowiem, w jakim stanie była Rosie, kiedy ją znalazłam. I powiem, że płaci jej pani pięć szylingów za najpiękniejsze wyroby, a sprzedaje je po pięć funtów. Będę to robiła dopóty, dopóki nie straci pani klientek. Będę to robiła tak długo, aż panią zrujnuję.

Przeszłam obok lady Querry siedzącej z otwartymi ustami i chłonej każde słowo.

318

- A kiedy będzie pani powtarzała to wszystkim swoim przyjaciółkom, droga lady - rzekłam jadowicie - proszę pamiętać, aby opowiedzieć im, że ich rękawiczki, ich pończochy i szale są haftowane w brudnych norach przez dziewczęta z gruźlicą, ospą i gorączką, że każdy cal bielizny, która bezpośrednio dotyka waszej skóry, trzymały dziewczyny z wrzodami na rękach. I że kupujecie to za pieniądze, których połowa pozwoliłaby im żyć w zdrowiu i sytości.

Obróciłam się w miejscu i pomaszero wałam w kierunku powozu.

Wspięłam się na siedzenie, wciąż trzęsąc się z gniewu, a w głowie nadal rozbrzmiewały mi słowa, które chciałam powiedzieć. Ku swojej wściekłości zobaczyłam, jak James wolno pokłonił się lady Querry, a nawet pani Williams.

- Życzę paniom miłego dnia - usłyszałam, jak mówi grzecznie, a potem

ruszył do powozu, wspiał się na kozioł i wziął lejce.

Nie odezwałam się, dopóki nie skręcił w lewo, w Gregory Street.

- Jak mogłeś tak po prostu siedzieć tam - zaczęłam wściekła. -

Powiedziałeś, że ty z nią porozmawiasz, a zostawiłeś mnie z tym wszystkim samą. Czułam się jak skończony głupiec; one wszystkie śmiały się ze mnie, a ty nic nie zrobiłeś, nic! A potem kiedy wychodziliśmy, życzyłeś im miłego dnia! „Życzę paniom miłego dnia”. Paniom! Jak mogłeś?

James poczekał, żeby przepuścić skręcającą dorożkę, zanim zjechał w Gay Street.

- Chciałem zobaczyć, jak sobie poradzisz - powiedział. - Chciałem zobaczyć, jak się z nią zmierzysz.

- Co?!-wrzasnęłam.

- Chciałem zobaczyć, jak sobie poradzisz, kiedy zostaniesz dziedziczką - powiedział.

Zatrzymał powóz, zsiadł z kozła i przeszedł na drugą stronę, by pomóc mi zejść. Odepchnęłam go i zeszłam sama. Gdybym mogła, rzuciłabym go na ziemię i przeszła po nim. Zrobiłabym to. Wydawało mi się, że jest integralną częścią tego nieczułego świata wyższych sfer, które śmiały się jak lady Querry. Nigdy, nigdy nie wybaczę mu tego: „Życzę paniom miłego dnia”. Wbiegłam szybko po schodach; kontur drzwi rozmazywał się w moich oczach zalanych łzami wściekłości. James sięgnął mi przez ramię i zastukał.

319

- Chciałem cię o coś zapytać - powiedział, kiedy czekaliśmy, aż Meg otworzy.

Rzuciłam mu jedno wściekłe spojrzenie, które miało go ostrzec, że cokolwiek powie, nie spotka się z przychylną odpowiedzią.

- Czy wyjdiesz za mnie, Julio? - rzekł. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

- Co powiedziałeś? - zapytałam.

- Poprosiłem, żebyś za mnie wyszła - powtórzył. Usłyszałam, że wewnątrz domu ktoś schodzi po schodach, żeby otworzyć frontowe drzwi. Wciąż gotowałam się z gniewu na lady Querry, panią Williams i jej ohydny sklep, dziewczyny sklepowe i tę całą niesprawiedliwość, nierówność, okrucieństwo świata wyższych sfer. Ale najbardziej byłam wściekła na Jamesa Fortescue, który obiecał mi, że porozmawia z panią Williams, a potem zostawił mnie samą, żebym zrobiła z siebie błazna przed najpopularniejszą modystką i największą plotkarką w Bath.

Meg otworzyła, złożyła głęboki ukłon i przytrzymała drzwi.

Odwrociłam się do Jamesa i podałam mu dłoń. Wciąż trzęsłam się ze złości i ręka mi drżała. Ujął ją i podniósł do warg, poczułam przez rękawiczkę gorący pocałunek, a w jego oczach dostrzegłam uśmiech.

- Nie gniewaj się na mnie - powiedział niepomny na Meg, ślepy na ludzi na ulicy, którzy przypatrywali się nam z ciekawością. - Nie gniewaj się. Chciałem zobaczyć, jak poradzisz sobie ze starą Williams. I chciałem, byś zrozumiała, że potrafisz to zrobić. A to dlatego, że będziesz musiała poradzić sobie z doktorem Phillipsem, a być może także z twoim wujem i kuzynem. Ale obiecuję, że ci pomogę, nie zostawię cię samej. Czy wyjdiesz za mnie, Julio?

Poczułam, że gniew wyparował ze mnie, zapomniałam, że przyglądają

nam się Meg i ludzie na ulicy. Podniosłam drugą rękę i pogłodziłam go po policzku.

- Tak - powiedziałam po prostu. - Tak, zgadzam się.

ROZDZIAŁ Szesnasty.

- Mama panienki jest w swojej sypialni - poinformowała mnie Meg. - Pytała o panienkę i pomyślała, że panienka poszła do doktora sama.

- Pójdę na górę - powiedziałam, wchodząc na schody.

- Pewnie usłyszała powóz - ostrzegła Meg. Odwróciłam się, by spojrzeć na nią. Śmiała się, pewna, że połączyła nas tajemnicza nić porozumienia.

- Dziękuję, Meg - powiedziałam ostro. - To wszystko. Poczekaj, aż złożę ukłon i wejdzie na kuchenne schody, zanim zapukałam do drzwi mamy.

Widać było, że jest chora. Nie sądzę, bym w dzieciństwie widziała ją chorą więcej niż dwa razy. Wyglądała na delikatną i wiotką, ale była silna i odporna. Omijały ją gorączki i przeziębienia, choć pielęgnowała Richarda i mnie podczas wszystkich dolegliwości wieku dziecięcego.

Ale teraz leżała w łóżku bardzo blada, czoło i ręce miała gorące i suche.

Rzucała się na poduszce, szukając chłodnego miejsca, by na nim położyć głowę.

- Leż spokojnie, mamó - odezwałam się, podchodząc do dzwonka. - Zamówię ci coś zimnego do picia i ciepłą wodę. Obmyję ci czoło i poproszę o sprowadzenie doktora.

- O, to ty - powiedziała z ulgą. - Długo byłeś dziś u doktora Phillipsa! Powinnam była jej wtedy powiedzieć, że zrobiłam sobie tego ranka wagary, ale ona wyglądała na tak osłabioną i chorą, że skłamałam.

Uniosłam ją, poprawiłam poduszki i ściągnęłam

z łóżka jeden z koców. Poprosiłam Meg o potrzebne rzeczy i posłałam gońca po najlepszego lekarza w Bath.

Przybył bardzo szybko i dokładnie zbadał mamę. Popatrzył jej w oczy i zapytał, jak się czuje. Uśmiechnął się uspokajająco i orzekł, że to lekka angina i że istotnie będzie się czuła bardzo źle przez tydzień lub więcej. Dał jej laudanum, zostawił też trochę na wypadek bólu i bezsenności oraz zalecił herbatę z cytryną i małą ilością brandy.

Po wyjściu doktora szybko napisałam liścik do Jamesa, prosząc, żeby jeżeli może, przyszedł do mnie z wizytą, i drugi do pani Densham, żeby przeprosić ją, iż nie możemy przyjść na dzisiejsze przyjęcie.

James pojawił się razem z posłańcem - usłyszał od niego, że moja mama jest chora.

- Zostaw to mnie - rzekł miękko. - Pójdę do Jimmy'ego Darta i reszty i przeprowadzę ich do zajazdu. Dam im trochę pieniędzy na życie i poproszę gospodynię z zajazdu, żeby sprowadziła doktora dla Rosie. Ty zostań tutaj i opiekuj się mamą; po drodze do domu wpadnę, żeby opowiedzieć ci, co działałam.

- O, dziękuję ci, James - powiedziałam i wyciągnęłam do niego rękę. - Wiedziałam, że to zrobisz. Cieszę się, że zainteresowałeś się nimi osobiście.

Uśmiechnął się.

- Interesuję się nimi - przyznał. - Ale sądzę, że bardziej interesujesz mnie ty, Julio Lacey. Czy twoja mama jest zbyt chora, by porozmawiać z nią o nas? Chciałbym zrobić to jak najszybciej.

- Żeby poprosić ją o zgodę na oświadczyńny? - zapytałam z wymówką. -

Wydawało mi się, że zostawiłeś to na trochę później!

Otoczył mnie ramieniem w talii i przyciągnął do siebie. Drugą dłonią ujął mnie pod brodę.

- Och, moje kochanie, jesteś bardzo, bardzo głupiutka - powiedział czule.

- Prosiłem twoją mamę o zgodę tydzień temu! Powiedziałem moim rodzicom, że poproszę cię o rękę, kiedy twoja mama dostanie wiadomość z Wideacre i wyrazi zgodę. Zeszłej nocy, kiedy odprowadziłem ją do dorożki, powiedziała, że ona oraz wuj John zgadzają się, tobie zostawiając decyzję przyjęcia mnie lub odrzucenia...

- Och, nic mi nie powiedziała. - Byłam zaskoczona.

322

- Cóż, chyba podchodzą do tego nieufnie - stwierdził James. - Chcą sprawdzić, czy ty potrafisz być zwykłą lady czy nie. I wszyscy oni myślą, że gdybyś mieszkała gdzie indziej, nie nawiedzałyby cię sny, wizje i straszydła. Pewnie sądzą, iż mnie odrzucisz.

- Jednakże nie wyobrażam sobie, że mogłabym porzucić Wideacre - rzekłam nagle, przestraszona myślą, że James chciałby, bym mieszkała w jego rodzinnym mieście, Bristolu.

- Dlaczego miałabyś je porzucić? - odpowiedział pytaniem James. Usiadł na sofie przy kominku i pociągnął mnie, żebym usiadła koło niego. - Dziedziczę znaczny spadek, który obejmę po moim ślubie. Dlaczego nie mielibyśmy wykupić części dworu należącej do twojego kuzyna i zamieszkać tam? Bawiłoby mnie życie wiejskiego dziedzica, gdyby Wideacre okazało się takie, jakim je opisywałaś!

- Nie możemy tego zrobić! - zawołałam na myśl o przywiązaniu Richarda do dworu i przypominając sobie z pewnym zażenowaniem starą dziecinną

obietnicę, że pobierzemy się i zamieszkamy razem.

- Jeżeli twój kuzyn troszczy się o inwentarz i gospodarkę, nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy zaoferować mu dobrej ceny za jego połowę - powiedział rozsądnie James. - Albo moglibyśmy sprzedać twoją część jemu. My zbudowalibyśmy sobie własny dom i farmę na twoim kawałku ziemi.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie.

- Zaplanowałaś to sobie - rzuciłam oskarżycielsko. Przyciągnął mnie jeszcze bliżej, aż wygodnie oparta o niego mogłam, patrząc w górę, uśmiechać się do jego ciepłych brązowych oczu.

- Oczywiście, że tak! - odpowiedział. - Nie uważasz chyba, że zamierzałem zamknąć moją śliczną dziedziczkę Julię w domu w mieście? Oczywiście, że chcę, byś zachowała Wideacre. I kupię je dla ciebie.

- A sny, wizje i strachy? - zapytałam cicho.

- Jeżeli oszalejesz, kochanie, ja natychmiast przeprowadzę się do Bedlam - powiedział stanowczo i przypieczętował zdanie delikatnymi pocałunkami złożonymi na moich policzkach, powiekach i nosie. - Dlatego właśnie, najśłodsza i najmądrzejsza, i najdzielniejsza, i najsprytniejsza, i najbardziej złoścząca się młoda kobieto, mam przyjemność całować cię, ponieważ twoja

323

mama jest chora i nie może dotrzymać nam towarzystwa jako przyzwoitka!

Skoczyłam na równe nogi wobec takiego oświadczenia, westchnęłam, poczerwieniałam, a potem roześmiałam się.

- O, to jest okropne - powiedziałam. - I ja jestem okropna, że siedzę tutaj z

tobą. A ty, Jamesie Fortescue, wcale nie jesteś dżentelmenem!

- Wiem - rzekł ponuro. - Handel, moje kochanie; zaledwie pierwsze pokolenie z dala od kontuaru, więc jeszcze załatuje sklepem!

- Rzeczywiście - powiedziała zdecydowanie. - Teraz idź i załatw moje sprawy. Nie przychodź do mnie więcej bez którejś z twoich sióstr.

- Ośmielałam się sądzić, że one będą mnie za to błogosławić - powiedział James, kiedy wypychałam go z pokoju. Za drzwiami w holu znalazłam Meg pracownicę polerującą stolik.

- Krzyknę przez dziurkę od klucza, że bezpiecznie ulokowałam dzieci z Acre - wyszeptał James. - Albo zaśpiewam o tym pod twoim oknem.

Wszystko, żeby tylko nie być z tobą sam na sam w pokoju. Czy przyjdiesz na kolację dziś wieczorem?

- Nie - odpowiedziałam, kiedy Meg zwlekała z przyniesieniem Jamesowi jego peleryny, kapelusza i rękawiczek. - Napisałam do twojej ciotki.

Zostanę w domu z mamą.

- Zatem pojedę do Clifton - postanowił James. - Zamienię słówko z papą. Będzie chciał się dowiedzieć, czy jego syn dołączył do grona drobnego ziemiaństwa.

- Drobnego! - wykrzyknęłam oburzona do głębi.

- Bardzo niewielka posiadłość - powiedział z uporem James - zaledwie posag. Tak uważam.

Zerknęłam na niego z ukosa.

- Nieźle, jak na syna kupca - przyznałam.

- Zupełnie nieźle - podsumował z satysfakcją. - Dziękuję ci, Meg - powiedział, odbierając od niej swój kapelusz, i wtedy zrobił krok do przodu, pocałował mnie w usta i już był za drzwiami. Zbiegł po schodach,

zanim mogłam wypowiedzieć słowo.

- Gratulacje, panienko - odezwała się Meg z szacunkiem, zamykając za nim drzwi. - Kucharka będzie zaskoczona.

I pobiegła do części kuchennej, zanim mogłam ją poprosić, żeby nie opowiadała nic nikomu, ponieważ nie powiedziałam

324

jeszcze o tym własnej mamie ani wujowi. Ani nie napisałam do mojego kuzyna.

Powinam była napisać o tym szczególnym dniu do wuja Johna i Richarda, ale mama zbudziła się ze snu tak rozgorączkowana i rozgrzana, że przesiedziałam z nią całe popołudnie. Zdołałam tylko posłać liścik do Ralfa Megsona mówiący o tym, że wyślę biedne dzieci z Acre do domu, gdy tylko otrzymam od niego potwierdzenie.

Czekałam na jego odpowiedź i pielęgnowałam mamę. Opuszczałam jej sypialnię tylko na kilka minut po to jedynie, żeby jeść posiłki lub odpocząć trochę po południu, kiedy Marianna albo pani Densham przychodziły z nią posiedzieć. James wpadał codziennie z kwiatami lub cudownymi owocami, niespotykanymi o tej porze roku. Stan mamy nie pogarszał się, więc nie napisałam do wuja Johna z prośbą o przyjazd. Ale jak uprzedzał doktor, ona rzeczywiście była bardzo chora.

W ciągu tych dni nauczyłam się kochać Jamesa. Każdego przedpołudnia przychodził z bukietem zarówno dla mnie, jak i mamy; jego rodzina przesyłała ukłony i ofiarowała każdą pomoc, która mogła uczynić chorobę mamy i moje obowiązki pielęgniarki lżejszymi. Miło było z nim przebywać, nie miewał humorów ani nie analizował swoich uczuć i myśli. James był tak szczery, otwarty i pogodny, jak kochane przez wszystkich

dziecko. Dobrze się o mnie troszczył. Dokuczał mi i śmiał się ze mnie; ale kiedy byłam zmęczona, prosił Mariannę, żeby zagrała nam na fortepianie. Mogliśmy wtedy siedzieć obok siebie na sofie w milczeniu. W te miłe popołudnia przyciągał mnie do siebie, bym mogła oprzeć głowę na jego ramieniu, a raz nawet tak zasnęłam.

- Chrapałaś - powiedział prowokująco, kiedy wychodził.

- Nigdy nie chrapię! - zaprotestowałam. - Nigdy! Zmrużył oczy w znajomym cudownym uśmiechu.

- Cóż, wkrótce się przekonam, prawda? - zapytał głosem tak miękkim i ciepłym jak pieszczoty. - Kiedy ty i ja będziemy spali w tym samym łóżku, każdej nocy naszego życia.

Poczułam, że moje policzki rozgrzewają się od rumieńców, ale wytrzymałam jego spojrzenie.

- Będzie mi się to podobało - powiedziałam uczciwie. James westchnął bardzo cicho, pochylił się, pocałował mnie delikatnie i już go nie było.

325

Za każdym razem kiedy przychodził, przynosił mi mały prezencik, bukiet kwiatów lub pojedynczą stokrotkę z jego ogrodu w Bristolu. Pewnego dnia przyniósł mi obręcz i kij.

- Pomyślałem, że moglibyśmy poćwiczyć trochę - powiedział niewinnie. I pomimo moich protestów zabrał mnie do parku i toczyliśmy obręcz po ścieżkach, osłabieni od śmiechu, ponieważ stare plotkary z Bath patrzyły na nas spode łba.

Za każdym razem kiedy odchodził, całował mnie. Całował ze skrupulatną starannością, najpierw czubki palców u obydwu rąk, potem obydwie

kciuki, a na końcu, delikatnie jak muśnięcie pędzla z piór, całował mnie w usta.

Za każdym razem z wyjątkiem jednego, kiedy Marianna zapomniiała torebki i musiała po nią wrócić. Podeszłam do okna, żeby pomachać im na dobranoc, i wtedy otworzyły się drzwi, a ja odwróciłam się zdumiona.

Przebył pokój kilkoma zamaszystymi krokami i bez słowa porwał mnie w ramiona. Obsypał moją twarz pocałunkami, a potem przywarł do mnie i łakomie chłonał zapach rozgrzanej skóry, łaskocząc oddechem moją szyję.

- Mój Boże, Julio - szepnął i odsunął się trochę. - Wybacz - powiedział zawstydzony. - Wystraszyłem cię?

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Wiedziałam, że jest zażenowany tym nagłym wybuchem namiętności w naszym wstrzemięźliwym, pełnym rezerwy życiu. Zaniepokoił się, ponieważ byłam prawdziwą panną z Bath, roztrzepaną i przepełnioną dziewczęcymi lękami. Zerknęłam na niego.

- Przestrasz mnie jeszcze raz - rozkazałam. Zachichotaliśmy.

- Rozpustnica - rzekł James z głęboką satysfakcją i uniósł moją brodę.

Patrzyłam prosto w jego brązowe oczy bez zmrużenia powiek. Gdyby chciał, mógłby mnie wziąć wtedy na tym grubym dywanie, w południowym blasku słońca.

- Julio Lacey - powiedział powoli - chcę, żebyś wiedziała, że tylko system przyzwoitek stoi pomiędzy tobą a całkowitą utratą honoru przeze mnie.

- Kochasz mnie miłością nieczystą? - zapytałam, dusząc śmiech czający się w moim głosie.

- Do głębi nieczystą - zapewnił mnie i pochylił głowę, szukając moich ust.

326

Staliśmy objęci przez długie minuty. Przyciskałam się do niego coraz

mocniej, tak że czułam go całym swoim ciałem. Smakował mój pocałunek, cicho pomrukując.

Za nami rozległo się pukanie do drzwi. Odsunęliśmy się od siebie bardzo wolno. Patrzyłam na Jamesa, na jego oczy pociemniałe od pożądania, na rozwichrzone włosy. Sięgnęłam ku głowie i próbowałam upiąć zabłąkany kosmyk. Żadne z nas nie było w stanie powiedzieć: „Proszę wejść”.

Drzwi otworzyły się z godną pochwały ostrożnością i Marianna wsunęła głowę.

- Moja torebka - zwróciła się do jakiegoś miejsca na dywanie pomiędzy nami - była w holu, znalazłam ją. Jestem gotowa do wyjścia. Jeżeli jednak sobie życzyacie, mogę być waszą przyzwoitką przed frontowymi drzwiami. Byłabym bardzo zobowiązana, gdybym mogła dostać jakiś dywanik i poduszkę na schodki, i może świecę, bo zbliża się noc.

James roześmiał się i wziął siostrę za rękę.

- Wybacz nam - powiedział. - Potraktowaliśmy cię niewłaściwie. Już jedziemy do domu. - Odwrócił się do mnie z uśmiechem. - Do jutra, Julio Lacey.

Opadłam na fotel przy oknie i oparłam głowę o żaluzje nie wiedząc, czy śmiać się czy płakać z zadowolenia, że jestem tak bardzo kochana.

Nareszcie tak bardzo kochana.

Mama dalej chorowała; szczególnie niespokojna była nad ranem. James chciał, żebym wynajęła pielęgniarkę na noc, i podjął się znalezienia odpowiedniej, ale cztery rozmowy przekonały go, że nie ma w Bath żadnej godnej zaufania.

- Doktor jest przekonany, że kryzys powoli mija, i będzie coraz lepiej - powiedziała mu. - Jestem pewna, że winne temu jest to okropne wilgotne

miasto. Gdyby mama była w Wideacre, od razu poczułaby się lepiej.

Potaknął. Ładna pogoda załamała się i dni, które spędzałam w domu, były mokre, mgliste i zimne.

- Fatalna pogoda - przyznał. - Dzięki Bogu, że wyciągnęliśmy małą Rosie z tej piwnicy, zanim się zaczęło.

James codziennie chodził odwiedzać czwórkę z Acre. Opowiadał, że radzą sobie zupełnie dobrze w swoich nowych kwaterach. Nat stopniowo staje się coraz bielszy, jakby lata brudzenia się sadzą schodziły pod wpływem gorliwych zabiegów toaletowych. Jimmy przybierał na wadze z dnia na dzień. Także Rosie,

327

choć nadal kaszłała, wyglądała lepiej i mogła przesiadywać w saloniku przez większość dni. Wydawało się, że tylko Julia nie może zaakceptować nowych warunków.

- Czy oni rzeczywiście rozumieją, dlaczego nie mogę ich odwiedzić? - zapytałam.

James skinął głową.

- Upewniłem się, że rozumieją - odpowiedział uspokajająco. - I wiedzą, że właśnie czekamy na odpowiedź z Acre, iż wszystko jest przygotowane na ich przyjazd.

Ta odpowiedź nadeszła następnego dnia, napisana niewyrobnym pismem Ralfa.

Przyślij ich do domu. Wszyscy tutaj chcą, żeby wrócili. I każdy błogosławi Cię za to, że ich znalazłaś.

Wracaj z nimi. Wracaj na czas siewów. Powinnaś wtedy być tutaj.

Pokazałam list Jamesowi.

- Nie jest człowiekiem, z którym można sobie pogawędzić, prawda? - powiedział z uśmiechem.

- I nie owija niczego w bawełnę - przyznałam, wskazując fragment zaczynający się: „Wracaj z nimi”. - To brzmi prawie jak rozkaz.

James przytaknął.

- Najlepsi służący są naszymi panami - powiedział lekko. - Mój papa ma szefa urzędników, który zupełnie samodzielnie prowadzi interesy. Gdyby wiedział, jak jest cenny, mógłby zażądać podwójnej pensji. Twój pan Megson wydaje się podobny.

Roześmiałam się.

- Pan Megson dokładnie wie, ile jest wart - powiedziałam, udając smutek.

- Jedynym powodem, dla którego nie domaga się królewskiej zapłaty jest to, że zależy mu na pracy w Wideacre. I pracuje dla dobra wsi. To on zaproponował system dzielenia się zyskiem i przekonał do tego wieś. Mój wuj John mawia, że gdyby mógł, poszedłby jeszcze dalej.

- Co to znaczy? - zapytał James.

- Och, nie wiem - odpowiedziałam.

Piliśmy razem herbatę w salonie, a Marianna wielkodusznie siedziała przy oknie, patrząc na przemian to na przechodniów, to na gazetę. James chwycił mnie za rękę pod obrusem stolika.

328

- Myślę, że chciałby, żeby wieś miała prawo do całej ziemi

- powiedziałam. - Z miejsca przydzieliliby im pola, które uprawialiby razem, tak jak dawniej.

James wydawał się tym nadzwyczaj zainteresowany.

- Nie on jeden myśli o takich sposobach. Czy ten system mógłby

funkcjonować?

- Mógłby - przyznałam ostrożnie - gdyby ziemia została oddana ludziom z zapalem do pracy, którzy mieliby przy tym fundusze, żeby kupić narzędzia i inwentarz, oraz wystarczającą ilość gotówki na wypłaty tygodniówek, zanim zyski będzie można dzielić. Pod takimi warunkami może funkcjonować. Ale oczywiście takie warunki nigdy nie występują. Żaden właściciel ziemski nie przekaze dobrej ziemi ani nie da w upominku pieniędzy komuś, kto chce uruchomić tak ogromne przedsięwzięcie.

- Powiem ci coś, Julio Lacey - powiedział James. Słuchałam ze zdwojoną uwagą. Kiedy nazywał mnie Julią Lacey, zawsze słuchałam uważnie. Było w tym coś bardzo miłego lub coś bardzo szokującego, albo w najlepszym razie - jedno i drugie.

- Powiem ci coś - powtórzył. - Ja mam takie fundusze i jeżeli powiesz mi, że ty i ja, a potem nasze dzieci, będziemy wiedli dostatnie życie w Wideacre, pod warunkiem że wioska otrzyma ziemię na własność, będę gotów ofiarować ten kapitał. Moglibyśmy zbudować własny dom i mieć udziały w wiosce i na dodatek nie byłibyśmy takimi dziedzicami, którzy powodują nędzę, jaką widzieliśmy w Fish Quay.

Zawahałam się.

- Nie - zaprzeczyłam. - To jest twoje dziedzictwo, nie moje. Nim zadecydujesz, jak je wydasz albo gdzie zechcesz zamieszkać, musisz zobaczyć Wideacre i wieś. Nie potrafię sobie wyobrazić, żebym była szczęśliwa, spędzając życie gdziekolwiek indziej. Ale ty i ja musimy uzgadniać takie rzeczy razem. To byłoby tak samo niesprawiedliwe wobec ciebie, gdybyśmy wszystkie nasze dni spędzali w Wideacre, jak byłoby niesprawiedliwe, gdybyś zabrał mnie do Bristolu i nigdy więcej nie

miałabym zobaczyć mojego domu.

James chwycił dzbanek z herbatą, parodiując ulicznego sprzedawcę.

- Zrobione - powiedział. - I pamiętaj o mojej propozycji. Mój papa nazywa mnie radykałem i jakobinem, ale ja nie zważam na takie etykiety.

Chcę- podążać za Francuzami w szczególnych

329

angielskich warunkach, i żeby skonstruować nowe społeczeństwo tutaj, tak jak oni próbują to zrobić u siebie. Chciałbym tego dokonać z tobą, ponieważ najmocniej pokochałem cię wtedy, kiedy w najmłodszym sklepie w Bath mówiłaś pani Williams, że jest gorsza od właścicielki domu publicznego. Przez całe życie byłem buntownikiem, ale teraz chciałbym zrobić coś pożytecznego, z myślą o przyszłości, a nie jedynie sprzeciwić się istniejącemu porządkowi.

- Wspaniale! - zawołałam i serce podskoczyło mi na myśl, że można stworzyć takie Acre, gdzie nie będzie panów i dziedziców, ale po prostu James, ja i nasze dzieci, Clara Dench, Matthew Merry i ich dzieci, i jeszcze wszystkie inne wiejskie dzieci żyjące po sąsiedzku.

- Wy dwoje trzymacie się za ręce ponad stolikiem tak samo dobrze jak i pod nim, więc nie mogę się oprzeć uczuciu, że moja obecność tutaj jest zbyt duża - zauważyła oschle Marianna.

Puściliśmy swe ręce i zachichotaliśmy jak para psotnych dzieciaków.

- Nic podobnego - powiedział James, podchodząc do okna, żeby pocałować ją w policzek. - Jeżeli chodzi o ciebie, to zawsze jesteś ozdobą towarzystwa. Powiedz nam, co dzisiaj odkrył doktor Phillips - poprosił, siadając obok i odbierając jej gazetę. - Julia musi jutro iść do niego pierwszy raz od wielu dni i zamierza powiedzieć mu, że rezygnuje z

dalszej kuracji. Potrzebna jest w domu, a poza tym radziła sobie doskonale bez wizyt u niego. Usiłuję upewnić ją, że jest równie normalna jak każdy i o wiele normalniejsza niż ktokolwiek, kogo poznałem do tej pory.

Marianna obdarzyła mnie nieśmiałym uśmiechem.

- Wyjąwszy twoją skłonność do mojego brata, całkowicie się zgadzam.

Doktor Phillips bardzo ciężko pracuje, żeby pomóc mi odżywiać się właściwie - powiedziała z powagą. - Nawet jeżeli czasami skłonna jestem uważać to za bardzo męczące. Nie mogę zaprzeczyć, że on jest bardzo drobiazgowy. Ja jednak pragnę, żeby po prostu zostawiono wszystko tak, jak jest. Jestem pewna, że gdybym znalazła się na bezludnej wyspie i była głodna, jadłabym cokolwiek. Mam problemy dlatego, że gdziekolwiek pójdę, ludzie wmuszają we mnie jedzenie i kiedy odmawiam, patrzą na mnie i dziwią się. Odkąd bywam u doktora Phillipsa i mama opowiedziała o tym swoim znajomym, jest jeszcze gorzej.

330

- Kiedy się pobierzemy i zamieszkamy w ziemskim raju w sercu Sussex, przyjedziesz i zostaniesz z nami. I niczego nie będziesz jadła! - obiecał James. - Zupełnie niczego przez wszystkie dni, aż poczujesz sama, że coś mogłoby cię ucieszyć. I nikt nie będzie na ciebie krzywo patrzył ani nagabywał.

Marianna westchnęła.

- Czekam chwili, kiedy będę waszym pierwszym gościem. Ale wybiegasz trochę za bardzo do przodu, James. Zaręczyny jeszcze nie zostały ogłoszone i nie sędzę nawet, żeby Julia powiedziała już o tym swojej mamie.

- Nie mogłam - odezwałam się. - Była taka chora, że nie chciałam jej

kłopotać. Natychmiast zaczęłyby planować przyjęcia i ślubne stroje. Chcę, by całkowicie wyzdrowiała, zanim rozpocznie taką kampanię.

- Tymczasem musisz być przyzwoitką, Marianno - powiedział James. - Czy masz jutro czas, by pójść z Julią do doktora Phillipsa? Mamy załatwić odesłanie tych biedaków z Acre po południu, a Julia uważa, że najpierw musi odbyć wizytę u doktora.

Marianna zgodziła się mnie eskortować, a potem wstąpić do zajazdu, żeby zobaczyć, czy cała czwórka jest gotowa do drogi.

- Czy chciałabyś, żebym poszedł z tobą do doktora? - wyszeptał cicho James, kiedy zegnaliśmy się w saloniku. Marianna powoli zawiązywała czepek przed lustrem w holu.

Zawahałam się. Kusiło mnie, by powiedzieć „tak” i poprosić o pomoc, której na pewno by mi udzielił. Ale zahartowałam się w ogniu walki z najpopularniejszą modystką Bath i sądziłam, że sama obronię się przed doktorem Phillipsem.

- Nie - powiedziałam. - Jutro mamy dużo spraw do załatwienia. Spotkam się z tobą w zajeździe na Fish Quay. Wtedy będę już wolną kobietą, ponieważ powiem doktorowi, że nigdy więcej do niego nie przyjdę. Powiem mu to prosto w oczy. Tylko tak będzie uczciwie, ponieważ poświęcił mi dużo czasu, starając się najlepiej, jak potrafił. Trochę się boję, ale nie sądzę, żeby było gorzej niż w sklepie pani Williams. Nie może mnie spotkać nic gorszego.

- Tam byłem bardzo pomocny! - wykrzyknął James. Wziął mnie za rękę i podniósł moją dłoń do ust, a drugą powiodł po swojej twarzy. - Myśl o mnie aż do jutra - szepnął - ponieważ ja nie mogę spać po nocach, dumając o tobie.

Pocałował mnie w usta, wybiegł do holu, porwał Mariannę i jeszcze raz przesłał mi uśmiech wychodząc.

- Czekam na ciebie jutro u doktora - zawołała Marianna. - Nie spóźnij się! Skinęłam głową.

Nie spóźniłam się, ponieważ o dziewiątej zatrzasnęłam drzwi wejściowe i zaczęłam biec w stronę wzgórza. I tak byłam przed Marianną. Lokaj wprowadził nas do zimnego salonu doktora Phillipsa, jak dwie muchy bliźniaczki do tłustego pająka, dokładnie pięć po dziewiątej.

Marianna zajęła miejsce przy oknie, gdzie zwykle siadała moja mama, a doktor Phillips poprowadził mnie do wygodnego fotela stojącego przy kominku. Ale nie usiadłam; stałam, opierając się jedną ręką o mebel, na którym jeszcze niedawno wyrzucałam z siebie swoje sny tak długo, aż prawie całkowicie je utraciłam.

- Przyszłam podziękować panu i pożegnać się - zaczęłam.

- Moja mama jest chora, ale gdy tylko będzie czuła się wystarczająco dobrze, żeby móc podróżować, chcę ją zabrać do domu. Jestem potrzebna w naszej posiadłości.

Doktor Phillips wszedł za ciężkie drewniane biurko, usiadł, odchylając się do tyłu w swoim fotelu, i spojrzał na mnie znad złożonych rąk.

- Sądzę, że byłoby to niemądhe - powiedział łagodnie.

- Niehozsądne. Czy konsultowała się pani z mamą? Nie? Czy napisała pani o tym do wuja? Nie? - Uśmiechnął się do mnie łagodnie. - Takie sphawy lepiej załatwiać przez hodziców lub opiekunów. Kiedy przyszła pani do mnie piehwszy haz, ciehpiała na skutek mnóstwa iluzji. Pozwalam sobie powiedzieć, że zhobiliśmy znaczne postępy. Myślę, że nie miewa pani

snów, odkąd do mnie przychodzi? Ani uczucia, że ktoś śpiewa w pani głowie? Ani halucynacji? - Sam sobie potaknął. - Myślę, że osiągnęliśmy wielki postęp. Oczekuję pani ponownie, kiedy jej mama poczuje się na tyle dobrze, by przyjść tu z panią. W przeciwnym wypadku powiadomię ją lub pani wuja.

- Nie - powiedziała spokojnie. To było gorsze od sklepu modystki, ponieważ nie pojawiła się fala gniewu, która dałaby mi pewność. - Nie - powtórzyła. - To jest decyzja, którą biorę na siebie. Nie mam zamiaru więcej do pana przychodzić. Powiem

332

panu dlaczego - oznajmiłam. Ręce mi się trzęsły, ale wepchnęłam je do mufki, żeby nie mógł tego widzieć. - Rzeczywiście powstrzymał pan moje sny i sądzę, że po jakimś czasie mógłby pan powstrzymać również te wizje. Ale gdyby się panu to powiodło, już nie byłabym Julią Lacey. Byłabym kimś innym. Nie wiem, czy tego chcę. Widział pan we mnie to, co chciał: głupią dziewczynę miewającą złudzenia. Ale ja wierzę, że jestem kimś niepowtarzalnym, że mam pewne unikalne doświadczenia - dar, jeśli pan woli - i że powinnam bronić ich przed rabunkiem tak, jak broniłabym swoich pieniędzy.

- Czy coś się stało? - zapytał ostro.

- Tak - przyznałam uczciwie. - W jednym z chłopców z pochodniami w Bath rozpoznałam dzieciaka z Acre. Tego, który został zabrany dziesięć lat temu. Nigdy go nie widziałam. Usłyszałam głos w swojej głowie mówiący: „Zabierz go do domu”. I zamierzam to zrobić.

Doktor Phillips nie ruszał się przez cały czas, ale jego spojrzenie nagle wystrzyło się.

- Mówi pani o sphaudzonym i zbadanym doświadczeniu nazywanym jasnowidzeniem? - zapytał.

Wzruszyłam ramionami, lekko się uśmiechając.

- Nie wiem - odparłam. - Nie dbam o to, jak się zwie. Dla mnie jest to coś naturalnego, jak fakt, że widzę kolor nieba i słyszę muzykę, kiedy ją grają. Nie można mi zabrać mojego widzenia i słyszenia tylko dlatego, że inni ludzie nie umieją tego nazwać.

Skinął głową i uniósł się zza biurka.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Ale pozwoli pani, że dam jej jedną hadę. Cokolwiek pani sądzi o jasnowidzeniu, może ono być przewodnikiem po pewnych miejscach i czasie. Ale nie może pani być jednocześnie jasnowidzem i młodą damą z Bath. Lepiej byłoby, gdyby kichowała się pani konwenansami i maniehami.

- Dziękuję - rzekłam, skłaniając głowę. Marianna podeszła do mnie.

- Ja również przyszłam się pożegnać - powiedziała cicho. Twarz miała napiętą i bladą, ale trzymała się dzielnie. - Dziękuję panu za to, co pan dla mnie zrobił, ale potrzebuję czasu, by przemyśleć swoją sytuację, bez konieczności tłumaczenia się.

333

Doktor Phillips znowu usadowił swoje tłuste ciało w fotelu i patrzył na nas obydwie.

- Cała moja kuhacja opieka się na tym, że pacjentki mówią o swoich kłopotach, wyrzucając je z umysłu - powiedział. - Osiągnąłem w tej dziedzinie znaczące sukcesy.

- Nie mam żadnych kłopotów z umysłem - odezwała się spokojnie

Marianna. - Moim problemem są rodzice. Mama jest nieszczęśliwa, a tata

źle ją traktuje. Widuję go jedynie w czasie posiłków i jestem tak zdenerwowana, że nie mogę jeść. Papa płaci panu, doktorze Phillips, honorarium, a pan nigdy nie chciał usłyszeć ode mnie tego prostego wyjaśnienia. Rozumiem, że pan mógł o tym nie wiedzieć. Nie widzę jednak absolutnie żadnego powodu, dla którego musiałabym udawać, że to wszystko jest z mojej winy oraz że mogę w jakiś sposób zostać wyleczona z tego, co jest skutkiem konfliktów w małżeństwie moich rodziców. Nie mogę jeść w domu, ponieważ tam czuję się nieszczęśliwa. Jestem nieszczęśliwa, ponieważ mój tato nie jest wierny mamie, a rodzinny obiad jest zwykle porą kłótni. Dlatego nie będę przesiadywać w pańskim fotelu, rozmawiać, płakać i obwiniać siebie.

- Tak - powiedziałam miękko, chociaż miałam ochotę krzyknąć „hurra” i cisnąć czepek w powietrze.

Doktor Phillips znowu wstał i popatrzył na nas nieprzyjemnie.

- Jeżeli takie mają być nowoczesne hadykalne kobiety, nie mogę powiedzieć, że bym odniósł dobre wrażenie - podsumował. - Możecie powiedzieć swoim mamom, że przedstawię końcowy rachunek i że ja, nie wy, kończę nasze dyskusje. Stwierdzam, że obydwie nie współpracujecie z lekarzem.

Zwalczyłam pokusę, by mu odpowiedzieć, i w milczeniu złożyłam głęboki ukłon. Potem podeszłyśmy same do drzwi, wyszłyśmy na mokrą ulicę i skręciłyśmy za róg w Gay Street. Dopiero wtedy podskoczyłyśmy, roześmiałyśmy się i pogratulowałyśmy sobie. Wdrapałyśmy się do dorożki i ruszyłyśmy w stronę zajazdu.

Zastałyśmy dzieci w wirze radosnego pakowania się. Wszystkie nowe rzeczy dostarczone przez Jamesa mogły zmieścić się w jednym małym

puddle, ale każdy miał swój pakunek, gdyż tak bardzo cieszyli się, że po raz pierwszy posiadają coś na własność.

334

Twarz Nata przybrała teraz naturalny kolor - tylko wokół oczu pozostały ślady po sadzy. Wyglądał bardzo elegancko w nowym ubraniu. Rosie Dench była nadal blada i chuda, ale wrzody wokół ust zniknęły i przestała kaszleć. Jimmy Dart uwijał się wokół obydwójga jak jaskółka z Bath, w ubraniu z brązowego samodziału. Nie mogłam w nich rozpoznać tej opłakanej małej grupki z owego brudnego pokoju. Ale nie widziałam Julii.

- Ona nie pojedzie - wyjaśnił Jimmy, pochmurniejac nagle. - Nie pojedzie z nami. Jest w swoim pokoju. Nie chodzi o to, że nie jest w stanie zejść na dół. Chce zostać w Bath. Właśnie nam to powiedziała.

Spojrzałam na Jamesa.

- Tak będzie lepiej - powiedział cicho. - Trudno byłoby jej uprawiać swój fach w Acre. I nie mogłaby sobie poradzić bez drinków.

- Jaki fach? - zapytałam zdumiona. - Nie zdawałam sobie sprawy, że ona pracuje.

James skrzywił się lekko.

- Zostaw to, Julio - powiedział. - Wyjaśnię ci później. Ona naprawdę nie chce opuścić Bath.

- Nie. Ona jest dzieckiem Acre. Moim obowiązkiem jest dowiedzieć się, o co chodzi. - Ignorując go odwróciłam się i wbiegłam po schodach do sypialni, którą Julia dzieliła z Rosie.

Leżała w łóżku całkowicie ubrana, twarzą do ściany. Zakratowane okno było zamknięte, ale i tak słyszałam hałas z zewnątrz; przejeżdżające powozy i pasażerów wydających dyspozycje, co zrobić z bagażem.

- Julio? - Zawahałam się.

Odwróciła się i napotkałam jej spojrzenie. Oczy miała zaczerwienione, płakała.

- Och, to ty - odezwała się.

- Jedź do Acre z pozostałymi - powiedziałam z determinacją. - Możesz teraz zejść na dół i pojechać z nimi dziś wieczór. Jedź do domu, Julio.

Usiadła i plecami oparła się o ścianę. Oczy miała twarde jak kamień z Wideacre.

- Nie mogę - powiedziała obojętnym głosem.

- Dlaczego nie? - zapytałam. - Czy istnieje jakaś przeszkoda?

- Nie - odparła cicho, jakby westchnęła.

335

- Zatem o co chodzi? - dopytywałam się. - Dlaczego nie pojedziesz do domu?

James zastukał do drzwi i cicho wsunął się do pokoju.

- Zapytaj jego - powiedziała znużonym tonem. - Zapytaj jego, nie mnie! Ty jesteś małą nieskazitelną panienką, Julią Lacey! Nie prosź mnie, żebym ci to wyjaśniała. Zapytaj twojego narzeczonego. Zapytaj go, za co płacą mężczyźni tacy jak on. Zapytaj go, dokąd chodzi i ile to kosztuje.

Odwrociłam się do Jamesa.

- O co chodzi? - zapytałam. Nie miałam pojęcia, o czym ona mówi.

James miał ponury wyraz twarzy.

- Czy nie można tego tu zostawić, zapomnieć i zacząć od nowa w Acre? - zwrócił się do niej.

- To jest mój zawód - rzuciła ostro. - Czy ta mała księżniczka pozwoli mi uprawiać mój fach w Acre? Czy tam będę miała klientów?

- Jaki jest twój fach? - zapytałam ją.

Czułam się niepewnie z powodu jej szorstkości i tej szczególnej złości skierowanej do mnie. Czułam jakieś osobiste porozumienie pomiędzy Jamesem i nią. I to mnie martwiło.

- Mała głuptaska - roześmiała się i skinęła na Jamesa.

- Powiedz jej.

- Ona jest prostytutką - rzekł wprost. - Dziwką.

- Tym właśnie jestem - powiedziała Julia do mnie. - Jestem ulicznicą, sprzedaję swoje ciało mężczyznom. Robiłam to, kiedy pracowaliśmy w fabryce, żeby małe dzieci mogły jeść chleb. Pierwszy raz zrobiłam to, kiedy miałam jedenaście lat. Bolało mnie i nienawidziłam tego. Jakoś jednak wytrzymałam, a teraz czasami nawet lubię to robić. To jedyny sposób, jaki znam, żeby zdobyć pieniądze na chleb i dżin. Gdybym nie sprzedawała mojego ciała

- och, wciąż od nowa i od nowa - przez całą tę męczącą drogę z Manchesteru dzieci umarłyby z głodu i straciłabym je wszystkie, tak jak małą Sally. Teraz możesz zabrać je do domu i zadbać o ich bezpieczeństwo. Ale ja nie mogę wrócić. Acre już nie jest moim domem. Potrzebuję dżinu i mężczyzn, którzy zapłacą za przyjemność, którą im daję. Jestem zgubiona, Julio Lacey. I chociaż noszę twoje imię, równie dobrze mogłam być niewolnicą na plantacjach trzciny, ponieważ między nami jest przepaść.

W głowie mi dudniło.

336

- Nie wiedziałam - powiedziałam do Julii, zdając sobie sprawę, że to nie jest usprawiedliwienie. - Nie wiedziałam, że takie rzeczy zdarzają się tak

młodym dziewczynom jak ty.

Roześmiała się chrapliwie.

- Zdarzają się! - wykrzyknęła. - O tak, zdarzają się. Takie dziwki jak ja umożliwiają takim pannom jak ty zachowanie dziewictwa aż do chwili, gdy sprzedadzą je w dniu ślubu. Ile lat ma twój mężczyzna? Czy on jest niewinny? Głupiutka Julio Lacey! Sypia z dziwkami. Bywał u takich jak ja. Chodził do nich, żeby z tobą tańczyć, spacerować, całować cię po rękach i spokojnie czekać na noc poślubną, która może nastąpić za parę lat. Czy nie jest tak?

Wpatrywałam się otępiała w Jamesa.

- Byłeś z takimi kobietami? - zapytałam bardzo cicho.

- Tak - przyznał. - To prawda, nie zaprzeczam. Mam dwadzieścia cztery lata i sypiałem z prostytutkami. Nigdy nie wyrządzałem im krzywdy, zawsze dawałem im więcej pieniędzy, niż żądały. Jestem normalnym mężczyzną, który potrzebuje kobiety. Co powinienem robić twoim zdaniem?

Zawahałam się.

Julia, dziewczyna kupowana i sprzedawana jak mięso w Smithfield, patrzyła to na jedno, to na drugie z nas twardym wzrokiem. I

uświadomiłam sobie, że mężczyzna, którego kocham, jest jednym z posiadaczy, którzy biorą przyjemności i zaspokajają swoje potrzeby, nigdy nie płacąc za to w pełni.

- Nie wiem - powiedziałam.

Rozległ się długi głośny dźwięk trąbki powozu za oknem, ostrzegający pasażerów, że postój się skończył. Natychmiast przypomniałam sobie o wyprawie do domu.

- Jedziesz do Acre - zwróciłam się do Julii. Leżała na brzuchu z głową znów odwróconą do ściany.

- Nie - powiedziała, a w jej głosie usłyszałam przeciągane głoski, tak jak mówi się w naszym rodzinnym Sussex. - Jestem zgubiona. Niech oni jadą, daj im pracę i jakiś kąt. Dla mnie jest za późno. Zniszczyli mnie Laceyowie, fabryka, tani dżin i brak pracy. Jestem zgubiona. Nie zobaczę cię nigdy więcej.

Podeszłam niepewnie i położyłam jej rękę na plecach. Strząsnęła ją, jakbym była żebraczką.

- Jeżeli jeszcze raz mnie dotkniesz, wybuchnę płaczem - powiedziała opryskliwie. - Wynoś się z mojego pokoju, Julio

337

Lacey, i zabieraj swojego mężczyznę. Albo zostaw go tutaj. W dzień biorę tylko szylinga.

Otworzyłam torebkę, wyciągnęłam wszystkie pieniądze, które miałam - trzy gwinee - i położyłam na poduszce obok rozczochranych miedzianych włosów. Potem nie patrząc na Jamesa, wyminęłam go i zeszałam na dół do saloniku.

Nie było mi łatwo uśmiechać się, mówić „do widzenia” dzieciom i obiecywać im, że wynajęty powóz przyjedzie po nie dokładnie o drugiej po południu i że zobaczę się z nimi za kilka tygodni w Acre. Myślę, że ich oszukałam swoimi uśmiechami. Ale nie Mariannę.

- Co się stało? - zapytała szeptem, kiedy wychodziliśmy z salonu na mokre kocie łby.

- Nic - powiedziałam. - Julia nie chce jechać do domu i to mnie martwi. Muszę wrócić do mamy. Wezmę dorożkę.

Ruszyłam w kierunku dorożkarza, ale James chwycił mnie pod ramię.

- Julio - odezwał się niepewnie. Czekałam w milczeniu.

- Mam nadzieję, że nie myślisz o mnie zbyt źle - powiedział załamującym się głosem. - To prawda, że mężczyźni chodzą do takich kobiet, ja też to robię. Wystarczająco dobrze zdajesz sobie sprawę, że wszystko w naszym świecie zdąża do coraz wyższej ceny. To prawda. Wszystko w tym świecie jest na sprzedaż. Nawet młode dziewczęta. - Wpatrywał się we mnie badawczo. - Jesteś mną rozczarowana - dodał spokojnie.

- Tak. Jestem! - powiedziałam w nagłym przypiływie złości. - Myślałam, że jesteś inny. Myślałam, że nie jesteś jednym z tych, którzy źle traktują biedotę. Nie ma ceny za ciało kobiety! Nie ma ceny za jej upodlenie.

Pomagałeś doprowadzać do upadku dziewczęta. Żadna z nich nigdy nie będzie mogła wrócić do domu, zupełnie tak jak Julia. Żadna z nich nigdy nie będzie mogła wyjść za mąż, jak ona. Nie wiedziałam, że takie rzeczy się zdarzają. Nie byłabym w stanie wyobrazić sobie, że możesz brać w tym udział.

- Nie jestem bohaterem, Julio - wyszeptał James. - Jestem zwyczajnym mężczyzną, bardzo zwyczajnym, ośmielam się stwierdzić. Nie możesz stawiać mi tak wysokich, nadludzkich wymagań. Ani mnie, ani nikomu innemu. Jestem taki sam jak nasze czasy.

338

- No cóż, pewnie tak - przyznałam z ogniem w głosie. - Nie uważałam cię za herosa, ale myślałam, że jesteś kimś wyjątkowym, naprawdę wyjątkowym. A teraz... - urwałam. Nie mogłam mówić z powodu łez ściskających mi gardło. - Wszystko się popsuło - powiedziałam jak małe dziecko.

James objął mnie i poprowadził w kierunku dorożki.

- Nie mów tak - powiedział łagodnie. - Nie wierzę, żebyś tak myślała, ale dotknęło mnie to do żywego. Nie mów tak ostatecznych rzeczy, zanim ich nie przemyślisz.

- Nie wiem. Nie wiem, co myśleć. Pojadę teraz do domu i napiszę do ciebie list.

Skłonił się przede mną tak oficjalnie, jakbym była mu obca. Odwrócił się do Marianny i poprowadził ją do swojego powoziku. Paplała i śmiała się, a ja widziałam, że i on czyni wysiłki, by się uśmiechać. Domyśliłam się, iż Marianna opowiada mu, że już nie będzie odwiedzała doktora Phillipsa. Pomachała mi, kiedy mijali moją dorożkę. A James patrzył na mnie. Patrzył na mnie, jakbym była statkiem wypływającym z portu i oddalającym się od niego.

Zaciągnęłam firanki i ukryłam twarz w dłoniach. Nie płakałam.

Westchnęłam tylko rozczarowana moją miłością i tęsknotą i zastanawiałam się, dlaczego świat, który my posiadacze urządziliśmy tak, by był dla nas wygodny, czasami daje tak mało radości.

ROZDZIAŁ Siedemnasty.

Poprosiłam Jamesa o czas na zastanowienie się, ale właściwie go nie miałam. Kiedy dorożka dowiozła mnie do Gay Street, ujrzałam nasz własny podróżny powóz czekający przed domem z otwartymi drzwiami; wynoszono do niego bagaże mamy. Na stoliku w holu zobaczyłam trzcinową laskę i okrągły szary kapelusz wuja Johna. A w sypialni mamy, na jej łóżku, siedział on sam.

Mama oparła się o poduszki i owinęła szalem. Włosy splecione w warkocz opadały jej na plecy. Wyglądała tysiąc razy lepiej, niż kiedy zostawiłam ją

rano.

Wuj John otrzymał moje dwa listy, jeden mówiący o tym, że mama czuje się trochę źle i że wezwałam doktora, a potem drugi zawiadamiający, że jej stan jeszcze się nie poprawił.

- Oczywiście, że musiałem przyjechać - rzekł. - Czy zdajecie sobie sprawę, ile wynosi honorarium lekarza w Bath? Celio, będziesz musiała wrócić do domu, a ja cię wyleczę za darmo.

Mama roześmiała się ochryple.

- Nie możemy jechać - powiedziała. - Sezon towarzyski jest w pełni, poza tym Julia ma zamówione wizyty u doktora Phillipsa.

John spojrział na mnie.

- W takim razie powinna zostać ze swoimi przyjaciółmi i kontynuować kurację u doktora Phillipsa - oznajmił.

Uniosłam się z krzesła przy łóżku mamy, podeszłam do okna i zaczęłam się bawić sznurem od zasłon.

- Skończyłam z doktorem Phillipsem - przyznałam się. Rzuciłam szybkie spojrzenie na mamę. - Powiedziałam mu o tym dziś rano.

340

John wstał. Był zwrócony do mnie profilem, nie mogłam więc odczytać wyrazu jego twarzy.

- Dlaczegoż to? - zapytał cicho. - Mama pisała, że rezultaty jego pracy są bardzo dobre.

Potrząsnęłam głową.

- Nie miał dobrych wyników w moim przypadku - zaprzeczyłam chłodno.

- Przekonywał mnie, że to, co widzę i słyszę, nie ma sensu, żadnego sensu.

Ale nie potrafił udowodnić, iż to naprawdę się nie zdarza.

Wuj John skinął głową.

- Nie mógł udowodnić, że ty naprawdę tego nie doświadczasz - powiedział uczciwie. - Ale, Julio, sama wiesz, iż takie rzeczy się nie zdarzają i musisz przyjąć, że to, co uważasz za prawdę, jest tylko iluzją!

- To się dzieje w moim umyśle! - rzuciłam w przyływie złości. - Jeżeli coś widzę i słyszę, to nie mogę pozwolić, by ktoś wmawiał mi, iż jest inaczej!

John miał srogi wyraz twarzy.

- Nie sprzeciwiaj się, Julio - powiedział ostro. - Twoja mama i ja uzgodniliśmy, że jeżeli nie zostaniesz wyleczona z iluzji podczas tego pobytu, będzie lepiej, żebyś nie wracała do Wideacre. Zamieszkas w domu doktora Phillipsa do czasu pełnego wyzdrowienia.

Westchnęłam i popatrzyłam na mamę z prośbą o pomoc. Siedziała pochylona do przodu, twarz miała białą jak koronki, którymi obszyta była pościel, ale nie unikała mojego spojrzenia.

- Nie, John - odezwała się bardzo cicho. - Pamiętam, że powiedziałam to w Wideacre dzień po burzy, kiedy sądziłam, że Julia jest całkiem rozstrojona. Ale obserwowałam ją w Bath w towarzystwie jej rówieśników. Opowiadała mi także, w jaki sposób odnalazła zaginione dzieci z Acre; wcześniej widzieliśmy, jak uratowała chaty, które miały ulec zniszczeniu. Ufam jej i wierzę w nią. Jeśli ona uważa, że doktor Phillips jej nie pomaga, nie musi się z nim widywać.

- Boisz się, że odziedziczyła dziwactwa Laceyów - wyszeptał John. - Obawiasz się Beatrice.

W pokoju zapadła martwa cisza, jakby samo wymówienie tego imienia mogło przywołać ją, czarownicę z Wideacre, nawet do tego wynajętego

domu w Bath.

341

- Julia jest moją córką, ja ją wychowałam - powiedziała spokojnie mama.

Jej twarz poszarzała. - Wróci do domu z nami.

- Julio, twoja przyjaciółka, panna Fortescue, również chodzi do doktora Phillipsa, prawda? - John zwrócił się do mnie.

- Na pewno widzisz, że jej to pomaga.

- Wcale nie - powiedziałam. - Ona również zrezygnowała. Sprawiał, że czuła się źle. Sprawiał, że ja się źle czułam. Mógłby wyleczyć mnie ze snów i wizji, ale jedynie przez zniszczenie mnie, zmianę mojego prawdziwego „ja”.

John już miał odpowiedzieć, ale mama lekko uniosła się z łóżka.

- Nigdy nie przeciwstawiłam się twoim decyzjom, John

- powiedziała - ale teraz to zrobię. Wybacz mi.

Dwoma susami znalazł się przy niej i otoczywszy ramionami jej plecy, położył delikatnie na poduszki.

- To ja powinienem prosić o wybaczenie - rzekł. - Źle zrobiłem, męcząc cię tą rozmową. Wybacz mi, Celio. Julia jest twoją córką i do ciebie należy ostatnie słowo w jej sprawie.

Popatrzył na mnie.

- I ty mi wybacz, Julio - dodał. - Dobrze wiem, co to znaczy zostać oskarżonym o szaleństwo. Usiłowałem tak postępować jedynie w trosce o ciebie. Czy życzysz sobie pojechać z nami do domu? Albo może wolisz zostać z twoimi przyjaciółmi w Bath?

- Pojadę do domu - odparłam. Nie chciałam, żeby wpakowano mnie do radosnego hałaśliwego domu Denshamów, z Jamesem w pobliżu.

- Dobrze, więc wracamy razem - zgodził się. - Zawieziemy twoją mamę bezpiecznie do domu i zobaczymy, jak to będzie, kiedy tam się znajdziecie.

Uśmiechnął się do mnie.

- Nie zaprzeczam, że twój powrót jest mi na rękę. Richard trzy tygodnie temu wrócił na uniwersytet, a pan Megson potrzebuje drugiej pary rąk przy gospodarowaniu. Ja niezbyt się na tym znam. Jeżeli jesteś szczęśliwa, Julio, i czujesz się dobrze, to właśnie tego obydwójce z mamą pragniemy.

- Tej nocy, kiedy wieżyczka spadła... - zaczęłam.

Wuj John zeszywniał i spojrzał na mnie. - ...to było prawdziwe widzenie. Jestem jasnowidząca.

Wzruszył ramionami i lekko się uśmiechnął.

342

- Bardzo dobrze - powiedział. - Przypuszczam, że muszę to zaakceptować. Dopóki nie będzie rozsądniejszego wyjaśnienia.

- I musisz zaakceptować mnie - naciskałam. - Obojętnie, czy wyglądam jak Beatrice czy nie, czy jestem zwyczajną dziewczyną czy nie.

- Tak - powiedział po prostu. - Muszę.

I tak pojechałam do domu w Wideacre. Wuj John nie na darmo prowadził spółkę swojego ojca w Indiach. Wiadomość, że życzę sobie podróżować w konwoju z wynajętym dla biedaków z Acre powozem, przyjął jako najbardziej oczywistą rzecz na świecie. Przypomniał mi tylko, abym zawiadomiła ich, że wracamy razem. Bagaże mamy były już spakowane i załadowane; kiedy weszłam do sypialni, Meg pakowała już moje rzeczy. Wuj chciał, żebyśmy zaraz wyruszyli i przenocowali w Salisbury. Na następną noc mieliśmy się zatrzymać w Winchesterze, a następnego dnia

znaleźć się w domu.

Sprawdziłam, czy Meg pamiętała o moich koronkach, które były u praczki, potem zeszłam do salonu, żeby napisać list do Jamesa. Mało miałam mu do powiedzenia, ponieważ nie podjęłam jeszcze żadnej decyzji. W końcu napisałam w pośpiechu jedną linijkę mówiącą, że przyjechał wuj John zabrać mamę i mnie do domu i że napiszę do niego z podróży lub z domu. Gdybym miała jakiś pretekst, by zatrzymać nas tutaj o dzień dłużej i porozmawiać z nim jeszcze raz, zrobiłabym to. Ale wuj John wszedł do salonu, kiedy pisałam list, i powiedział, że martwi się o zdrowie mamy. Chciał, żeby wróciła bezpiecznie do Wideacre i jak najszybciej znalazła się w otoczeniu swoich rzeczy i oddanych służących, gdzie on sam zatroszczy się o nią.

Dokończyłam więc list szybko i wysłałam gońca do domu Denshamów. Powinnam znać go lepiej. Kiedy zeszłam na dół, podtrzymując mamę, James już był przy drzwiach powozu i rozmawiał z wujem. Odwrócił się i gdy tylko dostrzegł mamę, natychmiast znalazł się przy niej, pomógł jej wejść do powozu i okrył pledem. Potem stanowczo wziął mnie pod ramię i odciągnął na bok.

- Wybacz mi, że przybyłem bez zaproszenia - powiedział. Napięcie w jego głosie sprawiło, że zabrzmiało to oficjalnie.

Skinęłam głową, z rozszerzonymi oczyma oczekując tego, co miało nastąpić.

343

- Ona ma rację - przyznał zawstydzony. - Wszyscy mężczyźni pożądamy, kobiety zresztą również. Tylko dziewczynie wychowywanej na damę nie wolno zaspokajać swojego pożądanego. Myślę, że oboje wiemy, iż nie jest

ono mniejsze.

Spróbowałam zaprzeczyć.

- Nie w ten sposób - powiedziałam.

James złapał mnie za rękę i mocno przytrzymał.

- Nie mówię, że z mężczyznami jest inaczej. Chodzi mi o to, że świat jest w tym względzie łaskawszy dla mężczyzny, który pragnie kobiety.

Miałam zaciętą twarz; patrzyłam w dal.

- Nie potrafię znieść myśli, jak ona jest traktowana - powiedziałam. - Nie potrafię zrozumieć, jak można usprawiedliwiać traktowanie drugiej istoty ludzkiej, młodziutkiej dziewczyny, w taki sposób.

- Bardzo zawiniłem - wyszeptał. - Wybacz mi, że próbuję się tłumaczyć przed tobą. To nic innego tylko uczucie, które do ciebie żywię. Byłem nauczony - myślę, że wielu mężczyzn jest tak wychowywanych - żeby traktować to jak apetyt, który trzeba zaspokoić, że pożądanie syci się tak samo jak głód. Wysłuchaj mnie - nalegał. - Teraz uważam, że jest to niewłaściwe. Spróbuję postępować jak kobieta, jeżeli to w ogóle jest możliwe. Chcę, żeby moje serce i pożądanie szły jednym szlakiem. Nie będę kochał jednego, a pożądał drugiego. Jeśli przebaczysz mi ten jeden raz, będzie to już ostatni.

Spojrzałam na niego twardo, chociaż oczy miałam wypełnione łzami.

- A gdybyś dowiedział się, że byłam bezwstydną, czy wtedy łatwo byś mi wybaczył? - spytałam gorzko. - Gdybym powiedziała ci, że popełniłam błąd, ale więcej tego nie zrobię?

James zawahał się. Jego wewnętrzna uczciwość walczyła z pokusą skłamania i wygrania sporu. Uśmiechnął się smutno.

- Mam nadzieję, że zdawałbym sobie doskonale sprawę, że nie twoja

przeszłość, ale przyszłość mnie obchodzi - odpowiedział. - Jestem pewien, że świadomość, iż byłeś z innym mężczyzną, byłaby okrutna. Ale jestem także pewien, że próbowałbym zrozumieć. Czy ty spróbujesz mnie zrozumieć?

Nie odpowiedziałam. Stara smutna mądrość z Wideacre odezwała się we mnie cicho i wiedziałam, bez względu na wynik tej rozmowy, że beztrioskie radosne dni z Jamesem już nie wrócą.

344

- Tak - powiedziałam. Ale wiedziałam, że ta obietnica jest bez znaczenia. Czas naszych zalotów minął.

Rozchmurzył się natychmiast. Pochylił się i pocałował najpierw moją dłoń w rękawiczce, a potem ucałował gorącą skórę nadgarstka, gdzie puls uderzał szybciej pod jego dotykiem.

- Dziękuję ci. Nie zapomnę tego.

Dalej staliśmy, nie odzywając się przez chwilę. Ręce Jamesa drżały.

- Mógłbym upaść ci do stóp i płakać - wyszeptał nieśmiało. - Byłem tak przerażony, że mnie porzucisz.

Uśmiechnęłam się, ale moje oczy pozostały smutne. Czułam, że nie ujrzę go nigdy więcej.

- Zobaczę, czy można coś zrobić dla Julii - powiedział.

- Jest młoda i mogłaby mieć przed sobą jakąś przyszłość. Kiedy odjedziesz, poproszę o pomoc ciotkę Densham. Ty zaopiekujesz się dziećmi. Napisz do mnie, gdy tylko wrócisz do domu, i pamiętaj - jeżeli będziesz mnie potrzebowała, poślij po mnie, a natychmiast przyjadę. Już miałam skinąć i powiedzieć „tak”. Miałam powiedzieć jak każda zakochana, że on również może posłać po mnie, jeżeli będzie mnie

potrzebował, i że nic nigdy nas nie rozdzieli. Ale milczałam. Światło wokół mnie zaczęło szarzeć i wydawało mi się, że głos Jamesa dochodzi z oddali. Nagle poczułam się przeraźliwie samotna, jakbym była na świecie zupełnie sama i nie miała nikogo, kto mógłby zatroszczyć się o mnie. Byłam całkowicie pewna, że James nie przyjedzie, choćbym nie wiadomo jak go potrzebowała.

- Co się dzieje? - zapytał. Jego głos był bardzo cichy.

- Czy widzisz coś, Julio?

Zamrugałam.

- Nie - powiedziałam. Wrażenie, którego doznałam, odsunęło się ode mnie jak latarnia z tyłu podskakującego na drodze powozu. Niczego nie widziałam na pewno.

- Poślesz po mnie, kiedy będziesz mnie potrzebowała?

- powtórzył.

- Tak - odparłam, ale wiedziałam, że tego nie zrobię.

- I wiesz, że przyjadę.

- Tak - powtórzyłam. Ale wiedziałam, że on nie przyjedzie. John zawołał z powozu:

345

- Przepraszam, Julio, niech pan wybaczy, panie Fortescue, ale musimy jechać.

Zawróciliśmy i podeszliśmy do powozu. James pomógł mi wsiąść.

- Nie mówię: żegnaj - powiedział mi przez okno. - Mówię: niech cię Bóg błogosławi do czasu, kiedy znowu cię zobaczę.

Uśmiechnęłam się do niego, chociaż byłam bliska łez. Czekałam, aż powóz ruszy i on zniknie mi z oczu, zanim szepnęłam bardzo smutno i

bardzo cicho:

- Żegnaj, James, mój kochany. Żegnaj.

Mieliśmy przyjemną podróż. Dzieci czekały na nas przed Fish Quay Inn w wynajętym powozie, a my nawet nie zatrzymaliśmy się, by je pozdrowić.

Pomachałam im przez okno, one zrobiły to samo - widziałam trzy rozpromienione twarze - i powóz ruszył za nami drogą na wschód.

Wygodnie podróżowało się z wujem Johnem. W powozie było ciepło od szali i koców, a mama i ja miałyśmy gorące cegły pod stopami. Kiedy zatrzymywaliśmy się, by wymienić konie, podawano nam do powozu gorące napoje. A podczas dwóch nocnych przystanków mieliśmy prywatny salonik z jasnym ogniem płonącym w kominku. I nawet mama śmiała się, widząc dziecięce twarze nad ogromnymi porcjami jedzenia i komfort ich pokojów.

Ostatniego poranka, kiedy wuj regulował rachunek, wyszłam na zewnątrz, żeby zamówić powóz na końcowy etap podróży. Jema Denchu wypełniało poczucie własnej wartości. Przekomarzał się ze stajennymi, skarżąc się na wygląd poprzedniego zaprzęgu. Popatrzyłam - mnie wydawał się w porządku. Nad naszymi głowami rozpościerało się czyste błękitne niebo i świeciło słońce, ale na horyzoncie widać było śnieżnobiałe lśniące obłoki, które zwiastowały śnieg.

Przez hałas stajennego podwórka i skrzypienie kół wjeżdżającego powozu przebił się śpiew tak wysoki, że przewyższał krzyki nietoperzy. Jakby była to niebiańska muzyka, w której istnienie nikt już nie wierzy. Wydawało mi się, że dźwięk zrodził się w chmurach na wschodzie, tam gdzie był mój dom. Brzmiał jak odgłos promieni słonecznych ześlizgujących się w dół, by mnie ogrzać na tym małym brudnym podwórku. Wepchnęłam ręce

głębiej w futrzaną mufkę i oparłam się o drzwi gospody. Wideacre mnie wzywało.

346

Jakaś kobieta w powozie popatrzyła na mnie dziwnie, mierząc mnie uważnym spojrzeniem, jakie napotykałam w Bath.

Od kiedy wyjechałam z Wideacre, urosłam, a ciastka z Bath sprawiły, że nabrałam nieco ciała. Byłam teraz tak wysoka jak mama. Dostałam buty na obcasach i nauczyłam się również w nich chodzić! Co więcej, podczas długich tygodni w mieście nauczyłam się pewnej postawy i elegancji oraz poczucia tego, co mama nazwała „arogancją Laceyów”. I to poczucie kazało mi nosić głowę wysoko bez względu na to, co się ze mną działo.

Uśmiechnęłam się grzecznie do tej damy i zawołałam na Jema, że jesteśmy gotowi do odjazdu. Podjechał do mnie, a mama z Johnem wyszli na podwórko.

- Cudowna pogoda - powiedziała mama, kiedy powozy wytoczyły się na gościniec.

- Tak, ale jutro może padać - dodałam. - Albo może nawet już pada w Wideacre.

Ziemia zamarzła i stwardniała w nocy. Jem sugerował, żeby przejechać przez wzgórza gorszą drogą do Petersfield, i posłuchaliśmy go. Mieliśmy rację, podejmując to ryzyko. Mróz utwardził błoto i zostaliśmy wynagrodzeni za odwagę przejażdżką przez najpiękniejsze okolice Anglii: granicą między Hampshire i Sussex. Najpiękniejsze było oczywiście Sussex.

Bukowe żywopłoty wokół wielkich domów zachowały liście, które przybrały teraz kolor liści laurowych lub fioletu. Trawa pod nimi była

biała od szronu i każda mała gałązka, która zwisała nad drogą z rosnących przy niej drzew, była sztywna od lodu i wyglądała jak doskonałe dzieło sztuki. Pod kamiennymi mostami widzieliśmy śliczne zamrożone strumyki, ale było wystarczająco ciepło, żeby dzieci mogły się bawić na wiejskich błoniach. Krajobraz przypominał okolice mojego domu, a rozmiary strumyków, widok lodu i kierunek wiatru mówiły mi, jak jest teraz w Wideacre. Ziemia musi być sucha i twarda od mrozu, Fenny pewnie wypełniła swe koryto. Będzie można znaleźć zaciszne miejsce i wystawić twarz na zimowe słońce.

Zjechaliśmy po stromym zboczu do Midhurst. Hamulce zgrzytały, koła ślizgały się. Jem klął pod nosem. W miasteczku domy stały tak blisko siebie, że kiedy przejeżdżaliśmy pomiędzy nimi, bat zawadzał o ściany. Był dzień targowy, ruchliwy i gwarny. Handel skupiał się na rynku zastawionym kramami. Zerknęłam na ceny pszenicy i zobaczyłam, że są niskie - był to nieomylny znak

347

dużych zapasów kupców i zapowiedź przetrwania reszty zimy. Jak zwykle kręcił się tu tłum poszukujących pracy; niektóre twarze były ściągnięte i blade z głodu. W jednym z rogów placu skupiła się grupa zsiniałych z zimna żebraków w brudnych łachmanach. Kilka kroków dalej twarzą do ziemi leżał robotnik pijany do nieprzytomności. Widziałam dziury w jego butach, kiedy przejeżdżaliśmy obok.

Za miasteczkiem wspięliśmy się na strome wzgórze drogą wiodącą do Chichester. Czułam, że serce bije mi odrobinę szybciej, pochyliłam się i wyjrzałam przez okno, jakbym chciała wchłonąć przez skórę całe Wideacre, za którym tak długo tęskniłam. Śpiew w mojej głowie był jak

głos dzwonu wzywający do domu. Powóz, jadąc wolno, zatoczył koło i skierował się w dół, w kierunku Acre. Była to mała odległość i teraz nie spieszyłam się, ponieważ po jednej stronie miałam drzewa Wideacre, a po drugiej tutejsze pola; byłam w domu.

Wuj John uśmiechnął się do mnie.

- Wyglądasz jak zwycięzca wyścigu - powiedział. - Ktoś mógłby pomyśleć, że sama powoziłaś. Wydaje mi się, że wraz z przybyciem tutaj spadł ci kamień z serca.

- Tak - odparłam z uczuciem. - Jak dobrze być w domu. Skręciliśmy w bramę; wychyliłam się i pomachałam dzieciom Hodgettów, które wyskoczyły na drogę, potem podjechaliśmy pod Dower House i aż krzyknęłam z radości, że wracam.

- Teraz - powiedział wuj John - mam niespodziankę dla ciebie, Celio! Zobacz, jak ciężko my mężczyźni pracowaliśmy, żeby posprzątać dom na twój powrót!

Mamie zaparło dech. Rzeczywiście zaszła tu przemiana. Odkąd wuj John przyjechał ze swoją fortuną, mama kupowała drobiazgi, żeby uczynić dom bardziej komfortowym. Ale wuj dokonał cudu. Stare meble, które były naszym stałym długiem wobec Havering Hall, zniknęły, a małe dywaniki tłumiące echo w domu i chroniące przed zimnem wyrzucono. Na ich miejscu leżały lśniące nowe dywany ze sprężystej wełny, a na nich stały pięknie wykonane meble tekowe i mahoniowe w odcieniu głębokiego brązu.

- To czary! - krzyknęła mama.

Wuj John szeroko otworzył drzwi do salonu i pokazał nam odmieniony pokój. Ściany były czyste, pomalowane na blado niebiesko, odświeżone

gipsowe gzymsy lśniły bielą. Na błyszczących

348

deskach podłogi leżał gruby biały dywan, pod ścianą stał nowy okrągły stolik i cztery krzesła. Ulubiony fotel mamy był na zwykłym miejscu, ale zmieniony nie do poznania. Stare obicie zastąpił aksamit, który pokrywał też inne fotele i siedzenia przy oknach. Z tego samego materiału uszyte były zasłony.

- Podoba ci się? - dopytywał się wuj, wpatrując się w zachwyconą twarz mamy. - Wybór tych kolorów był zadaniem iście diabelskim. Kłóciliśmy się ustawicznie, czy nie napisać do ciebie, by o to zapytać. Ale ja chciałem sprawić ci niespodziankę.

Mama nie mogła wykrztusić słowa. Tylko kiwnęła głową.

- Ale zobacz bibliotekę! - zawołał wuj John z chłopięcym entuzjazmem i wyciągnął ją z pokoju.

Przez całe moje dzieciństwo biblioteka stała pusta. Nie mieliśmy książek, by wypełnić półki, jedynie kilka podręczników, książek dla dzieci i powieści, które mama otrzymywała z Towarzystwa Czytelniczego w Chichester.

Teraz wszystko się zmieniło. Ściany jaśniały czerwienią tłoczonej marokańskiej skóry. Na środku pokoju stał nowy, wielki politurowany stół, a za nim ciężki fotel. Po obydwu stronach kominka stała para foteli i małe stoliki w zasięgu ręki.

- To jest mój pokój - powiedział z dumą John. - Ale możecie przeglądać książki, jeżeli zapukacie przed wejściem i będziecie bardzo cicho w mojej obecności.

- Nie wierzę własnym oczom - wyszeptała mama słabym głosem. - John,

musiałeś wydać fortunę! I to wszystko w tym czasie, kiedy Julia i ja kupowałyśmy sukienkę za sukienką w Bath, opłacałyśmy kwatery, zajmowałyśmy się wydawaniem przyjęć i nie wiem czym jeszcze!

- Wiedziałem, że błędem było pozwolić ci jechać samej - powiedział ponuro. Potem, widząc, że mama jest naprawdę zmartwiona, uścisnął ją szybko i rzucił wesoło: - Moja droga, mamy mnóstwo pieniędzy; z samych tylko środków na życie mogłabyś utrzymywać jeden dom w mieście, a drugi na wsi.

Mama uśmiechnęła się i usiadła na jednym z nowych krzeseł.

- Dość tego! - powiedział wuj John. - Przepisuję chorej ciepłe łóżko i odpoczynek aż do obiadu, który zostanie podany do pokoju. Marsz na górę!

- Pójdę z tobą, mamó - zaproponowałam. - A potem zabiorę dzieci z Acre.
349

- Oczywiście - wtrącił wujek. - Ośmielam się jednak zauważyć, że należałoby zmienić suknię. W tej jesteś już, och, cały ranek!

- Tak, rzeczywiście - powiedziałam. - I jutro muszę zamówić kilka innych. W czasie gdy tu stoję, ta, którą mam na sobie, zaczyna wychodzić z mody. Wuj John roześmiał się. Potem odprowadziłam mamę do łóżka. Wydawała się zadowolona, że się w nim znalazła. Weszłam na górę do mojego pokoju, do pokoju dzieciństwa i dorastania, gdzie chowałam się przed Richardem, kiedy był na mnie zły.

Okno wychodziło na tylny ogród, wybieg dla koni i sad biegnący w kierunku wysokiego horyzontu nad wzgórzami. Zapadł zmrok i słońce zaszło, pozostawiając po sobie tylko smugi różowych i fioletowych chmur rozciągających się na zachodzie. Nisko na niebie ukazała się lodowato

zimna gwiazda skrząca się jak płatek śniegu.

Otworzyłam okno, oparłam łokcie o parapet i rozejrzałam się. Na tle cienistego nieba wzniesienia wyglądały jak gęsta wełna czarnych owiec. Ledwie dostrzegłam zamgloną smugę bieli, którą stanowił kredowy grzbiet wzgórza Acre opadający ku wiosce. Powietrze było bezwonne i zimne. Poczułam zbliżający się nocny przymrozek. W oddali dwa razy zahukała sowa.

Gdybym kiedykolwiek miała poczuć bliskość Beatrice, mogło to być właśnie wtedy. W całkowitym bezruchu i ciszy czekałam na jej przybycie. Czekałam, marznąc strasznie w nowej sukni, i wzywałam ją, by przyszła. Wzdychałam cicho i czekałam na dreszcze, które oznaczały, że przechodzi obok mnie, lub na brzęczenie w głowie, które zapowiadało jej nadejście, albo na przyływ niewytłumaczalnej bezmyślnej radości, która sygnalizowała, że stałam się nią.

Nic. Nic się nie wydarzyło.

Nie wstrząsnęły mną dreszcze, nic we mnie nie zanuciło, żaden sen na jawie nie pojawił się. Nie biegały wokół mnie żadne zjawy. Byłam spokojna. Samotna. Wpatrywałam się w niebo nad ziemią Beatrice, oświetloną przez rąbek wschodzącego księżyca. Pojednałam się ze sobą i z jej duchem. Nie przychodziła do mnie rozmyślnie. Nie nawiedzał mnie niespokojny duch. Słyszałam jej głos, kiedy chciałam. Miałam jej siłę, kiedy nie mogłam sobie poradzić sama. Była tu, żeby mi pomagać.

Zamknęłam okno.

*

350

Bath zawiodło nadzieje całej rodziny, jeżeli chodzi o wpływ na mnie.

Mama chciała, żebym w pełni stała się jej córką. Wuj John chciał, żebym wyleczyła się ze złych skłonności Laceyów, a Richard pragnął, żebym została domatorką poświęcającą się ziemi. Wszyscy sądzili, że jestem nawiedzona, opanowana przez ducha.

Bath nie wyleczyło mnie z tego. Bath nauczyło mnie, że to nie jest choroba, że głos Beatrice w mojej głowie jest darem, a nie straszliwą przypadłością. Nauczyło mnie, że mogę żyć na ziemiach Beatrice i być dumna, że jestem jej spadkobierczynią, że potrafię uniknąć jej błędów i będąc tutaj, dobrze sobie poradzę. Bath nauczyło mnie również, że jestem młodą odważną dziewczyną, która potrafi dawać i brać miłość. Odłożyłam na bok moje przeczucia co do Jamesa; powiedziałam mamie, że go kocham i wyjdę za niego. Zarówno ona, jak i wuj John byli zadowoleni i dumni. Nic więc nie stało na mojej drodze do szczęścia. Nie miałam żadnych powodów do obaw.

Wyjęłam z torebki małą drewnianą sowę Ralfa i położyłam na stolyczku nocnym. Sowa Ralfa, sowa Beatrice, moja sowa. Postawiłam ją przy łóżku, symbol Beatrice i Ralfa, który był również moim.

Rozejrzałam się po pokoju, by upewnić się, że jest bez zarzutu, i wyśliznęłam się na schody, drobiąc małymi kroczkami z powodu wąskiej sukni.

Dzieci były w kuchni, opróżniły talerze z kromek chleba z masłem i kończyły pić herbatę.

- Są gotowi do jazdy do Acre - oznajmiła pani Gough.
- Przygotowali wam powitanie naprzeciw kościoła, obok plebanii.

Siedzieli wokół stołu z promieniejącymi twarzami.

- Czy chcielibyście już pojechać? - zapytałam.

W odpowiedzi stołki załomotały o kamienną podłogę, kiedy je odsuwali i stawiali na miejsce.

- Dziękujemy pani za herbatę - powiedziała Rosie do pani Gough, patrząc na innych. Nat i Jimmy potaknęli, złapali swoje czapki i wybiegli z kuchni, jakby nie żalowali, że odchodzą. Szli za mną od frontowych drzwi, gdzie nałożyłam czepek, aż do powozu.

- To jest droga do starego dworu Wideacre - objaśniłam.

- Może go pamiętacie. Tam są bramy ze stróżówkami. Na prawo

351

jest droga do Londynu oraz gościniec do Chichester, ale my skręcimy w lewo do Acre.

Patrzyli szeroko otwartymi oczami na świeżo zaorane pole, teraz mocno pokryte szronem, i na strzelające w górę gałęzie drzew owocowych.

- A to jest Acre - powiedziałam. - Rosie, po twojej lewej stronie jest chata Denchów, którą pamiętasz...

Nagle rozległ się przeraźliwy dźwięk jakiegoś ogromnego bębna i piskliwe dźwięki szalonej kobzy. Brzmiało to tak, jakby nadchodziło tysiąc Szkotów.

- Cóż na Boga... - zaczęłam.

Powóz zatrzymał się raptownie. W okienku zajaśniała twarz Ralfa i on sam otworzył drzwi.

- Witajcie! - zawołał. - Witajcie w domu, dzieci! Witaj, Julio, dziękuję, że je przywiozłaś.

Dzieci wyskoczyły, zanim opuszczono schodki, a Ralf podał mi dłoń, pomagając mi wyjść za nimi. Całe Acre wyległo na ich powitanie. Na błoniach było ogromne ognisko. W pobliżu rozłożono stoły zjedzeniem.

Dwaj kobziarze nadymali policzki i wyglądali jak klowni. Hałaśliwą muzyką witali powrót dzieci do domu, a Matthew Merry wybijał rytm na bębnie.

- Ralf-powiedziałam z uśmiechem, ale bliska łez. - Och, Ralf! Czuję się, jakbym całe życie spędziła daleko stąd!

Na oczach całego Acre Ralf przyciągnął mnie do siebie i uściśnął tak, że straciłam oddech, po czym wyszeptał mi do ucha:

- Julio Lacey, jesteś kochaną dziewczyną, a ja nigdy nie myślałem, że mogę być tak uradowany.

- Panie Megson! Panno Lacey! - dobiegł nas jakiś głos ponad hałasem kobz i bębna; Ralf puścił mnie, ale bez pośpiechu. Przed nami stał pastor Pearce. - Doprawdy, panno Lacey - powiedział z dezaprobatą. Ale potem nie mógł się powstrzymać i też się uśmiechnął. - Och, Julio! Dobra robota!

- zawołał, wziął moje obydwie dłonie w swoje i przyciągnął do siebie, żebym ucałowała go w obydwie policzki.

Zobaczyłam przez jego ramię, że ludzie z wioski witają swoje dzieci.

Rosie stała otoczona rodziną Clary Dench. Dzieci szczególnie fascynowały nowa suknia i płaszcz przyrodniej siostry. A blada matka Clary z dzieckiem na ręku ścisnęła Rosie i płakała, że znowu ma ją w domu. Rodzina Brewerów ścisnęła Nata

352

i ubolewała nad ciemnymi smugami wciąż widocznymi na jego skórze.

Tylko mały Jimmy stał samotnie. Nie miał tu już nikogo. Ralf podszedł do niego i otoczył go ramieniem.

- Jestem Ralf Megson - usłyszałam jego łagodny głos. - Bardzo potrzebuję młodego człowieka do pomocy. Bystrego, takiego, co nie jest głupcem.

Czy sądzisz, że byś się nadał?

- O, tak - zapewnił Jimmy, wpatrując się intensywnie w Ralfa. - Tak, proszę pana. Jestem odpowiednim pomocnikiem dla pana, sir.

Ralf skinął głową i lekko klepnął chłopca po plecach.

- Jesteś przyjęty. A teraz biegnij do stołu! - zawołał głośno.

Kobzy umilkły, jakby zostały wygłuszone opadającą kurtyną. Matthew odłożył swój bęben i podszedł do mnie.

- D-d-dobrze zrobione, Julio! - powiedział, uścisnął mnie i pocałował. Nie wiadomo skąd pojawił się Ted Tyacke i porwał mnie w swoje ramiona tak gwałtownie, że zrzucił mi czepek.

Wszyscy ruszyli do stołów, zasiedli na stołkach i wyczekująco patrzyli na bramę plebanii. Wyszła stamtąd Clara niosąca zapaloną pochodnię.

Skinęła na Jimmy'ego Darta.

- Rozpal ognisko - poleciała z uśmiechem. - Już nie masz tutaj krewnych, ale każdy z nas jest twoją rodziną. Zbudowaliśmy to dla ciebie, dla was trojga, żeby powitać was w domu ciepłym ogniem i dobrym jedzeniem.

Witajcie w domu! Witajcie w Acre!

Jimmy wysunął się do przodu. Jego twarz o ostrych rysach przybrała poważny wyraz. Z namaszczeniem wziął pochodnię od Clary i podszedł do ogromnej sterty drewna. Była polana smołą i pod dotknięciem płomieni rozbłysła z głośnym trzaskiem, tak że Jimmy odskoczył i cisnął pochodnię w ogień.

Clara odwróciła się i objęła mnie.

- Cała i zdrowa? - zapytała.

Wydawało mi się, że całe życie upłynęło od naszego spaceru po oświetlonym światłem księżycy ogrodzie, kiedy tak bardzo obawiałam się

opuszczenia Wideacre, a jeszcze bardziej pozostania.

- Cała i zdrowa - potwierdziłam. - Wszystko u ciebie w porządku, Claro? Jej uśmiech był uśmiechem zadowolonej kobiety, która jest kochana i wie o tym.

353

- Aha - powiedziała. - Chodź, usiądziemy i opowiesz mi wszystko o Bath. W gęstniejącym zmierzchu rozjaśnionym światłem ogniska wszyscy bawili się na błoniach Acre. Świątowali, ponieważ mieli swoje dzieci z powrotem w domu, ponieważ byłam kochana przez dobrego człowieka, ponieważ byłam kochana przez całą wieś i ponieważ byłam z Laceyów. Znowu na swojej ziemi.

Mama chorowała jeszcze przez następne tygodnie. Jako że pogoda była mroźna aż do połowy marca, cieszyłam się, że może przebywać w domu przy ciepłym kominku. Radowałam się widząc, jak kolory wracają jej na policzki.

Ja również byłam zadowolona, chociaż całe dni spędzałam jeżdżąc konno; wracałam do domu przemarznięta do kości i przemoczona. Nie mogłam nacieszyć się Wideacre. Pobyt w Bath, James i rozstanie z nim - to wszystko oddalało się coraz bardziej, jak historia nie z mojego życia. Pewnego dnia wróciwszy do domu, zastałam wujka Johna i mamę w salonie, przypiekali bułeczki przy kominku, rozmawiając z dużym ożywieniem. Zamilkli na mój widok, wymieniając porozumiewawcze uśmiechy.

- Nie dręcz jej dłużej - powiedziała mama, kiedy domagałam się wyjawienia tajemnicy. - Powiedz jej o swoim dzisiejszym gościu.

- No dobrze - rzekł wuj John. Śmiał się z mojego zaciekawienia. Podszedł

do okna i stanął za fotelem mamy. - Zgadnij, kto przyjechał mnie dzisiaj odwiedzić?

- Burmistrz Londynu! - rzuciłam bez namysłu.
- Nie - powiedział wuj John. - Ktoś ważniejszy.
- Thomas Paine.
- Nie - zaprzeczył wuj John. - Ale równie radykalny.
- Ktoś, kogo znam? - zapytałam.
- Ktoś, kogo dobrze znasz. Bliski znajomy. Poczerwieniałam trochę i usłyszałam, jak głośno bije mi serce.
- Ktoś z Bath? - zapytałam najostrożniej, jak potrafiłam.
- Tak - powiedział wuj John.
- Czy to była Marianna Fortescue? - zapytałam, usiłując go zmylić.
- Nie bądź pensjonarką, Julio - odparł wuj John.
- Czy to był James?

354

Mama roześmiała się i zaklaskała w dłonie.

- Tak - powiedział wuj John. - Przyjechał swoją kariolką z parą koni, ale nie mógł zostać na obiad. Załatwiał coś dla swojego ojca w Londynie. Z jakiegoś nieznanego mi powodu stwierdził, że najszybsza droga z Londynu do Bristolu wiedzie teraz przez Chichester.

Zarumieniłam się aż po nasadę włosów.

- Co mówił? - zapytałam. - Jak wygląda? Dlaczego nie posłałeś po mnie? Czy widział chociaż kawałek Wideacre? Czy powiedział, że mu się podoba?

Wuj John strzelił palcami, by przerwać pytania.

- Po pierwsze: powiedział, że chce się z tobą ożenić, że kocha cię i chce natychmiast zabrać się za wszystkie formalności związane z małżeństwem.

Po drugie: dla mnie to on wyglądał wystarczająco dobrze.

- Wyglądał na zmartwionego, że nie zastał cię tutaj - dodała mama. - On cię naprawdę kocha, Julio.

Skinęłam głową i opuściłam wzrok na ręce złożone na kolanach.

- Po trzecie - wyliczał pedantycznie wuj John - nie posłałem po ciebie, ponieważ mógł się zatrzymać tylko na godzinę, a nikt nie miał zielonego pojęcia, gdzie możesz być. Po czwarte: zobaczył trochę Wideacre, ponieważ podwiózł mnie do Acre. Poznał Ralfa Megsona i zobaczył wieś. Pytał o dzieci z Bath, ale one wszystkie wyjechały do pracy, z wyjątkiem Rosie Dench, która uwiesiła mu się na szyi, błogosławiąc go jak swego wybawcę. Po piąte, i chyba to jest najważniejsze, powiedział mi, że rozmawialiście poważnie o wprowadzaniu systemu podziału zysków. Przygotował się do wyłożenia na to pieniędzy. Jeżeli się pobierzecie, to chciałby mieć swój wiejski dom w Wideacre.

- Och - powiedziałam tonem nie wyrażającym żadnych uczuć.

Mama wyciągnęła do mnie ramiona, a ja upadłam przed nią na kolana i uściskałam ją mocno.

- O, moje kochanie. Tak się cieszę - szepnęła miękko. - Rzeczywiście jesteś szczęśliwą dziewczyną.

- Tak - wyznałam. - O, tak. Mama pogładziła mnie po włosach.

- Ale, ale - powiedziała niezdecydowanie. - Kiedy zamierza wracać?

355

- Musi zatrzymać się w Londynie na dwa dni - odpowiedział wuj John. - Potem popłynie statkiem do Belgii. Interesy jego ojca rozszerzają się na

Europę i James musi zrobić coś w rodzaju objazdu. Obiecał, że będzie do ciebie pisał, ale nie może ci podać adresu zwrotnego. Powiedział, że będzie z powrotem za osiem lub dziewięć tygodni. W tym czasie prawnicy jego ojca i moi przygotowują wasze ślubne kontrakty. Termin ślubu masz wyznaczyć sama.

Natychmiast wyprostowałam się.

- Tak szybko jak to możliwe - powiedziałam.

- Nic z pensjonarki... - orzekła mama, uśmiechając się do Johna.

- Nic - przyznał.

- Będziesz potrzebowała przynajmniej dwóch miesięcy, żeby uszyć suknie, a potem będzie trzeba wybudować dom - powiedziała mama. -

Nawet jeśli chcecie wziąć cichy ślub poza domem, wciąż jeszcze pozostaje dużo do zrobienia. Gdzie ma się odbyć ślub, Julio? W Bath? Czy może w Bristolu?

- Tutaj - odparłam bez chwili zastanowienia. - Tutaj jest nasz kościół parafialny, a przyjęcie może odbyć się na błoniach. Tutaj, gdzie zamierzamy mieszkać i być zawsze szczęśliwi.

Uśmiechałam się, kiedy to mówiłam, ale dziwny zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Wszystko dobrze się składało. James wróci z Belgii i przyjedzie prosto do mnie do Wideacre. Znajdziemy dobre miejsce na wybudowanie naszego domu - w myślach miałam już z tuzin takich miejsc! - i pobierzemy się. Nie było żadnych przeszkód, ponieważ obydwie rodziny były przychylnie temu związkowi. Więcej, była to idealna partia! Pieniądze z Bristolu i ziemia z Sussex. Wiedziałam, że w osobie Jamesa daję wiosce pana gotowego poświęcić swój czas i pieniądze na wprowadzenie w życie systemu, który Ralf i ja już zaplanowaliśmy na

daleką przyszłość. Nie było niczego, co mogłoby mnie niepokoić!

A jednak w głębi serca obawiałam się, że to nigdy nie nastąpi.

ROZDZIAŁ Osiemnasty.

- Piszę list do Richarda - powiedziała do mnie mama tego wieczoru. - Czy chcesz, żebym mu napisała o twoich planach?

- Tak - zgodziłam się. Rzeczywiście był czas po temu. Pisałam regularnie do Richarda z Bath, ale on nigdy nie odpisywał. Jego praca we dworze i we wsi była wystarczającą wymówką.

Potem pojechał na uniwersytet. Od wuja Johna dowiedział się o moich nowych przyjaciółach z Bath i o Jamesie Fortescue. Nie wiedział jednak, jak daleko zaszły sprawy między nami.

Byłam zakochana i roztargniona. Byłam szczęśliwa i nie wierzyłam, że ktokolwiek mógłby mi zazdrościć takiego szczęścia. Otwarta wrogość Richarda przed moim wyjazdem do Bath wydawała się należeć do przeszłości. Byłam wtedy wystraszona i rozbita, wydawało mi się, że cały świat spiskuje przeciwko mnie. Teraz obydwójce byliśmy dorośli, a ja byłam zaręczona. Czułam, że mogę być wspaniałomyślna dla Richarda i wybaczyć mu paskudne zachowanie. Napisałam więc serdeczny liścik, w którym wyraziłam pewność, że wiem, jaki będzie szczęśliwy, usłyszawszy wiadomość o moim planowanym ślubie z Jamesem Fortescue.

Wspomniałam, jak cieszy mnie rzecz bardzo ważna - mój ukochany zobaczył i polubił Wideacre, i chce tutaj zamieszkać.

Nie pisałam dużo o Jamesie, bowiem chciałam, żeby on i Richard zostali przyjaciółmi. Nawet w tym euforycznym nastroju pamiętałam, że mój kuzyn zawsze chce się znajdować na pierwszym miejscu. Miałam nadzieję, że jeśli obaj spotkają się bez uprzedzeń, zaprzyjaźnią się.

Szybko skończyłam list, ponieważ Ralf czekał na mnie przy Łące Trzech Bram, gdzie rósł dziki czosnek na polu zaoranym pod kukurydzą.

Odkąd wróciłam z Bath, spędzałam czas od rana do obiadu na polach, sprawdzając zbiory, zwierzęta, organizując zespół do pielęgnacji żywopłotów, do przeprowadzenia melioracji, kobiety do pielienia chwastów i oczyszczania pól. Drogi były tak błotniste, że można je było przebywać tylko konno. Wuj John wolał zostać w domu, by dopilnować rekonwalescencji mamy. Praca w majątku prawie całkowicie spadła na moje barki i na Ralfa Megsona.

Uczył mnie. Uczył mnie jak człowiek, który cugle najlepszego zaprzęgu wręcza nowicjuszowi. Wykorzystywał każde spotkanie ze mną, w uliczce lub w stodole albo gdy po prostu przechylna przez most wpatrywałam się w przepływającą Fenny, żeby opowiedzieć mi coś o ziemi, wędrówkach ptaków z północy lub spodziewanej pogodzie.

Ralf przygotowywał mnie do roli dziedziczki. Był surowym mistrzem. Brał mnie na długie wyczerpujące przejażdżki po majątku, ucząc mnie nazwy każdego pola, pokazując mi różne grzyby czy choroby drzew, nazywając chwasty, które wydawały się rosnać nawet wtedy, gdy na nie patrzyliśmy. Ustawicznie też sprzeczaaliśmy się o to, kto powinien posiadać ziemię i jakie mieć do niej prawo.

Sprzeczaaliśmy się o kłusowników, o wielkość wypłat, o służbę domową, o prawa mieszkańców. Każde nałożenie podatków przez właściciela ziemi - jak najbardziej zgodne z prawem - Ralf nazywał wyciąganiem pieniędzy od biedoty. Każde zarządzenie właściciela było mu nie w smak. Pewnego dnia straciłam wreszcie cierpliwość i wygarnęłam mu, że jest lojalny

jedynie wobec wioski, a nie potrafi uznać naszych racji.

- O, tak - przyznał zupełnie nie wytrącony z równowagi. - Pracuję dla dobra Acre. Zupełnie nie obchodzi mnie dobro Laceyów.

Objężdżaliśmy pola pszenicy, jak zwykle sprawdzając, czy zostały odpowiednio ogrodzone, ponieważ grasowały tu jelenie, których apetytu nawet Acre nie umiało powstrzymać.

- Płacimy ci pensję - odcięłam się. Powinnam być bardziej ostrożna, używając takiego argumentu wobec Ralfa, ponieważ dawało mu to łatwe zwycięstwo.

358

- Nie bądź głupia, panno Julio - powiedział łagodnie.

- Nie są to pensje, które mogłyby kupić moją lojalność przeciw moim własnym ludziom. Wiesz o tym.

- Więc dlaczego zgodziłeś się pracować dla wuja? - dopytywałam się. - Zatrudnił cię jako zarządcę Laceyów.

- I pracuję jako zarządca Laceyów - powiedział Ralf.

- Przyszłość Laceyów zależy od rozdania ziemi ludziom, którzy na niej żyją i pracują.

Zawróciliśmy konie i truchtem ruszyliśmy przez szeroką łachę piasku przecinającą błonia. Porastały ją orlice, a po brzegach wdzierały się wrzosy.

- To trzeba wyciąć - powiedział Ralf, wskazując na obumarłe kępki wrzosów i brązowe paprocie. - Wkrótce rozprzestrzenią się bardziej, a jeżeli zapalą się wrzosowiska, nie będzie można opanować pożaru.

Przyprowadzę tu paru ludzi, żeby powycinali to przed końcem tygodnia.

- Nie odchodź od tematu, Megson - przerwałam ostro.

- Wiesz, że wuj John zrobił plan podziału zysków. Nigdy nie sugerowano, że ma to być darmowy prezent ze strony właścicieli. Chyba nie wyobrażasz sobie, że wuj zamierza podarować Wideacre wsi.

Ralf uśmiechnął się ponuro.

- Oczywiście - powiedział. - To dobry człowiek, ale urodził się w bogactwie i zna wartość ziemi. Niczego nie rozda.

- Więc masz nadzieję, że ktoś inny to zrobi? - zapytałam.

- Myślę, że to będziesz ty - rzucił Ralf, jakby to była najprostsza rzecz na świecie.

Zawrócił konia w kierunku drogi prowadzącej przez park, zmusił go do krótkiego galopu i skoku przez świeżo zreperowany mur. Zagapiłam się na niego i niemal straciłam równowagę, kiedy Mgiełka podążyła za nim i przeskoczyła mur bez żadnej komendy z mojej strony.

- Naprawdę? - zapytałam, zrównawszy się z nim. - Dlaczego sądzisz, że miałabym oddać Wideacre? Przecież to ty powiedziałaś, że kobiety Laceyów kochają tę ziemię!

- Aha - potwierdził spokojnie Ralf i zachichotał widząc, jak się czerwienię. - Nie irytuj się tak, Julio Lacey - powiedział ugodowo. - Myślałem, że nie jesteś prawdziwą Lacey, kiedy zobaczyłem, jak próbujesz odrzucić twój udział w majątku i przeobrazić się w kogoś, kim nie jesteś. Ale pomysły, które mam

359

względem ciebie i Wideacre, nie są czymś, co powinno kłopotać młodą dziewczynę. To jest droga, którą jak sądzę, powinien podążyć cały kraj, żeby uniknąć przemocy i wielkiego nieszczęścia. Zawróciliśmy do domu, popuszczając koniom cugli. Jechaliśmy pod ogromnymi gładkimi

konarami buków, a końskie podkowy grzęzły w błocie.

- A teraz posłuchaj - powiedział nagle poważnie - żyjemy w okrutnym świecie. Widziałas ubóstwo w Acre, nie muszę ci więc opowiadać o bezwzględności tego świata. Cała ta wieś mogłaby wymrzeć z głodu i nikogo by to nie obchodziło. Zdarza się wiele niepotrzebnych śmierci - małych dzieci i starych ludzi umierających z zimna, umierających od drobnych dolegliwości, ponieważ są zbyt wycieńczeni, żeby unieść ciężar choroby. Wiemy o tym oboje.

Kiwnęłam głową. Widziałam to w Acre, to prawda.

- Dotyczy to nie tylko Acre - kontynuował. - Są w tym kraju całe obszary, gdzie dzieje się to samo. Czasami są to wypadki: nie udają się zbiory i nie ma żywności, do tego nieudolny i bezlitosny dziedzic. Czasami jest gorzej. Są miejsca przy granicy północnej, gdzie właściciele ziemscy zdecydowali, że chcą pozbyć się ludzi z majątków - i robią to.

- Pozbyć?

- Oni potrzebują pastwisk dla owiec - wyjaśnił Ralf.

- Albo już bliżej Wideacre, pragną pięknego widoku z okien salonów. Jeżeli po drodze jest wieś, po prostu zrównują ją z ziemią lub palą.

- A wieśniacy? - zapytałam.

- Niektórzy wyjeżdżają, kiedy ich się poprosi - odparł Ralf.

- Zostają włóczęgami, ponieważ żadna parafia ich nie przyjmie. Inni odmawiają odejścia i próbują podać wielkich posiadaczy do sądu. To bolesne procesy - powiedział, uśmiechając się z goryczą. - Prawo jest naciągane przez dziedziców, sądy słuchają rozkazów dziedziców i sędziowie są dziedzicami. To tak jakby sądzili samych siebie.

Nie odezwałam się. Słyszałam kiedyś, jak dziadek Havering z triumfem

opowiadał o wyroku śmierci na człowieka, który ukradł chleb dla głodującej rodziny. Wiedziałam, co Ralf ma na myśli. I obserwowałam niektóre konsekwencje tego, o czym mówi, kiedy odwiedzaliśmy ulice za Fish Quay.

- Jednakże niektórzy odmawiają opuszczenia wsi - dodał.
- Słyszałem o ludziach umierających w swoich domach, spalonych żywcem,

360

kiedy podpalano wsie. Zdarzają się brutalne, zaciekle bitwy między głodującymi ludźmi a uzbrojonymi pomocnikami szeryfa. To prawda, Julio. Taka jest władza dziedziców. To dlatego chciałem gwarancji od ciebie i Richarda.

- Nigdy nie pozwolę, żeby coś takiego wydarzyło się w Wideacre! - zapewniłam gorąco.
- Nie jesteś doskonała - powiedział wprost Ralf. - Twój przyszły mąż, James Fortescue, może nagle zechcieć spróbować nowoczesnego gospodarowania lub pięknego krajobrazu. Albo sama możesz znaleźć się w sytuacji, że zabraknie ci pieniędzy. Zdecydujesz się wtedy sprzedać kawałek Acre lub złamać porozumienie ze wsią, znowu zmuszając ludzi do pracy na dniówki. Nie możesz przewidzieć, co zrobisz, kiedy będziesz miała władzę.

Czekałam. Ralf zmierzał do czegoś, a ja jeszcze nie potrafiłam dostrzec celu.

- Musisz wyzbyć się żądzy władzy - oznajmił. - Nie wolno ci się zadowolić schematem podziału zysków i czekaniem, kiedy mieszkańcy wzbogacą się na tyle, aby wziąć ziemię w dzierżawę. To zabrałoby długie

lata i może się nie udać. Gdyby tylko nastąpiła jakaś zmiana planów jednego z Laceyów, wszystko byłoby stracone. Chcę obserwować, jak wprowadza się zmiany. Chcę zobaczyć ich skutki za mego życia. Chcę, żebyś ty to zrobiła. Zwrócisz ziemię Acre i każdy w wiosce będzie miał prawo decydować, jakie rośliny sadzić i jak planować. Nikt nie będzie brał dniówek, będą dzielili się zyskiem. Całość majątku zostanie oddana ludziom, którzy mieli tę ziemię przed Laceyami. Będą gospodarować wiedząc, jak to robić dla własnego dobra.

Patrzyłam na Ralfa zimno.

- I tego po mnie oczekujesz? - zapytałam z niedowierzaniem.

Ralf spojrział promiennie.

- Aha. Szalony plan, co?

- To nigdy się nie uda - orzekłam. Ralf uśmiechnął się krzywo.

- Oni wyjąłwią ziemię - powiedziałam. - Nie dadzą jej odpocząć. Będą sadzili jedynie warzywa dla siebie. Nie będą mieli pieniędzy, żeby kupić dobre ziarno do siewów czy powiększać inwentarz.

- Aha - przyznał Ralf. - Będziesz musiała wyłożyć kapitał, żeby to zadziałało.

361

- Dlaczego miałabym to zrobić? - zapytałam. - Dlaczego ktokolwiek miałby wydawać pieniądze na system, który ma nikłe szanse powodzenia? Ralf obrócił konia tak nagle, że zablokował mi drogę. Spoglądał na mnie ze swego wysokiego siodła z twarzą pociemniałą i zaciętą.

- Ponieważ są rzeczy, które znaczą więcej niż dwa procent w państwowych papierach gotówkowych - powiedział. - Ponieważ ty jesteś osobą uprzywilejowaną w kraju, gdzie ludzie głodują, i wiesz, że to ci nie

da spokoju. Ponieważ wiesz, że jesteś jedną z wybranych, podczas gdy wszędzie dookoła jest tyle nieszczęścia. Ponieważ to stawia cię przed wyborem: albo wyrzucasz sobie, że żyjesz dobrze, wiedząc, że są tacy, którym żyje się

o wiele gorzej, albo twardnieje ci serce. Niektórzy uczą się utwardzać swoje serce tak dobrze, że mogą w końcu zapomnieć, co widzieli. Nauczają się wierzyć, że są bogaci dzięki własnej mądrości albo że jest to po prostu nagroda za ich cnoty. Zmuszają się do myślenia, że biedni zasłużyli na ubóstwo swoją głupotą. I to właśnie sprawia, że nasz kraj jest podzielony na dwie części.

I obydwie są równie wstrętne.

Westchnęłam. Nie mogłam nadążyć za Ralfem. Słyszałam samozadowolenie w głosach bogatych i desperację w głosach biednych. Nie chciałam zaliczać się ani do jednych, ani do drugich.

- To się nigdy nie uda - powiedziałam niepewnie.

Ralf mruknął pogardliwie i zawrócił konia w kierunku domu. Szybko robiło się ciemno, jak zwykle w wiosenny wieczór. Dzikie gołębie gruchały miłośnie i tęsknie, gawrony do późna przemierzały szarzejące niebo z dziobami pełnymi gałązek. Kos śpiewał tak czysto, jakby dźwięki płynęły z fletu.

- To nigdy się nie uda - powtórzyłam raz jeszcze.

- A to, co mamy dzisiaj, udało się? - zapytał Ralf tak cicho, jakby pytanie ledwie zasługiwało na odpowiedź. - Tysiące umierają z głodu na wsi, tysiące umierają z brudu, przepicia i głodu w miastach. Trudno nazwać tę sytuację „udaną”, prawda?

Wciąż głowiłam się nad odpowiedzią, kiedy wjechaliśmy na podjazd i

ściągnęłam lejce przed bramą Dower House. Jem pomógł mi zsiąść; Ralf został na koniu.

- Czy pan jest na mnie zły, panie Megson? - zapytałam ostrożnie.

Nagle twarz mu pojaśniała i uśmiechnął się do mnie.

362

- Bóg kocha cię za głupotę, Julio Lacey - rzekł pogodnie. - Jesteś tak przepełniona poczuciem odpowiedzialności, panienko, że czujesz się winna za najazd normański i wykorzystywanie tej ziemi przez lordów. Nie, nie jestem zły, miss Próżności. A gdybym był, to nie na ciebie. - Przerwał i przyjrzał mi się badawczo. - A nawet gdybym był, na pewno nie bałabyś się powiedzieć mi, bym zachował swój zły humor dla siebie, prawda? Zawahałam się wobec takich słów. Pojechałam do Bath jako dziewczyna, która przywykła do wpatrywania się w twarz Richarda w poszukiwaniu oznak niezadowolenia. Ale wróciłam z zaufaniem do samej siebie i do swoich zdolności. Popatrzyłam na Ralfa, uśmiechnęłam się i przymknęłam oczy.

- Myślę, że mogłabym - powiedziałam.

- Z pewnością mogłabyś. - Ralf uśmiechnął się do mnie w swój demokratyczny, pozbawiony szacunku sposób. Potem pochylił się nisko, przyciągnął mnie do boku konia i przed oknami salonu Dower House ucałował mnie w policzki, jakbym była panną służącą, którą całuje się gdzieś w uliczce. Potem wyprostował się, pomachał mi kapeluszem i pocałował wzdłuż podjazdu.

Rzuciłam jedno przestraszone spojrzenie na okna, żeby sprawdzić, czy mama przypadkiem nie widziała. Spiorunowałam wzrokiem Jema, żeby zetrzeć uśmiezek z jego twarzy. Potem uniosłam brzeg amazonki i

poszłam do drzwi miotana paroksyzmami śmiechu wywołanego impertynencją Ralfa Megsona.

Tej wiosny byłam tak bardzo zajęta, że gdybym nawet chciała poddać się chandrze z tęsknoty za Jamesem, nie miałabym na to czasu. Prawnicy wuja Johna wraz z prawnikami z Chichester przygotowali kontrakt pomiędzy pracownikami, dzierżawcami gospodarstw a majątkiem Wideacre. Chciałam być przy jego podpisywaniu. Dla ludzi powinno być jasne, że daję swoje słowo, tak jak oni dają swoje. Spędziłam z Johnem wiele godzin w bibliotece, upewniając się, że znam na wylot porozumienie, które sporządziliśmy - długość terminu indywidualnych aktów dzierżawnych, proporcje pomiędzy dniówkami, które powinny być płacone na wspólny fundusz, oraz czas spłaty pożyczek na ziarno i sprzęt dla farmerów, jak również sprawy podziału zysków. Kiedy przebrnęłam w końcu przez kwestie dzierżawy, wykrzyknęłam:

- Ależ, wujku, ten dzierżawca będzie miał ogromny dług wobec nas, będzie musiał płacić wysokie raty i dziesięciny. To za

363

duże obciążenie; albo musimy prolongować dług, albo nie będzie mógł utrzymać siebie i rodziny przez pierwszych kilka lat! John jeszcze raz sprawdzał liczby, kiwał głową i mówił:

- Masz rację, Julio, ale to odbędzie się kosztem zysków Wideacre.

Wuj John, Ralf i ja odbyliśmy również długą sesję w bibliotece nad rozłożonymi mapami Wideacre. Ralf rozumiał tę ziemię. Potrafił przewidzieć, jakie będą zbiory i co nie uda się na kredowej glebie Sussex. John za to naczytał się wiele o współczesnych eksperymentach rolniczych, widział Wideacre w pełni rozkwitu, znał się też na uprawach. Ja

odzywałam się rzadko, ale miałam oczy i uszy otwarte i starałam się nauczyć jak najwięcej w czasie tych przyjacielskich swobodnych pogawędek.

Ralf i ja byliśmy jedynymi, którzy obserwowali tę ziemię; wjeżdżaliśmy na wzgórza doglądać owiec, odwiedzaliśmy wieś, doświadczając niewygód z powodu zamarzającej wilgoci, brnęliśmy przemarznięci w na pół roztałym błocie. Przejeżdżaliśmy przez wiejskie drogi, by obejrzeć żywopłoty i kanały. Chcieliśmy upewnić się, czy wszystko jest przygotowane do orki. Musieliśmy też zakupić narzędzia, bowiem to, co pozostało po ostatnich katastrofalnych żniwach, sprzedano lub wymieniono na żywność w latach ubóstwa Acre. Musieliśmy zakupić nowe pługi, nowe konie robocze, nowe ziarno. Całe pokolenie młodych mężczyzn trzeba było nauczyć prowadzenia koni i chodzenia za pługiem, ponieważ nigdy nie mieli okazji zobaczyć, jak robią to ich ojcowie, a sami nigdy nie byli pomocnikami oracza.

- I co, damy radę? - mawiał czasem do mnie John, kiedy wracałam do domu zmęczona po całym dniu jazdy, z listą spraw do załatwienia przed nastaniem wiosny i okresem wzrostu roślin. - Chyba nie zdążymy w tym roku!

Ale ja, nie wiem skąd, miałam pewność, że wszystko się uda.

Uśmiechałam się do Johna nie jak szesnastoletnia niedojrzała dziewczyna, ale ktoś znacznie starszy i mądrzejszy.

- Można będzie tego dokonać, wujku Johnie. Pan Megson również jest tego zdania i jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. Acre pracowało całymi dniami, żeby przygotować się do siewów. Musi się udać. Bo ty, ja, pan Megson i Acre pracujemy na to.

Jakby mało było roboty z przygotowaniem do siewów, stado owiec zakupionych przez wuja Johna było bojaźliwe i przenosiło się na pastwiska niższe niż te, które przewidzieliśmy dla nich.

364

Straciliśmy dwoje lub troje jagniąt, a nawet jedną owcę. Potem Ralf uznał, że musimy zapewnić zwierzętom dach, bo wkrótce zaczną się kocić.

Stajnie używane jesienią były za małe dla całego stada i położone zbyt daleko, żeby pastuch mógł dotrzeć tam każdego dnia. Wszystkie stare budynki zostały rozebrane wiele lat temu, drewno zużyte na podpałkę, a kamienie do budowy, postanowiliśmy więc przetrzymać stado w zaimprovizowanej stajni w Dower House. Przeciągnęliśmy belki przez podwórko i nakryliśmy prowizorycznym dachem. Zapach był okropny, a na dodatek ten hałas! Mama powiedziała, że już nigdy nie będzie czytała poematów z życia pasterzy i pasterek.

Tej wiosny w niczym nie przypominaliśmy szlachty.

- Jesteśmy pionierami - uznała mama i kochałam ją za zrozumienie, że ten sposób pracy w Wideacre mniej przypomina gospodarowanie majątkiem w sercu Anglii, a bardziej budowanie nowej wsi. Wsi, która odrzuca błędy przeszłości i usiłuje stworzyć coś nowego i dobrego.

- Dziedziczka Julia - ironicznie nazwała mnie Clara Dench, kiedy spotkałam ją na drodze w Acre. Zniosła ojcu obiad i wracała do domu z naczyniami. Pracował przy kanałach melioracyjnych, więc była ubłocona.

- Lepiej się ukłoń - powiedziałam surowo. Wyglądałam tylko trochę lepiej od niej. Miałam na sobie kremową suknię do jazdy konnej, która straciła już pierwotny fason i wygniotła się. Spódnica była zacerowana w miejscu, gdzie zaczepiłam o coś i ją rozdarłam. Odprowadzałam właśnie do

podkucia konie dla pomocników oraczy. Szłyśmy razem z Clarą niezgrabnie stawiając stopy. Kleiste błoto lepiło się do butów. Kiedy tak poruszałyśmy się zabłocone po czubek głowy, nikt nie dopatrzyłby się wielkich różnic pomiędzy młodą damą z arystokracji a wiejską dziewczyną. Clara roześmiała się.

- Żebyś mogła się teraz zobaczyć - zażartowała.

- Wiem - odparłam szorstko. - Ledwie przypominam sobie Bath, a było to tak niedawno.

- Pamiętasz, kiedy wieś była w biedzie? - zapytała. - Życie teraz też nie jest łatwe, nikt nie może zaprzeczyć. Ale przynajmniej widzimy cel.

Wiosną będą zasiewy, potem sianokosy i czas żniw. Zbuduje się odpowiednie stodoły. Mama i tata nie mówią o niczym innym jak o siewach i majówkach.

365

- Majówki - powtórzyłam z radością, zatrzymując konie. Ludzie myślą na ogół, że wielkie robocze konie to łagodne olbrzymy, ale ja prowadziłam tę dwójkę od stajni Dower House i mogłam się już przekonać, iż są niezdarne i ociężałe.

- Prr! - zawołałam na konie. - Co się robi w czasie majówki, Claro?

- Kiedy wszystko jest zasiane i wczesne wiosenne prace zakończone, odprawiamy stary obrzęd Święta Wiosny*.

* May Day - obchodzony jako święto wiosny 1 maja (przyp. red.).

Wszyscy młodzi mężczyźni i kobiety - panny i kawalerowie - idą przed świtem na wzgórze. Ścinają gałęzie głogu i przybierają je wstążkami, a potem czekają na wschód słońca i witają wiosnę.

- Ach tak - powiedziałam. Zabrzmiało to, jakbym była znudzona. - Czy to

wszystko, Claro?

Rzuciła mi z ukosa uśmiechnięte spojrzenie.

- Cóż... - zaczęła nieśmiało. - To nie przypadek, że po sześciu miesiącach od tego dnia jest dużo ślubów. Nim słońce wzejdzie, jest czas na umizgi, no, rozumiesz, Julio. Nie ma tam starszych i nikt się nie gorszy, gdy ktoś odchodzi cichaczem na bok. Nikt nie obserwuje, nikt nie liczy, ponieważ jest majówka, rozumiesz.

Uśmiechnęła się lekko.

- Ach... - wyszeptałam. Byłam dzieckiem w porównaniu z Clarą, która pomagała przy narodzinach siostry i zajmowała się niemowlęciem. Clara - jak inne dzieciw Acre - wiedziała wszystko o pożądaniu, narodzinach i śmierci, podczas gdy Richard i ja pozostawaliśmy pod ochroną Dower House. Ale ja zaznałam już uścisku Jamesa, czułam jego usta na moich i tęskniłam za jego dotykiem. A w głowie miałam wiedzę Beatrice i jej pragnienia. Więc moje „ach” wyrażało nie wiedzę dziedziczki, panienki Julii, ale dziewczyny takiej jak ona, która pragnie dawać i otrzymywać miłość.

- Czy wybierzesz się z nami? To nie jest niebezpieczne. Wiele panien przychodzi po prostu, by obejrzeć wschód słońca, naciąć gałązek i przynieść wiosnę do domu.

- Chciałabym - odparłam.

- Powiem im, że pójdziesz z nami - powiedziała Clara. - Może zrobią cię Królową Maja. I powiedz twojej mamie

366

i wujowi Johnowi, że wieś bierze tydzień wolnego na świętowanie. A przynajmniej kilka dni.

- Powiem - odrzekłam. - Jak to będzie wyglądało?

- To jest Święto Złych Rządów*.

* Wybiera się wtedy Mistrza Złych Rządów, który jest czołową postacią podczas ludowej zabawy (przyp. tłum.).

Zawróciłam konie z pomocą Clary, kierując je do kuźni.

- Wszyscy przebierają się w kostiumy, a potem jest uczta. Gospodarze, którzy mają pieniądze, płacą orkiestrze, inni, którzy nie mają pieniędzy, dają żywność na ucztę. Ludzie z Wideacre wybierają się do Havering, Singleton lub Ambersham. Wszędzie odbywają się przyjęcia i tańce. Jedzenie i picie jest za darmo. W następnym roku my zapraszamy inne wioski do nas. Dużo czasu upłynęło, odkąd Acre świętowało po raz ostatni, więc teraz nasza kolej.

- A kim jest Królowa Maja? - zapytałam.

- Ona jest królową uczty - wyjaśniła Clara. - Nosi koronę z kwiatów głogu i sprowadza wiosnę. Rozpoczyna orkę i tańce. A jeżeli powiem im, że przyjdiesz, to zapewne ty nią zostaniesz!

Rozchmurzyłam się.

- Zatem powiedz im, że przyjdę, Claro. Wydaje mi się, że to będzie świetna zabawa. I zapowiem mamie oraz wujowi Johnowi, że wtedy będą dni wolne od pracy.

Clara kiwnęła głową, wprowadziła konie na podwórko Neda Smitha, pomachała mi na pożegnanie i ruszyła do siebie. Zatrzymałam się tylko, żeby zobaczyć, jak pomocnicy oracza zabierają konie do podkucia, i piechotą samotnie ruszyłam w męczącą drogę powrotną. Znowu spóźniłam się na obiad, ale podczas tych dni spędzonych na przygotowaniu ziemi pod orkę rzadko przychodziłam na czas.

Dość długo nie zaczynaliśmy siewów, bo najpierw grunt był zbyt zmarznięty, a potem zbyt mokry. Ale Ralf i John musieli wreszcie wybrać jakiś dzień.

- Niech to będzie w urodziny panienki Julii, na szczęście - zaproponował Ralf.

Powiedzieliśmy wieśniakom, kiedy zaczynamy, i trzymaliśmy kciuki, żeby wieś, która tak długo nie orała ani nie siała, przypomniała sobie, jak to się robi. I żeby zapomniała o gniewie tamtego roku, w którym zasiała ból i zebrała plon rozruchów.

367

Wiatr był cieplejszy i świeciło słońce. Wszystkie pierzaste obłoki i ciężkie deszczowe chmury rozeszły się i przemknęły nad szczytami wzgórz, popchnięte szybkimi podmuchami wiatru pachnącego morską solą. Ścigane jak rozproszone stado odeszły i kiedy rano wyjrzałam z okna sypialni, niebo było czystym opalizującym błękitem wolnym od cieni, a słońce lśniło wiosennym złotym kolorem.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Mamy piękny suchy dzień - powiedziała pani Gough w kuchni, kiedy poszłam wyżebrać ostatnią filiżankę kawy po drodze do stajni. Ona myślała o płótnie, a ja o ziemi, ale byłyśmy tak samo zadowolone.

- Tak - przyznałam. - Dzisiaj siejemy. Muszę wyjść. Uniosła głowę znad swojej pracy; formowała bułeczki na śniadanie.

- Przyślę Jema ze śniadaniem dla panienki - obiecała z niezwykłą uprzejmością. - Śmiem przypuszczać, że skoro zaczęła się robota, to panienka nie zamierza wracać.

- Dziękuję, pani Gough - powiedziałam zdumiona. Obdarzyła mnie

jednym ze swych nieczęstych uśmiechów.

- Zewsząd słyszę, że panienka bardzo ciężko pracuje w majątku, panno Julio. Mówią, że jest tak dobra jak Beatrice, kiedy była dziewczyną. Ja nie trzymam z kobietami, które posiadają ziemię, ale wiem, że panienka robi to w dobrej wierze dla panicza Richarda.

Milczałam. Mogłam powiedzieć, że robię to w wianie dla Jamesa. Mogłam powiedzieć, że robię to w szlachetnym celu, żeby zwrócić ludziom to, co wypracowali. Ale mówiąc prawdę, w owe dni pracowałam w taki sam sposób jak owczarek pilnujący stada. Nie byłabym sobą, gdybym tego nie robiła. Gospodarowanie majątkiem było dla mnie tak naturalne jak oddychanie. Ugryzłam się w język i uśmiechając się promiennie do pani Gough, wymknęłam się przez tylne drzwi.

Natychmiast owionął mnie zapach ziemi. Tuż przede mną dolne gałązki cedru ledwie okryły się delikatną seledynową zielenią, a wzbierające soki sączyły się z nacięcia po usuniętej przez nas zbędnej gałęzi. Słyszałam śpiew drozda; zza domu dobiegało natrętne gruchanie synogarlicy ćwiczącej swój głos po porze milczenia. Za cedrem był wybieg dla koni. Pączki na jabłoniach, małe jak ziarenka ryżu, czerwieniały obietnicą. Za wybiegiem, na

368

starej łące przekształconej w pole pszenicy ziemia była biała od szronu, ale z dala od krawędzi, w osłoniętych miejscach mogłam dostrzec wyrastające zielone źdźbła. Za polem po mojej lewej stronie rozciągały się błonia tak piękne i wolne jak wznoszone przez wiatr fale na morzu; jeszcze żółtobrazowe od zeszłorocznej orlicy, zwiastowały zieleń w śpiących dolinach.

Po mojej prawej stronie, na południu, wznosiły się wysokie gładkie fałdy wzgórz, podobne do zielonych aksamitnych pleców dźwigających pod niebo nierówne granice naszych pól. Chociaż nie mogłam tego zobaczyć, wiedziałam, że stado z małymi jagniętami będzie się dzisiaj pasło na świeżej trawie. Weszłam do ogrodu, chłonęłam zapachy, dźwięki i ciepło Wideacre; czułam, jak moje ramiona prostują się, wargi rozchylają w uśmiechu, a twarz bezwiednie kieruje ku słońcu.

Stałam tak dobrą chwilę na wpół oszołomiona i nagle usłyszałam dźwięk głośniejszy niż śpiew ptaka, niż bicie mego serca, które brzmiało jak puls samej ziemi. Było to słodkie wysokie brzęczenie, jakby budząca się ziemia wołała mnie, żeby orać, siać i sprawić, by dawała plon.

Ralf był już w polu. Zaczęliśmy na Łące Trzech Bram. Podzieliliśmy siewców na zespoły i przejeżdżaliśmy między nimi, czuwając nad dostarczaniem ziarna pszenicy, sprawdzając siłę nowych pługów i umiejętności chłopów. Ostatni raz mężczyźni orali tę ziemię piętnaście lat temu. Zawróciłam moją klacz w kierunku Acre. Nikt nie przerwał zajęcia, by spojrzeć na mnie, przybyłą z rozświetlonego słońcem poranka obietnicę magii Wideacre; Wideacre, które było krwią z mojej krwi i kością z mojej kości.

Ześliznęłam się z grzbietu klaczy i przywiązałam ją do bramy. Siewcy byli w polu, dźwigali przed sobą wielkie płachty wypełnione ziarnem, sterczące jak brzuchy brzemiennych kobiet. Wybrali Jimmy'ego Darta - zaginionego syna Acre - żeby wyorał pierwszą nierówną bruzdę na szczęście. Kiedy przechodziłam przez bramę, zobaczyłam idącego w moim kierunku oracza. Jego chude, wygłodzone w mieście ciało przywarło do rączek pługa z taką siłą, jakby od tego zależało jego życie;

był zbyt lekki, żeby utrzymać pług prosto.

- Przyspieszyć orkę! - zawołałam i wszyscy w polu uśmiechnęli się i odkrzyknęli:

- Przyspieszyć orkę!

369

Clara stała przy bramie z wielką płachtą ziarna przerzuconą przez plecy i przywołała mnie, by mi ją przekazać.

- Szczęśliwych urodzin, Julio - powiedziała wzruszona. - Czekałam na ciebie. Zasiej pierwsze ziarno. Wszyscy tego chcą. To będzie na szczęście. Weź pełną garść ziarna i po prostu rozrzuć je szeroko.

Ugięłam się pod ciężarem płachty i zaczekałam, aż pierwsza bruzda zostanie skończona. Wielkie konie pochyliły głowy, ciągnąc pług. Znały się na tej robocie lepiej od Jimmy'ego. Weszłam w skibę za nim i zanurzyłam rękę głęboko w płachcie, która ciągnęła mnie w dół. Wilgotne i blade nasiona przywarły do moich rąk. Rozrzuciłam je wielkim, szerokim łukiem w kierunku granic Wideacre. Niech cały zielony świat wysłucha moich rozkazów i niech nigdy więcej nie będzie głodu na moich ziemiach! Rozrzuciałam ziarno hojnymi garściami wysoko do nieba, jakbym chciała podzielić się z żarłocznymi mewami królewskim darem tych ziem, żeby nikt nie płakał tego dnia - nawet mewy. Słyszałam w głowie słodki śpiew, kiedy ziarno wylatywało srebrzyście w powietrze i opadało w głębokie gęste błoto. Czułam w sobie taką moc i taką siłę magii, że wydawało mi się, iż ziarno zakiełkuje, gdy tylko opadnie na ziemię.

Prawie nie słyszałam odgłosu kopyt na drodze, tak byłam zaabsorbowana utrzymaniem równowagi na ciężkich, świeżo odwróconych skibach ziemi. Zafascynowana byłam ciężarem wilgotnej lepkiej płachty i widokiem

wzlatującego ziarna. Ale kiedy usłyszałam, że ktoś woła mnie po imieniu, obejrzałam się na bramę. Tam przy wjeździe na pole, z rozwichrzonymi czarnymi kędziorami, z rozjaśnionym spojrzeniem właśnie zsiadał z konia Richard.

Podeszłam do niego jak we śnie. Dłonie wciąż miałam pełne ziarna.

Wydawało się, że on jest w centrum świata, którego bicie serca słyszałam w swojej głowie tego ranka. Nogi wbił w ziemię tak pewnie jak ukorzenione drzewo w bezpiecznej glebie. Głowę miał rozgrzaną słońcem Wideacre.

Zaszargany brzeg sukni do konnej jazdy trzepotał wokół mnie, kiedy biegłam przez skiby, błoto Wideacre oblepiło mi trzewiczki. Richard wyciągnął miękką białą dłoń i przyciągnął mnie do siebie, nie mówiąc ani słowa. Na oczach całego Acre wlepionych w nas - nawet pomocnicy oraczy przerwali pracę, by popatrzeć - zwróciłam twarz ku Richardowi i jak prosta dziewczyna pozwoliłam,

370

żeby pocałował mnie długo i namiętnie pod wiosennym niebem.

Przycisnął mnie mocno do siebie pod peleryną do konnej jazdy, która owinęła się wokół nas. Na wpół ukryta pod nią objęłam gorące, twarde plecy silnym uściskiem. Opuścił głowę niżej i przywarł do moich warg. I nagle, jakby smak tego pocałunku był trucizną, odskoczyłam gwałtownie do tyłu, walcząc z fałdami jego peleryny, wyzwalając się z jego uścisku. Nie zważając na to, co może pomyśleć, grzbietem dłoni otarłam mocno usta, ścierając smak warg Richarda.

- Nie, Richardzie! - krzyknęłam i już nie było między nami magii, a we mnie nie pozostało nic z tego bezmyślnego zadowolenia.

Twarz Richarda była jak gradowa chmura.

- Dostałem twój liścik... - zaczął.

Ale wtedy od strony bramy dobiegło ostrzegawcze wołanie Clary:

- Uważaj, Julio, twoja mama!

Zrobiłam następny chwiejny krok do tyłu i popatrzyłam z poczuciem winy w kierunku traktu. Kariolka wjechała na drogę do Acre i zbliżała się do nas. Miałam nadzieję, że nie dojrzeliby niczego więcej niż wymianę powitalnych uścisków pomiędzy Richardem a mną. Nie rozglądałam się po polu ze strachu, że ktoś ostrzega mnie albo mruga do Richarda. Jednak to nie strach przed dezaprobatą mamy sprawił, że odskoczyłam od Richarda. Wyrwałam się z jego uścisku z powodu tego dotyku, który kiedyś tak bardzo kochałam, a który nagle wydał mi się ciężki od zła. Nie patrzyłam na niego. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, o czym myślał. A kiedy przypominałam sobie o Jamesie i o mnie jako przyszłej panience młodej, poczułam gorąco i spuściłam wzrok.

Richard zachowywał się, jakby nic się nie stało. On zawsze potrafił żeglować przez mielizny. Odwrócił się ode mnie i podszedł do kariolki.

- Ciociu-mamo! - zawołał z zadowoleniem i wskoczył na schodek, by serdecznie ją ucałować. - I papa! - powiedział, sięgając przez mamę, by ucisnąć mu dłoń. - Pomyślicie, że jestem nieobowiązkowy, ale kiedy jechałem w kierunku domu, spotkałem kilku ludzi idących w tę stronę i powiedzieli mi, że to pierwszy dzień siewów. Za nic na świecie nie ominąłbym tego.

371

I tutaj w środku pola była Julia, rozrzucająca ziarno jakby karmiła mewy. Wuj John roześmiał się.

- Przyjechaliśmy zobaczyć uroczystą orkę, ale widzimy, że jest już za późno. - Skinął na Ralfa, który podszedł do bramy, żeby się z nimi przywitać. - Dzień dobry, panie Megson. Richard zrobił niespodziankę, przyjeżdżając do domu na urodziny Julii, i chciał zobaczyć wasz siew. Ralf skinął głową mamie i Richardowi. Znałam go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nikomu nie opowie o tym, iż wylądowałam w ramionach Richarda, jakbyśmy oficjalnie byli narzeczonymi. Nikt w Acre nie zdradziłby mnie. Tylko Ralf wiedział, że byłam zaręczona z innym mężczyzną, a Richard nie powinien podchodzić bliżej niż na wyciągnięcie ręki. A Ralf nie dbał o takie rzeczy. Ruszyłam w kierunku pługa i rzuciłam mu groźne spojrzenie, by go ostrzec przed robieniem mi wymówek.

Równie dobrze mogłam rozkazać słońcu przestać świecić.

- Zuchwała dziewczyna - wyszeptał prowokacyjnie, a ja znowu oblałam się szkarłatem i zmarszczyłam brwi.

Nikt nie oczekiwał po mnie, że zjem śniadanie w polu z siewcami i oraczami, ale ja byłam uparta.

- Jedź do domu, Richardzie - powiedziałam uprzejmie. - Pewnie musisz się rozpakować. Zjedz śniadanie z mamą i wujem Johnem. Wrócę do domu, jak tylko będę mogła, ale obiecałam odpracować tutaj cały dzień. Jeżeli będziesz chciał przejechać się znowu, będę tutaj albo na Dębowej Łące. Nie mogę odejść teraz od rozpoczętej orki. Jest tutaj zbyt wiele do pilnowania, żeby robiła to jedna osoba. Pan Megson nie może zostać sam. Wuj John skinął z aprobatą, ale ja dostrzegłam cień przebiegający po twarzy Richarda.

- Pewnie, wszystko musi ustąpić przed Wideacre, bo przecież to pępek świata - rzekł.

- To nie tak. Po prostu obiecałam tu dzisiaj popracować i nie mogę złamać obietnicy.

- Dobrze, wracaj do domu, gdy tylko skończysz - powiedziała taktownie mama - i postaraj się przybyć przed kolacją, Julio. Pani Gough planuje dla ciebie coś specjalnego.

- Wrócę, wrócę - obiecałam uśmiechając się. Richard podszedł blisko, by pomóc mi wskoczyć na siodło.

372

- Będę na ciebie czekał - zapewnił cicho. - Pamiętaj, że jesteś moja.

Wiedziałam, że to nie jest w porządku.

Wiedziałam, że nie miał racji mówiąc tak, że powinnam zaprzeczyć mu natychmiast. Powinnam była przypomnieć mu, że te zaręczyny sprzed lat to dziecinada, z której już wyrosliśmy. Zresztą kiedy ostatnio przebywaliśmy razem, on sam nie zachowywał się jak zakochany.

Tymczasem milczałam. Szok spowodowany jego widokiem przy bramie, w chwili gdy świat wydawał się tak bujny i świeży, a ja miałam ziarna przyklepione do rąk jak bogini wiosny, mógł zniweczyć cienką powłokę mej miejskiej ogłady. Gdyby chciał się ze mną położyć w bruździe wtedy i tam, zrobiłabym to. Tego ranka byłam tak podniecona jak dziki gołąb, tak chętna jak świeżo odwrócona gleba. Byłam kobietą Laceyów na Wideacre, a kobiety Laceyów troszczą się przede wszystkim o miłość i ziemię! Tego ranka na świeżo zaoranym polu nie potrafiłabym się oprzeć Richardowi.

Ale nie zawsze spotykaliśmy się przy bramie wiodącej na pola. Jadąc do domu, wiedziałam, że czeka mnie trudna rozmowa z Richardem. I że muszę w niej użyć mądrości, którą zdobyłam przez te ostatnie kilka miesięcy. Muszę - żeby się przed nim obronić. Nie byłam już dzieckiem,

które wyjechało do Bath, opuszczając swój dom, bojąc się o siebie, o ziemię, dzieckiem gotowym wyrzec się majątku tak beztrąsko jak zaniebanej chaty. Nie byłam dzieckiem, które bało się własnej natury, które bało się męskiego autorytetu, bało się wszystkiego.

Przeciwstawiłam się najmodniejszemu lekarzowi w Bath i otrząsnęłam się z jego wpływów. Podniosłam głos w sklepie najlepszej modystki w Bath i czułam, jak policzki płonęły mi od gniewu. Spojrzałam w oczy mężczyźnie, który był tylko zwykłym człowiekiem o zwykłych słabościach, i kochałam go tak samo jak wcześniej. Już nie byłam zabawką Richarda, bez protestu poddającą się jego woli. Tego ranka mogłam być pogrążona w przyjemnym marzeniu z rękami zanurzonymi w ziarnie, ale tego popołudnia byłam już sobą.

Skierowałam się do domu lekkim cwałem w obłokach kurzu. Czyste niebo w górze zapowiadało dobrą pogodę na jutrzejszy roboczy dzień. Za mną były dwa świeżo zaorane i zasiane pola, a wokół mnie akry ziemi czekające na orkę pod zimnym niebem.

373

Cisnęłam cugle mojej klaczy Jemowi i weszłam do domu. Na schodach do sypialni natknęłam się na Stride'a.

- Jest trochę późno, panienko - ostrzegł mnie. Uśmiechnęłam się do niego i złożyłam ręce jak do modlitwy.

- Stride, trochę litości. Byłam w polu od wczesnego ranka. Jeżeli znów chcesz jeść chleb z Wideacre, musisz dobrze traktować siewców. Proszę, zrób to dla mnie, odłóż obiad o pół godziny, żebym mogła wziąć kąpiel i pozbyć się zmęczenia. Czuję się jak staruszka.

Uległam takiej przemianie, że Stride już nie śmiał strofować mnie, jak

zrobiłby to wobec niegrzecznego dziecka, które spóźniło się na obiad.

Popatrzył tylko na zegar dziadka u stóp schodów.

- Dobrze, panno Julio, powiem lady Lacey i doktorowi MacAndrew, że obiad będzie przesunięty.

Wzięłam kąpiel tak gorącą, że skórę miałam różową jak rzeczny pstrąg.

Zeszłam na dół z twarzą wilgotną od pary, pachnąc intensywnie

najlepszym mydłem z Bath i wodą toaletową. Ubrałam się w

bladoniebieską suknię z jedwabiu.

Richard dostrzegł moją świeżo nabytą pewność siebie. Poznałam to po sposobie, w jaki żartował z wujkiem Johnem i jak skinął Stride'owi.

Zobaczył, jak się zmienił stosunek mamy do mnie - już nie była to tylko

miłość i czułość jak w czasach dzieciństwa; teraz rozmawiałyśmy jak

równe sobie. Bath przydało mi ogłady i elegancji. Bath nauczyło mnie

kręcić włosy, ubierać się na tańce i prowadzić zdawkowe rozmowy.

Przewyciężenie strachu przed Beatrice i przed wizjami przeobraziło mnie

w kobietę, która potrafi podejmować decyzje, wydawać i przyjmować

rozkazy, która może dać obietnicę i dotrzymać jej i której nigdy, przenigdy

nie będą już dręczyć wyimaginowane lęki.

Przynajmniej tak sądziłam owego wieczoru.

To był mój wieczór. Dostałam mnóstwo cieplarnianych kwiatów i kosz

pełen pięknie opakowanych prezentów aż z dalekiej Belgii i z bliska, z

chaty Jimmy'ego Darta. Ale był to również wieczór Richarda. Wszyscy

chcieliśmy wiedzieć, jak podoba mu się uniwersyteckie życie i czy poznał

wielu nowych przyjaciół. Chcieliśmy wiedzieć, jak mieszka, jakich ma

nauczycieli i czy jest zadowolony ze studiów. Richard dokładał starań,

żeby nas zabawić. Rozśmieszał nas do łez opowieściami o starszych

studentach w college'u.

374

- Oni wydają się przerażająco dzicy - powiedziała zaniepokojona mama. - Mam nadzieję, że ty się tak nie prowadzisz, Richardzie.

- Nonsens, ciociu! - odparł wesoło. - Oni wynoszą się ponad wszystkich i nie chcą mieć ze mną nic wspólnego. Studenci, którzy dopiero przybyli do miasteczka, są jak ostatnie z ogniw w wielkim łańcuchu istot, zapewniam cię! Oni w ogóle mnie nie dostrzegają!

Uśmiełam się serdecznie, ale znałam swojego kuzyna Richarda i wiedziałam, że trudne sprawy, w których czynnie nie uczestniczy, zupełnie go nie bawią. Naprawdę dziwne było to, że w tym czasie kiedy ja odnalazłam swoje korzenie, przeobraziłam się w młodą kobietę z własnymi pragnieniami i odkryłam, że stoją przede mną poważne zadania, Richard stał się najmłodszym i nic nieznaczącym studentem uczelni, gdzie tacy jak on nie są traktowani poważnie.

Patrzyłam na niego oczyma sędziego. Zawsze był moim ukochanym kuzynem. Dzisiaj, gdy ziemia, niebo i magia siewu zawróciły mi w głowie, podbiegłam do niego. Trzymał mnie w objęciach i mógł wziąć jak dziewczkę, jakby nie obchodziły mnie konwenanse wyższych sfer. Ale kiedy opanowałam się, przyjrzałam mu się bardzo dokładnie. Myślę, że oceniałam go tego wieczoru po raz pierwszy... i zobaczyłam młodego człowieka, któremu nie powierzyłabym zespołu oraczy.

Roześmiałam się głośno na tę myśl, aż mama zapytała, co mnie tak ubawiło. Musiałam wymyślić jakieś niewinne kłamstwo, żeby odwrócić jej uwagę.

Odkąd Richard przyjechał z Oksfordu, a ja nadal całe dni spędzałam w

polu, stało się oczywiste, tak jak oczywiste było od początku dla Acre, dla Ralfa Megsona i wuja Johna, że jedynie ja odziedziczyłam miłość Laceyów do ziemi. Richard nigdy jej nie pokocha, nigdy nie będzie o nią tak dbał ani tak pracował dla niej jak ja.

ROZDZIAŁ Dziewiętnasty.

Mama pilnowała całego Acre i nas, żebyśmy ściśle przestrzegali odpoczynku niedzielnego. Nawet w środku orki nie dała się odwieść od tego. Ku mojemu zdziwieniu Ralf Megson zgadzał się z nią i kiedy powiedziałam: „Stracić dzień, kiedy można orać?”, spojrzął na mnie spod łba i zapytał:

- A ty zmieniałabyś wszystkie niedziele w dni robocze i dała wieśniakom tydzień wolnego co półtora miesiąca, prawda?

Powóz zawiózł nas rano do kościoła i z powrotem na śniadanie, ale mama zgodziła się, żebyśmy po południu pojechali na konną przejażdżkę, pod warunkiem że pozostaniemy w granicach majątku.

- Muszę jutro wyjechać - powiedział Richard - więc może poświęcisz mi trochę czasu teraz, Julio?

- Oczywiście - zgodziłam się - tylko się przebiorę.

- Pospiesz się zatem! - nakazał znanym mi apodyktycznym tonem.

Pobiegłam do mojej sypialni. Miałam do wyboru trzy stroje do konnej jazdy. Stary kremowy, teraz strasznie zniszczony, i dwa nowsze: jeden jasnoszary z szarym tweedowym żakietem, który pasował do moich oczu i który uważałam za niesłychanie elegancki, i ostatni, w kolorze ciemnej purpury. Kiedy pierwszy raz założyłam szary strój i zeszłam na dół, wuj John aż cicho zagwizdał z wrażenia; wymienił z mamą spojrzenie, którego nie potrafiłam zgłębić.

- To tylko dlatego, że ona zawsze nosi tę swoją starą amazonkę - powiedziała mama. - Ostatni raz szarą sukienkę miała na sobie po śmierci ojca.

376

Wuj pokręcił głową, a ja wiedziałam, że rozmawiają o Beatrice.

- Podobieństwo jest tak uderzające... - zaczął.

- Wcale nie - powiedziała mama z naciskiem, rezygnując ze swojej zwykłej uprzejmości. - To po prostu sukienka.

- Ale czy to jest ładna sukienka? - dopytywałam się zniecierpliwiona aluzjami, wolna od przesądów. - Nie uważasz, że to jest śliczna sukienka, wujku Johnie?

- Myślę, że jesteś bardzo próżną panią z Bath - powiedział czule - łasą na komplementy jak kotka. Rzeczywiście to jest bardzo ładna sukienka, a ty jesteś bardzo ładną dziewczyną i masz bardzo ładnego konia. Pasujecie do siebie, obydwójce w kolorze popielatym! A teraz idź stroszyć piórka gdzie indziej, dziedziczko Julio. Mam trochę pracy!

- Ja też pracuję! - przypomniałam dotknięta. - Jadę do Acre, żeby zobaczyć, czy przygotowali żwir i piasek do wysypania drogi, jeżeli stanie się zbyt grząska.

- Rzeczywiście, Julio, dziedziczko - powiedział John uśmiechając się. - Jedź, zrób swoje i wpadnij do salonu w drodze powrotnej. Chcę wiedzieć, czy oni są w stanie temu podołać. Fornal mówił wczoraj, że wiatr jest zbyt porywisty i będą musieli przerwać.

Potaknęłam i wyszłam, nie przejmując się, że moje podobieństwo do Beatrice wciąż powoduje niepokój Johna. On i ja zgodziliśmy się, że musimy żyć z duchem Beatrice, i obydwójce podchodziliśmy do tego

niesłuchanie beztrosko.

Richard nie widział jeszcze tego stroju. Teraz zastanawiałam się, czy jemu również przypadnie do gustu.

Spodobał się.

Wywnioskowałam to ze sposobu, w jaki na mnie patrzył. Czekał u stóp schodów, a ja schodziłam, falując aksamitnymi spódnicami na każdym stopniu. Spoglądał na mnie spod przymkniętych powiek. Uniósł moją dłoń z balustrady i ucałował ją, patrząc mi w oczy.

- Jesteś piękna, Julio - powiedział miękko. - Ledwie mogę w to uwierzyć. Znam cię przez całe życie, ale jakoś nie zauważyłem, że wyrosłaś na prześliczną dziewczynę.

Zaczerwieniłam się aż po nasadę włosów i popatrzyłam na niego. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. To był Richard, jakiego nie znałam.

Poczułam się dziwnie niezręcznie. Przywykłam uważać go

377

za swojego brata, przyjaciela, dręczyciela i zaufanego kompana; słowa podziwu z jego strony zbiły mnie z pantałyku.

- Dziękuję ci - odezwałam się jak idiotka i obdarzyłam go przeproszającym uśmiechem. - Czuję się tak głupio. Nie wiem, co powiedzieć, kiedy przemawiasz do mnie w ten sposób!

Zasępił się i poszedł przede mną w kierunku kuchennych drzwi. Pani Gough chwyciła go za rękaw i przed wyjściem wmusiła w niego świeżo upieczone bułeczki i kawę.

- Po tym żywieniu się u obcych została z was skóra i kości - powiedziała z zatroskaniem. - Wątpię, czy w ogóle gdzieś potrafią karmić tak dobrze jak tu w domu.

Richard był czarujący; zjadł to, co mu dała, wychwalał ją za ostatnią kolację i błagał o swoje ulubione danie na dziś po południu.

Obserwowałam go z uśmiechem. Zawsze był tak przekonujący. Mógł w ten sposób oczarować wszystkich, mógł trafić do każdego serca.

Pani Gough myliła się jednak. Wcale nie był chudy. Nadal wyższy ode mnie o głowę, teraz zaokrąglił się i zmężniał. Nigdy nie ważył dużo - zawsze miał szczupłą sylwetkę - ale stracił żrebięcą niezręczność i już nie był nerwowym młodzieniaszkiem.

Spuściłam oczy na własną filiżankę kawy. Nie mogłam patrzeć na Richarda krytycznie i nie dostrzec jego urody. Nawet kiedy był mały i bardzo niezdarny, każdy mógł mu pozazdrościć wyglądu - rzęsy długie jak u dziewczyny, cera tak gładka i zdrowa jak u niemowlęcia, do tego smukła sylwetka.

Podchwycił moje spojrzenie i uniósł brew w niemym pytaniu. Próbowałam się uśmiechnąć, ale stwierdziłam, że drzę. Richard skinął głową, jakby wiedział coś, czego ja nie wiedziałam. A jego uśmiech był bardzo poufały.

- Musimy iść, mamó Gough - rzekł stanowczo. - Chcę się przejechać przed obiadem.

- Piękny majątek ci przygotowują - powiedziała, otwierając przed nami drzwi.

- Tylko połowa jest dla mnie - poprawił ją łagodnie Richard.

- Ach, nonsens - powiedziała pani Gough bez ogródek, uśmiechając się do mnie, ale wpatrując w niego. - Dworek i ziemia potrzebują przystojnego młodego dziedzica, żeby sam nimi zarządzał. Chciałabyś, żeby panem tutaj był panicz Richard, prawda, Julio?

Usiłowałam wyszukać jakąś lekką odpowiedź, ale poczułam, jak ogarnia mnie fala gniewu i nie mogłam złożyć zdania. Wybąkałam coś i wyniosłam się z kuchni do ogrodu zimowego. Poszłam w kierunku stajni, zanim pani Gough mogła stać się bardziej niedyskretna.

Jem przygotował klacz dla mnie, ale nie wiedział, że Richard też pojedzie.

- Jak to? - zapytał Richard. - Jeździsz codziennie, Julio?

- Tak - powiedziałam. Richard podsadził mnie na siodło.

- Mamy tyle roboty z ziemią, a wuj John nie czuje się tak dobrze, żeby przebywać cały dzień poza domem. Pan Megson zaś nie może być wszędzie jednocześnie.

- Masz dużo roboty - podsumował Richard, ale nie było w tym aprobaty.

Poczułam się niezręcznie i lekko uniosłam w siodle.

- Bo wiele jeszcze trzeba zrobić... - odparłam broniąc się.

- A ja widzę, że ty robisz wszystko - powiedział Richard. Te słowa zabrzmiały jak pochwała, ale wiedziałam, że nie jest zadowolony. - Jaką cudowną małą panią dziedziczką jesteś, Julio. Acre musi cię wielbić.

- Bzdura - rzuciłam zakłopotana. - To jest po prostu praca, Richardzie. Tak samo pracowała Beatrice.

Mówiłabym dalej, ale ze stajni z wysoko odrzuconą głową wyszedł Księżę prowadzony przez Jema.

- Jest niespokojny - powiedział Richard i zabrzmiało to prawie tak, jakby się obawiał.

- Niezbyt często go ujeżdżano - wytłumaczyłam. - Jem wyprowadzał go, ale wuj John był zbyt zmęczony, żeby jeździć na nim w takie zimno.

Richard skinął głową.

- Trzymaj go w miejscu, dobrze? - nakazał nagle Jemowi, gdy zwierzę

wierzgnęło. Jem kiwnął, ale mrugnął do mnie kpiąco. Udawałam, że tego nie widzę.

Kiedy Richard znalazł się w siodle, wydał się bardzo pewny, chociaż był odrobinę blady.

- On chyba nie wybiegał ze stajni co najmniej od tygodnia!

- skarżył się. - Naprawdę, Julio, jeżeli tak bardzo starasz się spełniać obowiązki dziedziczki, to mogłabyś się upewnić, że konie są właściwie trenowane.

379

- Przykro mi - powiedziałam obojętnie. Wiedziałam, że Księżę wkrótce się uspokoi. Był zbyt dobrze ułożony, żeby pozwolić sobie, aby entuzjazm przeważał nad jego zwykłą statecznością. - Pan Megson trzyma w stajni jednego ze swoich koni. Jeżeli nie podoba ci się Księżę, możesz wypróbować tamtego

- zaproponowałam.

- Pojadę na naszym koniu - warknął Richard i pozwolił Księżciu ruszyć do przodu. Wyminął mnie galopem i wyjechał na drogę.

- Księżę jest w porządku - powiedział Jem uspokajająco.

- Nie jest narowisty. Jeżeli ucieknie, to i tak wróci do domu. Pan Richard musi tylko utrzymać się w siodle. Mam nadzieję, że to potrafi, panno Julio.

- Dziękuję ci, Jem - rzuciłam, hamując śmiech i pogalopowałam rozświetloną słońcem drogą za Richardem.

Miałam nadzieję, że pojedziemy w kierunku Acre, ponieważ chciałam zobaczyć, co sadzą na skraju błoni, ale Richard skręcił w prawo przed wsią i skierował się ku wzgórzom.

- Pomyślałem, że możemy przejechać się po górkach, a potem zjedziemy

sobie na błonia - zawołał przez ramię.

- Dobrze - zgodziłam się. Przynajmniej będę mogła sprawdzić owce, kiedy będziemy przejeżdżali obok stada. W końcu udało się je zapędzić w wyższe partie wzgórz i chciałam zobaczyć, czy mają się dobrze i jak zniosły swoje pierwsze dni pod gołym niebem.

- Dlaczego nie wiesz, co odpowiedzieć, kiedy mówię ci, jak bardzo cię podziwiam? - zapytał nagle, kiedy obydwie konie zwolniły po wjeździe na trakt prowadzący stromo pod górę i ciężko oddychały.

Znowu poczerwieniałam.

- Chyba dlatego, że znamy się tak długo... - powiedziała zażenowana - i tak długo jesteśmy przyjaciółmi, Richardzie. Po prostu wydaje mi się dziwne, kiedy mówisz do mnie w ten sposób.

- Ale twoi przyjaciele w Bath, James Fortescue i inni, bez wątpienia prawili ci komplementy, prawda? - ciągnął Richard.

- Czy, kiedy oni to mówili, też wydawało ci się to dziwne?

- Nie - odparłam uczciwie.

Konie weszły na wygodną dróżkę wydeptaną dawno przez stado zwierząt, wiodącą szczytami wzgórz. Patrząc na lewo, widziałam Acre i lasy Wideacre, drogę do Londynu, pół Sussex

380

i trochę Hampshire. Patrząc na południe, widziałam falujące morze i tysiące małych błotnistych wysepek w porcie Chichester.

- To dlatego, że wolisz ich ode mnie? - nagle zapytał Richard.

Drgnęłam i oderwałam wzrok od pięknego krajobrazu. Spojrzałam na Richarda. Oddychał szybko; miał zaczerwienioną twarz, a jego oczy jaśniały zimnym błękitem.

- Powiedz mi, Julio - nalegał. - Muszę wiedzieć! Napisałaś list, którego nie rozumiem. To dlatego przyjechałem do domu, do ciebie. Wierzyłem, że jesteśmy narzeczonymi. Dałaś mi swoje słowo; a teraz piszesz do mnie i jakby to był drobiazg, oświadczasz, że jesteś zaręczona z kimś innym!

- Richard! Nie! - rzuciłam. Zatrzymałam się i wyciągnęłam do niego rękę. Zeskoczył z Księcia i zszedł mnie z siodła. Kiedy dotknęłam stopami oszronionej trawy, nie puścił mnie, ale trzymał w mocnym uścisku, wpatrując się w moją twarz.

- Więc powiedz mi - zażądał ochryple - powiedz mi, że nie zmieniłaś się wobec mnie, nawet jeśli twoje stroje się zmieniły i choć jesteś tak dorosła i pewna siebie. Pamiętasz, co się stało, kiedy zaledwie wczoraj przyjechałem na pole? Powiedz, że wciąż mnie kochasz!

- Oczywiście, że tak - powiedziałam. - Zawsze tak było. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze cię kochałam, Richardzie. Jak możesz w to wątpić?

- Kochasz mnie jak kuzyna, wiem - wyszeptał przez zaciśnięte zęby - ale obiecałaś mi coś więcej, Julio. Ja kocham cię inaczej. Myślę, że wiesz o tym. Oboje wiemy, co to znaczy. Pytam cię, czy ty mnie również kochasz? To nie była prawda.

Gdzieś kryło się kłamstwo. Nie byłam głupia. Richard oszukiwał mnie wiele razy, a kochałam go beznadziejnie i bez wzajemności. Zawsze myślałam, że nadejdzie czas, kiedy weźmie mnie w ramiona i powie, że mnie kocha, a nasze dziecięce zauroczenie zamieni się w dojrzałą miłość. Teraz nadszedł ten czas.

Ale było zbyt późno.

- Naprawdę cię kocham - powiedziałam powoli - ale nie jestem pewna, co ta miłość oznacza dla nas obojga.

- Obiecałaś wyjść za mnie - naciskał Richard. - Kiedy ukończę Oksford i będziemy w odpowiednim wieku, wyjdiesz za mnie, tak zawsze planowaliśmy.

381

- Richardzie. - Byłam bezsilna. Jego ręce zacisnęły się mocno. Trudno było to uznać za pieszczotę. Zastanawiałam się, jak mu wytłumaczyć, że choć jest moim najdroższym bratem i przyjacielem, miłość jest czymś zupełnie innym i nie powinien jej mylić z uczuciami do mnie.

Przyciągnął mnie jeszcze bliżej, a jego ręka objęła moje plecy. Czułam, jak z lęku zasycha mi w ustach. Ujął mnie pod brodę i zmusił, bym patrzyła mu w oczy.

Zawsze robił ze mną, co chciał. Nigdy nie powiedziałam mu „nie”. Nawet nie uciekałam przed jego gniewem. Jak mam teraz wyrwać się z jego objęć?

- Richardzie... - szepnęłam.

Pogładził mnie po plecach, czułam gorąco napierającego na mnie ciała. Gładził moją twarz, policzki i szyję. Ale moje ciało nie odpowiedziało mu, nie poddało się pod jego dotykiem. Zamiast tego usłyszałam w głowie jakby brzęczenie rozgniewanej pszczoły i poczułam, że włosy na karku podnoszą mi się jak sierść przestraszonego psa. Pierwszy raz w naszym życiu umknęłam psychicznie przed dotykiem Richarda. Nie mogłam tego powstrzymać.

Pochylił się niżej i lekko pocałował mnie w usta.

Pozostałam bierna. Niczego nie osiągnęłabym wyrywając się, za moimi plecami była Mgiełka i nie mogłam bardziej się cofnąć. Ale kiedy jego wargi mocniej naciskały na moje nieruchome usta, nie potrafiłam

powstrzymać dreszczy.

Źle zrozumiał moje drzenie. Przerwał pocałunek i uśmiechnął się.

- Jesteś podniecona - powiedział pewny siebie. - Kochasz mnie i chcesz mnie.

- Nie - odparłam natychmiast. - Wybacz mi, Richardzie, ale to nie wygląda w ten sposób.

- Jesteś rozpustna - orzekł chłodno. - Zawsze byłaś moja. Przyszłabyś do mnie o każdej porze dnia i nocy. Wystarczyło, że kiwnąłbym palcem. Ale potem wyjechałaś do Bath i myślę, że znalazłaś kogoś innego, innego ukochanego. Ale tutaj i teraz biorę cię z powrotem.

- Nie, Richardzie - powiedziałam spokojnie. Oddychałam szybko, ale umysł miałam przeraźliwie jasny. Wiedziałam, że to, co mówił Richard, nie jest prawdą.

- Jesteś dziwką i rozpustnicą - rzekł lodowato. - Poszłabyś z każdym mężczyzną, który schlebiałby twojej gigantycznej

382

próżności. Odgrywałaś po całym Bath małą dziedziczkę i robiłaś z siebie przedstawienie, odnajdując tych nędzarzy i sprowadzając ich do domu.

Teraz węszy wokół ciebie syn jakiegoś taniego handlarza, a ja mam wierzyć, że to jest miłość! To próżność i żądza, Julio. Jesteś moją narzeczoną i zadbam o to, by cię zatrzymać.

Wyszarpnęłam się gwałtownym ruchem i odwróciłam głowę ku grzbietowi srebrzystoszarej Mgiełki. Zapach jej ciała uspokoił mnie.

- Nic z tego nie jest prawdą - powiedziałam powoli. Wrzało we mnie, ale skoro zdołałam powstrzymać doktora Phillipsa, który wtrącał się w moje najintymniejsze nadzieje i obawy, nie mogę się dać wciągnąć w kolejną

pułapkę. - Nic z tego nie jest prawdą - powtórzyłam. - Jestem zakochana w Jamesie Fortescue. Pojechałam do Bath jako wolna kobieta. Kiedy byliśmy dziećmi, bawiliśmy się tylko w odgrywanie zaręczyn, ale ani mama, ani papa nie zachęcali nas do tego. Odkąd dorośliśmy, nigdy nie czułam, żebyś kochał mnie w ten sposób. Kocham cię jak brata i dalej tak będzie, jeżeli będziesz mnie traktował dobrze. Nie licz jednak na nic innego.

- Julio! Łamiesz mi serce! - krzyknął Richard. W jego głosie zabrzmiał taki ból, że obejrzałam się zaskoczona. Jego usta mówiły gorące słowa, ale oczy pozostały ostre i zimne. - Kochałem cię przez całe moje życie. Odrzucałem zaproszenia na bale i biesiady w Oksfordzie, ponieważ uważałem się za zaręczonego mężczyznę. Teraz mówisz mi, że to nic dla ciebie nie znaczy! Zapomniałaś, jak bardzo kochaliśmy się w dzieciństwie, zanim to całe Acre zaczęło wchodzić pomiędzy nas? Zanim wrócił pan Megson, zanim zaczęłaś wychodzić z domu, zamiast czekać tam na mnie. To właśnie zabrzmiało fałszywie. Odsunęłam się tak daleko, że mogłam obserwować jego twarz.

- Co się z tobą dzieje? - zapytałam cicho.

- Nic - rzucił szybko. Za szybko.

- Nie musisz mnie kochać - powiedziałam powoli, niemal ze smutkiem. - Wiesz, że zawsze będę cię kochała jako najdroższego przyjaciela i brata. Nikt nie może odebrać nam tej miłości. Nikt nie może zastąpić cię w moim sercu. Nie musisz udawać, że czujesz do mnie pożądanie, kiedy tak nie jest.

Było w tym zaproszenie. Gdyby Richard potrafił to usłyszeć i zrozumieć! Ale on nie był taki.

Dziwne. Wierzyłam, że kobiety są romantyczkami i chętnie przyjmują kłamstwa w otoczce gładkiej, grzecznej kurtuazji. A ja oddałabym wszystkie kwiaty świata, żeby dowiedzieć się, co kryło serce Richarda owego jasnego dnia na szczycie wzgórz. Ale on się nie zdradził.

- Wiem, że nie muszę cię kochać - kontynuowałam łagodnie. - Ale mogę ci powiedzieć, mogę powiedzieć to dobrowolnie, że naprawdę kocham cię całym swoim sercem i duszą.

Pochylił ciemną głowę i jeszcze raz mnie pocałował. Poczułam taką litość, że pozwoliłam mu to zrobić. Oddychał coraz szybciej i mamrotał moje imię, a jego wargi wędrowały w górę i w dół wzdłuż szyi, od ramion do ucha.

Gwałtownie odwróciłam głowę i próbowałam go odepchnąć. Wtedy zobaczyłam jego twarz; całkowicie wypraną z emocji, ani ciepłą, ani kochającą, bez śladu pożądania. W jego oczach był absolutny chłód, jakby obserwował mnie i oceniał.

- Czy to prawda, że już mnie nie chcesz? - zapytał. Głos miał zimny jak lód.

Poprawiłam szal wokół szyi i wygładziłam zakiet. Kapelusz również mi się zsunął i przypięłam go najlepiej, jak potrafiłam. Czułam się pomięta i oszukana.

- Tak - powiedziałam. - Przykro mi, ale jestem zaręczona z innym człowiekiem i kocham go jak mężczyznę. Ciebie kocham jak brata i to wszystko.

- Zatem jesteś wiarołomna i złamałaś mi serce! - wykrzyknął, odwrócił się i wskoczył na Księcia.

- Richardzie - zawołałam.

Ale on zawrócił konia tak blisko, że koniec ogona uderzył mnie w twarz. Richard z wysokości jego grzbietu miotał groźne spojrzenia. Zerwał Księcia do galopu, mocno ściskając go piętami i tnąc biczem. Koń podrzucił głowę i pomknął z szybkością błyskawicy. Mgiełka szła bokiem, podniecona; chwyciłam ją za uzdę.

Nie spieszyłam się, by jechać za nim. Siedziałam na wzgórzach, płacząc nad nim i nad sobą. Byłam głupia myśląc, że Richard łatwo zaakceptuje kogoś u mego boku. Płakałam nad moją głupotą i utratą jego braterskiej miłości.

Podprowadziłam Mgiełkę do wzgórka, którego mogłam użyć jako podpórki, żeby wsiąść na wysokie siodło. Otarłam oczy grzbietem rękawiczki i żałośnie pociągnęłam nosem. Powoli ruszyłam górską ścieżką prowadzącą do stóp wzgórza. Był tam.

384

Czekał na mnie, trzymając Księcia za uzdę. Stał bardzo spokojnie z boku ścieżki. Czekał ze swoim najśłodszym uśmiechem.

- Julio, wybacz mi - powiedział łagodnie i wyciągnął do mnie rękę.

Owładnęło mną uczucie ulgi, że już nie jesteśmy skłóceni.

- Och! Richardzie! - wyjąkałam.

- Mówiąc prawdę, jestem zazdrosny - powiedział uczciwie - ale nędzny ze mnie Otello. Cały czas myślałem o tobie jak o małej dziewczynce, a ty wyrosłaś na silną i piękną kobietę. Mam tylko nadzieję, że twój James jest ciębie wart. Ale obiecuję, że będę tańczył na twoim weselu aż do zderzenia obcasów. I obiecuję, że nigdy więcej nie usłyszysz ode mnie wyrzutów! Puściłam wodze i przytrzymałam dłoń Richarda w swoich rękach.

- Och, Richardzie. Naprawdę dziękuję ci. To z mojej winy, byłam bezmyślna i egoistyczna, że nie wyjaśniłam ci wcześniej, co się zdarzyło. To stało się tak nagle...

- Opowiedz mi! - powiedział zapraszająco i skierował nasze konie na łatwą ścieżkę w dół wzgórza. Jechałam z kompanem z lat dzieciństwa i najlepszym przyjacielem. Richard uśmiechał się, wypytywał o rodzinę Jamesa i nasze dni w Bath; zobowiązał się, że pokocha ich wszystkich dla mnie.

Mgiełka zrobiła unik przed łopocącą na żywopłocie szmatą, kiedy ślizgaliśmy się w błocie, zjeżdżając ze wzgórza.

- Ona jest jeszcze spłoszona - powiedział Richard. - Zachowałem się jak głupiec, jak złośliwy głupiec. Jedźmy do domu przez błonia i dajmy koniom pogalopować.

Zgodziłam się i zawróciłam w kierunku wiejskiej drogi. Objechaliśmy wieś, omijając pastwiska aż do krawędzi wspólnej ziemi, gdzie ponownie wycięto ochronny pas przeciwpożarowy. Teraz była tam wstęga białego miękkiego piasku, szeroka jak rzeka. Uszy Morskiej Mgiełki poszły do przodu.

- Ścigamy się? - zawołałam. Wiedziałam, że jest pewny Księcia. Richard skinął głową. Ściągnęliśmy cugle; konie parsknęły czując, co się zbliża.

- Raz, dwa, trzy, start! - krzyknęłam; wiatr zmiotł moje słowa, kiedy konie skoczyły do przodu.

Początkowo Księżę prowadził, ale Morska Mgiełka wyrównała tempo i znalazłam się obok Richarda. Popatrzyliśmy na siebie przez podmuchy wiatru, rozwiane grzywy i chmurę piasku.

Księżę przyspieszył i wyrwał się do przodu, wzbijając kopytami fontannę piachu, który obsypał mi twarz. Morskiej Mgiełce nie podobało się to tak samo jak mnie; instynktownie zwolniła przed lekkim zakrętem i pomknęłyśmy za Księciem w górę po stromym zboczu. Stromizna działała na niekorzyść starszego konia - coraz bardziej pracował bokami, kiedy Morska Mgiełka wzięła głęboki sypki piasek i pochyłość wzgórza lekkim galopem. Minęłyśmy Richarda. Pochyliłam się i przywarłam jak rzep do grzywy klaczy. Potem podciągnęłam ją ku zwieńczeniu wzniesienia i czekałam, aż Richard i Księżę podjadą.

Błękitne oczy Richarda jaśniały zadowoleniem, twarz miał upstrzoną błotem.

- To był wielki wyścig! - zawołał. - Wygrałbym, gdyby nie to wzgórze.

- On jest cudownym staruszkim - powiedziałam pochylając się, by pogłaskać Księcia po spoconej szyi. - Musiał być znakomitym koniem do polowań, kiedy był młody.

- Jeździsz tak dobrze - przyznał Richard wspaniałomyślnie. - Musi być racja w tym, co mówią, że jesteś urodzonym jeźdźcem.

- Mamy to we krwi - powiedziałam. - Oboje jesteśmy z Laceyów.

Richard uśmiechnął się na to.

- Ty i ja - wyszeptał z satysfakcją - ty i ja.

- Mam piasek w oczach - powiedziałam mrugając i pocierając je wierzchem rękawiczki. - Czy całą twarz mam w błocie?

- Tak - odparł Richard z braterską bez troską - i włosy ci się rozsypały.

- Potrzyj mi lejce - poprosiłam, wręczając mu je; ściągnęłam rękawiczki i wymacałam spinki we włosach. Spięłam potargane kosmyki i odebrałam cugle od Richarda. Siedzieliśmy w milczeniu, dając koniom

wypocząć i czekając, aż sami ochłoniemy.

Przed nami w dole rosły ściany nowego dworku Wideacre, a po lewej stało lekko złociste pudełko - to był Dower House. Dalej, w dolinie, rozciągała się wieś Acre, mogliśmy dostrzec jedynie wieżę kościelną i fragmenty niektórych chałup ukrytych za drzewami parku. Na krawędzi błoni przycupnęły odseparowane od wsi chatki osadników, na wpół przykryte mchem i wrzosem, małe drewniane schrony budowane przez ludzi, którzy żyli na

386

marginesie społeczeństwa, zawsze bliscy głodu i zawsze bliscy utraty tych niewielu praw do wypasania bydła, kopania torfu i zbierania drewna na podpałkę. Zawsze chorzy, zawsze posądzani o złodziejstwo i kłusownictwo.

W fatalnych dla majątku latach Acre zyskało sławę ziemi bez dziedzica. Nowi ludzie przybywali tu osiedlać się na skraju wspólnych gruntów. Teraz powstała tam prawie wioska - mała społeczność obok Acre - wyrzucona za połąć pastwisk.

Dalej znajdował się schludny krąg malowanych wozów i namiotów - to Cyganie, którzy zjeżdżali tu na jesień i zimę. Przybywali co roku, wierząc legendzie mówiącej, że bardzo dawno temu Wideacre należało do Cyganów. Nikt nie potrafił ani tego udowodnić, ani temu zaprzeczyć.

Uparli się, by w to wierzyć, a nikt nie rzuciłby wyzwania Cyganom, którzy potrafili walczyć na śmierć i życie, jeżeli w grę wchodziła dumy, albo cygańskiej kobiecie, która mogła rzucić zaklęcie, jeśli chciała.

Ogłosili, że będą tam obozowali w małym kręgu wozów i namiotów, trzy rodziny żyjące razem od czasów rzymskich. Wideacre zaakceptowało ich

jako jeszcze jeden element naturalnego porządku, który zsyła zgniliznę kopyt u owiec w zimie, a motylicę wątrobową w lecie. Dawniej kobiety z Acre skarżyły się, że ginie im pranie ze sznurów, a z grządek warzywnych trochę rzepy albo słodkich marchewek. Ale nikt nie próbował nawet powstrzymać ich od przychodzenia i odchodzenia, kiedy tego chcieli. Każdej zimy rozkładali swój obóz w tym samym miejscu, w tym samym małym kręgu z ogniskiem pośrodku. Ludzie mówili, że ich wczesny przyjazd jest sygnałem ostrej zimy i że przepowiadają pory roku tak samo dobrze jak krzewy w żywopłocie czy zwierzęta. Tej zimy przybyli późno i z sobie tylko znanych powodów pozostali.

Zawróciliśmy konie i skierowaliśmy się w stronę traktu biegnącego wzdłuż małego lasu. Jechaliśmy w milczeniu, w cichym towarzystwie owiec. Konie hałasowały trochę, kiedy ich kopyta grzęzły w piaszczystej glebie rozmarzniętej od deszczu. Wtem Morska Mgiełka wierzgnęła - przed nami z lasu wyskoczył królik i przemknął przez ścieżkę. Tuż za nim wyfrunął sokół i rzucił się w pogoń. Rozłożył szeroko skrzydła, przyhamował, wyrzucił do przodu łapy zakończone pazurami i zanurkował, mierząc w szyję królika. Królik krzyknął jak dziecko i upadł nieruchomo - była to szybka czysta śmierć. Sokół złożył skrzydła zadowolonym ruchem

387

i rozejrzał się dookoła. Patrzył prosto na nas, zamarły ze zdziwienia. Jego głębokie oczy koloru nagietków wpatrywały się w nas bez strachu.

- On należy do Ralfa Megsona? - zapytał cicho Richard. Przytaknęłam bez słów. Sokół wytrzymał moje spojrzenie.

Wtem przy ziemi dostrzegłam jakiś ruch i pojawił się czarny pies. Czarny

jak żałobny aksamit. Był to mieszaniec charta z owczarkiem szkockim. Wybiegł z trawy z nosem przy ziemi, aż dostrzegł sokoła i jego ofiarę. Zatrzymał się - widać był doskonale wytresowany - i położył się z uniesioną głową, przednie łapy wyciągnął do przodu jak odpoczywający lew.

Wtedy usłyszeliśmy lekki szmer i z cienia drzew wyszedł Ralf. Dla utrzymania równowagi podpierał się jedną kulą. Skinął nam obydwójgu, ale nie odezwał się, my również milczeliśmy. Wzrok miał wbity w sokoła. Podeszedł do niego, nic nie mówiąc i wyciągnął coś z małej torby przytroczonej do pasa. Był to kawałek mięsa, który wziął ubraną w rękawicę dłonią i którym pomachał ptakowi kusząco. Sokół popatrzył na niego znad głowy królika, niezdecydowany. Potem rozpostarł skrzydła i na pół podskoczył, na pół podfrunął do oferującej jedzenie ręki. Pochylił swoją piękną głowę, szarpnął mięso i chwycił je w żółte pazury.

Ralf wyciągnął zza pasa smycz, przymocował do pęta na nodze sokoła i potem ostrożnie owinął wokół dłoni. Skinął na psa, który pognał do przodu, podniósł królika i przyniósł mu. Ralf cisnął zdobycz do torby, pogłaskał psa po głowie i również dał mu kawałek mięsa. Dopiero wtedy uśmiechnął się do nas. Sokół balansował na jego ręce krzycząc, szare piórka na piersi wciąż nastroszone unosiły się z podniecenia.

- Dzień dobry, panno Julio, panie Richardzie.
- Przestrzega pan niedzieli i jednocześnie się zabawia, panie Megson - powiedziała zadowolona, że go przyłapałam.

Uśmiechnął się swoim powolnym ciepłym uśmiechem.

- Rzeczywiście jestem bezbożnikiem - przyznał. - Ale naprawdę muszę jeść, panno Lacey!

- Dzień dobry - przerwał chłodnym tonem Richard, ale potem zapomniał o swojej wyniosłości. - To było wspaniałe! Widziałem to! Tuż przed nami! Nigdy przedtem nie widziałem polującego sokoła z tak bliska! Tuż przed naszymi nosami!

- Tak, jest wspaniały - powiedział dumny z ptaka Ralf. - Mam go trzy lata i jeszcze nie widziałem, żeby chybił.

388

- Jaka była jego największa zdobycz? - zapytał Richard.

- Złapał parę zajęcy - powiedział Ralf. - Potrafi dostać również bażanta. Bez problemów dopada cietrzewia i kaczkę. Cała rodzina może po królewsku wyżywić się tym, co on upoluje.

- Nie sądzę, żeby pozwolił się trzymać komukolwiek innemu... - zagadnął Richard znacząco.

Ralf uśmiechnął się do niego.

- Tak, możesz go potrzymać - zachęcił życzliwie. - Chociaż będziesz musiał zejść z konia - nie lubi być trzymany, kiedy siedzi się na koniu. To jest jego jedyny minus i wielka niewygodą dla mnie. Mogę dotrzymać mu tempa na małych dystansach, ale pod koniec dnia jestem bardzo zmęczony wyszukiwaniem rozrywek dla niego i odbieraniem zdobyczy.

Richard w sekundę zsiadł z konia, a Ralf wyciągnął rękę i przytrzymał wodze. Wyciągnął z torby zapasową rękawicę i Richard nałożył ją.

- Czy kiedykolwiek wcześniej miałeś do czynienia z sokołem? - zapytał cicho. Richard potrząsnął głową. - Dobrze, weź go od tyłu. Połóż po prostu rękę odrobinę wyżej nad moją, tam, gdzie są jego łapy. - Richard wyciągnął dłoń, sokół cofnął się i wszedł na jego rękę.

- Niewierna - powiedział Ralf z żartobliwym wyrzutem. Wręczył smycz

Richardowi i pokazał, jak ją owinać wokół ręki.

- Dobrze, jeśli ptak to czuje, a ty nie możesz wypuścić go przez przypadek. Zawsze trzyma się sokoła na smyczy w ten sposób.

Richard potaknął z twarzą pojaśniałą z przejęcia.

Rozwichrzone piórka na piersi ptaka ułożyły się tak, że wyglądał na wychudzonego i niezadowolonego. Pod ostrym spojrzeniem pomarańczowych oczu poczułam się jakoś nieswojo, a w głowie słyszałam szum, jakby wiele osób naraz szeptało ostrzeżenie.

- Chcesz się z nią trochę zapoznać? - zaproponował Ralf. Richard znowu przytaknął. - Po prostu przejdźcie się - poradził Ralf. - Poczuj ją na swojej ręce.

Richard ruszył ostrożnie, próbując iść lekko po nierównym piasku.

- Nie musisz być taki ostrożny! - zawołał za nim Ralf.

- Przywykła do mojego kulawego chodu i u ciebie czuje się jak żaglówka na spokojnym morzu.

389

Richard zaczął iść trochę szybciej i widzieliśmy, że sokół kiwa się, by utrzymać równowagę.

Ralf pogładził Mgiełkę po szyi i popatrzył na mnie.

- Nie było kłopotów w domu po siewach? - zapytał. Pokręciłam głową.

- Nie.

- Czy on długo tu zostanie? - zapytał, wskazując głową Richarda, który zawrócił i szedł w naszym kierunku.

- Nie - odparłam - jutro wyjeżdża.

- Jutro będziemy orali pole na błoniach - przypomniał lakonicznie Ralf.

- Będę tam - powiedziałam spokojnie.

Richard podszedł do nas i zrozumiałam, nie wiem w jaki sposób, że sokół się boi. Czułam mrowienie w palcach, tak ostre jak od igły do cerowania. Odczucie było tak przenikliwe i gwałtowne, że krzyknęłam i spojrzałam na swoje rękawiczki, żeby sprawdzić, czy ciernie janowca nie przebiły skóry. Potem obejrzałam się na sokoła i zobaczyłam, że piórka na piersi ma ściśnięte. Był porażony strachem.

Gdy tylko zobaczył Ralfa, rozłożył skrzydła i pofrunął ku niemu. Richard mocno trzymał zaciągniętą linkę, która szarpnęła ptaka, przerywając jego lot. W sekundę odwrócił się do góry nogami i kręcił się na smyczy, bijąc skrzydłami w panice, żeby odzyskać równowagę.

- Spokojnie - powiedział szybko Ralf; rzucił mi cugle Księcia i zrobił dwa wielkie susy krokiem kaleki.

Richard miał wyraz twarzy mordercy. Szarpnął sokoła, jakby był lalką na sznurku, a nie żywym stworzeniem.

- Wracaj! - wrzasnął i wyrzucił rękę wysoko, a ptak trzepotał się bezsilnie na końcu linki.

Księżę podrzucił wysoko głowę, a Mgiełka odsunęła się, położywszy uszy płasko po sobie. Niemal spadłam z siodła, usiłując utrzymać dwa niespokojne konie.

- Spokój! - krzyknął Ralf tonem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszałam. Chwycił Richarda za ramię, przytrzymał mocno. Drugą rękę podłożył pod skręcającego się i miotającego ptaka i pogładził go po piersi. Richard dalej trzymał mocno owiniętą wokół dłoni linkę, więc Ralf podniósł ptaka łagodnie, tak łagodnie jakby trzymał pisklę i posadził z powrotem na rękawicy Richarda.

Kiedy tylko sokół na niej stanął, znowu się zerwał prosto do Ralfa w panicznym strachu, żeby być z nim, daleko od Richarda. Ralf instynktownie wyciągnął ręce, żeby go złapać i zwolnił ramię Richarda. Ten szarpnął ostro linkę, jakby chciał przyciągnąć psa do nogi, i wszyscy usłyszeliśmy przerażający trzask, trzask podobny do dźwięku łamiących się gałązek.

Mgiełka podskoczyła, jakby ziemia otworzyła się jej pod kopytami, i z hukiem opadła na tylne nogi, a ja spadłam z jej grzbietu, uderzając mocno o ziemię. Straciłam oddech, Ukryłam twarz w dłoniach i instynktownie skuliłam się w małej rozpadlinie. Ona tymczasem dała nade mną susa i pobiegła, potem zwolniła i pochyliła głowę nad świeżym wrzosem kilka jardów dalej. Wciąż trzymałam w rękach cugle Księcia, który stał spokojnie, chociaż oczy miał oszalałe ze strachu.

Ralf zerwał linkę z ręki Richarda i szybko owinał ją wokół własnej. Potem złapał ptaka i stulił mu skrzydła, tak że nie trzepotał się więcej. Włożył jego głowę pod swoją kurtkę, a drugą ręką poszukał czegoś w torbie.

Wyjął z niej mały kaptur, pracowicie wykonany z wyszukanej miękkiej skóry, z małą kitką z kurzych piór na górze. Założył mu szybko kaptur i zębami zaciągnął mocno skórzane rzemyki. Potem wyciągnął z dna torby coś przypominającego pończochę i naciągnął to na ciało ptaka, aż skrzydła zostały unieruchomione. Włożył sokoła do torby, w której był upolowany przez niego królik. Dopiero kiedy sokół już bezpiecznie zakapturzony i owinięty leżał wygodnie w torbie, Ralf odwrócił się do mnie.

- Wszystko w porządku, dziewczyno?

Przytaknęłam i podniosłam się z ziemi. Obydwoje patrzyliśmy na Richarda, który z poczuciem winy stał przed nami. Ralf spojrzał na niego

uważnie.

- Co z tobą? - zapytał bardzo wolno.

Coś w sposobie, w jaki to powiedział, zmroziło mnie.

Nie mówił jak człowiek, którego ukochany sokół właśnie został zraniony.

Nie krzyczał z wściekłości. Nie przybrał nawet lodowatego tonu gniewu.

Zadał pytanie głosem, który trzymał Richarda na dystans, jakby go badał.

Mówił, jakby Richard cierpiał na jakąś groźną, niebezpieczną chorobę, którą mógł zarazić nas wszystkich. Wpatrywał się w niego, jakby chciał zajrzeć w głąb jego duszy.

Richard splonął purpurą aż po korzonki włosów.

391

- Nie wiem - odparł zawstydzony. - Sfrunął mi z ręki i nie wiedziałem, co robić. Nie zdawałem sobie sprawy, co robię.

Zapadło długie milczenie.

- Naprawdę bardzo mi przykro, panie Megson - powiedział Richard. Jego głos odzyskał siłę i widziałam, jak umyka wzrokiem przed Ralfem. - Nie chciałem przerazić pańskiego sokoła, naprawdę. Mam nadzieję, że się nie zranił?

- Wiesz bardzo dobrze, że ma złamane obydwie nogi - rzekł dobitnie Ralf.

- Słyszałem, jak trzasnęły, kiedy szarpnąłeś linkę. Dlaczego ciągnąłeś w ten sposób?

- Nie robiłem tego! - wybuchnął Richard. - To nie było tak! On po prostu odfrunął, a ja przytrzymałem linkę, żeby mu zapewnić bezpieczeństwo!

- Nieprawda - zaprzeczył Ralf, a ton jego głosu był lodowaty - szarpnąłeś ją z wściekłością do tyłu.

Zawahał się i popatrzył w zamyśleniu na Richarda.

- Wielu go trzymało i nigdy wcześniej nie ucierpiał w ten sposób - powiedział do siebie.

Zapadła długa cisza, kiedy Ralf zastanawiał się nad czymś.

- Zwierzęta cię nie lubią, prawda? - zapytał w końcu. Richard nie odpowiedział. Wyciągnęłam rękę, żeby poklepać Księcia po grubej szyi, jakbym chciała się upewnić, że prawdziwy świat jeszcze istnieje. Głosy w mojej głowie wezbrały na sile, jakby dwudziestu ludzi mamrotało mi ostrzeżenie, żebym słuchała, żebym uważała, żebym rozpoznała realne niebezpieczeństwo, kiedy je zobaczę. Czułam się oszołomiona, prawie oślepią niewidocznym śniegiem.

Coś brzęczało mi w głowie, jakby Beatrice była bardzo blisko i usiłowała mnie wezwać, powtarzając natrętnie jakiś okrzyk. Powinnam była tego posłuchać, powinnam usłyszeć i zrozumieć jej przesłanie. Opuszki palców tak mnie bolały, jakby krwawiły z ranek zadanych tysiącem maleńkich igieł.

Byłam zdenerwowana z powodu sokoła, bałam się gniewu Ralfa i martwiłam się o Richarda.

Nagle Ralf zwrócił się do mnie.

- Miewasz widzenia, Julio - rzucił mi wyzwanie. - Powinnaś wiedzieć. Co widzisz, kiedy patrzysz na Richarda?

Obróciłam wzrok na mojego kuzyna, a on popatrzył na mnie swoimi przejrzystymi niebieskimi oczyma. Hałas w mojej głowie był zbyt donośny, żebym w ogóle mogła o czymś myśleć. Widziałam Richarda,

392

mojego ukochanego Richarda, mojego współspadkobiercę i towarzysza zabaw dziecińczych. Ale zobaczyłam również niebezpieczeństwo i strach, i

okropność.

- Nie widzę nic. Nic - powiedziałam desperacko. - Niczego nie widzę i niczego nie słyszę. Nie mam daru, o którym myślisz. Nie potrafię widzieć.

- Oderwałam wzrok od Richarda. - Chcę wrócić do domu.

Ralf pokuśtykał do miejsca, gdzie Morska Mgiełka niespokojnie skubała kępkę trawy. Kiedy go dostrzegła, obróciła się wokół własnej osi i ustawiła się do niego zadem, jakby zamierzała go kopnąć - Mgiełka, która nigdy, odkąd ją znaleźliśmy, nie okazywała złości.

- Uspokój się - powiedział mrukliwie Ralf i ruszył w jej kierunku.

Chwycił ją za lejce i przyprowadził do mnie. Podrzucił mnie na siodło i nie odezwał się już słowem ani do mnie, ani do Richarda. Odjechaliśmy w milczeniu. Zostawiliśmy go stojącego przy małym kopczyku z torbą myśliwską na plecach i czarnym psem leżącym u jego stóp. Kiedy odjeżdżaliśmy, czułam jego oczy na swoich plecach, czułam, że jest pogrążony w myślach o nas obojgu i obserwuje nas przez całą drogę do domu.

ROZDZIAŁ Dwudziesty.

Jechaliśmy do domu w milczeniu. Porozumienie, które osiągnęliśmy po sprzeczce na wzgórzach, zostało zniweczone przez dziwny, niepokojący wypadek z sokołem Ralfa. Mama i wuj John śmiali się z jakiegoś dowcipu przy obiedzie i nie zauważyli, że Richard i ja byliśmy zakłopotani i milczący. Kiedy nadszedł czas pójścia do łóżka, chciałam pożegnać się z Richardem. Miał wyruszyć rano wczesnym dyliżansem, zanim się obudzę. Richard pocałował mnie w rękę; a później przyciągnął do siebie i pocałował w policzek.

- Wszystko dobrze? - zapytał powiedzeniem z naszego dzieciństwa.

- Dobrze, wszystko w porządku - zapewniłam. Ale oboje wiedzieliśmy, że tak nie jest.

Szeherezada bała się go. Owce uciekały w popłochu. A sokół Ralfa wpadł w panikę.

Oczekiwałam, że Ralf porozmawia ze mną o Richardzie, zaraz gdy przyjadę na pole w poniedziałek rano - szary, mokry poniedziałkowy poranek bez radości i magii tamtego dnia. Ale on tylko uchylił przede mną kapelusza i nie powiedział ani słowa.

- Jak się czuje twój sokół? - zapytałam go, kiedy zrobił przerwę na śniadanie.

Siedział na grzbiecie konia obok mnie, a oracze i siewcy stali w chlupoczącym błocie, jedząc śniadanie. Zatopił zęby w chrupiącej kromce chleba i żuł powoli, zanim odpowiedział.

- Skręciłem mu kark - rzekł spokojnie. - Nóg nie dałoby się wyleczyć całkowicie. Nie mógłby już polować, a ja nie trzymam

394

zwierząt domowych. Był pracującym ptakiem; nie chciałbym patrzeć, jak próżnuje i tyje.

Na mojej twarzy odbiło się przerażenie, ale nie wyraziłam współczucia.

- Puściły mu nerwy - powiedział krótko. Te słowa zabrzmiały złowieszczo. - Nigdy wcześniej nie uciekał z ręki, nigdy odkąd sięgam pamięcią. Spędzałem z nim całe noce i trenowałem go do rękawicy przez trzy lata. Ale nie spodobał mu się Richard, prawda? Coś w nim przeraziło go. Przeraziło tak bardzo, że złamał nogi, próbując od niego uciec.

Nic nie powiedziałam. Siedziałam na koniu jak szary posąg na tle szarego nieba. W głowie czułam niskie buczenie podobne do roju poruszających

się sennych pszczoł.

- Powiedziałaś, że nie potrafisz ani tego usłyszeć, ani zobaczyć - dodał w zamyśleniu Ralf. Wpatrywał się w ciemność, potem odwrócił się w siodle i popatrzył mi w twarz. - Powodzenia! Jesteś głupia, Julio Lacey - powiedział gwałtownie. - Myślałem, że nauczyłaś się używać jasnowidzenia, ale ty używasz go tylko wtedy, kiedy ci to odpowiada. Słuchaj tych swoich głosów. Patrz tymi swoimi oczami.

Wyciągnęłam do niego rękę, ale on ją odtrącił, a jego wrażliwy koń odskoczył w bok.

- Nie mam do ciebie cierpliwości! Beatrice dzieliłaby cię batem! - Spiał konia i odjechał, by sprawdzić docisk lemiesza, który był idealny, kondycję koni, która była dobra, i czy zaorane bruzdy są proste, a były. Wtedy ponownie zwołał wszystkich do pracy, kilka minut przed umówioną porą, czego się nie praktykowało.

Dogłądałam pracy przez półtorej godziny po przerwie śniadaniowej, a potem podjechałam do Ralfa i zapytałam, czy ma dla mnie jakieś polecenia. Rzucił mi gniewne spojrzenie i powiedział, że nie. Oznajmiłam, że wrócę na pole mniej więcej za godzinę, bo chciałabym potrenować Morską Mgiełkę na błoniach. Skinął krótko.

Nie wybaczył mi i przez kilka następnych tygodni panowała pomiędzy nami rezerwa. Ralf uważał mnie za głupią i perfidną, a ja czułam się obrażona. Był środek siewów - obydwójce spędzaliśmy dnie w tym ponurym nastroju, ponieważ byliśmy zbyt zajęci, żeby wyjaśniać i pokonywać wzajemne urazy. Wreszcie pośpiech wczesnych tygodni wiosny zakończył się. Orkę wykonano, mężczyźni

i kobiety mogli dokończyć siew, a my nie musieliśmy już ich pilnować. Owce na wzgórzach przełamały w niektórych miejscach ogrodzenie i trzeba było je naprawić, ale zrobiono to bardzo szybko. Jagnięta odstawiono od matek i wypuszczono bez żadnych kłopotów na pastwiska. Fenny wezbrała deszczową, mętną wodą, więc pojechałam sprawdzić, czy brzegi się trzymają, ponieważ niektóre pola pszenicy leżały niebezpiecznie blisko rzeki. Żałowałam, że poszliśmy w ślady Beatrice - to były jej pola. Wuj John kupił kilka krów i byka - wypuściliśmy je na niżej położone pastwiska przy Fenny. Byk był wielkim czerwonym zwierzęciem z mocnym kółkiem w nosie. W pierwszych chwilach bałam się go i przyglądałam się zwierzętom przez bramę. Ale kiedy przyzwyczaiłam się do nich, a one do mnie, mogłam wjechać na Mgiełce prosto w środek stada.

Zaczęłam panować nad swoim czasem. Praca nad doglądaniem ziemi zabierała mi całe ranki, ale po południu miałam mało zajęć. To była ciepła wiosna. Czułam, jak słońce ogrzewa zarówno ziemię, jak i moją skórę. O tej porze wszystko w Wideacre łączyło się w pary, zalecało do siebie. Wszędzie słyszałam ptaki nawołujące partnera lub pary ptaków zajęte beztrąsko czułymi umizgami, karmiące się wzajemnie z nastroszonymi piórami i otwartymi dziobami albo budujące wspólnie gniazda w szaleństwie panoszącego się pożądania. Kiedy zjeżdżałam w dół do rodzinnego domu, widywałam w polu wielkiego pociągowego ogiera, który potrzasał grzywą gęstą jak piana morska i rżał za kłaczą. Na wzgórzach barany stawały się coraz silniejsze, leżąc obok owiec otoczonych kilkunastoma młodymi. Nad rzeką byk pasł się ze swoim stadem; jego ulubiona krowa zawsze trzymała się przy nim, idąc ocierały

się głowami. Zatrzymywały się co chwilę, żeby lizać się po pyskach szerokimi szorstkimi językami, jakby na równi z potrzebą parzenia się istniała między nimi potrzeba miłości.

Tęskniłam za Jamesem bardziej, niż mogłabym przypuszczać.

Spacerowałam samotnie pod drzewami pełnymi ptaków śpiewających miłosne piosenki, pod niebem przeciętym gałązkami, na których ptactwo budowało gniazda. Patrzyłam na czerwone jelenie wężące za sobą w zapadającej ciemności wieczorów. Nie mogłam spać po nocach; wydawało mi się, że nawet sowy nawołują się z pożądaniem i namiętnością pod wiosennym księżycem.

396

Po skończeniu pracy farmerskiej byłam wolna. Mama i wuj John wyciągali kabriolet i wyruszali na małe przejażdżki. A ja nakładałam zwiewne muśliny, okrywałam się lekkim szalem i szłam na długi spacer po zieleniejących lasach. Wideacre nabrzmiewało życiem wraz z pęczniejącymi pąkami drzew. Wszystko zalecało się do siebie, parzyło i rodziło tej wiosny. A ja pełna tęsknoty za moim ukochanym błąkałam się samotnie po lasach, w słomkowym kapeluszu, w muślinach białych na tle zieleni, unosząc stopy nad błękitnymi leśnymi dzwonkami.

Richard miał być w domu przed Świętem Wiosny i napisał, że przybędzie wczesnym porannym dylizanssem. Osiodłałam Mgiełkę i wyruszyłam drogą w kierunku stacji, prowadząc mu na spotkanie Księcia.

Stacja dylizansów dla pasażerów udających się do Acre była na zakręcie, gdzie droga spotykała się z gościńcem Chichester - Londyn. Siedziałam tam na grzbiecie Mgiełki w słoneczny wiosenny ranek i czekałam. Zeszły tydzień był ciepły i suchy, błoto w głębokich koleinach dróg wyschło i

stwardniało. Odwróciłam twarz do słońca, poczułam ciepło na zamkniętych powiekach. Książę opuścił łeb ku świeżym listkom żywopłotu i skubał je chrzęszcząc i chrupiąc. Z oddali słyszałam skrzypiący turkot dyliżansu i pobrzękiwanie uprzęży. Droga była pagórkowata i mogłam dostrzec kapelusze i plecy pasażerów wznoszące się i opadające, kiedy dyliżans wspinał się na górę i wjeżdżał w dziury na drodze. Wreszcie zza zakrętu ukazały się zasapane konie. A kiedy strażnik dyliżansu zauważył mnie, zadał w róg i wykrzyczał grubiański komentarz, że jakiś szczęściarz jest oczekiwany na zakręcie Acre.

Wóznica zatrzymał konie i skłonił mi się. Uśmiechnęłam się i skinęłam mu głową. Patrzyłam, jak spuszczają schodki i Richard wysiada z dyliżansu, przecierając oczy i ziewając. Znieśli jego skrzynię i Richard, uginając się pod jej ciężarem, podszedł do mnie.

Pochyliłam się, czekając na pocałunek, założyłam mu ręce na szyję i uściskałam. Jakiś żartowniś z dachu dyliżansu urządził owację, ale wielu pasażerów było z Midhurst i znało mnie z widzenia. Zmusili go więc do milczenia.

- Co powiesz na moją skrzynię? - zapytał Richard. - Waży chyba z tonę.
- Oksfordzkie modne stroje - dokuczyłam mu.

397

- Wakacyjne lektury - powiedział z uśmiechem. - Moja greka wciąż przynosi mi wstyd. Pastor Pearce zaofiarował mi pomoc podczas wakacji.

- Możesz ją zostawić tutaj - uznałam. Richard wepchnął skrzynię pod żywopłot za stacją dyliżansu. Furman zabierze ją stąd później. - Sądziłam, że będziesz chciał się przejechać.

- Oj, tak - odparł. - Czuję się, jakbym pół życia spędził, tłocząc się w tym

dyliżansie.

Wskoczył na siodło i zawróciliśmy konie do domu. Richard doprowadził mnie do łez, zabawiając swoimi opisaniami współpasażerów - żony farmera, która upierała się, by trzymać żywą kurę na kolanach, wiejskiej dziewczynki chichoczącej za każdym razem, kiedy napotkała wzrok Richarda.

- A jak sprawy tutaj? - zapytał. - Jak tam papa i mama? A ty?

- Wszystko w porządku - powiedziałam. - Wszystko po staremu. Mama znowu czuje się dość dobrze, chociaż wciąż łatwo się męczy. Razem z wujkiem codziennie po południu wyjeżdżają dwukółką na rytualne przejażdżki dla jej zdrowia, jak para dzierżawców farmy.

- Masz jakieś wiadomości od pana Fortescue? - zapytał Richard ze staranną nonszalancją.

Przywarłam wzrokiem do zieleniejącego żywopłotu.

- Tak - powiedziałam. Nie mogłam powstrzymać czułości w głosie. -

Pisuje do mnie każdego tygodnia, a ja odpowiadam, kiedy mam adres zwrotny. Teraz znowu wrócił do Belgii, ale podróżuje tam i z powrotem.

Jego ojciec importuje koronki, a James jest odpowiedzialny za wyszukanie odpowiednich dostawców.

- Wyznaczyliście już datę ślubu? - zapytał lekko Richard.

- Jeszcze nie - powiedziałam. - Prawnicy obu stron przygotowują kontrakt ślubny, układają się w sprawie mojego wiana i pensji dla mnie.

Richard skinął głową.

- Trochę czasu jeszcze upłynie - powiedział.

- Tak - odparłam. Nie mogłam ukryć tęsknoty. - Czasami wydaje mi się, że to potrwa całe lata. Ale myślę, że ślub będzie latem. Zareczyny ogłosimy zaraz po powrocie Jamesa.

- A dworek? - dopytywał się Richard. - Czy robotnicy dobrze się spisują?
Położyli już belki stropowe?

398

- Tak - potwierdziłam. - Dowiedziałbyś się pierwszy, gdyby coś przybrało zły obrót. Wszystko idzie dobrze.

- A co robią tutaj? - zapytał Richard, skierowując Księcia do bramy. Było to jedno z nowych pól, gdzie wuj John wymusił zasadzenie malin na próbę. Wyglądały smętnie i zapowiadały kiepskie zbiory - rządki za rządkiem strzelających w górę cienkich gałązek z maleńkimi zielonymi pączkami. Na końcach wąskich przejść pracowały kobiety z Acre, wrywając chwasty. Obok każdej leżał kawałek szorstkiego płótna ze stertą wyrwanego zielska. Cudownie rozgrzana słońcem dolinka była jasna jak w środku lata. Rozejrzałam się po pochylonych plecach, szukając Clary, ale nie mogłam jej dostrzec. Chmura zakryła słońce i zadrżałam od nagłego chłodu. Podjechaliśmy bliżej i ujrzeliśmy Ralfa.

- Dzień dobry - przywitał nas i zwrócił się wprost do mnie:

- Sprowadziłem je do pielenia, a mężczyźni tymczasem zakończą siewy - powiedział z nutą dumy w głosie. - Jeszcze nigdy nie zasiano tak szybko. - Skłonił się niedbale, zdejmując kapelusz przed Richardem. - Witam - rzekł chłodno.

Zapanowało niezręczne milczenie. Niechęć Ralfa do Richarda była wyczuwalna, prawie namacalna w ciepłym powietrzu. Richard poczerwieniał, przemówiłam więc szybko, żeby przerwać ciszę.

- Zatem miejmy nadzieję, że wzrośnie również w rekordowym tempie - powiedziałam. - Wieś zawsze miała wolne na święto po zakończeniu siewów, nieprawdaż?

- Aha - potwierdził Ralf. - Przypomniałem doktorowi MacAndrew, że oni chcą obchodzić majówkę po staremu. Mówią, że chcieliby, abyś została Królową Maja, oczywiście jeżeli pojedziesz z nimi jutro o świcie na wzgórze, żeby sprowadzić wiosnę.

- Zgadza się - powiedziałam. - Clara mi o tym mówiła.

- Przerwałam, bo przypomniałam sobie, jak uczyłam się być młodą damą z Bath, popatrzyłam na Ralfa i zapytałam: - Chyba wypada, prawda, Ralf? Mam na myśli, czy to nie jest okropnie niewłaściwie albo coś w tym rodzaju?

Twarz Ralfa wyglądała, jakby zjadł plasterek cytryny.

- Mnie nie pytaj! - rzucił szorstko. - Wiesz, że nie wiem nic na ten temat. Zapytaj o to mamę i poproś o radę.

- Ona nie zna tradycji Acre - odparłam. - Jesteś jedynym, który zna wieś. Pytam ciebie, czy to jest w porządku, żebym poszła.

399

Ralf popatrzył na mnie znudzony całym tym wypytywaniem.

- Nie powinienem był wychodzić z tym zaproszeniem, jeżeli uważasz, że to nie jest w porządku - powiedział ostrożnie. - Nic złego ci się nie stanie na wzgórzach wśród młodych ludzi z wioski. Spędzisz z nimi czas, aż słońce się podniesie, narwiesz gałązek głogu i uwiążesz na nich wstążki. Ukoronują cię wieńcem kwiatów, posadzą na białym koniu, jeśli takiego znajdą - może mogłabyś pożyczyć im swoją klacz - a potem zjedziesz do Acre i przywieziesz wiosnę. Trzy następne dni - ponieważ doktor MacAndrew nie sądzi, tak samo jak i ja, żebyśmy mogli pozwolić sobie na tydzień lenistwa - możesz być królową każdej zabawy. Albo nie. Jak sobie życzysz. Nie ma w tym nic właściwego lub niewłaściwego - tak ja to

widzę. Ale nie pytaj mnie o zachowanie, jakie przystoi damie, panno Julio, ponieważ ja jestem tylko zwykłym, żyjącym z pracy mężczyzną. - To ostatnie zdanie zostało powiedziane z kamienną twarzą, ale ironicznym tonem. Zastanawiałam się, czy Richard nie usłyszał kryjącej się za tym obelgi.

- Powiedz im zatem, żeby przyjechali po mnie przed brzaskiem - oznajmiłam. - I powiedz, że mogą wziąć ze stajni moją klacz.

Ralf skinął głową.

- A pan, panie Richardzie, czy również pojedzie z nami na wzgórze powitać wiosnę?

- Pojadę. Wszystko to brzmi bardzo przyjemnie, ale jestem pewien, że lady Lacey będzie zadowolona, jeżeli będę towarzyszył pannie Julii.

Ralf skinął głową z oczyma wbitymi w ziemię. Nawet nie spojrzał na Richarda.

- Jestem pewien - powiedział, zawrócił konia w miejscu i pocałował w pole, jakby stracił już zbyt wiele czasu.

Richard był zły na moją mamę. Nie miała żadnych zastrzeżeń, żebym sprowadziła wiosnę do Acre.

- Ach mój Boże, Richardzie - powiedziała. - Gdybym chciała, żeby Julia zachowywała się jak ułożona młoda dama, musiałabym ją porwać i trzymać pod kluczem w Bath! Jeździła po polach zupełnie sama przez cały czas, kiedy ty byłeś w Oksfordzie. John stwierdził, że nic jej się nie stanie, a ja ufam jej własnemu rozsądkowi - jest taka kochana.

400

Richard zawahał się.

- Nadal wydaje mi się to wysoce niestosowne - nalegał.

Popijaliśmy poobiednią herbatę, Richard stał tyłem do kominka z filiżanką w ręce. Zobaczyłam, jak mama i John wymieniają uśmiechnięte spojrzenia, widząc Richarda we władczej pozie przy kominku.

- Niech sobie będzie niestosowne - zgodził się wuj. - Ale James Fortescue nie ma obiekcji, ekscentryczne kobiety stały się już tradycją Wideacre. Julia jest kluczem do Acre i muszę jej używać. Nikt inny oprócz Julii i pana Megsona nie ma takich związków z ludnością Acre. Chcemy wieśniaków z powrotem wdrożyć do pracy, a Julia i pan Megson mogą w tym pomóc.

Richard lekko się skłonił.

- Jestem pewien, że to właściwy osąd, sir - powiedział. - Jednakowoż będę zadowolony, mogąc towarzyszyć Julii w tej zabawie o brzasku.

- Jak mi Bóg miły, ja również chciałbym pojechać - przyznał się wuj John.

- Kocham te tradycje. Kiedy byłem chłopcem, w Edynburgu istniał wielkanocny zwyczaj toczenia jaj ugotowanych na twardo z Arthur's Seat - dużego wzgórza na obrzeżach miasta. Trzeba było je toczyć bez dotykania rękami przez całą drogę aż do podnóża, a potem rozbijało się je i zjadało.

- Coś podobnego! - zawołała mama, natychmiast przerzucając uwagę z nas na wuja. - Czy cała twoja rodzina w tym uczestniczyła? Bracia i siostry również?

- O, tak - odparł wuj John. - Cały Edynburg! I jajka smakowały o świcie wielkanocnego poranka lepiej niż kiedykolwiek.

- Myślę, że ta wyprawa jest właśnie dla młodych mężczyzn i kobiet - rzucił szybko Richard. - Dziewczęta ubierają się na białe, a młodzi mężczyźni noszą białe kokardy.

Po zaabsorbowanym wzroku mamy mogłam poznać, że usiłuje sobie

przypomnieć, czy mam białą suknię i biały szal do ochrony przed chłodem. I miałam rację. Kiedy udałam się na górę do łóżka, stwierdziłam, że rozłożyła tam swój biały kaszmirowy szal oraz pęk białych wstążek na kokardę dla Richarda i do przybrania gałązki, którą przywiozę do domu. Zbudziłam się wcześnie i usłyszałam głosy w ogrodzie na tyłach domu. Wyskoczyłam z łóżka i bosy podbiegłam do okna.

401

Podłoga była lodowata i wciąż było ciemno. W dole zauważyłam parę pochodni i wokół nich zgromadzonych dziesięcioro lub dwanaścioro młodych ludzi. Chichotali i próbowali zaintonować piosenkę. Ubrałam się w białą suknię i zawiązałam w talii białą wstążkę bez pomocy pokojówki, ponieważ Jenny Hodgett sama wyjechała z uczestnikami zabawy. Narzuciłam szal na ramiona i pobiegłam na poddasze do sypialni Richarda.

Był gotowy, właśnie wkładał buty. Przyczepiłam kokardę z białych wstążek do jego kapelusza. Potem zeszliśmy po cichu na dół, tak żeby nie zbudzić śpiącego domu. Kuchnia była cicha i oświetlona czerwonym blaskiem od żarzącego się paleniska. Tylko kot spał przy popielniku, przyprószony popiołem. Richard odsunął metalowe rygle u drzwi i wyszliśmy w zimno i ciemność.

Cedr był czarny jak smoła na tle nieba, żółte światła pochodni nie były jaśniejsze od świec w tych ciemnościach. Księżyc wyglądał jak chudy biały sierp, a gwiazdy świeciły na głębokiej czerni nieba jak małe srebrne główki od szpilek. Ktoś z tyłu poddał nutę i zaśpiewali piosenkę podobną do jednej z szant, trzy- lub czterotaktową pieśń ulepszaną przez wieki. Śpiewano ją tylko raz do roku, śpiewano tylko w tej niebieskoczarnej

godzinie przed świtem pierwszego poranka wiosny i zawsze śpiewano dla Królowej Maja, żeby przywołać ją, by dopełniła swojego obowiązku sprowadzenia wiosny na ziemię.

Richard zamknął za nami drzwi. Stałam nieruchomo na schodkach w białej sukni i pozwalałam, żeby szanta spływała na mnie. Powietrze było zimne jak wiosenna woda, ale szal mamy był ciepły i mocno się nim owinęłam. Czułam się magicznie, jakbyśmy wszyscy: wielkie drzewo, gwiazdy, pieśń i ja stanowili część jakiegoś ponadczasowego mocarnego wzoru, który ciągnął się linią bez końca, przez stulecia i przechodził przeze mnie do Laceyów, którzy przyjdą po mnie. W tle szanty usłyszałam bicie w bęben, głęboki i uroczysty dźwięk. Wiedziałam, że to nie bęben, ale moje własne dudniące serce i dźwięk samej ziemi.

Pieśń skończyła się i wzięłam głęboki oddech. Popatrzyłam na rozjaśnione twarze młodych ludzi z Acre, gotowych nazwać mnie swoją przyjaciółką, chcących, żebym to ja była dziewczyną, która sprowadzi wiosnę.

Odwróciliśmy się bez słowa i wyszliśmy z ogrodu pod widmowym łukiem bramy na ciche stajenne podwórze, a potem na ziemię Dower House.

Szliśmy drogą w kierunku ścieżki wiodącej ku

402

wzgórzom. Okno mamy było ciemne, wuja Johna również. Wszyscy jeszcze spali, oprócz młodych ludzi z wioski w dolinach całego Sussex, którzy cicho wspinali się na ciemne, porośnięte trawą zbocza wzgórz, żeby zobaczyć, jak blade słońce wschodzi nad ziemią.

Richard szedł obok mnie. Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się. Wziął moją zmarzniętą rękę, wsadził do kieszeni swojej marynarki i przytrzymał. Szliśmy, ściskając się za ręce w środku tłumu, bladą drogą w kierunku

Acre.

Kiedy skręciliśmy w prawo na górską ścieżkę, można było iść tylko dwójkami, więc cały pochód rozciągnął się powoli. Niektóre dziewczyny szły razem, niektórzy chłopcy również, ale większość szła w parach.

Wiosna wołała ich tak samo natarczywie jak mnie; młodzi ludzie z niecierpliwością czekali na czas zalotów.

Wspinaliśmy się wąską ścieżką, moje buciki ślizgały się w błocie i byłam zadowolona z mocnego ramienia Richarda. Nie odezwał się do mnie ani słowem; a ja czułam się, jakbym śniła, że idziemy pod wielkimi gałęziami czerwonych buków. Za nami flirtowały pary, a wokół nas nie było niczego oprócz śpiącego krajobrazu.

Dla mnie, przyzwyczajonej do konnej jazdy, był to długi spacer.

Zaskoczyło mnie to, że na wierzchołek doszłam powoli i byłam bardzo zdyszana. Na górze ścieżkę przecinało ogrodzenie dla owiec, z furtką.

Richard zatrzymał się, by przepuścić mnie pierwszą, a kiedy otworzyłam furtę i przechodziłam przez nią, położył mi ręce na ramionach, żeby mnie zatrzymać. Popatrzyłam pytająco, a on powoli pochylił nade mną swą ciemną głowę. Moje wargi rozchyliły się, jego usta zeszły niżej, łagodnie, delikatnie pocałował mnie, jakby muśnięciem skrzydła motyla.

Odsunęłam się do tyłu z lekkim westchnieniem, ale za Richardem byli ludzie z Acre i wszyscy się śmiali. Wypatrzyłam wśród nich twarz Clary; zobaczyłam, jak mruga do mnie i robi minę zachęcającą do baraszkowania w jakiejś dziurze z Richardem, porzucenia lojalności wobec Jamesa i pańskich manier. Zrobiłam cierpką minę, ponieważ wiedziała wystarczająco dobrze, że Richard nigdy wcześniej nie dotykał mnie w ten sposób. Zaraz zresztą uśmiechnęłam się również, nie okazując skruchy.

Matthew był blisko niej, ale szli w odległości ramienia i kiedy przeszła przez bramę, nie wykorzystał okazji, żeby ją pocałować, jak to zrobiły następne pary.

403

- Co się z wami dzieje? - zapytałam, kiedy przeszła przez bramkę, przy której czekałam na małej kępie torfu obserwując, jak przechodzą inni.

Clara skrzywiła się.

- Jesteśmy na noże. Ten głupiec wszystko zepsuł.

- Dlaczego, co się stało? - zapytałam.

- To te głupie rymy, które zawsze pisał - powiedziała niecierpliwie. - Nie przywiązywałam do nich wagi. Pokazał je jakiemuś wydawcy w Chichester, a ten przeklęty człowiek wydrukował je i sprzedaje wszędzie.

- Ależ, Claro, to wspaniale... - zawołałam.

Clara odwróciła się do mnie, jej oczy miały błyskawice.

- Wspaniale! - powtórzyła, okrutnie parodiując moje słowa. - Ten człowiek wziął jego wiersze i pięknie wydrukował wszystkie w małej książeczce. A wiesz, jak ją nazwali? Nazwali ją: „Wołanie Kukułki - wiersze prostaczka z Sussex”.

Otworzyłam usta.

- Co?! - zapytałam. Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam.

- Tak - powiedziała rozwścieczona Clara. - Prostaczka z Sussex. I powiedzieli mu, że jest świetnym, samorodnym prymitywnym talentem, że jest dotknięty piętnem natury, ponieważ jest idiotą. Właśnie w chwili gdy wszyscy zapomnieli, że wychowawcy z przytułku nazywali go prostaczkiem. Więc dlatego nie jestem z niego dumna jak paw - zakończyła, cicho szlochając.

- Jak oni zdołali to wymyślić? - zapytałam zdumiona.
- Jego babka opowiedziała im o nim - wyjaśniła Clara, przecierając oczy ręką sukni. - Ta stara kretynka opowiedziała całą historię jego życia, kiedy przyjechali do Acre swoim ładnym powozem, by powiedzieć, że spodobały im się jego wiersze, i zapytali, czy nie ma więcej. Powiedziała im, że był opóźniony w rozwoju i że nie promowali go na następny rok jak inne dzieci, bo myśleli, że jest głupkiem. Opowiedziała im, jak się jąkał i że nie potrafił dobrze mówić, kiedy był mały. Więc nazwali go „milczącym słowikiem”. Gazeta nazwała go poetą idiotą... - Urwała i otwarcie się rozplakała, unosząc chustkę do oczu.
- Trzeba ich powstrzymać... - powiedziałam. - Musimy wstrzymać publikację tej książki. Możemy zapobiec pisaniu o nim w ten sposób w gazecie. Nie będą go tak przedstawiali, kiedy wyjaśnimy...

404

- Nic z tego! - rzuciła ostro Clara. - Nigdy nie uważałam go za głupca aż do dnia, kiedy zobaczyłam, jak uśmiecha się nad gazetą nazywającą go natchnionym dzikusiem, którego ogląda cały świat - i on był z tego zadowolony. Zapłacili mu już dwanaście gwinei, a to wystarczy akurat na kupno papieru i piór. Zamierzają wypłacić mu więcej. Będzie bogatym młodym człowiekiem. Myśli o wyjeździe do Chichester, a potem do Londynu. Sądzi, że zostanie przedstawiony wielkim poetom i pisarzom i spodoba się im. A wtedy nigdy już nie wróci do Acre!
- Claro! - krzyknęłam skonsternowana.
- Nienawidzę go! - powiedziała z nagłą pasją. - Nie sądzę, żeby teraz spacerował przez całą noc, kołysząc niemowlę jak ongiś - pamiętasz? Można pomyśleć, że zapomniał, jak wygląda prawdziwy świat. Myśli, że

weźmie mnie z sobą. Powiedział tym dżentelmenom, że jest zaręczony z dziewczyną ze wsi. A oni zapytali, czy ja mam dobrą prezencję! - wybuchnęła. - Dobrą prezencję! - powtórzyła jadowicie. Nagle opuścił ją gniew, pojawiła się rezygnacja. - Julio, powiem ci prawdę. Myślę, że on złamał mi serce - zakończyła.

Wyciągnęłam do niej rękę, przysunęła się do mnie i położyła mi głowę na ramieniu.

- Och, biedna Claro - wyszeptałam czule, jakbym była jej matką. - Nie płacz, kochanie. Nigdy nie widziałam cię płaczącej. Wszystko dobrze się skończy - Matthew nie mógłby pokochać nikogo innego. To na chwilę zawróciło mu w głowie. Ale pomyśl - jest tutaj na wzgórzach z nami, czyli aż tak się nie zmienił. Może pojedzie na trochę do Londynu, ale wróci do domu. Zawsze wróci do ciebie.

Clara oderwała się ode mnie i potarła zaczerwienione oczy.

- Już go nie chcę! - stwierdziła. - Nie chcę mężczyzny, który pozwala ludziom nazywać się idiotą, a sam uważa się za sprytnego. Nie wyjdę za niego. Jeszcze mu nie powiedziałam, ale powiem i wygarnę mu dlaczego. Ośmieszył mnie. Ośmieszył siebie. Narobił nam wstydu.

Wyciągnęłam rękę w bezsilnym geście, jakby próbując ją powstrzymać. Było mi żal Matthew i obawiałam się o ich szczęście. Ale gdzieś w kątku umysłu usłyszałam głos głęboki jak żałobny dzwon; nakazywał mi, żebym trzymała Clarę blisko przy sobie, jakby groziło jej jakieś śmiertelne niebezpieczeństwo. Ale ona nie chciała zostać. Wyrwała się z moich objęć i znowu tarła oczy.

405

- Byłam głupia, że przyszłam - wyznała gorzko. - Myślałam, że będzie jak

za dawnych czasów, w latach dostatku, kiedy tata zalecał się tutaj do mamy. Myślałam, że zbliżymy się - on i ja - tu na górze, kiedy wszędzie słońce. Ale on wziął swoje głupie małe pióro i papier i powiedział mi, że napisze o tym wiersz. No i rozkleiłam się, popłakałam i powiedziałam ci wszystko, chociaż chciałam zatrzymać to w tajemnicy. Idę do domu - zdecydowała energicznie. - Nic mnie tutaj nie trzyma.

- Claro, nie odchodź - nalegałam. Czułam, że jeśli pozwolę jej teraz odejść, nigdy więcej jej nie zobaczę. - Zostań ze mną, Richard i ja właśnie mamy narwać głogu. Zostań z nami, najdroższa Claro. Nie odchodź! Wyśliznęła się z moich objęć.

- Nie - powiedziała smutno. - Idę. Zobaczymy się po południu na tańcach?

- Obiecuj, że będziesz - nalegałam. Żałobny dźwięk w głębi mojej głowy stał się głośniejszy. Czułam, że muszę zmusić Clare, żeby przysięgła, że na pewno tam będzie.

- A gdzie miałabym być? - rzuciła znużonym tonem.

- Nie mam zamiaru rozczulać się nad sobą w drodze powrotnej do domu. Będę, Julio - obiecała, delikatnie uwalniając koniec swojego szala z moich palców. - Baw się dobrze na majówce; zobaczymy się po południu i wtedy powiem Matthew, że mam tego dość. Zerwę zaręczyny, jak tylko wiosna przyjdzie do domu.

- Claro... - raz jeszcze podjęłam wysiłek, by ją zatrzymać przy sobie. - Nie odchodź, Claro. Mam złe przeczucie. Jestem pewna, że jesteś w niebezpieczeństwie.

Uśmiechnęła się do mnie znanym mądrym uśmiechem kobiety, która nie ma żadnego przeczucia, tylko pewność, że wszystkie urodziłyśmy się, by cierpieć.

- Nie szkodzi - powiedziała smutno. - Przez ostatnie dni przeżyłam najokropniejszy ból, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam. Wolałabym zginąć z ręki Matthew, niż patrzeć, jak dla takiego nędznego powodu opuszcza mnie i Acre. Ale najgorsze już minęło. Walczyłam przeciwko mężczyznom z Chichester i oni wygrali. Wszystko, co muszę mu powiedzieć, to to, że nie zobaczę się z nim więcej. I że już go nie kocham. Wtedy najgorsze będzie za mną. Pozwól mi teraz odejść, Julio - poprosiła łagodnie.

- Nie możesz mi pomóc, nawet twój dar nie ma tu nic do rzeczy.

406

Jest tylko mój gniew i szaleństwo Matthew, ta sprawa dotyczy tylko nas dwojga i sami musimy ją rozwiązać.

Odwróciła się i ruszyła w drogę powrotną przez furtkę, w dół do Acre, do małej chatki, gdzie będzie myśleć o utraconej miłości, składanych tylekroć obietnicach i o tym, jak piękna miała być przyszłość, którą planowała z Matthew.

Stałam nieruchoma jak posąg z marmuru w ciemności, kiedy ktoś zawołał do mnie przyjaznym głosem:

- Musisz wyszukać krzak głogu i zerwać gałązki, panienko Julio! Wszyscy zbierzemy się w górze kredowej ścieżki, kiedy słońce będzie wschodziło!

Był to Jimmy Dart obejmujący Rosie zaróżowioną od spaceru, ale wcale nie wyczerpaną. Nie mogłam w niej poznać bladej dziewczyny, która kaszlała nad swoją robótką w brudnej piwnicy. Położyła głowę na ramieniu Jimmy'ego; ich miłość była tak silna i gorąca jak nocna bryza.

- Chcesz ukraść Ralfowi Megsonowi jego ucznia - oskarżyłam dziewczynę z żartobliwą surowością.

Zamienili spojrzenia i roześmiali się.

- To od czasu, kiedy on był chłopcem z pochodnią - wyjaśniła. - Nie może się powstrzymać od przechodzenia przez drogę.

Zaśmiałam się również. Dom Ralfa stał po drugiej stronie drogi, dokładnie naprzeciw małej chaty, w której mieszkała Rosie i wszyscy wiedzieli, że Jimmy regularnie przechodził z jednego domku do drugiego.

- Jesteśmy zaręczeni - przyznała się wstydliwie Rosie.

- Pobierzemy się, kiedy będziemy mieli szesnaście lat. Pan Megson obiecał nam domek na własność.

Skinęłam głową, uśmiechając się. Ralf wspominał mi o tym, a ja napisałam o tej nowinie Jamesowi.

- Nigdy więcej rękawiczek - stwierdziłam z satysfakcją. Rosie popatrzyła łobuzersko.

- Tylko jeszcze jedną parę - powiedziała. - Zaczęłam je już, ale nie wiem, kiedy będą potrzebne. - Mrugnęła do mnie. - Twoje ślubne rękawiczki, panienko Julio! Na dzień, w którym poślubisz pana Fortescue. Haftuję specjalne wzory ze snopkami pszenicy.

- Och, Rosie! - zawołałam zadowolona. - Dziękuję. Ale wiesz, że zaręczyny nie zostały jeszcze ogłoszone. Pan Fortescue i ja nie jesteśmy narzeczonymi.

407

Jimmy roześmiał się głośno.

- Nie są formalnie zaręczeni! - oświadczył. - Kiedy pierwszy raz was spotkałem, on specjalnie nie wziął światła, ponieważ chciał, żebyś przeszła z nim z sali balowej do domu po ciemku!

- Chodźmy! - przerwał nagle Richard. - Chodźmy, Julio!

- Objął mnie ramieniem w pasie, a na włosach poczułam ciepło jego oddechu, - Chodź, moja wiosenna lady, poszukamy twojego wiosennego krzewu - wyszeptał, odciągając mnie od pozostałych. Szliśmy powoli w prawo ku wierzchołkowi wzgórza, szukając ciemnego cienia krzewu głogu.

Richard miał na sobie pelerynę do konnej jazdy i kiedy szliśmy ramię przy ramieniu, zagarnął mnie pod połą pełnym ciepła gestem, jakby brał mnie w posiadanie. Czulałam się pewnie i lekko, spacerując po mojej ziemi w ciemnościach.

Przestraszyliśmy owcę z jagnięciem - wyskoczyły przed nami, becząc żałościwie, i zniknęły. Wygniecione przez nie kępki trawy były ciepłe i pachniały wełną. Richard ściągnął pelerynę i usiadł na jej brzeжку, a resztą owinał mnie.

Byłam bardzo spięta, pamiętając, że ostatnim razem na wzgórzach pocałował mnie bez zachęty i dotykał wbrew mojej woli. Ale on uczciwie dotrzymywał słowa; otaczające moje plecy ramię było przyjacielskie, braterskie, nic więcej.

Siedzieliśmy w milczeniu do czasu, kiedy poranne niebo stało się perłowe; wszystko wokół nas w pierwszej chwili wydawało się szare, nawet trawa. Potem powoli pozieleniało, kiedy wraz z ciepłem poranka zaczął się sączyć kolor.

- Kocham cię, mała Julio - powiedział Richard miękko czułym głosem. - Pragnąłbym, żebyś zapomniała o swoim miejskim przyjacielu i wróciła do mnie i do Wideacre.

Spojrzałam w jego zamglone oczy i zobaczyłam swoją dawną miłość, miłość z dzieciństwa.

- Za późno - odparłam z żalem. - Zrozumiesz, kiedy sam się zakochasz, Richardzie. Wtedy zrozumiesz.

- Myślę, że nigdy nikogo oprócz ciebie nie będę kochał

- szepnął czule. Potem już się nie odezwał.

Niebo jaśniało coraz bardziej i pierwsze próbne nutki ptasich treli stawały się głośniejsze. Coraz więcej ptaków budziło się i przyłączało do śpiewów.

Pary wokół nas podnosiły się, wychodziły z zakątków, otrzepywały ubrania i uśmiechały do siebie, wspominając ukradkowe czułości.

408

Wszyscy wdrapali się na szczyt wzgórza, skąd roztaczał się widok na Acre. Na górze była odkrywka kredy widoczna z każdego miejsca w Wideacre. Nazywano ją Kredową Smugą, a kiedy Richard i ja w dzieciństwie traciliśmy wyczucie kierunku, zawsze potrafiliśmy znaleźć drogę do domu idąc tak, żeby Kredowa Smuga znajdowała się na wprost nas. Teraz młodzi ludzie z Acre, Richard i ja staliśmy na szczycie i czekaliśmy, aż wzejdzie pomarańczowa tarcza.

Zwróciliśmy się twarzami na wschód, wyłaniające się zza horyzontu słońce zabarwiało nas różowym blaskiem. Znowu zabrzmiała pieśń. Już nauczyłam się prostej melodii szanty i mogłam śpiewać z nimi. Byłam szczęśliwa, stojąc tutaj w blasku słońca z Richardem trzymającym mnie za rękę i otaczającymi mnie młodymi ludźmi z Acre. Ale na myśl o Clarze poczułam żal, a kiedy poszukałam wzrokiem Matthew i zauważyłam, że on również zniknął - zadrżałam. Ogarnął mnie niepokój.

Pieśń zakończyliśmy na wpół zakłopotanym wybuchem śmiechu i zawróciliśmy w kierunku bramy, żeby ruszyć w drogę powrotną do Acre. Przeprowadzili dla mnie Mgiełkę, była teraz karnawałowym koniem z

wieńcem z głogu zarzuconym na szyję, Richard podstawił złączone ręce i podsadził mnie na siodło. Podali mi koronę z kwiatów i odartą z kory różdżkę, którą miałam trzymać w prawej ręce, i powiedzieli, żebym poprowadziła ich w dół szlakiem do Acre. Mgiełka potrząsnęła łbem - nie podobały jej się kwiaty wokół szyi - a ja jak zwykle miałam problem, jadąc na siodle w spacerowej sukni. Obciągałam spódnicę w dół tyle, ile się dało, a i tak Ted Tyacke mrugnął zuchwale, widząc moje kostki. Trudno, ale nie mogłam odgrywać miejskiej damy o świcie na zboczu wzgórza.

Śpiewali, kiedy schodziliśmy w dół, niosąc wiosnę do domu, do Acre, a razem z nią wiosenne żarty. Według starej tradycji młodzi ludzie obchodzili całą wioskę ze swoimi gałęziami i płatali drobne figle mieszkańcom. Panna, która kochała bez wzajemności jakiegoś chłopca, dowiadywała się, że jej sekret był publiczną tajemnicą, kiedy otwierała drzwi i znajdowała przed progiem odartą z kory wierzbową witkę. Mąż, który był pod pantoflem żony, znajdował gałąź i piórko kury, by mógł je podać jej, kiedy będzie przygotowywał śniadanie tego ranka. Ojciec, który był zbyt surowy dla syna, odnajdował nadpaloną różgę przyczepioną do drzwi. A żona, która zbyt chętnie uśmiechała się do

409

młodych mężczyzn z Acre, otrzymywała wątpliwy komplement w postaci gałązki głogu przystrojonej czerwonymi wstążkami.

Na progu Clary zostawili połowę kwitnącej gałęzi głogu, a drugą połowę - dla skojarzenia małżeństwa - przyczepiono do drzwi Matthew.

Najpopularniejsza para w Acre została pobłogosławiona życzliwością wieśniaków. Tylko ja czułam niepokój i widziałam w głogu żałobne

kwiaty, a nie wróżbę szczęścia. Tylko ja wiedziałam owego dnia, że zrękowiny, które miały początek w czasach złych dla Acre, zakończą się dokładnie wtedy, gdy wszystko będzie szło dobrze.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Pierwszy.

Mama siedziała na łóżku, pijąc poranną czekoladę, kiedy zapukałam do jej drzwi, przebrawszy się w strój do konnej jazdy i wyczesawszy z włosów płatki głogu.

- Dzień dobry - powiedziała, kiedy weszłam. - Królowa Maja we własnej osobie! Czy tego poranka masz magiczną moc, kochanie? Czy możesz podarować mi wieczną młodość i piękno?

Roześmiałam się.

- Myślę, że ty już to masz, mamó - uśmiechnęłam się, siadając w nogach łóżka. - Wyglądasz niezwykle pięknie, odkąd wuj John przyjechał do domu.

- To dlatego, że jestem szczęśliwa - rzuciła lekko. - Ale co z tobą? Czy nie zmęczyły cię te śpiewy przed świtem?

Przeciągnęłam się.

- Nie - powiedziałam. - Czuję się rozleniwiona, ale nie zmęczona, chociaż spacer był dłuższy, niż sądziłam. Zawsze wjeżdżałam konno na to wzgórze. Nigdy wcześniej nie wchodziłam tam na piechotę.

- Mogłabyś odpocząć przed śniadaniem - zaproponowała mama. - Albo może połóż się do łóżka, a ja zbudzę cię w południe.

Wstałam i podeszłam do siedzenia przy oknie.

- Nie kuś mnie - zażartowałam. - Jeżeli wioska się bawi, do mnie należy doglądnięcie zwierząt. Po śniadaniu wybiorę się na wzgórze i sprawdzę co z owcami, a potem zjadę w dół do Fenny, żeby zobaczyć, czy krowy mają

się dobrze.

Mama skinęła głową, odrzuciła przykrycie i zsunęła się z łóżka.

411

- Zawstydzasz mnie - powiedziała. - Myślałam, że wszyscy będziemy mieli święto!

Skrzypnęła ogrodowa furtka.

- Kto to może być? - zapytała i okrywając się szalem, dołączyła do mnie przy oknie.

- Jem właśnie wraca ze stacji londyńskiej z listami - wyjaśniłam, kierując się do drzwi. - Może ma coś od Jamesa.

Zbiegłam na dół i prawie zderzyłam się z Jenny Hodgett we frontowych drzwiach.

- Czy masz coś dla mnie? - zapytałam. Jenny odwróciła się uśmiechnięta.

- Tak, panienko Julio - powiedziała. - Od twojego młodego człowieka, sądząc po piśmie.

Wzięłam list. Adres napisany był ręką Jamesa, ale zwolniony od opłaty pocztowej. Został wysłany w Anglii.

- Jenny! - krzyknęłam. - Ten list jest wysłany z Anglii. James jest w domu! - Mrugnęła do mnie, a ja złapałam kopertę w obie ręce. -

Przeczytam go w stajniach - powiedziałam; nagle zapragnęłam być sama i nie chciałam, żeby ktoś mi przeszkadzał. - Powiedz mamie, że będę na śniadaniu.

Jem wrócił do pokoiku nad spizarnią, więc w stajni było pusto. Mgiełka stała w swoim obszernym boksie, tak jak ją wprowadziłam, nadal osiodłana i z założonymi lejcami. Wieniec z kwitnących gałęzi wisiał na haku. Wśliznęłam się do boksu i usiadłam na odwróconym wiadrze. Klacz

delikatnie musnęła czubek mojej głowy, poczułam oddech pachnący owsem. List zaszeleścił, kiedy rozdarłam kopertę i rozłożyłam go na kolanach, przesuając się ku uchylonym drzwiom stajni, żeby złapać światło.

Był to krótki list.

Najdroższa,

ten list wyprzedza mnie o nie więcej niż sześć dni. Wróciłem do Anglii tego popołudnia. Będę jutro u prawników mojego ojca i gdy tylko pojedę do Bristolu i zdam sprawozdanie ojcu, spakuję bagaże i będę z Tobą dzień później - 6 maja. Jeżeli możesz mnie upchnąć w swoim małym domku, przyjadę na obiad i zostanę na noc. Lub jeśli nie możesz, prześpię się na grządce kwiatowej pod Twoim oknem. Ale jeśli natychmiast się z Tobą nie zobaczę, całkowicie i nieodwołalnie oszaleję.

412

Nasze kontrakty ślubne zostały w końcu sporządzone -jutro podpiszę dokumenty. Mój ojciec postanowił, że wybuduje dla nas dom, nawet większy od twojego dworku Wideacre. Przywiozę ze sobą kilka planów i kiedy przyjadę, możemy zaraz rozpocząć budowę.

Jeżeli o mnie chodzi, możemy się pobrać natychmiast, czy Tobie to odpowiada? Może potrzebujesz więcej czasu, żeby przygotować wyprawę? Nie chcę, żebyś myślała, że się niecierpliwie i Cię popędzam. Przyszły tydzień jest już wkrótce.

Moja kochana, całuję Twoje dłonie, stopy i ziemię, po której chodzisz, i skały pod tą ziemią.

Z całą powagą stwierdzam, że wszystkie sprawy związane z przygotowaniem do ślubu są zakończone. Pozostaje tylko wyznaczyć

dzień, kiedy uczynisz mnie w pełni szczęśliwym... i w połowie dziedzicem na Wideacre.

Zrób to szybko.

Twój na zawsze, James.

Wyciągnęłam do góry rękę i odruchowo pogłaskałam Mgiełkę po boku.

James w końcu przyjechał do domu i nie było żadnej przeszkody, żadnych trudności. Mógł żartować mówiąc, że jest gotów do ślubu jutro, ale ja go znałam. Jeżeli mówił mi, nawet w żartach, że jest gotów do ślubu, to był. A ja, Bóg mi świadkiem, byłam gotowa zostać jego żoną.

Podniosłam się, aby pójść do domu powiedzieć mamie, że James wrócił, i poprosić panią Gough o przygotowanie najlepszego, specjalnego obiadu na dzień jego przyjazdu - ale zatrzymałam się. Chciałam побыć w ciszy i samotności jeszcze przez chwilę. Szczęście, które czułam tego łagodnie oświetlonego słońcem poranka, było czymś zbyt wielkim, żeby trwonić je wśród spisu dań, przygotowań do ślubu, obmyślenia sukien. Zacisnęłam popręg i podprowadziłam Mgiełkę do podpórki do wsiadania. Złożyłam list i starannie wepchnęłam go do kieszonki zakietu. Wyjechałam z podwórza stajennego na drogę prowadzącą do dworu Wideacre.

Jechałam nieuważnie, z popuszczonymi lejcami, myśląc o tym, jak to będzie, kiedy James do mnie przyjedzie. I czy mam czekać na niego na zakręcie do Acre. Czy przyjedzie swoim powozem czy dyliżanssem i czy uśmiechnie się, kiedy zobaczy mnie cierpliwie

413

czekającą na zakręcie, czy nie będę wyglądała głupio, jak wiejska dziewczyna czekająca na swojego chłopaka. Szybko zrobiłam przegląd wszystkich moich sukien, myśląc o tym, w której wyglądam najlepiej, i

zastanawiałam się, czy mam jakieś nowe kreacje, których nie widział w Bath. I czy mu się spodobają. Myślałam też o menu na obiad; jakie mięsa lubił najbardziej oraz jaki był jego ulubiony pudding. Uśmiechałam się podczas tej spokojnej przejażdżki z zadumaną radością.

Murarze wzięli wolne z okazji majowego święta, więc ogród i nowy dworek były opuszczone. Przejechałam obok tarasu w kierunku różanego ogrodu. Chciałam usiąść w słońcu i pomarzyć trochę, zanim wrócę do domu i opowiem mamie, że musimy zacząć przygotowania do wesela. Przywiązałam Mgiełkę do altanki obok starego letniego domku i weszłam do środka. Było tam zacisznie i ciepło. Ptactwo śpiewało w lesie otaczającym ogród, domek pachniał przyjemnie suchymi liśćmi i rozsypującymi się deskami. Usiadłam na podłodze, nie dbając o kremowy strój do jazdy i oparłam się o drewnianą ścianę. Z otwartym listem Jamesa w dłoni zamknęłam oczy i zatopiłam się w marzeniach o naszym spotkaniu.

W pierwszej chwili wydało mi się to częścią marzeń - pocałunek na moim policzku lekki jak skrzydło motyla, miękki jak piórko. Uśmiechnęłam się, nie otwierając oczu. Wydawało mi się, że jest to część mojego snu o Jamesie, dziwnie połączona z poprzednim snem w letnim domku, snem, w którym byłam Beatrice. Tak samo zachwycona, tak rozmarzona jak wtedy, odprężyłam się jak śpiące dziecko na zakurzonej podłodze letniego domku, z radością poddając się pocałunkom. Poczułam na sobie jego ciężar, delikatny i ciepły. Tak śmiało jak sama Beatrice objęłam go ramionami i zachęciłam do uścisków. Pocałował mnie w usta, a ja uchyliłam w rozkoszy wargi.

Dotyk jego języka w moich ustach był lodowaty.

Zatrzepotałam powiekami i otworzyłam oczy.

To był Richard.

Natychmiast szarpnęłam się, by wstać i uciec od niego, ale on mi nie pozwolił. Jego ciężar, który przyjął tak chętnie, stał się nagle jego bronią. Przyciskał mnie do podłogi i nie byłam w stanie ani się wyswobodzić, ani go zrzucić.

- Richardzie! - krzyknęłam w gniewie. - Pozwól mi wstać! Natychmiast!

Pozwól mi wstać!

414

Nie odpowiedział, nawet nie spojrzał mi w oczy. Zamiast tego sięgnął niżej i błędził dłońmi w moich spódnicach, nie zważając na me bezskuteczne próby uwolnienia się.

Oddychałam ciężko. Richard podciągnął mi spódnicę do pasa. Nagle przypomniałam sobie scenę panicznej ucieczki sokoła. Uwolniłam jakoś lewą rękę i uderzyłam go z całej siły w twarz.

Potrząsnął głową jak wół ugryziony przez muchę i złapał za tę dłoń.

Swoim ciężarem unieruchomił moją drugą rękę pomiędzy swoim ciałem a moim. Wiłam się i skręcałam, ale byłam bezsilna.

- Richardzie! - krzyknęłam głośniejszym i ostrzejszym głosem. W moim głosie była panika.

Usłyszałam to i usłyszał również Richard. Wtedy popatrzył na mnie po raz pierwszy obojętnym spojrzeniem pełnym jasnego błękitu, lśniącego jak szkło, nie wyrażającym żadnych uczuć. Wtem wepchnął z całych sił kolano pomiędzy moje nogi i rozdzielił je, gniotąc mi ciało.

Krzyknęłam.

Krzyczałam nie myśląc, czy ktoś może być w zasięgu głosu. Krzyczałam z takiego samego nierozumnego strachu jak ten sokół, który ślepo poderwał

się w powietrze, niepomny mocnej uwięzi.

W tej samej chwili, jakby mój krzyk był sygnałem, wykręcił mi przegub, który przytrzymał tak silnie, że skóra płonęła mi z bólu. I chociaż otworzyłam usta do ponownego krzyku, wszystko, co mogłam zrobić, to mocno wciągnąć powietrze z przerażenia, kiedy usłyszałam lekki trzask łamanej kości. I poczułam, jak całe ramię, całe moje ciało płonie z bólu. Richard puścił moją rękę i zamknął mi usta dłonią.

- Jeżeli będziesz walczyła, złamię ci drugi nadgarstek

- powiedział cicho tonem swobodnej rozmowy. - Jeżeli będziesz krzyczała, będę cię dusił. Będę cię dusił, aż stracisz przytomność, Julio, i zrobię to, co muszę zrobić, a potem mogę silniej zacisnąć ręce. Czy rozumiałaś?

Jego twarz była tak blisko mojej. Czułam jego oddech na policzku; oddychał spokojnie, równo, tak jakby szedł na spacer.

- Richardzie... - wyszeptałam przestraszona - nie rób tego. Richardzie, proszę. Dlaczego to robisz?

- Zamierzasz sprowadzić dziedzica, rywala - powiedział. Jego głos zionął nienawiścią. - Zamierzasz wybudować dom większy od dworu Wideacre. Przeczytałem o tym w jego liście.

415

Kiedy spałaś tutaj, obok mojego domu, na mojej ziemi, śniłaś o sprowadzeniu rywala i zabraniu połowy naszej posiadłości.

Otworzyłam usta, aby zaprzeczyć, a mój umysł, jak złapanie w pułapkę zwierzę szukające drogi ucieczki, gorączkowo próbował znaleźć odpowiednie słowa.

- Jesteś moją narzeczoną - powiedział Richard. - Byłem głupcem,

pozwalając ci wyjechać z Wideacre, starając się odzyskać ciebie po dobroci. Teraz zamierzam przejąć cię na własność.

Jego słowa i ich znaczenie dotarło do mnie.

- Richardzie, nie! - krzyknęłam. Poczułam, jak gardło zaciska mi się ze strachu. Ten koszmar w letnim domku zbyt przypominał chwile z naszego dzieciństwa. Czułam, jak tracę odwagę i przeobrażam się w sparaliżowaną paniką ofiarę, którą naprawdę byłam w dzieciństwie.

- To będzie bolało - zapowiedział z nieukrywaną przyjemnością. - Myślę, że będziesz się bała, Julio.

- Nie! - krzyknęłam, ale gardło miałam tak zaciśnięte, że nie wydostał się żaden dźwięk. Zachrypiałam cicho i Richard odgadł, że z przerażenia nie mogę wydobyć głosu. Oczy zamigotały mu wielkim zadowoleniem.

Sięgnął jedną dłonią w dół, poluzował swoje bryczesy i ściągnął je. Potem, jedną ręką trzymając mój nadgarstek, drugą zakrywając usta, przycisnął mi głowę do zakurzonej podłogi i jednym pełnym nienawiści dzikim pchnięciem wszedł we mnie. Krzyk bólu zdławiła twarda dłoń, a szloch w głębi gardła przyprawił mnie o mdłości.

Było to jak koszmar ze snu, gorsze nawet niż nocny koszmar, i nie mijало. Kiedy moje zranione ciało zarejestrowało ból, usiłowałam zebrać trochę odwagi, żeby powiedzieć: „Dobrze, skończyło się”, ale Richard wszedł w krew i zranione ciało jeszcze raz, i jeszcze raz. Wydawało się, że czerpie przyjemność ze sprawiania mi tak okropnego bólu. Niemym krzykiem wołałam o pomoc, a gorące łzy spływały mi po twarzy.

Mocno zadrżał u szczytu mego największego bólu; opadł na mnie, jakbym nie była niczym więcej niż matą ze słomy.

Leżałam rozciągnięta na brudnej podłodze, gdzie kiedyś śniłam o

namiętności, ze łzami zalewającymi moje policzki, w grzęzawisku bólu i cierpienia. Czułam, że krwawię. Czułam, jak na udach, gdzie uciskał mnie kolanem, tworzą się siniaki; ale nic nie mogło się równać z bólem wewnątrz mnie.

416

Przetoczył się na bok i nagle czujnie popatrzył na otwarte drzwi. Skoczył na nogi, nie mówiąc do mnie ani słowa, naciągnął bryczesy i wybiegł po schodach do różanego ogrodu, jakby ścigały go wszystkie czarty z piekła. Uciekał ode mnie, jakby mnie zamordował i porzucał ciało. Leżałam nieruchomo; otępiała patrzyłam na biały dach i małą dziurę w deskach, gdzie ukazywało się błękitne niebo. Czułam, jak pomiędzy nogami cieknie wąski strumyczek krwi.

Mój brzuch opanowały regularne skurcze bólu, na chwilę zelżały, ale zaraz nadeszły wielką falą. Jęczałam i gryzłam nie zranioną rękę, żeby nie krzyżeć. Złamana kostka pulsowała, widziałam, jak sinieje i puchnie. Leżałam na brudnej podłodze w mojej ładnej kremowej sukni podciągniętej do pasa i z rozwichrzonymi włosami. Czułam się tak złamana i zbrukana, że byłoby lepiej dla mnie, gdyby Richard wykonał swoją groźbę i udusił mnie.

Nie wiem, jak długo tak leżałam. Nie myślałam. Nie myślałam zupełnie o tym, co się wydarzyło ani co zrobić. Wszystko, co czułam, to nieodparta, nagła potrzeba znalezienia się w domu. Chciałam zamknąć się w swojej sypialni. Pragnęłam położyć się i naciągnąć kołdrę na głowę. Usiadłam, chwyciłam się framugi drzwi i podniosłam na nogi. Chwiałam się, ale nie upadłam. Krwawienie ustało. Suknia nie była poplamiona. Mocno trzymałam się drzwi i krok za krokiem powoli doszłam do różanego

ogrodu.

Mgiełki nie było. Zamknęłam oczy i jeszcze raz otworzyłam z nadzieją, że się pomyliłam, że ona jest tam, gdzie ją zostawiłam. Ale Mgiełka widać zerwała cugle i wróciła do domu.

Szlochałam przez chwilę i był to pierwszy dźwięk, jaki wydałam, odkąd powiedziałam: „Richardzie, nie!” głosem, który nie powstrzymałby myszy. Nie wiedziałam, jak zdołam dotrzeć do domu, do bezpiecznego azylu mojego pokoju i łóżka.

W głowie mi się zakręciło, kolana ugięły się i opadłam na schody letniego domku. Podłożyłam pod głowę zgięte ramię i pozwoliłam, żeby wiosenne słońce ogrzało mi plecy. Nie sądziłam, żebym jeszcze kiedykolwiek poczuła ciepło wewnętrzne. Pozostałam tak, zupełnie nieruchoma, jakbym zamarła w nieszczęściu.

Wtedy usłyszałam w lesie głosy wołające moje imię, znowu i znowu. Podczas krótkich przerw nasłuchiwali, czy nie odpowiadam.

417

Usłyszałam odgłos końskich kopyt na podjeździe i głos Jema zachrypnięty od trwogi, wołający:

- Panienko Julio! Panienko Julio!

- Tutaj jestem! - krzyknęłam wzruszona. - Tutaj, Jem! W letnim domku!

Zebrałam siły, stanęłam na nogi i zeszłam na podjazd. Jechał na Księciu i zobaczyłam, że koń nagle skoczył do przodu, kiedy Jem mnie dostrzegł.

Natychmiast był przy mnie.

- Spadłaś? - zapytał - Morska Mgiełka wróciła do domu z zerwanymi lejcami i popuszczonym popręgiem. Domyśliłem się, że spadłaś z niej.

Skinęłam głową zbyt zmęczona, żeby mówić, i zbyt przepełniona bólem i

wstydem, żeby powiedzieć to, co było nie do wypowiedzenia: żeby oskarżać.

- Możesz jechać konno? - zapytał mnie. - Czy mam jechać do domu i przysłać po ciebie powóz?

Skinęłam bez słowa w kierunku Księcia.

- Chcę jechać do domu - powiedziałam żałośnie. Jem podsadził mnie na grzbiet Księcia i potem wskoczył za mną. Objął mnie, żeby mnie podtrzymać, i wtedy przez jedną chwilę szaleństwa nagle zlekłam się go, Jema, którego znałam przez całe życie, który nawoływał mnie i szukał. Zagryzłam dolną wargę, powstrzymując płacz. Przecież to nie Jema powinnam się obawiać. To nie z nim śmiałam się i spacerowałam. Nie jego całowałam na oczach całego Acre. I nie jemu obiecywałam, że się pobierzemy. Wszystko to robiłam z Richardem. To wobec Richarda zmieniałam plany. Nigdy nie powiedziałam mu, że chcę zamieszkać w Wideacre z Jamesem. Nigdy nie okłamywałam go wprost, ale przemilczałam to i owo.

A kiedy pierwszy pocałował mnie w letnim domku, uśmiechałam się. I kiedy w pierwszej chwili poczułam jego ciężar na sobie, objęłam go rękami za szyję i rozchyliłam usta na przyjęcie jego języka.

- Niedobrze mi - powiedziałam nagle do Jema i odwróciłam głowę, kiedy zaczęłam odczuwać nudności.

Nie zwymiotowałam nic oprócz żółci, usta miałam pełne kwaśnego smaku strachu.

Jem skierował Księcia do domu i jechaliśmy drogą spokojnym truchtem.

418

- Mama panienki została w domu na wypadek, gdyby panienkę znaleziono

lub gdyby panienka przyszła sama - wyjaśnił łagodnie Jem. - Wszyscy wyruszyli na poszukiwanie. Kiedy dotrzemy do domu, uderzę w gong, żeby wiedzieli. I zadzwoni szkolny dzwon, żeby powiadomić ich, że panienka jest bezpieczna.

Księżę szedł po miękkiej murawie środkiem podjazdu. Mimo że jego chód był bardzo płynny, czułam, jak boli mnie nadgarstek i brzuch. Ale widać już było Dower House, więc zacisnęłam zęby, żeby powstrzymać krzyk. Frontowa brama była otwarta i Jem podjechał pod dom.

- Halo! - zawołał prosto w otwarte drzwi. Zobaczyłam jakąś postać wychodzącą z frontowego holu

i nagle zapragnęłam znaleźć się w bezpiecznych ramionach mamy.

Ale to nie była mama. To był Richard. Mama była za nim, ale to Richard zszedł pierwszy po schodach i zdjął mnie z konia, trzymając w ramionach jak dziecko, które nareszcie dotarło do domu.

- Julio! Dzięki Bogu! - powiedział. - Wezmę ją, Jem. Tutaj. Ostrożnie z jej ręką.

Mama podeszła z boku i przytuliła swój chłodny policzek do mojego.

- Biedne kochanie! - szepnęła czule. - Czy spadłaś? Otworzyłam usta.

Ramiona Richarda zacisnęły się wokół mnie

lekko, niedostrzegalnie. Spojrzałam na jego znajomą twarz, tak blisko mojej. Richard, który był moją najdroższą miłością od najwcześniejszego dzieciństwa. Oczy mu błyszczały, uśmiechał się do mnie tak ciepło. Ale w spojrzeniu jego błękitnych oczu czaiła się groźba.

- Powiedz swojej mamie, Julio... - zaczął, a jego głos był miły od uśmiechu. - Powiedz nam, co się wydarzyło i jak doszło do tego, że zraniłaś sobie rękę w ten sposób.

To było niemożliwe.

Nigdy nie potrafiłabym powiedzieć jej prawdy ani wykrzyknąć tych plugastw. Byłam zbyt zawstydzona. Wstydziłam się jej, wstydziłam się Richarda i wstydziłam się siebie. Rozpłakałam się.

- Upadłam - powiedziałam zachrypniętym głosem - spadłam z Mgiełki, a ona uciekła.

419

Richard natychmiast skierował się ze mną w stronę domu; mama trzymała mnie za zdrową rękę i tak weszliśmy do mojego pokoju. Richard delikatnie położył mnie na łóżku. Zatrzymał się w progu, posłał mi rozbawione spojrzenie i przymknął jedno oko mrugając, jakbyśmy dzielili razem najwspanialszy sekret. Potem wyszedł.

Spałam aż do popołudnia, kiedy zbudził mnie dźwięk otwieranych drzwi i weszła mama z tacą w rękach, z oczyma utkwionymi w dzbanku.

- Herbata. Herbata dla uszkodzonej. Julio, moje kochanie, nie potrafię ci powiedzieć, jakiego strachu napędziłaś nam wszystkim.

Próbowałam się uśmiechnąć, ale nie udało mi się. I kiedy usiadłam na łóżku, stwierdziłam, że wargi drżą mi tak bardzo, iż z trudnością mogłam się odezwać.

- Boli mnie nadgarstek - powiedziałam po dziecinnemu. Mama przyjrzała mu się.

- Wielkie nieba! - zawołała. - Wygląda na paskudnie stłuczony albo nawet złamany.

Odłożyła tacę i wyszła z pokoju. Pospiesznie zbiegła schodami i po chwili wróciła z wujem Johnem.

Obejrzał moją zeszywniałą od bólu rękę.

- Złamana - powiedział do mamy. - Najlepiej wyjdź, Celio, będzie lepiej, jak zrobimy to sami z Julią.

Mama popatrzyła na mnie.

- Czy mam zostać? - zapytała.

- Nie - zaprzeczyłam, chociaż tego pragnęłam.

- Przyniosę swoją torbę - powiedział wuj.

Nastawienie złamanej kostki było bolesną i brutalną operacją. Ale w pewien sposób chciałam tego bólu. Był realny i skuteczny. Jedną z niewielu rzeczy na świecie, których mogłam być pewna. Ból złamanego nadgarstka. Mały kwadrat nieba Wideacre widziany z okna. I przebiegły nieprzyzwoity uśmiech Richarda.

- Zostaniesz w łóżku podczas obiadu - nakazała mama, patrząc na moją bladą twarz, kiedy John pozwolił jej wrócić do pokoju.

- Tak - wyszeptałam słabym głosem.

420

- Czy chciałabyś teraz czegoś? - zapytała.

Nabrałam powietrza. Wiedziałam, że muszę jej powiedzieć. Oczywiście. Ona musiała wiedzieć.

- Mamo... - zaczęłam.

- Richard powiedział, że może zjeść obiad tutaj, z tobą - zaproponowała. - Sądzę, że chciałabyś mieć towarzystwo, prawda, kochanie?

Zawahałam się. Śpiew ptaka za oknem uspokoił mnie. Nie powiedziałam.

Nie mogłam powiedzieć, co on mi zrobił. Nie mogłam jej powiedzieć, jak leżałam na plecach uśmiechnięta i chętna. Nie mogłam im powiedzieć, że syn Johna i współspadkobierca Wideacre jest gwałcicielem.

- Tak - zgodziłam się. - Richard może zjeść obiad tutaj na górze.

- Dobrze - powiedziała mama, jakby ubiła interes. - Teraz wyszedł do stajni obejrzyć konie.

Paniczny strach przedarł się przez oszołomienie wywołane laudanum i ciężarem mojego grzechu. Poderwałam się na łóżku.

- Nie! Mamo, proszę! Proszę, nie pozwól mu dotykać Mgiełki!

Rzuciła zdumione spojrzenie na Johna, jakby moja prośba była objawem jakiegoś urazu głowy lub wysokiej temperatury.

- Proszę! - nalegałam. - Obiecuj mi, mamo! Nie pozwól mu dotykać mojego konia!

- Dobrze, moje kochanie - powiedziała łagodnie. - Zrobimy, jak chcesz. Zejdę do stajni i powiem mu, żeby na twoje życzenie zostawił ją Jemowi.

- Tak, właśnie - potwierdziłam i opadłam na poduszki.

- Teraz śpij - powiedział autorytatywnie wuj John. - Śpij do obiadu. Nie będzie więcej bólu i przykrości, więc śpij, Julio.

Uśmiechnęłam się do niego, ale ledwie widziałam jego twarz, pokój falował mi przed oczyma. Myślę, że zasnęłam, nim wyszli z pokoju. Spałam aż do obiadu.

Richard przyszedł na górę; Jenny Hodgett podała nam obiad i stała dyskretnie u boku Richarda.

Zjadłam trochę, ale nie byłam głodna. I przez cały czas kiedy patrzyłam na Richarda, oczy wypełniały mi bezsilne, nie dające się wytłumaczyć łzy.

Czułam się winna. Winna temu, co się zdarzyło. Winna, że nie powiedziałam o tym natychmiast, kiedy zjawiłam

421

się w domu, że przez moje tchórzostwo Richard, mama, wuj John i ja całe życie spędzimy w kłamstwie. Nie powiedziałam im w porę, a teraz było

już za późno. Nie mogłam już zapobiec konfidencjonalnym uśmiechom Richarda.

Kiedy Jenny przyniosła mi filiżankę herbaty, miała dla mnie wiadomość od wuja Johna: pan Megson jest na dole i jeżeli czuję się wystarczająco dobrze, chciałby ze mną pomówić. Richard wyszedł z pokoju, a Jenny pomogła mi wstać i owinać się szalem. Wiedziałam, że musi to być coś ważnego, ponieważ Ralf nie przyszedłby w nocy do tego domu.

Zatrzymałam się przed lustrem, zgarnęłam włosy i przewiązałam wstążką.

Zastanawiałam się, czy pozna, że straciłam cnotę, że jestem kłamcą.

Ralf siedział z wujem Johnem w bibliotece. Uśmiechnął się, zapytał o wypadek i przeprosił, że mnie niepokoi. Ralf i ja zawsze byliśmy wobec siebie konkretni.

- Clara Dench zaginęła - oznajmił krótko. - Próbuję się dowiedzieć, kiedy widziano ją po raz ostatni i czy planowała wyjazd z okazji święta.

Wzięłam głęboki oddech.

- Widziałam ją na wzgórzach podczas majówki - odparłam. - Powiedziała, że idzie do domu i odeszła wcześniej. Nie planowała wyjazdu z Acre.

Ralf potaknął.

- Nie mogę uwierzyć, żeby odeszła bez słowa - powiedział na wpół do mnie, na wpół do wuja Johna.

- Czy mogło ją spotkać coś złego? - zapytał wuj John. Ralf skrzywił się i popatrzył na mnie, jakbym mogła mu pomóc.

- Zawsze trudno coś powiedzieć, jeżeli chodzi o dziewczyny - rzekł. - Nie przewrócę wsi do góry nogami, żeby daremnie tracić czas. To ich pierwsze święto od lat, a już spędzili dzisiejszy dzień na poszukiwaniu panny Julii.

- Clara nie jest latawicą - wtrąciłam ostro. Słowa zabrzmiały zimnym

echem, jakbyśmy rozmawiali na dnie studni. Okrutna pewność, że to, co przeczuwałam rano na wzgórzach, spełniło się. Próbowałam zatrzymać Clarę przy sobie, ale bałam się powiedzieć jej, jaki groźny, ponury cień otaczał ją w mojej wizji. Chyba bałam się powierzyć tę prawdę komukolwiek. - Na pewno powiedziałaaby komuś, że ma wyjechać. Nie wierzę, żeby opuściła rodzinę bez słowa.

422

Ralf kiwnął głową. Drzwi otworzyły się i cicho wszedł Richard. Zatrzymał się u końca długiego stołu przy rzeźbionym fotelu, gdzie powinna zasiadać głowa domu.

- Co mam zrobić? - rzucił Ralf w przestrzeń pomiędzy mną a wujkiem Johnem. Nawet nie spojrzał na Richarda.

- Proszę wziąć dwóch lub trzech ludzi i przeszukać las - polecił wuj, patrząc na mnie.

Przyznałam mu rację.

- Zaczynicie od Fenny - dodałam. - Clara zawsze chodziła w górę rzeki, kiedy było jej smutno. A dzisiaj była bardzo nieszczęśliwa.

Ralf potwierdził skinieniem głowy.

- Pokłóciła się z Matthew?

- Tak - przyznałam cicho.

- Wyślę paru, żeby jej szukali - zdecydował. - Choć trochę mi niezręcznie.

Obiecałem Acre kilka dni wolnych od pracy, a teraz będę musiał kilku ludziom przerwać zabawę.

- Ja pomogę - zaproponował nagle Richard. Wszyscy spojrzeliśmy na niego. Był bardzo ożywiony.

- Ja pomogę. Mała jest ze mnie pociecha przy pracach w majątku -

powiedział lekko. - Byłbym zadowolony, mogąc zaoszczędzić panu, panie Megson, trochę kłopotów, i pomóc odszukać Clare.

- Dzięki - rzekł wolno Ralf. Patrzył surowo na Richarda bez uśmiechu w oczach. - To byłoby pomocne. Podeślę panu tych ludzi rankiem, jak tylko zrobi się jasno, chyba że panna wcześniej sama wróci do domu.

- Będę czekał - obiecał Richard. Ralf zwrócił się do mnie:

- A pani, panno Julio? Czy będzie pani czuła się na tyle dobrze, żeby jutro przyjść na tańce?

Już miałam powiedzieć, że jutro będę czuła się wystarczająco dobrze, by pójść do Acre, ale szarpiący ból w brzuchu spowodował, że jęknęłam i oczy napełniły mi się łzami bezsilności.

- Jestem zmęczona - odparłam słabym głosem. - Pójdę do wioski, jeśli poczuje się lepiej, panie Megson.

- Aha - powiedział współczująco Ralf. - Proszę nie wychodzić, zanim nie poczuje się pani lepiej. W ogóle to jestem zdumiony tym upadkiem, ale właśnie dobrzy jeźdźcy spadają najgorzej.

423

Naprawdę bardzo mi przykro, że zdarzyło się to z koniem, którego sam wybrałem!

- To nie była jej wina - wyznałam. Wargi miałam lodowate i zdrętwiałe, z trudnością mogłam mówić. - To był mój błąd, wyłącznie mój. Powinnam być mądrzejsza.

- Wystarczy już tego - odezwał się przyjaźnie Richard. - Sprowadzę mamę, żeby położyła cię do łóżka. - Zwrócił się do Ralfa: - Nadal jest pod wpływem szoku po tym wypadku.

Ralf cofnął się parę kroków i skłonił.

- Przepraszam za to narzucanie się - powiedział zmieszany.

Chciałam do niego wyciągnąć rękę. Chciałam powiedzieć, że nie narzuca się, że nigdy się nie narzucał. Chciałam go błagać, żeby szukał Clary, chciałam powiedzieć mu o moich złych przeczuciach co do niej, uświadomić mu, że dzieje się coś bardzo złego. Ale nie było rady. Nie mogłam mu powiedzieć prawdy. Nie mogłam powiedzieć mu, że nie spadłam z konia. Mogłam tylko patrzeć na Ralfa długo i znacząco, aż oczy zaszły mi łzami.

- Tak mi przykro - wyszeptałam głosem zdławionym od płaczu. - Tak bardzo mi przykro. Nie mogę powstrzymać się od płaczu.

- Czas iść do łóżka - powiedział John z łagodną stanowczością.

Richard wszedł razem z mamą, która pomogła mi wejść po schodach i ułożyła mnie w łóżku jak małą dziewczynkę. Przez cały czas łzy spływały mi po twarzy, a ona ścierała je swoją chłodną chusteczką pachnącą liliami, którą potem włożyła mi pod poduszkę, i wyszła, zostawiając zapaloną świecę.

Leżałam na plecach; czułam, jak zbierające się łzy wypływają z kącików oczu i spływają po skroniach w małych strumyczkach smutku. Wtedy przypomniałam sobie, że moje halki i bielizna poplamione są krwią i z westchnieniem usiadłam na łóżku.

Z trudnością podeszłam do skrzyni, gdzie wcisnęłam ubranie.

Wyciągnęłam je. Plamy od krwi zbrunatniały - nie rzucały się już w oczy.

Zwinęłam wszystkie rzeczy i przepchnęłam przez kraty kominka. Zatliły się i zajęły płomieniem. Zataczając się wróciłam do łóżka i zasnęłam. Bez wątpienia dym z ognia

w kominku spowodował, że miałam nieprzyjemne sny o pustym domu, ludziach nadchodzących z pochodniami i pożarze, w którym dom spłonął doszczętnie i nie pozostało nic prócz pogorzeliśka.

Clara nie żyła.

Wiedziałam o tym. Widziałam ją w niebezpieczeństwie dużo wcześniej, kiedy patrzyłam na rzędy krzaków malinowych i wstrząsały mną dreszcze, ponieważ jej tam nie było.

Nikt nie wiedział, kto był sprawcą, nikt nie potrafił pojąć, kto mógł zrobić taką rzecz z uroczą Clarą. Ale Richard powiedział, że znaleźli Matthew Merry'ego przy jej ciele. Był przemoczony, domyślali się, że wszedł do Fenny i wyciągnął ją. Była w rzece; prąd zniósł ją do grobli nad nowym młynem, ale nie utopiła się. Uznano, że najpierw została uduszona, a potem wrzucona do rzeki. Clara nigdy by się nie utopiła. Razem nauczyłyśmy się pływać podczas gorącego lata sporo czasu temu.

Okoliczności świadczyły przeciwko Matthew. Nie potrafił powiedzieć, jak ją odnalazł. Nie potrafił powiedzieć, jak znalazł się w pobliżu rzeki, zanim przybyli tam szukający Clary ludzie. Nie potrafił powiedzieć niczego ani zrobić nic poza trzymaniem w ramionach jej zniekształconej twarzy. Z płaczem powtarzał cichym szeptem w kółko jej imię, jakby ją przyzywał. Rozszlochałam się, słuchając wuja Johna, kiedy powtarzał te wieści przyniesione przez Richarda. Mama natychmiast znalazła się przy mnie z większą ilością mieszanki sody i octu winnego z wodą.

- Wypij, kochanie - powiedziała i zrobiłam to posłusznie jak dziecko, z oczami utkwionymi w twarz Johna, oczekując litościwego odrętwienia spowodowanego lekarstwem.

- Jak to się mogło stać? - zapytałam z trudem.

- Została uduszona - odpowiedział bez ogródek. Mama wyciągnęła rękę, żeby go powstrzymać, ale potrząsnął głową. - Ona musi wiedzieć, Celio - powiedział. - Ona musi wiedzieć, co się dzieje w Acre. Richard rozmawiał z dziewczętami i chłopcami we wsi. Nikomu nie przychodzi do głowy, jak to mogło się stać. Pokłóciła się z narzeczoną. A w Acre uważają, że zamierzała go porzucić.

425

- Nie - odparłam szybko. - To nie może chodzić o Matthew Merry'ego. Ma przemiłe usposobienie i kocha Clarę od czasu, kiedy byli dziećmi. Nie wyrządziłby jej krzywdy.

- Ten młodzieniec, któremu zdarzały się napady omdleń?

- zapytała mama.

Popatrzyła znowu na Johna.

- Często miewał omdlenia, a kiedy wracał do przytomności, nie pamiętał ani co robił, ani gdzie był. Był najmilszym chłopcem i jest wartościowym młodym mężczyzną. Nie skrzywdziłby muchy, a co dopiero mówić o Clarze. Sprzeczali się, tak, ale to nie oznacza, że mógłby zrobić jej krzywdę. Uwielbiał ją!

Wuj John skinął głową.

- Wiedział, gdzie jej szukać - powiedział cicho. - Znaleziono go trzymającego w objęciach jej ciało i płaczącego. Wygląda to bardzo źle.

- Nie - zaprzeczyłam stanowczo. - To jest nieprawdopodobne. Nigdy nie skrzywdziłby Clary. Prędzej siebie by zabił.

Nikt w Dower House nie znał lepiej Clary i Matthew niż ja. Mama i wuj John mogli ich lubić, ale oni nie bawili się z dziećmi z Acre. Nie wiedzieli, że tych dwoje ślubowało sobie miłość, kiedy byli jeszcze dziećmi, i że

Matthew raczej by umarł, niż skrzywdził Clare, i że ta kłótnia musiała sprawić cierpienie obydwójgu.

- Może lord Havering mógłby zrobić coś z tą sprawą

- powiedział wuj John. - Jest najbliższym sędzią pokoju. Richard pojechał z nim porozmawiać.

Dopiero teraz zaczęło docierać do mnie, co się wydarzyło.

- Clara nie żyje - rzekłam wolno. - Czy bardzo cierpiała?

Zobaczyłam znowu, jak mama daje Johnowi szybki znak, ale on powiedział mi całą prawdę:

- Tylko przez krótką chwilę. Zabójca udusił ją rękami. Nie męczyła się długo, straciła świadomość bardzo szybko.

Słyszałam słowa Johna, ale sama nie mogłam mówić, ponieważ żal ścisnął mi gardło. Widziałam oczyma duszy jasną ładną twarz Clary i łzy w jej oczach, kiedy mówiła, że Matthew złamał jej serce, i obiecywała, że spotkamy się na tańcach.

- Nie mogę tego ścierpieć - powiedziałam szlochając.

- W Acre!

Wtedy wuj John wziął mnie pod jedno ramię, mama pod drugie i pomogli mi wejść po schodach do sypialni. Podano mi

426

miarękę laudanum, a mama trzymała mnie za rękę, aż moja zaciśnięta dłoń rozluźniła się i zaczęłam zasypiać.

- Mamo! - zawołałam nagle bliska paniki, kiedy zapadałam w sen. -

Mamo!

W tej sekundzie pomiędzy jawą i snem wyobraziłam sobie, że to ja jestem Clare uciekającą przez las, żeby ocalić życie, a za mną jest mężczyzna,

który chce mnie zabić. Chce mnie zabić, ponieważ zobaczyłam coś tak strasznego, że nie ma wyjścia - muszę zginąć. Widziałam desperację w jego oczach; wiedziałam, że jeżeli nie pobiegnę najszybciej jak potrafię, on mnie złapie, rzuci na ziemię, zaciśnie swoje arystokratyczne delikatne ręce na moim gardle i będzie ścisnął, aż przestanę oddychać. I w tym śnie byłam Clarą, biegłam, jak gdyby sam diabeł deptał mi po piętach. Ale byłam także sobą.

I bałam się tak samo jak Clara. Bałam się bardziej niż ona, ponieważ wiedziałam, że kiedy ona zostanie złapana, odwróci się, poczuje ręce mordercy i zobaczy jego twarz... a wtedy ja dowiem się, kto to jest.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Drugi.

Matthew Merry był obiektem kpin wieśniaków, odkąd wyjąkał pierwsze słowa. Przez wiele lat ciężko harował na utrzymanie, ponieważ jego jedyną opiekunką była babka, stara pani Merry. Dla starszych wieśniaków jej słowa wciąż były wyrocznią, młodzi jednak nie zwracali na nią uwagi, bo nie pamiętali czasów, kiedy była najbardziej zręczną akuszerką i pielęgniarką w okolicy i cieszyła się powszechnym szacunkiem.

Matthew był nieśmiały i lękliwy.

Chroniony tylko przez babkę, był bezbronny wśród rówieśników. Myślę, że to dlatego Clara traktowała go tak łagodnie. Sprawiał, że trochę mu matkowała i ochraniała go przed innymi w tej grupce hardych wilczków, którymi rządziła.

Kiedy znalazł ją nieżywą, stracił cały spryt, który ona pierwsza dostrzegła pod nieśmiałością i mozolnie rozwijała z pomocą Ralfa. Wiara w siebie czerpana z pochwał ludzi, którzy docenili jego wiersze, opuściła go natychmiast i zachował się jak idiota, którym go przezywano. Odnaleziono

go tulącego mocno w ramionach mokre ciało Clary, kołyszącego się nad brzegiem rzeki, wykrzykującego w kółko jej imię. Łzy ciekły mu po policzkach strumieniami, twarz miał równie moką jak ukochana martwa Clara.

Ludzie Richarda i lorda Haveringa wzięli go natychmiast za ramiona, a on nie stawiał żadnego oporu. Odciągnęli go od miejsca, gdzie znaleziono Clary. Głośno wykrzykiwał jej imię, kiedy prowadzili go coraz dalej od niej, a kiedy przywiedli go do powozu Haveringa, wciąż trzymając za ręce, przestał mówić. Tylko płakał. Zmusili go, żeby usiadł na podłodze, ponieważ był przemoczony i zabłocony. Nie oponował.

428

Potem przesłuchiwali go. Gdzie był tego ranka? Kiedy widział ją po raz ostatni? Przerażony jąkał się jeszcze bardziej. Richard oskarżał go, że jąka się z powodu nieczystego sumienia; Matthew tylko w kółko płakał i wołał ją po imieniu. Nie wykrztusił ani słowa poza imieniem Clary.

Mój dziadek, lord Havering, choć nie był złym człowiekiem, bywał gwałtowny i niecierpliwy w stosunku do prostych ludzi. Stykając się z kłamstwami i oszustwami, przywykł do przestępców z wioski Acre.

Richard dostarczył mu gotową łatwą sprawę i wszystko, co miał zrobić, to wysłuchać wyznania winowajcy. Nie krzyczał na Matthew ani nie obiecywał złagodzenia kary, żeby uzyskać przyznanie się do zbrodni, poprawił tylko pióro i czekał, patrząc zimnym wzrokiem. W skołatanej głowie roztrzęsionego Matthew tłukła się uporczywie tylko jedna myśl: Clara poszła nad Fenny, bo się pokłócili, pokłócili się przez niego. W końcu podniósł się z podłogi i powiedział:

- To moja wina. To jest moja w-w-wina.

Równie dobrze mogło to być przyznanie się do zabójstwa. Jego lordowska mość zawołał więc swojego urzędnika i po chwili miał to wszystko na piśmie. Matthew, bezwolny i odrętwiały z żalu, podpisał papier, być może myśląc, że dadzą mu wreszcie spokój i pozwolą pójść do domu.

Ale nie pozwolili mu odejść. Urzędnik wrócił z dwoma konstablami, a ci wepchnęli go do okropnego powozu bez okien i klamek wewnątrz. Zabrali go do więzienia w Chichester, gdzie razem z mordercami i gwałcicielami miał czekać na wyrok sądu objazdowego.

A Richard jechał do domu pod niebem oświetlonym sierpem księżyca, nucąc melodię, którą Matthew śpiewał z innymi, kiedy zaledwie dzień wcześniej sprowadzaliśmy do Acre wiosnę.

Spałam aż do następnego ranka, kiedy to obudził mnie głośny krzyk z dołu. Brzmiał podobnie do głosu Ralfa, ale nie mogłam uwierzyć, żeby Ralf mówił podniesionym tonem w domu mamy. Wyjrzałam przez okno. Było późno, prawie dziesiąta. Mama musiała wydać polecenia, żeby pozwolono mi spać. Przez chwilę nie pamiętałam, co się dookoła mnie wydarzyło. Potem serce zamarło mi w piersi, bo przypomniałam sobie, że Clara nie żyje, że morderstwo popełniono tutaj, w lasach Wideacre, że złamałam sobie nadgarstek, spadając z konia i jakoś straciłam odwagę

429

- może do jazdy konnej, może do życia - i że ciągle drżą mi ręce. Nie mogłam powstrzymać się od płaczu.

Sięgnęłam po szal leżący w nogach łóżka i wyrwał mi się cichy okrzyk bólu. Potem już poruszałam się ostrożniej, gdy naciągałam go na plecy. Otworzyłam drzwi sypialni i nasłuchiwałam. To był głos Ralfa; krzyczał w bibliotece.

- Dziewczyna z Acre nie żyje, chłopak z Acre idzie do więzienia za zamordowanie jej i za bezsensowne przyznanie się do winy mają go powiesić! Klnę się, doktorze MacAndrew, że pan jest zbyt opieszwały w tej sprawie!

Wuj John mówił tak cicho, że nie mogłam wyłowić słów.

- Więc dlaczego nie było przy tym Julii? - dopytywał się Ralf. - Jeżeli nie wezwał pan mnie, dlaczego nie zrobiono tego w obecności Julii? Ona jest współspadkobierczynią Wideacre, równą panu Richardowi. Dlaczego tylko sam pan Richard był tak zaabsorbowany tą sprawą?

Ralf milczał, kiedy wuj John odpowiadał, ale nadal nie mogłam dosłyszeć, co mówi.

- Nawet jeżeli panna Julia była pólżywa od tyfusowej gorączki, to nadal twierdzę: powinna tam być! - ryczał Ralf. - Te wieści rozprzestrzeniły się po całej wiosce jak pożar i wszyscy są wściekli, bo wiedzą, że popełniono błąd. Coś takiego może zniszczyć harmonię pomiędzy wioską i panem. Acre zaufało panu, a teraz chłopiec z Acre jest za kratkami i grozi mu szubienica za morderstwo.

- Przyznał się - głos Johna był teraz wyraźny, głośniejszy.

- Aha - rzucił z sarkazmem Ralf. - I kto tam był? Lord Havering, który przyjeżdża na wieś w sezonie strzeleckim i kiedy brakuje mu funduszy. Pan Richard!

- Właściwie co pan chce powiedzieć, panie Megson? - zapytał wuj John równie lodowatym tonem, jak ton Ralfa był gorący.

- Mówię, że Acre nie ma zaufania do zdolności lorda Haveringa, który nie odróżnia konia od stogu siana - powiedział ostro Ralf. - Uważamy, że jest półślepy i wiecznie pijany. A ja mówię, że do Richarda mam tyle zaufania,

co brudu za paznokciem. Bóg jeden wie, dlaczego pragnie powieszenia biednego Matthew Merry'ego, ale wszyscy w wiosce są przekonani, że to on wysłał tego chłopaka do więzienia i pośle go na szubienicę.

430

W bibliotece zapanowała absolutna cisza. Wstrzymałam oddech i słuchałam.

- Sądzę, że przyjmie pan miesięczną wypłatę, oszczędzając mi tych uwag, panie Megson? - zapytał chłodno wuj John.

- Przyjmuję - powiedział Ralf, a tylko ja dosłyszałam rozpacz w jego głosie.

- Nie! - krzyknęłam i pobiegłam do pokoju mamy. Siedziała przed lustrem, włosy miała rozpuszczone, Jenny Hodgett za nią zamarła z uniesioną szczotką. Mama odwróciła się, kiedy wpadłam do pokoju, i bez słów zrozumiała błaganie na mojej twarzy. Niedbale odrzuciła piękne włosy do tyłu i przeszła obok mnie. Zeszliśmy razem. Drżałam i modliłam się, żeby mama zdołała opanować sytuację. Nie patrzyła prawie wcale na Ralfa Megsona. Wuj John siedział przy stole i wypisywał czek z rachunku bankowego.

- Pan Megson musi zostać - oznajmiła mama.

Wuj John uniósł wzrok, zauważył jej poranną suknię i włosy w nieładzie odrzucone do tyłu. Jego oczy pozostały blade i zimne.

- On oskarża twojego ojca o pijaństwo i niekompetencję, a Richarda o krzywoprzysięstwo - powiedział, nie zdradzając żadnych uczuć. - Sądzę, że już nie życzy sobie pracować dla nas.

Spojrzałam na Ralfa. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- Panie Megson - mama zwróciła się do Ralfa - cofnie pan to, co

powiedział, prawda? Zostanie pan? Jeszcze tyle jest do zrobienia w Acre. I obiecał pan ludziom, że im pomoże.

Jego spojrzenie spotkało się z jej wzrokiem na długi, pełen wątpliwości moment; potem skinął głową.

Miał już powiedzieć „tak”.

Wiem, że był o krok od powiedzenia „tak”.

Ale ja zostawiłam za sobą otwarte drzwi biblioteki i dostrzegł nas przechodzący Richard. Skłonił się Ralfowi, jakby był zadowolony, że go widzi.

- Jakiś problem? - zagadnął.

- Pan Megson uważa, że Matthew Merry jest niewinny - odezwał się bez wstępów John. - Czy jesteś pewien, że nie wywierałeś na niego nacisku, Richardzie? To gardłowa sprawa i ufam, że zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji.

Uśmiech Richarda był słodki jak u dziecka.

431

- Oczywiście, że nie - powiedział. - Lord Havering był tam przez cały czas i jego urzędnik również. Wszystko było w całkowitej zgodzie z prawem. Wszystko zostało przeprowadzone dokładnie i prawidłowo. Ralf syknął pogardliwie, słysząc manieryczną wymowę słów „dokładnie i prawidłowo”. Wiedziałam, że drżą mi ręce, więc splotłam palce, aby nikt tego nie zauważył.

- I nie masz żadnych wątpliwości? - dopytywał się John.

- Matthew jest młody, niewykształcony i wzięto go przez zaskoczenie. Czy jesteś pewien, że wiedział, co podpisuje? Czy jesteś przekonany, że wiedział, co mówi?

- Doprawdy to jest zadanie dla sędziego prowadzącego śledztwo - powiedział lekko Richard. - Powinno się zapytać o to lorda Haveringa. To było jego śledztwo i jego dowody. Ja byłem tam dlatego, że zdawałem mu sprawozdanie ze zbrodni. Powiedziałem, że uważam, iż fakty świadczą przeciw Matthew i że trzeba to zbadać. Nie miałem nic więcej wspólnego z tą sprawą.

Nie odzywałam się. Patrzyłam na Ralfa. Przymknął lekko powieki i wpatrywał się w Richarda.

- Jesteś dzieckiem swojej matki, to jasne - powiedział. Wuj John popatrzył na niego i wymienili twarde spojrzenia.

- Chciałbym pozostać, jeżeli mogę - rzekł nagle Ralf.

- Czy mogę dostać dzień na zastanowienie się i wyjazd do Chichester, żeby się zorientować, co mogę zrobić dla Matthew?

John skinął głową.

- Ja też chciałbym, żeby pan został, jeżeli dojdziemy do zgody, panie Megson - powiedział. - Odłożymy tę decyzję o dzień, jak pan sobie życzy. Obydwaj byliśmy rozsierzeni i nie chciałbym, byśmy rozstali się ze słowami wypowiedzianymi w gniewie.

Ralf gwałtownie opuścił ramiona i posłał Johnowi jeden ze swoich powolnych uczciwych uśmiechów.

- Jest pan dobrym człowiekiem - usłyszałam zdumiona.

- Chciałbym, żeby udało się nam wyjaśnić tę sprawę do końca.

Jedno twarde spojrzenie na Richarda uświadomiło mi jasno, że obwinia go za wszystko, co się wydarzyło. Patrzyłam to na jednego, to na drugiego i nie wiedziałam, po której stronie ulokować lojalność.

- Dzisiaj nic już się nie zrobi - powiedział Ralf rzeczowo, jakby mówił o interesach. - Stolarz robi dla niej trumnę i kopią grób. Będzie chowana dzisiaj po południu, o drugiej, gdybyście chcieli się przyłączyć. Jutro wracają do pracy. Po śmierci najładniejszej dziewczyny w okolicy i zamknięciu w areszcie najmilszego chłopca ze wsi nie chcą dalej świętować majówki. Wszystko w Acre idzie w tym roku źle.

Wuj John powiedział „tak” cicho, z opuszczoną głową. Ostatnie zdanie brzmiało w moim umyśle jak echo kościelnego dzwonu, które odzywa się jeszcze długo potem, jak dzwonnik przestaje nim poruszać. Wydawało mi się, że słyszałam to już wcześniej. Zobaczyłam jakby skamieniałą twarz Johna i już wiedziałam

- ktoś powiedział tak Beatrice, kiedy zniszczyła majątek; teraz bał się, że Laceyowie jeszcze raz zawiodą Acre.

Ralf wymknął się z pokoju bez słowa, słuchaliśmy stukotu drewnianej nogi na wypolerowanej podłodze holu. Dowlokłam się do fotela przy kominku i opadłam na niego, obejmując rękami głowę, nie mogąc powstrzymać napływających łez.

Mama zwróciła się do Johna.

- Nie załamuj się - powiedziała. - Wszystko będzie w porządku. Nie możemy pomóc biednej Clarze, ale pojedziemy do Chichester, tak samo jak pan Megson. Matthew mógł nawet dzisiaj zmienić zeznanie, miał czas, żeby to przemyśleć. A może Richard i lord Havering odkryją, że się pomylili? W każdym razie do posiedzenia sądu objazdowego zostało jeszcze kilka miesięcy, więc jest mnóstwo czasu, by wykazać, że została popełniona omyłka.

Wuj John uniósł na to głowę i nagle dostrzegłam, jak jest zmęczony i jak

staro wygląda.

- Tak - powiedział. Potem dodał mocniejszym głosem:

- Tak, Celio, masz rację. Nie panujemy nad tym. Wypadki potoczyły się tak szybko, ale nie podjęto żadnych ostatecznych decyzji. Bez trudu uzyskamy zgodę na rozmowę z Matthew i jeżeli opowie nam inną historię, możemy rozwiązać ten problem.

Wszyscy popatrzyliśmy na Richarda. Ktoś mógłby pomyśleć, że uniesie się gniewem, słysząc takie słowa, ale Richard uśmiechnął się, a jego oczy przybrały kolor jasnego błękitu.

- Oczywiście - powiedział po prostu - jak sobie życzycie. Coś w jego głosie sprawiło, że ścisnęłam skronie i płakałam, płakałam.

433

Mama i John nigdy już nie porozmawiali z Matthew. Kiedy przygotowywali się do wyjazdu powozem, żeby zobaczyć się z chłopcem w Chichester, do Havering House nadeszła wiadomość. Władze więzienne zawiadamiały lorda Haveringa, że więźnia Matthew Merry'ego znaleziono rano w celi wiszącego na własnym pasku. Na ratunek było już za późno. Niefortunna sprawa - pisał do nas lord Havering swoim arystokratycznie nieczytelnym pismem - ale zaoszczędzi się pieniędzy, które poszłyby na kata, ponieważ ten łajdak bez wątpienia był winien.

John, mama i ja siedzieliśmy w milczeniu. Nagle doznałam nieprzyjemnego uczucia bezsilności i po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że sprawy potoczyły się źle, naprawdę źle, a ja nie potrafiłam nimi pokierować ani ich powstrzymać.

- Czy to świadczy o jego winie? - zapytał sam siebie wuj John i

odpowiedział sobie: - Nie. To zła wiadomość dla Acre.

Widziałam, ile wysiłku kosztowało go powiedzenie tego spokojnie. Jeżeli chodzi o mnie, to mocno ścisnęłam ręce, żeby nie drżały.

- Jak my im to powiemy? - zapytał. Mama wciągnęła powietrze.

- Ja to zrobię, jeżeli chcesz - zaproponowała. - Planowałam, że pójde na pogrzeb Clary. Potem mogę do nich przemówić. Ale teraz pojedę do wsi i powiem pani Merry.

Wuj John skinął głową na znak, że się zgadza.

- Pojadę z tobą - powiedział.

Więc zamiast jechać w sprawie Matthew do Chichester, pojechali do Acre, żeby powiedzieć jego babci o śmierci jedyne go wnuka. O śmierci w hańbie, zadanej własnymi rękami.

To był koniec majowego święta i koniec planów związanych z tańcami na błoniach, z ucztą, piciem i zabawą. Następnego dnia wszyscy wrócili do pracy; owce rosły, krowy cielily się i nikt w Acre nie miał głowy do rozrywek.

Wuj John stał się małomówny i zamyślony, dni spędzał samotnie w bibliotece, czytając i pisząc. Mama z powrotem zajęła się szkołą we wsi, ale więcej było w tym poczucia obowiązku niż entuzjazmu. Na czas naszego pobytu w Bath przekazała nauczycielskie obowiązki dziewczynie z Midhurst, teraz poprosiła Johna,

434

żeby przydzielił tej kobiecie chatę we wsi, aby mogła całkowicie przejąć zarządzanie szkołą. To była rozsądna decyzja, ale nam wszystkim dawała poczucie, że pomiędzy Acre a Laceyami otworzyła się przepaść.

Tylko Richard był zadowolony. Dosiadał Księcia, chętnie jeżdżąc na

posyłki dla mamy i wujka Johna, doglądał krów i owiec, nawet na dalekich pastwiskach; zjeździł wszystkie krańce naszej posiadłości.

A ja? Szalałam z niepokoju. Czekałam na Jamesa. Po pogrzebie Clary zatrzymałam Jimmy'ego Darta w drzwiach kościoła i poprosiłam, żeby odszukał Jamesa w biurach jego ojca w Londynie. W rękawiczce miałam złotą monetę i dałam mu na opłacenie dyliżansu.

- Powiedz mu, żeby nie przyjeżdżał do Dower House

- powiedziałałam cicho. Richard pomagał mamie wsiadać i stał odwrócony do mnie plecami. - Powiedz, że chcę się z nim spotkać w tajemnicy.

Zobaczymy się w Midhurst, w zajeździe Spread Eagle. Niech czeka tam we wtorek o dziesiątej.

- Spread Eagle, wtorek, godzina dziesiąta - powtórzył natychmiast Jimmy.

- Nie zawiodę, panienko Julio! Tak samo pan James, obiecuję.

Popatrzyłam na niego szybko i zamrugałam, żeby odpędzić nagle napływające łzy.

- Myślisz, że to się uda, Jimmy? - zapytałam. Jimmy popatrzył ze zdziwieniem.

- Dlaczego by nie, panienko Julio - powiedział. - Nikt się nie dowie!

Ponownie rzuciłam spojrzenie na powóz. Richard czekał na mnie, uśmiechając się swoim jasnym tajemniczym uśmieszkiem.

- Muszę iść - powiedziałałam szybko. - Czy zdążysz na wcześniejszy dyliżans?

- Będę w Londynie przed południem - obiecał Jimmy.

- Odnajdę go, gdziekolwiek jest.

Uśmiechnęłam się do niego i podeszłam do powozu.

Potem czekałam. Czekałam i martwiłam się.

James uważał, że jego zmysłowość jest niewłaściwa. Niewłaściwa, ale do wybaczenia. Ryzykowałam wszystko w nadziei, że on na tyle mnie kocha, żeby wybaczyć ten jeden okropny błąd, tak jak ja mu wybaczyłam. Ale to było wielkie ryzyko. I to było wszystko, czego chciałam.

435

Nie byłam aniołem! Myśl o tym, żeby niczego nie mówić i wyjść za niego jak nietknięta panna młoda, uparcie przychodziła mi do głowy. Ale prawdę mówiąc, rozpatrywałam ją poważnie tylko raz. W czasie tych dni oczekiwania wiedziałam na pewno, że chcę wyjść za Jamesa, ale bez kłamstw, nie kosztem uczciwości i honoru.

Mogłam powiedzieć, że zostałam do tego zmuszona. Ale nie mogłam przemilczeć tego, że leżąc, uśmiechałam się. Paliłam się ze wstydu na to wspomnienie i wiedziałam, że nigdy nie zdołam mu tego wyjawić. Ani nikomu innemu. Mogłam mu powiedzieć, że to był gwałt, ale pewnie dopytywałby się, czy znam przestępcę, a przecież nie mogłam wskazać Richarda; owego pamiętnego popołudnia wpadłam w matnię pierwszym kłamstwem o upadku z konia. A jeżeli powiem mu, że zgwałcił mnie ktoś nieznajomy, będę musiała wymyślić całą historię o tym, jak i gdzie się to wydarzyło. I dlaczego nie powiedziałam mamie.

Nie mogłam znaleźć dobrego rozwiązania; nie było w ogóle żadnego rozwiązania, tylko coraz więcej i więcej problemów, które roztrząsałam w kółko, i wciąż byłam pewna tylko jednego - że zostałam do tego zmuszona.

W poniedziałek wieczorem nie spałam. O północy owinięta w kołdrę usiadłam na ławeczce przy oknie i obserwowałam księżyc wędrujący po bezchmurnym srebrzystym niebie. Dokuczliwe myśli i zmartwienie

bezustannie wracały, oparłam się o okiennicę i zamknęłam oczy przed blaskiem księżyca i dudniącym strachem, że stracę Jamesa, że nie wiem, jak go zatrzymać. Jakich słów użyć, żeby mi wybaczył? Był jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochałam i którego chciałam kochać. A teraz nie wiedziałam, co robić, by zachować jego miłość.

Zasnęłam skurczona na ławeczce przy oknie, z głową opartą o okiennicę. Zbudziłam się o świcie zziębnięta, odrętwiała i obolała. Ubrałam się w nowy strój do konnej jazdy, w półmroku umyłam twarz zimną wodą z dzbanka i znowu usiadłam przy oknie, słuchając ptaków rozpoczynających swoje trele.

O szóstej pomyślałam, że mogę zejść na dół do stajni i osiodłać Mgiełkę. Chciałam uniknąć spotkania z mamą i wujem Johnem. A najbardziej pragnęłam umknąć przed Richardem. Naprawdę bałam się spotkania z nim tego ranka i tęskniłam za Jamesem.

436

Próbowałam niezgrabnie osiodłać Mgiełkę jedną ręką. Ale zarżała, kiedy dałam jej wyciągniętą z kieszeni marchewkę, i obudziła Jema śpiącego na swoim legowisku w kącie.

- Nie może pani jechać konno, mając sprawną tylko jedną rękę - powiedział zgorszony.
- Wiesz, że Mgiełka jest najłagodniejsza. Potrafię nią kierować, jeżeli tylko osiodłasz ją dla mnie, Jem.
- A gdzie się panienka wybiera? - dopytywał się wojowniczo. Popatrzyłam na niego niezdecydowanie.
- Muszę spotkać się z Jamesem Fortescue - odparłam wprost. - Może będziemy musieli odwołać ślub. Muszę zobaczyć się z nim dziś rano, Jem.

Proszę, pomóż mi.

Jego brązowa twarz natychmiast przybrała miły wyraz.

- Z tym pani ładnym młodym adoratorem, panno Julio?
- zapytał łagodnie. - Więc zawiozę tam panienkę, oczywiście powozem.
- Nie - powiedziałam szybko. - Nie chcę, żeby mama czy wuj John o tym wiedzieli. Ani Richard. Nikt. Po prostu przygotuj dla mnie Mgiełkę i powiedz im, że pojechałam na ranną przejażdżkę i że poradziłam sobie.

Proszę, Jem.

Zatrzymał się.

- Ale niech panienka będzie z nią ostrożna - poprosił opiekuńczo. - Nie potrafię sobie wyobrazić, jak mogło dojść do tego upadku ostatnim razem.
- Popełniłam błąd przy skoku - skłamałam gładko. - Ona mnie nie zrzuciła. Proszę, Jem, załóż jej siodło, bardzo się boję, żeby się nie spóźnić.

Wyprowadził Mgiełkę ze stajni, zarzucił siodło i umocował popręgi.

Potem wyprowadził ją na podwórze i podsadził mnie.

- Niech panienka nie jedzie za szybko - powiedział.
- O której musi pani być w Midhurst?
- O dziesiątej - odparłam.

Jem popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Panno Julio, niech pani zje coś na śniadanie. Nie ma pośpiechu, to dopiero za trzy godziny.

Uśmiechnęłam się smutno. Myślę, że to był pierwszy mój uśmiech od tygodnia, od tamtego straszego poranka.

- Nie mogę jeść! - powiedziałam. - Nie mogłam też spać. Myślę, że pojedę sobie na chwilę na błonia, a stamtąd do Midhurst.

Jem uśmiechnął się do mnie.

437

- Więc życzę powodzenia, panienko Julio. Mężczyzna byłby głupi, pozwalając takiej pannie odejść, a pan Fortescue pewnie wie o tym. Powodzenia. Powiem im, że pani pojechała i nie wróci do południa. Złapałam cugle zdrową ręką i Mgiełka delikatnie wyjechała z podjazdu, hałasując po wyłożonym kamieniami podwórku, potem już cicho po trawie przed oknami sypialni. Ruszyłam truchtem i skręciłam w prawo na błonia, mając w zapasie godzinę na dotarcie do Midhurst.

Było wciąż za wcześnie, nawet gdy przejechałam przez błonia w kierunku Ambersham. Nadal pozostawało mi jeszcze pół godziny. Ale zachciało mi się pić, więc skierowałam klacz do stajni zajazdu i zsiadłam przy drzwiach.

Znali mnie w Midhurst i pozdrowili mnie po imieniu. Powiedziałam, że mam spotkanie z przyjacielem z Londynu i czekając na niego, napiję się kawy w ich prywatnym saloniku. Gospodarz zaprosił mnie do środka i rozpałił ogień na kominku, chociaż było ciepło. Usiadłam przy oknie i popijałam kawę.

Był to ładny pokój z oknami wychodzącymi na ogród pełen majowych kwiatów. Wolałabym raczej znaleźć się w pomieszczeniu, które wychodziło na stajenne podwórko. Ale chociaż nie mogłam zobaczyć przyjazdu Jamesa, wiedziałam, że już wkrótce się pojawi. Czekałam. Zegar tykał na kominku. Wydawało się, że czas biegnie bardzo powoli. Sprawdziłam godzinę na zegarku, który dostałam od Johna. Była to maleńka kopia jego własnego, nawet z podobnym łańcuszkiem. Zegar stojący spóźniał się o parę minut. Posunęłam trochę wskazówkę. Potem

pomyślałam, że byłam tu przed półgodziną i mogę udawać złość na Jamesa o spóźnienie. Ale wtedy przypomniałam sobie, że możemy nie być w nastroju do żartów. Wróciłam na miejsce i czekałam.

Usłyszałam turkot dyliżansu na podwórzu; ten o dziesiątej przybywał z Chichester. Natychmiast wiedziałam, że nie ma w nim Jamesa.

Hałas czyniony przez powóz, krzyki pasażerów wołających o picie i jedzenie składały się na charakter tego miejsca. Popatrzyłam na zegar na kominku i sprawdziłam ze swoim zegarkiem. Powóz przybył trochę wcześniej, nie było jeszcze godziny dziesiątej. James mógł się pojawić za trzy lub cztery minuty i nadal nie byłby spóźniony.

438

Żałowałam, że nie zabrałam jakiejś książki lub czegośkolwiek, co oderwałoby mnie od wolno przesuwających się wskazówek. Wydawało się, że moje myśli biegną zgodnie z ich rytmem. Tik... muszę powiedzieć mu o tym, że pozbawiono mnie czci. Tak... muszę powiedzieć, że stało się to wbrew mojej woli. Tik... odmówię podania nazwiska tego mężczyzny. Tak... to bardzo rozgniewa Jamesa. Tik... jeżeli będzie zły, nie uwierzy, że tego nie chciałam. Tak... ale nie byłam temu przeciwna, przynajmniej na początku. Tik... nie! Nie chciałam, gdy tylko okazało się, że to Richard. Tak... muszę pamiętać, żeby nie wymówić imienia Richarda. Tik... cokolwiek się stanie, nie wolno mi wypowiedzieć jego imienia.

Za drzwiami rozległy się jakieś kroki i skoczyłam na równe nogi, twarz oblały mi rumieńce. Był to pan Jeffries, gospodarz. Nie James.

- Proszę panią do kawiarni, panno Lacey - rzekł. - Przyjechał dyliżans i pewnie przywiózł pani przyjaciółkę!

Wybąkałam coś w odpowiedzi.

- Może przyjedzie później - powiedział pogodnie pan Jeffries. - Sądzę, że przykro pani siedzieć w pomieszczeniu w taki dzień jak ten. Słyszałem, że to gorący czas dla Wideacre.

- Tak - przyznałam. - Panie Jeffries, czy może pan przynieść jeszcze jedną filiżankę kawy? Mój przyjaciel będzie tutaj lada moment. Jestem pewna. Czekałam na kawę. Czekałam na Jamesa. Za oknem rosło jakieś pnącze i uderzało lekko o szybę, jakby mały kotek bawił się kłębkami wełny; słyszałam to w każdej chwili ciszy. Słońce świeciło, a w jego promieniach tańczyły drobinki kurzu. Dywan pod oknem był wyblakły tam, gdzie letnie słońce wypalało go niezliczoną ilość razy. Na trasie od drzwi do stołu widać było wąską ścieżkę wydeptaną przez gospodarza i jego pomocnicę. Czułam się, jakbym spędziła w tym małym pokoju całe życie, jakbym miała zostać tutaj na zawsze.

Zegar na kominku wydzwonił piętnaście po dziesiątej, James się spóźnił. Podczas całego naszego pobytu w Bath nigdy się nie spóźnił. Zawsze był na miejscu, obojętne kiedy się pojawiłam. Raz mi powiedział, że czekał na mnie około godziny. Pomyślałam, że droga okazała się trudniejsza, niż oczekiwał. Albo może koń okulał. Ale wtedy usłyszałam stukot drzwi od stajni i serce mi podskoczyło.

439

Odgłos kroków na początku korytarza. Nie mogłam usiedzieć i podeszłam do stołu.

Ten ktoś minął pokój. To nie był James.

Przyniesiono kawę i siedziałam nad stygnącą filiżanką, obserwując kosa na trawniku biegającego i raptem zamierającego w milczeniu, wsłuchującego się z uniesioną głową w dźwięki, których nikt inny nie

słyszał.

Zegar bardzo głośno wydzwonił połowę godziny. Kawa była letnia.

Wypiłam ją. Zamówię nową, kiedy przyjdzie James.

Jeśli przyjdzie.

Wiedziałam, że przyjedzie, niemożliwe, żeby nie przyjechał. Głęboko w sercu kryłam pewność, że jeżeli przybędzie i powiem mu uczciwie, szczerze, co mi się przydarzyło, on mi wybaczy. Ufałam mu, ufałam swojej miłości do niego i jego miłości do mnie.

Zegar tykał. Kos rzucił się do przodu, złapał jakąś gąsienicę i unióś ją triumfalnie w dziobie.

Zegar wydzwonił trzeci kwadrans. Było za piętnaście jedenasta. Za dziesięć jedenasta nadal się nie pojawił. Zakładałam się ze sobą o sto gwinei, że wpadnie do saloniku w ciągu pięciu minut, pokryty kurzem i będzie mnie przeproszał. Ale nie było go.

Zegar wybił pełną godzinę, dzwięcinnie, monotownie, głośno. Pan Jeffries wetknął głowę w drzwi.

- Jest tutaj jakiś dżentelmen... - zaczął.

- James! - krzyknęłam z pewnością i skoczyłam na równe nogi.

- Mówi, że droga z Londynu jest pusta i że nie robił postoju przez ostatnie dwadzieścia mil - ciągnął dalej pan Jeffries. - Może pani przyjaciel nie przyjedzie, panno Lacey.

- Poczekam jeszcze pół godziny - powiedziałam. Czulałam krew napływającą do twarzy tak szybko, że myślałam, iż zemdleję. Znowu usiadłam i oparłam czoło o szybę. Szkło było zimne. Na jednej z szyb ktoś usiłował wyciąć diamentem swoje imię. Wyglądało jak Stephen czy coś takiego, obok była data z ubiegłego roku.

Dochodziło dwadzieścia minut po jedenastej.

O wpół do dwunastej pan Jeffries przyszedł zapytać, czy nie chciałabym zostawić wiadomości dla przyjaciela, i obiecał, że ją przekaże, a to zaoszczędzi mi niewygodę czekania. Powiedziałam, że poczekam do południa.

440

Zegar tykał. Powrócił kos.

Powiedziałam sobie, że to niemożliwe. James nie mógł tak po prostu nie przyjechać. Nigdy nie zawiódłby mnie w ten sposób. Musiał mieć w drodze jakiś wypadek. Zamiast siedzieć tutaj i wątpić w niego, powinnam była wysłać ludzi, by go odszukali i sprowadzili bezpiecznie do Wideacre. Jednak w głębi serca wiedziałam, że nic się nie stało, nie było żadnego wypadku. On nie przyjechał.

Minęło wpół do pierwszej, nim nabrałam całkowitej pewności. Nawet wtedy powitałabym jego bryczkę z zadowoleniem. Ale po ponad dwóch godzinach czekania wiedziałam na pewno, że już nie przyjedzie, i równie dobrze mogłam wracać do domu.

Podniosłam się z miejsca przy oknie jak stara kobieta, zeszywniała i zmęczona. Nie przyjechał. Wiedział, że na niego czekam, a jednak nie przyjechał. To, co miałam mu teraz powiedzieć, w przyszłości stanie się problemem. Nie przyjechał, chociaż prosiłam go, by się ze mną spotkał. Bolała mnie dłoń i nie wiedziałam, jak zdołam doprowadzić Mgiełkę do domu. Byłam tak zmęczona, jakbym przez cały dzień jeździła po błoniach. Wiedziałam, że z niesprawną ręką trudno mi będzie dosiąść Mgiełki, która zdążyła już wypocząć w stajni.

Włożyłam i przypięłam kapelusz, wyszłam na podwórko.

Był tam Richard.

Siedział w dwukółce wuja Johna zaprzęzonej w najbardziej spokojne konie, Mgiełkę przywiązał z tyłu. Rozparł się na siedzeniu woźnicy, nogi w eleganckich butach oparł o błotnik. Nad głową w nieruchomym powietrzu unosiło się kółko dymu. Odwrócił się na odgłos zamykających się za mną drzwi. Zsiadł, powoli uniósł trójgromny kapelusz i uśmiechnął się swoim tajemniczym uśmieszkiem.

- Ależ długo tutaj siedziałaś, kochanie - powiedział przyjaźnie. - Miałem pewną sprawę do załatwienia w zajezdzie, więc pomyślałem, że poczekam na ciebie. Twoja mama martwi się tą przejażdżką. Będzie zadowolona, że spotkaliśmy się i mogłem cię zawieźć do domu. Co jej powiemy o miejscu naszego spotkania?

Objął mnie w pasie i podsadził do dwukółki, zanim mogłam powiedzieć słowo, potem potrząsnął lejcami, rzucił monetę stajennemu i wyjechaliśmy z podwórza.

Przez chwilę nie odzywałam się. Po prostu spotkanie Richarda tutaj było szokiem. Ale potem odzyskałam głos.

441

- Co ty tu robisz? - zapytałam.

- Interesy - odparł Richard, jakby codziennie miał sprawy do załatwienia w zajezdzie w Midhurst. - Spotkałem się z pewnym człowiekiem. -

Obdarzył mnie jednym ze swoich przebiegłych uśmieszków. - Musiałem dostarczyć listy pewnemu dżentelmenowi, pomyślałem więc, że poczekam i odwiozę cię do domu. Pewnie jesteś zmęczona tym wczesnym wyjazdem i wciąż dokuczającą ręką.

- Jestem - powiedziałam wprost.

Rzeczywiście byłam tak zmęczona i rozczarowana, że aż bliska płaczu. Całą noc, cały tydzień przygotowywałam się, że będę błagać Jamesa, żeby kochał mnie mimo wszystko, i usiłowałam się nastawić nawet na odmowę. Ale nie liczyłam się z możliwością, że on nie przyjedzie, że w ogóle nie dojdzie do rozmowy.

Richard obrzucił mnie z ukosa spojrzeniem tak ciepłym i współczującym, jakby wiedział, o co chodzi, i martwił się moją rozpaczą.

- Dlaczego nie zdejmiesz kapelusza i nie wystawisz twarzy na wiatr? - zasugerował przyjaźnie. - Wyglądasz tak blado, mała Julio.

Zrobiłam, jak mi radził, i kiedy wspinaliśmy się na wzgórze za Midhurst, trzymałam kapelusz na kolanach. Mgiełka uskokczyła przed trzepoczącym się na wietrze papierem, a jej kopyta zastukały o kamienie.

- Lepiej odpocznij po przyjeździe - zachęcił mnie miłym głosem Richard.

- Masz cienie pod oczami. Wyglądasz na przemęczoną.

Odrzuciłam głowę do tyłu, tak że słońce padało mi na twarz i widziałam różowe wzory pod zamkniętymi powiekami.

- Jestem zmęczona, ponieważ nie mogłam spać zeszłej nocy - powiedziałam.

- Powinnaś była mnie zbudzić - odrzekł, jakby to było najbardziej oczywistą rzeczą na świecie. - Nie chciałbym, żebyś sama czuwała. To straszne być jedyną osobą w domu, która nie śpi, prawda? Biedna Julia. Czy czujesz się bardzo samotna?

Nie odpowiedziałam. Spojrzałam w dół na swój skrupulatnie zabandażowany przez wuja Johna nadgarstek i błękitnawy siniak nad nim. Pomyślałam o Richardzie, o tym, jakim jest mężczyzną i jakim był w dzieciństwie towarzyszem zabaw. Myślałam o tym, jak ciepło i przyjaźnie

brzmiał teraz jego głos, i przypomniałam

442

sobie to obłąkańcze syczenie w domku letnim. Pragnęłam mieć obronę przed jego gniewem i nienawiścią. Ale nikt nie mógł mnie obronić przed Richardem. Ani mama, ani wuj John, ani nawet Ralf. A teraz odszedł także James. Kochałam i bałam się Richarda przez całe dzieciństwo i dorastanie. Okres, kiedy zakochana w Jamesie ledwie zauważałam Richarda, pozwolił mi na krótko zapomnieć o paraliżującym strachu i niepewności, do których przywykłam przez te wszystkie lata.

- Nie powinieneś był mnie krzywdzić - powiedziałam. Był to jedyny protest, na jaki się zdobyłam.

Richard zachichotał i w ogóle nie odpowiedział.

Po powrocie zostałam położona do łóżka. Mama była zaniepokojona moją bladością i podpytywała, co za szaleństwo sprawiło, że wyjechałam na tak długo zaledwie parę dni po fatalnym upadku. Podporządkowałam się jej zaleceniom bez protestów. Nie miałam nic do powiedzenia. Pozostałam w łóżku do popołudnia, ale po obiedzie wyszłam na chwilę do ogrodu obejrzeć kwiaty. Wzdłuż ścieżki rosły pierwiosnki, bladożółte maleńkie narcyze i ciemne aksamitne bratki. Usłyszałam odgłos kopyt, ale nie podbiegłam do bramki. Nie miałam nadziei, że to James. Wiedziałam, że James nigdy nie przyjedzie. To był Ralf.

Podprowadził konia do ogrodzenia; ruszyłam ścieżką ku niemu. Skłonił przede mną kapelusz, ale na jego twarzy nie było uśmiechu.

- Przyjechałem powiedzieć pani, że wydałem polecenie, by przywieźli ciało Matthew Merry'ego do domu, żeby pochować go tutaj.

Skinęłam głową tak samo sztywno jak on.

- Czy możemy pochować go przy kościele? - zapytałam.
- Nie, jest samobójcą - odparł Ralf. - Musi mu wystarczyć Zakątek Panny Beatrice.
- Co masz na myśli? - zapytałam szybko. Porośnięty trawą róg przy kościelnej bramie nazywany był Zakątkiem Panny Beatrice, ale nikt nigdy nie wytłumaczył mi, dlaczego z całej ziemi, która była własnością mojej ciotki, ten właśnie mały kawałek został nazwany jej imieniem.
- To jest kawałek najbliżej cmentarza, po drugiej stronie muru kościelnego - wyjaśnił Ralf. - Kiedy panna Beatrice rządziła tutaj, popełniono dwa samobójstwa. Pochowali ich w nie poświęconej ziemi, ale tak blisko kościoła, jak to było możliwe.

443

Nazwali to miejsce Zakątkiem Panny Beatrice ku pamięci ostatniej dziedziczki, która sprowadziła na wioskę śmierć. Teraz będzie tu następny grób. Nastąpiło nowe pokolenie Laceyów i Acre znów umiera z ich powodu. Westchnęłam i łzy same napłynęły mi do oczu. Popatrzyłam na Ralfa. Siedział wysoko na czarnym koniu, wyglądał jak nieubłagany sędzia. Ale na jego twarzy malowało się coś więcej niż gniew. Była to również rozpacz.

- Tak mi przykro - powiedziałam słabo. Bałam się, że łzy zaczną spływać mi po policzkach.
- Zajmij się ziemią, panno Julio - rzekł Ralf z naciskiem. - To wszystko zdąża ku złemu, ale ty z twoją zdolnością widzenia możesz to powstrzymać nawet teraz, jeżeli zajmiesz się ziemią. Potrafiłem zjednoczyć Acre, ale nie zdołałem tego utrzymać, jeśli między wsią i dworem będzie przepaść, jeżeli rodzina Laceyów pozostanie w środku

tego ogromnego domu i będzie się zachowywała tak, jakby uważała, że wieś jest czymś gorszym od niej.

- To nie jest tak - zaprzeczyłam natychmiast.

- Więc jak jest? - dopytywał się. - Dlaczego nie ma cię w Acre od kilku dni? Dlaczego Richard robi całą robotę, którą zwykle ty wykonywałaś? Wolelibyśmy pracować z tobą. Nikt nie lubi Richarda i wszyscy oskarżają go o to, co się stało z Matthew. Ted Tyacke nie odzywa się do niego.

- To nie jego wina, że Matthew zmarł - wtrąciłam.

- Matthew zginął z własnej ręki - powiedział spokojnie Ralf - ale nikt w wiosce nie wierzy, że zabił Clarę. Dwoje ludzi z Acre nie żyje i nie złapano żadnego mordercy. A wszyscy wierzą, że ty wiesz, kim jest morderca. - Ciemne spojrzenie Ralfa wlepione we mnie było wymowne. - Wszyscy przysięgają, że potrafisz go zobaczyć dzięki jasnowidzeniu.

- Nie potrafię - zaprzeczyłam gwałtownie. Czułam, jak serce trzepoce mi z podniecenia.

- Wszyscy mówią, że na pewno jesteś w stanie zobaczyć jej zabójcę - powiedział Ralf - jako dziewczyna Laceyów, jasnowidząca i jako jej najlepsza przyjaciółka. Wszyscy zaklinają się, że gdybyś spojrzała w głąb siebie, zobaczyłabyś go, kimkolwiek jest. Mogliby go schwytać i powiesić, a Clara i Matthew spaliby spokojnie w swoich mogiłach. A ty zrehabilitowałabyś się wobec wsi.

444

- Nie potrafię, Ralfie - wyszeptałam żałośnie. - Miałam sen, że on się zbliża, ale nie ośmieliłam się spojrzeć mu w twarz.

Koń Ralfa wierzgnął niecierpliwie, kiedy nacisk na cugle zwiększył się.

- Na miłość boską, Julio - powiedział ostro - tu nie chodzi o twoje

życzenia i obawy. Cała nasza praca rozpada się i ty musisz ją uratować. Zaufaj swojej mocy, zbierz odwagę, którą odziedziczyłaś po Beatrice. Spójrz śmierci w twarz, wróć i wyjaw mi jego imię, a ja zrobię resztę. Potem będziesz dziedziczką naprawdę. Potem Acre zacznie ci znów ufać.

- Nie potrafię - powtórzyłam jeszcze raz, a mój głos wzniósł się o kilka tonów. - Już ci mówiłam. Nie mogę tego zrobić! Mogą sobie mówić, że potrafię, ale mylą się. Nie potrafię tego zrobić, Ralfie. Nie powinieneś mnie o to prosić.

- Zatem jesteś tchórzem. Zdradziłaś Acre - rzucił twardo - a ja wstydzę się za ciebie.

Jego koń zakręcił się na tylnych kopytach. Cugle miał tak ściągnięte, że otworzył pysk i skoczył do przodu z podniesioną głową, jakby poczuł bicz. Zrobił trzy wielkie susy w krótkim galopie i spłoszył się jakimś zielskiem poruszonym wietrzykiem. Ralf zmusił go do zatrzymania się i jeszcze raz popatrzył na mnie stojącą samotnie w ogrodzie.

- Macie złą krew, wy Laceyowie! - krzyknął. Oprócz złości usłyszałam w jego głosie gorzką rozpacz. Zaufał nam i znowu został zdradzony, a przez jego niemądrą ufność Clara i Matthew nie żyją. - Macie złą, przeklętą krew, a ja nienawidzę całej waszej rasy! - wrzasnął rozgniewany, jak jakiś młody rebeliant. Potem już go nie widziałam, zakryły go drzewa.

Stałam wpatrzona w drogę, jakby on wciąż tam był. Stałam nieruchomo, nie wydając żadnego dźwięku. W uszach słyszałam odgłos bicia serca i byłam mokra od potu. Wiedziałam, że wszystko idzie źle. To była moja wina, a jedyne, co potrafiłam zrobić, to powtarzać w kółko - „Och, tak mi przykro, tak bardzo mi przykro”.

Następnego dnia pochowali Matthew, a pani Merry wyglądała, jakby

przybyło jej lat, jakby stała nad własnym grobem. Nie mógł mieć krzyża, ale stolarz przygotował małą deseczkę z jego nazwiskiem i wiekiem.

Pastor Pearce nie przemówił nad kopcem świeżej ziemi, tak samo wuj John.

445

Musieliśmy przejechać obok małego grobu w drodze do kościoła.

Zobaczyłam, jak mama odwraca głowę i wygląda przez drugie okno. Ja siedziałam od strony bramy cmentarnej, ale nie mogłam się powstrzymać od patrzenia.

Drewniana tabliczka lśniła; za kilka lat przegnije i zniknie. Mały kopczyk ziemi był goły. Może później zasadzą kwiatki albo po prostu zarośnie chwastami jak dwa sąsiednie nie oznakowane groby.

Te małe kopce wydawały się oskarżać mnie, kiedy wysiadłam z powozu.

Były niemymi świadkami panowania Laceyów. Przeszliśmy przez bramę i obejrzałam się na grób Matthew. Widniały przy nim dwa świeże ślady w miejscu, gdzie klęczała pani Merry. Wiedziałam wtedy, że bez względu na to, ile by mnie to kosztowało, byłoby lepiej, gdybym wyjechała i nie brała w posiadanie Wideacre. Ralf mógł mieć rację, ta ziemia nie powinna być powierzana Laceyom, nikomu z tej rodziny, ponieważ dziedzic Wideacre mógł wyrządzić wiele zła.

Twarz wuja Johna była zasępiona, kiedy weszliśmy do kościoła. Nikt się do nas nie uśmiechnął. Ławka, gdzie zwykle siadała Clara, mając oko na braci i siostry, którzy tworzyli rząd coraz to mniejszych postaci, była pusta. Żadne z dzieci Denchów nie przyszło do kościoła tej niedzieli.

Czułam kłujące łzy pod powiekami, widząc tę pustą drewnianą ławkę i spojrzałam na Richarda, szukając jakiegoś oparcia.

On uśmiechał się.

Pewnie myślał o czymś innym. Musiał być myślami daleko stąd, bo kiedy przechodziliśmy do nawy pomiędzy wieśniakami, którzy smucili się z powodu zamordowanej dziewczyny i powieszzonego młodzieńca, modre oczy Richarda błyskały i cały promieniał, jakby splątał komuś figła.

Lekko ścisnęłam go za ramię.

- Richardzie - wyszeptałam - o czym myślisz? Popatrzył na mnie z góry i zadowolenie natychmiast zniknęło z jego twarzy.

- Masz całkowitą rację - powiedział. - Dziękuję, że zwróciłaś mi uwagę. - Natychmiast przybrał grobowy, smutny wyraz twarzy i przepuścił mnie do ławy. Kamienne spojrzenie Ralfa Megsona spoczęło na mnie i poczułam się współniczką w oszustwie Richarda, jakbym ja też śmiała się, a potem przybrała maskę smutku.

446

Nie czekaliśmy, żeby pogawędzić po mszy. Nikt nie zatrzymał się przy wujku Johnie ani przy mnie, by podać przyjacielską dłoń, kiedy wracaliśmy do powozu. Przez ostatnich kilka miesięcy żaden wieśniak, dzierżawca czy robotnik nie minął mnie, nie zatrzymując powozu, żeby o coś zapytać albo poskarżyć się na jeden z setki drobnych kłopotów, które wynikały z pracy w majątku. Tego dnia na podwórku kościoła panowała cisza.

Szliśmy wśród dzierżawców i robotników, ale żaden nie odezwał się słowem. Widziałam, jak mama spuszcza głowę i wpatruje się w swoje stopy. Wuj John wyglądał na zmartwionego, było mu przykro. Tylko Richard miał uniesioną głowę i spokój na twarzy. Jego oczy były pogodne

jak jego nastrój, a na ustach błąkał mu się uśmieszek.

Mama zadrżała, kiedy wsiadaliśmy do powozu; przyglądała aksamitne wyłogi żakietu.

- To było okropne - powiedziała cicho do Johna. - Jak za dawnych czasów. John, jeżeli twój system nie powiedzie się w Acre, to wyjedziemy stąd natychmiast. Spędziłam pół życia na tej ziemi, usiłując tutaj wyprostować wszystko, a przed nami pojawia się jedna klęska za drugą. Jeżeli dla Acre nie ma ratunku, powiedz mi prawdę, a sprzedamy je i wyjedziemy.

Wuj John wyglądał na udręczonego.

- Celio, po wszystkich tych planach... - rzekł zdesperowany. Powóz ruszył. Nikt z dziedzica kościelnego nie pomachał nam. - Nie mogę uwierzyć, że nie ma nadziei - dodał. - Ten ponury smutek jest naturalny, to zupełnie coś innego, niż było w przypadku Beatrice. Matthew Merry zmarł w straszny sposób, ale nie można obwiniać o to żadnego z Laceyów. Tylko ja i ty jesteśmy już przesądni, Celio. Widząc raz zrozpaczoną wieś, zbyt szybko dochodzimy do wniosku, że znowu idzie ku złemu. Jestem pewien, że dzieci są dziś nastawione optymistycznie.

Mama i wuj John popatrzyli na mnie i Richarda, licząc na to, że mamy dla nich jakąś odpowiedź. Uśmiech Richarda był słoneczny i wzbudzał ufność.

- Oczywiście - rzucił pogodnie. - Acre jest pogrążone w smutku, ponieważ majowe święto zostało zepsute i zapanował żałobny nastrój. Ale nie my jesteśmy jego powodem, nie możemy siebie o to winić. Jeżeli Clara Dench rozżłościła swojego kochanka i on ją udusił, a potem się powiesił, to jest paskudna historia, ale w żaden sposób nie rzutuje na nas. - Uśmiechnął się do

mojej mamy. - Ciociu Celio - powiedział przymilnie - wiem, skąd się bierze twój smutek. Nie byłaś w Chichester od wielu dni i nie wydałaś żadnych pieniędzy!

Mama uśmiechnęła się, ale dostrzegłam, że robi to z pewnym wysiłkiem.

- A ty co o tym sądzisz, Julio? - zapytał John.

Nie odpowiedziałam przez chwilę. Odgłos końskich kopyt na błoniach, zgrzyt kół powozu i mlaskanie błota wypełniły ciszę.

- Zgadzam się z Richardem - powiedziałam cicho. Nie chciałam mówić wujowi, że Ralf błagał mnie o pomoc, że chciał, bym użyła swojego jasnowidzenia dla Acre, a ja odmówiłam mu. Nie chciałam mówić wujowi Johnowi, że Ralf podniósł na mnie głos i przeklął wszystkich Laceyów.

Nie chciałam powiedzieć wujowi, że Ralf oskarżył mnie o tchórzostwo i o to, że smutek Acre jest moją winą, ponieważ odmówiłam pomocy.

- Zgadzam się z Richardem - powtórzyłam.

Pod pleciem poczułam w mufce wślizgującą się dłoń Richarda, a moich ubranych w rękawiczki dłoni dotknęły gorące czubki palców. Rzuciłam mu ukradkowe spojrzenie i zobaczyłam, że uśmiecha się do mnie ciepło i czule. Niedostrzegalnie pochylił się ku mnie, nasze ramiona zetknęły się.

Kiedy powóz wjechał na podjazd pod drzewami parku Wideacre, rozbrzmiewającego ptasimi trelami, wiedziałam, że jedyną osobą, którą zdołałam zadowolić, był Richard. Tylko Richard i ja znaleźliśmy prawdę.

Jeszcze raz byliśmy partnerami w oszustwie.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Trzeci.

Liczyłam, że Richard zostanie w domu przez cały maj, ale otrzymał wiadomość od swojego opiekuna z uniwersytetu, że pewien specjalista od

greki oferuje mu prywatne lekcje przed rozpoczęciem semestru letniego.

Uśmiechnął się ponuro do mamy podczas śniadania i oznajmił:

- Ciociu, wygląda na to, że będę musiał opuścić cię i wrócić do Oksfordu.

Ciężkie terminy nałożył na mnie mój ojciec.

- Rzeczywiście jest mi przykro - powiedział wuj John z uśmiechem. - Ale pomyśl, jaki to będzie moralny trening dla ciebie! Jestem pewien, że wyjdzie ci to na dobre.

- Raczej wolałbym tydzień kształtowania moralności, a resztę wakacji w Wideacre - uśmiechnął się Richard. - Ale mój opiekun ma rację. Moja greka jest zawstydzająco słaba i nie bawiło mnie robienie z siebie głupca przed innymi w ostatnim semestrze. Myślę, że będę musiał się tym zająć tak, jak powinienem, więc i wrócę wcześniej.

Siedziałam bardzo cicho, ale kiedy mama i wuj John odeszli od śniadaniowego stołu, powiedziałam:

- Richardzie, wolałabym, żebyś nie wyjeżdżał! Uśmiechnął się do mnie.

- Wkrótce wrócę - zapewnił. - To jest krótki semestr, tylko dwa miesiące, chociaż również mogą mnie poprosić, żebym został na dodatkowe douczanie pod koniec semestru! Będę z powrotem na żniwa i mam nadzieję, że będę ci mógł wtedy pomóc.

- Nie chodzi o pracę - powiedziałam. - Chodzi o to, jak się wszystko teraz poukładało. Nie mogę zmusić się do mówienia

449

o Clarze, ale wciąż o niej myślę. Nie wiem, jak zdołam pracować dla

Wideacre bez niej. Czuję się, jakbym ją znała całe życie, jakby to ona była Acre. Tracąc ją, utraciłam swoje specjalne wyczucie wsi, swoje szczególne miejsce tutaj.

Richard odchylił się do tyłu na krześle i złożył list.

- Nie mogę zostać - rzekł uprzejmie. - Mój opiekun bardzo nalega. Ale jeżeli wieś jest nastawiona wrogo, a twój wielki przyjaciel Ralf Megson jest do niczego, naprawdę uważam, że powinnaś wspomnieć o tym mojemu ojcu. Majątek nie może dobrze funkcjonować bez odrobiny dyscypliny.

- Nie - rzuciłam szybko. - Nie w tym rzecz. Chodzi mi o to, że wszystko nagle zaczęło iść ku gorszemu. Myślę, że to jest złe dla Acre, tak samo jak i dla nas.

Richard lekko się skrzywił.

- To tylko tępy motłoch - powiedział z uśmiechem. - A twój wielki przyjaciel Ralf Megson jest takim samym nikczemnikiem jak każdy z nich. Powiem ci, Julio, nie zdołasz ich zmusić do pracy ani nie zdobędziesz u nich posłuchu, dopóki nie weźmiesz ich do galopu i nie zmusisz do pracy pod nadzorcą. Ja tak bym zrobił. A jeśli i wtedy by nie pracowali, wziąłbym irlandzkich robotników, a całą tę bandę wyrzuciłbym z ich domów i dzierżawy.

- Wiem, że żartujesz, Richardzie - powiedziałam niepewnie. - Ale nie kpij sobie. Acre jest teraz taką smutną wioską.

Richard wzruszył ramionami.

- No to co? Przejdzie im to. Każdy majątek ma swoje wzloty i upadki. Jeśli coś to dla ciebie znaczy, to wezmę czasami wolny piątek i przyjadę do domu na weekend. Przyjadę również w pierwszy poniedziałek po świętach!

- Wspaniale - odparłam. - Bardzo chciałabym. Będę tutaj samotna... - bez Clary, pomyślałam. Ale nie powiedziałam tego głośno.

- Więc obiecuję ci to - powiedział miłym głosem. Odepchnął krzesło i ruszył w kierunku drzwi. - Ach, Julio - rzucił od progu, nagle coś sobie przypomniawszy - już więcej nie usłyszysz o panu Fortescue.

- Panu Fortescue? - powtórzyłam słabym głosem. - Jamesie Fortescue?

- Tak - powiedział Richard. - Zwróciłem mu listy i poinformowałem go, że zaręczyny, jeśli tak to nazywasz, są zerwane.

450

- Widziałeś się z nim? - zapytałam cicho.

- O, tak - odparł Richard. - Na początku nie wziął poważnie moich słów i chciał to usłyszeć od ciebie osobiście. Ale powiedziałem mu, że my byliśmy zaręczeni od dawna i jestem upoważniony do zwrotu jego listów.

Przyjął twoje przeprosiny i przesyła ci swoje najlepsze życzenia.

Przez chwilę nie odzywałam się. Nie mogłam pojąć tego, co powiedział Richard.

- James? - szepnęłam niepewnie.

- Trzy dni temu przysłał ci list - powiedział Richard.

- Jako że wstałem wcześniej, pozwoliłem sobie go otworzyć. Nie chciałem, żeby znowu cię niepokoił. Była to krótka informacja o tym, że zwraca ci twoje listy i że znowu wyjeżdża za granicę. On dużo podróżuje, prawda? Sądzę, że w interesach ojca. Oni są handlowcami, sklepikarzami czy coś w tym rodzaju, prawda?

- Napisał do mnie? - zapytałam.

- Tak - powiedział Richard. - Ale już za późno, nie możesz mu odpisać.

Nie pozostawił adresu zwrotnego. Myślę, że kursuje od sklepu do sklepu.

Wyjechał dzisiaj. Pisał, że nie będzie go przez sześć miesięcy.

Myśli wirowały mi w głowie. Zapomniałam, że James miałby prawo

zerwać nasze zaręczyny, gdybym powiedziała mu o swojej hańbie.

Myślałam jedynie o nim i czasie spędzonym wspólnie w Bath. Widziałam jego miły uśmiech, ciepłe oczy, jego oddanie dzieciom z Acre, czułość dla mojej mamy. I ten dzień w sklepie z rękawiczkami, kiedy siedział z założonymi rękami i uczył mnie przed najbardziej wziętą modystką w mieście, jak być dziedziczką Lacey.

- James - wyszeptałam. Brzmiało to jak wywoływanie ducha, nie tylko jego, ale również ducha dziewczyny, którą byłam, kiedy jeździłam konno jak Beatrice, kiedy odrzucałam głowę do tyłu i śmiałam się. Kiedy spacerowałam czując, jakby cała ziemia w promieniu dwudziestu mil była moją własnością.

- To był przyjemny flirt, pozwolę sobie zauważyć - powiedział chłodno Richard. - Ale to już skończone.

- James - wyszeptałam jeszcze raz. Wreszcie ochłonęłam i popatrzyłam w otwartą twarz cherubina, twarz Richarda.

- Spotkałeś się z nim - oskarżyłam go. - Wtedy, kiedy czekałam na niego w zajeździe. Zatrzymałeś go na drodze.

451

- Oczywiście - powiedział Richard. Śmiał się jak z jakiegoś zabawnego figla. - Oczywiście. Zrobiłem to, Julio. Spotkałem się z nim, mając twoje listy w kieszeni. Byłaś naiwna, usiłując je ukryć pod luźną deską podłogi w twoim pokoju. Powinnaś wiedzieć, że będzie to pierwsze miejsce, w które zajrzę. Zawsze chowałaś tam swoje skarby, kiedy byliśmy małymi dziećmi. Gdy tylko je tam zobaczyłem, wiedziałem, że tak naprawdę nie zostały ukryte. Chciałaś, żebym je znalazł. Więc zabrałem je, przeczytałem i zwróciłem autorowi, jak na dżentelmena przystało.

- Zabrałeś jego listy - powtórzyłam z narastającym gniewem w głosie. - Nie miałeś prawa ich ruszać.

- Prawa? - powiedział Richard. - Prawa?!

Trzasnął wściekle drzwiami od jadalni; podbiegł do mnie, chwycił pod ramiona i postawił na nogi. Pochylił się nade mną czerwony ze złości.

- Ośmielasz się mówić mi, że nie mam prawa! - krzyczał. - Kiedy pojechałaś do Bath, byłaś zaręczona ze mną, ale flirtowałaś jak jakaś kokota ze sklepikarzem! Zapomniałaś, co pisałaś w tym swoim małym śmiesznym dzienniczku - o tak! Przeczytałem go również! Wiem, że chciałaś, żebym przeczytał. Napisałaś tak, żeby wzbudzić moją zazdrość. Pisałaś tak, żebym wiedział, jak niewłaściwie się zachowałaś.

Przeczytałem to i zrobiło mi się niedobrze. Sprawiałaś, że poczułem się fizycznie chory, kiedy wyobrażałem sobie, jak trzymasz go za rękę, całujesz i obiecujesz mu swoją część Wideacre. A potem wróciłaś do domu i całowałaś mnie na oczach całego Acre pośrodku zaoranego pola, jak wiejska dziewczka! Mówisz, że nie mam prawa, a przecież znalazłem cię leżącą w słońcu na wznak z rozłożonymi nogami, uśmiechającą się do mnie!

- To nie było tak... - zaczęłam niespokojnie, ale mi przerwał.

- Miałem pełne prawo - powiedział ostro. - Włożyłaś tam jego listy, żebym mógł je znaleźć. Napisałaś dziennik, żebym przeczytał. Wiem, że to zrobiłaś, a ty wiesz dlaczego. Miałaś nadzieję, że będę zazdrosny.

Spiskowałaś z nim przeciw mnie, żeby mi odebrać swoją część majątku.

Ale jesteś taką dziwką, że nie mogłaś się opanować. Ani na zaoranym polu, ani w letnim domku w czasie majówki. Leżałaś i uśmiechałaś się.

Otoczyłaś mnie ramionami. Wcisnęłaś mi język do ust, ty mała brudna

dziewko. Nawet nie wiedziałem, że kobiety potrafią całować w ten sposób,
452

aż ty to zrobiłaś. To było obrzydliwe. A potem pognałaś do Midhurst, żeby spotkać się z drugim kochankiem i powiedzieć mu: „Och, James, wybacz mi. Ale czy nadal możemy się pobrać?”

- Richard naśladował mój głos. - Co zamierzałaś powiedzieć? „Och, James, nie chciałam tego. Myślałam, że jestem Beatrice!” albo „Och, James, myślałam o tobie!”

Odepchnął mnie od siebie, aż uderzyłam o stół.

- To nie było tak... - usiłowałam powiedzieć.

- Jestem pewien, że chciałabyś, żeby nie było! - rzekł brutalnie. - Ale mówisz jedno kłamstwo za drugim, Julio. Sądzę, że nawet już nie wiesz, co jest prawdą.

- Kocham go - powiedziałam. Wciągnęłam głęboko powietrze pełne zapachów śniadania. Drżałam, ale chwyciłam się krawędzi stołu, tej jedynej pewnej rzeczy. - Kocham go - powtórzyłam. - I nie chciałam tego zrobić z tobą.

Richard szybko doskoczył do mnie i chwycił za ramię. Pociągnął mnie do drzwi i otworzył je szeroko.

- Więc powiedz im - wysyczał. - Powiedz swojej mamie i wujkowi Johnowi, że jesteś z nim zaręczona i chcesz, żeby go zawrócili, żeby napisali do jego rodziny i ponownie wyznaczyli datę ślubu. Jeżeli to jest prawda i gotowa jesteś przysiąc, powiedz im to wszystko. Powiesz im, że cię zmusiłem. - Podniósł głos.

- Powiedz im, że jestem gwałcicielem!

Rzuciłam zalęknione spojrzenie do holu, zastanawiając się, czy mama jest

w swoim saloniku, gdzie z pewnością by to słyszała.

- Powiedz swojej mamie, że jestem gwałcicielem. Powiedz mojemu ojcu! A potem wyślij po dziadka Haveringa i powiedz mu! A on zawiezie mnie do sądu i zostanę powieszony jak złodziej owiec. Powieszony po to, żebyś mogła poślubić innego! Jeżeli to jest prawda, to im powiedz. Powiedz im teraz. W przeciwnym razie zawsze będzie wiadomo, że kłamiesz.

- Nie! Nie, Richardzie. Nie, Richardzie. Nie. Wyciągnęłam obydwie ręce i wciągnęłam go z powrotem do jadalni. Opierał się tylko nieznacznie. Zamknęłam drzwi i próbowałam się odezwać, chociaż trzęsłam się tak bardzo, że z trudnością mogłam ustać.

- Proszę, nie mów takich rzeczy, Richardzie - błagałam go. - Wiesz, że cię nie zdradzę. Wiesz, że im nie powiem.

- Nie ośmieliłabyś się - powiedział natychmiast. - Wiesz, że to kłamstwo, i nie masz odwagi powiedzieć tego głośno.

453

- Nieprawda, nieprawda. - Czułam łzy w oczach, ale nie płakałam.

- Pragnęłaś mnie, więc poszłaś ze mną - powiedział zimno Richard. - Każde zaprzeczenie jest kłamstwem.

Opuściłam głowę; łzy popłynęły tak szybko, że zmoczyły jedwab mojej porannej sukni. Potrząsnął mną.

- No, nie jest tak? - nalegał.

- Tak - powiedziałam całkowicie pokonana.

- Nie możesz teraz wyjść za innego mężczyznę - rzekł Richard.

Kiwnęłam głową.

- Nie zapomnij o tym - dodał miękko. Znowu kiwnęłam.

- James Fortescue odszedł - dorzucił twardo. - Zniknął i nigdy więcej go

nie zobaczysz. Na całym świecie nie ma teraz dżentelmena, który by cię poślubił. Zabrałem ci dziewictwo i jesteś moją dziewczką. Należysz do mnie.

Nie wypowiedziałam ani słowa sprzeciwu.

On zaś złożył delikatny pocałunek na czubku mojej pochylonej głowy i wyszedł z pokoju. Cicho wspiał się po schodach do swojej sypialni, by spakować książki i ubrania do Oksfordu.

Prawie natychmiast po wyjeździe Richarda zaczęłam się źle czuć. Pogoda była piękna jak na zamówienie, wszystko rosło i zieleniło się prawdziwie majowo. Wszystkie drzewa w parku Wideacre pachniały słodko nowymi liśćmi. Trawa na padoku nagle stała się tak soczyście zielona, że aż oczy bolały.

Mgiełka tańczyła na porastających brzegach traktu do Acre, jakby świeża trawa łaskotała ją w kopyta. Siedziałam na niej pewnie, bez zdenerwowania, ale i bez przyjemności. Ręka już prawie się wygoiła i mogłam mocno trzymać cugle, ale straciłam zamiłowanie do jazdy.

Używałam teraz Mgiełki tylko po to, żeby przejechać z jednego końca majątku na drugi, gdy miałam jakieś obowiązki. Mama i wuj doradzali mi pracę. Obydwoje uważali, że siedzenie w domu mi nie służy - jestem blada i zbyt nerwowa. Byli pewni, że przebywanie na powietrzu pomoże mi odzyskać pogodę ducha.

Nie było to jednak takie proste.

Musieliśmy w kółko pleć chwasty z łąk przeznaczonych na siano; usiłowaliśmy usunąć gęsto rozrośnięte korzenie łopianu

454

i mlecza, żeby dać trawie szansę wzrostu, oczyszczaliśmy również pola

kukurydzy. Wyjeżdżałam co dnia, żeby sprawdzić postęp prac na polach, dopilnować owiec i coraz tłustszych jagniąt, a także doglądać krów, których brzuchy stały się tak ciężkie i zaokrąglone jak gniazda jaskółek przyklepione do wąskich belek stodół.

W Acre nie zapominano o Clarze Dench - tu niczego nigdy się nie zapomina. Ale w miarę jak ziemia porastała tak zielono i tak silnie, słońce było gorące, a czysty wiatr wiał nad błoniami, przynosząc ze sobą dzień po dniu ciepłą pogodę, nikt nie obnosił się z żalobą i nikt nie obwinał mnie, że zawiodłam pamięć Clary, bo nie próbowałam jasnowidzeniem poszukać zabójcy.

Ralf Megson jednak nie zapomniał. Jego zachowanie wobec mnie zmieniło się; schronił się za murem oficjalności, co było gorsze, o wiele gorsze od jego ataków gniewu. Chociaż pracowaliśmy ramię w ramię, organizując zajęcia w polu i doglądając inwentarza, nigdy się do mnie nawet nie uśmiechnął. Kiedy raz wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego dłoni, żeby mu coś pokazać, bez słów odsunął ją. Jego gniew był tak zapiekły, że nie miałam odwagi nawet napomknąć o przeprosinach i pragnieniu pogodzenia się. Robiłam w majątku to, co do mnie należało, pracując jak trybik w maszynie. Przebywałam w domu z mamą, jak dziewczyna stworzona do siedzenia w czterech ścianach. Przebojowość i brawurowa odwaga Laceyów opuściły mnie, zostawiając mnie bezwolną, pozbawioną energii - akurat w porze obfitości, kiedy cała przyroda kipiała życiem.

Byliśmy u progu prawdziwego, wczesnego lata w Wideacre. Niebo było pełne ptaków, a lasy rozdzwoniły się ich świergotem. Odkąd sięgałam pamięcią, nie było w Wideacre takiej bujnej zieleni, wydawało się, że

soczysta gęsta trawa rośnie w oczach. Odbudowa dworu Wideacre posuwała się naprzód; robotnicy pracowali do późna, korzystając z dłuższego dnia - dwór rósł w naturalnej harmonii z polami.

Mama ogłosiła, że doprowadzi do ładu dworski ogród dla uświetnienia dzieła odbudowy. Z determinacją zawiązała spłowiąły czepek; popędziła trzech ogrodników do pielienia, przycinania, porządkowania ogrodu i do wrywania dzikich drzewek posianych przez wkraczający zewsząd las. Wuj John też był zadowolony z pogody. Wypuszczał się na przejażdżki do Acre na Księciu, który szedł pod nim gładko

455

i statecznie. Regularnie odwiedzał swój dziecięcy szpital, ale miał coraz mniej pacjentów.

- Napiszę monografię medycyny zachowawczej - powiedział do mamy, kiedy pewnego ranka pili kawę na tyłach ogrodu.

- Naprawdę jestem zdumiony wpływem, jaki wywiera na dzieci w Acre dobre jedzenie. Wyleczyło je nie tylko z dolegliwości związanych z głodem, ale także z chorób, o których uczono mnie, że wywodzą się z całkowicie innych przyczyn.

Mama przyznała mu rację.

- Zadziwiająco, jak bardzo pogodne są niemowlęta donoszone i urodzone przez dobrze odżywione matki - powiedziała.

- Ale niewielu wieśniaków ma stałego lekarza pracującego za darmo!

- I wdowę po baroncie za nauczycielkę! - dodał John, uśmiechając się do niej. - I do tego najbardziej dystygowaną, jaką kiedykolwiek widziałem.

Mama wybuchnęła śmiechem.

- Tylko nie dystygowaną, John! Co za szkaradne słowo! To brzmi,

jakbym miała sto lat.

- Cóż, ja czuję się bardzo wiekowy i zasiedziały - oznajmił zagadkowo John. - Myślę, że wszyscy w Acre stają się niezwykle zdrowi i będą żyli do stu dwudziestu lat. A ja będę pierwszym, który dojdzie do stu pięćdziesięciu.

- A jaki jest twój przepis na długowieczność? - zapytała go mama z uśmiechem. Podała mu talerz lekkich rożków z serem, dzieło pani Gough.

- Kawa i rożki w południe - zaczął wymieniać John.

- Leniwy spacer do dworku o drugiej. Przerazająco ogromny obiad o trzeciej i wieczór pieśni w saloniku w twoim wykonaniu.

- Będzie, jak rozkażesz, doktorze - powiedziała mama z udawanym szacunkiem. - Pacjent jest najważniejszy, wiesz o tym.

- W takim razie jest szczęściarzem - podsumował wuj John, wychylił się z krzesła i delikatnie ucałował ją w policzek.

Ten rok był dobry dla każdego w Wideacre z wyjątkiem ponurego milczącego Ralfa i mnie. Minęły dreszcze, które nie opuszczały mnie od upadku, przestałam też płakać bez powodu. Ale teraz przez cały czas miałam nudności. Obojętnie czy odpoczywałam, czy jechałam konno lub spacerowałam, przez cały czas było mi niedobrze. Najgorzej było rano; z niechęcią siadałam na

456

łóżku, ponieważ wiedziałam, że pokój zatańczy mi przed oczami i z trudnością będę przełykać śniadanie. Koło południa zwykle czułam się lepiej, ale nawet na powietrzu, kiedy wyjeżdżałam na błonia, coś było nie w porządku.

- Ciągłe nie jesteś głodna, kochanie? - pytała mama przy śniadaniu, kiedy

odwracałam się na widok średnio przysmażonej wołowiny. Środek miała różowoczerwony; brzydziłam się jej, jakbym była jednym z indyjskich braminów Johna.

- Nie - powiedziałam. - Ostatnio straciłam apetyt. Oczy wuja Johna wpatrywały się we mnie badawczo.

- Przeziębilaś się - zapytał - albo może boli cię głowa, Julio?

- Nie - odparłam tłumiąc niecierpliwość. - Po prostu nie jestem głodna.

- Chyba John będzie musiał przyjrzeć się twoim śniadaniom - wtrąciła mama. - Jesteś taka blada, kochanie, od czasu wypadku.

- Czuję się zupełnie dobrze - powiedziałam - i nie cierpię tego „przyglądania się”, mamó. Proszę cię, nie rób zamieszania.

Wuj John z wrodzonym taktem nie powiedział nic więcej.

Po śniadaniu, kiedy w holu zawiązywałam kapelusz patrząc na swoją bladą twarz w lustrze, powstrzymał mamę od podejścia do mnie.

- Zostaw ją, Celio - wyszeptał. - To nic poważnego. Codziennie jeździ przecież konno. Jeżeli to reakcja na upadek, to przejdzie za dzień lub dwa. Tego dnia pogoda zmieniła się, było chłodno i pochmurniało.

Powiedziałam przy stole, że wschodni wiatr wpływa na mnie irytująco i przez następne dni dalej obwiniałam pogodę. Kiedy różowe pąki pokrywające jabłonie rozkwiwały bielą, a potem opadały jak śnieg na trawę, przez całe tygodnie po niebie snuły się niskie ciężkie chmury. O dziwo, niebo przy tym nie było szare ani ciemne, ale jasne - tak jasne, że musiałam mrużyć oczy, patrząc na błonia. Pola płonęły bielą i zielenią; przytulica na krawędziach była gęsta jak zbita wełna, a kwiaty głogu wznosiły się nad nią kłębam, podobne do śnieżnych zasp na zielonych górskich stokach. Nieruchome powietrze przepełniał ciężki zapach letnich

kwiatów i ziół. Nowe pola koniczyny były purpurowe od kwiatów i głośnie od brzęczenia uwijających się pszczół. Niebieskie dzwonki

457

na łąkach przywodziły na myśl gęstą morską mgłę, a łagodnie nachylone stoki wzgórz były żółte od pierwiosnków; pachniało miodem.

Kasztanowce zakwitły i gubiły płatki, a ciężkie chmury trwały niewzruszone. Mężczyźni z Acre podwinęli spodnie do pielienia pól kukurydzy, ale nie było słońca, więc ich ciała pozostały dziwacznie białe, wyglądali jak kredowi ludzie z kredowego kraju. Siedząc przy oknie saloniku, słuchając mamy grającej na fortepianie, nie mogłam złapać nawet odrobiny powiewu. Niebo osiadło na wzgórzach jak płótno na dzbanku zsiadłego mleka. Pod tą miękką pokrywą w gorącym parnym powietrzu wyrastała blada trawa. Kremowe róże w ogrodzie rozkwitły jak złowieszcze przypomnienie róż z mojego snu, a u stóp wzgórz ich dzikie ubogie krewne tworzyły pstre wzory na brzegach rzeki i żywopłotach, wszystkie blade jak pacjenci z gorączką na tle żywej zieleni jasnej, mozaikowej kołdry pól Wideacre.

Mamie i wujowi Johnowi mówiłam, że czuję się zupełnie dobrze, ale kłamałam. Nie czułam się dobrze, miałam nudności. Pewnego ranka, kiedy zbyt szybko zerwałam się na nogi, pochylona nad mapą w bibliotece, zatoczyłam się; zakręciło mi się w głowie i bałam się, że zemdleję. Nie byłam głodna podczas posiłków, ale miałam apetyt na owoce ze słoików pani Gough i suszone śliwki. Zeszczuplałam na twarzy i stałam się bledsza. Kiedy patrzyłam na siebie w lustrze, moje oczy wydawały mi się zamglone i bliskie szaleństwa. Często bolała mnie głowa i czułam się znużona. Przez całe dni szukałam wymówek, żeby nie wyjeżdżać konno.

- Chodź, przejdziemy się - zachęcała mama pewnego ranka. - Dzisiaj nie jest już tak gorąco i parno. Wyprowadź dla mnie dwukólkę i obwieź mnie po łąkach. Pan Megson mówił, że niedługo sianokosy.

Zgodziłam się i ociężale poszłam po kapelusz i rękawiczki.

Mama miała rację, chmury podniosły się. Uczucie, że powietrze jest ciężkie i gęste, minęło. Światło nad wzgórzami było czyste i raczej jasne niż oślepiające. Trzasnęłam bacikiem na konia i potoczyłyśmy się po drodze do Acre. Kariolka lekko dźwięczała przy żwawym truchcie.

Cienie drzew szybko migotały przed nami, a wiatr smagał twarze i wywołał lekkie rumieńce na moich policzkach. Łąka, którą chciałam zobaczyć, była w odległej części Acre. Kiedy jechałyśmy

458

przez wioskę, parę razy pozdrowiłam kobiety pracujące w ogródkach i pomachałam Nedowi Smithowi, który wyładowywał węgiel drzewny na podwórku.

Łąka była gotowa do koszenia. Sprawiała wrażenie morza bladej zieleni wysokiej do kolan, upstrzonego rozbłyskami kolorów, szkarłatnego od maków, nasyconego błękitem chabrow, pastelowym różem, fioletem i bielą firletek. Wszystko to strzelało w górę i rosło wysoko, do słońca, przepychając swoje jasne twarzyczki nad trawę. Brzegi łąki obramowane były kwiatami. Rosły tam słodko pachnące kępy pierwiosnków, rozgwieżdżone krzewy dzikich róż o bladoróżowym kwieciu i musztardowożółtych pręcikach. Nad wszystkim unosił się aromat dzikich polnych kwiatów rozrastających się nad głogowe żywopłoty i oplatających leszczynę i starsze krzewy.

- Będzie gotowa za dwa, trzy dni przy takiej pogodzie

- zagadnął mnie wesoło młynarz Green, kiedy przejeżdżałyśmy obok niżej położonej łąki, gdzie stał oparty o bramę i palił fajkę. Wypuszczał z lubością niebieskawy dym. Tytoń! Młynarz Green palił liście głogu, kiedy walczył o przetrwanie w milczącym młynie bez ziarna do mielenia. Teraz, gdy napływały pieniądze z tygodniówek, znów mógł kupić sobie szczyptę tytoniu.

- Wygląda już na prawie gotową - zgodziłam się.

- Czekam na pszenicę - rzekł z tęsknotą w głosie. - Codziennie chodzę na pola, żeby ją obejrzeć. Będą dobre żniwa. Zboże jest wysokie, silne i grube jak pokrzywy na gnojowisku.

- To dobrze - powiedziałam. Wysiadłam z kariolki tak, że mogłam stanąć na bramce i przyjrzeć się polu. Rzeczywiście było gotowe do koszenia.

- Dzięki tobie, panno Julio - rzucił starszy mężczyzna z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

- Bzdura - odparłam beznamiętnie. - Wiesz, że to nieprawda, Green. Będzie dobry urodzaj, ponieważ ziarno było dobre. Wysiane było gęsto i przy odpowiedniej pogodzie. To nie ma nic wspólnego z przesądami starych bab.

- Aha - przyjął wyjaśnienie, nie zwracając na nie uwagi

- ale wszyscy w to wierzą, panno Julio. We wsi mówią, że panienka ma talent Laceyów sprawiający, że pszenica rośnie. Jest dobry urodzaj, a panience przypisuje się tę zasługę.

Wzruszyłam ramionami i z powrotem popatrzyłam na falujące morze zieleni.

459

- Jak sobie życzysz - powiedziałam ugodowo. - Czy pani Green miewa się

dobrze? A wasi synowie?

- Aha - odparł z zadowoleniem. - Wszyscy mają się dobrze. Całe Acre ma się dobrze. Trudno mi sobie przypomnieć taką wiosnę i takie lato.

Skinęłam mu głowę na pożegnanie i wróciłam do dwukółki, gdzie siedziała mama osłaniająca się szarą jedwabną parasolką.

- Zboże już gotowe? - zapytała. - Dla mnie wciąż wygląda na bardzo młode.

- Trzy lub cztery dni - odparłam. - Podjadę teraz na koniec łąk i popatrzę na pole pszenicy, a potem wrócimy do domu.

- Dobrze - zgodziła się i pomachała młynarzowi dłonią ubraną w rękawiczkę, a ja zacięłam konia batem i ruszyliśmy traktem.

Pole wydawało się jakimś cudem. Wyrosłam w Wideacre, ale nigdy nie widziałam rosnącej tu pszenicy. Ten wspaniały widok rozciągał się teraz przede mną. Ziemia i wieś przywrócone do życia w ciągu jednego roku dzięki połączeniu pieniędzy wuja Johna, autorytetu Ralfa, mojego imienia i nieodpartej magii gleby Wideacre, na której - jak wierzyłam - można by hodować orchidee i palmy, gdyby ktoś je zasadził.

Pszenica była falującym bezmiarem gładkości. Zboże miało stopę wysokości, a może nawet więcej - osiemnaście cali, ziarno było zielone, świeże i nieduże, ściśnięte mocno i osadzone na kłosach jak maleńkie groszki w strączku. Pole było ogromne; jeszcze pamiętałam, jak tu było dawniej, z wrzosami i orlą paprocią wdzierającą się z obrzeży, z bojowymi chwastami, armią wysokich purpurowych tojeści i różową wierzbówką rosnącą wzdłuż krawędzi. Harówka przy pieleniu zaowocowała teraz szeroko rozciągającym się polem, odpowiednio ogrodzonym, z oczyszczonymi obrzeżami i zielonym jak sama zieleń. Obok był sad, który

sadziłam owego szarego dnia na przedwiośniu. Drzewka podrosły i miały pierwsze zielone zawiązki.

- Och, jakie to piękne! - wykrzyknęłam. Wręczyłam mamie lejce jak w półśnie, ześliznęłam się z kariolki, przeszłam przez bramkę, żeby stanąć wśród pszenicy w polu, niosącej obietnicę zieleni. „Jak pięknie” - powtórzyłam w myśli. Uniosłam suknie i okrążałam pole, aby przyjrzeć się zbożu z innej strony.

W głowie słyszałam słodki śpiew, który czasami nachodził mnie w Wideacre albo kiedy do niego tęskniłam. Dotknięcie ziemi

460

pod stopami było jak gwarancja szczęścia. Po śmierci Clary i przez moje własne kłopoty straciłam radość życia w majątku. Stałam się głucha na śpiew ziemi, nie czułam jej zapachu ani magii dotyku. Teraz wszystko powracało, oblewając mnie jak huczący wodospad. Nie zwracając uwagi na suknię, uklęknęłam na ziemi i wdychałam woń zboża, jakby to był bukiet kwiatów. Miało najbardziej subtelny aromat przypominający trawę, ale słodszy. Zerwałam źdźbło i przyjrzałam się zdrowym ziarnom, które będą rosły, rosły i dojrzewały, aż zetniemy je i wymłócimy, zmielimy i upieczemy z niego chleb, żeby w Acre już nikt nigdy nie był głodny.

Wzięłam ziarno do ust i zgryzłam jak żarłoczna mysz podczas zniw. Było twarde, jeszcze słodkie. Rozgryzłam łodygę, posmakowałam jej soku i zawróciłam do kariolki ze słomką w ustach.

- Och, Julio - westchnęła mama ze słabym uśmiechem

- wyjmij tę trawkę z ust. Wyglądasz jak skończona dzikuska.

Wyplułam ją, podskakując lekko.

- Wybacz, mamó, pograżyłam się całkowicie we śnie na jawie. To pole

jest cudowne.

Uśmiechnęła się smutno.

- Kiedy Beatrice była dziewczynką, była dokładnie taka sama
- powiedziała. - Kochała ziemię, tak jak ty ją kochasz, tak myślę. I tak samo wierzono, że za jej sprawą rośnie zboże.

Z powrotem wspięłam się do dwukółki.

- Lubię, kiedy o mnie to mówią - wyznałam raczej zadowolona. - Wiem, że to nonsens, mamó, ale to dość kusząca idea, że ziemia rodzi dobre plony dzięki Laceyom.

Mama cicho westchnęła.

- Tak - przyznała. - Wiem, że podoba ci się ta myśl. Nie urodziłam się ani nie wychowałam na wsi, więc rolnictwo nigdy nie było moją pasją. Ale twój ojciec również bardzo kochał ziemię.

Obrzuciłam jeszcze jednym tęsknym spojrzeniem pszeniczne pole i zawróciłam kariolkę do domu.

- Będzie gotowe do żniw przed sierpniem - uznałam.
- Och, to dobrze - powiedziała mama - ponieważ Richard ma nadzieję wrócić w tym czasie do domu i zobaczyć żniwa.

Urwała.

- Co zaszło pomiędzy tobą i Jamesem, kochanie? - zapytała ostrożnie. - Czekałam i czekałam, aż mi się zwierzysz. Nie

461

miałaś listu od niego od przeszło trzech tygodni, a do tej pory na pewno wrócił już do Anglii. Nie chcę nalegać, szczególnie że wyglądasz źle, ale chyba powinnaś mi powiedzieć.

W jednej chwili uleciał mój wspaniały nastrój. Mama to spostrzegła.

Szukałam w myślach kłamstwa, które mogłabym jej przedstawić, żeby odwlec wyznanie - co i tak musiałam kiedyś zrobić - że James i ja nigdy się nie pobierzemy.

- Nie mogę powiedzieć, mamó - odparłam cicho. - To sprawa osobista. -
Poczułam znajome dławienie w gardle i napływające łzy.

Kiwnęła głową, nie spuszczać oczu z mojej twarzy.

- Jego mama napisała do mnie - powiedziała. - Napisała, że James nagle zdecydował się znowu wyjechać za granicę. Powiedział o zerwaniu zaręczyn, podobno obydwój ustaliliście, że nie pasujecie do siebie.

- Tak - potwierdziłam.

- Jednak nie jesteś szczęśliwa - zauważyła.

Przez chwilę milczała, a ja nakierowałam konia, żeby jechał przed siebie.

Wjechałyśmy na małe wzgórze nad błoniami i powoli podążałyśmy ocienioną drzewami drogą. Słońce poczętkowało trakt przed nami, po parasolce mamy ślizgały się cienie.

Zaczerpnęłam powietrza i zobaczyłam, jak jej ręce zaciskają się na rączce parasolki.

- Julio - odezwała się stanowczo - jestem twoją matką i moim obowiązkiem jest wiedzieć takie rzeczy. Musisz mi powiedzieć, dlaczego ty i James już nie planujecie małżeństwa.

Pociągnęłam za lejce, osadzając konia w miejscu. Wiedziałam, że zdradzam Jamesa, dokładnie tak samo jak ze strachu zdradziłam Clarę i Matthew, jak przez moje tchórzostwo zdradziłam całe Acre.

- Odkryłam, że był niemoralny - powiedziałam cicho. - Miał kobietę.

Mama głośno wciągnęła powietrze.

- Rozumiem. - Położyła dłoń na mojej ręce. - Myślę, że masz rację. Ale

świat, w którym żyjemy, jest trudny, Julio. Wydaje mi się, że większość młodych mężczyzn ma przyjaciółki przed ślubem. Dopóki jednak są uczciwi wobec swoich żon, nie myśli się o tym źle.

Musiałam zdradzić osobistą rozmowę pomiędzy mną i Jamesem i oczernić go. Czułam łzy gromadzące się pod powiekami.

462

- To nie była jedna przyjaciółka, mamó - powiedziałam, a mój głos zabrzmiał cicho i niepewnie. - On zadawał się z kobietami z domów publicznych, odwiedzał je i nie mogłam być pewna, że z tym skończy.

- James Fortescue? - powiedziała z ogromnym zdziwieniem mama. I kochałam ją za to; za to, że mi nie wierzy, że musiałam ją przekonać.

- Jedna dziewczyna z Acre - kontynuowałam z zakłopotaniem - nigdy o niej nie słyszałaś, miała na imię Julia, chyba na moją cześć. Ona stała się... upadłą kobietą. Nazywa to ulicznym handlem. - Wzięłam płytki oddech. - Rozpoznała go, mamó. On nie zaprzeczał.

Mama westchnęła. Była damą, która żyła pod kloszem, dzieciństwo spędziła w najlepszej dzielnicy Bath, małżeństwo w odizolowanym majątku Wideacre. Nigdy nie była w takim miejscu jak Fish Quay. Nigdy nie widziała takiej kobiety jak Julia. I nigdy nie zrozumiałaby, tak jak ja rozumiałam, że ktoś może podlegać żądzom niezależnie od obowiązku. Dla mojej mamy obowiązek i pożądanie były nierozłączne. Dla reszty z nas, prawdziwych, urodzonych Laceyów, życie było czymś zupełnie innym.

- Rozumiem - powiedziała niezgodnie z prawdą. - Przykro mi, kochanie. Ale pamiętaj, że jesteś młoda i jest wielu młodych mężczyzn, których jeszcze spotkasz, a jednego z nich pokochasz. Nie będę cię teraz męczyła i

wypytywała o więcej, kochanie.

Kiwnęłam głową.

- Wolałabym nie - przyznałam.

Dotknęła ciepło mojej ręki. Trzasnęłam baciem i ruszyliśmy do przodu.

Kiedy wróciliśmy do domu, mama zaraz wysłała mnie do łóżka, żebym wypoczęła, a sama poszła szukać Johna. Pracował w bibliotece. Mama weszła i zostawiła za sobą otwarte drzwi. Z ciężkim sercem cicho zesłam po schodach, żeby podsłuchać ich rozmowę. Byłam kłamczucha, a teraz również podsłuchiwałam.

John przemawiał rozsądnie.

- Nie mogę się z tobą zgodzić, Celio - rzekł stanowczo. - To bardzo delikatne sprawy. Wszyscy młodzi mężczyźni poszukują doświadczeń i na ogół wierzą, że będą przez to lepszymi mężami.

- To nie jest „doświadczenie” - zareplikowała mama. Podniosła głos trochę wyżej niż zwykle. Była wytrącona z równowagi.

463

- Nie wiem dokładnie, co chcesz przez to powiedzieć, John, ani nawet nie chcę wiedzieć. Julia mówiła, że pan Fortescue zadawał się z prostytutkami i że nie może być pewna, że skończy z tym po ślubie. To wydaje mi się wystarczającym powodem do zerwania tej znajomości.

- Prostitutki? - Głos Johna nagle stał się ostry. - Jesteś pewna?

- Powtarzam ci, co usłyszałam od Julii - odezwała się mama z godnością.

- Nie naciskałam na nią w tej kwestii. Ale to oczywiste, jedno z zagubionych dzieci z Acre zostało prostytutką - to ta, która odmówiła powrotu do domu. Ona go rozpoznała.

- To brzmi o wiele poważniej - uznał John. - Myślałem raczej o jakiejś

starszej zameężnej kobiecie. Rzeczywiście niepokojące jest, że narzeczony Julii chodzi po domach publicznych i tak dalej.

- Niestety nie widzę różnicy - powiedziała niecierpliwie mama.

Słyszałam, jak stuka obcasami o wypastowaną podłogę.

- Jedno i drugie to niemoralne prowadzenie się.

Głos Johna był ciepły i mogłam się domyślić, że uśmiecha się do niej.

- Masz rację, Celio, ale ja mówię także jako lekarz. - Przerwał. - Wśród kobiet publicznych panuje niezliczona ilość chorób. Wiele jest śmiertelnych, żadna nie jest do wyleczenia. Jeżeli James Fortescue zadawał się z prostytutkami, powinniśmy dziękować Bogu, że Julia dowiedziała się w porę.

- O, właśnie - powiedziała słabym głosem mama.

- Nie wiesz - dodał łagodnie John - a ja jestem zadowolony, że ani ty, ani Julia nigdy się nie dowiedziecie, jak takie kobiety i zarażeni mężczyźni mogą cierpieć. Jak łatwo łapie się te choroby i umiera na nie. Jeżeli James Fortescue ma zwyczaj chodzić do takich kobiet, zaręczyny z pewnością powinno się unieważnić.

Mama milczała przez moment.

- Zatem wyjadę z nią - powiedziała - na kilka dni. Może pojechać ze mną do Oksfordu, odwiedzić Richarda.

Wuj John odpowiedział coś, ale nie dosłyszałam. Wbiegłam po schodach w pończochach i nie słuchałam więcej. Zadzwoiłam i poprosiłam o przygotowanie kąpieli. Poczulałam się brudna

- nie mogłam zjeść obiadu z moją ukochaną mamą i wujkiem Johnem, zanim nie zmyłam z siebie tego wszystkiego.

- Więc znowu mam być pozbawiony dwójki włóczykiów?
- zapytał wuj John zranionym tonem pod koniec obiadu.
- Widzę, że sam na siebie ukręciłem bicz. Julia będzie sobie jeździła po kraju, a mnie zostawi zarządzanie jej okropnym majątkiem.

Jego wesołość była trochę wymuszona, ale doceniłam to, że żadne z nich nie chce mnie więcej przepytawać. Próbowałam się uśmiechnąć, ale walczyłam z powracającym atakiem nudności nad ogromną porcją pstrąga z Wideacre, gotowanego w sosie winnym ze śmietaną. Mięso było różowe jak płatki róży, sos był lśniący i żółty jak masło z bogatego mleka Wideacre. Ledwie mogłam znieść ten zapach i usiedzieć przy stole; nie mogłam niczego tknąć.

- Nie będziemy długo w Oksfordzie - zapowiedziała mama.
- Powinieneś być zadowolony, że zostaniesz na chwilę sam w domu. Będziesz mógł jeść obiady w bibliotece z rozłożonymi wokół mapami i nikt nie będzie robił ci wymówek za palenie papierosów i późne chodzenie do łóżka.

- O, tak - przyznał wuj John, rozkoszując się tą wizją.
- Będę mógł robić sobie uczyty z zakazanych smakołyków. A kiedy wrócisz do domu, będziesz musiała dać do prania zasłony i czyścić dywany, ponieważ wszystko będzie zasypane popiołem i cuchnące tytoniem. Prawie ich nie słyszałam, widziałam jedynie ten straszny talerz przed sobą. Wydawało mi się, że stół unosi się i opada jak rozkołysana fala.

- Mamo, wybacz mi - wyszeptałam. - Nie czuję się dobrze. - Wstałam i jakoś zdołałam wyjść z pokoju. Przeszłam do salonu, gdzie opadłam na dywanik przed rzeźbioną w kwiaty kratą kominka i oparłam głowę o fotel. Skłamałam mamie podczas obiadu i musiałam brnąć dalej w kłamstwie.

Powiedziałam jej, że nie dzieje się ze mną nic złego, a to nie była prawda. Było ze mną coś nie w porządku i tylko głupi nie zgadłby tego kilka tygodni wcześniej.

Byłam w ciąży.

Nosiłam w sobie dziecko mojego kuzyna Richarda i byłam rzeczywiście zgubiona.

Już nie potrzebował gróźb ani obietnic, żeby mnie związać ze sobą.

Byłabym absolutnie zgubiona, jeśliby mnie nie poślubił,

465

i w pełni zdawałam sobie z tego sprawę. Musiałam do niego pojechać, powiedzieć o ciąży i o tym, że musimy natychmiast wziąć ślub.

Zrozumienie przyczyny moich nudności i słabości zabrało mi całe tygodnie, a nawet potem uczepliłam się głupiej nadziei, że jestem chora, ponieważ moje krwawienie miesięczne opóźnia się. Opóźniało się tak

bardzo, aż nabrałam pewności. I kiedy już wszystko w Wideacre wyglądało żywo i płodnie, wiedziałam, że ja również jestem brzemienna.

Dwa razy zaczęłam pisać list do Richarda i dwie kartki tłoczonego papieru wylądowały w ogniu. Wiedziałam, że w jego mniemaniu byliśmy zaręczeni, ale od dnia kiedy przed wyjazdem do Oksfordu powiedział, że nie zechce mnie nigdy żaden dżentelmen, pojęłam, że straciłam wszelkie szanse. Szanse na miłość, małżeństwo, dzieci.

Rozwazałam tę myśl. Udźwignę to brzemię, jakoś pogodzę się z tym. Ale teraz musiałam stawić czoło czemuś gorszemu. Nie chciałam być żoną Richarda. Nie mogłam znieść myśli o potajemnym ślubie, który przyniósłby wstyd mamie i mnie; ślubie za jej niechętnym przyzwoleniem, z powodu mojej hańby. Niestety nie widziałam innej drogi. Przeżyłam

tygodnie, próbując udawać, że ten ranek w domu letnim nigdy się nie zdarzył, lecz on zdarzył się; najodważniejszą myślą, na jaką się zdobyłam, było uświadomienie sobie, że jestem zhańbiona i że lepsza od takiej hańby jest śmierć. Wiedziałam jednak, że nie potrafię ze sobą skończyć. Zamiast tego musiałam szybko wyjść za mąż, zanim sterczący brzuch stanie się pożywką dla nowych plotek, a mama będzie miała święte prawo wyrzucić mnie za drzwi.

Cichy ślub także przyniósłby mamie wstyd - ale takie sprawy szybko idą w niepamięć. Dziecko urodzi się za wcześnie, ale Wideacre jest tolerancyjne. W tutejszym kościele celebrowano niewiele ślubów, podczas których panna nie miałaby wielkiego brzucha, a krótko po majowych zabawach na wzgórzach zwykle odczytywano długą listę zapowiedzi. Potajemny ślub i wczesne dziecko trzeba było ukrywać w świecie arystokracji, gdzie należało bronić reputacji wszelkimi możliwymi sposobami, ale wśród zwykłych ludzi Wideacre nie będzie to niczym wyjątkowym.

Wyprostowałam się i popatrzyłam w ogień. Nigdy już nie zobaczę Jamesa Fortescue. Naraz oblałam się rumieńcem na myśl,

466

że ktoś będzie czuł się w obowiązku powiedzieć mu, że ta ładna Julia Lacey, której w ostatnim sezonie asystowałam w Bath, jakoś bardzo szybko poślubiła kogoś innego. Będzie zadowolony, że w porę wymknął się z pułapki. Będzie mógł opowiadać, że sam o mało mnie nie poślubił. A oni będą potrzęsali głowami i dziwili się, że taka miła młoda lady okazała się latawicą. Ukryłam twarz w dłoniach i siedziałam przez chwilę, przeżywając tę myśl.

Potem wzruszyłam ramionami.

Nie mogłam nic na to poradzić.

Popełniłam błąd godny ubolewania, potworny błąd, więc musiałam z nim żyć i wziąć na siebie konsekwencje.

„Mogło być gorzej” - usiłowałam się pocieszyć, dodać sobie odrobiny otuchy - i znalazłam jej trochę. W końcu kochałam mojego kuzyna Richarda. Chciałam za niego wyjść, kiedy byliśmy dziećmi. Zdobył moje serce, kiedy razem się wychowywaliśmy. Byłam przerażona, że będę musiała wyjść za mąż w tak hańbiący sposób, ale przecież zawsze będą przy mnie moje dwie miłości: Richard i Wideacre.

Mama będzie cierpiała. Mama będzie załamana, ale...

Przestałam się oszukiwać, że wszystko będzie w porządku. Postawiłam sprawę jasno i otwarcie: wstydlivy potajemny ślub i wczesne dziecko są katastrofą w moim życiu, ale urodzenie dziecka bez zamążpójścia byłoby czymś nieporównywalnie gorszym. W żaden sposób nie mogłam powiedzieć mamie, że jestem w ciąży. Tak samo wujowi Johnowi. Jeżeli jednak Richard, który też ponosił część winy, stanie po mojej stronie i będziemy łączyć się - to jakoś się wydobędę z tej sytuacji. Przede mną była tylko jedna droga i wiedziałam, że ta droga wiedzie mnie prosto do Oksfordu, do Richarda.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Czwarty.

Prawie nie widziałam miasta; wielkie szare budynki college'ów po obydwu stronach ulic bardziej przypominały więzienia niż przybytki wiedzy.

Mama była jak w transie, zachwycała się stylem i historią tego miejsca, gdy po brukowanych kocimi łbami ulicach powoli brnęliśmy do college'u Richarda. Ja uważałam, że okna są za małe, a fasady budynków ponure.

Dowiedziałam się później, że piękno college'ów jest ukryte wewnątrz;

często budowano je na planie kwadratu z cudownymi tajemniczymi ogrodami pośrodku. Tylko uprawnieni mogą przekraczać bramę, by znaleźć się w miejscu doskonałego spokoju i ciszy, gdzie rosną cedry lub pluskają fontanny.

Z zewnątrz budynki są odpychające, a wszystkie te sekretne ogrody za murami nie wynagrodziły mi wrażenia, że domy oburzają się na mnie, jakby wszystkie były poważnymi myślącymi ludźmi, a ja głupią dziewczyną, która utraciła reputację i nosiła w sobie bękarta. Kobiety nie były dobrze widziane w Oksfordzie, nawet ciotki i kuzynki, a cóż dopiero mówić o ciężarnych panienkach. To było miejsce mężczyzn, mieli tu swoje biblioteki, książki, teatry i ogrody.

Richard oczekiwał nas i zamówił herbatę do swojej kwatery, ale szybko dostrzegł błaganie w moich oczach i dał prawdziwy popis umiejętności oszukiwania. Nagle przypomniał sobie, że zostawił kilka książek w sali seminaryjnej, książek absolutnie niezbędnych, po które musiał zaraz pójść. Łgał jak z nut, był tak przekonujący, że mama zgodziła się posiedzieć nad gazetą, podczas gdy Richard wybiegł ze mną po owe książki. Zwrócił się do mnie, gdy tylko znaleźliśmy się dalej od domu.

468

- Co się stało? - zapytał gwałtownie.

Widząc zwykły grymas niechęci na jego twarzy, poczułam, że serce przestaje mi bić. Jeżeli Richard już nie zechce mnie poślubić, to rzeczywiście jestem zgubiona.

- Musiałam się z tobą zobaczyć... - zaczęłam nieśmiało. - Richardzie, chodzi o nasze zaręczyny... - Głos mi zamarł pod jego ciężkim spojrzeniem.

- O co chodzi? - spytał ostro i musiałam zdusić w sobie przyływ paniki.

- Richardzie - wyszeptałam słabym głosem. - Richardzie, pomóż mi, proszę!

- Czego chcesz? - zapytał obojętnie.

Szliśmy ulicą obok college'ów o kamiennych twarzach, ale nie bacząc na nic szarpnęłam go obydwoma rękami za rękaw, żeby się zatrzymał.

- Richardzie - powiedziałam - proszę, nie mów do mnie tak zimno. Jestem zgubiona, jeżeli ty mnie nie uratujesz. Richardzie! Będę miała dziecko! Triumfował.

Znałam go. Nie myliłam się co do błękitnych ogników w jego oczach, tak jak nie myliłam się co do własnego rosnącego przerażenia. Powiedziałam, że jestem zhańbiona, a on był tak zadowolony, jakbym przepisała na niego Wideacre i na dodatek całe Sussex.

Opuścił szybko powieki, żeby ukryć zadowolenie.

- Julio - rzekł z namaszczeniem - jesteś naprawdę w poważnych tarapatach.

- Wiem o tym! - krzyknęłam gwałtownie. Ale w jakimś zakątku umysłu zanotowałam sobie, iż podkreślił, że to ja mam kłopoty.

- To zabiłoby twoją mamę - ciągnął. - Musiałaby odesłać cię daleko od domu. Nie mogłabyś zostać w Wideacre. Myślę, że to złamałoby jej serce. Kiwnęłam głową. Wzruszenie tak mocno ścisnęło mi gardło, że nie potrafiłam powiedzieć ani słowa.

- I zostałabyś całkowicie odrzucona przez towarzystwo

- kontynuował Richard. - Nikt z twoich przyjaciół nie chciałby cię widywać. To straszna perspektywa. Nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, gdzie mogłabyś mieszkać. - Zawiesił głos.

- Myślę, że John mógłby cię umieścić w jakimś małym domku

469

gdzieś za granicą - powiedział zamyślony - albo mogliby zaaranżować jakiś mariaż z dzierżawcą farmy lub kimś w tym rodzaju, kto zaakceptowałby twoją hańbę.

Usiłowałam coś powiedzieć, ale mogłam jedynie wydać słaby pisk.

- Richardzie! - wyszeptałam błagalnie.

- Tak? - rzekł z roztargnieniem, jakby moje wtrącanie się przeszkadzało mu w wymyślaniu coraz gorszych skutków mojego stanu.

- Byliśmy narzeczonymi - powiedziałam cicho.

Ludzie przechodzący ulicą odwracali się, żeby popatrzeć na nas: przystojnego młodzieńca i ładną dziewczynę trzymającą go pod ramię i wpatrującą się w niego jak zdesperowany żebrak. Richard widział ich spojrzenia i gładko ruszył do przodu, przytrzymując łokciem moją zimną dłoń.

- Byliśmy - zgodził się - ale wiem, że byłaś zaręczona z kimś innym.

Ostatnio natomiast twierdziłaś, że nie chcesz w ogóle wychodzić za mąż i najlepiej, żebyśmy zostali jak brat i siostra. Odniosłem wrażenie, Julio, muszę to powiedzieć, że nie byłaś entuzjastką naszego małżeństwa.

- Nie byłam - przyznałam uczciwie. - I nie jestem.

To był koszmar gorszy niż zły sen. Ledwie mogłam utrzymać się na nogach, kolana osłabły mi ze strachu podczas tej rozmowy. Ze zdumieniem stwierdziłam, że Richard zatriumfował nade mną, spychając mnie do roli pokornego petenta.

- Ale ta sprawa zmienia wszystko, Richardzie.

- Tak - powiedział. Nawet nie fatygował się ukryć zadowolenia w swoim

głosie. - Rzeczywiście.

I wtedy nagle poczułam, że przebrała się miarka.

- Nie drażnij się ze mną, Richardzie - rzuciłam wprost. - To nie jest zabawne. Jeżeli nie uznasz dziecka, jeżeli odmówisz poślubienia mnie, po prostu powiedz mi to jasno, ale musisz to zrobić teraz.

Determinacja w moim głosie powstrzymała go. Spojrzał na mnie z boku, mierząc nasze siły.

- A co zrobisz? - zapytał zaciekawiony.

- Powiem mamie - odparłam nabierając odwagi. - Powiem mamie i wujowi Johnowi. Powiem im, że nawet zhańbiona nadal jestem współspadkobierczynią Wideacre. Ustaliliśmy ze wsią, że będziemy prowadzić majątek jako wspólne przedsięwzięcie wieśniaków

470

i Laceyów. Nie będę damą z towarzystwa i będę mogła przekazać moją część bezpośrednio Acre. Dam im ją w prezencie. Będę mogła wziąć jedną z lepszych chat w Acre, zamieszkać tam sama i wychować dziecko. Wiem, że nikt nie będzie mnie odwiedzać, i wiem, że będę skończona towarzysko. Ale nadal mam przyjaciół wśród ludzi w Acre. Wielu z nich urodziło się kilka miesięcy po ślubie, a niektórzy z pozamałżeńskich związków. Nawet jeżeli arystokracja i cała moja rodzina zamknie przede mną drzwi, mam jeszcze Wideacre.

Powoli kiwnął głową i zaobserwowałam, jak jego oczy obiegają szare dachy i blady pasek nieba, jakby szybko próbował coś skalkulować. Nie wiedział, czy ma mi wierzyć czy nie. Spojrzał na mnie i ujrzał w mojej twarzy stanowczość. Uwierzył, że gotowa jestem to zrobić.

Potem zobaczyłam, że jego oczy stają się ciepłe i zwrócił się do mnie ze

swoim najcudowniejszym uśmiechem.

- Och, Julio, moje kochanie - zaczął słodko - jaki z ciebie głuptasek! Kochałem cię całe życie, prawie uwielbiałem! Oczywiście, że nie zostaniesz zhańbiona w ten sposób. Ożenię się z tobą. Nigdy nawet nie marzyłem, że zostanę twoim mężem. A ty urodzisz syna, mojego syna, jedyne go spadkobiercę Wideacre!

Westchnęłam nieznacznie z ulgą.

- Tak - powiedziałam.

Uśmiech Richarda był jak majowy poranek.

- Musimy to zaplanować - rzekł, jakby załatwiał interes.

- Kiedy on się urodzi? Pod koniec stycznia?

Nie odezwałam się. Nie myślałam zupełnie o narodzinach dziecka.

Myślałam tylko o załamaniu, którego dozna moja matka, o szoku wuja Johna i o własnym wstydzie. Ale słysząc Richarda mówiącego tak swobodnie o narodzeniu się chłopca, który ma być następnym dziedzicem Wideacre, poczułam, że po raz pierwszy od czasu, kiedy zostałam zgwałcona, poprawił mi się humor. Dziecko będzie dzieckiem Wideacre, tak jak ja i Richard. Będzie wyrastało pod szerokim słodkim niebem mojego domu. I ona

- byłam pewna, że to będzie dziewczynka - będzie moją maleńką córeczką. Będę jej opowiadała o ziemi, o tym jak ją uprawiać, i być może właśnie ona zwróci ziemię ludziom, którzy na niej pracowali.

- Tak - potwierdziłam. - Ma już prawie dwa miesiące. Richard skinął głową.

471

- Kiedy to zacznie być widoczne? - zapytał. Zmarszczyłam czoło.

- Och, tak żałuję, że Clara nie żyje - powiedziałam w nagłym przypływie tęsknoty za jej chłopskim rozsądkiem i wiedzą.

- Próbuję sobie przypomnieć, jak to było z matką Clary i innymi kobietami. Myślę, że zaczyna to być widoczne w trzecim miesiącu. Ale, Richardzie, chcę, żeby ślub odbył się natychmiast. Muszę być mężatką, kiedy to zacznie być widoczne.

Nuta paniki w moim głosie spowodowała, że Richard spojrzał na mnie ze swoim okrutnym i drażniącym uśmiechem.

- Tak - powiedział łagodnie. - Jestem pewien, że musisz. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek widział cię tak przestraszoną, Julio.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Podniosłam tylko głowę i spojrzałam na niego.

- Nie denerwuj się - powiedział. W jego głosie słyszałam przewrotną radość. - Zacznę wszystko organizować. Teraz rozchmurz się, Julio, musimy wrócić na herbatę.

Zorganizowanie ślubu było łatwiejsze, niż sądziłam. Richard dostał kilka dni wolnego dzięki wychowawcy i oświadczył, że może eskortować nas w drodze powrotnej do Sussex. Kiedy znaleźliśmy się w domu, mama i wuj John byli nawet zadowoleni, że Richard chce wziąć kariolkę, by zawieźć mnie - jak powiedział

- nad morze. Nie wiedzieli, o której wyjechaliśmy, ponieważ byliśmy już w drodze, nim oni zaczęli się budzić; mieliśmy wrócić późno. Jechaliśmy w bladym świetle poranka drogą do Portsmouth. Richard gwizdał i śpiewał piosenki. Ja byłam cicha, jakbym jechała raczej na pogrzeb niż na własny ślub. Ruch powoziku sprawiał, że odczuwałam mdłości i byłam zmęczona,

a kiedy zatrzymaliśmy się na śniadanie i dla zmiany koni, drzemałam trochę z głową na ramieniu Richarda.

Musieliśmy przedstawiać dziwny widok, kiedy jechaliśmy przez miasto. Czułam, że powinnam uważać na siebie w tym hałasie i krzątaniu spieszących się ludzi. Ale patrzyłam wokół tępym wzrokiem i niczego nie dostrzegałam. Jechałam do ślubu, a nie czułam niczego oprócz strachu; kiedy rzucałam ukradkowe spojrzenia na Richarda, zamierało mi serce. Ulice były coraz węższe, a hałas kół na kocich łbach ogłuszający. Chodniki były tak zatłoczone, że ludzie ustawicznie wychodzili

472

na drogę, więc Richard musiał cały czas powstrzymywać konie. Przybyliśmy w samą porę na molo, gdzie czekał kapitan wystarczająco chciwy i niedbały, żeby sprzedać nam świadectwo mówiące, że udzielił nam ślubu w podróży poza granicznymi wodami przybrzeżnymi, gdzie jego władza jest legalna.

Richard wyciągnął narysowaną odręcznie mapę i rozłożył na kolanach. Jego przyjaciel Wrigley z Chichester wykonał ją dla niego i poradził, jak znaleźć kapitana. Nie dało się zachować tajemnicy. Pewien młody mężczyzna mieszkający zaledwie kilka mil od Wideacre wiedział, że zawieramy małżeństwo, i bez wątpienia Richard powiedział mu dlaczego. Nie istniała zatem tajemnica i nie było ucieczki od mojego wstydu.

Richard zawrócił kariolkę na hotelowe podwórko i wydał rozkazy stajennemu. Mieliśmy wrócić za dwie godziny i konie musiały być gotowe na nasz powrót. Potem podał mi ramię, niedbale, jak bierze się walizkę, i poprowadził mnie drogą w kierunku mola.

Widziałam las masztów. Przyczepieni do nich marynarze poprawiali

takielunek i wrzeszczeli jak w ptaszarni pełnej przeklinających papug.

Szłam jak cień za Richardem uczepiona jego ramienia.

- Jak znajdziemy właściwy statek? - zapytałam. W przypiływie nagłego strachu pomyślałam, że może lepiej będzie, jeśli nie znajdziemy kapitana i wrócimy do domu. Nawet złamane serce mamy i mój wstyd były lepsze od tego beznadziejnego błąkania się po obcym mieście z mężczyzną, którego prawdziwy charakter właśnie zaczął się ujawniać.

- Jest tam - odparł. Ta wyprawa, która osłabiała mnie z każdym krokiem, dla Richarda była wielką przygodą. Rozglądał się dookoła z podnieceniem. - Jest tam - powtórzył z triumfem. - Teraz trzeba tylko znaleźć kapitana.

Pchnął mnie przed siebie na wąski pomost, a ja patrzyłam pod nogi, usiłując nie zauważać grubiańskich twarzy, które pojawiły się przy burcie. Marynarze przyglądali mi się bezczelnie, komentowali moje suknie i czepek i zastanawiali się głośno, czego szukamy na ich statku.

Richard wydawał się głuchy i ślepy na niestosowność tej sytuacji.

473

- Hej, ty tam! - zawołał poufale na jednego z marynarzy rozłożonego leniwie na deskach, doglądającego załogi rozlewającej brudną wodę po pokładzie. - Gdzie jest kapitan?

Mężczyzna uniósł wzrok znad paznokci, które właśnie czyścił za pomocą długiego noża, i popatrzył na nas uważnie, jakby rozważał, czy zasługujemy w ogóle na odpowiedź. Richard włożył rękę do kieszeni płaszcza i garść monet posłużyła jako karta wejściowa. Uderzyło mnie, że podczas tej podróży miał tyle pieniędzy, że przygotował się do niej.

- Schlał się - odparł mężczyzna ponuro. Obserwował nas z jawnym

lekceważeniem. Poczzerwieniałam, kiedy z pogardą mierzył mnie wzrokiem. Wiedział, że przyszliśmy tu, by potajemnie zawrzeć małżeństwo. Wiedział, że mogła być tylko jedna przyczyna, dla której dziewczyna z towarzystwa weszła na ten brudny pokład w poszukiwaniu niechlujnego kapitana. Patrzył na mnie, jakbym była rozpustnicą, która pójdzie z każdym mężczyzną. Skuliłam się jak mogłam za plecami Richarda, zarzuciłam na ramiona płaszcz i podniosłam kołnierz, żeby ukryć twarz.

Miałam przecucie, myśl, której nie potrafiłam przełożyć na słowa, że w tym pogardliwym spojrzeniu krył się swego rodzaju znak na przyszłość. Miałam stać się własnością mężczyzny; żaden inny nie mógł na mnie patrzeć wbrew jego woli. Nie byłam już wolną kobietą, za to oczywiście mogłam chować się za plecami Richarda, ponieważ był moim opiekunem. Już nie będę mogła rozporządzać sobą zgodnie z własnymi zachciankami.

- Chcemy się z nim zobaczyć - oznajmił Richard. Nie zauważył mojego zmieszania albo nie uważał, że należy zwracać uwagę na bezczelne spojrzenia tego mężczyzny. Marynarz wzruszył ramionami i nie ruszając się z miejsca, wskazał nam drzwi.

- Prosto, tam na dół - powiedział. Jego akcent zabrzmiał dziwnie w moich uszach przywykłych do lekkiego zaśpiewu z Sussex.

Richard ruszył w kierunku zejścia pod pokład, a ja za nim.

- Richardzie - wyszeptałam zatrzymując go, kiedy już miał schodzić. - Jeśli on jest pijany, może nie potrafi... może powinniśmy... Richardzie, poczekaj...

Richard postawił już stopę na drabinie i zręcznie opuszczał się w dół.

- Schodź - zakomenderował.

Zawahałam się. Załoga na pokładzie przerwała pracę i gapiła się na mnie, mężczyzna z nożem obserwował mnie obojętnym wzrokiem. Nawet marynarze na takielunku spoglądali z góry. Zebrałam suknie w jedną rękę i zeszałam za Richardem.

Smród uderzył mnie jak obuchem. Była to mieszanina woni wymiocin z tysiąca wojaży, starego portu, ran i strachu, prochu strzelniczego, brudnych ubrań, spleśniałej żywności i gangreny. Zatkałam nos, odszukałam chusteczkę i zasłoniłam usta, oddychając zapachem czystego batystu i wody kolońskiej.

Richard popatrzył na mnie. Nie widziałam wyrazu jego twarzy w źle oświetlonym korytarzu.

- Co znowu? - dopytywał się niecierpliwie,

- Nie możemy zrobić tego w ten sposób, Richardzie - powiedziałam z naciskiem. - Tu jest okropnie! Musi istnieć inny sposób załatwienia tego. Nie możemy brać ślubu w takim brudnym miejscu. Tu... tu cuchnie, Richardzie.

Mruknął coś pod nosem, a potem odwrócił się do mnie i chwycił mnie za rękę tuż pod łokciami tak mocno, że aż krzyknęłam.

- Słuchaj - powiedział rozwścieczony - to ty chciałaś, żebyśmy zostali kochankami. Ty położyłaś się na podłodze i uśmiechałaś do mnie. Ty objęłaś mnie za szyję. Ty. Jeżeli nie miałaś ochoty, mogłaś bardziej się bronić. Nie ma takiej rzeczy jak gwałt, każdy to wie. Miałaś wybór, mogłaś mnie powstrzymać, ale nie chciałaś. A kiedy Jem cię znalazł, powiedziałaś mu, że spadłaś z konia. Gdybyś została zgwałcona, powiedziałaś o tym. Ale ty byłaś chętna. Byłaś chętna, ponieważ jesteś

dziwką. Ja zaś wykazuję dużo dobrej woli, chcąc cię poślubić.

Wpatrywałam się w niego. Bolesny ucisk na moich ramionach był niczym w porównaniu z bólem, który czułam pod żebrami. Za każdym razem kiedy powtarzał słowo „ty”, czułam, jakby w serce wbijał mi ostry nóż.

Miał trochę racji, a w każdym razie teraz nie byłam w stanie oddalić tego niesprawiedliwego oskarżenia. Obwinałam siebie za to, co się stało na podłodze letniego domku. Kobieta jest zawsze tą, którą się obwinia.

Gdybym była prawdziwą damą, gdybym była naprawdę czysta, Richard nie zrobiłby tego. Straciłam dziewictwo i to wystarczyło, żebym uchodziła za zhańbioną w oczach każdego - i swoich własnych.

475

- Jestem gotów cię poślubić - powiedział Richard z wściekłością - i w ten sposób wyświadczam ci grzeczność. Równie dobrze mógłbym pozwolić, żebyś sama stawiała czoło mamie i wujowi, Julio. I gdybym im powiedział, że mnie skusiłaś, ciebie winiliby za to, że zostaliśmy kochankami, a taki wstyd zabiłby twoją mamę.

Pochodnia wetknięta w uchwyt na ścianie chwiała się i migotała w przeciągu hulającym pod pokładem. W rozbłysku światła zobaczyłam twarz Richarda. Uśmiechał się w charakterystyczny sposób, jak wtedy, gdy zdołał mi mocno dokuczyć w naszych dzieciennych zabawach.

Przypomniałam sobie, jak pewnego razu zwabił mnie na strych w opuszczonej stodole. „Tam jest gniazdo sówki płomykówki” - zawołał. Nalegał, żebym weszła po stromej drabinie i zajrzała. Kiedy wspięta na palce próbowałam zobaczyć gniazdo, nagle pchnął mnie tak, że straciłam równowagę i pobiegł do drabiny. W jednej chwili był na dole i zrzucił ją na podłogę. Kiedy zerknęłam w dół znad krawędzi, zobaczyłam, że do

podłogi jest jakieś dwadzieścia stóp. On się uśmiechał. „Myślę, że jesteś w potrzasku” - powiedział wtedy.

- Myślę, że jesteś w potrzasku - usłyszałam i teraz. Patrzyłam na niego i miałam widzenie. Czułam owiewający mnie wietrzyk odwagi, natchniony i słodki jak wiatr w Wideacre. W cuchnącej zatłoczonej ładowni zbutwiałego statku poczułam, jak rozprostowują mi się ramiona i podnosi broda. Nie byłam jakąś głupią dziewczką ogarniętą pożądaniem, byłam Julią Lacey z Wideacre. Byłam córką swojego ojca, byłam spadkobierczynią i naturalną następczynią Beatrice Lacey, czarownicy z Wideacre, która uprawiała ziemię i zniszczyła ją, żeby utorować mi drogę. Po Beatrice nikt w Sussex nigdy więcej nie pomyśli, że kobiety są słabe. Za przykładem Beatrice znajdę siłę w moim młodym kobiecym ciele; siłę woli i determinacji. Popatrzyłam chłodno na cynicznie uśmiechniętego Richarda.

- Masz rację - powiedziałam obojętnie. - Jestem w potrzasku. Więc wejdźmy do tego brzydkiego małego pokoiku, stańmy przed pijanym kapitanem i niech nam udzieli ślubu. A potem muszę wracać do domu i powiedzieć wszystko mojej ukochanej mamie i drogiemu wujowi Johnowi. Muszę stawić czoło ich smutkowi i rozczarowaniu, podeptać nadzieje, które ze mną wiązali - mówiłam dalej. - Przejdę przez to, nie ma obawy. Nawet jeśli się boję, strach mnie nie powstrzyma.

476

Uśmiech znikł z jego twarzy, jakby go ktoś stał, i Richard popatrzył na mnie jakby z szacunkiem.

- Tak - powiedział miękko - wiem, że się nie boisz, Julio. Zawsze skądś znajdujesz odwagę, żeby pokonać przeciwnictwa. Nie wiem, jak to robisz.

- Nazywam się Lacey - odparłam z uśmiechem i wydawało się, że moje nazwisko sprowadziło powietrze Wideacre w to zatęchłe wnętrze. - Teraz wejdźmy do środka i skończmy z tym.

Na te słowa podniósł rękę, zastukał do drzwi i weszliśmy do kajuty kapitana. Chociaż kłamał, że tylko ja jestem winna poczęcia dziecka, to prawdą było, że ja doprowadziłam do małżeństwa. I przemknęła mi przez głowę dziwna myśl, że małżeństwo zrujnuje mnie bardziej, niż tego dokonał gwałt.

Było to przerażające.

Oczywiście, przerażające.

Przez całe moje dzieciństwo i dorastanie marzyłam o ślubie pod wielkim kamiennym sklepieniem gotyckiego kościoła w Acre, rozświetlonego promieniami słońca wpadającymi przez witraż, rzucającymi tężowe wzory na moją białą suknię i mamę uśmiechającą się z ławki Laceyów.

Kiedy byłam dziewczynką, widziałam u mego boku Richarda całującego mnie w usta po założeniu obrączki. W tym zarozumiałym marzeniu widziałam siebie w chmurze białego muślinu lub dopasowanym do figury atlasie. Wiedziałam nawet, jakie będę miała kwiaty - polne kwiaty

Wideacre; nie wszystko bowiem w moich dziewczęcych marzeniach mieściło się w konwencji zaczerpniętej z żurnali. Pomyślałam, że będę miała olbrzymi bukiet z purpurowymi makami płonącymi pośrodku. We włosy miałam wpiąć białe księżycowe stokrotki i niebieskie chabry.

Przypuszczam, że wyglądałabym dość niezwykle, i jestem pewna, że moja babka, lady Havering, nie dopuściłaby do tego. Miałabym trudności z wprowadzeniem mody na śluby z bukietem pełnym zielska i stokrotkami we włosach. Więc może nie miało znaczenia, że nie będę zakochaną panną

młodą w kościele na własnej ziemi, otoczoną przyjaciółmi i życzliwymi wieśniakami.

Nic nie mogło być gorsze od tej niechlujnej kajuty kapitana i formułek z modlitewnika wymamrotanych zachrypniętym głosem. Kiedy spojrzał na mnie, czekając na odpowiedź, owiał mi twarz smród przetrawionego alkoholem oddechu. Kajuta cuchnęła

477

brudnymi ubraniami. Na stole stał talerz z resztkami kości, rozrzuconymi również pod koją.

Słowa kapitana: „A teraz ogłaszam was mężem i żoną”, w myśl prawa były niestety równie wiążące jak ślub w katedrze w Chichester.

- Możesz pan pocałować pannę młodą - powiedział, mrugając do Richarda.

Richard pochylił ku mnie swoją ładną ciemną głowę, a ja podałam usta do pocałunku. Miał lodowate wargi.

- Myślałam, że weźmiemy ślub na morzu - powiedziałam cicho.

- Sfałszowałam zapis w dzienniku pokładowym - odparł kapitan, ukazując w uśmiechu zepsute zęby. - Jeżeli kiedykolwiek ktoś was o to zapyta,

byliście tutaj dziś rano, kiedy płynęliśmy daleko od wyspy Wight. Wasz ślub odbył się podczas treningowego rejsu dla młodych oficerów! -

Uśmiechnął się obleśnie do Richarda. - Pewnie panu spieszno, żeby dowieźć młodą damę do domu - powiedział poufałym tonem.

Odwróciłam się i kiedy Richard płacił kapitanowi, wyszłam na korytarzyk.

Wspięłam się na drabinę, tym razem nie zwracając uwagi na spódnice.

Postawiłam kołnierz, żeby odgrodzić się od chłodu i od smutku tego ponurego miejsca.

Wróciliśmy pomostem, potem weszliśmy do zajazdu, wypiliśmy w milczeniu kawę i wyszliśmy do powozu.

Richard w szampańskim humorze pogwizdywał melodie, kierując konie na północ, do domu. Droga z Portsmouth jest jak trakt na grobli, wiedzie przez błotniste równiny i dosięgają jej wody przyprływu. Właśnie był przyprływ i fale wyglądały jak posrebrzane. Kołysały się na nich zakotwiczone łodzie, piękny szkuner unosił się w górę, zanurzony głęboko pod ciężarem swojego ładunku.

- Dom - rzekł z satysfakcją Richard - wreszcie jest to naprawdę mój dom. Bo to ja jestem teraz jedynym prawowitym dziedzicem.

Konie podrzuciły głowami i wydłużyły krok. Nie odezwałam się, kiedy Richard szarpnął lejce i kariolka zakołysała się na boki. W piersi miałam kawałek ciężkiego lodu, ponieważ straciłam władzę nad Wideacre i dałam Acre pana, któremu nie ufałam za grosz. Sobie też sprawiłam pana, któremu nie mogłam ufać.

478

Już nauczyłam się panować nad słowami jak niewolnik. Poczekałam, aż bieg koni osiągnął kontrolowany, gładki galop, zanim odchrząknęłam i powiedziałam spokojnie:

- Są obietnice, które dałam Acre, i kontrakty podpisane przeze mnie.

Niektórych rzeczy nie da się zmienić, ponieważ złożyliśmy obietnice i honor każe nam ich dotrzymać.

Richard uśmiechnął się, a jego oczy pozbawione były przebiegłości. Nie można było, patrząc na niego, nie ufać mu.

- Oczywiście, Julio - odezwał się swoim najśłodszy tonem. -

Oczywiście, moja droga kuzynko, moja droga żono, ale nie mogę o tym

teraz mówić! Właśnie myślałem, że Wideacre jest moje i nie musisz już brać za nie odpowiedzialności, jak to robiłaś do tej pory. Teraz praca w Wideacre będzie należała do mnie, nie do ciebie. A oprócz tego - kontynuował z ciepłym uśmiechem - będziesz zajęta w domu, kochanie, za siedem miesięcy będziesz miała obowiązki, których nikt oprócz ciebie nie będzie mógł wypełniać.

Przytaknęłam, ponieważ to była prawda. Ale przeszył mnie chłód, kiedy mówił o Wideacre tym tonem.

- Zawsze chciałam pracować w majątku - oznajmiłam.

- Ty będziesz dziedzicem, ale ja pracowałam w majątku, odkąd wuj John wrócił do domu. Nie mogę tego porzucić tylko dlatego, że się pobraliśmy.

Richard nic nie odpowiedział; wyminął wóz załadowany wysoko stertą świeżo uszytych żagli. Byliśmy daleko za miastem i uniosłam głowę, rozkoszując się świeżym wonnym powietrzem. Oczyszczałam się z wilgoci tego przerażającego statku, który zostawiłam daleko za sobą.

Richard oderwał wzrok od drogi, obrzucił mnie z ukosa spojrzeniem i zobaczył, że wracają mi kolory.

- Ach - powiedział, udając, że nagle sobie coś przypomniał. - Napisałem list do Jamesa Fortescue.

- Co zrobiłeś? - zapytałam.

- Napisałem do Jamesa Fortescue - odparł lekkim tonem.

- Napisałem mu, że bierzemy dzisiaj ślub. Miałem wrażenie, nie wiem dlaczego, że zaniedbałaś powiadomienia go o tym. W każdym razie dżentelmen jest zobowiązany do poinformowania drugiego dżentelmena o takim wydarzeniu.

Oniemiałam, poczułam się, jakby Richard uderzył mnie w twarz.

- Nie powiedziałam mu - wyszeptałam na pół do siebie. - Myślałam, że nie ma potrzeby, ponieważ ty poinformowałeś go, że nasze zaręczyny są zerwane.

- No i dobrze - powiedział zgodnie Richard - teraz już nie musisz. Siedziałam w milczeniu. Nie mogłam sobie wyobrazić, co czuł James, kiedy otworzył list od Richarda i przeczytał, że wyszłam za mąż. Nie wyobrażałam sobie, jak powie o tym Mariannie i swoim rodzicom, którzy byli dla mnie tak mili. Nie mogłam znieść myśli o tym, co poczuje lub co sobie o mnie pomyśli.

- Przy okazji odesłałem mu jego ostatnie listy - dodał z nonszalancją - więc nie musisz się już o nic martwić.

- Jego listy?! - krzyknęłam. - Powiedziałeś, że zwróciłeś je ponad miesiąc temu, kiedy spotkałeś go na drodze.

- Wtedy zwróciłem część - przyznał się - ale zatrzymałem kilka, żeby je jeszcze raz przeczytać. Było tam parę rzeczy, które chciałem uważnie przestudiować. A teraz odesłałem mu wszystkie. On dużo pisał, prawda? Bolały mnie dłonie i zdałam sobie sprawę, że wbijam je w ławkę powoziku. Kostki mi zbielewały.

- On cię naprawdę kochał - powiedział Richard, jakby składał mi gratulacje. - Nigdy nie czytałem czegoś tak pełnego namiętnej miłości. Kiedy pisał o tym, jak obserwował cię w sklepie z rękawiczkami, brzmiało to prawie jakby się modlił, i kiedy wychwalał cię za odnalezienie tych nędzarzy z Acre. Naprawdę cię kochał, wiesz, Julio? A teraz nigdy więcej go nie zobaczysz.

Zagryzłam policzek od środka tak mocno, że poczułam, jak puchnie mi

delikatna skóra. Ból spowodował, że odzyskałam mowę.

- Tak - powiedziałam twardo. - Tak, on naprawdę bardzo mnie kochał. I ja go kochałam. Ale fakt, że ukradłeś mi i przeczytałeś jego listy, a potem zwróciłeś mu, naprawdę jest teraz bez znaczenia. I nieważne, że mi o tym mówisz. Nie będę więcej wspominać jego imienia, a i tobie to niepotrzebne, Richardzie, bo już mnie to nie zrani ani nie wyprowadzi z równowagi.

Kilka mil jechaliśmy w milczeniu.

- Będziemy w domu prawie na kolację - odezwał się w końcu Richard. - Prawdopodobnie przed zmrokiem.

480

- Tak - powiedziałam. Siedziałam odrętwiała.

- Nie uważam, żebyśmy musieli natychmiast im mówić. Jutro wyjeżdżam do Oksfordu. Zaczekajmy z tym, aż wrócę do domu.

- Tak - powiedziałam.

- Prawdopodobnie ciąża nie będzie widoczna do tego czasu - dodał pogodnie. - A jeżeli zaczną być podejrzliwi, zawsze możesz napisać do mnie i wtedy wrócę wcześniej.

- Tak - powtórzyłam.

- Nie wyglądasz na bardzo szczęśliwą - powiedział z niecierpliwością. - Wszystko będzie dokładnie tak, jak sobie zaplanowaliśmy, kiedy byliśmy dziećmi, a ty obnosisz się z nieszczęśliwą miną.

- Wiem - wyszeptałam. I nie odzywałam się więcej.

Nie miałam zamiaru przeproszać go za zły humor ani udawać, że jestem szczęśliwa. Miałam siedemnaście lat i uczucie, że zatrzasnęła się za mną więzienna brama. Zostałam pozbawiona ziemi i pozycji dziedziczki, odarta

z niezależności. Faktem jest, że sama weszłam bezmyślnie do tego więzienia, przekręcając klucz i wyrzucając go gdzieś przez okno w głupim przekonaniu, że nie mogę obwiniać nikogo oprócz siebie o chaos, jaki zrobiłam ze swojego życia. Nie widziałam przed sobą szczęścia.

Odwróciłam głowę od Richarda i patrzyłam na przesuwające się przed moimi oczyma pola, na malownicze wsie, czyste strumienie, dojrzewające zboże; nie odezwałam się już ani słowem. Nie płakałam. Nie krzyczałam. Patrzyłam na krajobraz i myślałam, że muszę znaleźć gdzieś w środku odwagę, żeby brnąć cały czas do przodu i do przodu, aż znajdę bezpieczną przystań, w której odpocznę.

Wiedziałam, że nie mogę zatrzymać się nawet na chwilę.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Piąty.

Owego smutnego popołudnia w kariolce miałam rację, myśląc, że będę musiała spuścić głowę jak koń pociągowy ciągnący bronę przez lepkie błoto. Ciężar winy czułam prawie fizycznie, pochyliłam się pod nim, zaparłam się i ciągnęłam, ciągnęłam za sobą każdego ciepłego, letniego dnia.

- Julio, garbisz się coraz bardziej - powiedziała ze zdziwieniem mama, obserwując mnie z okna salonu, gdy ścinałam róże w ogródku. - Spróbuj trzymać się prosto, kochanie, i nie bądź taka ponura. Czy coś jest nie w porządku?

- Nie, mamó - odrzekłam. Posłusznie wyprostowałam plecy i zrobiłam pogodniejszą minę, ale wiedziałam, że zapomnę o tym i znowu się przygarbię. W brzuchu ciążyło mi dziecko, ramiona przygniatał ciężar grzechu. Zmagałam się z tym brzemieniem jak człowiek idący pod wiatr. Wiatr wiał mi w twarz przez ostatnie tygodnie czerwca i pierwsze tygodnie

lipca, kiedy czekałam na przyjazd Richarda do domu i myślałam o tym, co się stanie, kiedy im powiemy.

Wuj John i mama konspirowali, pozostawiając mnie w spokoju. Widzieli, że moje zdrowie polepszyło się - nudności minęły i znowu jadłam normalnie - ale martwili się zmarszczkami wokół moich ust i ponurym wyrazem twarzy, który nie opuszczał mnie przez cały czas jak piętno Kaina.

Nie mogłam patrzeć na ukochaną mamę, nie zastanawiając się, jak wpłyną na nią te wiadomości. I odkryłam, że tęsknię za tym, żeby rozzłościła się na mnie, uniosła się wściekłym gniewem. Największą przykrość sprawiłby mi jej wzrok pełen troski i poczucia winy. Tego lata dzień po dniu odpychałam od siebie myśl

482

o jej rozpacz. Przeświadczenie o tym, że złamię jej serce, paraliżowało mnie.

Musiałam brnąć dalej.

Pszenica dojrzała wspaniale i zaczęliśmy szykować ludzi i sprzęt na żniwa. Nawet farmy, które od wielu lat miały dobre zbiory, przygotowywały się starannie na ten gorący czas, a przecież my w Wideacre dopiero zaczynaliśmy. Żniwa to wyścig z pogodą; dojrzała pszenica musi być w porę ścięta i natychmiast zmagazynowana. Nie tak jak siano, które może przetrwać deszcz, a potem przeschnąć.

I jest to walka o zorganizowanie wszystkiego: ludzi, narzędzi i wozów.

Wszystko musi być zorganizowane, zanim zaczną się żniwa. To jest walka o interesy; ile plonów można sprzedać, ile słomy, ile ziarna, a ile zatrzymać dla własnego użytku. Trzeba zdecydować, czy sprzedać zaraz

po żniwach po niskich cenach, czy też przetrzymać ziarno, aż będzie go brakowało i ceny wzrosną.

I czy musimy czerpać korzyści z głodu biedoty i odmawiać sprzedaży po zwykłych cenach, w tradycyjnych ratach.

Tę decyzję łatwo było podjąć - nigdy więcej ludzie w Acre nie będą głodni, jeśli będą dobre zbiory i pełne stodoły. Ralf, wuj John i ja byliśmy jednak zgodni co do tego, że pewną część plonów wyślemy poza hrabstwo i sprzedamy na rynkach Londynu za najlepsze ceny, jakie zdołamy osiągnąć. Ralf uważał, że nikt nie będzie się temu sprzeciwiał, jeżeli najpierw obsłużymy miejscowy rynek.

Tylko raz owego słonecznego lata, kiedy czekałam na powrót Richarda, poczułam się zagrożona. Powodem był Ralf Megson. Nie wybaczył mi, chociaż był moim przyjacielem i zawsze mi sprzyjał. Przyglądał się, jak moja twarz pochmurniała i pogłębiały się cienie pod oczami.

Wybrałam się powozem do Chichester, aby zamówić partię sierpów na żniwa. Ned w Acre nie miał czasu, żeby je zrobić przy nawale innych prac w kuźni. Potem pojechałam z Jemem do Acre, powiadomić Ralfa, że sierpy będą gotowe w przyszłym tygodniu.

Kiedy dotarliśmy do jego chaty, siedział w słońcu na kamiennym schodku i palił fajkę. Uśmiechnął się, kiedy mnie zobaczył, ale nie wstał, tylko czekał, aż wejdem na ogrodową ścieżkę i usiądem koło niego.

- Rozkoszuj się słońcem - rzekł rozleniwionym tonem. - Jediną rzeczą, której żałowałam, wracając do Acre, było to, że

483

nie mamy dosyć słońca. Długi czas spędziłem na wyspach, gdzie rośnie trzcina cukrowa, Julio. Tam jest tak gorąco, że w południe nie można

pracować. Zwykle wyciągałem się jak żmija do słońca i spałem cały dzień. Usiadłam sztywno obok niego. Z uśmiechem zamknął oczy i odwrócił się do ciepła. Słońce nie rozgrzewało mnie, chociaż skórę miałam gorącą. Odnosiłam wrażenie, że krew, która odżywia moją małą dziewczynkę, zatruwa jednocześnie moje własne ciało. Za każdym razem kiedy się uśmiechałam do zielonego liścia lub wesołego dziecka, albo śmiałam się z jakiegoś żartu, trucizna brała mnie w posiadanie i robiło mi się słabo na myśl, że niedługo, bardzo niedługo będę musiała powiedzieć mamie, że jestem w ciąży i że w sekrecie poślubiłam swojego kuzyna.

- Co ci dolega? - zapytał cicho Ralf. - Jesteś biała jak mleko, z którego zbierano przez wiele dni śmietankę, aż skwaśniało jak cytryna. Co się z tobą dzieje, Julio?

- Nic - powiedziałam przez zęby.

- Nie jesteś czasem w ciąży, co? - zawiesił głos. Miał zamknięte powieki, a twarz uniósł ku słońcu, więc nie widział, że oblałam się szkarłatem. Nie otworzył oczu.

- Nie - odparłam.

- Bo gdybyś przypadkiem była - podjął takim tonem, jakby nie interesowała go ta sprawa - nawet gdybyś była, to nie musiałabyś spieszyć się z małżeństwem ani przyznawać się swojej mamie czy wujowi. Istnieją sposoby pozbycia się dziecka, zanim wyrośnie brzuch.

- Naprawdę? - zapytałam.

- Aha - powiedział Ralf. - Gdyby dotyczyło to dziewczyny, która jest moją przyjaciółką, zabrałbym ją niedaleko, do obozu Cyganów na błoniach i zaprowadził do pewnej starej kobiety, która się zna na takich rzeczach. Mógłbym tam pojechać dziś po południu, gdybyś chciała, Julio.

- Nie. - Mój głos zabrzmiał posepnie. - Nie ma potrzeby. Ralf otworzył oczy, spojrzał na mnie ostro.

- Jestem rad, że to słyszę - powiedział otwarcie. - Byłem pewien, że właśnie to ci dolega.

Zamknął znowu oczy jak ślepa przepowiadaczka przyszłości, oparł głowę o ścianę swojej chaty z piaskowca koloru miodowego.

- Dziewczyna, na której wymuszono zaręczyny, nie jest zobowiązana do ich dotrzymania, wiesz o tym - odezwał się po

484

chwili. - A dziewczyna, która utraci dziewictwo, nie musi poślubić tego mężczyzny. Nawet jeśli jest arystokratką. Powiedzą ci wprawdzie, że młoda dama powinna raczej umrzeć, niż stracić dziewictwo przed ślubem; powiedzą ci, że każda młoda lady ubrana na biało przy ołtarzu jest dziewicą, ale ja wiem, że to nieprawda. Nie odpowiedziałam. Ralf nadal nie patrzył na mnie.

- Więc jeżeli nawet baraszkowałaś ze swoim kuzynem na wzgórzach, nie masz wobec niego zobowiązań - kontynuował z twarzą zwróconą ku słońcu. - Mogłabyś odmówić mu i poślubić innego mężczyznę choćby jutro i nikt by się nie dowiedział. Jeżeli ktoś miałby się czegoś domyślać, to tylko ludzie z Acre, a oni nie osądzą cię za to surowo. - Przerwał. - I żaden mąż, którego tu przywieziesz, nigdy nie usłyszy od nas żadnej plotki - dokończył.

Podniosłam się. Ralf otworzył oczy i osłonił je rękami przed słońcem. Moja twarz pozostawała w głębokim cieniu.

- Dziękuję ci, Ralfie - odezwałam się sztywno. - Wiem, co chciałeś powiedzieć, ale nie jest mi potrzebna twoja pomoc.

Ralf zrobił nieznaczny gest rezygnacji.

- Zawsze do usług - rzekł ironicznie. - Wybacz, że nie wstanę.

Uśmiechnęłam się. Choć w moim wnętrzu panowała ponura ciemność, rozbawiła mnie jego przesadna kurtuazja połączona z uszczypliwością.

Odwrociłam się na pięcie, wyszłam do kwitnącego letniego ogrodu i pojechałam do Dower House, gdzie mama śpiewała, grając na fortepianie, nie wiedząc, że za kilka dni wkroczę do tego spokojnego domu, który tak pracowicie tworzyli oboje, i złamię jej serce.

Pszenica dojrzała, zanim Richard wrócił z college'u.

Byłam zadowolona. Nawet w głębinach mojego rozpaczliwego smutku byłam zadowolona, że mogliśmy spokojnie zebrać pierwsze plony z Wideacre, wymłócić i zwieźć do stodół, zanim sprowadzę burzę na nasze głowy, zanim wuj John i ja przestaniemy rozmawiać o gospodarstwie.

- Czuję, że zbiera się na burzę - powiedziałam - ale podobnie było w czasie sianokosów, a pogoda nigdy tak naprawdę się nie popsuła.

- Gdybyśmy byli na morzu, gnałbym do portu - rzekł Ralf. Wpatrywał się w horyzont ponad wzgórzami, gdzie niebo miało żółtawy odcień.

485

- Jak długo pszenica może czekać? - zapytałam.

- Nie może czekać - odparł. - Jeżeli burza nie zerwie się tej nocy, musimy zacząć jutro. Nie wiadomo, ile czasu zejdzie żeńcom; starzy mężczyźni zupełnie wyszli z wprawy, a młodzi nigdy nie brali udziału w żniwach.

Niektórzy z nich nawet musieli prosić ojców, żeby im pokazali, jak używać sierpa. Nie możemy tracić czasu, miejmy nadzieję, że jednak się nie rozpada. Zaczynamy jutro.

- Uprzedzę Johna - powiedziałam i poszłam po konia, który był

przywiązany na podwórku młyna.

- Będiesz jutro rano na polu, prawda? Wszyscy chcą, żebyś tam była - rzekł Ralf.

- Nie zrezygnowałabym z tego za nic w świecie - zapewniłam go z uśmiechem. - To są również moje pierwsze żniwa, wiesz o tym.

Uśmiechnęłam się do niego, ale z przymusem. Była to złota pora roku, ale ja byłam w cieniu. Pszenica dojrzewała w letnim skwarze, ale ja czułam w sobie lód. Jechałam konno do domu jak ołowiany żołnierz z dzieciństwa Richarda. Czułam, że serce mam również z ołowiu.

Zjedliśmy wczesną kolację i poszłam zaraz do łóżka, mama i wuj również. Obydwoje życzyli mi na jutro dobrych żniw i obiecali, że przyniosą na pole jedzenie w koszyku.

Zasnęłam prawie natychmiast. Miałam sen.

Skąd się wziął, nie wiem - może ze wzmianki Ralfa, może z mojego wspomnienia o Cyganach, którzy grali dla nas w ostatnie Boże Narodzenie. Wyśniła mi się cygańska dziewczyna, która siedziała na przodzie wozu ciągniętego przez starego czarnego konia, tak dużego jak koń do polowań, dobrze utrzymanego i zupełnie nie nadającego się do takiej pracy jak ciągnięcie tandetnie pomalowanego wozu. Była noc, wstrętna i ponura; znajdowaliśmy się na jakimś pustym rozległym terenie, może na błoniach. W moim śnie dziewczyna trzymała w ramionach jakieś dziecko; lejce były puszczane luźno, a jej mężczyzna szedł przy głowie konia. Garnki z jednej strony wozu, rzeźbione laski na sprzedaż i wiklinowe koszyki z klamerkami do bielizny z drugiej pobrzękiwały, kiedy wóz podskakiwał na nierównościach drogi. Minęła mnie w milczeniu, a ja odwróciłam się, żeby popatrzeć, jak odjeżdża. Deszcz bił

mnie po twarzy i ledwo mogłam ją dostrzec w ciemnościach i ulewie. Na plecach miała jakąś starą

486

pelerynę lub koc, który naciągnęła na głowę tak, że jej kontury były bez kształtu. Jedna mała latarenka huśtała się z boku wozu, a on oddalał się ode mnie.

Gdzieś w środku, pod żebrami poczułam palący ból. Był to ból rozstania, bo patrzyłam na odjeżdżający wóz i krzyczałam coś na wietrze.

Wiedziałam, że dziewczyna mnie nie słyszy. Znowu krzyknęłam przeraźliwie, ale wiatr był zbyt głośny, a deszcz zbyt mocny.

Krzyknęłam we śnie i to mnie zbudziło. Było rano, poranek moich pierwszych zniw w Wideacre, a deszcz i burza zdarzyły się w moim śnie, a nie w prawdziwym życiu. Na dodatek zbudziło mnie nagle poruszenie, które odebrałam jako strach. Wstrzymałam oddech nasłuchując jak właściciel domu, którego z głębokiego snu zerwało trzeszczenie deski w podłodze. Leżałam nieruchomo i słuchałam szybkich uderzeń własnego serca.

Spojrzałam przez okno na pierzaste obłoczki zachodzące na siebie, spiskujące jak nam zakryć niebo. Zbitym stadem kładły się wzdłuż grzbietów wzgórz, nad dachem Dower House; chociaż wiedziałam, że za nimi jest jasne słońce, ledwo mogłam uwierzyć, że jeszcze kiedykolwiek poczuję jego promienie.

Westchnęłam, jakbym była nie młodą kobietą, ale staruszką zniszczoną gorącym niejednego lata. Odrzuciłam kołdrę i powoli zsunęłam się z łóżka, zmęczona i ociężała. Sięgnęłam po zimną wodę z dzbanka. Niebo za oknem było bardzo jasne i już białe, nie niebieskie. Obmyłam twarz i

poczułam, jak skóra się napręża. Założyłam stary szary strój do konnej jazdy, upięłam włosy w niedbały kok, wcisnęłam na wierzch kapelusz i przypięłam go. Moje oczy ocienione rondem były zamglone i znużone. Potem zeszałam do kuchni, gdzie pani Gough, już od świtu na nogach, ubijała jajka w misce.

Nalała mi filiżankę kawy i wypijałam ją, stojąc w drzwiach wychodzących na ogród za domem. Czułam, że parzy mi język, ale nie rozgrzała mnie. Była gęsta od cukru, ale nie smakowała słodko. Westchnęłam. Zdarzały się dni, kiedy nic nie wydawało się właściwe, a ten dzień był jednym z nich. Pani Gough podała mi zawiniątko ze śniadaniem; pasztet, chleb z masłem i miodem, kilka płatków mięsa i brzoskwinie z Havering.

Weszłam do stajni; Jem zaspał i nie przygotował mi Mgiełki.

Wyciągnęłam siodło ze schowka i zarzuciłam jej cugle na grzbiet.

Osiadłam ją sama i wdrapałam się na jej wysoki grzbiet z kloca

487

do wsiadania bez niczyjej pomocy. Nikt nie życzył mi dobrych żniw, kiedy wyjeżdżałam truchtem z podwórka. Puściłam się cwałem ku błoniom, gotowa do pracy.

Ludzie już roili się w polu, kiedy Morska Mgiełka zbiegała truchtem ze wzgórza. Widziałam między nimi Ralfa obserwującego, jak młynarz Green wyjmuje sierpy z wozu.

- Dzień dobry, panno Julio - powiedział grzecznie, a ja odpowiedziałam „dzień dobry” jemu oraz wszystkim ludziom wokół, którzy uśmiechali się i pozdrawiali mnie.

- Panno Julio! - zawołał jakiś głos przy głowie mojego konia i spojrzałam w dół. Było to jedno z dzieci furmana, chuda, niebieskooka zaniedbana

ośmiolatka.

- Nie dostaniesz ciastek, póki nie zbierzesz swojej porcji kłosów -
powiedziałam z żartobliwą surowością.

Zachichotała, pokazując szczelinę pomiędzy zębami i wepchnęła brudną
piąstkę do ust, żeby powstrzymać uśmiech.

- Nii - powiedziała - ale czy nie mogłabym dostać kawałka wstążki z
twojej sukni, panienko Julio?

Podążyłam za jej wzrokiem. Czasy świetności szarej sukienki dawno już
minęły; po żniwach, kiedy spacerowały po ściernisku podążając do końca,
będę musiała zamówić inną. Ta, kiedy była nowa i elegancka, miała
obszycie z atłasowej wstążki i małe kokardki na mankietach i wokół
brzegów sukni. Pomimo starań mamy i dokonywanych przeze mnie od
czasu do czasu reperacji, wiele kokardek zniknęło. Teraz jedna z nich, po
prawej stronie, smętnie wisiała na nitce.

- Oczywiście - odparłam przyjaźnie. Pomyślałam sobie, że mała niewiele
widziała ładnych rzeczy w czasie swojego dzieciństwa w Acre.

Szarpnęłam kokardkę, aż nitka puściła i wręczyłam jej. Biała twarzączka
rozjaśniła się, dziewczynka złożyła lekki ukłon

- nieudolne naśladownictwo głębokiego starannego ukłonu swojej mamy -
i pomknęła z powrotem do grupy przyjaciół kryjących się pod osłoną
ogrodzenia przed wiatrem.

- Ty nadzorujesz to pole - wskazał Ralf. - Chcę pokazać kupcowi z
Chichester stogi siana. Czy poradzisz sobie sama?

- Tak - powiedziałam. Spojrzałam na mężczyzn ostrzających swoje sierpy i
kobiety podwijające rękawy. - Nie wyglądają na niechętnych do roboty!

- Nie mogą się już doczekać - przyznał Ralf z satysfakcją.

- Twoje zadanie polega jedynie na tym, by stać tutaj na wypadek

488

jakichś problemów. Ze wszystkim, czego sama nie rozwiążesz, przychodź do mnie. Będę na łąkach przy drodze.

Skinęłam głową i wjechałam na środek pola.

Wiedzieli dużo lepiej ode mnie, co mają robić.

Wyglądało na to, że moja funkcja była wyłącznie ceremonialna. Ustawili się w linii, w starannie odmierzonych odstępach, jak wyćwiczeni gwardziści. Najbliższy żniwiarz spojrział w górę na mnie i poprosił:

- Życz nam dobrych żniw, panno Julio, i dodaj trochę magii Wideacre do pszenicy.

Obdarzyłam go ponurym uśmiechem. Nie podobała mi się rola bogini urodzaju czy Królowej Maja albo miejscowego bóstwa żniw, ale wydawało się, że nie ma od tego ucieczki.

- Dobrych żniw! - zawołałam wystarczająco głośno, żeby każdy w polu mógł usłyszeć, i nagle zrozumiałam, że nie ma znaczenia, co ja o tym myślę; ważne było, że wszyscy czekali na te dwa słowa niosące im wiarę i nadzieję.

Jak na magiczny sygnał wzięli w ręce sierpy i weszli w wysoką pszenicę.

Ostrza sierpów zataczały wielkie świetliste łuki i ze świstem uderzały w stojące zboże, które padało pod ciosami jak regiment żołnierzyków

Richarda na niestabilnym stole. Białe morze pierzastej żółci opadało,

tworząc wyspy, gdzie ścięte łodygi układano w stosy. Rząd żniwiarzy

długą linią wdzierał się w zboże, pchał je przed sobą, pochłaniał je

bezpowrotnie, aż żeńcy doszli na kraniec pola i oczyścili sierpy z zielonej krwi Wideacre.

Na chwilę zatrzymali się, żeby zawrócić, rozprostować plecy, pośmiać się trochę z siebie i ciężaru sierpów, odpocząć po wysiłku. Pracowali równo i sprawnie, na pewno szybciej niż przed laty, kiedy bladożółte kopy oznaczały zysk dla Laceyów, ale bardzo nędzną wypłatę dla robotników. Teraz wiedzieli, że będą mieli udział w plonach; ścięli zboże do samego końca pola, aż do korzeni głogów.

Za żeńcami szły kobiety i pozostali mężczyźni - zbierali pełne naręcza i wiązali je w snopy. Dla wielu z nich była to nowa praca. Acre nie dotykało pszenicy od czasu, kiedy piętnaście lat temu spłonęły stodoły, zaledwie kilku zdobyło te umiejętności na sąsiednich farmach. Wiele kopek postawiono niezdarnie, przechylały się w lewo lub w prawo, niektóre snopy związane za luźno. Pomyślałam, że nikt nie poczułby się urażony, gdybym powiedziała,

489

że powinny być porządnie związane. Rzeczywiście, Sally Miles uśmiechnęła się do mnie smutno. Jej kopki przypominały strzechę na spadzistym dachu.

Śniadanie wyglądało niemal jak przyjęcie, ze zniwiarzami rozciągniętymi na świeżym ściernisku, kobietami podającymi jedzenie rękami pachnącymi zbożem. Otoczyły mnie dzieci, a ja błogosławiłam panią Gough za małą paczuszkę cukrowanych migdałów, którą znalazłam na dnie torby przy siodle.

Mężczyźni skończyli jeść i wyciągnięci na plecach patrzyli w niebo, drzemiąc i marząc, a kobiety zebrały się w grupki, żeby podziwiać niemowlęta lub pleść warkocze i małe koszyczki ze słomy.

Stara pani Miles była w centrum jednej z tych grup i pokazywała młodym

kobietom, jak się robi laleczki ze słomy.

- Wolałabym, żebyś pokazała swojej wnuczce, jak się wiąże snopki - powiedziałam i zostałam nagrodzona śmiechem ze strony Sally.

Kiedy pole było skończone, ruszyliśmy wszyscy na Łąkę Trzech Bram, którą Beatrice kiedyś obsiała zbożem i która teraz znowu porosła złotem. Takie właśnie były żniwa w Wideacre.

Codziennie zrywałam się wcześnie. Codziennie wracałam do domu późno. Codziennie żęliśmy jasną lśniącą pszenicę, pole po polu, aż nie widziałam niczego innego w swoich snach oprócz złotozielonych przestrzeni. Nawet gdy zamykałam oczy, miałam w pamięci wciąż ten kolor; wydawało mi się, że zapomniałam, co to ciemność. Każdego dnia zwlekałam się z łóżka, ubierałam się, wychodziłam w chłodny poranek i znajdowałam ludzi z Acre już gotowych do pracy.

Tak więc mieliśmy dobre żniwa, urodzajne i krótkie. Zanim pomyślałam, że to możliwe, już byliśmy na polach, które graniczyły ze wzgórzami, i zbieraliśmy zboże na ostatnim, naprawdę ostatnim polu Wideacre.

Mogłam być dumna z plonów, które zadowoliłyby nawet samą Beatrice.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Szósty.

Ostatnie pole ścinałliśmy w pośpiechu. Chmury zbierały się na jedną z tych szybkich sierpniowych burz, które czasami są tak rozgrzane, że nie niosą deszczu, a tylko trzaski błyskawic przelatujących nad ziemią i ostrzegawczy warkot gromu.

Ale nawet jeżeli to jedno pole zostałoby przemoczone i tak mieliśmy żniwa godne pozazdroszczenia. Pola dobrze odpoczęły przez chude lata, kiedy wszystko w Wideacre szło źle, a do tego w całej Anglii nie było teraz lepszej siły roboczej.

- Macie powody do dumy - powiedział wuj John do Ralfa i do mnie ostatniego ranka, kiedy wyładowano sierpy z wozu i żniwiarze ustawiali się w szereg. - Nikt w kraju w tym sezonie nie zebrał zboża szybciej od Wideacre. I to z niedoświadczonymi żniwiarzami! Znowu mówi się o Wideacre jak za dawnych czasów, jako o miejscu, gdzie działa magia. Ralf potaknął, nie starając się ukryć satysfakcji.

- To dowodzi, że warto pracować w nasz sposób, nowy sposób - kontynuował wuj John. - Jest to szczególnie ważne tego lata. Zwłaszcza biorąc pod uwagę wieści z Francji.

- Złe? - zagadnął Ralf unosząc jedną brew.

- Zamierzają wytoczyć proces królowi - powiedział krótko John. - Przypuszczam, że uznają go winnym i stracą. Nadchodzi czarny dzień dla wolności, a kiedy się to stanie, skończy się francuski eksperyment z wolnością.

Ralf ostrożnie przejechał dłonią po ostrzu sierpa.

- Nie skończy się - rzekł z pewnością siebie. - Oni muszą pozbyć się obszarników. Nie zapewnią sobie przyszłości, jeśli nie pozbędą się ich wraz z otoczką pasożytów, którzy nigdy nie odejdą

491

z własnej woli. To posiadacze sprowadzili do Francji oddziały wysłane przez obce monarchie i finansowane przez innych pasożytów. Jest tak, jak zawsze uważałem: można zrobić kilka małych poprawek z błogosławieństwem panów dziedziców, ale jeżeli chce się dokonać trwałych zmian, konieczne jest zlikwidowanie wielkich posiadaczy.

- Ale nie w ten sposób! - przerwał John, wskazując na sierp. - Nie, panie Megson, posuwa się pan za daleko. Jeżeli nie można tego zrobić

perswazją, mocą argumentów, to nie należy się do tego zabierać. Nie osiąga się uczciwych celów przemocą.

Ralf uśmiechnął się swoim mrocznym leniwym uśmiechem.

- Zanim zasiejesz, musisz zaorać - powiedział. - Myślę, że Francuzi właśnie przygotowują grunt. Tutaj w Wideacre jeszcze nie jesteśmy gotowi, nie za mojego życia, a może i panny Julii, ale ludzie z Acre nauczyli się, że mogą planować i pracować bez dziedzica. I pewnego dnia, może po wielu latach, nauczymy się w tym państwie, że nie ma nic ważniejszego od dobra najbiedniejszych, ludzi najniższego stanu.

- Jestem radykałem, nie rewolucjonistą - zaprotestował John. Ralf potaknął.

- Jest pan tym, kim może być - powiedział, jakby pocieszał wujka. - Żaden właściciel ziemski nie może być w głębi serca rewolucjonistą. Mogą nim powodować różne racje. Pan jest najbardziej honorowym dziedzicem, jakiego kiedykolwiek znałem, jeżeli to w ogóle coś dla pana znaczy... - przerwał z uśmiechem

- ...a ja jestem najgorszym rządcą!

- Osiągnąłeś znakomite plony - powiedziałam pokojowo.

- Aha - przyznał Ralf, a potem zwrócił się do Johna:

- Przyjedzie pan zobaczyć zebrane zboże? - zapytał. - I czy pan i lady Lacey przyjdziecie do młyna dziś wieczorem na zabawę dożynkową?

- Przyjędziemy obejrzeć zbiory, ale nie przyjędziemy do młyna - powiedział wuj John. Wskoczył na konia, pochylił się do przodu i odgarnął grzywę Księcia na jedną stronę, unikając spojrzenia Ralfa. - Lady Lacey nie chce jechać do młyna

- wytłumaczył z trudnością. - Pan o tym nie wie, panie Megson. Rozruchy

w Wideacre tak naprawdę zaczęły się od przyjęcia dożynkowego. Oboje mamy złe wspomnienia...

Przerwał zmieszany i popatrzył na Ralfa. Ten skinął głową.

492

- Oczywiście - rzekł bez wahania. - Zatem niech przyjedzie młodsza generacja. Przyszłość należy do nich. Panna Julia może was reprezentować, a niewielu ludzi tutaj pamięta te dawniejsze dożynki.

- Pan Richard również - powiedział John. Podskoczyłam na jego imię, a John uśmiechnął się do mnie. - Nie miałem okazji porozumieć się z tobą, Julio, ale dostałem list od Richarda. Przyjeżdża dzisiejszym dyliżansem. Z pewnością zdąży na dożynkową kolację.

Czułam, jak twarz mi spurpurowiała, i uśmiechnęłam się, ale serce mi zamarło. Kiedy Richard wróci do domu, nie będę już mogła dłużej zwlekać z poinformowaniem o wszystkim wujka i mamy.

Myśl o spotkaniu z Richardem również nie napawała mnie poczuciem bezpieczeństwa. Obawiałam się, że dzisiejszy dzień był moim ostatnim dniem wolności, ostatnim dniem, kiedy wolno mi było pracować w majątku z ludźmi, których znałam i kochałam. Mój mąż i pan był coraz bliżej mojego domu, który nazwie swoim domem, a ziemia, którą uprawiałam, będzie dostarczała mu plonów. Wzdrygnęłam się mimo nadciągającego upału.

- No to do roboty - rzucił Ralf i gwizdnął na drużynę żniwiarzy, którzy ustawili się w szereg, i zbieraczy. - Pilnuj tutaj, panno Julio. Ja podjadę do młyna, aby zobaczyć, czy wszystko gotowe, i sprawdzę, ile miejsca jest w stodołach.

Wuj John skinął nam kapeluszem, zawołał: „Dobrych żniw!” w kierunku

pola i pocwałował do domu. Obrzuciłam uważnym spojrzeniem burzowe niebo, a potem zerknęłam na pole, ostatnie pole tych żniw, na szczycie wzgórza.

Powinnam być dumna, powinnam być szczęśliwa, ale dziecko rośnie mi w brzuchu, zapędzając mnie coraz bardziej w matnię bez wyjścia.

Wiedziałam, że kiedy żniwa się skończą, Richard będzie w domu i postara się ostatecznie zatrzaskać pułapkę.

Na całym polu porozrzucane były małe wysepki snopów, już nie pokrzywionych. Nawet Sally Miles nauczyła się wiązać je i stawiać porządnie. Do przerwy obiadowej został ostatni pas nie ściętego zboża.

Usiadłam na ściernisku razem z nimi i dałam dzieciom cukrowane migdały. Pani Gough jak zwykle zapakowała mi pyszne rzeczy, ale chociaż minęły mi nudności, ciągle jeszcze niechętnie

493

patrzyłam na jedzenie. Bałam się, że nudności wrócą i zdradzą mój stan. Oddałam smakowity mięsny pasztecik i rozdzieliłam ciastka. Wypiłam chciwie lemoniadę z butelki, ale nie zrobiło mi się chłodniej.

Po posiłku położyliśmy się na trawie i patrzyliśmy na resztę nie zżętego pola. Nie było z tym pośpiechu, ponieważ pogoda powinna się utrzymać, ale byłam niespokojna. Z jakiegoś powodu nie miałam ochoty zwoływać ich z powrotem do pracy; może nie chciałam, żeby skończyły się te żniwa, a wraz z nimi moje panieństwo.

Ale i bez moich poleceń dwóch czy trzech mężczyzn wyszło na pole i zaczęło stawiać snopki.

- Pałają się do roboty - szepnęłam do Sally Miles, która siedziała nieopodal.
- Nii - powiedziała, śmiesznie przeciągając słowa - chodzi o zabawę. To

jest gra, stara gra żniwiarzy. Oni robią lalkę ze słomy, stawiają ją na wierzchu ostatniej sterty i rzucają sierpami. Ten, którego sierp trafi w lalkę, wygrywa i jest królem dożynek.

Skinęłam głową i spróbowałam się uśmiechać. Oczy miałam na wpół przymknięte przed blaskiem białego nieba.

- Lalkę robi się na podobieństwo ulubienicy lub ulubieńca dożynek - wyjaśniła Sally. - Może to będzie pani, panienko Julio. Moja babka ją wiąże. Przypomniała sobie, jak to się robi, a inni teraz się od niej uczą. Rozejrzałam się dookoła. Stara pani Miles robiła ostatni węzeł na małej słomianej lalce. Kątem oka dostrzegłam szarą wstążkę z mojego stroju do konnej jazdy i konspiracyjnie kiwnęłam głową. Potem wstałam i jeden z podrostków pomógł mi wsiąść na konia. Usłyszałam odgłos kopyt dobiegający od drogi i wołałam spotkać się z Richardem z dala od wścibskich oczu żniwiarzy.

Odjechałam kawałek i patrzyłam, jak zbliżał się, błyszcząc w słońcu gęstwiną kręconych włosów. Kiedy mnie dostrzegł, twarz rozjaśniła mu się w płomiennym uśmiechu.

- Julio - zawołał ze szczerym zadowoleniem. Podprowadził konia tak blisko, że mógł mnie dotknąć, ujął mnie od niechcienia pod brodę i pocałował w usta.

Pozwoliłam na to, ale nie oddałam pocałunku.

- Martwiłam się - powiedziałam nagle. Poklepał mnie po ramieniu z roztargnieniem.

494

- Nie teraz - szepnął. - Twoja mama i mój papa jadą za mną kariolką. Chcą zobaczyć, jak zacznie się zwózka. Pan Megson jedzie za nimi z wozami.

Zmusiłam się do powitalnego uśmiechu, gdy mama i wuj John wjechali na wzniesienie. Mama wychylała się z jednej strony kariolki, a powozik podskakiwał na wąskiej ścieżce. Jej parasolka tańczyła w takt jego kołysania.

- Wszystko zebrane? - dopytywała się z wielką radością, gdy tylko znaleźli się w zasięgu słuchu. - Skończyliście już, dziewczeczko Julio?

- Wszystko skończone, czas na zabawę żniwiarzy - odpowiedziałam starając się, żeby mój głos był równie radosny.

Nigdy nie potrafiłam niczego ukryć przed mamą. Patrzyła na mnie i wiedziałam, że dostrzega moją bladość i głębokie cienie pod oczyma od napięcia i smutku tego lata, które wydawało się ciągnąć w nieskończoność.

- Źle się czujesz? - zapytała cicho, kiedy powozik dotarł do bramy, a ja ściągnęłam cugle Mgiełki, żeby do niej podjechać.

- Po prostu zmęczenie - odpowiedziałam. - Męczy mnie ten upał, a słoneczny blask razi w oczy.

- Będę szczęśliwa, jak znajdziesz się z powrotem w salonie. Teraz Richard jest w domu, może pomagać panu Megsonowi. Nie dopuszczę, żebyś nikła mi w oczach, maleńka. Zeszłego roku w Bath byłaś jak pączek w maśle; nie chcę stracić tych sukcesów towarzyskich podczas nadchodzącej zimy. Uśmiechnęłam się, ale dobrze wiedziałam, że nadchodzącej zimy żadnej z nas nie są pisane sukcesy. W zimie wypada termin rozwiązania i ona zamiast być moją przyzwoitką podczas londyńskiego debiutu, będzie oglądała swoją wnuczkę poczętą bez ślubu.

- Co oni robią? - zapytał John.

Obejrzałam się. Stojąc w pewnej odległości od sterty, zamierzali się starannie i ciskali sierpami. Na szczycie sterczała mała lalka ze słomy i

widziałam, jak moja wstążka powiewa między przelatującymi ze świstem ostrzami. Zamiast uśmiechnąć się z tego wyróżnienia, poczułam głęboki niepokój i zimne palce strachu zaciskające się na szyi, zadrżałam w gorącym popołudniowym słońcu. Podniecenie, które towarzyszyło mi przez wszystkie te miesiące, spowodowało teraz kryzys.

- Nie czekaj, jeżeli jest ci za gorąco, mamó - powiedziałam nagle.

495

Chciałam, żeby była daleko stąd, chociaż nie potrafiłam powiedzieć dlaczego. Chciałam, żeby była daleko od żniwiarzy zajętych dziwnym obrzędem. Chciałam, żeby była daleko od tego zakończenia żniw w Wideacre. Bałam się, że na widok dojrzałych płodów ziemi zbieranych pod moim kierunkiem domyśli się jakoś, że ja też jestem dojrzała i płodna, że wewnątrz mnie również rośnie nasienie.

- Przejdźmy się trochę do zagajnika czerwonych buków - poprosiłam. - Tam jest tak chłodno. Nie czekajmy tutaj. To jeszcze trochę potrwa.

- Tak, dobrze - powiedziała zgodnie i spojrzała na Johna. On nie patrzył na nią; patrzył na mężczyzn rzucających sierpami.

- Bardzo zręczni - powiedział do Richarda.

W nagłym przypiływie niecierpliwości chciałam ich wszystkich przegnać. Chciałam, żeby odeszli od pola, mojego pola, przed zakończeniem zawodów, zanim ktoś przyniesie lalkę, zanim ktoś mi ją poda. Chciałam, żeby kariolka z moją niewinną mamą znalazła się daleko od tego pola. Byłam zaniepokojona przecuciem, że coś się wydarzy, jakaś okropna nieodwracalna rzecz.

Usiłowałam znaleźć sposób, żeby skłonić Johna do odjazdu, ale on wpatrywał się w sierpy ciągle chybiające celu. Popatrzyłam prosząco na

Richarda, który zsiadł z konia i siedział beczynnie na szczycie bramki. Chociaż czuł na sobie mój wzrok, nie zrozumiał, nie wyczuł mojego wzburzenia. Ralf wjeżdżał na wzgórze; słyszałam, jak pogania konie ciągnące wozy. Ale był zbyt daleko, żeby mi pomóc.

Czułam, jak moje wzburzenie przeradza się w panikę, jakbym znalazła się w kryształowej trumnie zamkniętej szczelnym szklanym wiekiem. I nawet gdybym głośno wołała ratunku, nikt by mnie nie słyszał i nikt by nie wiedział, że potrzebuję pomocy. Krucha skorupa kłamstwa, która skrywała mnie przed mamą i wujkiem, miała wkrótce pęknąć, a ja wiedziałam, że w żaden sposób nigdy nie będę mogła skleić potrzaskanych kawałków.

Wiedziałam, że prawda dosięgnie mnie na tym jasno oświetlonym polu.

Nie potrafiłam nawet powiedzieć, w jaki sposób zacznie pękać, ale słyszałam, jak budowla mojego życia trzeszczy i zaczyna się rysować.

Rozległy się krzyki; sierp Jimmy'ego Darta dosięgnął lalki, a on wskoczył na stertę, żeby ściągnąć trofeum. Biegł do mnie z lalką wciąż nabitą na sierp i nie patrzył, co mi przynosi. Nikt na

496

polu nie widział, co to jest, więc zdjęłam ją z końca ostrza z zamysłem schowania jej. Moje palce były ostrożne, a Jimmy trzymał sierp tak, żebym się nie skaleczyła, i cały jaśniał z dumy. Patrzyłam na lalkę przez chwilę, nic nie rozumiejąc.

Potem spłonęłam ze wstydu rumieńcem tak intensywnym, że nawet pole i niebo wydawały mi się różowe. Ale gorąco raptownie spłynęło z mojej twarzy i zostawiło mnie skostniałą i bladą w obliczu prawdy, czystej, uczciwej prawdy, która miała ostatecznie roztrzaskać skorupę kłamstwa.

Lalka miała twarz zrobioną z kłosa, była przewiązana moją bladyszczą

kokardką na znak, że wyobraża mnie. Małe ramiona ze związanych słomek sterczały po bokach, nogi zrobiono z dwóch kłosów. Lalka miała ogromny brzuch, nabrzmiały tak, że nie można było się pomylić, zrobiony z powiązanych mocno kłosów. Była brzemienna płodnością Wideacre. Była ociążała i groteskowa. Miała przedstawiać brzemienną kobietę. Miała przedstawiać mnie.

Patrząc na mnie, John wykrzyknął moje imię i wyciągnął rękę w kategorycznym żądaniu. Prawie nie wiedząc, co robię, wręczyłam mu lalkę, wyciągając rękę przed mamą, która tkwiła nieruchomo jak kamień na siedzeniu kariolki, kiedy ta diabelska mała rzecz przesuwiała się przed pustym spojrzeniem jej brązowych oczu.

- Julio - wyszeptała. Zabrzmiało to, jakby nigdy nie wymawiała mojego imienia i wypróbowywała je jako nowe słowo. - Julio.

John upuścił lalkę na ziemię pomiędzy swoje stopy i przydepnął ją, stawiając but na wybrzuszonym środku figurki.

- Natychmiast wracajcie do domu - nakazał Richardowi i mnie. - Natychmiast.

Odwrócił się do nas plecami, mistrzowsko zawrócił kariolkę i pomknął, uwożąc mamę. Zdążyłam zerknąć na jej twarz, była tak śmiertelnie blada, że bałam się, iż może zemdleć i spaść z powoziku. Jej parasolka chwiała się, a ona sama, biała jak płótno, osunęła się na Johna. Nie mogła utrzymać się w rozchybotanej kariolce. Wyglądała jak zepsuta lalka; John pędził tak szybko, jakby wioził śmiertelnie chorą do domu, aby mogła umrzeć we własnym łóżku. i

Zebrałam cugle w lodowatą dłoń i przynagliłam Mgiełkę, żeby podążyć za nimi. Richard zsunął się z bramy jak lunatyk

i dźwignął się na siodło. Dogonił mnie i jechaliśmy ramię przy ramieniu w pozornej jedności.

Ralf zjechał wozem na bok drogi.

- Co się stało? - dopytywał się niecierpliwie. - Julio! Co się wydarzyło na tym polu?

- Oni wiedzą - powiedziałam. Z trudnością mogłam poruszać wargami, były tak zimne i odrętwiałe.

Ralf popatrzył na moją twarz bez wyrazu, na zmartwiałego ze strachu Richarda i spuścił oczy.

- Chcecie, żebym z wami pojechał? - zaproponował.

- Nie - powiedziałam. Minęłam go bez słowa; prawdę mówiąc, nie widziałam go.

Na polu stali żniwiarze, sierpy kołysały się w ich rękach. Pozostawieni bez poleceń, pozostawieni bez słowa. Jeszcze raz ziemia rozwarła się pod Laceyami, jeszcze raz wieś Acre i życie w Acre zdążyły na oślepu ku przepaści. Obejrzałam się na Jimmy'ego Darta, wciąż trzymającego uniesiony sierp, na którym podawał mi lalkę, zamarłego jak posąg, ze zdumionymi niebieskimi oczami, szeroką młodą twarzą, nic nie rozumiejącą i wystraszoną.

Nie winiłam go, chłopca z pochodnią z Bath, którego bezpiecznie dowiozłam do domu. Nie winiłam pani Miles, którą uratowałam od nędznej śmierci w przytułku. Jimmy Dart bawił się w starą grę i wygrał. Nie wiedział, co na mnie sprowadza. Naprawdę wierzyłam, że stara pani Miles zrobiła lalkę za pomocą palców i starej magii - w ogóle bez udziału myśli. Lubiła mnie, nie wyrządziłaby mi krzywdy. Prawda o mojej ciąży

wyszła w jej rękodziele. I wiedziałam - z dreszczy, które mnie ogarnęły, kiedy pierwszy raz zobaczyłam lalkę - że to nie po raz pierwszy stara magia objawiła się jak jakiś nieujarzmiony strumień na ziemiach Laceyów. Morska Mgiełka zrobiła unik przed świeżo opierzonym kosem trzepoczącym się na krzakach głogu i wyrównałam ją w instynktownym odruchu, ale poczułam, że mój ucisk na lejcach jest słaby, i bałam się, że je upuszczę.

Wiedziałam, że jadę do domu, by ostatecznie skończyć z moim panięństwem i utracić miłość mamy. Ale odczuwałam jakiś przerażający, prawie zabobonny strach, jakby miało nadejść coś jeszcze gorszego. Byłam roztrzęsiona i przerażona, a rosnący lęk jak para czarnych psów skradał się i osaczał mnie przez całą

498

drogę do domu. Kiedy szłam ścieżką przez ogród, wydawało mi się, że one leżą z uniesionymi głowami na trawniku jak dwa czarne lwy.

John czekał na nas w salonie, stał przy kominku. Mama siedziała jak zwykle w swoim fotelu. Niezwykła była robótka w jej rękach, jakiś haft angielski; trzymała swoje maleńkie srebrne nożyczki, którymi miała wycinać wzór. Przez chwilę wszystko wydawało się takie samo jak zawsze. To był wciąż mój bezpieczny dom.

Wtedy dostrzegłam z przerażeniem, że mama nie podąża za zawitym wzorem, którego skopiowanie zajęło jej całe dni. Wycinała bezmyślnie, tnąc na strzępy kosztowny batyst, wycinała gdzie popadnie małe owalne dziurki w poniszczonym materiale. John nawet tego nie zauważył.

Richard i ja weszliśmy do pokoju. Cisza i to oszalałe: ciach, ciach, ciach, odgłos cięcia doprowadzał nas do szaleństwa. Richard zamarł, a ja

zrobiłam mały krok ku stolikowi i wczepiłam się w oparcie fotela, żeby utrzymać się na nogach. Poczułam, jak mi drżą; nie ustałabym bez podparcia. Chciałam podbiec do mamy, rzucić się jej do kolan, ale to obojętne: ciach, ciach, ciach nożyczek odgradzało mnie od niej.

Ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym we wspaniałym irlandzkim płótnie wbijała małe srebrne ostrza w materiał ze zwykłą metodyczną starannością, tylko że wszystkie dziurki były złe, a cała robótka zniszczona.

Spojrzałam na wuja Johna. Jedynym dźwiękiem w pokoju był cichy odgłos cięcia nożyczkami i nieznośne, szarpiące nerwy nawoływanie turkawki za oknem.

- Czy jesteś w ciąży, Julio? - zapytał John. Głos miał ostry jak nożyczki mamy, wyprany z emocji, ale jego twarz była wzburzona, a usta drżały.

- Nie wiem - powiedziałam słabym głosem.

- Odczuwasz nudności? Ustały miesiączki? Czy piersi stały się wrażliwe?

- John wywrzaskiwał pytania, jakby zwracał się do pomocy kuchennej przed wyrzuceniem jej z pracy. Kiwałam głową jak zepsuta lalka.

- Mamo! - krzyknęłam cicho, wzywając jej pomocy.

Jej głowa pozostała jednak opuszczona nad robótką, powiększała właśnie dziury, które wycięła byle jak, i wyrównywała ich postrzępione brzegi.

499

- Przepraszam - powiedział John ze wściekłą grzecznością i ruszył przez pokój w moim kierunku. Odskokczyłam i cofałam się, aż znalazłam się przy ścianie. Z przerażenia głośno wciągnęłam powietrze, kiedy położył dłoń nisko na moim brzuchu i nacisnął mocno.

- Mamo! - krzyknęłam raz jeszcze.

Nawet nie odwróciła głowy, żeby zobaczyć, co on mi robi. Wrócił do kominka, tak jakby mnie wcale nie słyszał. Wyciągnął z kieszeni delikatną jedwabną chusteczkę i pod moim porażonym spojrzeniem otarł sobie dłonie, jakby dotknięcie mojej sukni mogło go splamić.

- Wnoszę, że to ty jesteś ojcem, Richardzie? - rzekł John. Jego głos był monotony, bez śladu zainteresowania.

- Tak, sir - odpowiedział Richard. Coś w jego głosie sprawiło, że odwróciłam się do niego. Nie był oszołomiony okropnością tego wszystkiego, jak reszta z nas. Oczy płonęły mu błękitem. Wyglądał na całkiem zadowolonego. Nie miałam pojęcia, co mu chodzi po głowie. Mama pracowicie pochylała się nad robótką, ja stałam tam, gdzie zostawił mnie wuj, oparta o ścianę. Tylko Richard stał butnie w rozkroku w drzwiach, z uśmiechem na twarzy.

- Mój Boże - wyszeptał John. Z jego gardła wydobył się odgłos, jakby miał wymiotować.

- Już wzięliśmy ślub - powiedział wyzywająco Richard. - To dziecko, spadkobierca Wideacre, urodzi się z prawego łoża. Wzięliśmy ślub w tajemnicy, prawie miesiąc temu, i nie możecie tego zmienić. Razem odziedziczymy Wideacre, dokładnie tak jak planowała moja mama! Głowa Johna podskoczyła, jego blade oczy zapłonęły tak jasno, że stały się niemal białe.

- Ona była nie tylko twoją mamą - powiedział, sycząc przez zęby. - Mój Boże, jaka z was para głupców! Nie wiecie, co naprawdę zrobiliście - ciągnął, ponownie przybierając ten precyzyjny monotony ton, który mówił, że ma w zanadrzu jakąś okropność. - Nie wiecie, co naprawdę zrobiliście. Ona była nie tylko twoją mamą! Urodziła was obydwoje.

Uwiodłeś i poślubiłeś własną siostrę, Richardzie!

Nikt nie powiedział ani słowa. Tak jakbyśmy byli żywym obrazem w teatrze okropności. Potem ja wydałam cichy szlochający krzyk i opadłam na jedno z krzeseł przy stole. Uśmiech zniknął z twarzy Richarda.

500

- Kłamiesz - powiedział niepewnie.

- Nie - odparł John. - Beatrice poczęła Julię ze swoim kochankiem i ubłagała Celię, żeby wzięła dziecko, kiedy ona i jej mąż byli we Francji w podróży poślubnej. Harry Lacey nigdy nie dowiedział się, że to nie było jego dziecko. Julia urodziła się we Francji, kiedy on był nieobecny, bo musiał wrócić do domu wcześniej. Beatrice zaszła w ciążę drugi raz i wtedy wyszła za mąż - za mnie. Odkryłem prawdę po twoich narodzinach, Richardzie, odrażającą prawdę, że wy obydwójce jesteście bękartami Laceyów z tej samej dziwki.

Nożyczki mamy robiły dalej: ciach, ciach, ciach w ciszy. Ani razu nie podniosła oczu. Porzuciła wycinanie poszarpanych dziur i przycinała krawędź płótna w delikatne frędzle.

- Kto jest moim ojcem? - zapytał całkowicie otumaniony Richard.

Nie mogłam oderwać oczu od twarzy mamy. Ona nie była moją mamą.

Nie, ona była moją mamą.

- Kim był mój ojciec? - zapytał ponownie Richard. John opadł na fotel przy kominku; wyglądał na zbyt zmęczonego, żeby ciągnąć to dłużej.

- Harry Lacey - powiedział obojętnie. - Beatrice sypiała z własnym bratem Harrym i w rezultacie miała was obydwójce. Jesteście bękartami z kazirodczego związku, a teraz poczęliście następnego bękarta.

Mama uniosła głowę.

- Dziecko Harry'ego? - dopytywała się. - Julia jest dzieckiem Harry'ego?
Kochankiem Beatrice był mój Harry?

- Nie wiedziałaś? - John był zaskoczony pytaniem kobiety, którą kochał. -
Czy w głębi serca nie domyślałaś się tego? Bałaś się tej prawdy i ukryłaś
ją sama przed sobą, a ja pomagałem ci w tym kłamstwie.

Mama znowu opuściła głowę nad robótką.

- Tak - wyszeptała. - Czułam, że pomiędzy nimi jest coś fatalnego, złego.
Nie próbowałam dociekać co.

Upuściła skrawek batystu, ale w roztargnieniu wzięła w rękę wzorzysty
jedwab sukni i zaczęła w nim wycinać doskonale symetryczne małe
dziurki.

Ciach, ciach, ciach robiły nożyczki, a nikt nie pomyślał, żeby ją
powstrzymać.

Richard wpatrywał się w jeden punkt.

501

- Więc jestem synem Harry'ego Lacey'a - wycedził wolno.

- Jestem synem dziedzica.

Nikt się nie odezwał. Oczy Johna zwrócone były na pusty kominek, jakby
obserwował płomienie i rozżarzone główne, których tam nie było. Mama
trzymała głowę opuszczoną nad suknią z kremowego jedwabiu w małe
żółte kwiaty. Wycinała kwiaty z materiału z pilną dokładnością. Ścinki
opadały wokół jej stóp, zupełnie jakby siedziała pod czereśnią gubiącą
płatki kwiatów.

- Jestem spadkobiercą - rzekł nagle mocnym głosem Richard. - Jestem
synem Laceyów, Wideacre jest moim dziedzictwem.

- Wideacre! - krzyknął John. Wskoczył z fotela, kipiąc gniewem. Dwoma

susami przebył pokój i chwycił Richarda za klapy marynarki. - Będiesz miał dziecko z własną siostrą i jedyne o czym myślisz, to Wideacre? Płonące blade oczy wpatrywały się badawczo w przestraszoną twarz Richarda; a potem odepchnął go z obrzydzeniem.

- Jesteście prawdziwymi Laceyami - powiedział gorzko John. Popatrzył na nas ze wstrętem. - Obydwoje - dodał. Usta miał wykrzywione, jakby przypadkowo ugryzł coś obrzydliwego.

- Obydwoje odziedziczyliście to samo. Wszystko, na czym wam zależy, to ten przeklęty majątek i folgowanie swoim żądom. Obydwoje jesteście prawdziwymi dziećmi Beatrice.

Milczeliśmy. Nie ośmieliłam się oderwać spojrzenia od błyszczącej powierzchni stołu. Widziałam w niej swoje odbicie. Byłam biała jak zjawą, a moje oczy w tym mrocznym lustrze były ogromne i przerażone. John oparł się ramieniem o gzyms kominka.

- Trzeba to będzie anulować - powiedział beznamiętnym tonem. Gniew opuścił jego głos, był teraz stary i zmęczony. - To będzie ostatnia rzecz, jaką robię dla was obojga. Pojadę do Londynu i uzyskam unieważnienie ślubu na podstawie tego, że jesteście bratem i siostrą, a majątek wystawię na sprzedaż. Wideacre zostanie sprzedane, a wy dwoje rozdzieleni.

Nie protestowałam. Naprawdę się z tym zgadzałam.

Koszmar Laceyów na Wideacre powinien się skończyć, bez względu na to, ile mnie to będzie kosztowało, ile to będzie kosztowało Richarda. Ów ranek w letnim domku był nawet gorszy od gwałtu. To była również perwersja. Chciałam, żeby linia Laceyów wygasła na mnie i Richardzie. Pragnęłam kary, wygnania. Chciałam

odczuć ból rozstania z Wideacre i utraty nazwiska, ból utraty domu i ojca mojego dziecka, tak abym nigdy nie zapomniała, że nie ma przyszłości dla Laceyów, że nie mogą mieć nadziei i żadnych planów. Potrzebowałam oczyszczenia.

- Tak - wyszeptałam po chwili.

Moja mama przemówiła. Suknia jej była usiana okrągłymi dziurkami.

- Tak - powiedziała.

Niebieskie oczy Richarda wędrowały od jednej twarzy do drugiej.

Zobaczyłam, jak przepływa przez nie cień wahania, a potem on także skinął głową.

- Tak - powtórzył za nami.

- Wyruszam natychmiast - rzekł John. - Celio, musisz pojechać ze mną jako opiekunka Julii.

Mama potaknęła.

- Julio, ty pojedziesz do Havering Hall i zostaniesz u babki - nakazał John.

- Nie będziecie się widywać, dopóki nie wrócimy. Czy to jasne?

Przytaknęliśmy w milczeniu.

- Richardzie, ty zostaniesz tutaj aż do naszego powrotu. Nie powinno to nam zająć więcej niż dwa dni.

John wyszedł, a mama podążyła za nim.

- Mamo! - zawołałam żałośnie. Zatrzymała się i popatrzyła na mnie. Jej oczy były zimne. Nigdy jej takiej nie widziałam. Przewiercała mnie wzrokiem pełnym pogardy, jakbym nie była dzieckiem, które wychowała. Zawahałam się. Nie było dla mnie przebaczenia. Widziałam, jak jej jasne spojrzenie spływa w dół z mojej twarzy na brzuch, gdzie rosło moje dziecko.

- Powinnaś zmienić suknię, mamó - powiedziałam łagodnie. Spojrzała w dół i zauważyła dziury.

- Tak - przyznała i wyszła z pokoju.

Nie dotknęła mnie. Nie pożegnała się. Odeszła, zanim mogłam powiedzieć jej „do widzenia” lub prosić o przebaczenie albo o jej miłość. Nie powiedziałam jej, jak bardzo ją kocham.

Richard przywiózł mi te wiadomości do Havering Hall wieczorem.

Przyjechał konno i kiedy tylko go zobaczyłam, wiedziałam, że skoro złamał zakaz widywania się ze mną, musiało się stać coś złego.

503

John nie żył, więc Richard mógł robić, co chciał. Moja mama również nie żyła.

Richard przywiózł list od sędziego pokoju w Haslemere. Błonia blisko tego miasteczka nękanie były przez rozbójników. Wyglądało na to, że zbójca dogonił jadący powóz i rozkazał Jemowi się zatrzymać. A wtedy zastrzelił ich wszystkich.

Jema, wuja Johna i moją mamę.

Jacyś podróżni dostrzegli przy drodze powóz, a dalej pasące się konie. Na koźle siedział martwy Jem, John leżał na podłodze powozu i wydawało się, że usiłował zasłonić mamę własnym ciałem.

Pieniądze ze skrzynki pod siedzeniem zniknęły. Przepadły też kolczyki mamy i jej piękny indyjski naszyjnik z różowych pereł, klejnoty, które nosiła codziennie, odkąd dostała je od Johna.

Sędzia Pearson wyrażał ubolewanie i pisał, że rozesłał listy gończe za zabójcą. Jeżeli zechcemy wyznaczyć nagrodę, prosi o skontaktowanie się z nim. Zajmie się osobiście formalnościami związanymi z odesłaniem ciała

do domu. List kończył się kondolencjami.

- Co mamy robić, sir? - zapytał Richard lorda Haveringa. Niebieskie oczy miał szeroko rozwarte. - Co mamy robić, Julia i ja?

- Zostaniecie tutaj oczywiście - przerwała moja babka. - Zostaniecie tutaj ze mną, aż uporządkujemy wszystkie sprawy. Ja zaopiekuję się Julią; jest moją wnuczką. I zawsze będzie tutaj dom także dla ciebie, Richardzie.

Nie odezwałam się. Nie mogłam o niczym myśleć. W odległych rejonach umysłu odczuwałam wielki, żywy ból i tęsknotę za mamą. To odczucie narastało, kiedy tak siedząc w milczeniu czułam, jak bardzo potrzebuję jej pomocy. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak sobie bez niej poradzę. Nie miałam pojęcia, gdzie będę żyła ani co się stanie ze mną i z moim nie narodzonym dzieckiem.

- Lady Havering - powiedział stanowczo Richard - muszę przekazać tobie, pani, i jego lordowskiej mości wiadomość, która będzie niespodzianką dla was obojga.

Nie wiedziałam, co Richard zamierzał. Prawie nie rozumiałam jego słów. Wszystko, co słyszałam, to cichy krzyk bólu, cieniutki jak przędza, gdzieś w zakamarkach mojego umysłu, który powtarzał „mamo”.

504

Siedziałam w milczeniu, bierna, kiedy Richard podszedł i podniósł mnie z krzesła. Jedną ręką podtrzymywał mnie, a w drugiej ścisnął list powiadamiający o zamordowaniu naszych bliskich. Wepchnął moją lodowatą rękę pod swoje ramię i razem stanęliśmy przed moimi dziadkami.

- Julia i ja właśnie wzięliśmy ślub - oznajmił. - Możemy żyć razem.

- Dobry Boże! - rzekł przerażony lord Havering. Spojrzał na swoją żonę,

jakby szukał u niej wyjaśnienia, a potem ponownie na nas.

Richard wyglądał pewnie, jakby był przygotowany na tę scenę. Byłam zaledwie cieniem przy jego boku, pozbawionym mowy, pozbawionym myśli. Wołałam w myślach mamę, wołałam ją bezgłośnie.

- Dobry Boże - powtórzył lord Havering.

- Czy twój ojciec wiedział o tym, Richardzie? - dopytywała się lady Havering.

- Tak - odparł pewnie Richard. - Lady Havering, nie ma potrzeby ukrywać prawdy. Mój papa dał pozwolenie i mama Julii wyraziła zgodę, ponieważ Julia będzie miała dziecko. Ja jestem ojcem.

- Dobry Boże - powtórzył lord Havering jeszcze raz i padł na fotel jak kamień.

Twarz lady Havering była blada jak pergamin, ale ona nie zważała teraz na konwenanse, dręczyła ją myśl o córce, którą właśnie straciła.

- Och, moja biedna Celia! - wykrzyknęła. - To był dla niej ostatni gwóźdź. To na pewno złamało jej serce.

Spuściłam głowę. Czułam się tak, jakbym to ja zabiła mamę. Opuściła dom, nie mówiąc ani słowa o miłości, którą się darzyłyśmy, i pojechała na spotkanie śmierci. Byłam gotowa uwierzyć, że zabójca, strzelając do niej, dokończył dzieła krzywdy, które ja zaczęłam, raniąc ją moją hańbą. Byłam tak zawstydzona, że nie mogłam mówić.

- Myślę, że to zmienia postać rzeczy - powiedział Richard z ostrożną grzecznością.

- Tak, zmienia - przyznał lord Havering. - Zmienia, na Boga, zmienia!

Lady Havering uczyniła nieznaczny gest i jego lordowska mość zamilkł.

- Przypominam ci - ponuro rzekła babcia - że cokolwiek by się stało, Julia jest moją wnuczką i robię to ze względu na Celię. Zgadzam się z tobą, ogłosimy wiadomość o waszym ślubie w gazetach. Nikt nie będzie oczekiwał żadnego przyjęcia w związku z pogrzebem waszych rodziców. Możemy dać do zrozumienia, że jesteście małżeństwem już od jakiegoś czasu - zawahała się. Nie spojrzałam nawet na nią. - Kiedy dziecko ma się urodzić?

- zapytała.

- Pod koniec stycznia - odpowiedział Richard.

- Zatem powiemy, że pobraliście się w tajemnicy wiosną.

- Głos miała tak twardy i wyprany z emocji jak generał planujący kampanię. - Wobec takich okoliczności nie ma powodu, żebyście nie mieli razem powrócić do domu.

- Nie! - wykrzyknęłam nagle. - Nie chcę wracać do domu!

Oczy Richarda spotkały się z moimi. W ich twardym błękanie niewątpliwie czaiła się groźba.

- Dlaczego nie? - zapytała ostro babka.

Zawahałam się. Oczy Richarda pilnowały mnie, ale ufałam miłości babki.

- Nie wiem - wyszeptałam w odpowiedzi. - Po prostu nie chcę, babciu.

Proszę, pozwól mi zostać u ciebie, nie chcę jechać do domu.

Zawahała się. Wiedziałam, że jej uczucie przeważa nad szokiem i rozczarowaniem. Myślałam, że zatrzyma mnie u siebie, aż poczuję się wystarczająco silna, żeby wrócić do domu, stawić czoło Richardowi i zdecydować, co zrobić z naszym zrujnowanym życiem. Poczułam, że odzyskuję bezpieczny grunt pod nogami. Wiedziałam, że babka dostrzegła błaganie w moich oczach i że mam sojusznika, który jest silny.

- Możesz zostać, jeżeli sobie życzysz - powiedziała wolno. Potem jednak popatrzyła gdzieś dalej. Spojrzała na Richarda.

- Ale jesteś teraz zamężną kobietą, Julio. Musisz postępować tak, jak życzy sobie twój mąż.

Wpatrywałam się w nią. Nie mogłam zrozumieć.

- Richard? - zapytałam. Nie mogłam uwierzyć, że pozostawia decyzję towarzyszowi moich dzieciennych zabaw. Nie mogłam uwierzyć, że pozwala, aby to on podejmował w jej domu decyzję dotyczącą mnie.

- Jesteś zamężną kobietą, Julio - powtórzyła.

506

Poczułam, jakby zamknęły się za mną drzwi celi. - Jesteś zamężną kobietą.

Musi być tak, jak sobie życzy twój mąż.

Popatrzyłam dookoła.

Lord Havering kiwał głową. Twarz mojej babki była napięta, ale oczy spokojne. Na końcu spojrzałam na Richarda. Jego oczy płonęły od skrywanego triumfu.

- Myślę, że powinniśmy pojechać do domu, Julio - odezwał się łagodnie. -

To był okropny wstrząs dla nas obojga. Myślę, że powinniśmy jechać do domu, a ty powinnaś wziąć lekarstwo i pójść wcześniej do łóżka. Jutro trzeba będzie załatwić wiele spraw, a ten dzień był nie do wytrzymania.

Myślę, że powinnaś wrócić do domu i wypocząć we własnym łóżku.

Popatrzyłam na babkę, błagając o pomoc, ale jej twarz była niewzruszona.

Dziadek wpatrywał się posepnie w dywan pod stopami. Znowu spojrzałam na Richarda. Został mi tylko jeden sposób. Mogłam im powiedzieć, że Richard i ja jesteśmy rodzeństwem i małżeństwo musi zostać anulowane.

Ale jeżeli to powiem, babka dowie się, że kochałam się z własnym bratem

i że to dziecko, moje maleńkie dzieciątko, jest owocem perwersji. Co gorsza, dowiedziałaby się, że nie jestem jej wnuczką, że jestem córką Beatrice, więdźmy z Wideacre, i tego głupca Harry'ego, jej brata i że nie jestem z nią w ogóle spokrewniona.

Nie mogłam tego zrobić. Nie chciałam jednego dnia utracić matki i babki. Nie mogłam jej powiedzieć. Musiałaby mnie potraktować jak obcą, naznaczoną grzechem.

- Dobrze - powiedziałam z szacunkiem. Z trudem podniosłam się na nogi. Lord Havering kazał wyprowadzić powóz, lecz pojechałam w nim sama, Richard podążał za mną konno.

Drzwi otworzył nam Stride. Widać było, że płakał.

- Och, Stride! - powiedziałam ze smutkiem.

Nie było czasu na inne słowa. Wszedł Richard i rozkazał Stride'owi posłać po Jenny Hodgett, żeby położyła mnie do łóżka i dała talerz zupy i kieliszek portwajnu. Kiedy byłam już w sypialni, Richard przyszedł na górę z lekarstwem i szklanką wody i zaproponował, że posiedzi przy mnie, aż zasnę.

Opadłam na poduszki i zamknęłam oczy, tak że nie widziałam go, jak siedzi na mojej ławeczce przy oknie, zasłaniając widok wieczornego nieba i drzewo za oknem. Mój żal był tak silny, że myślałam, iż uduszę się od szlochu, który zebrał się jak wielkie duszące grudy w gardle.

507

- Cicho, Julio - szeptał czule Richard. - Cicho.

Podszedł do łóżka i odsunął mi włosy z czoła, jakbym była małym dzieckiem. Próbowałam wyobrazić sobie, że to ręka mojej mamy, że żaden z tych koszmarów się nie wydarzył, że wkrótce obudzę się i będę znowu

bezpieczna i kochana.

Richard spędził tę noc w moim pokoju. I naprawdę nie wiedziałam, czy był dla mnie teraz bratem w żałobie, mężem czy może dozorcą więziennym.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Siódmy.

Rano trzeba było załatwić mnóstwo spraw. Richard pojechał do Ralfa Megsona, żeby powiadomić go o tym, co się wydarzyło, i polecić mu, żeby powiedział o morderstwie w Acre.

Podczas jego nieobecności poszłam do pokoju mamy. Był gorący letni poranek i ktoś uchylił okno z przesuwanymi pionowo skrzydłami, ale zasłony były zaciągnięte. Każdy pokój w tym domu miał być zacieniony przez tydzień. W nagłej złości na żałobne zwyczaje rozsunęłam z powrotem zasłony i światło słoneczne wraz z ciepłem wpadło do pokoju sprawiając, że różowo-niebieski wzór na dywanie nagle pojaśniał.

Rozejrzałam się uważnie po pokoju, jakbym próbowała odcisnąć go w swojej pamięci, zupełnie tak jakby przedmioty należące do ludzi, których kochałam, mogły mi pomóc ich zatrzymać. Czułam w jakiś sposób, że moja mama wciąż tu jest. Wydawało się, że jej duch, podobnie jak lekki zapach lilii, który zawsze ją otaczał, zatrzymał się tutaj. Na jej szczotce pozostało kilka jasnych włosów; w dzbanku obok miski była woda; w nogach łóżka leżał szlafrok.

Pokój wyglądał tak, jakby wyszła tylko na moment. Dostrzegłam nawet wgłębienie na poduszkach jej taboretu przed toaletką. Musiała tu usiąść, żeby przypiąć czepek, zanim wyszła z Johnem.

To był ładny pokój. Kiedy byłam mała, wyróżniał się tylko pięknym widokiem na rozwijające się pąki drzew w parku Wideacre i czuło się w

nim znajomy czysty zapach kwiatów. Ale kiedy przyjechał John, został wyłożony dywanami i umeblowany jasnymi, biało-złotymi sprzętami, które mama uwielbiała. Na kominku

509

stał kryształowy dzban z różami. Oprawione w srebro lustro, szczotka i grzebień leżały na uporządkowanej toalecie, odbijając się w skrzydłowym zwierciadle. Zerknęłam w nie z zabobonnym lękiem. Nie mogłam uwierzyć, że nie zobaczę tam jej twarzy. Nigdy więcej nie zobaczę tej ukochanej twarzy.

Przeszłam przez pokój i wyjrzałam przez okno. Zamknęłam oczy. Owiąły mnie letnie zapachy Wideacre, poruszyły firankami i wypełniły pokój.

Było ciepło, zielono, wszystko rosło. Nie mogłam uwierzyć, że moja mama leży nieruchoma i zimna, gdy wszystko wokół tętni życiem.

Nie mogłam w to uwierzyć. Mocniej zacisnęłam powieki, odwróciłam się i otworzyłam oczy, rozglądając się po pokoju. Byłam pewna, że ona tu będzie, że będzie siedziała na małym taborecie przed lustrem albo będzie odrywała zeschnięte kwiaty z bukietu w wazonie. Z całych sił pragnęłam, żeby tu była. Nie wierzyłam, że ona, zawsze obecna i tak realna w czasach mojego dzieciństwa, mogła tak nagle i nieoczekiwanie odejść.

- Mamo - wyszeptałam w ciszę pokoju.

Nikt nie odpowiedział.

Rzeczywiście odeszła i byłam sama.

Opuściłam pokój, zostawiając rozsunięte zasłony i otwarte okno. Zeszłam na dół do salonu.

Służąca nie posprzątała tutaj. Zaciągnęła zasłony, ale pozostawiła ten pokój takim, jakim był, kiedy moje kłamstwo zniszczyło nasz świat, zabiło

moje dzieciństwo i złamało serce mojej mamie. Fotel, o który się opierałam, wciąż był przekrzywiony. Fotel, z którego ciężko uniósł się John, wciąż stał przy kominku. Wokół fotela mamy jak złoty deszcz, jak różane płatki rozsypane podczas wesela ścieliły się małe kwiatki, które powycinała z materiału swej sukni wówczas, gdy siedziała z opuszczoną głową i dowiadywała się, że jej córka jest ladaczną.

Opadłam na kolana i zaczęłam je zbierać jak jakaś zagubiona Ofelia z wędrownego teatru. Uniosłam mój jedwabny fartuch jak wiejska dziewczyna i wrzucałam je do niego. Skrupulatnie zebrałam każdy skrawek materiału. Potem, trzymając je ostrożnie, poszłam na górę, do swojego pokoju.

Owinęłam kwiatki w miękką białą bibułkę i schowałam do górnej szuflady. Nawet teraz wydzielały lekki zapach lilii.

Oparłam się o bieliźniarkę i płakałam, jakby miało mi pęknąć serce.

510

Pogrzeb miał odbyć się w sobotę, cztery dni po tym jak honor Laceyów został zrujnowany. Moja babka tak wszystko urządziła, że nasz cichy ślub miał zostać ogłoszony w gazetach w przyszły poniedziałek. Richard uważał, że należy przedtem powiadomić Ralfa; zgodziłam się z nim.

Zgodziłam się, w milczeniu kiwając głową. Czułam się zmęczona do głębi duszy, pogrążona w cichym żalu po mamie. Bez wątpienia było to głupie, ale przeczuwałam, że już nigdy nie będę szczęśliwa. Może się myliłam, nie szukając ukojenia u babki albo u naszego wikarego, albo nawet u Richarda, ale czułam, że nigdy nie znajdę spokoju. Nikt nigdy nie będzie znaczył dla mnie tyle co moja mama. Teraz kiedy ona odeszła, zostałam naprawdę sama.

Tak więc po raz pierwszy od miesiąca nie pomyślałam o Wideacre ani o tym, co mogą myśleć lub robić w Acre. Kiedy Richard powiedział mi, że kazał Ralfowi przyjechać wieczorem do Dower House, przytaknęłam, chociaż niezbyt mnie to obchodziło.

Ralf wszedł, stąpając ostrożnie po wypolerowanej podłodze holu, jakby nie chciał zbudzić śpiących. Ale chociaż mama leżała w tym domu, nic nie mogło już jej przeszkodzić. Jej trumna spoczywała w tym pokoju, który pachniał liliami. Wieko było przybite gwoździami; nie mogłam jej nawet pocałować na pożegnanie w zimny policzek, ponieważ powiedzieli mi, że była okropnie zraniona.

Próbowałam o tym nie myśleć.

- Tak mi przykro, Julio - rzekł Ralf. Ujął moje dłonie i uśmiechnął się do mnie; jego ciemne oczy były bardzo łagodne.

- Dziękuję ci - wyszeptałam z zakłopotaniem.

- Nie cierpiała, wiesz - powiedział miękko. - Widziałem ludzi zastrzelonych z małej odległości. Sądzę, że umarła w jednej chwili.

Na moment uniosłam wzrok.

- Jesteś pewien? - zapytałam. - Nie mówisz tego tylko po to, żebym poczuła się lepiej?

Ralf potrząsnął głową.

- Nie. Nie okłamywałbym cię w takiej sprawie. Na pewno nie cierpiała.

Ani John.

Richard przerwał nam.

511

- Czy mógłby pan zejść do biblioteki, panie Megson? Musimy przedyskutować pewne sprawy.

Ralf cofnął się, żeby przepuścić mnie przed sobą.

- Julia nie potrzebuje się tym kłopotać - powiedział Richard gładko. -
Może posiedzieć sobie w salonie.

Ralf nagle znieruchomiał, czujny jak zając w paprociach.

- Panna Lacey powinna być obecna - zaprotestował.

- Jest współspadkobiercą.

- Już nie - powiedział Richard. Uśmiechnął się do Ralfa, wytrzymując
jego wzrok. - Nie będziemy rozmawiać w holu

- dodał chłodno. - Czy przejdzie pan ze mną do biblioteki, panie Megson?

- Najpierw ty, Julio - rzekł twardo Ralf.

Nawet w odrętwiałym oszołomieniu zauważyłam, że zwrócił się do mnie
po imieniu, i usłyszałam jego apel, żebym twardo stanęła po stronie Acre.

Spojrzałam na Richarda. Obdarzył mnie szybkim wejrzeniem, które
ostrzegało, żebym trzymała się z daleka od walki pomiędzy nim a Ralfem.

Ale Ralf był moim przyjacielem, a Acre było moją wsią. Bez względu na
to jak byłam zmęczona, jak bardzo chora z żalu, byłam im potrzebna.

- Pójdę z wami - powiedziałam, mijając Richarda. Weszłam do biblioteki i
usiadłam z boku stołu. Richard zajął miejsce, gdzie zawsze siadywał wuj
John, a Ralf usiadł naprzeciw mnie, przodem do biblioteki. Okno za
Richardem było otwarte; na zewnątrz głośno śpiewał drozd.

- Mamy kilka wiadomości, które mogą pana zadziwić

- zaczął słodko Richard. - Panna Lacey i ja jesteśmy małżeństwem.

Wzięliśmy ślub kilka miesięcy temu. I panna Lacey

- urwał i uśmiechnął się - powinienem powiedzieć pani Mac-Andrew,
oczekuje naszego dziecka.

Ralf obrzucił mnie twardym spojrzeniem.

- Jesteś w ciąży? - zapytał bez ogródek. Potaknęłam.

- I zamężna?

Nikogo nie oburzyło jego niedowierzenie wobec oświadczenia Richarda.

Wszyscy wiedzieliśmy, że Ralf zakładał, iż wyszłam za mąż, ponieważ byłam w ciąży, i nawet Richard nie wściekł się na taką bezczelność.

- Tak - powiedziałam przez zaciśnięte usta.

512

Ralf na chwilę zasłonił twarz dłońmi.

- Och, Julio! - zawołał ze smutkiem. - Szkoda, że nie przyszedł z tym do mnie.

Richard pozwolił, żeby ta niedyskretna uwaga przeszła nie zauważona.

- Jako mąż Julii teraz ja jestem dziedzicem i jedynym właścicielem Wideacre - oznajmił. - Wezwałem pana, Megson, żeby poprosić o przekazanie tych wiadomości we wsi. W poniedziałek ukażą się ogłoszenia w gazetach. Ponieważ jesteśmy w żałobie, nie będzie żadnego świętowania w Acre.

Ralf patrzył wilkiem.

- Rzeczywiście nie - rzekł zimno. - Nikt nie będzie radował się tym, że poślubiając pannę Lacey, uczynił pan z siebie nowego dziedzica.

Richard również to puścił mimo uszu.

- Ja dziedziczą fortunę po MacAndrew, nie ma co do tego wątpliwości - powiedział - i oczywiście obejmuję całkowitą kontrolę nad majątkiem mojej żony. Nie planuję natychmiastowych zmian, panie Megson. Może pan powiedzieć to w Acre. Jestem usatysfakcjonowany sposobem, w jaki do tej pory prowadzono majątek.

- Nie widział pan jeszcze testamentów - wtrącił Ralf. - Może ustanowiono

kuratorów nad wami obojgiem.

- Nie widziałem - przyznał Richard - ale sądzę, że kuratorem miała być albo mama Julii, albo mój papa. Nikt nie mógł przypuszczać, że umrą jednocześnie.

Ralf nie wyglądał na wstrząśniętego, raczej na smutnego.

- Powiem we wsi - burknął niegrzecznie. - Coś jeszcze? Richard zawahał się.

- Ziarno - powiedział niedbale. - Zakładam, że poczynił pan przygotowania do sprzedania go?

Ralf obrzucił mnie szybkim spojrzeniem.

- Tak. Odłożyliśmy część do sprzedaży lokalnej. Druga część pojedzie do Midhurst, a reszta będzie sprzedana w Londynie, później.

- Chyba nie - powiedział Richard. Głos miał gładki jak jedwab, a niebieskie oczy błyszczały. - Myślę, że powinniśmy wysłać cały zbiór do sprzedaży na rynku londyńskim. Tam osiąga się zyski. Wideacre musi być tak prowadzone, żeby było dochodowym przedsięwzięciem, pan rozumie, Megson.

513

Ralf zmierzył go ciemnym spokojnym spojrzeniem.

- Tak, myślę, że rozumiem - odrzekł. - Nie chcę dzisiaj tego roztrząsać, ale obawiam się, że nic pan nie może zrobić, jeżeli chodzi o pszenicę. Zostały już zawarte umowy.

Ich spojrzenia starły się jak para jeleni w walce. Richard był panem Wideacre, a Ralf był jego przedstawicielem. Ale Ralf zawsze był silniejszy i to Richard był tym, który odwrócił wzrok.

- Zobaczymy - powiedział ponuro. - Na razie niech pan robi tak, jak

kazałem, i powiadomi Acre, Megson.

- Oczywiście - odparł Ralf. Czekał przez moment, a kiedy Richard nie powiedział niczego więcej, odstawił krzesło i poszedł do drzwi. Richard wyciągnął się w rzeźbionym fotelu i patrzył za nim, a ja wstałam i ruszyłam za Ralfem do holu.

Nie odezwał się.

Spodziewałam się od niego jakiegoś słowa, słowa oskarżenia, rozczarowania, potępienia mnie jako następnej kobiety Laceyów, która była głupia i zdradziła ziemię. Ale nie doczekałam się od niego niczego poza twardym ponurym spojrzeniem, które mimo to było pełne współczucia. Położył rękę na kłamce i wyszedł.

Odszedł. Pozostawił mnie samą, samą z Richardem.

Powoli wracałam do biblioteki, skręcając na palcu frędzel mojego szala.

Richard znowu odepchnął fotel i balansował na tylnych nóżkach, opierając czubki butów o krawędź stołu.

- Z Megsonem wszystko w porządku? - dopytywał się.

- Tak - powiedziałam.

Podeszłam do okna. Słońce chowało się za drzewa, znikало z widoku.

Zabarwiło niebo ponad lasem na kolor kremowy, szary i różowy. Oparłam obolałą głowę o chłodną grubą szybę okna i stałam w milczeniu.

- Podjadę jutro do dworu i zobaczę, jak postępują prace

- powiedział Richard - a w poniedziałek zapytam brygadzystę, jak szybko wszystko skończą, jeżeli podwoimy ilość robotników. Żeby to jak najszybciej skończyć.

- Richardzie... - zaczęłam. Odwróciłam się do niego, żeby zobaczył, że naprawdę jestem spokojna i pewna siebie, tak jak on.

- Richardzie, musimy porozmawiać. Nie myślisz chyba, że zamieszkamy razem w tym dworze!

Jego twarz była beztroska zupełnie jak u grzecznego dziecka.

- Dlaczego nie? - zapytał.

514

Wyciągnęłam ręce w geście bezradności, a potem przyłożyłam je do policzków.

- Richardzie! - krzyknęłam. - To, co powiedział nam John o naszych prawdziwych rodzicach, zmienia wszystko.

Richard był niewzruszony.

- Dlaczego?

Ponownie oparłam się o okno. Wydawało mi się, że cały świat wokół mnie oszalał i że muszę zachować dla siebie jakiś mały kącik, bo inaczej zostanę pochłonięta.

- Jesteśmy rodzeństwem! - powiedziałam, jakbym musiała mu to wyjaśniać. - Nasze małżeństwo jest nieważne. A nasze dziecko... - urwałam. Nie mogłam wypowiedzieć słowa „kazirodczne” ani myśleć tak o mojej małej biednej dziecinie, tak bezpiecznej we mnie, ale tak zagrożonej przez szaleństwo zewnętrznego świata. - Będziemy musieli anulować nasze małżeństwo, jak zamierzali to zrobić John i mama - podjęłam. - Potem zamieszkamy osobno. Będę jakoś musiała znieść wstyd z powodu tej ciąży. A ty, jak sądzę, przeniesiesz się do Londynu albo gdzieś indziej. Richard był spokojny jak letnie niebo. Patrzył na mnie z pobłażliwym współczuciem. Odniosłam wrażenie, że mój ból i zmartwienie są tak odległe od niego jak wieczorne niebo.

- Och, nie - powiedział słodkim głosem - wcale tak nie będzie.

Wpatrywałam się w niego pustym wzrokiem i czekałam.

- Nasze małżeństwo zostało już ogłoszone - przypomniał mi. - Obydwoje przyznaliśmy się do winy, a ja uznałem dziecko. Nie możemy się z tego wycofać.

Moje ręce ponownie wyciągnęły się do niego w słabym błagalnym geście.

- Richardzie... - odezwałam się niepewnie.

- Zamieszkamy tutaj - ciągnął. - A kiedy dwór będzie gotowy, przeprowadzimy się do niego. Przyjmę nazwisko Lacey, do którego jak teraz wiesz, mam większe prawo niż ty. Będziemy jaśnie wielmożnym państwem Lacey. - Uśmiechnął się do mnie. - Wspaniale to brzmi - dodał spokojnie.

- Richardzie, nie możemy! - krzyknęłam.

Odsuwało się ode mnie uczucie, że świat, w którym moja ukochana mama została zamordowana, a ja byłam w ciąży z bratem, musi być szalony.

Przesycony jedwabistymi tonami głos Richarda

515

w tym szalonym rozgardiaszu, jakim było moje życie, zabrzmiał absolutnie rozsądnie.

- Nie możemy! - powtórzyłam.

Fotel wysunął się spod Richarda gładko, kiedy zgiął się i raptownie wstał.

- Dlaczego nie? - zapytał. Nagłym ruchem ponownie opadł na fotel, usadowił się prosto i odwrócił, żeby lepiej mnie widzieć.

- Ogłosiliśmy nasze małżeństwo; jesteś ze mną w ciąży - przypomniał raz jeszcze bez zmrużenia oka. - Oboje wiemy, kto dopuścił do ciąży i nalegał na małżeństwo. Zgodziłem się na to, żeby zrobić ci grzeczność. Nie zamierzam teraz zmieniać taktyki z powodu twojego nagłego kaprysu.

Podparłam skronie rękoma. Jakże inaczej ja i Richard patrzyliśmy na tę sprawę! Nie mogłam uwierzyć, że obydwójce byliśmy w tym pokoju, kiedy John przemawiał do nas z obrzydzeniem, jak do bękartów, które powtórzyły karygodny występki swoich rodziców.

- To się nie mieści w głowie! - krzyknęłam zdezorientowana. Richard wstał, podszedł do mnie i chwycił mnie za rękę.

- Uspokój się - powiedział stanowczo. - Sama doprowadzasz się do takiego stanu. Uspokój się i zaufaj mi. Wiem, co robię.

Pozwoliłam, żeby przytrzymał moje dłonie w uspokajającym uścisku, i wpatrywałam się w niego.

- Nie masz teraz nikogo oprócz mnie, Julio - powiedział. - Nie zapominaj, że nie masz nikogo oprócz mnie. Musisz mi zaufać. Sama nie dasz sobie rady.

Zrobiłam pół kroku w jego stronę. Czułam się bardzo, bardzo samotna. Oparłam czoło o jego ramię. Po tym jak dotykałam lodowatej szyby, odniosłam wrażenie, że jego aksamitna marynarka jest ciepła. Czułam zapach jego skóry i kręconych włosów.

- Och, Richardzie - wyszeptałam smutno. Otoczył mnie ramieniem w talii i głaskał po plecach tak, jak się uspokaja chore zwierzę.

Świat był wzburzonym morzem, a Richard i ja byliśmy rozbitkami.

Wszystko, co mogliśmy teraz zrobić, to przytulić się do siebie i mieć nadzieję, że utrzymamy się na falach.

516

Utrzymałam się na fali.

Spokojnie przeżyłam pogrzeb mamy i wuja Johna. Zostali pochowani obok siebie w krypcie Laceyów. Ze względu na ich przyjaźń byłam

zadowolona, że po śmierci znaleźli się tak blisko siebie. Babcia urządziła poczęstunek po pogrzebie. Przyjmowałam kondolencje sąsiadów, stojąc pomiędzy Richardem a nią, odpowiadając ludziom i obserwując, jak mówią, zupełnie jakby wszyscy byli niemymi rybami; unosiłam się na falach głębokiego jedwabistego morza.

Tylko jeden głos rozdzwonił się czysto w następnym tygodniu: Rosie Dench. Przyszła z jakąś paczką nie do frontowych drzwi Dower House, ale do kuchennych. Stride wprowadził ją do salonu, gdzie siedziałam, patrząc bezmyślnie przez okno. Patrzyłam na drogę, jakbym oczekiwała, że zobaczę mamę i Johna wyjeżdżających kariolką z za zakrętu, beztroskich i wesołych po przejeździe.

- Nie wiedziałam, co z nimi zrobić - odezwała się nieśmiało Rosie. - Zrobiłam je dla panienki. Rękawiczki dla panienki Julii z Wideacre. Niech panienka z nimi zrobi, co zechce.

Odwróciłam się w stronę pokoju. Ledwo mogłam ją zrozumieć. A potem przypomniałam sobie. Rosie obiecała mi rękawiczki - rękawiczki na dzień mego wesela, na ślub z Jamesem.

Nieśmiało podała mi paczkę. Próbowałam się uśmiechnąć, ale nie udało mi się. Rozwinęłam papier.

Były to najpiękniejsze rękawiczki, jakie kiedykolwiek widziałam. Każdy cal promieniał kolorami. Kolorami Wideacre - kolorami żniw w Wideacre. Tło blade jak niebo o świcie, zanim słońce zabarwi je na różowo, miało harmonizować z kremową lub białą suknią, taką, jaką powinnam mieć do ślubu. Grzbiet każdej rękawiczki zdobiła złocista wiązanka kłosów - żółtych i złotych

- i garść kwiatów: szkarłatnych maków, które kochałam, i

ciemnobłękitnych chabrów. Na wiązance były skrzyżowane dwa sierpy jako przypomnienie, że pszenicę ścina się zespołowym wysiłkiem.

Rękawiczki były dłuższe od tych, które zazwyczaj nosiłam

- Rosie była teraz wiejską dziewczyną z Acre, ale nie utraciła poczucia elegancji - i obramowane linią bladego złota.

- Rosie, dziękuję ci - powiedziałam. - Jesteś naprawdę niezwykle utalentowana. Gdyby to było wymalowane na jedwabiu, ludzie powiedzieliby, że jesteś artystką.

Słyszając te słowa, pochyliła głowę i skłoniła się.

517

- Mam nadzieję, że panienka będzie szczęśliwa - wyszeptała z powątpiewaniem w głosie. - Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam, przynosząc je tutaj.

- Jestem ci bardzo wdzięczna - powiedziałam. - Nie będę mogła ich nosić, dopóki jestem w żałobie, ale przechowam je starannie do przyszłego roku, do następnej wiosny. Będę je nosiła do moich najlepszych sukien.

Dygnęła na pożegnanie i odwróciła się do wyjścia. Poczułam się dziwnie.

Po tym wszystkim co zaszło pomiędzy nami, tak mało było do powiedzenia. Ale Rosie nie mogła mi powiedzieć, co naprawdę myśli o moim mężu; a ja w środku byłam martwa i nie mogłam przed nikim otworzyć swego serca.

- Pisujemy do niego - odezwała się niespodziewanie, odwracając się w drzwiach. - Prosił nas, żebyśmy pisali do niego od czasu do czasu, żeby powiadomić go, czy my wszyscy, dzieci z Bath, mamy się dobrze.

Skinęłam głową. Wiedziałam, że mówi o Jamesie.

- Czy mam mu coś przekazać? - zapytała. - Jeżeli jest coś, co panienka

potrzebuje mu powiedzieć, a czego nie wypadaloby napisac samej, ja moge mu przekazac.

Potrzasnelam glowa. Jeszcze raz zobaczylam maly pokoik dla gości w zajeździe dyliżansow i uslyszalam skrzywienie kół na kocich łbach, gdy James nie przyjeżdzał, nie przyjeżdzał i nie przyjeżdzał.

- Nie - odparlam tępo. - Pan Fortescue i ja juz nie jesteśmy przyjaciółmi. A ja teraz jestem zamężną kobietą.

Rosie kiwnęła glowa, ale minę miała zakłopotaną.

- Do widzenia, panno Julio - powiedziala. - Zobaczymy się we wsi, prawda?

- Tak - odpowiedzialam, ale nie zabrzmialo to pewnie. - Przyjadę, kiedy poczuję się lepiej - potwierdzilam bez przekonania.

Nie moglam plakac.

Nie moglam pogrzyc się w smutku.

Czulam, ze unosi mnie fala. Jedyne co moglam zrobic, to wlasnie dac się nieść fali, przeplywac od jednego dnia do drugiego i probowac zapomniec, ze te dni skladaja się na kolejne tygodnie.

W trzecim tygodniu po pogrzebie babka zaproponowala spotkanie przy herbacie, zeby przedstawic mnie w hrabstwie jako

518

zamężną kobietę. Potrzasnelam glowa i oznajmilam, ze nie chce jechac.

- Nie robie tego po to, zeby cię zabawic - rzekla cierpko babka. -

Oczekuje, ze bedziesz trzymala podniesiona glowę i odpowiadala, kiedy ktos się do ciebie odezwie, pamietajac o tym, ze robie to dla uratowania twojej reputacji, ze wzgledu na pamiec twojej matki, a mojej córki.

Wiec zrobilam to, do czego mnie zobowiazala, i jakos przezylam to

popołudnie. W obecności babki panie nie wypytywały mnie o szczegóły małżeństwa. Mogły po cichu rozmawiać, osłaniając usta dłońmi w rękawiczkach, kiedy nie było mnie w pobliżu, ale żadna plotka nie mogła mnie zranić, kiedy byłam pod ochroną babki.

Kiedy się unosiłam, czułam się szczęśliwa. Czasami, kiedy byłam sama w nocy, w łóżku, myślałam, że wcale nie płynę, ale pogrążam się, tonę, lecz wstydziałam się wołać o pomoc. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje - czy żegluję ku bezpiecznej przystani miłości Richarda, ku rzeczywistości, której powinnam ufać, gdzie otoczona jestem opieką babki, czy też tonę powoli w bagnie grzechu i udręki usidlona przez własny wstyd i oszukiwana przez wszystkich dookoła.

Któregoś dnia spotkałam Ralfa.

- Więc cię złapał - przemówił do mnie. Jechałam do Havering zobaczyć się z babką, a Ralf pozdrowił mnie na drodze, kiedy skręcałam z podjazdu. Odwiózł ładunek pszenicy do sprzedaży w Midhurst i podążył na swoim czarnym koniu za pustymi wozami jadącymi powoli do domu.

Zsunęłam w dół szybkę w oknie, kiedy zrównał się z powozem.

- Nie wiem, co masz na myśli - odezwałam się sztywno. Bezsensowne było zachęcanie Ralfa, żeby mówił o Richardzie jak o wrogu. Obydwoje musieliśmy nauczyć się uznawać naszego pana, a Richard był teraz dziedzicem.

Ralf wydał policzki ze zniecierpliwieniem.

- Złapał cię, zapędził w pułapkę małżeństwa - powiedział. - Teraz ma Wideacre i całkowitą swobodę, nie ma nawet rodziców, żeby chronili ciebie i Acre. Pomiedzy nim a Acre stoimy tylko ty i ja. A ty siedzisz tutaj w twoim cholernym powozie i mówisz mi, że nie wiesz, co mam na myśli!

Czułam, jak mój świat się zatrzęsł, ale nic nie powiedziałam.

519

- Sprzedaję pszenicę w Midhurst tak szybko jak mogę
 - oświadczył Ralf, wskazując gwałtownie kciukiem na puste wozy turkoczące obok nas. - Nie mam zamiaru odsyłać naszego ziarna poza hrabstwo, kiedy tutaj tak dużo biednych rodzin go potrzebuje, po przyzwoitych cenach. Dopóki jestem tutaj zarządcą, tego będę pilnował.
 - A co z pszenicą dla Acre? - zapytałam cicho. Ralf rozchmurzył się.
 - Schowałem ją - rzekł krótko. - Będą mogli ją kupować w ciągu roku za swoje jednopensówki. A młody Richard nie znajdzie jej.
 - Chyba nie schowałeś pszenicy w młynie? - zapytałam. Twarz Ralfa znowu pociemniała.
 - Nie powiem ci gdzie - odparł. - Jesteś teraz jego żoną i mogłabyś mu powtórzyć. Przechowam ją bezpiecznie, nic się nie martw. Tej zimy nie będzie już głodu w Acre, nawet gdyby sam diabeł był dziedzicem.
 - Przykro mi, Ralfie - wyszeptałam.
 - Będzie ci jeszcze bardziej przykro - stwierdził ponuro.
 - Kiedy będziesz rodziła?
 - Pod koniec stycznia.
 - Najcięższy czas w roku - uznał Ralf. - Najcięższy. Powinnaś była pojechać wtedy ze mną do Cyganek, Julio.
- Nie odpowiedziałam. Bez sensu byłoby mówienie czegokolwiek.
- Czy nie można by unieważnić tego małżeństwa na jakichś prawnych podstawach? - dopytywał się Ralf szeptem spiskowca. - Jesteś pewna, że mieliście odpowiednich świadków i tak dalej, Julio? Pamiętaj, że obydwójecie jesteście nieletni.

Pomyślałam o mamie i Johnie jadących do Londynu, żeby uzyskać unieważnienie tego małżeństwa, i o czarnej tajemnicy, którą zabrali ze sobą, siedemnastoletniej tajemnicy pokrętnych żądź naszych rodziców. A teraz to był mój sekret. Nie miałam sił walczyć z Richardem w sądach o ziemię, deklarując, że nasze małżeństwo jest nieważne. Poza tym to małżeństwo było mi równie potrzebne jak jemu.

- Nie - powiedziałam spokojnie - nie wiem o niczym, co mogłoby być powodem unieważnienia.

Twarz Ralfa pod trójgraniastym kapeluszem pociemniała od przygnębienia.

520

- Pamiętaj, że jestem twoim przyjacielem - rzekł surowo. - Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybym był ci potrzebny, i pamiętaj, że każdy w Acre stanie po twojej stronie. Gdybyś potrzebowała pomocy, możesz na nas liczyć.

Poczułam przed oczyma gorącą mgiełkę, ledwie go widziałam.

- Dziękuję ci - wyszeptałam. - Ale zawsze wiedziałam, że przyjdzie czas, kiedy ani ty nie będziesz mógł pomóc mnie, ani ja tobie.

Ralf pochylił głowę w jedną stronę, jakby nasłuchiwał.

- Złe czasy idą dla nas obojga? - zapytał bardzo cicho. Wzruszyłam bezradnie ramionami.

- Nie widzę żadnych znaków. Gdybym potrafiła spoglądać w przyszłość, tak jak w to wierzą w Acre, nie byłoby mnie teraz tutaj. Wszystko byłoby inaczej - dla nas wszystkich.

Pokiwał głową ze smutkiem i zawrócił konia. Widziałam kiedyś, jak odjeżdża ode mnie w gniewie, i obserwowałam go, jak pędził drogą, a błoto pryskało spod kopyt konia. Tym razem włókł się do wsi spacerowym

truchtem. Patrzyłam za nim. Uniósł kołnierz, popuścił cugli i zgarbił plecy, jakby oddalał się w strumieniach deszczu.

Jechałam do babki powozem, ponieważ nie mogłam już jeździć konno. Cięża zaczynała być widoczna, a skromność i konwenanse utrzymywały mnie z dala od Mgiełki i musiałam podróżować w powozie aż do rozwiązania. Miałam wielką nadzieję, że jesień będzie sucha, a zima umiarkowana. Kiedy robiło się mokro, droga stawała się nieprzejezdna -jeśli tak się stanie w tym roku, będę musiała pozostać w Dower House przez ostatnie trzy długie miesiące ciąży, bez gości, bez żadnego towarzystwa... z wyjątkiem Richarda.

Nosiłam starą czarną sukienkę mamy, pospiesznie przerobioną na mnie. Babka wezwała do Havering krawcową z Chichester, ta wzięła miarę i uwzględniła zapas na przyrost ciała, żebym miała parę nowych czarnych sukien na jesień i zimę.

Stałam nieruchomo, podczas gdy ona klęcząc u moich stóp, upinała szpilkami jeden fałd za drugim. Miała pełno szpilek w ustach, ale dzięki latom praktyki potrafiła opowiedzieć mojej babce wszystkie plotki z Chichester, nie upuszczając ani jednej. Obserwowałam to zafascynowana, ale babka przerwała ten potok informacji, kiedy zobaczyła moją pobladłą twarz.

521

- Wystarczy! Julio, musisz usiąść i odpocząć. Dokończyliśmy przymiarki na siedząco i krawcowa wyjechała, obiecując, że suknie będą gotowe za tydzień.

- Jesteś zmęczona? - zapytała babka, a troska w jej głosie sprawiła, że łzy napłynęły mi do oczu.

- Bardzo zmęczona - odparłam żałośnie. - I, babciu, tak bardzo tęsknię za mamą. Tak strasznie pusto jest w domu bez niej!

- Byłyście ze sobą bardzo blisko - powiedziała miękko.

- Bardzo rzadko widuje się takie porozumienie pomiędzy dorastającą dziewczyną i jej matką. Była bardzo z ciebie dumna, Julio. Nie chciałyby, żebyś była smutna.

Przycisnęłam dłoń do ust, żeby powstrzymać szlochanie. Usiłowałam mruganiem powstrzymać gorące łzy. Kojące słowa babki nie pomogły mi wcale, ponieważ wiedziałam, że mama zawiodła się na mnie i że zmarła, znając tę straszną prawdę. Nie kochała mnie, kiedy cięła swoją sukienkę na szmatki: wtedy nie czuła się dumna. Odkryła, kim byłam - rozpustnicą jak moja naturalna matka. Nienawidziła Beatrice i byłam przekonana, że w momencie śmierci mnie także musiała nienawidzić.

- Czy Richard jest dobry dla ciebie? - zapytała babka.

- Jesteście jeszcze chyba zbyt młodzi, żeby mieszkać razem w samotności.

- Tak - szepnęłam, nie dodając nic więcej.

- Nie jest w stosunku do ciebie niecierpliwy? Kiedy byliście dziećmi, mama zawsze się bała, że on się nad tobą znęca.

- Nie znęca się nade mną - powiedziałam pewnym głosem.

- I ufam, że on jest... - babka urwała i popatrzyła w dół na swoją suknię czarną i żalobną jak moja - że on nie jest... natarczywy? Natarczywy, jeżeli chodzi o twoje obowiązki małżeńskie? W takim stanie byłoby lepiej, gdybyś spała we własnym łóżku.

Potaknęłam.

- Śpię we własnym łóżku, babciu. Kiwnęła głową.

- Wybacz mi. Teraz jesteś mężatką i to są sprawy twojego męża i twoje.
Nie moje.

Potaknęłam. Jeszcze raz doszliśmy do miejsca, gdzie nawet moja władcza babka nie mogła mnie wesprzeć. Jeszcze raz drzwi Dower House zatrzasnęły się za mną, byłam własnością Richarda.

522

Nikt nie mógł wejść pomiędzy nas. Byłam jego własnością tak jak ziemia, którą kiedyś nazywałam moją; moja ziemia, mój koń, moja kasetka ze świecidełkami, nawet moje ciało. Wszystko to należało do Richarda, ponieważ kiedyś w kołyszącej się kabinie małego brudnego statku powiedziałam „tak”.

Acre, Mgiełka i ja, wszyscy mogliśmy ucierpieć pod jego władzą i nic nie można było na to poradzić.

Ja nie mogłam nic na to poradzić.

Richard i Ralf sprzeczali się prawie codziennie. Dowiadywałam się o tym, kiedy zajeżdżałam do Acre. Dowiadywałam się od babki, której lord Havering opowiedział o kłótni o posadę gajowego, z którym Ralf nie chciał współpracować. Dowiadywałam się od kucharki, która opowiedziała, jak pan Megson i mój mąż krzyczeli na siebie pośrodku Acre, spierając się o eksmisję starej pani Merry. „To była okropna scena” - podsumowała ze zgrozą.

Ralf wygrał w sporze o gajowego, co prawda dzięki brakowi kandydata, ale i tak było to zwycięstwo. Powiedział Richardowi, że nikt w Acre nie chciał przyjąć tej pracy, co było niemal prawdą. Już wiedzieli nieomylnym instynktem biedoty, że eksperyment Wideacre zakończył się prawie tak szybko, jak zaczął, i że powinni przeklinać dzień, w którym z powrotem

zaczęli pracować dla Laceyów.

Pozbyli się złej sławy wsi, która zabiła swojego dziedzica, a teraz zdobyli sławę najszybszych żniwiarzy w całym hrabstwie. Gdyby majątek wystawiono na sprzedaż, znalazłoby się bardzo wielu kupców. Acre było prowadzone mistrzowsko.

Jeszcze raz zaufali Laceyom. Zaufali słowu Laceyów. To, że złamaliśmy ugodę zaraz po tym, jak pszenica znalazła się w stodołach, kiedy żniwa zostały ukończone, było zbiegiem okoliczności, ale biedni ludzie nie wierzą w takie przypadki. Ci, którzy nadal mnie kochali, mówili, że zostałam usidlona przez Richarda. Inni, starzy i zgorzkniali, mówili, że był to zręczny podstęp Laceyów, żeby raz jeszcze oszukać Acre. Wieś wróciła do pracy, a utraciła wolny dostęp do pól, parku i błoni, dokoła których - jak na ironię - mężczyźni z Acre sami wzniesli ogrodzenia. Starsi, mądrzejsi, wietrzyli podstęp, uśmiechali się gorzko i zdejmowali przede mną kapelusze ze spojrzeniem mówiącym, że widzą we mnie sprytnego zwycięzcę.

Nie mogli przewrócić płotów, nie teraz. Nauczyli się mieć nadzieję i utracili zajadłość. Nie mogli ruszyć przeciwko nam,

523

jedynie pomrukiwali i mamrotali przekleństwa przeciw Laceyom.

Konsultowali się z prawnikami z Chichester, którzy powyciągali umowy o ziemię i potwierdzili to, co kiedyś powiedział Ralf: że prawo jest po stronie właścicieli ziemskich. Nie mogli wnieść przeciw nam skargi o naruszenie umowy, ponieważ tego nie zrobiliśmy. Mieliśmy podzielić się z nimi zyskami po odjęciu kosztów prowadzenia majątku. A Richard już zadbał o to, żeby koszty obniżyły udziały Acre do poborów ledwie

pozwalających utrzymać się przy życiu. Wszystkie inne obietnice co do pożyczek na ziarno, narzędzia, na inwentarz, były dobrowolną ofertą ze strony Laceyów. Mogły być cofnięte. I nikt nie musiał ogłaszać w Acre, że zostały cofnięte.

Nie byli w stanie zmusić Laceyów do wypełnienia zobowiązań. Mogli jedynie patrzeć z goryczą i zacząć kłusować. Nikt ze wsi nie zgłosił się na gajowego, a każdy kto postawił stopę na ziemi majątku w poszukiwaniu pracy, był brany na stronę przez Ralfa albo przez któregoś ze starszych mężczyzn i ostrzegany. Zawsze słuchali.

Sytuacja mieszkańców wsi, którzy tak mnie niegdyś kochali, z którymi rozmawiałam o systemie podziału ziemi i dochodów, nie była jeszcze dramatyczna. Nadal łapali króliki i zające, a nawet bażanty i dziczyznę, i ryby z rzeki. Mieli również rzetelne dostawy pszenicy.

- Gdzie oni kupują tę pszenicę? - zapytał mnie zniecierpliwiony Richard pewnego poranka przy śniadaniu. Przede mną stał dzbanek z kawą i nalewałam sobie następną filiżankę zastanawiając się, co odpowiedzieć. Byłam w piątym miesiącu ciąży, w miarę jak rósł mój brzuch, stawałam się powolna i ociężała.

- Widziałem ogromny wóz zboża przed domem Greena, a kiedy zapytałem go, dla kogo to, nic mi nie odpowiedział - mówił Richard z irytacją. - Jestem pewien, że mełł ją dla wsi. Zastanawiam się, czy Acre nie ukryło gdzieś części pszenicy, żeby przetrwać zimę.

Spojrzałam przez okno w jadalni. Drzewa w sadzie uginały się od owoców, kosy objadały się tym, co strącił wiatr. Przez otwarte okno dolatywał mnie zapach fermentujących zgniłych gruszek. Jabłonie, które sadziłam, również obrodziły. Ralf codziennie angażował robotników do

zbioru i wysyłał plony na owocowy rynek w Chichester. Majątek był bogaty. Laceyowie byli bogaci. Acre zaś było okropnie biedne.

524

- Gdzie oni mogli je schować, Julio? - dopytywał się Richard. - Znasz majątek tak samo dobrze jak oni. Gdybyś chciała ukryć ładunek kilku wozów, gdzie byś go umieściła?

- Nie wiem - odparłam niedbale. Prawdę mówiąc, było mi wszystko jedno. Popijałam kawę i gapiłam się przez okno na zielone grzbiety wzgórz nad sadem. Buki zmieniły już kolor; zieleń ustępowała mocnej barwie miedzi przeświecającej przez nią. Cedry w ogrodzie stały się ciemnopurpurowe, a niebo ponad nimi było bardzo niebieskie.

Zastanawiałam się, czy wszystkie żony miały to uczucie tęsknoty, żeby być gdzie indziej, tęsknoty, która nie była nawet tak wyrazista jak pragnienie wolności lub niechęć do własnego męża. Była po prostu nieokreślonym, nie dającym się ubrać w słowa uczuciem, że powinno się robić coś więcej, coś więcej niż przesiadywanie przy oknie.

- Czy ty mnie słuchasz, Julio? - Głos Richarda zabrzmiał ostro.

Oderwałam oczy od okna i popatrzyłam na niego.

- Oczywiście - powiedziałam. - Nie wiem, gdzie bym ukryła parę ładunków ziarna w Wideacre. I naprawdę nie wiem, czy ktoś to zrobił.

- Nikt ci nie mówił, że taka kradzież miała miejsce?

- zapytał. - A gdybyś wiedziała - ciągnął słodkim głosem

- czy trzymałabyś to w tajemnicy przede mną? Czy trzymałabyś stronę twojego drogiego Acre przeciw mnie? Mam nadzieję, że tak nie jest, Julio. Ale nie jestem całkowicie pewny.

- Nie zrobiłabym tego, Richardzie - Wytrzymałam jego spojrzenie bez

zmrużenia oczu. Mieszkaliśmy sami od kilku tygodni i nauczyłam się go okłamywać. Nie zawsze udawało mi się go zwieść, ale puszczał to płazem. Niezwykłe dla Richarda było to, że bagatelizował wszystko, co zachodziło pomiędzy nami, a ja nadal nie wiedziałam dlaczego.

- Na pewno Megson nic ci nie mówił? - zapytał nagle, szybko rzucając się na moje kłamstwo.

Potrząsnęłam głową i na pół świadomie położyłam rękę na zaokrąglonym brzuchu.

Twarz Richarda natychmiast się zmieniła.

- To nie ma znaczenia! To nie ma znaczenia! - powiedział szybko. - Nie myśl o tym, Julio! Rozwiążę ten problem, nie kłopotz się tym. Położnik z Chichester, pan Saintly, powiedział,

525

że za wszelką cenę musisz unikać denerwowania się. Nie myśl już o tym więcej.

- Nie rób z tego problemu, Richardzie - odezwałam się uspokajająco.

Uniół się z krzesła, okrążył stół i podszedł do mnie. Patrzył na mnie z góry i twarz przepełniła mu troska, ale była tam także jakaś wściekła zachłanność, której nie potrafiłam wyjaśnić.

- Myślisz o mnie czy o dziecku?! - zapytałam ostro.

- O tobie oczywiście - powiedział, ale jego oczy spoczywały na moim brzuchu. - I o dziecku naturalnie też. O moim synu - dodał z tęsknotą. - O moim synu, przyszłym Laceyu, spadkobiercy Wideacre.

- Więc co z tą pszenicą? - zapytałam, przerywając te medytacje nad dzieckiem. - Nawet jeżeli ukradli parę wozów i ukryli je, nie oznacza to niczego więcej ponad to, co było im obiecane przez wuja Johna i mnie.

Trudno byłoby je znaleźć, a gdybyś nawet to zrobił i sprzedał ziarno, ludzie z Acre by cię znienawidzili. Z pewnością najlepiej będzie pozostawić wszystko tak, jak jest. Acre będzie potrzebowało ziarna na zimę, wiesz o tym. A ceny cały czas idą w górę.

Richard pokiwał głową w roztargnieniu. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął mojego zaokrąglonego brzucha.

- Tak, tak - powiedział cicho. - Nie kłopotz się tym, Julio. Uspokój się i skoncentruj na dobru dziecka, dziedzica Wideacre.

- Nie mogę się uspokoić, gdy myślę o twoim konflikcie z Acre - wtrąciłam. - Wiem, że wieś wydaje się teraz spokojna, ale przypomnij sobie, jak Ralf Megson opowiadał nam o buntach głodowych i zamieszkach, które wybuchały na tle sporów o zboże. Nie zawsze muszą być gwałtowne i niebezpieczne, ale biedni wierzą, że mają prawo do uczciwych cen zboża wyhodowanego na miejscu. Nie chciałabym, żeby Acre spróbowało wziąć prawo we własne ręce.

Zgodził się.

- Tak. I wiem też, że Megson wciąż w głębi serca jest buntownikiem.

- Być może - powiedziałam - ale on nigdy nie zwróci się przeciw właścicielom, dopóki będą postępować uczciwie. Jeżeli wziął trochę ziarna, to po to, żeby zabezpieczyć honorowanie przez ciebie umowy, którą John i ja zawarliśmy z Acre.

526

Twarz Richarda pociemniała.

- Cóż, nie myśl o tym, Julio - rzekł. - Nie chcę, żebyś się tym zamartwiała, kiedy powinnaś odpoczywać i robić wszystko, żeby dziecko było silne.

- Ale ja naprawdę się tym przejmuję - powiedziałam i pomyślałam, że bardzo sprytnie używam żarliwej troski Richarda o nasze nie narodzone dziecko przeciw twardości jego serca. - Istnieje tylko jeden sposób, żebym przestała się martwić; przestań dawać powody. Za każdym razem kiedy słyszę o kłopotach we wsi, jestem wytrącona z równowagi. Jeśli naprawdę chcesz zaoszczędzić mi zdenerwowania, posłuchaj rady pana Megsona. Wuj John nie przeciwstawiał mu się, a Megson spowodował, że Acre jednak wróciło do pracy.

Richard popatrzył na mnie twardo, chociaż wydawało mi się, że znalazłam sposób ujarznienia go. Byłam nieostrożna.

- Bardzo podziwiasz Megsona, prawda? - zapytał.

- Tak - powiedziałam. - Rzeczywiście podziwiam. Gdybyś znał go lepiej, Richardzie, gdybyś go widział tej wiosny i lata, podziwiałbyś go również. Zdziałał cuda w majątku. Wuj John zawsze mówił, że bez niego nic by z tego nie wyszło. A ludzie z Acre kochają go i ufają mu, znacznie bardziej niż komukolwiek z nas. Chciałabym, żebyś nauczył się z nim pracować, nawet jeśli go nie lubisz.

Richard pokazał swoje białe równe zęby.

- Lubię go wystarczająco - powiedział. - I zaczynam coraz lepiej go rozumieć. Zapytam go wprost o to zaginione ziarno. I postąpię w zależności od tego, co mi powie. - Z jego twarzy zniknął twarde wyraz i jeszcze raz pogładził gestem posiadacza mój brzuch. - Więc nie zamartwiaj siebie i nie zamartwiaj mojego syna - dodał z przejęciem. - Obiecuj mi, że odpoczniesz, kiedy mnie nie będzie dziś po południu.

Nie bardzo podobało mi się być kochaną jedynie jako matka spadkobiercy Wideacre. I nie podobało mi się, że Richard tak bardzo nastawiony jest na

syna. Coś starego i niebezpiecznego kryło się w sposobie, w jaki zabiegał i troszczył się o następnego spadkobiercę tej ziemi, której Laceyowie trzymali się od tak wielu lat.

Miałam wielką nadzieję, że to dziecko będzie dziewczynką i że nie zostanie właścicielką tej ziemi. Nauczę ją kochać tę ziemię tak, jak ja ją kochałam, jako najpiękniejsze, najlepsze miejsce,

527

gdzie każdy może pracować; nie tak, jak ją kochał Richard, z tą jego mroczną pasją posiadacza.

Pomyślałam, że odkryłam reguły gry i wygrałam dla Acre pszenicę na tę zimę, więc uśmiechnęłam się do Richarda i obiecałam, że odpocznę.

Dotrzymałam obietnicy i poszłam do łóżka.

Spałam, kiedy żołnierze przyszli po Ralfa Megsona.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Ósmy.

Dowiedziałam się o tym od mojej służącej Jenny Hodgett, córki odźwiernego. Spotkała się z Bobbym Milesem ze wsi. Bobby był w tawernie Busha, kiedy dwóch żołnierzy nadjechało drogą, a za nimi powóz.

Podjechali pod chatę Ralfa w perłowszary zmierzający wieczór, kiedy ptaki cicho sadowiły się do snu na gałęziach i pokazywały się pierwsze gwiazdy. Oficer milicji hrabstwa wysiadł z powozu i bez pukania wszedł do chaty Ralfa.

Wszyscy, którzy popijali u Busha, wyszli, żeby zobaczyć, co się dzieje. Kobiety stały w drzwiach, a dzieci wybiegły na drogę i patrzyły z otwartymi ustami.

Z chaty Ralfa nie dobiegł żaden hałas, nikt nie podniósł głosu. Po kilku

minutach, zakładając po drodze swoją brązową marynarkę, wyszedł Ralf z dwoma dżentelmenami po bokach. Popatrzył dookoła po wszystkich twarzach i zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć, ale wtedy jeden z mężczyzn trącił go w ramię laską - trochę impertynencko, jak uważał Bobby Miles. Ralf otrząsnął się, obdarzył słabym uśmiechem całe Acre i wspiął się niezdarnie na swoich drewnianych nogach do powozu.

- Uśmiechnął się? - zapytałam Jenny, ponieważ dla mnie znaczyło to wiele.

- Bobby mówił, że tak - zapewniła. - Powiedział, że uśmiechnął się jak wtedy, kiedy coś źle poszło przy uprawie ziemi. Mówił „psiakrew”, ale nigdy nikogo nie winił. Przepraszam za to słowo, panno Julio - dodała. Skinęłam głową.

529

- Ale co mogą mieć przeciwko niemu, za co go zabrali?

- dopytywałam się.

Popatrzyła na mnie żałośnie, jakby właśnie opuścił ją ukochany.

- Nie wie panienka? - zapytała.

Popatrzyłam na nią tępo. Miałam okropne, zimne, przerażające uczucie, że wiem. Potrząsnęłam głową zaprzeczająco.

- W młodości był buntownikiem. Dowodził całą grupą w Kent i powstaniem w Portsmouth. Nikogo wtedy nie skrzywdzono - mówiła szybko - chodziło tylko o uczciwe ceny, panienko Julio. Wiadomo przecież, jak te wszystkie bunty przebiegały, chodziło tylko o rzetelne ceny.

Skinęłam. Wiedziałam.

- A potem został przemytnikiem - mówiła cicho. Zawahała się i popatrzyła

na mnie. - Potem przez jakiś czas występował przeciwko ziemiaństwu. Nazywali go Mścicielem.

- Wiem o tym - powiedziałam. - Sam mi opowiadał. Jenny siedziała z opuszczoną głową; rzuciła mi szybkie spojrzenie.

- Nikt w Acre nigdy go nie zdradzi, nawet gdyby spalono nas żywcem - zapewniła z pasją w głosie. - Panno Julio, kto mógł wezwać ludzi z Chichester, żeby go pojмали? Czy panienka wie?

Moje ręce były zimne jak lód. Wiedziałam.

- Co się z nim stanie? - zapytałam bardzo cichym głosem.

- Z pewnością udowodnię mu udział w kilku buntach

- odparła.

Pokiwałam głową. Nie było tak wielu czarnowłosych kalek dosiadających koni w czasie powstań.

- Ale nie będą mogli udowodnić mu, że występował przeciw Laceyom - powiedziałam, jakby moja lojalność była po jego stronie, jakby to nie moją rodzinę napadł, jakby to nie on zabił moją własną rodzoną matkę.

- Nie - przyznała Jenny. Uniosła w górę fartuch, żeby wytrzeć łzy. - Ale wystarczy tylko jeden świadek któregoś buntu, żeby go wykończyć. -

Zaszlochała. - Na pewno go powieszają, panno Julio!

- Mój Boże - wyszeptałam.

530

Jenny szlochała bezgłośnie w fartuch, a ja usiadłam w fotelu, trzymając rękę na brzuchu, czując lekkie ruchy dziecka, na które tak czekał Richard.

Jeśli rzeczywiście miał to być przyszły spadkobierca, nie mogłam dopuścić, aby przejął dziedzictwo nienawiści, podejrzeń i strachu.

Niewiele mogłam dać mojemu dziecku w porównaniu z Wideacre, ale

mogłam przynajmniej zapewnić mu życie bez ciężaru odpowiedzialności za śmierć najlepszego człowieka we wsi.

Popatrzyłam na Jenny z nagłą determinacją.

- Nie dopuszczę do tego! - powiedziałam. - Nie dopuszczę, aby powieszono Ralfa Megsona za coś, co zrobił wiele lat temu. Nie dopuszczę, żeby go powiesili. Wszyscy wiedzą, że postąpił słusznie i podobnie zachowałby się każdy mężczyzna, gdyby jego rodzina i przyjaciele cierpieli z głodu. Ralf uwolnił Acre od tamtych Laceyów - nikt nie wątpi, że Beatrice nie miała racji i zasłużyła na ten bunt. Nie dopuszczę do powieszenia Ralfa Megsona.

Jenny podniosła wzrok. Wahala się co do mnie. Miałam posłuch w Acre i ona pamiętała dni, kiedy byłam jedyną dziedziczką tej ziemi i zwoływałam drużyny oraczy. Ale kiedy patrzyła na mnie teraz, widziała młodą żonę z brzuchem zaokrąglonym macierzyństwem. Widziała młodą kobietę świeżo poślubioną człowiekowi, którego ludzie się bali. Widziała dziewczynę uwięzioną w małżeństwie i ograbioną z dóbr. Nie posiadałam już władzy.

- Jak zdołasz ich powstrzymać? - zapytała.

- Jeszcze nie wiem - powiedziałam. - Coś wymyślę. Wymyślę jakiś sposób. Wybiorę się na spacer do dworu i coś wymyślę.

Skłoniła się i przytrzymała mi drzwi, kiedy wychodziłam zaczerpnąć powietrza i przemyśleć to. Ale chociaż myślałam przez całe popołudnie, nie przyszedł mi do głowy żaden plan.

Kiedy wieczorem kładłam się do łóżka, myślałam o tym, że Ralf patrzy na żółty księżyc zza krat okienka celi. Wyobrażałam sobie, jak odwraca twarz do światła i jak słabnie jego uśmiech w obliczu śmierci. Rzucałam się na poduszkach przez całą noc, aż usłyszałam pianie kogutów zwiastujące

świt. Nie spałam w ogóle.

A kiedy rozmyślałam, krążąc w kółko do dworu i z powrotem, przyspieszając coraz bardziej kroku, jakby od pośpiechu zależało, czy coś wymyślę, urzędnicy sądowi z Chichester przekazali

531

sprawę do Winchester, obawiając się zamieszek, gdyby Ralfa sądzono tak blisko domu. A sędziowie w Winchester, odważni nie bardziej od swoich kolegów z Chichester, przenieśli postępowanie do Londynu, gdzie jak mówili, Ralf miał być lepiej strzeżony, zanim znajdzie się świadków, którzy dwadzieścia lat temu widzieli bunt.

Wiedziałam, że będzie potrzebował adwokata, a londyńscy adwokaci żądali wysokich honorariów. Byłam biedna przez całe moje dzieciństwo; nosiłam buty, które uciskały, gdy rosły mi stopy, oraz łatanie i cerowane suknie, radziłam sobie bez rękawiczek. Ale tak naprawdę zdałam sobie sprawę, że jestem biedna wtedy, kiedy wyjrzałam przez okno na bogactwo jesiennych kolorów na moich drzewach, na mojej ziemi i pomyślałam, że nie mam pieniędzy, aby pomóc Ralfowi.

Mogłam poprosić o trochę pieniędzy Richarda, ale bałam się, że odgadnie, na co są mi potrzebne, i odmówi. Udałam się do babki.

- Dwieście funtów! - powtórzyła ze zdumieniem. - Julio, po cóż ci dwieście funtów?

Plątałam się, usiłując to wyjaśnić, ale kiedy zrozumiała, że to męska sprawa, zmarszczyła brwi.

- Ty już nie rządzisz w Wideacre - przypomniała mi. - Kłopoty związane z prowadzeniem majątku już nie należą do ciebie. Pytałaś Richarda, czy zapłaci za obronę tego człowieka?

- Nie - powiedziałam cicho.
- Ośmielałam się przypuszczać, że zapewne masz ku temu jakieś powody. - W jej głosie było głębokie zrozumienie. - Ale jeżeli nie możesz poprosić męża o taką sumę, niepodobna żebyś uzyskała ją gdzie indziej, Julio. Gdybym miała te pieniądze, dałabym ci je. Ale moja fortuna od ślubu przeszła pod zarząd męża, a jego lordowska mość nie daje mi takich sum. Zamilkła. Miałam wrażenie, jakby walczyła sama ze sobą.
- Dostaję tylko dwadzieścia funtów na kwartał na drobne wydatki - powiedziała bardzo cicho. - Wydaję ten fundusik do ostatka i nie mam oszczędności.

Kiwnęłam głową. Przymknęłam oczy, żeby się nie rozplakać.

- Skąd zameżne kobiety mogą brać pieniądze, jeśli ich mężowie dają im za mało? - zapytałam. Miałam niejasne pojęcie o pożyczkach pod zastaw biżuterii lub jej sprzedaży, tylko nie wiedziałam, kto się tym zajmuje.

532

Babka popatrzyła na mnie, jakbym znowu była małym dzieckiem, a ona uczyła mnie, jak trzymać nóż i widelec.

- Jeżeli mąż nie daje, to żona nie ma pieniędzy - stwierdziła beznamiętnym tonem. - Oczywiście zależy to tylko od dobrej woli męża. Popatrzyłam na nią jak głuptas, który nie rozumie po angielsku. Miałam siedemnaście lat i wciąż nie rozumiałam, że nie mam żadnych praw. Nie mam własnych pieniędzy i nie posiadam ziemi. Wszystko wokół mnie: woda, którą piłam, jedzenie, które jadłam, należały do Richarda; poślubiając go, sprawiłam, że wszystko to stało się jego własnością. I obojętnie czy z tego, co kiedyś nazywałam moim, chciałam trzech półpensówek czy trzystu funtów, musiałam prosić o nie Richarda. A on

mógł mi odmówić.

I odmówił.

Zapomniałam o własnej dumie. Powiedziałam, że Ralf Megson został moim zdaniem niesłusznie oskarżony i że chciałabym posłać mu trochę pieniędzy na opłacenie adwokata. Richard popatrzył na mnie z błyskiem w oczach, jakbym powiedziała coś niesłychanie zabawnego.

- Och nie, Julio - powiedział, a głos miał ciepły i pobłażliwy. - Z całą pewnością nie.

Dni stawały się chłodniejsze, było szaro, kiedy budziłam się rano, i zmierzchało w porze obiadu. Nie zrobiłam nic, żeby pomóc Ralfowi Megsonowi w odległym londyńskim więzieniu. Jenny Hodgett powiedziała mi, że wieśniacy zebrali oszczędności i poprosili pastora Pearce'a, żeby wysłał je do Londynu. Pastor rozdarty pomiędzy strachem przed przestępcami i mordercami a współczuciem dla rozpaczliwej Acre dołożył małą sumę od siebie i skontaktował się ze swoim kuzynem; poprosił go, żeby zobaczył się z Ralfem w więzieniu i zabiegał o obniżenie opłaty.

Tak jak przeczuwałam, nadszedł czas, kiedy ani Ralf nie był w stanie pomóc mnie, ani ja nie byłam w stanie pomóc jemu.

Byłam bardzo samotna.

Jesienią wiejskie okolice są bardzo piękne. W Wideacre świat wydaje się pełen kolorów, aż nie można uwierzyć, że jaskrawe liście kiedykolwiek opadną. Wśród krzewów lśni mnóstwo jagód; krzaki dzikich róż obsypane są owocami podobnymi do zwiniętych tulipanów, czerwieni się głóg, na ciemnozielonych liściach rozkłada swoje czarne owoce jeżyna.

Kiedy liście orzechów zaczęły opadać wielkimi żółtymi wachlarzami na drogę, chodziłam do lasu naprzeciw Dower House. Zapuszczałam się dość daleko, błądząc bez celu; trzymałam się drzew, jakby one mogły dodać mi otuchy, której nie zapewniały puste błonia.

Czasami podczas spacerów opierałam się o drzewo i patrzyłam w górę na niebieskie niebo ozdobione wzorem z miedzianych, żółtych i pomarańczowych liści. Zjadałam garść jeżyn albo otwierałam z trzaskiem orzeszki bukowe i wyłuskiwałam ich słodkie owoce. Przytulałam się do chropowatej kory drzew i próbowałam nasłuchiwać bicia serca tej ziemi. Ale zupełnie nic nie słyszałam.

Próbowałam przypomnieć sobie dobre chwile mego życia i okazało się, że nie było ich zbyt wiele. Wiedziałam, że Kocham Richarda miłością, której korzenie tkwiły w dzieciństwie, ale nie umiałam doszukać się szczęścia w tym, że w końcu ziściły się nasze marzenia i byliśmy właścicielami na Wideacre.

Pomyślałam, że stało się tak, ponieważ przestałam czuć, iż Wideacre jest moim rodzinnym domem. Acre już się zmieniło, a zmieni się jeszcze bardziej, kiedy na polach zabraknie Ralfa z oraczami. Ja zajmę się nowo narodzonego dzieckiem, nie dla mnie już będą uśmiechy i zawołanie „przyspieszyć orkę!”

Wiedziałam, że Richarda także nie czeka radość. Ta szczególna magia Wideacre - sprawiająca, że panowie i chłopcy próbowali pracować wspólnie - przeminęła. Nigdy więcej najszybszy zespół żniwiarzy w hrabstwie nie będzie świętował swojego triumfu u Busha w Acre. W przyszłym roku będą najemnikami, płatnymi robotnikami. Nigdy więcej nie staną po pas we własnej pszenicy i nie będą się śmiali, ciesząc się z bogactwa tej ziemi,

która wydała taki plon, i nie będą się chępić swoją sprawnością żeńców. Acre było inne i ja też byłam inna.

Ciągle opłakiwałam mamę. Nawet teraz, po prawie dwóch miesiącach. Nawiedzała mnie w snach, co sprawiało, że byłam szczęśliwa, kiedy spałam, ale długo szlochałam żałośnie po przebudzeniu. Śniłam raz, że siedziałam przed lustrem, przypinając kapelusz, kiedy ona weszła do pokoju z naręczem kwiatów. We śnie zawołałam: „Mamo, och, mamo! Myślałam, że nie żyjesz!”, a ona powiedziała z takim słodkim uśmiechem: „Och nie, moje kochanie. Nigdy nie zostawiłabym cię w takich tarapatach”. Byłam przekonana, że ona żyje i nadal mnie kocha, ale kiedy zbudziłam się

534

w cichym uśpionym domu, uświadomiłam sobie raz jeszcze, że ona już nigdy nie nazwie mnie swoim kochaniem.

Śniłam, że przyszła do salonu i zapytała, gdzie zniknęły jej suknie.

Wyjąkałam coś, że rozdałam je, ponieważ sądziłam, że ona nie żyje.

Wtedy roześmiała się czystym miłym śmiechem i zawołała przez okno Johna, żeby podzielić się z nim tym żartem. Patrzyłam od jednej roześmianej twarzy do drugiej i byłam pewna, że zaistniała jakaś głupia pomyłka i moja kochana mama wciąż żyje.

Nie mogłam pogodzić się z jej śmiercią. Babka Havering nalegała, żebym doszła z tym do ładu i wytłumaczyła sobie, iż to się naprawdę stało.

Uśmiechałam się niewyraźnie i milczałam.

Nie pogodziłam się z tą myślą, ale i nie uciekałam przed nią. Po prostu nie mogłam uwierzyć, że nigdy jej nie zobaczę. Często płakałam z tęsknoty za mamą podczas moich długich spacerów, z tęsknoty za jej dłonią na moim

czole, za jej uśmiechem i miłością w głosie. Niekiedy równocześnie myślałam o tym, że nigdy więcej jej nie zobaczę i że to niemożliwe, by ona opuściła mnie na zawsze.

Byłam bardzo samotna.

Nigdy przedtem nie zauważyłam, jak jesień zatrzymuje nas w domu. Kiedy zrobiło się zimniej i musiałam skrócić spacer, większość czasu spędzałam w salonie. Czasami przesiadywałam przed huczącym kominkiem i usiłowałam cieszyć się domem i ciepłem, a kiedy indziej siadałam przy oknie z twarzą przyciśniętą do szyby, patrzyłam na deszcz spływający po zimnym szkle i czekałam zmierzchu, a później nocy i snu, który często nie przychodził, więc oczekiwałam poranka.

Stawałam się coraz bardziej ociężała i zmęczona, ale także niecierpliwa z powodu niezdarnego ciała, które trzymało mnie uwięzioną w tym małym pokoju, podczas gdy Richard mógł jeździć konno do Acre i z powrotem, wyjeżdżać na błonia albo wpadać do domu jakiegoś dzierżawcy i wpraszać się na obiad.

Cieszył się popularnością tylko wśród naszych bogatych sąsiadów. Dla biedniejszych gospodarzy zyski wiązały się z korzystną sytuacją Acre. Dochody z gospodarstw uzupełniali tygodniówkami za pracę najemną i potrzebowali Wideacre jako pracodawcy. Kupowali od nas dużo pszenicy, paszy i słomy po uczciwych cenach. Jednakże najwięksi gospodarze w okolicy hołowali rządowi silnej ręki i sprzedazy po wysokich cenach; podobał się im

535

pański sposób, w jaki Richard potępił „te nowomodne trendy”, zrównujące wszystkich, którzy pracują na roli.

Zawsze było u nich miejsce za stołem dla przystojnego młodego dziedzica, a Richard wracał z tych obiadów w dobrym humorze, pijany, połączony pochlebstwami, tryskający wdziękiem i próżnością.

Odkąd stał się właścicielem Wideacre, czuł się coraz silniejszy. Nikt nie był w stanie mu się sprzeciwić, a skargi na niego we wsi były tak ciche, że tylko ja mogłam je dosłyszeć.

Stawał się coraz bardziej zadufany w siebie. A ja byłam grubą zmęczoną kobietą przesiadującą samotnie w saloniku, tęskniącą za nieżyjącą mamą i za uwięzionym przyjacielem i bojącą się narodzin następnego Lacey'a, dziedzica tej ziemi.

Ale został mi jeszcze jeden przyjaciel.

Myślałam o nim. Myślałam o nim prawie codziennie od śmierci mojej mamy. Myślałam o nim bez wstydu. Nie myślałam o mężczyźnie w sposób, jaki nie przystoi zamężnej kobiecie. Myślałam o młodym człowieku, który był częścią mojego beztroskiego dzieciństwa, kiedy obie z mamą byłyśmy tak szczęśliwe, owego krótkiego sezonu w Bath.

Myślałam o Jamesie.

Był młody, bogaty i wiedziałam, że wyświadczy mi grzeczność, jeśli go poproszę.

Wstałam z fotela i zapaliłam świecę na okapie kominka. Poszłam do biblioteki i wyciągnęłam szufladę z papierem listowym, kopertami i woskową pieczęcią. Wzięłam pióro, atrament i wróciłam do saloniku, pokoju kobiet w tym domu. Myślałam, że będę miała kłopot z napisaniem tego listu, ale poszło mi tak łatwo i prosto jak rozmowy z nim przez wszystkie te miesiące, kiedy jeździliśmy powozami i tańczyliśmy w Bath.

Drogi Jamesie!

Będziesz zdumiony moim listem, ale wiem, że zrozumiesz, iż piszę do Ciebie, ponieważ potrzebuję Twojej przyjaźni. Nie dla siebie, ale dla mojego przyjaciela, który znalazł się w kłopotach.

Pamiętasz może Ralfa Megsona, zarządcę w naszym majątku? Został aresztowany pod zarzutem karygodnego udziału w buntach i przeniesiony do Londynu, zanim mogłam mu udzielić pomocy. Wierzę, że może dadzą mu jakiegoś adwokata, ale niepokoję się o niego.

536

Sprawiłoby mi wielką ulgę, gdybyś zobaczył się z nim i upewnił, czy ma obrońcę i odpowiednie fundusze.

Obojętnie ile potrzebuje pieniędzy, oddam Ci tak szybko, jak będę mogła. Proszę, bądź tak uprzejmy, udziel mu niezwłocznie pomocy, bo sprawa jest bardzo pilna.

Wybacz mi tę prośbę o pomoc, ale nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym się zwrócić.

Twoja przyjaciółka Julia MacAndrew (z domu Lacey).

Niczego lepszego nie mogłam zrobić w tym pośpiechu i zmartwieniu o Ralfa. Opieczętowałam list pieczęcią Laceyów i wezwałam Jenny do salonu.

- To dotyczy pana Megsona - powiedziała jej. Choć wiedziałam, że Richarda nie ma w domu, mówiłam szeptem. Popatrzyła na drzwi, czy są dokładnie zamknięte. - Zanieś ten list do wsi i daj Jimmy'emu Dartowi. I powiedz, żeby upewnił się, czy pan Fortescue otrzymał go. Najlepiej będzie, jak dostarczy go do ich domu w Bristolu. Mam nadzieję, że pan Fortescue pomoże panu Megsonowi.

Jenny skinęła głową. Potem wzięłam głęboki oddech.

- Mój mąż nie życzyłby sobie, żebym pisała do pana Fortescue - powiedziałam. Mówiąc to, poczerwieniałam ze wstydu. - Zatrzymaj to dla siebie, Jenny. Robię to, by bronić Ralfa.

Pokiwała głową, miała ostre spojrzenie.

- Rozumiem - odezwała się ponownie. - Zaraz zaniosę. Pani Gough nie zauważy, że wyszłam, jeśli panienka przez najbliższą godzinę nie zadzwoni.

- Nie zadzwonię. - Podeszłam do swojego biureczka. - Daj Jimmy'emu tę gwineę na podróż. I powiedz mu, żeby się spieszył.

W jej smutnych oczach dostrzegłam cień uśmiechu.

- Uwolnimy go, panno Julio! - powiedziała. - Jestem tego pewna!

Patrzyłam za nią biegnącą do wsi.

Pozostało mi tylko czekać na odpowiedź!

Przypuszczałam, że James Fortescue napisze, dopiero kiedy zobaczy się z Ralfem, więc tłumaczyłam sobie, że muszę być cierpliwa co najmniej przez tydzień. Ale wyglądałam powrotu Jimmy'ego.

537

Sądziłam, że natychmiast przyjedzie do Dower House, żeby opowiedzieć, jak mu poszło. Czekałam cierpliwie przez trzy dni. Czwartego zaczęłam się martwić. Piątego kazałam przygotować powóz i pojechałam do Acre.

Chata Ralfa Megsona, gdzie teraz Jimmy mieszkał samotnie, była zamknięta. Jimmy więc jeszcze nie wrócił. Z nasuniętym na głowę kapturem chroniącym przed zimną mżawką bardzo ostrożnie przeszłam w grząskim błocie na drugą stronę drogi, do Rosie.

Drzwi były otwarte, przed wygaszonym kominkiem stał bezradny Nat.

Rosie zawiązywała węzeł na chuście wypchanej czymś, co jak się

domyślałam, było całą jej garderobą i może odrobiną jedzenia.

- Co się stało? - zapytałam.

Odwrócili się na odgłos moich kroków na progu. Żadne z nich nie odpowiedziało uśmiechem na słowo powitania. Rosie patrzyła, jakby mnie tam nie było.

Nat walczył ze sobą, żeby mi odpowiedzieć.

- Chodzi o Jimmy'ego - rzekł w końcu. Głos wciąż miał zachrypnięty po latach oddychania sadzami, a teraz jeszcze bardziej ze zdenerwowania. - Zabrali go urzędnicy sądowi z Winchester za włóczęgostwo. Zatrzymali go w przytułku dla ubogich. Rosie jedzie go wydostać.

Tępo przenosiłam wzrok z jednej twarzy na drugą.

- W Winchester? - zapytałam. - Kiedy?

- Nie wiemy - odparł Nat. - Powiedział tylko, że miał dostarczyć potajemnie wiadomość do Bristolu. Mogli wziąć go w drodze do domu.

- To moja wina! - zawołałam z rozpaczą. - Ja wysłałam go z wiadomością. Ale dałam mu gwineę na opłacenie przejazdów. Nie mogą aresztować człowieka, który ma gwineę na podróż.

- Może natknął się na oddział wcielający siłą do wojska i stawiał się - zasugerował Nat. - Albo nie zdjął kapelusza przed tym co trzeba. Mogą go aresztować za nic, panienko Julio, jeżeli tylko zechcą.

- Co zamierzasz zrobić, Rosie? - zapytałam. Odezwała się do mnie po raz pierwszy.

- Pastor Pearce dał mi list do władz przytułku i trzy gwinee, które powinny wystarczyć na opłacenie grzywny.

538

- A zatem przywieziesz go tutaj - powiedziałam. Rozejrzałam się po

pokoju. Nieliczne rzeczy Rosie były spakowane, z paleniska zniknął rondel.

- Dostałam nakaz opuszczenia domu - odrzekła. - Jimmy również.

Wczoraj przyszedł list od pani męża, pana dziedzica. Mam się natychmiast wynieść. Jimmy też dostał wypowiedzenie.

- Richard was wyrzuca? - zapytałam z niedowierzaniem. Spojrzała na mnie, twarz miała zaciętą. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby patrzyła na mnie w ten sposób.

- Tak - powiedziała. - Wydaje się, jakby to było wczoraj, kiedy panienka nas tu sprowadziła. Wtedy byłam szczęśliwa, ale teraz myślę, że tak jest gorzej; byliśmy tutaj, planowaliśmy przyszłość i nagle tracimy to wszystko.

- Porozmawiam z nim... - obiecałam szybko.

Jej wzruszenie ramion sugerowało, że moje obietnice są bezwartościowe.

- My wiemy, że panienka nie może nic zrobić - odparła. - Panienka poślubiła niewłaściwego mężczyznę, żeby dać dziecku nazwisko. My to rozumiemy. Od dzisiaj nie spodziewam się od panienki niczego dobrego.

- Rosie! - To był mój krzyk o przebaczenie. Uśmiechnęła się do mnie swoim zmęczonym uśmiechem.

- To na nic, panno Julio.

Podniosła zawiniątko i wręczyła Natowi, który zarzucił je sobie na plecy i ruszył pierwszy w szarą wilgoć.

- Dokąd pójdziesz? - zapytałam.

Odwróciła się w drzwiach, żeby mi odpowiedzieć. Na zewnątrz mżawka przeszła w deszcz ze śniegiem, przesywającą ulewę mokrego lodu.

- Z powrotem do Bath - odrzekła. - Znajdę jakiś pokój i zacznę znowu

haftować rękawiczki. Wiem, że w Bath je sprzedam, no i trochę znam to miasto.

Nie odezwałam się, bo cóż mogłam powiedzieć? Rosie skinęła mi głową w milczeniu. Zarzuciła szal i wyszła na zimno.

Wezwałam powóz i wróciłam do domu.

Pogoda pogorszyła się. Mieliśmy długi tydzień gęstej mgły, kiedy nawet Richard rzadko wyjeżdżał, a potem trzy dni deszczu. Codziennie nowy stajenny Richarda, George, brnął z trudem przez

539

błoto albo jechał na ślizgającym się koniu z pocztą; ale nie przywoził mi wiadomości od Jamesa.

Myślałam o wszystkim.

Najgorszy był strach, że Jimmy'ego aresztowano w drodze do Bristolu i że nie wypełnił swojej misji. Ale wierzyłam w Jimmy'ego. Dla Ralfa przeszedłby pieszo przez Avon, a w Jamesa wierzył jak w cudotwórcę. Przebyłby ogromne odległości, żeby dostarczyć wiadomość. I miał dość sprytu, żeby w razie czego wysłać list pocztą - nawet z więzienia.

Ale bałam się także, że wiadomość dotrze za późno. Może już powieszono Ralfa Megsona, a James nie miał odwagi mi powiedzieć. Desperacko trzymałam się nadziei, że Ralf uciekł, a James poszukuje go i nie pisze, dopóki nie uzyska jasnych informacji. Możliwe, że spotkali się i Ralf zakazał Jamesowi przesyłania mi wiadomości, dopóki sprawa nie ucichnie. Zastanawiałam się nawet, czy James mógł zignorować mój list, ale nie wierzyłam w to. Wiedziałam, że nie zrobiłby tego. Lubił i podziwiał Ralfa. I zawsze był wobec mnie szlachetny.

Sądziłam, że przemyślałam wszystko.

Przemyślałam każdą możliwość, z wyjątkiem jednej, oczywistej. Głupia jak dziecko, nie pomyślałam zupełnie o tym jednym.

Wstawałam wcześniej rano, okrywałam się szalem i cicho schodziłam na dół, żeby wypić poranną czekoladę w saloniku, skąd mogłam widzieć przyjazd George'a z londyńskiej stacji dylizansów z pocztą.

Nigdy nie przyjeżdżał wcześniej niż przed siódmą lub ósmą, więc równie dobrze mogłam pozostać w swoim pokoju; ale w głębi duszy miałam nadzieję, że moje czuwanie poskutkuje. Kiedy szara mgła opadła wzdłuż drogi, pomyślałam sobie, że może Ralf, siedząc na stercie brudnej słomy w celi w Londynie, właśnie otwiera szeroko oczy na wiadomość, że James Fortescue zaangażował dla niego dobrego prawnika, i przekonuje się, że pozostałam jego przyjaciółką i że moja przyjaźń ratuje go z opresji.

Richard zobaczył mnie tam pewnego ranka i zapytał, co robię.

Powiedziałam mu, że tylko siedzę i patrzę na zamglony ogród, nie robiąc nic. Uśmiechnęłam się z roztargnieniem, by zasugerować, iż jest to kaprys ciężarnej kobiety, a Richard pokiwał głową i wyszedł kuchennymi drzwiami na stajenne podwórze.

Usłyszałam śmiech pani Gough, kiedy przechodził przez kuchnię, i pomyślałam z urazą, że zawsze najbardziej lubiła jego.

540

Następnego dnia znowu był wcześniej na nogach i zobaczył mnie przy oknie salonu.

Znowu powiedziałam mu, że jestem rozdrażniona i chcę posiedzieć przy oknie, obserwując Jenny rozpalającą ogień; jej pewne, zdecydowane ruchy uspokajają mnie. Richard skinął głową, jakby rozumiał, a za jego olśniewającym uśmiechem kryła się nieuchwytna groźba.

Na trzeci dzień też tam był, kiedy George zastukał kołatką i usłyszałam Stride'a idącego przez hol i otwierającego drzwi.

Miał listy dla jaśnie państwa.

Miał list dla mnie.

Stride przyniósł go na srebrnej tacy, a Richard zatrzymał się w drodze do drzwi.

- Kto może do ciebie pisać, Julio? - zapytał z zainteresowaniem.

Dostałam wypieków.

- Pewnie Sarah Collins - skłamałam gładko. Oczy Richarda były bardzo ciepłe i ufne.

- Więc otwórz go - zachęcił mnie jedwabistym głosem. Szczególna słodycz tego tonu powinna była mnie ostrzec, ale myślałam tylko o tym, jakie wiadomości o Ralfie zawiera gruby list.

- Otworzę później - powiedziałam wstając i podchodząc do drzwi.

Kiedy przechodziłam obok Richarda, złapał mnie za nadgarstek i zatrzymał. Zamarłam w miejscu, instynktownie przyciskając do siebie list. Jego twarz nie była rozzłoszczona; nie było w niej nic, czego można by się bać. Uśmiech miał słodki jak majowy poranek.

- Otwórz go tutaj - nakazał. - Przeczytaj ten list tutaj. Wiem, że dziewczęta mają sekrety. Nie proszę, żebyś mi go pokazała, właśnie wychodzę. Siadaj i przeczytaj go tutaj, moja kochana.

Zamrugałam zdumiona jego pieszczotliwym tonem. Pchnął mnie lekko na krzesło przy stole i cofnąwszy się, oparł o ścianę, kiedy podważyłam górną część koperty i zerwałam pieczęć.

Nie przyjrzałam się jej uważnie.

W środku nie było listu. Przesyłka zawierała osiem kawałków podartego

papieru i rozerwaną kopertę, zwinięte razem w niezgrabny pakiecik.

Niepomna, że Richard mnie obserwuje, wyciągnęłam

541

te podarte świstki, rozłożyłam przed sobą na stole i zaczęłam składać je w całość.

Na kopercie było moje pismo: JWPan James Fortescue.

Opadłam na oparcie krzesła, a serce biło mi tak szybko, że złękłam się o dziecko, które na razie spokojnie spoczywało, w bezpiecznym schronieniu mojego ciała. Jęknęłam z rozpacz.

W pierwszej chwili pomyślałam, że James Fortescue rozpoznał moje pismo, podarł list w złości i odesłał go, żeby mi dokuczyć. Ale zawahałam się, wiedziałam, że krzywdzę go takim podejrzeniem. James nie był zawzięty. James zawsze był szlachetny.

Znałam tylko jednego człowieka, który mógłby posłać mi skrawki papieru. Spojrzałam na Richarda i zobaczyłam głęboką zapiekłą złość.

- Napisałaś do innego mężczyzny - powiedział.

Nie odzywałam się. Poczułam mrowienie w palcach, słyszałam w głowie buczący dźwięk. Wyczuwałam niebezpieczeństwo jak dym na wietrze.

- Napisałaś do innego mężczyzny. Myślałaś, że ukryjesz ten list przede mną.

W cichym głosie czaiła się groźba.

- Spowodowałem aresztowanie Jimmy'ego Darta - powiedział. -

Obserwowałem go od dłuższego czasu. Wiedziałem, że spróbujesz mnie zdradzić. Byłem przygotowany na twoją niewierność.

Gwałtownie zaczerpnęłam oddechu.

- Richardzie... - wyszeptałam błagalnie.

Patrzył na mnie lodowato. Był moim mężem i panem. On był dziedzicem i wiedział o tym. Och, doskonale wiedział.

- Nie życzę sobie tego - powiedział tylko.

Mógł narzucać swoje reguły Wideacre, Acre i mnie aż do skończenia świata. Richard był dziedzicem i miał władzę od Boga.

- Nie będę tego tolerował - dorzucił i wiedział, że jego słowo jest prawem.

- Chciałaś wyjść za mnie. - W jego głosie zabrzmiały nutki triumfu. -

Zrobiłem, jak sobie życzyłaś. Teraz jesteśmy małżeństwem, a ty będziesz się zachowywała jak przyzwoita żona. Nie będziesz pisała do innych mężczyzn, a już z całą pewnością nie o naszych sprawach. Zapewniam cię, że istnieją sposoby powstrzymania cię od tego.

542

Zawahał się i czekał, czy się nie poskarżę. Ale nie powiedziałam nic.

Skrawki papieru leżały przede mną na stole jako żalosne świadectwo mojej porażki. Wpatrywałam się w nie niewidzącymi oczami i myślałam o krótkim liście, którym miałam nadzieję uratować Ralfa. Wiedziałam, że mnie nic już nie może pomóc, ale miałam nadzieję, że pomogę Ralfowi uciec z tonącego okrętu, jakim było Wideacre.

- Musisz nauczyć się, gdzie jest twoje miejsce, Julio - powiedział cicho Richard.

Skłoniłam przed nim głowę niewolniczo. Rzeczywiście muszę się tego nauczyć.

Od tamtego zdarzenia zaniechałam buntu. Położnik z Chichester odradził mi długie spacerowanie, zresztą pogoda była zła, więc nie szukałam pomocy u mokrych buków ani w smutnym szmerze Fenny. Bezpieczniej czułam się w domu.

Już nie wstawałam wcześniej, żeby czekać na pocztę; w niektóre dni wcale nie chciało mi się wstawać. Leżałam w łóżku w sypialni mamy, ponieważ Richard nalegał, żebym zamieniła moją sypialnię na najlepszą w domu, i obserwowałam, jak szary sufit blednie o świcie, żółknie w świetle południa i ciemnieje o zmierzchu. Nieraz nie ruszałam się z łóżka przez cały dzień.

Nikt mi nie przeszkadzał. Nikt nie kłopotał mnie więcej wiadomościami z Acre. Nie miałam żadnych wiadomości o Ralfie. Nic nie wiedziałam o ziemi. Leżałam jak wieloryb wyrzucony na pusty brzeg, trwając w bezruchu.

Największym wysiłkiem, na jaki sobie pozwalałam, było zejście na dół na czas powrotu Richarda na obiad, po to, żeby nie przychodził do mojego pokoju. Nawet nie zwracałam sobie głowy dzwonieniem po świecę, przy kominku obserwowałam migające płomienie i zastanawiałam się, co się ze mną stanie, kiedy przyjdzie rozwiązanie, i czy to uczucie unoszenia się w powietrzu, tonięcia skończy się kiedykolwiek.

- Siedzisz w ciemności? - zapytał Richard. Drzwi salonu otwały się tak cicho, że kiedy się odezwał, serce podskoczyło mi do gardła.

- Musiałam się zdrzemnąć przy ogniu! - krzyknęłam. - Jak ciemno!

- Mówią, że zbliża się burza - powiedział.

543

Zdjąwszy marynarkę do konnej jazdy, podszedł do kominka, żeby osuszyć tył swoich spodni z cielecej skóry. Siedziałam w ulubionym fotelu mamy, a on stał nade mną. Dzięki jeździe konnej i pracy zmęźniał. Był przystojny, aż dech zapierało, z oczami tak niebieskimi i niewinnymi jak u dziecka, z ciemnymi włosami, miękkimi i sprężystymi jak jagnięce runo.

- Spotkałem po drodze pastora Pearce'a z wikarym - powiedział Richard. Pochylił się nade mną i szarpnął za dzwonek, żeby przyniesiono świece. - Zaprosiłem ich na obiad.

- Dzisiaj? - zapytałam ospale. Pani Gough miała przygotowany tygodniowy jadłospis, ale z pewnością skorzysta z okazji, żeby przypodobać się Richardowi.

- Tak - odparł Richard. - Przyjadą około czwartej i potem pogramy w wista.

Popatrzyłam na zegar nad okapem kominka. Było dziesięć po trzeciej.

- Zawiadomię panią Gough - powiedziałam. Richard niedbale wyciągnął rękę i pomógł mi wstać z fotela. - I przebiorę się - dodałam.

- Nareszcie! - rzekł. - Jestem zmęczony oglądaniem ciebie przez cały czas w tej posępnej czarnej sukni. A im bardziej tyjesz, tym gorzej wyglądasz. Zatrzymałam się w drodze do drzwi. Pewnie przez mój ogólny stan i fakt, że właśnie się zbudziłam, twarde nuty w jego głosie sprawiły, że łzy napłynęły mi do oczu. Bez mamy, która odeszła, i bez Ralfa, którego nie było, nie mogłam znieść złośliwych nastrojów Richarda.

- Och, Richardzie - powiedziałam z wyrzutem - nie jestem gruba, tylko jestem w ciąży. To jest po prostu duże dziecko.

Richard stał w rozkroku przed kominkiem. Drgające płomienie sprawiły, że jego cień podskakiwał, wielki jak olbrzym na ścianie za mną.

- Cóż, dla mnie wyglądasz cholernie grubo - stwierdził z okrucieństwem. - Biegnij porozmawiać z panią Gough, a potem załóż wieczorową suknię i jakąś biżuterię, żeby ją przystroić. W końcujemy obiad w domu i pastor Pearce nie będzie miał nic przeciw temu.

- Tak naprawdę to nie mam biżuterii - wyszeptałam. Myślałam o

naszyjniku z różowych pereł, zabranym przez rozbójnika. Mama mówiła, że zostawi mi go w spadku. Teraz nie żyła,

544

a naszyjnik prawdopodobnie leżał w jakimś okropnym sklepieniu zastawiony za wódkę i nie zobaczę go nigdy więcej, tak jak i mamy.

- Włóż tę ładną, lśniącą lejącą się suknię z jedwabiu

- zarządził Richard. - Przyjdę do ciebie na górę, kiedy umyję się i przebiorę.

Skinęłam pokornie głową i wysliznęłam się z pokoju. Porozmawiałam z panią Gough, która na wieść o przyjęciu eksplodowała gejzerem aktywności. Ze sposobu, w jaki tłukła garnkami, wiedziałam, że stworzy obiad godny książęcego stołu, ale teraz kuchnia była niebezpiecznym terytorium.

Weszłam na górę i zawołałam Jenny, żeby pomogła mi się umyć.

Tęskniłam za gorącymi kąpielami, ale z moim wielkim brzuchem nie mieściłam się w wannie. Teraz stałam wyprostowana, a Jenny polewała mi plecy wodą.

- Na pewno pomyliła się pani co do daty, panno Julio

- powiedziała. - Takie wielkie dziecko, z pewnością to już niedługo.

- Nie - rzekłam stanowczo. Trudno byłoby mi pomylić datę w przypadku tego feralnego majowego poranka. - Jeszcze zostały przynajmniej dwa miesiące. Termin jest przewidziany na koniec stycznia. Mam jeszcze przed sobą cały grudzień.

Wygładziła czarną jedwabną suknię i pomogła mi zapiąć guziki z tyłu.

Suknia była może zbyt uroczysta jak na obiad w domu w małym gronie, ale nie miałam nic przeciwko ubraniu się tak, jak prosił Richard. Mogę nie

mieć następnej szansy. Nikt nie odwiedzał nas wieczorami, a Richard i ja nie chodziliśmy na prośzone obiady. Drogi były złe, wieczory ciemne, a wszyscy w hrabstwie wiedzieli, że jestem w ciąży, która zaczęła być widoczna zaraz po ogłoszeniu naszego ślubu. Nie zostałam zhańbiona - babka dopilnowała tego - ale z pewnością nie byliśmy najpopularniejszą parą w hrabstwie.

Zostanie nam to wynagrodzone z nadejściem wiosny, kiedy dziecko przyjdzie na świat i będziemy mogli wyjeżdżać z wizytami, a nasz wielki nowy dom stanie pod dachem, już prawie gotowy. Nauczyłam się w Bath, że nikt nie będzie nas ignorował, jeśli nasz majątek będzie dochodowy, przeprowadzimy się do dużego domu, zatrudnimy kilkunastu służących i pojedziemy w sezonie do Londynu. Pomyślałam przez chwilę, jak będzie wyglądał ten sezon z Richardem, bez mamy, bez spotkań z przyjaciółmi.

545

Bez Jamesa.

Wzdrygnęłam się. W sercu czułam jakiś ból, stały, jednostajny ból. Opłakiwałam mamę. Opłakiwałam moje panieństwo i utratę jedynej mężczyzny, którego kochałam. Byłam zadowolona, że ubieram się w czerń, i jeśli miałam założyć czarną wieczorową suknię, to mogłam to zrobić tylko w domu. Tak jak dzisiaj wieczoru.

- Prześlicznie - powiedziała Jenny. - Pięknie pani w tej sukni, panienko Julio.

Odwróciłam się i popatrzyłam na siebie w lustrze. Głęboki połysk miękkiego jedwabiu sprawił, że moja twarz stała się zagadkowa i odległa. Szerokie fałdy z przodu sukni, zaczynające się wysoko nad talią, ukrywały coraz większy brzuch. Jedyнным znakiem mojej ciąży były zaokrąglone

mocno piersi; dwie półkule ściśnięte w kwadratowym wycięciu stanika.

Podeszłam bliżej lustra i przyjrzałam się sobie uważnie.

Znowu zobaczyłam dziewczynę, którą nazywano najładniejszą dziewczyną w Bath. W żalu za mamą, w samotności i niechęci do własnego ciała, które zdradziło mnie przez swoją płodność, zapomniałam o tym, że byłam piękną dziewczyną. A tej ponurej jesieni stałam się piękną kobietą.

Zaokrąglone piersi były obietnicą zmysłowości, a przesuwający się pod śliskim materiałem brzuch dowodem płodności. Ciemny tajemniczy jedwab podkreślał smukłość pleców, a kremowy odcień cery pogłębiał szarą barwę moich oczu. Uśmiechnęłam się do swojego odbicia z prawdziwym zdziwieniem. Ładna, wyraźna linia kości policzkowych, wesoło uniesione w górę kąciki ust były znajome, ale cienie w oczach były nowe i one właśnie przeobraziły mnie z obiecującej dziewczyny w piękną i pociągającą kobietę.

- Och, warto się było przebrać, prawda? - szczebiotała Jenny. - Czy mogę teraz uczesać panienkę?

- Tak, proszę. - Usiadłam przed toaletką mamy i przyglądałam się sobie, kiedy Jenny czesała długimi pociągnięciami moje włosy opadające łagodnymi falami prawie do pasa.

W tafli lustra zobaczyłam, jak w ciemności pokoju otwierają się drzwi i wchodzi Richard. Nie zdawał sobie sprawy, że go widzę, ponieważ patrzył, jak Jenny starannie czesze i podnosi jeden gruby pukiel za drugim. Wyraz jego twarzy sprawił, że przeszły mnie dreszcze,

546

choć w pokoju było ciepło. Zdumiałam się, kiedy wszystkie włosy na

karku uniosły mi się drgając, jakby żyły własnym życiem.

Poruszył się, a Jenny podskoczyła i cicho pisnęła.

- O, proszę mi wybaczyć, sir. Nie wiedziałam, że pan wszedł!

W jej głosie usłyszałam ton, którego nigdy wcześniej nie zauważyłam, i przez chwilę nic nie mówiłam, zastanawiając się nad tym. Wtedy zrozumiałam, że mówiła odrobinę za szybko i za wysokim tonem. Ona bała się Richarda. Cała służba domowa, wieś i majątek bały się Richarda. I ja - jego żona - bałam się go również.

Uśmiechnął się.

- Możesz już odejść, Jenny, jeżeli skończyłaś ubierać panią. Skinęłam głową, nie ruszając się z miejsca, a Jenny dygnęła z ręką uniesioną w dziwnym geście, jakby ochraniającym gardło. Potem wyszła z pokoju. Richard podszedł i stanął za mną, tam gdzie stała Jenny, gdy czesała mi włosy. Napotkałam jego oczy w lustrze i zastanawiałam się, czego on ode mnie chce.

- Podoba mi się ta sukienka - powiedział. Przejechał palcami po mojej szyi, potem pogładził lekko opadającą linię szyi do ramion i w górę do odkrytego ucha. Zadrżałam pod jego dotykiem i zobaczyłam w lustrze, jak rozszerzają się źrenice moich oczu, które przez to stały się jeszcze ciemniejsze.

- Przyniosłem ci coś - dodał miękko po chwili. - Coś, co ci się na pewno spodoba.

Uśmiechnął się.

Zastanawiałam się nad tym uśmiechem, obserwując jego twarz w lustrze, które kiedyś odbijało mamę. Nie był to śmiech, którym zwykle pokrywał gniew, więc nie powinnam niczego się obawiać. Nie był to też jego

naturalny uśmiech. Ten był kochający i czuły, ale krył się za nim jakiś żart, który jak sądziłam, nie ucieszy mnie.

Skinęłam ostrożnie.

Richard podniósł klapę kieszeni i poszperał w jej głębinach. Miał na sobie marynarkę z czarnego aksamitu i kremową koszulę; klapy kieszeni obramowane były czarną satynową taśmą. Patrzyłam na jego odbicie w lustrze tak uważnie, że zauważyłam na tej taśmie odblask światła świec, które stały z drugiej strony zwierciadła.

547

- Mam nadzieję, że ci się to spodoba - mówił słodko. Głos mu drżał, jakby starał się zdusić chichot. - Naprawdę. Jestem pewien, że ci się spodoba!

Przyglądałam się w lustrze jego oczom, w których igrała chłopięca radość.

Wtedy poczułam chłodny dotyk naszyjnika wokół gardła.

Chłodny dotyk okrągłych, doskonale dobranych pereł.

Różowych pereł.

Różowych pereł mamy.

Różowych pereł mamy zabranych przez rozbójnika, który zastrzelił ją i zostawił martwą na drodze.

Wyciągnęłam ręce do góry i dotknęłam ich, żeby upewnić się, że są prawdziwe. Nie mogłam uwierzyć, że są prawdziwe. Nie sądziłam, że kiedykolwiek jeszcze je zobaczę.

- Jak bardzo pasują do ciebie - orzekł z zadowoleniem Richard. W jego głosie kryło się rozbawienie. - Ślicznie w nich wyglądasz, kochanie.

Nasze oczy spotkały się; moje szare nieruchome spojrzenie z jego roztańczonym błękitnym mruganiem.

- Perły mamy - powiedziałam zwyczajnie.

- Perły mamy - potwierdził. Radość nie schodziła mu z twarzy. - Albo w każdym razie - poprawił się - bardzo podobne do nich.

Rozległ się turkot powozu. Przyjechali pastor Pearce z wikarym.

- Wcześniej - powiedział Richard, podchodząc do okna, żeby wyjrzeć na dwór. - Więc chodźmy, Julio! - Wyciągnął do mnie rozkazująco rękę, kiedy siedziałam przed lustrem jak sparaliżowana.

Przez chwilę myślałam, że nie zdołam się ruszyć. Siedziałam w milczeniu i patrzyłam na naszyjnik mamy z różowych pereł i kolczyki do kompletu, które Richard cisnął przede mną.

- Tak! - powiedział, podążając za moim spojrzeniem. - Załóż także kolczyki! Nie wyobrażasz sobie, jakie miałem kłopoty, żeby je dostać.

Ta nonszalancka uwaga o kłopotach wtrąciła mnie w otchłań zgrozy.

Zgrozy płynącej z odkrycia, że Richard jest szaleńcem i mordercą.

Ręka Richarda była wyciągnięta ku mnie, a do drzwi pukał pastor Pearce.

Byłam kobietą całkowicie uzależnioną od jednego

548

mężczyzny, tego mężczyzny, który był moim bratem i ojcem mojego dziecka. Nie miałam nikogo, kto mógłby mi pomóc stanąć przeciw niemu.

Teraz już byłam pewna, że jest zabójcą Clary, że podstępem doprowadził do zguby Matthew Merry'ego, zdradził Ralfa Megsona, że jest zabójcą stajennego Jema, zabójcą własnego ojca Johna MacAndrew i mojej ukochanej mamy.

Patrzyłam na niego, jakbym widziała go po raz pierwszy, ale w mojej twarzy nie było strachu. To było gorsze niż strach - znalazłam się w otchłani przerażenia tak makabrycznego, że aż zaniemówiłam.

Machinalnie założyłam kolczyki.

Parzyły mnie.

Wsparta na ramieniu Richarda zesłam po schodach, żeby przywitać pastora Pearce'a i pana Fowlera. Usiadłam na swoim miejscu, a mój mąż u szczytu stołu, i Stride zaczął podawać obiad.

Potem zegraliśmy w karty - pastor Pearce i ja wygraliśmy. Po kawie nasi goście odjechali do domu i zostaliśmy z Richardem sami w salonie.

- Dobrze jest mieć towarzystwo - Odezwał się Richard ziewając. - Za dużo czasu spędzamy samotnie. To cię przygnębia, Julio. Dzisiejszego wieczoru byłaś ponura.

Moja ręka powędrowała do gardła, do naszyjnika. Richard popatrzył na niego.

- To nadzwyczajne, jak dobrze te perły harmonizują z odcieniem twojej skóry - powiedział. - Sprawiają, że wyglądasz apetycznie jak dzbanek ciepłej śmietanki.

Podał mi rękę, żeby pomóc mi wstać, i zanim pomyślałam, co robię, pozwoliłam mu wyciągnąć się z fotela i znalazłam się blisko niego.

Ujął mnie pod brodę i nagle uszczypnął tak, że poczułam siłę jego długich palców mordercy. Krew uderzyła mi do głowy, ale nie odsunęłam się, a moje szare oczy nie drgnęły pod jego spojrzeniem.

- Przyjdę dzisiejszej nocy do twojego pokoju - zapowiedział z lekkim westchnieniem. - Chcę się z tobą pokochać.

Na chwilę zapanowała absolutna cisza, kiedy moja skołatana głowa usiłowała pojąć, o czym on mówi.

- Nie możesz! - powiedziałam po prostu. - Richardzie! Jesteś moim bratem!

Richard puścił moją brodę i pogładził mnie po odkrytych ramionach, potem niedbale jednym palcem przesunął po wypukłościach piersi.

- Och, nie zwracaj na to uwagi - rzekł leniwie. - Powiedzieli to tylko po to, żeby nas przestraszyć.

- Nie - odpowiedziałam. Próbowałam się cofnąć, ale Richard objął mnie drugą ręką w pasie i przyciągnął do siebie.

- Nie, nie to mieli na myśli, Richardzie. To jest prawda. Jestem tego pewna.

Nadal się nie bałam - byłam zbyt oszołomiona, żeby się bać. Mój brat, zabójca mojej mamy, trzymał mnie mocno w objęciach, pieścił moje piersi i szyję rękami splamionymi krwią.

- Nie zwracaj na to uwagi - powtórzył. - Naprawdę nie ma się czym przejmować. Poza tym nie powiedzą tego już nigdy więcej! - Obdarzył mnie jednym ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów, jakby powiedział najdowcipniejszą rzecz na świecie. Jednym twardym palcem uniósł moją twarz, bym przyjęła pocałunek.

W potrzasku szaleńca jedyne co mi pozostało, to nie powstrzymywać go. Jego usta spoczęły na moich, zaciśniętych, żeby powstrzymać nudności, i objęłam go w pasie, żeby utrzymać się na nogach, kiedy świat zawirował wokół mnie.

- Dziwka - powiedział łagodnie i odsunął mnie od siebie.

- Idź i połóż się do łóżka. Dziś w nocy będziesz moja.

Moja wola została złamana, a umysł był martwy.

Poszłam do mojej sypialni. Jenny Hodgett rozebrała mnie w milczeniu, popatrując z niepokojem na moją śmiertelnie bladą twarz.

Wśliznęłam się między prześcieradła i zdmuchnęłam świecę. Potem

leżałam w półmroku. Światło z kominka migotało na wylaniających się z ciemności meblach, jakaś sowa pohukiwała na dworze.

Spóźniał się z przyjściem. W moim dziwnym wyciszonym stanie niemal drzemałam, czekając na niego. Nie bałam się. Strach należał do odległej przeszłości. Nie byłam dziewicą - nie spodziewałam się, żeby to miało boleć. Nie mogłam wołać o pomoc i skompromitować Richarda, skompromitować naszego nazwiska i siebie. Kiedy brutalnie ściągnął ze mnie kołdrę, dalej leżałam jak trup. Dostałam gęziej skórki i zadrżałam w zimnym nocnym powietrzu, ale pozostałam nieruchoma.

550

Łóżko ugięło się pod jego ciężarem, kiedy kładł się obok mnie. Świeca, którą przyniósł, ukazywała wciąż różową i młodą twarz. W jego oddechu poczułam zapach alkoholu - brandy. Włosy pachniały dymem cygar.

Był zakłopotany, nie wiedział, jak zacząć. Otworzyłam oczy i patrzyłam na niego nieruchomo, bez wyrazu, nie ruszając się. Nerwowo poruszył rzeczy na moim stoliczku, podniósł szklankę wody, przewrócił małą drewnianą sówkę, którą podarował mi Ralf.

- Czy pamiętasz Szeherezadę? - zapytał niespodziewanie. Utrzymałam beznamiętny wyraz twarzy, ale mój umysł galopował.

- Ty naprawdę ją kochałaś, prawda? - zapytał. Podniósł trochę głos.

Brzmiało w nim echo jego dawnego tyranizującego tonu. - Byłaś zrozpaczona, kiedy została zabita, prawda, Julio?

Moje milczenie irytowało go.

- Prawda? - dopytywał się.

- Tak - odparłam. Nie chciało mi się mówić i nie wiedziałam, dlaczego pyta. - Tak - powtórzyłam.

- Płakałaś za nią - przypomniał mi Richard. - I jednak nigdy nie uwierzyłaś, że zrobił to Dench.

Westchnęłam. To było tak dawno, ten pierwszy zwiastun rodzącego się porażającego zła.

- Tak - potwierdziłam.

Richard uniósł się na łokciu, żeby lepiej widzieć moją twarz.

- Klacz miała pocięte ścięgna i trzeba ją było zabić, rozbili jej łeb młotkiem - ciągnął. - A Dench był w potrzasku i musiał uciekać w obawie o życie. Pamiętasz? Gdyby dziadek Havering go złapał, z pewnością by go powiesił.

- Pamiętam - powiedziałam.

Richard coraz bardziej się podniecał, oczy mu błyszczały, twarz jaśniała.

- Ja to zrobiłem! - rzekł radośnie. - Zupełnie sam! I nikt z was się nie domyślił. Nikt nawet nie podejrzewał. Zraniłem Szeherezadę i zrobiłem to tak, że cała wina spadła na Dencha. I powstrzymałem cię od jeżdżenia na moim koniu! Miałem pewność, że nigdy więcej nie będziesz jej dosiadała, a w dodatku pozbyłem się Dencha, który spiskował z tobą przeciwko mnie. Wszystko to zrobiłem zupełnie sam! Ja sprawiłem, że płakałaś tygodniami!

551

Leżałam bardzo cicho, starając się przyswoić to, co mówił Richard.

Jeszcze bardziej usiłowałam pojąć jego nagłe uniesienie. Potem przysunął się bliżej i zrozumiałam. Poruszył ręką pod kołdrą, chwytając za brzeg mojej koszuli i podciągnął ją do góry. Udało mi się ją złapać i ściągnąć w dół. Gdyby doszło do walki, Richard zwyciężyłby, ale nagle uświadomiłam sobie, że bezwiednie sprzyjam jego zamiarom - on

oczekuje, że będę z nim walczyła, i chce pokonać mój opór.

- A ten sokół... - Oddech miał szybki; rozebrał się i uniósł nade mną. - Cenny sokół Ralfa Megsona. Kiedy sfrunął z mojej ręki, ściągnąłem go z powrotem. Za pierwszym razem to był przypadek, ale zdenerwował mnie, bo ciągle nie chciał siedzieć spokojnie. Za drugim razem już chciałem go zranić i wiedziałem, że gdy pociągnę dość mocno i szybko, to złamię mu nogi. Pamiętasz ten trzask, Julio?

Pociłam się, a wewnętrzna strona moich ud była mokra. Richard niezręcznie przycisnął się do mnie i niezdarnie usiłował rozdzielić mi nogi. Położył się na mnie z trudnością, krępowany pościelą. Chichotał jak zarozumiały uczeń, kiedy naciskał mnie coraz mocniej swoją nabrzmiałą męskością.

- Ale owiec się bałeś - wyszeptałam. Powiedziałam to prawie odruchowo. Czułam, że i umysł, i ciało paralizują mi strach, odraza i przerażenie tym, co mówił, i własną uległością, chociaż w głębi serca zawsze wiedziałam, odgadłam prawdę. Ale zamiast coś powiedzieć, coś zrobić, milczałam; byłam bezwolną współniczką Richarda. Za to wystąpiły przeciw niemu tamte owce.

- Myślisz, że one wiedziały, że jesteś zły? - zapytałam. Richard zawahał się.

- Zaatakowały cię - powiedziałam. - Nigdy nie widziałam, żeby owce zrobiły coś takiego. Rzuciły się na ciebie, otoczyły cię w stajni na wzgórzach. Czy pamiętasz to, Richardzie? Czy pamiętasz, jak bardzo się ich wtedy bałeś?

- Nie... - rzucił szybko. - Nigdy się nie bałem.

- O tak, bałeś się - powtórzyłam z przekonaniem. - Bałeś się Szeherezady

od momentu, kiedy zobaczyłeś ją po raz pierwszy, i bałeś się owiec. Richard patrzył na mnie, ale jego podniecenie i męska siła zaczęły zniknąć. Czułam, że jego twardość ustępuje, i doznawałam uczucia uniesienia i triumfu.

552

- Bałeś się Szeherezady przez cały czas, do końca - powiedziałam. - To dlatego ją zabiłeś, nie z zazdrości, że jej dosiadłam. Zrobiłeś to, żeby samemu na niej nie jeździć. A owce to był koszmar.

- To nie tak... - zaprzeczył. Spojrzał na mnie ostro, ugodzony moim szyderstwem. Wyglądał tak jak kiedyś przed wybuchami swego dziecięcego gniewu. Wiedziałam, że zwyciężyłam go i że mnie nie dotknie. Tylko nie byłam przygotowana na jego ostatnią rozpaczliwą próbę.

Oстрым dźgnięciem wepchnął we mnie z całej siły wskazujący palec, aż wydałam stłumiony okrzyk bólu i szoku. To był ostry ból; jakby rozrywał mnie od środka. Zdusiłam krzyk. Zamknęłam oczy i leżałam nieruchomo jak posąg! Richard zabrał rękę i sięgnął w dół, żeby dotknąć siebie. Zaczął ciężko oddychać i czułam, jak się porusza, ocierając o moje nogi.

Otworzyłam oczy i uśmiechnęłam się do niego.

- To ci nie pomoże, Richardzie - powiedziałam chłodno głosem, jakim mama odsyłała go wcześniej do łóżka za rozlanie konfitur przy stole. - Nic ci nie pomoże. Nie jesteś w stanie mnie teraz tknąć i nigdy nie będziesz mógł. Najlepiej zrobisz, jak wrócisz do własnego łóżka.

Odepchnęłam jego mściwe ręce i odwróciłam się do niego tyłem, obojętna na to, czy pójdzie, czy zostanie. Nawet nie otworzyłam oczu, kiedy wychodził.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Dziewiąty.

Tylko tej jednej nocy przyszedł do mojego łóżka. I tylko ten jeden raz naprawdę mówił o minionych czasach, kiedy można było dostrzec niepokojące oznaki, jeśli chciało się je widzieć. Wiedziałam wtedy to, co wiedziało całe Acre, o czym wiedziało każde zwierzę, którego dotknął, i co zobaczył Ralf: że Richard jest obłąkany. Niestety w oczach pobłażliwej ciotki i słabej kuzynki udawało mu się uchodzić za ekscentrycznego, utalentowanego i czarującego.

To była moja wina. Myślałam o tych chwilach, kiedy zachowanie Richarda było gwałtowne lub mściwe, a ja ukrywałam to przed mamą. Myślałam o czasach, kiedy mnie straszył, a ja lojalnie utrzymywałam to w tajemnicy przed wszystkimi, nawet przed Clarą i dziećmi ze wsi. Ted Tyacke byłby bardzo zadowolony, mogąc zacząć się na Richarda i stłuc go nakazując mu, żeby był łagodny wobec mnie. Ale ja nigdy nikomu nic nie powiedziałam.

Zatem winna byłam ja sama. Siedziałam przy oknie, patrząc na szron na trawniku topniejący w słońcu ostatnich dni jesieni, i obwiniałam się za to, że żyłam w słodkiej dziewczęcej naiwności, wierząc, że świat jest przyjazny, dorośli są mądrzy, a Richard jest normalny.

Przed moimi oczami jak kolorowe obrazki z fotoplastykonu przesuwały się scenki z dzieciństwa. I spojrzałam na wszystko inaczej. Zobaczyłam Richarda jako impulsywnego nieposkromionego tyrana. Zobaczyłam mamę, rozmyślnie ślełą: ślełą na jego okrucieństwo wobec mnie, ślełą na jego szaleństwo, ślełą, ponieważ wiedziała o moim pochodzeniu i domyślała się pochodzenia Richarda. Nie miała odwagi stawić czoła szaleństwu

Laceyów, które widniało w jego oczach. Powinna była je widzieć. Ja powinnam była ją ostrzec. A ponieważ nie zrobiłam tego, umarła w najbardziej przerażający sposób i zostawiła mnie, żebym żyła w koszmarze, od którego jak mi się wydawało, nigdy się nie uwolnię. Nie zastanawiałam się, w jaki sposób Richard wszedł w posiadanie różowych pereł leżących w podłużnym pudełku na mojej toalecie. W niektóre dni, kiedy świeciło słońce, a powietrze było ostre i przyjemne, mówiłam sobie, że zobaczył jakieś perły w sklepie w Chichester i kupił je dla mnie myśląc, że będą mi się podobały, bo przypomną mi mamę. Ale innym razem, z końcem listopada, kiedy dni stały się ciemniejsze, a noce dłuższe, wpatrując się w żarzące się w kominku polana, zobaczyłam Richarda w brudnej piwiarni płacącego jakiemuś człowiekowi, żeby zabił mamę i Johna. Richarda z tym obłąkańczym nieobecnym uśmiechem i płonącymi niebieskimi oczyma. Richarda szalonego jak wściekły pies. Mojego brata, mojego męża, ojca mojego dziecka. Obwinałam się o to, że nie skarżyłam się na niego, że nie ostrzegałam mamy, nie alarmowałam wuja Johna. Ale nie oskarżałam się już o jedną rzecz: o to, co zaszło w letnim domku. Ja nie byłam winna. Z całą pewnością Richard mnie zgwałcił, była to okrutna przemoc. Rozmarzyłam się wtedy w ogrodzie - ale myślałam o Jamesie, nie o Richardzie. Marzyłam już wcześniej o kochaniu, ale to była wizja, to był sen o przeżyciach Beatrice z Ralfem. Nigdy nie myślałam o Richardzie jako o moim kochanku i nie miał prawa zalecać się do mnie ani mnie zmuszać. To sprawiło, że zachowywałam się wobec niego lodowato w owe dni przed Bożym Narodzeniem. Zdałam sobie sprawę, że wpadłam w pułapkę,

przed którą ostrzegał mnie Ralf. Richard zgwałcił mnie i odosobnił tak skutecznie, że nie miałam już żadnych przyjaciół; nie było też rodziców, do których mogłabym się zwrócić. Dziecko, które nosiłam w sobie wbrew mojej woli, było owocem przemocy i kazirodztwa.

Richard chyba zdał sobie sprawę, iż posunął się za daleko, potwierdzając swoim wyznaniem moje podejrzenia, bo dał mi spokój. Zaczął się mnie bać. A kiedy zobaczyłam w lustrze siebie obracającą różowe perły wokół szyi, gdy ujrzałam swe nieruchome przerażone oczy - zrozumiałam jego strach.

Stride i pani Gough przygotowali skromne Boże Narodzenie, a Richard rozkazał George'owi przywieźć trochę gałęzi ostrokrzewu

555

i polan, które spala się na Gwiazdkę. Krzątali się wokół mnie, jakbym była jakąś kamienną boginią, bezduszną, ale potężną, którą trzeba zjednać odpowiednimi ceremoniami. Cały dom był świadom mojej narastającej obcości, duchowej nieobecności, ale składał to na karb ciąży, pogody, żalu za mamą, wszystkiego, tylko nie tej strasznej choroby duszy.

Tylko Acre ośmieliło się przełamać ten ponury stan, ale Acre znało się na szaleństwie Laceyów. Rozumiało oznaki nadciągającego nieszczęścia, bo doświadczało go wcześniej. Myślę, że bali się o mnie, ponieważ bardzo mnie kochali.

- Co z tobą, panienko Julio? - zapytała mnie kiedyś pani Tyacke. Przyszła odwiedzić panią Gough i ubłagała ją, żeby mogła złożyć mi wyrazy uszanowania. Wywołałam ją kiedyś z chaty, zanim ta została zdruzgotana walącą się kopułą wieży, byłam towarzyszką zabaw i przyjaciółką jej syna, a ona o tym pamiętała. Nie zapomnieli o mnie w Acre. Jej bystre oczy

patrzyły uważnie, ale nawet dla niej nie potrafiłam zmusić się do uśmiechu.

Usłyszałam jej pytanie. W mojej głowie słyszałam je bez przerwy. Wtem rozpoznałam je. Użyła tych samych słów, które Ralf wypowiedział do Richarda owego dnia na błoniach, kiedy Richard złamał nóżki jego sokoła. „Co z tobą?” - zapytał wtedy. Mądry Ralf dostrzegł szaleństwo Laceyów w Richardzie. Nie widział go we mnie.

- Czy to dziecko to nie za wiele dla ciebie? - zapytała.

- Nie - odparłam cicho. - Czuję się zupełnie dobrze.

- Wszyscy się o ciebie boimy - powiedziała, nie zdradzając żadnych uczuć. - Nikt we wsi nie widział cię od dłuższego czasu. Nie przychodzisz do kościoła i nigdy nie widzujemy cię w Acre. Kiedyś pytaliśmy twojego męża, ale tylko roześmiał się wesoło.

Uniosłam spojrzenie znad płomieni błyskających wokół polan.

- Naprawdę?

- Znowu wszystko idzie źle. - Głos jej drżał jak u rozczarowanego dziecka. - Znowu wszystko idzie źle.

Skinęłam głową. Nie miałam wiele do powiedzenia.

- Gdzie indziej potrafią sobie radzić - kontynuowała. - Inne wioski mają majątki, które przynoszą zyski i utrzymują wioskę, i mają młyn, który bez przerwy miele. Dlaczego to nigdy nie dzieje się w Acre?

556

- Gdzie indziej mają dziedziców, którzy pozostawiają ziemię w spokoju - wyszeptałam niemal bezgłośnie. - Acre zawsze miało dziedziców, którzy tak bardzo troszczyli się o ziemię, że nie pozostawiali jej w spokoju.

Richard chce, żeby u progu nowego stulecia Wideacre było pierwszym

majątkiem w okolicy. Chce, żeby było najlepszym dziedzictwem dla syna, którego

- jak ma nadzieję - urodzę.

- A ty? - zapytała mnie ostro. - Ty również chciałaś dla Acre czegoś specjalnego. Ty i Ralf Megson daliście Acre wiele obietnic.

- Ja również byłam dziedziczką z Laceyów - powiedziałam beznamiętnie.

- Planowałam przyszłość zupełnie inną niż Richard. Ale ciągle byłam dziedziczką z Laceyów, narzucającą swoją wolę Acre. Pani Tyacke, myślę, że w Acre będzie się źle działo, dopóki na Wideacre będzie rodzina Laceyów, dopóki będzie dziedzic we dworze i pan nad wioską. Ralf cały czas miał rację. Lepiej dla Acre, że ja już nie jestem dziedziczką, a tylko żoną dziedzica. Lepiej dla Ralfa siedzącego w celi gdzieś w Londynie. I myślę, że lepiej dla mnie - dodałam szeptem.

- Ale ty urodzisz następnego Lacey'a - powiedziała

- i podtrzymasz linię.

- Nie. Ja nie.

Skinęła w kierunku mojego wypiętego brzucha.

- Za późno, żeby się tego pozbyć - powiedziała. Miała zaciętą twarz.

- Ono się urodzi - przyznałam gorzko. - Nie mogę temu zapobiec. Ale nigdy nie odziedziczy majątku, nie dopuszczę do tego.

Obdarzyła mnie smutnym ponurym uśmiechem, tym uśmiechem Acre, które wie, że przegrało największą grę, w jaką mogą zagrać ludzie bez ziemi, kiedy stawką jest ziemia i niezależność przeciwko niewolniczej, niepewnej i słabo płatnej pracy. Był w nim też cień uśmiechu kobiety, istoty przypisanej swojemu panu - mężczyźnie, kobiety, która nie może zapobiec zajściu w ciążę ani powstrzymać narodzin dziecka.

- Nie zapobiegiesz temu - powiedziała ze smutkiem.

- Wszyscy wpadliśmy w pułapkę.

W saloniku zapadła cisza, słychać było tylko trzask drewna w kominku.

557

- Będę się zbierała - rzekła po chwili, ruszając do drzwi. - Mój syn Ted i wielu innych w wiosce chcą wiedzieć, jak się miewasz. Przykro mi, że nie mam dla nich lepszych wiadomości.

- Żyję - powiedziałam zimno. - Możesz im powiedzieć, że nic mi nie dolega.

- Powiem im, że masz śmiertelnie chorą duszę - oświadczyła otwarcie. - I że znowu stanowisz jedność z ziemią, panno Julio, i z Acre. Ponieważ ziemia jest grząska i martwa, Acre jest głodne i zziębnięte, wszystko okryło się żałobą, jak ty.

Nasze oczy spotkały się, wymieniając smutne pocieszenie dzielonej wspólnie niedoli.

Przez cały ten trudny zimny miesiąc ona była moim jedynym gościem - pani Tyacke, wdowa z Acre. Nikt z towarzystwa nie odwiedzał mnie, kiedy przesiadywałam beczynna i gruba, w żałobie. Dziadek Havering zachorował w mieście i babka pojechała go pielęgnować. Bała się, że będzie daleko, kiedy nadejdzie termin rozwiązania, ale napisałam do niej, że to nie ma znaczenia i żeby się nie martwiła.

Rzeczywiście to nie miało znaczenia.

Pomyślałam, że nic nie ma wielkiego znaczenia.

Pomyślałam, że nic już nigdy nie będzie miało wielkiego znaczenia.

Dziecko rosło. Spałam coraz mniej po nocach, kiedy małe rączki i nóżki naciskały mnie od wewnątrz albo kopały w miękką ściankę mojego

brzucha. Pod koniec grudnia zaczęłam na nim dostrzegać pojawiające się wypukłości, a kiedyś wyczułam czubkami palców zarys doskonałej małej dłoni, kiedy dziecko popychało giętką ścianę swojego miękkiego więzienia. To przywiodło mi na myśl Ralfa, który siedział w areszcie, gdzie nie otworzą się bramy, gdzie nie jest ciepło i bezpiecznie. Ale kiedy siedziałam w swoim fotelu i patrzyłam przez okno lub leżałam na wznak na łóżku, czułam, że nawet Ralf nie ma dużego znaczenia. Richard przeważnie był poza domem. Wiedziałam, że mówią o tym w kuchni, w stajniach. Czasem nie wracał na noc, ale zjawiał się na śniadaniu, z rozjaśnionym wzrokiem i potarganymi włosami, mówił szybko i głośno o walce kogutów w Chichester. Albo o byku, którego ktoś przywiózł do Acre. Richard opowiadał mi, jak byk rozpruł brzuch jednemu z psów, którymi go poszczuto.

558

Pobladałam i stolik ze śniadaniem zawirował mi przed oczami. Zobaczyłam, że Stride robi szybki ruch, jakby chciał powstrzymać Richarda, ale Stride był na służbie przez całe swoje życie i nie potrafił sprzeciwić się dziedzicowi. Nikt nie mógł powstrzymać Richarda. Wszyscy się go bali zarówno w naszym domu, jak i w majątku. Bali się go, ponieważ mógł użyć usankcjonowanej prawem władzy dziedzica w taki sposób, w jaki by zechciał. Mógł unieważnić dzierżawy, przestać wypłacać tygodniówki, wyrzucić ich z majątku lub spowodować aresztowanie za zuchwalstwo. Bali się go, ponieważ wiedzieli to, co wyczuwały w nim wszystkie zwierzęta - w Richardzie było jakieś zło. Ja już się nie bałam. Pozbyłam się strachu przed nim. Teraz nie bałam się nikogo. Nie bałam się ani zranienia, ani śmierci, i gdyby Richard przyszedł

i zacisnął mi ręce wokół gardła, nie poczułabym strachu. Nawet nie cofnęłabym się. Moja mama nie żyła, Clara nie żyła, Ralf i Acre zostali zdradzeni. Przysięgłam sobie, że moje dziecko nie zostanie dziedzicem majątku. Gdyby Richard zamordował mnie w którąś z tych nocy, kiedy obijał się o moje drzwi w drodze do swojego pokoju, wyświadczyłby mi przysługę. Już się go nie bałam. Nie bałam się niczego. Wszystko co miało dla mnie znaczenie, odeszło. Gdybym otworzyła drzwi, kiedy słyszałam go wdrapującego się na schody i zanoszącego się pijackim chichotem, gdyby wtoczył się do mojego pokoju i jeszcze raz chciał mnie dotknąć, myślę, że przyjąłabym go i pozwoliła położyć się na sobie w nadziei, że zaciśnie swoje długie silne ręce wokół mojej szyi i udusi mnie. Ale nie zrobił tego. Nigdy więcej mnie nie tknął. Nie podobałam mu się. Tylko w połowie zdawał sobie sprawę z własnego szaleństwa; nie sądzę, żeby kiedykolwiek w pełni dotarło do niego to, co zrobił. Myślę, że wtedy gdy tak przeraźliwie chichotał, najbliższy był zrozumienia tego, co zrobił lub mógł zrobić. Ale owego wieczoru kiedy mnie dotykał i widział, jak oczy ciemnieją mi ze zgrozy i stają się wielkie i szkliste od szaleństwa, pomyślał, że naprawdę oszalałam.

I mój obraz stał się dla niego lustrzanym odbiciem jego własnej twarzy. Myśl o tym, że oboje możemy być obłąkani - to było za wiele, nawet jak dla niego.

Teraz już się go nie bałam, ponieważ on bał się mnie. Demonstrowałam światu wielką moc i wielką władzę, magię mojego rosnącego brzucha, który mieścił dziecko tak bardzo przez niego

upragnione, i potęgę skrajnej obojętności, czy będę żyła, czy umrę. Nie mógł mnie już nigdy przestraszyć.

Prawie nic nie mogło go teraz poruszyć. W małym świecie otaczającym Laceyów Richard był bezkarny. Wobec tego, że lord Havering był daleko, słowo Richarda było prawem na wiele mil w okolicy. Gdyby znowu zabił, nie byłoby nawet pościgu za mordercą. Richard był sam dla siebie panem i nic nie stanowiło dla niego zagrożenia.

Bał się tylko jednego. Był głupcem, pozwolił mi zobaczyć ten strach. Jedliśmy śniadanie. Richard był w jednym ze swoich posepnych męczących nastrojów. Siedział na czołowym miejscu za stołem z listem od babki, popijając herbatę. Przed nim stała solidna porcja zimnego mięsa, chleba, gorących ziemniaków, jaj i szklanka piwa. Czytał gazetę podczas jedzenia, niechlujnie spryskując tłuszczem strony.

- Dobry Boże! - powiedział z pełnymi ustami. Jakiś ton w jego głosie sprawił, że podrzuciłam głowę jak pies myśliwski, który złapał trop. Myślę, że nawet wciągnęłam powietrze jak pies. W pokoju wyczułam nagły smród strachu. Nie myliłam się! Richard pocił się ze strachu i ten zapach był dla mnie tak piękną wonią jak zapach przysmażanego boczku dla głodującego nędzarza. Obrzucił mnie szybkim ukradkowym spojrzeniem, ale mój wzrok był pusty. Byłam głucha i niewrażliwa. Potem popatrzył na Stride'a, który stał z kamienną twarzą.

- Wybacz mi - powiedział Richard, zgniótł gazetę i wyszedł z pokoju, zostawiając talerz z parującym jedzeniem i apetyczne zimne piwo.

- Przynieś mi egzemplarz tej gazety, Stride - poprosiłam obojętnym tonem, jeszcze raz spoglądając na list.

- Tak, panno Julio - powiedział Stride równie obojętnie. Musiał

natychmiast posłać po nią do Midhurst, ponieważ miał ją już w porze picia kawy i przyniósł mi do saloniku na srebrnej tacy razem z serwisem.

Nie musiałam przeglądać kolumn. Historia, która wygnała Richarda z pokoju, była opisana na pierwszej stronie. Nosiła tytuł: „Ucieczka zuchwałych buntowników” i wymieniała z nazwiska Ralfa Megsona spośród trzech mężczyzn, którzy wyrwali się z więzienia przebrani za członków cygańskiej rodziny sprowadzonej, żeby zagrała dla strażników więziennych. Przypuszczano, że mężczyźni

560

uciekli z Cyganami i podróżują z nimi. Wielu właścicieli ziemskich naciskało i alarmowało miejscowe sądy, ale zdawano sobie sprawę, że trzech zbiegowie mogli zniknąć w tajemniczym świecie mętów społecznych. Był tam szczegółowy rysopis Ralfa i dwóch pozostałych oraz ogłoszenie o nagrodzie w wysokości dwustu funtów za informację mogącą doprowadzić do ich schwytania.

Wiadomość o nagrodzie sprawiła, że zaczęłam się zastanawiać, czy Ralf znajdzie bezpieczną kryjówkę. Potem pomyślałam, że on nie jest człowiekiem, który dałby się zaskoczyć, z wyjątkiem tego jednego przypadku, gdy został zdradzony w Acre. A nie sądziłam, że mogliby go zdradzić ludzie z jego otoczenia, jego cygańska rodzina. Poza tym byłam przekonana, że Ralf dokładnie wie, jak długo zdołają się oni skutecznie opierać przynęcie w postaci takiej fortuny, i znajdzie się daleko, na statku przemytników, nim pokusa stanie się zbyt duża.

Każdą stronę gazety zgmiotłam w kulę i ciskałam jedną za drugą do ognia, obserwując, jak płoną. Potem wzięłam pogrzebacz i rozrzuciłam popiół.

Nie chciałam, żeby Richard domyślił się, iż dowiedziałam się o Ralfie.

Po raz pierwszy w życiu skutecznie spiskowałam przeciw Richardowi. Nie przyjechał do domu na obiad, więc Stride podał posiłek przy dużym mahoniowym stole tylko dla mnie. Obok talerza położyłam książkę, powieść z wypożyczalni w Chichester, i w trakcie jedzenia czytałam o sekretnych pragnieniach Clarindy i jej niewyczerpanej miłości do bohatera. Zastanawiałam się przez chwilę, czy kiedykolwiek jeszcze będę kobietą, która uważa, że miłość do mężczyzny może przesłonić świat, albo czy kiedykolwiek będę czuła, że warto dla niej poświęcić własną wolność, własną dumę.

Wzięłam powieść do salonu i zagłębiwszy się w fotelu, czytałam dalej, ale często odkładałam ją i wpatrywałam się w ogień. Nie sądziłam, żebym mogła znów poczuć się szczęśliwa. Ale Ralf był wolny i widmo krat zniknęło z mojej wyobraźni. Może spoglądał dzisiejszej nocy na niebo i widział ostre światło gwiazd oznaczające, że będzie śnieg, rozpoznawał otoczkę wokół księżyca, która ostrzegała przed mrozem. Mógł patrzeć w dowolnym kierunku i pójść znowu tam, gdzie chciał.

Miałam nadzieję, że odgadł, iż pojęłam wreszcie jego nauki, kiedy siedząc przy kominku Richarda, na fotelu Richarda, w domu

561

Richarda i na Richarda ziemi, zrozumiałam w końcu, że zostałam wywłaszczona. I stałam się przez to prawdziwą kobietą z rodu Laceyów, dla której posiadanie ziemi znaczyło więcej niż chimera miłości.

Przyszło mi jednak do głowy, że muszę byćjakaś „nową wersją”

Laceyówny, ponieważ odrzuciłam nasze prawo do posiadania ziemi i jej płodów. Gdyby jeszcze raz była moja, oddałabym ją natychmiast, bez wahania i opowiadania bzdur o zyskach. Oddałabym tę ziemię ludziom,

którzy na niej pracowali i żyli z niej. I bardzo chciałam jeszcze raz zobaczyć Ralfa; tylko raz, żeby powiedzieć mu, że w końcu zrozumiałam to, co próbował mi przekazać. Że nie mogą istnieć sprawiedliwi dziedzice, nie ma przyjaznych panów, bo istnienie dziedziców jest tak głęboko niesprawiedliwe, że żadne łaskawe dobrodziejstwa tego nie poprawią. Musiałam zostać służącą Richarda, żeby poznać, jak niesprawiedliwe jest takie życie. Musiałam być żebraczką, żebraczką u Richarda, zanim nauczyłam się, że zależność jest jak wyrok śmierci. I jedynym pragnieniem, jakie mi zostało, jedynym życzeniem, jakie miałam, było jeszcze raz spotkać Ralfa, aby powiedzieć mu, że zrozumiałam, że ja też jestem banitą tego chciwego świata wyższych sfer.

Stride zastukał do drzwi i wniósł tacę z herbatą; za nim wszedł Richard. Jeździł konno i nie był ubrany do obiadu. Poprosił Stride'a o więcej świec i usiadł naprzeciw mnie, po drugiej stronie kominka, jakby nigdy nic. Ale widziałam, że jest napięty jak łańcuch kotwiczny i lęklonie spogląda na poruszane lekkim powiewem zasłony.

- Byłem w Chichester - powiedział bez wstępów, kiedy Stride ustawił pięcioramienny świecznik na stole i odszedł.

- Przeczytałem tego ranka pewne wiadomości, które bardzo mnie poruszyły.

Podniosłam wzrok znad serwisu do herbaty, a spojrzenie moich oczu było tak jasne i czyste jak zimowe niebo.

- Było tam doniesienie... - mówił z pewnym trudem

- ...w gazecie była notatka, że kilku mężczyzn uciekło z więzienia, gdzie trzymano Ralfa Megsona. Pamiętasz... - urwał. Już miał zapytać, czy pamiętam Ralfa Megsona, ale nawet on nie miał tyle tupetu. - Pojechałem

do Chichester, żeby uzyskać więcej informacji - dodał. Wziął ode mnie swoją filiżankę i na

562

kremowy dywanik przy kominku upadła kropla herbaty. Ręka Richarda drżała. - Okazuje się, że to doniesienie jest prawdziwe - dokończył.

Pochyliłam głowę i uniosłam własną filiżankę.

- Urzędnicy sądowi zostali ostrzeżeni, że mają uważać na Cyganów - ciągnął dalej. - Na Cyganów lub inne wędrujące grupy. Tych trzech mężczyzn uciekło z jakimiś muzykantami. Istnieje przypuszczenie, że mogą próbować dotrzeć do wybrzeża, podróżując z cygańską rodziną. Richard zamilkł i popatrzył na mnie. Moja twarz była nieruchoma, nie mógł z niej niczego wyczytać.

- Myślisz, że mógłby tu przyjechać, Julio? - zapytał.

- Sądzisz, że przyjdzie tutaj, pragnąc jakiegoś odwetu? Czy może liczyć na to, że Acre go ukryje?

Głos Richarda miał swoje dawne czarujące brzmienie. Potrzebował mnie. Zawsze stawałam po jego stronie, kiedy mnie potrzebował. Rzeczywiście chwile, kiedy to następowało, były radością mojego życia, radowałam się, że prosi mnie o pomoc, tak jak prosił mnie o nią teraz.

- Myślę, że może winić mnie za swoje aresztowanie - wyznał szczerze. - Rozmawiałem z urzędnikami sądowymi w Chichester, ale powiedzieli, że niewiele mogą zrobić, żeby nas ochraniać - nas, Laceyów! - jeżeli nie wiadomo, gdzie on jest.

Odstawił filiżankę i wyciągnął do mnie rękę.

- Julio? - wyszeptał tak, jakbyśmy znowu byli małymi dziećmi, a on miał

kłopot, bo jakiś figiel bardzo źle się skończył. Wołał o pomoc swoją najlepszą przyjaciółkę, swoją siostrę.

Trzymałam filiżankę z herbatą w obu rękach.

- Tak? - zapytałam.

- Czy sądzisz, że on może tu przyjść? - Richard cofnął rękę i złożył dłonie na kolanach, lekceważąc mankiety.

- Nie - odparłam z przekonaniem. Nie leżało w moim charakterze dokuczanie i znęcanie się nad nikim, ale powiedziałam to z żalem. Byłam pewna, że już nigdy więcej nie zobaczę Ralfa Megsona, i było mi z tego powodu okropnie przykro.

- A co z Cyganami, którzy zimują pod lasem? - nalegał Richard. -

Nadjechali drogą z Londynu, prawda? I przyjechali późno tego roku! Czy to nie oni mogli wydostać go z więzienia, co? Oni również są muzykantami, pamiętasz, Julio! Ściągnęliśmy ich, żeby zagrali w Boże Narodzenie, przypominasz sobie?

563

Pamiętałam. Wyraźnie widziałam wszystkie wydarzenia, które składały się na długie bolesne pasmo wspomnień sięgających mojego dzieciństwa, kiedy kochałam Richarda i Wideacre ogromną, stałą ugruntowaną miłością, której jak sądziłam, nic nigdy nie zniszczy ani nie zmieni.

- Pamiętam - przyznałam - ale myślę, że dla pana Megsona najbezpieczniej byłoby wsiąść na statek i wyjechać z kraju. On ma również wielu przyjaciół na morzu.

- Myślisz, że nie przyjdzie? - nalegał Richard. Jego oczy wpatrzone we mnie były tak natarczywe jak u dziecka zbudzonego z okropnego snu i domagającego się poparcia.

- Nie - odparłam spokojnie. Nie zamierzałam go ratować przed jego lękami. Moje serce było jak sople lodu, nie chciałam już nigdy nikomu pomagać, a najmniej ze wszystkich Richardowi. Ale daleka byłam również od dokuczania mu.

- A gdyby się zjawił, to czy Acre go ukryje? - upierał się Richard. - Oni ukrywali Dencha, tego tajnego, pamiętasz, Julio!

- Nie wiem, ostatnio w ogóle nie jeżdżę do Acre, Richardzie. Wiesz, że nie byłam tam od jesieni. Wiesz lepiej ode mnie, jakie nastroje panują we wsi. Czy ukryliby twojego wroga? Czy też będą trzymali stronę Laceyów? Richard zerwał się z krzesła nagle zniecierpliwiony, a chłodna część mojego umysłu powiedziała: „Tak, ty naprawdę się boisz, prawda, Richardzie? Ty, który zrobiłeś tyle, żeby tak wielu ludzi bało się ciebie. Wszyscy z Acre i Clara, która musiała patrzeć ci w twarz, zanim zmarła w przerażeniu. Nie mogłam znieść jej lęku, więc ukryłam go tam, gdzie różowe perły, w mrocznym kącie mojej świadomości. A teraz ty umierasz ze strachu”.

- Pojedziesz do Acre - rzekł nagle. - Jutro. Każę przygotować powóz, a jeżeli powozem się nie da, weźmiesz kariołkę. Albo pojedziesz konno! Z pewnością nie zaszkodzi ci, jeżeli pojedziesz konno spacerowym krokiem, zresztą tajenny może nawet go prowadzić, żebyś miał absolutną pewność, że jesteś bezpieczna. Pojedziesz i powiesz im, że Ralf uciekł i jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa publicznego. Za jego głowę wyznaczono dużą nagrodę, Julio! Powiedz im to. I ogłoś, że jeżeli on pojawi się w Acre, ja osobiście dam sto funtów temu, kto nas ostrzeże. To powinno podziałać, prawda, Julio?

- To zależy jak biedna jest obecnie wieś - stwierdziłam obojętnie. - Czy ich sytuacja jest aż tak zła, że gotowi byliby zdradzić starego przyjaciela za sto funtów?

Richard wielkimi krokami ruszył do okna, ale nie odsunął zasłon, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Ralf był dobrym strzelcem.

- Przecież jesteś ich wielką przyjaciółką - powiedział niecierpliwie. - Jeśli poprosisz ich, żeby dali nam znać, gdy Megson przybędzie do wsi, zrobią to dla ciebie, prawda?

- Nie wiem - odparłam. Sięgnęłam do dzwonka, żeby wezwać Stride'a, by uprzątnął stół. - Naprawdę nie potrafię powiedzieć, Richardzie. Z niechęcią myślę o takiej wyprawie. Tylko dwa tygodnie zostały mi do rozwiązania. Jestem pewna, że pan Saintly byłby przeciwny tej jeździe. Już wcześniej zakazał mi oddalać się od domu, jak może pamiętasz.

Richard obrócił się na pięcie jak oparzony, ale ugryzł się w język, bo do pokoju wszedł Stride. Lokaj popatrzył na nas z ciekawością i zawahał się, czy zostawiać mnie samą z Richardem.

- Nie musisz nas obsługiwać - fuknął niegrzecznie Richard. Spojrzenie Stride'a powędrowało ku mnie.

- Wszystko w porządku, Stride - powiedziałam. Skłonił się lekko i wyszedł.

- Jesteś moją żoną - naciskał Richard, panując już nad sobą. - To sprawa wielkiej wagi zarówno dla naszych interesów, jak i oczywiście mojego osobistego bezpieczeństwa. Pojedziesz do Acre, ponieważ ja sobie tego życzę, Julio.

Skinęłam głową w milczeniu.

- Jak chcesz - powiedziałam. Nie miałam nic do stracenia. Gdybym

zasłabła w Acre, mogłam pojechać na plebanie albo do którejś z chat, żeby urodzić dziecko. Gdybym musiała jechać konno i dziecku by to zaszkodziło, nie przejęłabym się wcale. Przysięgłam sobie, że nie wychowam dziedzica dla Wideacre, i miałam zamiar dotrzymać słowa. Mogłam kochać dziecko, które przewracało się i kopało w moim łonie, ale nie zamierzałam wychować następnego Lacey'a, żeby był panem dla Acre. Modliłam się, żeby dziecko zmarło przy porodzie.

Mówiąc prawdę, modliłam się o śmierć również dla siebie.

Tak więc niewielkie miało dla mnie znaczenie, czy pojedę konno czy w powozie i czy moje dziecko urodzi się wcześniej w Acre lub w jakimś zamarzniętym rowie w drodze do domu. Nic

565

już dla mnie nie miało żadnego znaczenia. Ralf był teraz wolny, już nic nie musiałam robić. Miałam tylko urodzić dziecko, a potem zabrać je daleko od Richarda i Wideacre. Musi zostać ukryte, wychowane przez mamkę lub zabite.

Prawdę mówiąc, apelowanie do Acre, żeby zdradziło Ralfa, nie miało żadnego sensu. Richard łudził się, że ktokolwiek mógłby zwrócić się przeciw Ralfowi. On był ogniwem pomiędzy wsią a Laceyami, to on był ich prawdziwym dziedzicem. Nas od czasu do czasu obdarzali lojalnością; bywali sprzedawani lub okradani ze swojej pracy. Bywały okresy, kiedy nas kochali lub nienawidzili. A Ralf był człowiekiem, któremu mogli ufać. Gdyby chciał zostać w Anglii, przyjechałby tutaj. Za żadne pieniądze nie dałoby się kupić ich zdrady.

Nazajutrz zatrzymałam się na wiejskiej łące przed starym orzechem, gdzie wieczorami mężczyźni zbierali się na pogawędki. Stałam na stopniach

powozu i czekałam, aż zjedną się ludzie. Zobaczyłam stare znajome twarze z Acre, zobaczyłam ich jeszcze raz takich, jakich znałam z dzieciństwa: wynędzniałych, mizernych i zziębniętych.

Nie głodowali - ukryta pszenica Ralfa miała starczyć do wiosny, jak zaplanował. Nie byli źle ubrani. Mieli odzienie, które starczy im na jakiś czas. Ale znowu opuściła ich otucha, a ja pomyślałam, że tym razem zima była dla nich jeszcze większym ciężarem, gdyż ten miniony rok dał im nadzieję na lepszą przyszłość.

Biedni głupcy. Biedni, naiwni głupcy. A ja, największy głupiec ze wszystkich, odebrałam im szansę na szczęśliwe życie na mojej ziemi, wypuściłam ją z rąk, ponieważ byłam zbyt wielkim tchórzem, żeby powiedzieć głośno: „Zostałam brutalnie zaatakowana i nie było w tym mojej winy”.

Otoczyli mnie kołem. Dziecko w moim brzuchu kręciło się i kopało. Nie mogłam powstrzymać przyływu czułości za każdym razem, gdy maleństwo ruszało się we mnie. Ale kiedy poczułam na sobie wzrok wieśniaków, zrozumiałam, że to dziecko nie będzie mogło się tutaj wychowywać.

Pamiętałam, co powiedział Ralf o francuskich monarchach. Pamiętałam, jak mówił, że najpierw trzeba zaorać, by można było zasiać. Wideacre musi się uwolnić od Laceyów. Wściekli francuscy rewolucjoniści zamierzali stracić swego króla. Ja zamierzałam przerwać linię mojego rodu.

566

Rozejrzałam się wokół po kamiennych twarzach i podniosłam głos.

- Mój mąż kazał mi tu przyjechać i porozmawiać z wami - powiedziałam

wyraźnie, żeby nie było wątpliwości, czyj to był pomysł. - Dowiedział się, że pan Megson, który kiedyś był tu zarządcą, uciekł z więzienia.

Rozejrzałam się szybko dookoła, ale nie wywołało to ani zdziwienia, ani zadowolenia na żadnej twarzy. Zatem oni już wiedzieli. Czułam, że tak będzie.

- Za informację, która doprowadziłaby do pojmania pana Megsona i pozostałych zbiegów, została wyznaczona nagroda dwustu funtów. - Powtórzyłam dokładnie słowa Richarda, a wszyscy dobrze wiedzieli, że to pusta formalność. - Mój mąż kazał wam powiedzieć, że hojnie wynagrodzi wieś, jeżeli pan Megson zostanie złapany w Acre. Każdemu, kto pomoże w schwytaniu zbiega, wypłaci dodatkowe sto funtów, a cała wieś będzie dostawać za darmo mąkę i mleko aż do czasu zasiewów.

Ostatnie słowa wywołały poruszenie wieśniaków, ale nie dlatego, że dostrzegli okazję zdobycia bogactwa, tylko dlatego, że poznali rozmiar strachu Richarda. Widziałam, jak tłumią śmiech, a ja sama z trudem powstrzymywałam rozbawienie.

- Mój mąż prosił, żeby przypomnieć wam, że pan Megson jest znanym rebeliantem i niebezpiecznym człowiekiem. Uważa się, że ukrył się wśród Cyganów, macie więc donosić natychmiast o przybyciu każdej nowej ich grupy.

Skinęli głowami. Czekałam przez chwilę, potem zawróciłam w stronę powozu. Byłam nieprawdopodobnie zmęczona i bolały mnie plecy.

Chciałam jak najszybciej wrócić do domu i położyć się na całe popołudnie; kazać rozpalić w kominku i wpatrywać się w płomienie, aż za oknem zapadnie mrok. Bardzo chciałam znaleźć się w ciepłych ciemnościach z daleka od tej zimnej ziemi, lodowatego nieba i

zdradzonych ludzi.

- Panienko Julio! - usłyszałam. Zatrzymałam się. George podniósł schodki, ale przytrzymał otwarte drzwi, więc wychyliłam się, aby zobaczyć, kto mnie woła.

To była stara pani Merry. Cofnęłam się przed jej znużoną twarzą, jakbym się bała, że mnie uderzy. Od dziecka znałam tę okrągłą twarz, różową i pomarszczoną jak zimowe jabłko. Ale odkąd utraciła wnuka, policzki jej zapadły się, wokół oczu i ust porobiły się zmarszczki, zniknął też jej pogodny uśmiech.

567

Wysunęła się przed tłum i spojrzała na mnie siedzącą w bogatym, wybitym różowym jedwabiem powozie, którym Richard zastąpił tamten poplamiony krwią, porzucony w okolicach Haslemere. Spojrzałam na nią z góry jak księżniczka z bajki na starą wróżkę.

- Tak, pani Merry?

Jej wyblakłe, niebieskie oczy patrzyły na mnie z troską, pomarszczona skóra na policzkach była mokra od łez. Wiedziałam, że nie płacze nad sobą ani swoją samotnością i śmiercią wnuka. Ona płakała nade mną.

- Zasłużyłaś na coś lepszego, kochanie - wyszeptała głosem pełnym współczucia. Jakaś para stojąca w zasięgu słuchu pokiwała głowami, popierając ją, i zobaczyłam, że wszyscy patrzą na mnie, jakbym była taką samą ofiarą jak Acre. - Wszyscy mieliśmy nadzieję na lepszy świat. Zostaliśmy oszukani przez tego dziedzica, przez potęgę posiadaczy ziemskich. Mimo że sama jesteś posiadaczką, nie uniknęłaś niebezpieczeństwa. Dowiedziałaś się, kto ma władzę nad kobietą, a my jeszcze raz dostaliśmy nauczkę.

Pomyślałam, jak Richard zapanował nade mną dzięki mojej lojalności i miłości do niego, posługując się gwałtem i siłą konwenansu, który nakazywał mi poślubić ojca mojego dziecka.

- Nienawidzę go, pani Merry - powiedziałam bardzo cicho. - Chciałabym, żeby umarł.

Jej twarz nie wyrażała zaskoczenia.

- Aha. Rozumiem. Ale nie trać energii na nienawiść do niego. Dbaj o siebie, kochana. Weź się w garść i myśl o zdrowiu dziecka.

- Nie dam Wideacre następnego dziedzica - powiedziałam szybko.

Uniosłam głos i kilku mężczyzn odwróciło się i słuchało, o czym mówimy.

- Nie będę matką dziedzica. Nie dopuszczę, żeby moje dziecko miało władzę nad tą ziemią i nad wami, ludzie Acre. Za nic w świecie.

Skinęła głową.

- Świat byłby oczywiście lepszy, gdyby panowie nie chcieli rządzić - przyznała. - Acre kiedyś odmówiło posłuszeństwa i od tego momentu byliśmy oszukiwani i zdradzani raz za razem.

Zwiesiłam głowę. To moje wielkie nadzieje, moje olśniewające plany i moje szybko złamane obietnice oszukały ich tym razem.

568

Wszystko wokół mnie, moja miłość do ziemi, miłość do Richarda, było zepsute i złe.

- Muszę jechać - powiedziałam żałośnie.

Pani Merry cofnęła się i George zamknął drzwi z obojętnym wyrazem twarzy. Odsunęłam szybkę i wychyliłam się przez okno. George odszedł, by wskoczyć na kozioł, nie mógł już słyszeć.

- Co mam robić? - zapytałam nalegająco panią Merry.

- Jak to powstrzymać?

Powoli uniosła głowę, jej oczy spotkały się z moimi i niespodzianie rozkwitła szerokim uśmiechem.

- Co robić? - powtórzyła. - Ty niczego nie musisz robić, panno Julio. - George na koźle, elegancki w swojej liberii, nadstawiał uszu. - Ralf się z tym upora - dodała lekko pani Merry.

- Ralf wraca.

- Co...? - zaczęłam, ale konie ruszyły i ktoś odciągnął panią Merry od kół powozu. Zobaczył moje zdumienie, wschodzącą nadzieję i uśmiechnął się do mnie uśmiechem dawnego Acre.

Był to uśmiech spiskowców, którzy w końcu mieli szansę na zwycięstwo. Powóz uwoził mnie w dal, rozpartą na jedwabnych poduszkach Richarda. Ja również się uśmiechałam; niespodziewanie spadł mi ciężar z serca.

- Co mówili w Acre? - dopytywał się Richard. Stał przy ogrodowej bramie, podając mi dłoń przy wysiadaniu.

- Nic - odparłam. Pozwoliłam, żeby poprowadził mnie ścieżką aż do holu, ale zawahałam się, gdy otworzył drzwi salonu.

- Chcę odpocząć u siebie, Richardzie. Jestem bardzo zmęczona.

Pozwolił mi dojść do schodów, ale chciał więcej wiadomości.

- Czy powiedziałaś im, co ci kazałem? - zapytał.

- Tak.

- I co odpowiedzieli? - naciskał na mnie.

- Nic nie powiedzieli - odparłam.

- Z nikim nie rozmawiałaś na osobności? Nikt ci nie wspomniał, czy Cyganie już są na błoniach? Czy nikt szczególnie nie wypytywał o Megsona? A co z Nedom Smithem? On zawsze był bardzo blisko z

Megsonem.

Popatrzyłam na Richarda stojącego u stóp schodów i zmarszczyłam brwi. Byłam bezczelna i wiedziałam o tym. Ale znów nabrałam odwagi,

569

ponieważ wiedziałam, że zegar odlicza nasze życie w Dower House, wkrótce wybije godzina; całe to zgniłe życie zostanie roztrzaskane na kawałki. Dwa wypadki miały się zejść: dziecko w moim brzuchu powoli zmierzało na świat, a Ralf podróżował w tajemniczy drogami z Londynu, cygańskim wozem, małymi traktami, ukrytymi ścieżkami, których ziemiaństwo nawet nie znało.

- Nie rozmawiałam z nikim osobiście - powiedziałam, wyliczając odpowiedzi na pytania Richarda na palcach. - Nikt mi nie powiedział, czy Cyganie już przyjechali na błonia, ale ponieważ zawsze przyjeżdżają koło Bożego Narodzenia, sądzę, że będą tam lada dzień. Nikt nie pytał o pana Megsona. Ned Smith był tam, ale nie odezwał się.

Richard zamknął moją dłoń w brutalnym, mocnym uścisku.

- Co się z tobą stało?

Zmierzył mnie ostrym badawczym spojrzeniem od rozjaśnionej twarzy po czubki bucików.

- Ktoś powiedział ci coś, co sprawiło, że zhardziałaś - uznał celnie. - Ktoś spowodował, że patrzysz na mnie impertynencko tymi szarymi oczami.

Ktoś próbuje sprawić, żebyś zapomniała, co mogę z tobą zrobić.

Urwał i popatrzył na mnie badawczo. Jego dłoń coraz mocniej zaciskała się na mojej. Poczułam, jak kości zbliżają się do siebie i martwieją napięte ścięgna.

- Mylisz się - powiedziałam. - Wyzbyłam się strachu przed tobą, ponieważ

widzę, że ty się boisz. Wiem, że boisz się powrotu Ralfa Megsona do domu. I boisz się, że przyjedzie po ciebie.

Richard zrobił się biały, a jego uścisk na mojej ręce nagle osłabł. Dłoń pulsowała mi z bólu, ale serce biło z podniecenia.

- Myślę, że masz rację - dodałam słodkim głosem i moja dusza podskoczyła z radości na widok paniki w jego oczach. - Jeżeli Ralf rzeczywiście wróci do domu, wtedy przyjdzie wyrównać z tobą rachunki. Znam go dobrze. I muszę powiedzieć, że gdybym była na twoim miejscu i zdradziła go tak haniebnie, aż do śmierci nie wytknęłabym nosa z własnej piwnicy, żeby Ralf Megson mnie nie dopadł. Bądź pewien, Richardzie, że jest to jedyne miejsce, gdzie będziesz bezpieczny.

Richard drgnął i spuścił wzrok. Przyglądałam mu się przez moment, nim odwróciłam się na pięcie i wdrapałam po schodach do mojego pokoju.

Czułam jego wzrok na plecach, kiedy wchodziłam

570

ociężała stopień po stopniu. Dopiero kiedy stanęłam bezpiecznie w pokoju, oparłam się o drzwi i zadrzałam.

Stawiłam czoło Richardowi na dole, kiedy był strzępem nerwów ze strachu przed Ralfem, ale mimo że krucha staruszka dodała mi odwagi, byłam w opłakanym stanie. Dziecko ciążyło mi, czułam się wyczerpana i umęczona.

Mówiłam butnie o zakończeniu linii dziedziców, ale serce miałam osłabione miłością do mojego dziecka. Znając jego ojca i nasz ród, bałam się, że urodzę jakiegoś straszliwego potwora, jakiegoś szaleńca. Ale kiedy myślałam o tej cudownej małej rączce, którą wyczuwałam przez ściankę brzucha, płakałam z miłości do niego. Miłości, której nigdy nie będę

mogła okazać.

To dziecko trzeba będzie odesłać daleko. Richard musi zostać poskromiony. Ja zaś muszę zebrać całą odwagę, żeby stanąć do walki z Richardem, stawić opór jego złości, jego niszczącej sile i jakoś uwolnić się z otchłani szaleństwa, w którą wciągnął nas oboje.

Mogłam mówić butnie o śmierci w połogu i zakończeniu w ten sposób linii, ale w istocie bardzo się bałam.

Mogłam mówić butnie o oddaniu dziecka mamce albo o zabiciu go, ale moje serce tajało, kiedy czułam, jak się porusza, i bardzo chciałam mieć je już w ramionach.

Mogłam mówić butnie o pokonaniu Richarda, o nienawiści do niego, ale kochałam go przez całe życie i czasami myślałam, że stał się potworem tylko w mojej wyobraźni.

Upadłam na łóżko jak chore dziecko i spałam, kiedy styczniowe niebo za oknem zasnuwał mrok. Obudziłam się zziębnięta, w ciemnym pokoju. Nie wiedziałam, czy zbliża się świt, czy zapadł zmierzch, nie wiedziałam, gdzie jestem ani która jest godzina, czułam tylko, że się czegoś boję.

ROZDZIAŁ Trzydziesty.

Richarda nie było na obiedzie tego popołudnia. Stride powiedział, że pojechał do Chichester i wróci późno. Domyślałam się dlaczego. Wszedł do salonu, kiedy Stride wnosił herbatę, i potwierdził moje podejrzenie. W Chichester cały dzień spędził w koszarach. Przywiózł ze sobą kilku żołnierzy, którzy mieli być zakwaterowani u Busha, we wsi.

- Powiedziałem im, że nie można ufać Acre, że Ralf może wrócić i znów podburzać do buntu przeciwko nam - oznajmił. Odepchnął filiżankę z herbatą i zadzwonił o kufel piwa.

Wzrok mu płonął. Richard, cudowny dzielny chłopiec z mojego dzieciństwa, był bardzo tchórzliwym mężczyzną. Obserwowałam go nad filiżanki herbaty i serce miałam rozdarte pomiędzy triumfem a tęsknotą za kimś, kim już nie był.

- Miałem mnóstwo zachodu z przekonaniem ich, żeby potraktowali mnie poważnie - powiedział. Twarz mu sposepniała ze zmartwienia. - Gdyby nie to, że wcześniej były tu już zamieszki, pewnie odmówiliby mi - wytłumaczył. - Coś okropnego! Chciałbym, żeby był tutaj dziadek Havering; jego by posłuchali. Wszystko co mieli do powiedzenia to to, że jest wysoce nieprawdopodobne, żeby Megson zatrzymał się we wsi, bo mają potwierdzoną wiadomość z Londynu, że on i pozostali wsiedli na statek do Ameryki. Oni po prostu nie wierzyli mi, że może tu przyjechać. Kiwnęłam głową i nic nie powiedziałam.

- Cyganie przyjechali - oznajmił Richard po chwili. - Kazałem żołnierzom trzymać się blisko i obserwować ich. To są ci co zwykle, ale zabraniam ci rozmawiać z tymi ludźmi.

572

Ponownie potaknęłam. Richard podszedł do drzwi i zawołał w kierunku kuchni o następny kufel piwa. Był spragniony. Pewnie pił w Chichester dla kurażu, po wizycie w koszarach.

- Dlaczego kłamałaś, opowiadając o wizycie w Acre? - spytał nagle.

Podskoczyłam i rozlałam trochę herbaty na ciemną suknię.

- Nie kłamałam - zaprzeczyłam zbyt szybko.

- Kłamałaś - powtórzył. Uśmiechnął się teraz lekceważąco. Zawsze bawiło go przyłapywanie mnie. Cofnął się do pokoju i podszedł do swego ulubionego krzesła. Stride, z twarzą zastygłą w maskę dezaprobaty,

przyniósł drugi kufel piwa na srebrnej tacy i ustawił przy łokciu Richarda. Poniżenie w koszarach i strach przed Ralfem poszły w zapomnienie wobec przyjemności znęcania się nad służącym i żoną.

- Rozmawiałaś na osobności z jedną starą kobietą - powiedział. - Z którą? Usłyszałam dyktatorski ton chłopca z dzieciństwa i odwaga opuściła moją tchórzliwą duszę. Wtedy pomyślałam o Ralfie zbliżającym się powoli sekretnymi drogami w kierunku Acre i moim dziecku podążającym sekretnymi tunelami na świat.

Na ostatku pomyślałam o sobie. Pomyślałam, że przetrwam ten ciężki czas samotności, jeżeli znajdę jakieś oparcie. Straciłam Clare i moją mamę. Straciłam Ralfa. Straciłam swoją ziemię i prawo do spadku. W sobie samej, w swym sercu i umyśle musiałam znaleźć sens życia. Ponieważ drżałam za każdym razem, gdy mijał mnie Richard, rzeczywiście mógł mieć nade mną władzę. Mógł władać mną zawsze.

- Rozmawiałam z jedną starą kobietą - powiedziałam w końcu spokojnie.

- Nie było w tym nic, co mogłoby cię niepokoić. To była zupełnie inna sprawa.

Richard popatrzył na mnie spode łba.

- Słyszałem, że wymieniłaś moje imię - ciągnął. - Powiedziano mi, że mówiłaś o mnie źle. - Popatrzył przebiegle. Nie ufał ani swojemu informatorowi, ani swojej żonie, ani wsi, która należała do niego. Zamilkłam zaskoczona. Czy na pewno Richard nie miał żadnego przyjaciela w Acre? Płatnego informatora, który mógłby donosić na Ralfa? Zawsze byłam przekonana, że Acre nie można przekupić. Ale ktoś podsłuchał moją rozmowę z panią Merry. I ktoś doniósł Richardowi.

George!

Nowy sprytny stajenny Richarda.

To nie mógł być nikt inny. Niedawno przybył spoza hrabstwa. Richard zatrudnił go na miejsce Jema, by był przebiegłymi oczami i bystrymi uszami swego pana. Nie rozróżniał w Acre jednej starej kobiety od drugiej, więc wiadomość, którą dostarczył Richardowi, była niepełna.

Popatrzyłam na Richarda z pogardą. A on, w grzęzawisku podejrzeń, widział tylko, że się nie przestraszyłam, i pomyślał, że George okłamał go, uznał, że nie może nikomu zaufać, nawet swojemu płatnemu szpiegowi.

- Słuchasz paplania służących i otrzymujesz fałszywe doniesienia - powiedziałam lekceważąco. Richard oblał się szkarłatem. - Nie spiskowałam z nikim. Ale nie musisz strofować swojego szpiega za dostarczanie mylnych wiadomości. Nie będzie więcej ze mną jeździł. Ani do Acre, ani na herbatę do biskupa. Nie życzę sobie asysty brudnego małego donosiciela. Możesz go zwolnić, bo jeśli on będzie zajmował miejsce na koźle, ja nie wsiądę do powozu.

Trzymając głowę wysoko, opuściłam pokój i nie zatrzymując się, dotarłam do drzwi sypialni i zamknęłam je dokładnie za sobą. To była gra. Nikt nie wiedział tego lepiej ode mnie.

Jednak umiałam przeciwstawić się Richardowi przestraszonemu pogłoską o powrocie Ralfa, mogłam patrzeć mu w oczy płonąć pogardą, kiedy rzeczywiście mnie przyłapał, może więc miałam przed sobą jakąś przyszłość.

Acre znowu się uśmiechało. Acre jeszcze raz demonstrowało bezczelny uśmiezek wsi, która zdaje sobie sprawę, że jest źle rządzona i mało troszczy się o to, co powie pan. Pomyślałam, że nawet ja w dużym domu,

w łóżku dziedzica Acre, również nabrałam tej odwagi.

Rozebrałam się, ale zostawiłam różowy naszyjnik z pereł i kolczyki mamy.

Dodawały mi trochę otuchy, kiedy wśliznęłam się do zimnej pościeli.

Odkąd dziecko urosło tak bardzo, zwykłam sypiać na wznak.

Wyciągnęłam się na łóżku i westchnęłam, kiedy zaczęło się kopanie i wiercenie maleństwa. Czułam się, jakby moje ciało było siecią, w której trzepocą węgorze. Czasami nienawidziłam tego dziecka jako nieślubnego dziedzica Wideacre, czasami uwielbiałam je jako owoc mojego ciała. A czasami, jak teraz kiedy byłam zmęczona, wzdychałam jak

574

każda ciężarna kobieta i pragnęłam, żeby jak najszybciej minęła ta bezsenna noc.

Dziecko było spokojniejsze niż zwykle i zasnęłam przy zapalanej świecy, zapomniawszy ją zdmuchnąć. Kiedy obudził mnie jakiś nagły gwałtowny ruch, z przerażeniem uświadomiłam sobie, że obok mnie leży nagi

Richard. Nawet nie zdążyłam zaprotestować. Jedną ręką zakrył mi usta, żebym nie krzyczała, a drugą bezceremonialnie podciągnął moją koszulę.

Powinnam była ugryźć go w rękę. Ale nie pomyślałam o tym.

Nie pomyślałam, żeby to zrobić.

Wstydziałam się, że nie pomyślałam.

Walczyłam pod kołdrą, przeszkadzał mi jednak mój wielki brzuch i splątana pościel. Wydałam cichy, stłumiony ciężką ręką krzyk. A on patrzył w moje rozszerzone rozpaczą źrenice, pociemniałe z przerażenia.

W jego błękitnych oczach czaił się diabelski uśmiech; zrozumiałam, że ogarnęło go szaleństwo, a to mogło oznaczać mój koniec.

Nie było to pożądanie. Nie była to miłość ani pragnienie, ani żaden gorący

na pół wybaczalny grzech. To przemoc i okrucieństwo kierowały Richardem. Widział, jak dumnie trzymam głowę, widział w moich oczach odwagę, więc zaczekał, aż usnę i będę bezbronna, dopiero wtedy przyszedł do mnie. Był w moim łóżku, jedną ręką zakrył mi usta, drugą ręką podciągnął koszulę i przygniótł mnie swoim ciężarem.

Zamarłam, kiedy wodził ręką po mojej szyi, wzdłuż pereł. Wiedziałam, że gdy tak leżałam pod nim z rozszerzonymi strachem oczyma, myślał o tym, by mnie udusić.

Kiedy zobaczyłam, jak się uśmiecha, zrozumiałam, że jestem zgubiona.

Byłam gotowa. Obiecałam pani Tyacke, obiecałam pani Merry, słyszało to całe Acre. Nie dam im następnego dziedzica. Zakończę linię Laceyów.

Jeśli Richard zabije mnie tej nocy, będzie to oznaczało mój koniec, ale i koniec jego spadkobiercy. Będzie to jednak oznaczało także koniec samego Richarda, gdyż Acre nie wybaczy mu tego morderstwa.

Zacisnęłam zęby, cierpiałam pod ciężarem jego ciała na moim zaokrąglonym brzuchu, czując odrażającą brudną rękę na ustach.

Zacisnęłam zęby, by dodać sobie odwagi, i szybko pożegnałam się w myślach z tym, co kochałam - z Jamesem, Wideacre i mamą.

Przygotowałam się na śmierć.

575

Był ciężki. Póллеżąc na mnie położył dłoń na moim wielkim brzuchu i pogładził go, kiedy dziecko, piekielny owoc jego nasienia, poruszyło się niespokojnie, jakby wyczuło mój strach.

- Och, Julio - wyszeptał tęsknie, na wpół do siebie. - Zapomniałem o tym.

Tylko to uratowało ci życie dzisiejszej nocy.

Usiłowałam zachować obojętny wyraz twarzy.

- Chciałem cię udusić - rzekł jakby rozmarzony. - Niedobrze mi się robi od twoich ponurych min, które obnosisz po domu. Są inne kobiety, które mógłbym tu mieć, gdyby ciebie nie było. Są inne dziewczyny, które mógłbym poślubić. Chciałem cię, ponieważ ty miałaś Wideacre, ale ono teraz jest moje i już cię nie potrzebuję.

Świeca mrugała, rzucając groźne cienie na sufit, lecz nic nie było bardziej przerażające od cienia w moim łóżku, który mówił takie plugastwa intymnym szeptem.

- Ja naprawdę kiedyś cię kochałem - wyszeptał, jakby przekonywał sam siebie. - Kiedy byliśmy dziećmi, zanim dowiedzieliśmy się, kim jesteśmy i co odziedziczyliśmy. Myślę, że wtedy cię kochałem.

Przerwał. Mówił do siebie; przeniósł się myślą w tamte czasy.

- Kochałem również mamę - powiedział. Nagle jego głos przeszedł w wysokie tony, jak u dziecka. Zrozumiałam, że Richard oddala się, zanurza z powrotem w słonecznym dzieciństwie w Wideacre z ciotką, która go uwielbiała, i kuzynką, która świat by za nim przeszła wzdłuż i wszerz. Świat, gdzie on był małym uwielbianym tyranem.

- Kochałem mamę tak bardzo - ciągnął słodko. Spochmurniał nagle. - Ale ty zawsze usiłowałaś być pierwsza - powiedział, marszcząc czoło jak rozdrażnione dziecko. - Zawsze usiłowałaś wejść pomiędzy mnie a mamę. Wpychałaś się tam, gdzie cię nie chcieli, Julio. I choć mógłbym ci przebaczyć, gdybyś bardzo, bardzo tego żałowała, nie mogłem zapanować nad swoim gniewem, wielkim gniewem, że chciałaś odsunąć ode mnie ludzi... Czy ty mnie słuchasz, Julio? - zapytał, raptem poirytowany.

Przytaknęłam posłusznie jak dziecko w szkole. Mocniej zacisnął dłoń na moich ustach. Było mi niedobrze od zapachu jego ręki - odoru końskiego

potu, dymu cygar i dżinu. I to wszystko zmieszane było z szarpiącym żołądek zapachem Richarda, kuzyna, którego kochałam przez tyle lat. Tak długo.

576

- Zabiłem ją. - W końcu się przyznał! - Twoją przyjaciółkę, Clare. Próbowałem, naprawdę próbowałem się z nią zaprzyjaźnić. Nawet próbowałem udawać, że jestem w niej zakochany. Zaśmiała mi się w twarz - rzekł ze zdumieniem. - Powiedziała, że ty jesteś warta dziesięciu takich jak ja. - Urwał. - Zapłaciła mi za to.

Obserwowałam go i nie odzywałam się. Miał błędny wzrok.

- Widziała nas - przyznał - kiedy gwałciłem cię w domku letnim. Popatrzyłem w górę i zobaczyłem ją. Chciała podbiec do nas, żeby ci pomóc, ale zobaczyła moją twarz. Zaczęła uciekać tak szybko w kierunku Acre, jak potrafiła. Pewnie myślała o sprowadzeniu pomocy. Złapałem ją nad Fenny - powiedział rozmarzonym głosem. - Zacisnąłem jej ręce na szyi. Była dość silna, ale tak się przestraszyła, że nawet nie próbowała się bronić. Po prostu udławiła się, a potem język i oczy wyszły jej na wierzch. Okropność. Wyglądała tak paskudnie, że wepchnąłem ją do rzeki i poszedłem do domu. Wiedziałem, że wszystko będzie w porządku. Wszystko zawsze kończyło się dla mnie dobrze.

Westchnęłam cicho.

- Zabiłem również twoją mamę - kontynuował. Znowu pojawił się na jego twarzy wyraz rozdrażnienia; zobaczyłam w półmroku opuszczone z goryczą kąciki ust.

- Poleciała za Johnem jak głupia. Połączyli się przeciwko mnie. Odsunęła się ode mnie zaraz po jego powrocie. Uważałem, że jest piękną kobietą,

cudowną kobietą. Aniołem. Niestety ona była jedynie dziwką, jak wszystkie. Jak ty. Od powrotu ojca do domu biegała za nim jak goniąca się suka. Zupełnie zapomniała o mnie. To był jego pomysł, żeby mnie wydziedziczyć, a ona robiła wszystko, co chciał. Zamierzała unieważnić nasze małżeństwo, a to pozbawiłoby mnie majątku.

Przerwał. Znowu miał spokojną twarz, słowa były wyważone i rozumne.

- To było podłe. Nie rozumiesz interesów, Julio, ponieważ jesteś tylko kobietą, ale wiedz, że mama wtykała nos w nie swoje sprawy. Byłem zdumiony, że wpadła na to - powiedział z ponurym szacunkiem. - Była taka daleka od tych rzeczy, taka kobieca.

Leżałam nieruchomo jak kamień. Czułam łomotanie serca i wiedziałam, że za moment ten dźwięk przypomni Richardowi, że pod nim, w jego mocy była inna kobieta, która zapomniała

577

o swoim miejscu i próbowała się wtrącać do zarządzania majątkiem.

- Obawiam się, że sprawiłem jej ból - szepnął przepraszająco.

Przymknęłam oczy. Musiałam z całych sił panować nad sobą, żeby nie krzyknąć głośno, kiedy morderca mamy leżał na mnie i słodkim głosem opowiadał mi o koszmarze, którego przez te wszystkie miesiące próbowałam nie dopuścić do siebie.

- Chyba sprawiłem jej ból - powtórzył. - Jema zastrzeliłem od razu, rozumiesz. A potem z drugiego pistoletu strzeliłem przez okno do Johna. Otworzył drzwi i ruszył do mnie, był naprawdę dzielny. Sądzę, że próbował ochronić mamę. Strzał wrzucił go z powrotem do powozu, na jej kolana. Krzyczała. Pewnie przestraszyła się krwi. Ale nic nie zrobiła. - Zawahał się. - No, właściwie nic nie mogła zrobić - uznał szczerze. -

Musiałem ponownie naładować broń, ale nie zabrało to dużo czasu. Potem czekałem.

Jego dłoń znowu zwolniła nacisk, a szalone niebieskie oczy błędziły nieobecne w świetle świec. Nie mogłam się ruszyć, zamarłam z przerażenia. Z makabryczną fascynacją chłonełam jego opowiadanie.

- Czekałem - ciągnął swoją opowieść. - Potem zsiadłem z konia i otworzyłem drzwi powozu. Konie w zaprzęgu pasły się na skraju drogi, zupełnie nie przestraszone, mimo że padły dwa strzały. Zabawne.

Pozwoliłem, żeby mój koń dołączył do nich. No tak, one zwykle były razem. Ale to wyglądało dziwnie. Te trzy konie pasące się przed żywo płótem niedaleko Haslemere, martwy Jem na koźle, martwy John w powozie i twoja mama taka cicha w środku. Chciałem wiedzieć, co robi.

Tylko to. Nic więcej, naprawdę. Otworzyłem drzwi powozu. Trzymała głowę Johna na kolanach. Jego krew ochlapała podłogę i jej sukienkę.

Rozzłościło mnie, że zniszczyła suknię jego krwią. Wiesz, Julio, wściekłem się, że ona siedzi z jego głową na kolanach, kiedy ja mam takie kłopoty z tobą, dzieckiem, z małżeństwem i z Wideacre.

Przerwał, przypominając to sobie z lekkim uśmiechem.

- Poznała mnie od razu! - opowiadał zadowolony. - Kiedy otworzyłem drzwi, zawołała: „Och, Richardzie, coś ty zrobił!” A ja powiedziałem - uśmiech Richarda zmienił się w grymas zadowolenia, jakby doszedł do niesłuchanie zabawnej konkluzji strasznie śmiesznej historii -

powiedziałem: „Zabiłem was wszystkich,

578

mamo!” A potem strzeliłem do niej! Strzeliłem jej prosto w twarz!

Śmiał się głośno szczęśliwym śmiechem najbardziej kochanego dziecka w

domu, a potem urwał nagle i spojrzał na mnie.

- Nie śmiejesz się! - upomniał mnie. - Nie uważasz tego za zabawne.

Zdjął rękę z moich ust, wargi miałam zdrętwiałe od długiego nacisku.

- Nie - powiedziałam. - Nie widzę w tym nic zabawnego, Richardzie.

- To jest zabawne - nalegał z uporem szaleńca. Olśniło mnie -jasno jak błysk światła na ostrzu noża - co muszę zrobić.

Wyszłam naprzeciw śmierci.

- Nie wierzę ci - wyszeptałam prowokująco. - Nie sądzę, żebyś to zrobił.

Nie zdobyłbyś się na to!

- Zrobiłem to! - powiedział Richard głosem zdenerwowanego dziecka.

- Nie - zaprzeczyłam. - Nie ty! Ty lubisz działać w ukryciu. Znam cię, Richardzie. Mogłeś udusić Clarę w ciemnym lesie. Mogłeś złamać nogi małemu sokołowi. Mogłeś nocą w stajni podciąć ścięgna swojemu koniowi. Ale nigdy byś nie zatrzymał powozu w jasnym świetle dnia. Jesteś tchórzem, Richardzie. Wszyscy zawsze o tym wiedzieli.

Wpędzałam go w szaleństwo. Zobaczyłam, jak jego oczy pokrywają się mgłą wściekłości i stają się jasne jak szafiry.

- Zrobiłem to! - upierał się.

- Udowodnij - powiedziałam z uporem. - Zaciskaj ręce na mojej szyi i patrz mi prosto w oczy. Jesteś tchórzem i nie odważysz się na to!

Natychmiast położył mi ręce na gardle, ale ich uścisk był słaby.

- Nie jesteś dzieckiem szczęścia - mówiłam prowokując go. - Nigdy nie byłeś! Wszyscy zawsze kochali mnie i kochali mamę. Ty zawsze byłeś na drugim miejscu.

- Nie!

- O, tak - powiedziałam słodko. - Jak myślisz, co dziadzio Havering myślał o tobie, kiedy wszyscy widzieli, że nie umiesz jeździć konno? Jak sądzisz, co myśleli o tobie w Acre, kiedy

579

wszyscy widzieli, że boisz się wiejskich dzieci? A jak myślisz, co sądził o tobie Ralf? A wuj John? Oni wszyscy tobą pogardzali. Clara i ja gardziłyśmy tobą! Zabiłeś Clarę, ale nie ośmieliłeś się zabić mnie! To pomogło. Jego ręce na moim gardle zacisnęły się mocno w niepoahamowanym przyływie wściekłości. Zamknęłam oczy i modliłam się do Boga, żeby to odbyło się szybko i sprawnie i żebym od razu umarła. Żeby wszyscy wiedzieli, że to Richard, i żeby go powieszono. Żeby ziemia została uwolniona od Laceyów na zawsze.

- Tchórz - wykrztusiłam przez zaciśnięte gardło. - Pokaż mi, że nie jesteś tchórzem.

Zanim poczułam ból konania, głęboko we mnie, tam gdzie nosiłam dziecko, które miało umrzeć w środku martwego łona, poczułam inny ból. Całe moje ciało drgało w silnych gorących skurczach. Wiedziałam już, że nie jest mi pisana śmierć z jego rąk.

Kazirodczy bękart Richarda poczęty w wyniku gwałtu wyruszał w drogę. Moja mała dziewczynka była gotowa do narodzin.

Richard ciężko oparty na moim brzuchu wyczuł nagły ruch i zwolnił uścisk.

Milczałam w nadziei, że się nie zorientuje i dokończy dzieła. Wiedziałam, że mam dość silnej woli, żeby to przetrzymać. Ale on nagle puścił moją szyję.

- Co to? Czy to dziecko? - spytał przestraszonym szeptem. A ja jak

głupiec skinęłam głową i powiedziałam przez zachrypnięte gardło:

- Tak.

Wyskoczył natychmiast z łóżka naprawdę przestraszony, a ja uśmiechnęłam się kwaśno, widząc, że jest tak podobny do każdego męża, którego żona właśnie ma rodzić. Nagle moje ciało przesłoniło wszystko i poczułam, że nie myślę o niczym poza dzieckiem zbierającym się z całą mocą do wyjścia na świat. Doświadczyłam dziwnego uczucia, jakby eksplozji wilgoci, a prześcieradło pode mną przesiąkło ciepłym płynem czerwonym jak krew, ale przezrzystym jak dobre wino.

- Uff - wystękał Richard z głębokim niesmakiem. Na jego twarzy malowała się trwoga.

- Ubieraj się - powiedziałam, patrząc na rozszerzającą się plamę - i jedź po położną.

580

- Przyślę do ciebie Jenny - rzucił za siebie, gnając do drzwi, aby szybko ściągnąć pomoc i żeby uciec od tego słodkiego intensywnego zapachu narodzin.

- Nie - powiedziałam cicho z przemyślaną przebiegłością. Wiedziałam, co teraz zrobię. Wiedziałam od tego dnia w Acre, kiedy powiedziałam, że nie urodzę następnego dziedzica.

We Francji zabili króla, żeby zakończyć dynastię.

Ja zamierzałam zrobić to samo.

Nie mogłam jednak powstrzymać spadkobiercy przed urodzeniem się; zacisnęłam zęby, żeby nie krzyknąć z przerażenia, że jestem sama, i z lęku przed rozdzierającym ciało bólem, który wydawał się trwać przez długie, niewiarygodnie długie sekundy. Potem ból przychodził jak fale zalewające

kamienistą plażę, cofając się i nacierając.

Jenny znalazła mnie przykucniętą na podłodze, jak jakąś żebraczkę przed przytułkiem, i poprosiła, żebym wracała do łóżka. Ale kiedy zobaczyła, co się stało z pościelą, zaprowadziła mnie na miejsce przy oknie. Zobaczyłam upiorne srebrzyste światło księżyca na wierzchołkach bezlistnych drzew lasu Wideacre i usłyszałam krzyk sowy, która wydawała się wtórować mojemu bólowi.

Słyszałam krzątanicę Jenny: szelest zmienianych prześcieradeł i brzęk mosiężnego dzbanka napełnianego gorącą wodą, ale nie rozglądałam się. Później w drzwiach pojawił się Stride z koszykiem pełnym drewna, żeby ogrzać mój pokój. Te zwyczajne prace wykonywano wokół mnie, a ja byłam małą wysepką samotności pośrodku tego wszystkiego, ściskana mocnymi kleszczami bólu, jakby jakieś dzikie zwierzę pożerało mnie, wbijając mi zęby w trzewia.

Zaczęłam chodzić; jakbym mogła uciec od bólu, chodząc w tej ciasnej przestrzeni pokoju od ściany do ściany, obok kominka, do wykuszu okna, zawracając przed toaletką, i z powrotem. Zaczepiłam koszulą o Jenny, kiedy kuśtykałam obok niej. Musiałam bardzo nad sobą panować, żeby nie uczeplić się jej ramienia i błagać, żeby mnie nie zostawiała, bo chwilami czułam się tylko młodą dziewczyną, za młodą, zbyt drobną, żeby urodzić. W duszy czułam paniczny strach, w brzuchu - dziecko. Jedno i drugie rozrywało mnie na kawałki.

- Boję się - szepnęłam z jękiem, oddychając ciężko. Zaróżowiona od ognia w kominku Jenny popatrzyła na mnie ze współczuciem. Nikły, migoczący żółty płomień oświetlał pokój

i sprawiał, że cienie tańczyły na ścianach. Ból znowu chwytał mnie w swoje szpony, lekko krzyknęłam i zaczęłam spacerować. Jeszcze nigdy nie czułam się tak samotna.

- Pan posłał do Chichester - odezwała się Jenny. - Jest w bibliotece. Czy mam go poprosić, żeby posiedział z panią?

Popatrzyłam na nią jadownicę.

- Wolałabym siedzieć z diabłem - odparłam zapalczywie i wtedy schwytał mnie skurcz jeszcze silniejszy, nie do zniesienia, przez długie ciężkie sekundy nie mogłam złapać oddechu, żeby powiedzieć następne słowo.

- Może przyprowadzić panią Merry z Acre? - zapytała Jenny nieśmiało. - Ona jest stara, ale pomagała mojej mamie przy nas wszystkich.

- Nie - powiedziałam, kiedy się wyprostowałam i grzbietem dłoni starłam pot z twarzy. Pani Merry znała się na swoim fachu zbyt dobrze, żeby zostawić mnie samą z dzieckiem po tym, jak przysięgłam zakończyć ten ród. - Nie - powtórzyłam.

- Ale idź i przygotuj wszystko.

Obrzuciła mnie przestraszonym spojrzeniem i wybiegła z pokoju.

Prawie zaraz po jej odejściu wrócił ból i na chwilę chwyciłam się słupka baldachimu łóżka. Wtedy przyszła najsilniejsza fala bólu; upadłam na dywan.

Obróciłam się na plecy i poczułam, że mój brzuch unosi się jak twarda skorupa, jakby dziecko siłą przedzierało się przez moje ciało, żeby zobaczyć świat.

Złapałam się nogi łóżka i próbowałam się na nie wciągnąć, ale kiedy podnosiłam się, poczułam, że pomiędzy moimi nogami otwiera się jakaś zaczarowana jaskinia, i ogarnęło mnie jakieś nowe uczucie, tak silne i

tajemnicze jak pożądanie. Usiadłam na podłodze oparta plecami o łóżko i parłam tak mocno, jak mężczyzna podpierający walący się płot.

Poczułam, że główka dziecka wychodzi na zewnątrz.

Samotna w ciemnym pokoju, podczas gdy domownicy biegali jak szaleni, ale nikt nie miał dość rozumu, żeby przyjść do mnie

- trzymałam małą główkę i za chwilę szybkim jak błyskawica ruchem moje dziecko, moje maleństwo wysliznęło się ze mnie na dywan. Wzięłam je w ramiona.

Czułam pępowinę, purpurową, śliską, pulsującą moją krwią. Rąbkiem koszuli wytarłam małe zabrudzone oczka, twarzyczkę

582

i usteczka. Dziecko poruszyło się i otworzyło buzię, wydało cichy krzyk protestu, zakaszlało i zaczęło oddychać.

Więc żyło.

Ona żyła.

Rozsunęłam jej cienkie nóżki i zobaczyłam małą różową kobiecość.

Popieściłam maleńką stopkę i objęłam małą kostkę kciukiem i palcem wskazującym.

- Sara - wyszeptałam czule. A ona otworzyła oczy i popatrzyła na mnie.

Była moim dzieckiem. Znałam ją tak dobrze jak horyzont wokół Acre. I nie była szalona ani chora, ani zdeprawowana czy zła. Była jedynie maleńkim dzieckiem, któremu powinno się dać szansę dorosnąć i zaznać szczęścia. Ona miała do tego prawo, tak jak każde biedne dziecko urodzone w Acre miało prawo do życia.

Z trudem uniosłam się na nogi i wtedy jakiś przerażający, śliski kawałek mięsa wysunął się ze mnie i upadł na podłogę. Stanęłam zaskoczona; nie

czułam się śmiertelnie zraniona, chociaż tam gdzie byłam przed chwilą, znajdowała się ogromna kałuża krwi. Potem zobaczyłam pępowinę i zrozumiałam, ja, głupiutka panna z wyższej sfery, że to łożysko i błony płodowe i że mogę bezpiecznie odgryźć pępowinę. Moje dziecko urodziło się naprawdę i było ode mnie oddzielone.

Pochyliłam głowę, tak naturalnie jak robi to kocąca się owca, przegryzłam pępowinę i położyłam czystą chusteczkę na małej krwawiącej ranie na jej brzuszku. Potem wyjęłam z szuflady wełniany szal i owinęłam ją, po chwili namysłu okryłam ją jeszcze chustą, ponieważ miałyśmy wyjść w ciemność nocy, a słyszałam, że zbliża się burza.

Trzymając maleńkie ciało mocno w ramionach otworzyłam szafkę i wyjęłam zimową pelerynę, tę grubą, z granatowej wełny. Zarzuciłam ją na nas obydwie i wciągnęłam kaptur. Poplamiona krwią koszula plątała mi się wokół kostek, ale nie zważałam na to. Tak samo jak i na to, że byłam bosa. Dziecko otulone moim ciepłem wyglądało na senne i spokojne. Trzymając je mocno otworzyłam drzwi sypialni i nadśluchiwałam.

Stride i Jenny byli w kuchni, dochodził mnie stamtąd jej wysoki podniecony głos; czekali na podgrzanie się wielkich mosiężnych garnków, żeby przynieść do pokoju dużo gorącej wody. Pani Gough piętro wyżej, w sypialni, ciężko stąpała w swoich pantoflach

583

przygotowując kołyskę, rozpalając ogień i wietrząc prześcieradła.

Skłoniłam głowę i nadstawiłam ucha, ale nie słyszałam Richarda.

Wzruszyłam ramionami, jakby to naprawdę było bez znaczenia, jakby tego szaleństwa nie można było powstrzymać. Przytuliłam cenny mały tobołek pod peleryną jeszcze mocniej i jak duch wyśliznęłam się na schody.

Wtedy usłyszałam ten dźwięk. Odgłos nalewanego do szklanki płynu. Richard był w bibliotece, pił i czekał. Czekał na położnika z Chichester. Czekał, żeby ten zszedł po schodach z nowym spadkobiercą Wideacre w ramionach i powiedział: „Jaśnie panie, oto twój syn” - jak na ostatniej stronie romantycznej powieści.

Ale to nigdy się nie wydarzy.

Wiedziałam, że muszę zapłacić tę cenę. Zdałam sobie z tego sprawę wtedy, gdy leżąc we własnym łóżku czułam na sobie ręce mordercy i byłam gotowa umrzeć. Byłam gotowa nawet teraz, mając przy sobie ten maleńki cenny skarb - moją córeczkę. Musiałam zapłacić za to, że byłam Julią Lacey. Ona była tą ceną, którą musiałam zapłacić.

Richard nigdy nie zobaczy swojego dziecka.

Wideacre nigdy nie będzie miało dziedzica.

Cicho jak cień zeszałam po schodach, moje bose stopy nie robiły żadnego hałasu na grubym dywanie. Kiedy schodziłam ostrożnie i cicho stopień po stopniu, krople krwi spływały mi po nogach; zostawiałam ślad jak ranne zwierzę.

Te ślady mogły zaprowadzić Richarda, wietrzącego krew jak drapieźnik, przez hol, do frontowych drzwi. Ale na dworze było ciemno i wiatr szarpał drzewami. Nadciągał deszcz, który zaciera wszelkie tropy. Fenny podnosiła się, woda wezbrała wysoko. Wszystko można ukryć, kiedy Fenny wyleje. Richard, który wrzucił ciało Clary do rzeki, wiedział o tym najlepiej.

Kołatka u frontowych drzwi zastukała, ale dźwięk utonął w trzasku uderzających o siebie na wietrze gałęzi drzew. Podmuch wpadł do holu, ale drzwi biblioteki były szczelnie zamknięte i Richard nie wiedział, że

jego dom stoi otworem. Nie wiedział, że frontowe drzwi mogą wpuścić i burzę, i wiatr, i człowieka. A dziecko, którego pragnął, zostało wyniesione na deszcz, aby nigdy nie wrócić.

Walczyłam z ulewą jak z bezlitosnym wrogiem.

584

Ogromne, pędzone przez wiatr strugi wody twarde jak grad uderzały mnie w twarz i spływały jak łzy po policzkach. Otrząsnęłam się jak mokry pies i jeszcze mocniej przytuliłam niemowlę do siebie.

Stopy kłuły mnie z zimna, kiedy biegłam ścieżką przez ogród do bramy i do podjazdu. Byłam głupia, że wybiegłam boso, ale nie myślałam o tym wcześniej. Nie myślałam o niczym. Byłam w drodze do Fenny i ani kamienie podjazdu, ani pokrzywy, ani kolczaste jeżyny na leśnych ścieżkach nie mogły mnie powstrzymać.

Zagryzłam wargi, żeby nie jęczeć z bólu, kiedy biegłam przez podjazd, potykając się o wapienne kamienie i rozpryskując kałuże, w przemoczonej koszuli. Miałam przy sobie tylko jedną suchą rzecz - ciepłe małe zawiniątko w zagłębieniu mojego lewego ramienia. Czułam jej lekki i słodki oddech i jakaś odległa część mojego umysłu mówiła jej: „To jest Wideacre, a ty jesteś Sara Lacey”. Ale żadne słowa nie wyszły z moich ust. To dziecko, moja córka, miało opuścić świat tak, jak nań przyszło - nie posiadając niczego.

Kiedy znalazłam się pod osłoną gałęzi, deszcz przestał uderzać mnie po twarzy i oddychałam lżej. Nie czułam stóp odrętwiałych z zimna. Kiedy spojrzałam na nie w świetle księżyca, pomyślałam, że są czarne od błota, ale potem zdałam sobie sprawę, że są pokaleczone i krwawią. Poród, utrata krwi, ból w stopach i wściekły wiatr sprawiły, że czułam się lekko, miałam

wrażenie, że nie potykam się brnąc wzdłuż Fenny, tylko że unoszę się, tańczę na wąskich ścieżkach. Dawna dziwna magia Wideacre śpiewała w mojej głowie i nareszcie wiedziałam, byłam tego całkowicie pewna, że jestem panią samej siebie, że pozostaję w harmonii z ziemią rozciągającą się wokół mnie.

Potknęłam się o wystający korzeń - przede mną była Fenny. Westchnęłam. Tak mało ostatnio wychodziłam z domu, nie widziałam, jak wypełnił ją tegoroczny deszcz i sprawił, że toczyła wody coraz szybciej.

Wystraszyłam się. Była spieniona jak przy wielkiej groźnej powodzi, sięgając aż do stromych brzegów, w każdej chwili mogła się przelać i zatopić całą dolinę Wideacre. Miałam wrażenie, że drzewo za mną trzęsło się jakby ze strachu; wyciągnęłam rękę i dotknęłam pnia, żeby się upewnić, że ten suchy łąd i wysokie drzewa są bezpieczne.

Rzeka ryczała jak jakieś ogromne zwierzę; nie przypominała bezpiecznej rzeczki, nad którą się bawiłam. Teraz ledwie

585

ośmieliłam się podejść do brzegu ze strachu, że mnie porwie. Nic, a już na pewno małe dziecko, nie mogło wyjść żywe z jej nurtu.

Wypatrywałam drzewa, które przerzucone przez rzekę służyło jako kładka. Nie widziałam go i pomyślałam, że musiało zostać zmyte. Popatrzyłam w dół rzeki i zobaczyłam wielkie fontanny bulgocącej wody, która podmyła słabsze partie brzegu, pochłonęła pnie nawet dużych drzew i zamykała się nad nimi z hukiem, tworząc ogromne rozkołysane fale. Przelekkłam się ryku rzeki, trzasku łamanych gałęzi i wycia wiatru.

Ale wiedziałam, po co tu przyszłam.

Nic nie mogło mnie powstrzymać.

Musiałam uwolnić siebie, uwolnić Acre, skończyć z Laceyami i zniszczyć Richarda.

Opuściłam schronienie pod dębem i podeszłam blisko brzegu. Czułam, jak ziemia drży pod naporem wody, widziałam, jak ogromny jej kawał oderwał się od brzegu i spadł z hukiem do rwącej rzeki. Oparłam się o korzenie przewróconego drzewa, żeby utrzymać się na nogach.

Ostrożnie włożyłam zimną rękę pod pelerynę. Sara westchnęła, kiedy wysunęłam ją z zacisznego ciepła, otworzyła oczy i popatrzyła wprost na mnie. Zbliżyłam ją do obmytej zimnym deszczem twarzy, a potem pochyliłam się nad rwącą rzeką, trzymając ją tak czule, jakbym kładła ją do kołyski.

Huk rzeki był ogłuszający, więc niczego nie słyszałam, ale raptem spostrzegłam jakąś kobietę, która wysunęła się jak duch z cienia drzew po drugiej stronie rzeki. Zamarłam. Sara była już tylko kilka cali nad wodą, oczy miała szeroko otwarte, usta też - krzyczała, ale nie słyszałam niczego, tylko ten okropny ryk, ryk głodnej rzeki.

Kobieta podeszła do brzegu po drugiej stronie; przeszła przez rzekę i zbliżała się do mnie. Z mojego miejsca, pochylona nad wodą, widziałam, jak po prostu przeszła przez rzekę, przebiegając lekko po rozlanej wodzie, jakby to była bezpieczna podłoga do tańca, ale kiedy się wyprostowałam, zobaczyłam, że szła po kładce z pogrążonego w wodzie drzewa.

Cofnęła się do kładki, obróciła się i przeszła na drugą stronę. Patrzyłam za nią, a potem nie wiedząc dlaczego, uniosłam Sarę i znowu umieściłam ją na ręce. Poszłam w górę rzeki do mostka. Mocno przytrzymałam Sarę jedną ręką, ostrożnie weszłam po kostki

do wirującej wody i przeszłam po śliskim drzewie, przytrzymując się jego gałęzi dla zachowania równowagi.

Czekała na mnie po drugiej stronie. Przebiegła lekkim krokiem, jakby znała ten most i las lepiej ode mnie albo jakby była rzeczywiście duchem, który nie musi się obawiać śmierci w huczącej rzece.

Kiedy dotarłam do brzegu, skręciła w stronę lasu i oddaliła się ode mnie, a ja poszłam za nią jak we śnie. Grzmiąca rzeka została daleko w tyle, otoczyła nas zasłona ciemnozielonych świerków i sosen. Szłam za nią, potykając się. Ona się nie potykała. Stąpała lekko, wydawało się, że nie dotyka ziemi.

Prowadziła mnie w stronę wspólnych łąk i pomyślałam z nagłą nadzieją, że prowadzi mnie do Ralfa, który wrócił do Wideacre nie żeby się zemścić, ale żeby mnie uratować. Żeby mnie stąd zabrać.

Wyszliśmy spod osłony drzew i podeszliśmy do małej furtki w ogrodzeniu parku. Otworzyła ją i wśliznęła się do środka. Poszłam w jej ślady i przez mgnienie oka widziałam jej twarz w świetle księżyca.

Była piękną młodą kobietą z włosami rudymi jak grzywa kasztanka, o oczach skośnych i zielonych jak trawa na wzgórzach, i owalnej twarzy.

Przypominała mi kogoś, ale nie mogłam sobie uzmysłwić kogo.

Patrzyłam na nią, szukając jakiegoś śladu w pamięci, szukając rodzinnego podobieństwa do kogoś, kogo dobrze znałam.

Wtedy uśmiechnęła się do mnie znajomym smutnym uśmiechem i odetchnęłam z ulgą. Przypominała mnie samą, a ten uśmiech był znany wszystkim w Acre. To był uśmiech Laceyów. To była Beatrice.

Wyciągnęłam rękę, żeby ją zatrzymać, ale ona ruszyła dalej. Szła przede mną tak pewnie, jakby w świetle księżyca widziała ścieżkę tak samo

dobrze jak w dzień. Szłam za nią, byłam duchem jak ona i czarownicą jak ona. Nawet nie zdziwiło mnie, że poszła ze mną, że poprowadziła mnie pod górę po stromym, pokrytym zimnym wrzosem zboczu. I wtedy zobaczyłam, że nie rzuca cienia na srebrzysty piasek.

Musiałam uważać na swoje pokaleczone stopy, kiedy mozolnie wspinałam się ścieżką w górę. Z trudem brnęłam przez mokry piach, bałam się, że upuszczę Sarę. Krwawiłam. Ciepło spływające po nogach ostrzegało mnie, że przeszłam więcej, niż mogłam

587

tej nocy. I nie zrobiłam tego, po co wyszłam. Kiedy wdrapałam się na szczyt wzgórza, rozejrzałam się dookoła, ale kobieta zniknęła.

Nie było żadnej wiotkiej postaci, za którą mogłam iść, żadnego tajemniczego smutnego uśmiechu. Odeszła tak nagle i niewytłumaczalnie jak przyszła. Podążałam za błędnym ognikiem i teraz byłam prawie dwie mile od domu i od Fenny, a Sara - wciąż żywa - znajdowała się w Wideacre.

Zapłakałam cicho z rozpacz, że znowu wszystko popsułam, i zaczęłam zawracać tą samą ścieżką z powrotem w stronę Fenny, żeby utopić i dziecko, i siebie, kiedy kącikiem oka dostrzegłam jakiś ruch. Były to wozy, załadowane, zapakowane i gotowe do odjazdu. Tabor cygański koczował w tej co zwykle zacisznej kotlinie na błoniach. Znajdowałam się kilka jardów od nich z moim dzieckiem w ramionach i perłami mamy na szyi.

Zeszłam ze wzgórza ślizgając się i poruszając w zwolnionym tempie, jak we śnie, i stanęłam w pobliżu pierwszego wozu. Jakiś mężczyzna przy koniu dociągał popręgi i sprawdzał uprząż. Na koźle siedziała kobieta.

Była młoda, mniej więcej w moim wieku, z włosami przewiazanymi szarfą. Na plecy zarzuciła worek dla ochrony przed deszczem. Wwozie za nią piętrzył się rodzinny dobytek zakryty płachtą, żeby nie przemókł. W ramionach trzymała niemowlę i karmiła je piersią.

Powlokłam się na obolałych stopach do wozu, a ona popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. Z ukrycia pod peleryną wygrzebałam zawiniątko z Sarą i uniosłam ku niej. Trzymałam ją niezręcznie, więc zbudziła się i zapłakała, pewnie z zimna, bo nagle znalazła się w powietrzu, nie otoczona już moim ramieniem.

Kobieta wyciągnęła rękę i wzięła moje dziecko bez słowa, jakby na mnie czekała. Rozejrzałam się po ustawionych wokół wozach. Wydawało się, że oni wszyscy czekali. Spakowali się i przygotowali do jednej z tych swoich wędrówek w nieznane, a potem czekali. Czekali w deszczu i ciemności na kogoś, kto przyjdzie do nich spod osłony lasów Wideacre.

Podniosłam dłonie i zdjęłam naszyjnik z różowych pereł. Kobieta wyciągnęła rękę i wsunęła go do ukrytej wśród licznych spódnic kieszeni. A potem - zupełnie tak, jakbym kupiła ten przywilej swojemu dziecku - natychmiast odkryła drugą pierś i dała Sarze do ssania. Stopki spadkobierczyni Laceyów

588

i Cyganiątka kopały zgodnie, kiedy dzieci piły mleko tej samej kobiety. Cofnęłam się. Nie miałam nic do powiedzenia, nie było potrzeby mówienia czegokolwiek.

Mężczyzna przy koniu zacisnął ostatni rzemyk i popatrzył w górę na kobietę siedzącą na wysokim koźle. Kiedy skinęła głową, strzelił batem i zaczął iść obok wozu. Koń pochylił łeb pod ciężarem i z trudem pociągnął

zaprzęg po grząskim piasku. Bok wozu był pomalowany, ale w świetle księżyca zasłanianego przez przepływające szybko chmury nie mogłam dostrzec ani wzoru, ani koloru. Cała sceneria była srebrzysto-szaro-czarna, była to jakby scena ze snu bez barw, oświetlony księżycem krajobraz opustoszały jak biała pustynia.

Ruszyły następne wozy, po bokach kołysały się rondle poprzywiązywane kawałkami sznurka. Na wielu wozach znajdowały się kosze wypełnione kołkami, rzeźbionymi w drewnie kwiatami i małymi ozdobami, wszystko to umieszczono na zewnątrz. Kiedy wozy ruszyły, garnki uderzały o siebie, grając szaloną muzykę, a kwiaty poruszały się jak tancerze we śnie. Tabor sześciu wozów odjeżdżał; nagle ocknęłam się z zadumy i zdałam sobie sprawę, co zrobiłam.

Kobieta dała mi znak ręką i szybko zrobiłam krok w jej kierunku, ale wóz utknął na moment, a potem przechylił się na bok i ruszył szybko z takim turkotem, że nie mogła mnie słyszeć. Graniasta latarnia kołysała się po jednej stronie wozu, oświetlając śnieżnobiały szal wokół głowy dziecka, ale chociaż wytężałam wzrok, nie widziałam go w tym migoczącym świetle. Wóz oddalał się ode mnie zbyt szybko.

Zrobiłam kilka pospiesznych kroków, ale krwawiłam, w głowie mi szumiało i wydawało mi się, że gwiazdy i chmury wirują pomiędzy mną a moim dzieckiem, pomiędzy mną a moją córką. I wiedziałam, że to nie sen. Oddałam ją i nigdy więcej jej nie zobaczę.

- Ma na imię Sara! - krzyknęłam za wozem i znowu próbowałam biec, ale kolana ugięły się pode mną i upadłam na piasek. Płakałam, płakałam, próbując złapać oddech i krzyknąć tak głośno, żeby mnie usłyszeli. - Na imię ma Sara! - wołałam za ciemnym podskakującym wozem, który tak

szybko odjeżdżał w noc. - Sara Lacey z Wideacre!

589

Nie wiem, jak długo tam stałam. Oglądałam się za nimi, aż oczy mnie piekły od wpatrywania się w ciemność i wypełniły się łzami bezsilności, tak że niczego już nie widziałam. Nawet bieli szala wokół głowy mojej małej córeczki. Zostałam tak, klęcząc na mokrym piasku oblewana ciężkimi kroplami gęstego deszczu. Później upadłam na ziemię i zapłakałam.

Uniosłam głowę i zobaczyłam, że robi się jaśniej. Minęła cała długa noc. Byłam wolna.

Richard nie miał już nade mną władzy i nigdy nie będzie miał.

Zobaczyłam go takim, jakim był naprawdę, i pokonałam mój strach przed nim. Richard był szaleńcem; przebiegłym czarującym szaleńcem. Mógł mnie zabić ostatniej nocy, gdybym nie zaczęła rodzić jego dziecka.

Wypełniłam swoją powinność wobec Wideacre: pozbawiłam je spadkobiercy, mojej cudownej, kochanej małej córeczki. Pójdę do domu i spełnię następny obowiązek. Stanę przed dziadkiem Haveringiem i powiem mu, że Richard zastrzelił Jema, wuja Johna i moją mamę, wyjawię motywy, pokażę mu oszukańcze świadectwo ślubu i kolczyki z różowymi perłami jako dowód zbrodni. Zabiorą go do Chichester i powieszą. Potem zburzę nowe mury dworu Wideacre i zamieszkać w jednej z chat wśród zieleni, samotnie, w żałobie, tęskniąc za wszystkim, co straciłam, i radując się tym, co uratowałam.

Byłam dziedziczką, ostatnią dziedziczką. Pozostało mi już tylko uwolnienie Wideacre od Richarda.

Owinęłam się przemoczoną ciężką peleryną i wstałam. Zachwiałam się z

wyczerpania i przez chwilę bałam się, że nie dotrę do domu. Mogłam upaść tutaj i umrzeć z zimna i utraty krwi, zanim ktokolwiek pomyślałby, żeby szukać mnie na łąkach.

Zacisnęłam zęby i odwróciłam się twarzą w kierunku domu. Robiłam sto kroków - liczyłam je głośno - na pokaleczonych i zakrwawionych nogach, a potem następne sto i jeszcze sto. Był to jedyny sposób dotarcia do domu, więc odmierzałam swoją drogę krokami jak dziecko. Wróciłam do ciemnego lasu Wideacre, przeszłam niepewną kładkę, gdzie kolejne liczby wykrzykiwałam ze strachu, bo stopy ślizgały mi się, a rzeka szarpała za ciężką pelerynę jakby chciała wciągnąć mnie w nurt. A potem znów liczyłam, idąc leśnymi drózkami, gdzie z taką łatwością biegałam jako dziecko za swoim ukochanym kuzynem. Odliczałam kroki dzielące mnie od domu, gdzie musiał przecież być ktoś, kto

590

pomoże mi położyć się do łóżka, żebym mogła odpocząć i pomyśleć, jak powiem Richardowi, że zniszczyłam jego spadkobiercę i że jego również zniszczę.

Kiedy wyszłam z lasu na drogę, prawie świtało; niebo robiło się blade, chociaż czarne deszczowe chmury wciąż wisiały nad wzgórzami. Wiatr był wysoko, poszeptywał w wierzchołkach drzew.

Sądziłam, że wszyscy wyszli mnie szukać. Miałam wielką nadzieję, że Richarda również nie ma, wtedy mogłabym pójść do mojego pokoju i spać, zanim stawię mu czoło. Richard musi umrzeć. Richard musi zostać całkowicie unicestwiony. A wiedziałam, że jeszcze nie jestem dość silna, żeby to zrobić.

Frontowe drzwi stały otworem, kiedy bez sił wlokłam się ścieżką. Dom

był opuszczony. Było tak, jak myślałam, wszyscy szukali mnie w lesie; może więc zdołam wdrapać się po schodach i odpocząć, zanim stanę przed Richardem.

Ja jednak byłam Julią Lacey, a nie głupim dzieckiem, pomyślałam więc, że powinnam przynajmniej napisać wiadomość i przypiąć do drzwi, żeby ci ludzie tam na deszczu mogli pójść do domu, żeby nie spędzili całego dnia na szukaniu mnie, podczas gdy ja leżałabym bezpiecznie i wygodnie w łóżku. Poszłam do biblioteki po papier i pióro, żeby to zrobić, nim pójde do łóżka.

Richard siedział tam w rzeźbionym ciężkim fotelu u szczytu stołu, w bryczesach i płóciennej koszuli. Fotel był odchyłony do tyłu, balansował niepewnie na nóżkach.

Richard miał białą jak kreda twarz, wargi rozciągnięte w okropnym, żalonym grymasie strachu; wbił we mnie oczy jak w swojego wybawcę, jedyną osobę na świecie, która mogła uratować go od pewnej śmierci.

Za fotelem stał Ralf, jedną ręką mocno odciągnął głowę Richarda do tyłu i trzymał go za włosy. Drugą zaś przytrzymał ostry nóż na jego gardle.

Obydwaj patrzyli na drzwi. Słyszeli mnie, bo głośno człapałam w mokrej koszuli i pelerynie wlokącej się po holu. Objęłam tę scenę jednym szybkim spojrzeniem i natychmiast zatrzasnęłam za sobą drzwi, żeby nikt inny nie wszedł, żeby nikt oprócz nas o tym nie wiedział. I oparłam się o nie.

Na twarzy Richarda drżało żalose błaganie.

- Julio! - powiedział i usłyszałam, jak usiłuje tę prośbę ozdobić swym wdziękiem. - Julio!

Popatrzyłam na niego zaczerwienionymi i zmęczonymi oczami. Patrzyłam na niego, na brata, którego kochałam przez całe życie, i wiedziałam, że nigdy nie przestanę go kochać. Mojego brata, moją krew, mój ród.

Podniosłam głowę i mój wzrok napotkał ciemne rozumiejące oczy Ralfa.

Ralf czekał w milczeniu na moją decyzję.

- Zabij go - powiedziałam.

Pchnięcie nożem było tak precyzyjne, jakby to zrobił rzeźnik.

* * *

Dower House, Wideacre.

Sussex.

Szanowny Panie Fortescue,

wiem, że wybaczysz mi, iż piszę do Ciebie po tak długim milczeniu i po tym, jak Cię potraktowałam. Musiało Ci się to wydawać okrutne i bezlitosne. Teraz mogę Ci powiedzieć, że kochałam Cię w Bath i że nigdy nie przestałam Cię kochać.

Zostałam schwytana w pułapkę macierzyństwa i małżeństwa. Teraz jestem wdową; jestem chora, gorączkuję i powiedziano mi, że choroba może się okazać śmiertelna.

Czyż to nie brzmi bardzo śmiało?! Och, James, wcale nie jestem odważna!

Przepelnia mnie gniew i żal, że utraciłam tak wiele, a osiągnęłam tak mało. Jedyne osiągnięcie to to, że mam córkę, ale pod wpływem wywołanych gorączką halucynacji odesłałam ją z Cyganami, myśląc, że będzie bezpieczna z dala od majątku. Piszę do Ciebie z prośbą, żebyś ją odszukał i przywiózł z powrotem do domu. Ustanawiam Cię jej

opiekunem i powiernikiem majątku, aż do osiągnięcia przez nią odpowiedniego wieku.

Odnajdziesz ją u cygańskiej rodziny podróżującej po południowych hrabstwach i zawsze zimującej w Wideacre. Moją wolą jest, żeby została tak wykształcona, by mogła zrozumieć, co to znaczy władać ziemią.

Przekaż jej, proszę, że moim pragnieniem jest, by przepisała wszystkie prawa Laceyów na wioskę. Ja nie mam czasu, by zmienić zasady własności majątku -jedynie ona może to zrobić i położyć kres rządóm dziedziców na tej ziemi na zawsze. Proszę, powiedz jej, że to jest moja stanowcza wola, którą ona musi spełnić.

Wybacz, że obarczam Cię obowiązkiem opieki nad moim dzieckiem, ale nie znam nikogo bardziej odpowiedniego, kto mógłby zatroszczyć się o dwie najbliższe mojemu sercu rzeczy - ziemię i moją córkę.

Jeżeli chodzi o Ciebie, to mam ogromną nadzieję, że znajdziesz kobietę, którą pokochasz i poślubisz. Mam nadzieję, że ona będzie Cię kochać tak mocno, jak ja nadal Cię kocham.

Żegnaj, najdroższy,

Julia Lacey.

PS Nazywa się Sara, Sara Lacey.

Koniec.